

Aleksander Dumas

Trzej Muszkieterowie

Tytuł oryginału

Les trois mousquetaires

PRZEDMOWA

gdzie jest wyłożone, że bohaterowie historii, jaką będziemy mieli zaszczyt czytelnikom opowiedzieć, mimo swych nazwisk kończących się na „os” i „is”, zgoła nie są postaciami mitologicznymi.

Przed rokiem niespełna, szukając w Bibliotece Królewskiej materiałów do mej historii Ludwika XIV, natknąłem się przypadkiem na Pamiętniki pana d'Artagnana, wydrukowane - jak większość książek w owym czasie, kiedy to autorowie pragnęli mówić prawdę nie udając się na czas dłuższy czy krótszy do Bastylji - w Amsterdamie, u Piotra Rouge. Tytuł wydał mi się interesujący; zabrałem pamiętniki do domu, oczywiście za zgodą pana kustosza, i przeczytałem je jednym tchem. Nie zamierzam przeprowadzać tu analizy tego ciekawego dzieła i poprzestanę na odesłaniu do niego tych moich czytelników, którzy smakują w obrazach z epoki. Znajdą tam portrety skreślone mistrzowską ręką; i choć najczęściej rysowano je na bramach koszar i ścianach oberż, rozpoznają z łatwością wizerunki Ludwika XIII, Anny Austriaczki, Richelieugo, Mazanina i większości dworzan owego czasu, równie utracone jak w historii pana Anquetil.

Wiadomo jednak, że to, co przyciąga kapryśny umysł poety, nie zawsze wywiera wrażenie na czytelniku. Toteż podziwiając w całej pełni szczegóły, o których wspomnieliśmy (podobnie jak uczynią to bez wątpienia inni), przede wszystkim zajmiemy się sprawą, której nikt przed nami nie poświęcił najmniejszej uwagi.

D'Artagnan opowiada, że gdy składał pierwszą wizytę panu de Treville, kapitanowi muszkieterów królewskich, spotkał na jego pokojach trzech młodzieńców służących w tym znamienitym oddziale, do którego pragnął zostać przyjęty; owi młodzieńcy nazywali się Atos, Portos i Aramis.

Musimy wyznać, że zastanowiły nas te trzy cudzoziemskie imiona i przyszło nam od razu na myśl, że są to pseudonimy, pod którymi d'Artagnan ukrył nazwiska, być może sławne; może też ci, co je nosili,

wymyślili je sami owego dnia, kiedy kaprys, niezadowolenie i nieprzyjazny los kazał im przywdziać prosty strój muszkieterów.

Od tej chwili nie zazналиśmy spoczynku, póki nie natrafiliśmy w dziełach współczesnych na ślady tych niezwykłych imion, które tak pobudziły naszą ciekawość.

Samo tylko wyliczenie książek, jakie przeczytaliśmy w tej intencji, wypełniłoby cały rozdział, co byłoby może wielce pouczające, ale niezbyt zabawne dla czytelników. Powiemy więc tylko, że w chwili kiedy zniechęceni tylu bezowocnymi poszukiwaniami mieliśmy zaprzestać ich wreszcie, znaleźliśmy, idąc za radą naszego sławnego i uczonego przyjaciela Paulina Paris, manuskrypt in folio, oznaczony numerem 4772 czy też 4773, nie pamiętamy już dobrze, a taki noszący tytuł: Pamiętnik hrabiego de La Fere, opisujący niektóre wypadki, jakie zaszły we Francji pod koniec panowania króla Ludwika XIII i w początkach panowania króla Ludwika XIV.

Łatwo odgadnąć, jak wielka była radość, kiedy przeglądając ten rękopis, naszą ostatnią nadzieję, znaleźliśmy na dwudziestej stronie imię Atosa, na dwudziestej siódmej Portosa, a na trzydziestej pierwszej Aramis.

Odkrycie rękopisu całkowicie nieznanego w czasach, kiedy wiedza historyczna poczyniła tak wielkie postępy, wydało nam się nieledwie cudem. Nie namyślając się długo, zaczęliśmy się starać o zezwolenie na publikację, w cichej nadziei, że uda nam się pewnego dnia wkroczyć do Akademii Napisów i Literatury z cudzym dorobkiem, gdyby, co jest wielce prawdopodobne, nie udało nam się wejść do Akademii Francuskiej z własnym. To zezwolenie, trzeba powiedzieć, zostało nam łaskawie udzielone; podkreślamy to na tym miejscu, by publicznie zaprzeczyć owym nieżyczliwym opiniom, wedle których nasz rząd jest niezbyt przychylnie usposobiony dla ludzi pióra.

Tak więc oddajemy w ręce czytelnika pierwszą część tego cennego rękopisu, przydając mu odpowiedni tytuł i przyobiecując, że jeśli część pierwsza znajdzie uznanie, na jakie zasługuje, w co zresztą nie wątpimy, bezzwłocznie ogłosimy drugą.

Ponieważ zaś mniemamy, że jak to się powiada, ojciec chrzestny jest drugim rodzicem, prosimy czytelnika, by zechciał obarczyć nas, nie zaś hrabiego de La Fere, odpowiedzialnością za przyjemność lub nudę lektury.

Co rzekłszy, przechodzimy do naszego opowiadania.

CZEŚĆ PIERWSZA

I.

TRZY RADY PANA D'ARTAGNANA OJCA

W pierwszy poniedziałek kwietnia 1625 roku w miasteczku Meung, gdzie narodził się autor „Romansu o Róży”, panowało zamieszanie tak wielkie, jak gdyby zjawili się tu hugenoci, by zamienić je w drugą La Rochelle. Niejeden mieszczanin widząc, jak kobiety uciekają w stronę ulicy Wielkiej, a dzieci krzyczą przed domami, śpieszył przywdziać zbroję, chwycił za muszkiet czy halabardę, by dodać sobie nieco animuszu, i kierował się ku oberży „Pod Wolnym Młynarzem”, gdzie rósł z każdą chwilą tłum zwarty, hałaśliwy i pełen ciekawości.

W owych czasach panika była zjawiskiem dość częstym i niewiele naliczyłbyś dni, w których kroniki nie notowałyby w tym czy w innym mieście podobnych wypadków. Wielcy panowie wojowali ze sobą; król toczył wojnę z kardynałem;

Hiszpan walczył z królem. Nadto zaś, prócz tych wojen, cichych lub głośnych, utajonych lub jawnych, byli jeszcze złodzieje, żebracy, hugenoci, bandyci i ludzie najemni, którzy prowadzili wojnę ze wszystkimi. Mieszczanie zbroili się zawsze przeciw złodziejom, bandytom, najemnikom, często przeciw wielmożom i hugenotom, czasem przeciw królowi, ale nigdy przeciw kardynałowi i Hiszpanowi. Zgodnie więc z tym zwyczajem mieszczanie, słysząc zgiełk owego kwietniowego poniedziałku 1625 roku, a nie widząc ni proporczyków żółto-czerwonych, ni barw księcia de Richelieu, zdążali w pośpiechu do oberży „Pod Wolnym Młynarzem”.

Znalazłszy się na miejscu, każdy mógł ujrzeć i rozpoznać przyczynę zamieszania.

Młodzieniec... nakreślmy jego portret jednym pociągnięciem pióra: wyobraźcie sobie osiemnastoletniego Don Kichota bez kolczugi i nagolenników, Don Kichota w wełnianym kaftanie, którego kolor, ongi granatowy, przybrał teraz nieuchwytny odcień ciemnej czerwieni i lazuru; twarz pociągła i ogorzała; wystające kości policzkowe, oznaka przebiegłości; potężne szczęki, po których

niechybnie rozpoznasz Gaskończyka, nawet gdy nie nosi beretu, nasz młodzieniec zaś nosił beret ozdobiony czymś w rodzaju pióra; spojrzenie otwarte i bystre; nos zgięty, ale szlachetny w rysunku. Ów podróżny zbyt duży był jak na podrostka, ale zbyt mały jak na mężczyznę dojrzałego, i gdyby nie długa szpada zawieszona u skórzanego pasa, która objęła nogi właściciela, kiedy stał, i jeżyła

sierść wierzchowca, gdy siedział na koniu, oko mniej doświadczone mogłoby go wziąć za podróżującego syna chłopskiego.

Nasz młodzieniec posiadał bowiem wierzchowca, a ów wierzchowiec tak bardzo zasługiwał na

uwagę, że nie mógł jej na siebie nie zwrócić: był to konik beameński, liczący sobie lat dwanaście lub czternaście, żółtej maści, zgoła pozbawiony włosów w ogonie, lecz nie mogący się uskarżać na brak grud zgorzelinowych na nogach, który choć głowę trzymał niżej kolan, na skutek czego podtrzymywanie mu jej rzemieniem stawało się wręcz bezużyteczne, robił osiem mil dziennie. Niestety, osobliwa maść i dziwaczny chód kryły tak wybornie zalety tego wierzchowca, że w czasach kiedy wszyscy znali się na koniach, zjawienie się rzeczonoego rumaka w Meung, dokąd wkroczył mniej więcej przed kwadransem przez bramę Beaugency, wywarło wielkie, ale nie najlepsze wrażenie, które przeniosło się również na jeźdźca.

To wrażenie było tym bardziej przykre dla młodego d'Artagnana (tak bowiem nazywał się Don Kichot dosiadający tego nowego Rosynanta), ile że zdawał sobie sprawę ze śmieszności, jaką go okrywał, choć dobrym był jeźdźcem, wierzchowiec tego rodzaju; toteż wzdychał potężnie, przyjmując dar pana

d'Artagnana ojca. Wiedział, że koń wart jest co najwyżej dwadzieścia liwrów; wszelako przyznać trzeba, że słowa towarzyszące podarunkowi były bezcenne.

- Synu - rzekł szlachcic gaskoński w tej czystej gwarze beameńskiej, której Henryk IV nigdy nie mógł się wyzbyć - synu, ten koń urodził się w domu twego ojca przed trzynastu blisko laty i pozostał tu do dziś, co powinno cię skłonić do dobrych uczuć dla niego. Nie sprzedawaj go nigdy, niechaj zdechnie spokojnie i godnie ze starości; a jeśli przyjdzie ci udać się z nim na wyprawę, oszczędzaj go tak, jakbyś oszczędzał starego sługę. Jeśli będziesz miał zaszczyt znaleźć się kiedy na dworze - ciągnął pan d'Artagnan ojciec - (zaszczyt, do którego stare szlacheństwo daje ci prawo), przez wzgląd na siebie samego i swych bliskich nie przynieś wstydu nazwisku, które twoi przodkowie nosili godnie przez pięćset lat. Za ludzi bliskich zaś uważam krewnych i przyjaciół. Nie puszczaj nic nikomu płazem, prócz pana kardynała i króla. Jedynie odwaga, pojmiij to dobrze, jedynie odwaga pozwala dziś szlachcicowi utorować sobie drogę. Ten, kto uląkł się choćby na chwilę, być może w tej właśnie chwili traci okazję, którą ofiarował mu los. Jesteś młody i powinieneś być dzielny z dwóch powodów: po pierwsze, ponieważ jesteś Gaskończykiem, po drugie, ponieważ jesteś moim synem. Nie omijaj sposobności i szukaj przygód. Nauczyłem cię robić szpadą; masz przeguby z żelaza i pięści stalowe; bij się, kiedy się tylko sposobność nadarzy; bij się tym bardziej, że pojedynki są zabronione, trzeba więc podwójnej odwagi, by się bić. Mój synu, mogę ci dać tylko piętnaście talarów, konia i rady, których wysłuchałeś. Twoja matka doda do tego receptę na przyrządzenie balsamu; otrzymała ją od pewnej Cyganki; ów balsam odznacza się cudowną właściwością leczenia wszelkich ran, które nie dosięgły serca. Obróć to wszystko sobie na pożytek i żyj długo i szczęśliwie. Dodam jeszcze słowo, a mianowicie wskażę ci przykład do naśladowania; wzorem tym nie jestem ja sam, ponieważ nigdy nie

przebywałem na dworze i biłem się tylko jako ochotnik w wojnach religijnych; mówię o panu de Treville, który był ongi moim sąsiadem i miał honor bawić się jako dziecko z naszym królem Ludwikiem XIII, niechaj Bóg ma go w swej opiece! Niekiedy ich zabawy zamieniały się w walki i w

tych walkach król nie zawsze bywał silniejszy. Otrzymał cięgi obudziły w nim wiele szacunku i przyjaźni dla pana de Treville. Podczas swej pierwszej podróży do Paryża pan de Treville bił się pięć razy; od śmierci nieboszczyka króla aż do pełnoletności młodego, nie licząc wojen i oblężeń, pojedynkował się siedem razy; a od tej chwili do dzisiaj chyba ze sto razy! Jakoż mimo edyktów, zakazów i wyroków jest dziś kapitanem muszkietierów, potężnym niczym wódz rzymskich legionów; król go wielce ceni, a boi się sam pan kardynał, choć jak wiadomo, pan kardynał nie boi się byle kogo. Nadmienię, że dochód pana de Treville wynosi dziesięć tysięcy talarów rocznie; jest to więc wielki pan. Zaczął tak jak ty; udaj się do niego z tym listem i idź w jego ślady, byś stał się taki jak on.

Powiedziawszy to pan d'Artagnan ojciec przypiął do boku syna własną szpadę, ucałował go serdecznie w oba policzki i pobłogosławił.

Wychodząc z ojcowskiego pokoju, młodzieniec napotkał matkę czekającą na niego z ową cudowną receptą, której dość częste stosowanie zapewniały przytoczone rady. Tu pożegnania były dłuższe i czulsze, nie dlatego zgoła, że pan d'Artagnan nie kochał syna, który był jedynym jego dziedzicem, ale pan d'Artagnan był mężczyzną i uważałby za rzecz niemęską pozwolić sobie na wzruszenie, natomiast pani d'Artagnan była kobietą, a ponadto matką. Zalała się łzami; powiedzmy zaś na pochwałę pana d'Artagnana syna, że choć czynił wysiłki, by zapanować nad sobą, jak to przystoi przysłemu muszkietierowi, serce wzięło górę i wylał mnóstwo łez, z trudem ukrywając zaledwie ich połowę.

Tego samego dnia młodzieniec wyruszył w drogę zaopatrzonego w trzy dary rodzicielskie, na które składało się, jak powiedzieliśmy, piętnaście talarów, koń i pismo do pana de Treville; łatwo odgadnąć, że rady nie liczyły się do rachunku.

Posiadając takie vademecum, d'Artagnan, zarówno w sensie moralnym, jak fizycznym, był dokładną kopią bohatera Cervantesa, do którego tak szczęśliwie porównaliśmy go, kiedy obowiązki historyka kazały nam nakreślić jego portret.

Don Kichot brał wiatraki za olbrzymów, a barany za armie, d'Artagnan poczytywał każdy uśmiech za obrazę i każde spojrzenie za wyzwanie. Dlatego też od Tarbes aż do Meung pięść miał nieustannie zaciśniętą i chwycił za rękojęść szpady dziesięć razy dziennie; jednakże pięść nie spadła na niczyją szczękę, a szpada nie opuściła pochwy. Nie znaczy to bynajmniej, że widok nieszczęsnego konika nie budził uśmiechów na twarzach przygodnie spotkanych ludzi, ale jako że nad konikiem pobrzękiwała szpada szacownych rozmiarów, a wyżej błyskało oko raczej dzikie niż pyszne, przechodnie powstrzymywali swą wesołość, a gdy wesołość brała górę nad ostrożnością, usiłowali przynajmniej śmiać się jedną stroną twarzy, niczym maski starożytne; nie zaznawszy więc uszczerbku na honorze, d'Artagnan dotarł do owego nieszczęsnego Meung.

Zsiadając z konia przed bramą „Wolnego Młynarza” (ni oberżysta, ni pacholek, ni stajenny nie wybiegł przytrzymać mu strzemienia) zauważył przy na wpół otwartym oknie parteru szlachcica słusznego wzrostu, o wyniosłej minie, rozmawiającego z dwiema osobami, które słuchały go z szacunkiem. D'Artagnan, zgodnie ze swym zwyczajem, uznał od razu, że jest przedmiotem rozmowy,

i nastawił ucha. Tym razem omylił się tylko w połowie: mówiono nie o nim, lecz o jego koniu. Szlachcic, jak się zdawało, wyliczał wszystkie jego zalety, a ponieważ słuchacze wielce mu byli powolni, wybuchali śmiechem co chwila.

Jeśli dość było lekkiego uśmiechu, by rozdrażnić naszego młodzieńca, łatwo wyobrazić sobie, jakie wrażenie wywarła na nim ta hałaśliwa wesołość.

Jednakże d'Artagnan chciał wpieryw przyjrzeć się zuchwalcowi, który pokpiwał sobie z niego. Zmierzywszy dumnym wzrokiem nieznanego, stwierdził, że jest to mężczyzna mający lat czterdzieści lub czterdzieści pięć, o oczach czarnych i przenikliwych, bladej cerze, bardzo wydatnym nosie i starannie przyciętym czarnym wąsie. Odziany był w fioletowe pludry z naszyciami tego samego koloru i takiż kaftan bez żadnych ozdób prócz zwykłych przecięć w rękawach, przez które wyglądała koszula. Te spodnie i kaftan, choć nowe, były zmięte jak suknie podróżne długo przechowywane w torbie. D'Artagnan poczynił wszystkie te spostrzeżenia z szybkością godną najdokładniejszego obserwatora, wiedziony niewątpliwie instynktownym przecuciem, które mówiło mu, że ów nieznanomy będzie miał znaczny wpływ na jego dalsze losy.

Otóż w chwili kiedy d'Artagnan utkwiał spojrzenie w szlachcicu odzianym w fioletowy kaftan, szlachcic ów. wygłaszał pod adresem bearneńskiego konika jedną z najbardziej trafnych i głębokich uwag; słuchacze roześmieli się głośno, on sam zaś, wbrew swym obyczajom, pozwolił sobie na lekki uśmiech. Tym razem nie było wątpliwości - d'Artagnan został w sposób oczywisty obrażony.

Pewien tego, wcisnął beret na oczy i próbując naśladować wykwinne maniery, jakie zaobserwował w Gaskonii u podróżujących wielmożów, zbliżył się z jedną ręką na rękojeści szpady, drugą podparłszy się pod bok. Niestety, w miarę jak się zbliżał, gniew oślepił go coraz bardziej i zamiast dumnych słów wyzwania, jakie sobie przygotował, znalazł jedynie prostackie wyrazy, którym towarzyszył

wściekły gest.

- Hej, panie, co się tam kryjesz za okiennicą! - zawołał. - Tak, ty właśnie, zechciej mi powiedzieć, z czego się śmiejesz, może zabawimy się razem.

Szlachcic przeniósł powoli spojrzenie z konia na jeźdźca, jak gdyby potrzebował niejakiego czasu, by zrozumieć, że do niego skierowane są te dziwaczne pretensje; potem, kiedy nie mógł już mieć żadnych wątpliwości, ściągnął lekko brwi i po dość długiej pauzie odparł d'Artagnanowi z akcentem ironii i nieopisanego lekceważenia.

- Nie mówię do ciebie, mój panie.

- Ale ja mówię do pana! - zawołał młodzieniec rozjątrzony tym pomieszaniem zuchwalstwa i dwomości, grzeczności i pogardy.

Nieznajomy patrzył na niego przez chwilę z lekkim uśmiechem, za czym cofnął się od okna, wyszedł powoli z oberży i stanął o dwa kroki od d'Artagnana, naprzeciw jego konia. Spokojna pewność siebie i kpiąca mina nieznajomego podwoiły jeszcze wesołość jego towarzyszy, którzy pozostali przy oknie.

D'Artagnan widząc, że nieznajomy się zbliża, wysunął o cal szpadę z pochwy.

- Ten koń jest niewątpliwie barwy jaskra, a raczej był taki w swej młodości - podjął nieznajomy zwracając się do słuchaczy przy oknie i jak gdyby nie dostrzegając rozdrażnienia d'Artagnana, który stał mu na drodze. - Barwa to doskonale znana w botanice, ale jak dotąd, dość rzadka u koni.

- Tylko ten kpi sobie z konia, kto nie ośmieliłby się zakpić z jego pana! - zawołał z wściekłością przyszły rywal Treville'a.

- Nie śmieję się często, mój panie - podjął nieznajomy - jak to sam możesz wywnioskować z wyrazu mojej twarzy; wszelako śmieję się, kiedy mi na to przyjdzie ochota.

- Ja zaś - zawołał d'Artagnan - nie życzę sobie, by się śmiano, kiedy nie mam na to ochoty.

- Doprawdy, mój panie? - ciągnął nieznajomy z największym spokojem. - Wybornie, masz zupełną rację.

I odwróciwszy się na pięcie, chciał wrócić do oberży przez główną bramę, przy której d'Artagnan wjeżdżając zauważył osiodłanego konia.

Ale d'Artagnan nie należał do tych, co kpiny puszczają płazem. Wyciągnął szpadę całkowicie z pochwy i rzucił się za nim krzycząc:

- Zawróć no, zawróć, panie kpiarzu, abym nie musiał cię uderzyć z tyłu.

- Mnie uderzyć! - rzekł tamten obracając się na pięcie i patrząc na młodzieńca z równym zdumieniem, jak pogardą. - No, no, mój drogi, szaleniec z ciebie!

Po czym dodał półgłosem i jak gdyby do samego siebie:

- Tam do licha! Cóż za okazja dla Jego Królewskiej Mości, miałby z tego zucha wybornego muszkietera.

Zaledwie skończył, kiedy d'Artagnan rzucił się nań z obnażoną szpadą tak wściekle, że gdyby nieznajomy nie odskoczył do tyłu, ten żart byłby zapewne jego żartem ostatnim. Zrozumiał tedy, że to nie przelewki, wyciągnął szpadę, skłonił się przeciwnikowi i z wielką powagą stanął w pozycji. Ale w tej samej chwili dwaj jego towarzysze wraz z oberżystą skoczyli na d'Artagnana i zaczęli go okładać kijami, łopatami i szczypcami kuchennymi. Była to odpowiedź na atak tak szybka i tak rozstrzygająca, że przeciwnik d'Artagnana, podczas gdy ten ostatni odwrócił się, by bronić się przed

ciosami, schował szpadę do pochwy z równą jak przedtem dokładnością; z niedosłzłego aktora walki stał się jej obserwatorem i w tej roli zachował się ze zwykłym sobie niezmaconym spokojem, wciąż jednak pomrukując:

- Niech tych Gaskończyków zaraza! Wsadźcie go na tego pomarańczowego konia i niech się stąd wynosi.

- Ale dopiero po tym, jak cię zabiję, tchórze! - zawołał d'Artagnan wciąż broniąc się, jak mógł najlepiej, i nie cofając się ani na krok przed trzema przeciwnikami, którzy zasypywali go ciosami.

- Znów ta gaskońska brawura - mruknął szlachcic. - Na honor, ci Gaskończycy są niepoprawni! Pobawcie się z nim jeszcze trochę, skoro tak się przy tym upiera. Kiedy poczuje zmęczenie, sam powie, że ma dość.

Ale nieznajomy nie wiedział jeszcze, na jak wielki upór natrafił; d'Artagnan nie należał do tych, co kiedykolwiek proszą pardonu. Walka toczyła się więc jeszcze kilka sekund; wreszcie wyczerpany d'Artagnan wypuścił szpadę, którą uderzenie kija złamało na dwoje. Cios w czoło obalił go niemal w tej samej chwili; padł na ziemię krwawiąc, na wpół zemdłony.

Ludzie zbiegli się ze wszystkich stron na miejsce wypadku. Oberżysta, lękając się skandalu, z pomocą pachołków zaniósł rannego do kuchni, gdzie się nim zaopiekowano.

Tymczasem szlachcic powrócił na swe miejsce przy oknie i przyglądał się z pewnym zniecierpliwieniem zgromadzonej gawiedzi, której obecność nie była mu, widać, przyjemna.

- No i cóż, jak się ma ta szalona pałka? - zapytał odwracając się na odgłos otwieranych drzwi i kierując swe słowa do oberżysty, który przybył dowiedzieć się o jego zdrowie.

- Wasza Ekscelencja jest zdrow i cały? - zapytał oberżysta.

- Nic mi nie dolega, mój poczciwy gospodarzu, i pytam cię, co się dzieje z naszym młodzieńcem.

- Ma się lepiej - rzekł oberżysta - całkiem zemdlał.

- Doprawdy? - zapytał szlachcic.

- Ale na chwilę przedtem zebrał wszystkie siły i wołał, że jeszcze panu pokaże.

- Ale ten chłopak to wcielony diabeł! - zawołał nieznajomy.

- Och, nie, Wasza Ekscelencjo, żaden diabeł - podjął oberżysta z pogardliwą miną - kiedy zemdlał, przetrząsnęliśmy jego rzeczy; w tobołku ma tylko jedną koszulę, a w sakiewce dwanaście talarów, co

nie przeszkodziło mu powiedzieć, gdy tracił przytomność, że gdyby podobny wypadek przydarzył się w Paryżu, pożałowałbyś pan tego natychmiast, gdy tu przyjdzie ci żałować później.

- W takim razie - rzekł chłodno nieznajomy - to jakiś przebrany księżę krwi.

- Opowiadam o tym dlatego, panie, byś się miał na baczności.

- Czy w gniewie nie wymienił czyjś nazwiska?

- I owszem, uderzył się po kieszeni i powiedział: „Zobaczmy, co powie pan de Treville na tę zniewagę wyrządzoną jego protegowanemu”.

- Pan de Treville? - rzekł nieznajomy z uwagą - uderzył się po kieszeni wymieniając nazwisko pana de Treville?... Posłuchaj, przyjacielu, spodziewam się, że gdy młodzieniec leżał zemdłony, zajrzałeś do tej kieszeni. Cóż tam znalazł?

- List zaadresowany do pana de Treville, kapitana muszkietarów.

- Doprawdy?

- Nie inaczej, jak miałem zaszczyt Waszej Ekscelencji powiedzieć.

Oberżysta, nie odznaczający się wielką przenikliwością, nie zauważył wrażenia, jakie jego słowa wywarły na nieznajomym. Odszedł od okna, na którego framudze wspierał się łokciem, i zmarszczył brwi z wyrazem niepokoju.

- Tam do licha! - mruknął przez zęby - czyżby to Treville nasłał na mnie tego Gaskończyka? Bardzo jeszcze młody! Ale cios szpadą jest ciosem szpadą, niezależnie od wieku człowieka, który go zadaje, i mniej się nawet mamy na baczności przed dzieckiem niż przed kim innym; czasem dość błahej przeszkody, by pokrzyżować wielkie zamiary.

Nieznajomy zamyślił się na kilka minut.

- No cóż, gospodarzu, czy nie uwolnisz mnie od tego szaleńca? Nie mogę go zabić, nie godzi się to z moim sumieniem, a jednak - dodał z wyrazem chłodnej groźby - a jednak przeszkadza mi. Gdzie jest teraz?

- W pokoju mojej żony, na pierwszym piętrze, gdzie go opatrują.

- Rzeczy i torbę ma przy sobie? Nie zdjął kaftana?

- Przeciwnie, wszystko to znajduje się w kuchni na dole. Ale skoro ten młody narwaniec panu przeszkadza...

- Bez wątpienia. Wywołał w twojej oberży awanturę, gorszącą przyzwoitych ludzi. Idź, przygotuj rachunek i uprzedź mego służącego.

- Jak to, pan nas już opuszcza?

- Wiesz o tym dobrze, skoro kazałem ci osiodłać konia. Czy nie wykonano mego rozkazu?

- I owszem; jak Wasza Ekscelecja mógł zauważyć, koń stoi osiodłany przy bramie, gotów do drogi.

- Dobrze, uczynź zatem, co powiedziałem.

- Ho, ho - powiedział sobie oberżysta - czyżby go strach obleciał przed tym młokosem?

Ale rozkazujące spojrzenie nieznajomego położyło kres jego wywodom. Ukłonił się unieżenie i wyszedł.

- Nie trzeba, żeby ten hultaj ujrzał Milady - ciągnął nieznajomy - powinna zjawić się wkrótce; już się nawet spóźniła. Lepiej zrobię, jeśli dosiędę konia i wyjadę jej naprzeciw... Gdybym tylko mógł wiedzieć, co zawiera ten list adresowany do Treville'a!

Tymczasem oberżysta, który nie wątpił ani przez chwilę, że to obecność młodzieńca wypędza nieznajomego z oberży, wszedł do pokoju żony i zastał tam d'Artagnana, który wreszcie odzyskał przytomność. Za czym, tłumacząc mu, że straż miejska mogłaby się źle z nim obejść, jako że szukał zwady z wielkim panem, wedle zdania oberżysty bowiem nieznajomy był na pewno wielkim panem, skłonił młodzieńca, choć był on jeszcze słaby, do powstania i ruszenia w dalszą podróż. D'Artagnan czując się bardzo niepewnie, bez kaftana, z głową owiniętą gałganami, wstał jednak i popychany przez oberżystę, zaczął schodzić; lecz gdy pojawił się w kuchni, ujrzał swego przeciwnika, który rozmawiał spokojnie, stojąc przy stopniu ciężkiej karocy zaprzężonej w dwa wielkie konie normandzkie.

Osoba, z którą rozmawiał - kobieta dwudziesto - lub dwudziestodwuletnia - wychyliła głowę przez drzwiczki karocy. Powiedzieliśmy już, jak byстрыm i spostrzegawczym okiem d'Artagnan patrzył na ludzi; ujrzał tedy od razu, że kobieta była młoda i piękna. Jej uroda uderzyła młodzieńca, tym bardziej że nigdy nie spotyka się podobnej na południu, gdzie dotychczas przebywał. Była to blada blondynka o długich włosach, które spadały w lokach na ramiona, o wielkich niebieskich, tęsknych oczach, różanych ustach i dłoniach z alabastru.

Rozmawiała żywo z nieznajomym.

- A zatem Jego Eminencja rozkazuje mi... - powiedziała dama.

- Wrócić natychmiast do Anglii i uprzedzić go osobiście, gdyby księżę opuszczał Londyn.

- A jeśli idzie o inne instrukcje? - zapytała piękna pani.

- Znajdują się w tej szkatułce, którą otworzy pani dopiero po drugiej stronie kanału La Manche.

- Doskonale; a pan?

- Wracam do Paryża.

- Nie ukarawszy tego zuchwałego chłopca? - zapytała dama.

Nieznajomy miał właśnie odpowiedzieć, ale w chwili kiedy otwierał usta, d'Artagnan, który słyszał wszystko, ukazał się na progu.

- Ów zuchwały chłopiec sam karze innych! - zawołał. - Spodziewani się, że ten, którego winien ukarać, nie ucieknie znów jak przedtem.

- Nie ucieknie? - powtórzył nieznajomy marszcząc brwi.

- Nie, przypuszczam bowiem, że w obecności kobiety nie ośmielisz się pan zmykać.

- Pomyśl! - zawołała Milady widząc, jak szlachcic chwyta za szpadę - pomyśl, że najmniejsza zwłoka może pokrzyżować wszystko.

- Ma pani rację! - zawołał szlachcic. - Jedź więc w swoją stronę, a ja ruszę w swoją.

I pożegnawszy damę skinieniem głowy, wskoczył na konia, podczas gdy woźnica karocy żywo popędzał zaprzęg. Pomknęli galopem, każde w przeciwnym kierunku.

- Hola! A gdzie jest zapłata! - wrzasnął oberżysta; jego afekt dla podróżnego zmienił się w głęboką pogardę, skoro ujrzał, że szlachcic oddala się nie uregulowawszy rachunku.

- Zapłać, gałganie! - zawołał do służącego podróżny nie wstrzymując konia; służący rzucił oberżyscie pod nogi dwie czy trzy sztuki srebra i pogalopował za swym panem.

- O tchórzu! O nędzniku! O fałszywym szlachcicu! - zawołał d'Artagnan pędząc z kolei za służącym.

Ale był jeszcze zbyt słaby. Zaledwie zrobił dziesięć kroków, gdy zaszumiało mu w uszach, krew nabiegła do oczu i upadł zamroczony pośrodku ulicy, wciąż wołając;

- Nikczemnik! Nikczemnik! Nikczemnik!

- Nikczemny w samej rzeczy - przytaknął oberżysta zbliżając się do d'Artagnana i próbując tym

pochlebstwem zjednać sobie biednego chłopca, niczym czapla z bajki ślimaka.

- Tak, bardzo nikczemny - zamruczał d'Artagnan - ale ona jest bardzo piękna!

- Kto taki? - zapytał oberżysta.

- Milady - wyszeptał d'Artagnan.

I zemdlął po raz wtóry.

- Wszystko jedno - rzekł oberżysta. - Straciłem tamtych dwoje, ale pozostaje mi jeszcze ten młokos, zatrzymam go tu przynajmniej kilka dni. Zawsze to jedenaście zarobionych talarów.

Jak wiadomo, jedenaście talarów pozostało w sakiewce d'Artagnana. Oberżysta liczył na jedenaście dni choroby i na talara dziennie; ale się przeliczył. Nazajutrz o piątej rano d'Artagnan wstał, zszedł do kuchni, poprosił, prócz kilku innych ingrediencji, których lista do nas nie dotarła, o wino, oliwę i rozmaryn, i z receptą matczyną w ręce sporządził sobie balsam, którym namaścił liczne rany, sam zmieniając okłady i nie chcąc zgodzić się na pomoc żadnego lekarza. Dzięki skuteczności cygańskiego balsamu, a być może również dzięki nieobecności lekarza d'Artagnan był na nogach tego samego wieczora i prawie całkiem zdrów nazajutrz.

Ale w chwili kiedy miał płacić za rozmaryn, oliwę i wino, jedyny swój wydatek, przestrzegał bowiem całkowitej diety (gdy tymczasem jego żółty koń, jeśli wierzyć słowom oberżysty, jadł trzy razy więcej, niż można było się spodziewać po jego wielkości), znalazł w kieszeni jedynie niewielką sakiewkę z wytartego aksamitu wraz z jedenastu talarami; znikł wszakże list adresowany

do pana de Treville.

Młodzieniec począł go szukać nader cierpliwie, wywracając po dwadzieścia razy kieszenie i kieszonki, przetrząsając torbę, otwierając i zamykając sakiewkę; ale gdy doszedł do wniosku, że listu nie znajdzie, wściekłość ogarnęła go po raz trzeci i niewiele brakowało, a musiałby znowu zaaplikować sobie wonne wino i oliwę; widząc bowiem, że ta szalona głowa się rozpala, słysząc, jak d'Artagnan grozi, że połamie wszystko w oberży, jeśli nie znajdą tego listu, oberżysta chwycił za oszczep, jego żona za kij od miotły, pachołkowie zaś te same kije, którymi posługiwali się dnia poprzedniego.

- Mój list polecający! - zawołał d'Artagnan - mój list polecający, na rany Boskie! Bo ponadziewam was wszystkich jak jarzabki na rożen!

Niestety, pewna okoliczność nie pozwoliła młodzieńcowi wypełnić groźby.

Jak bowiem powiedzieliśmy, jego szpada została złamana na dwoje podczas pierwszej potyczki, o

czym całkiem był zapomniał. Toteż kiedy sięgnął po szpadę, stwierdził, że jest uzbrojony w odłamek długości ośmiu czy dziesięciu cali, który oberżysta troskliwie włożył do pochwy. Resztę klingi gospodarz ukrył, by zrobić sobie z niej szpikulec.

Jednakże ten zawód nie powstrzymałby zapewne naszego zapalczywego młodzieńca, gdyby oberżysta nie przyszło do głowy, że żądanie podróznego jest całkowicie słuszne.

- Ale w samej rzeczy - powiedział opuszczając oszczep - gdzie jest ten list?

- Otóż to, gdzie list? - zawołał d'Artagnan. - Przede wszystkim oświadczam waszmości, że list jest adresowany do pana de Treville i musi się znaleźć; a jeśli się nie znajdzie, pan de Treville zatroszczy się już o to, by go znalezione, to pewna.

Ta pogrożka całkiem zbiła z tropu oberżystę. Po królu i panu kardynale pan de Treville był tym, którego imię najczęściej pojawiała się na ustach żołnierzy, a nawet mieszczan. Co prawda był jeszcze ojciec Józef, ale jego imię wymawiano po cichu, tak wielki strach budziła szara eminencja, jak nazywano zausznika kardynała. Toteż odrzucił daleko oszczep i rozkazując służącym poniechać pałek, a żonie uczynić to samo z kijem od miotły, pierwszy dał przykład zabierając się do szukania zgubionego listu.

- Czy ten list zawierał coś cennego? - zapytał oberżysta po chwili bezowocnych poszukiwań.

- Do kata! Myślę sobie! - zawołał Gaskończyk, który liczył na to, że list pomoże mu w dworskiej karierze - całą moją fortunę.

- Może były w nim oblige hiszpańskie? - zapytał oberżysta niespokojnie.

- Oblige do prywatnej szkatuły Jego Królewskiej Mości - odparł d'Artagnan, który spodziewał się, że dzięki tej rekomendacji znajdzie się w służbie króla, i sądził, że nie skłamię odpowiadając w sposób nieco ryzykowny.

- Do diabła! - powiedział oberżysta całkiem zrozpaczony.

- Ale mniejsza o to - ciągnął d'Artagnan z pewnością siebie cechującą ludzi z jego stron. - Mniejsza o to, nie chodzi o pieniądze; najważniejszy był list. Wolałbym stracić tysiąc pistoli.

Równie dobrze mógłby powiedzieć: dwadzieścia tysięcy, ale powstrzymała go młodzieńcza skromność.

Błysk rozświetlił nagle umysł oberżysty, który w duchu sam sobie urągał, nie znajdując żadnego wyjścia.

- Ten list nie został zagubiony - zawołał.

- Co? - rzekł d'Artagnan.

- Nie; został panu zabrany.

- Zabranym! Przez kogo?

- Przez tego szlachcica, co był tu wczoraj. Zszedł do kuchni, gdzie leżał pański kaftan. Był tam sam jeden. Idę o zakład, że to on list ukradł.

- Tak myślisz? - odparł d'Artagnan niezbyt przekonany, wiedział bowiem lepiej niż ktokolwiek, że list był ściśle prywatny i nie zawierał nic, co mogłoby znęcić czyjąś chciwość. Istotnie, nikomu ze służby czy podróżnych ten papier nie przyniósłby najmniejszej korzyści.

- Mówisz więc, że podejrzewasz owego pana?

- Mówię, że jestem tego pewien - ciągnął oberżysta. - Kiedym mu powiedział, że Wasza Miłość jest pod opieką pana de Treville i masz nawet list do tego znamienitego pana, wydał mi się wielce

niespokojny, zapytał mnie, gdzie jest list, i zszedł natychmiast do kuchni, wiedząc, że jest tam twój kaftan.

- Więc on mi go ukradł - odparł d'Artagnan. - Zaniosę skargę do pana de Treville, a pan de Treville zanieś skargę do króla.

Za czym wyciągnął uroczystym ruchem dwa talary z kieszeni, dał je oberżyście, który odprowadził go do drzwi z kapeluszem w ręce, wsiadł na żółtego konia i dojechał na nim bez żadnych dalszych przypadków do bramy Saint-Antoine w Paryżu; tu sprzedał go za trzy talary, co było bardzo dobrą zapłatą, zważywszy, iż d'Artagnan poganiał tego na ostatnim odcinku drogi. Toteż handlarz koni, któremu d'Artagnan odstąpił swego rumaka, nie krył bynajmniej przed młodzieńcem, wyliczając mu dziewięć liwrów, że ofiarowuje tę wspaniałą sumę jedynie dla niezwyklej maści konia.

D'Artagnan wkroczył więc do Paryża pieszo, z tobołkiem pod pachą, i szedł tak długo, aż znalazł pokój, odpowiadający jego skromnym środkom, rodzaj mansardy przy ulicy des Fossoyeurs, niedaleko od Luksemburga.

Wpłaciwszy zadatek, d'Artagnan zajął mieszkanie i spędził resztę dnia na przyszywaniu do swego kaftana i spodni galonów, które matka odcięła od nowego prawie kaftana pana d'Artagnana ojca i dała mu ukradkiem; potem udał się na Quai de la Ferraille, by nabyć nową klingę do szpady; wreszcie wrócił do Luwru chcąc się dowiedzieć od pierwszego spotkanego muszkietera, gdzie jest pałac pana de Treville. Ów pałac znajdował się przy ulicy Vieux-Colombier, a więc w pobliżu wynajętego pokoju; d'Artagnanowi wydało się to szczęśliwą wróżbą dla jego najbliższych poczynań.

Za czym, rad ze swego zachowania się w Meung, z czystym sumieniem, jeśli idzie o przeszłość, ufny w teraźniejszość i pełen nadziei na przyszłość, położył się i zasnął snem sprawiedliwego.

Ów sen, bardzo jeszcze parafiański, trwał aż do godziny dziewiętej rano; wówczas wstał, by udać się do znakomitego pana de Treville, trzeciej osobistości w królestwie wedle mniemania pana d'Artagnana ojca.

II.

W PRZEDPOKOJU PANA DE TREVILLE

Pan de Troisville, jak nazywała się jeszcze jego rodzina w Gaskonii, lub pan de Treville, nazwisko przyjęte w Paryżu, w samej rzeczy rozpoczął tak jak d'Artagnan, to znaczy bez złamanego szeląga, ale z tym kapitałem śmiałości, inteligencji i uporu, co sprawiają, że najbiedniejszy szlachciura gaskoński dziedziczy po przodkach nadzieje, których wartość jest większa niż rzeczywisty spadek szlachcica z Perigordu czy Berry. Jego zuchwałe męstwo i szczęście zuchwalsze jeszcze w czasach, kiedy ciosy spadały jak grad, wyniosły go na szczyt tej drabiny trudnej do przebycia, którą nazywa się łaską u dworu; przeskakiwał na niej po cztery stopnie za jednym zamachem.

Był przyjacielem króla, który, jak wiadomo, wielce czczył pamięć swego ojca, Henryka IV. Ojciec pana de Treville tak wiernie służył królowi w wojnach przeciw Lidze, że nie mając gotowych pieniędzy (zawsze ich brakło Bearneńczykowi płacącemu długi jedyną monetą, jakiej nigdy nie potrzebował pożyczać - dowcipem), nie mając więc, jak powiedzieliśmy, gotowych pieniędzy, obdarzył Treville'a po odzyskaniu Paryża herbem, wyobrażającym złotego lwa w szkarłatnym polu z dewizą: fidelis et fortis. Był to nie byle jaki zaszczyt, ale nie przysparzał bogactwa. Toteż gdy znakomity towarzysz wielkiego Henryka umarł, zostawił panu synowi w spadku jedynie szpadę i dewizę. Dzięki tym dwóm darom i nieskazitelnemu nazwisku pan de Treville dostał się na dwór młodego władcy, gdzie przysłużył się tak dobrze szpadą i tak był wierny dewizie, iż Ludwik XIII, jedna z najlepszych szpad

królestwa, miał zwyczaj mawiać, że gdyby któremuś z jego przyjaciół przyszło stawać na ubitej ziemi, radziłby mu za sekundanta siebie lub Treville'a, a może nawet Treville'a w pierwszym rzędzie.

Toteż Ludwik XIII był prawdziwie przywiązany do Treville'a, przywiązany na modłę królów, egoistycznie, trzeba to przyznać, ale zawsze przywiązany.

W owych nieszczęsnych czasach lubiano otaczać się ludźmi pokroju Treville'a.

Wielu mogłoby zasłużyć sobie na dewizę „dzielny”, który to przymiotnik stanowił drugi człon wspomnianej dewizy; nieliczni tylko mogli sobie rościć prawa do epitetu „wierny”, stanowiącego pierwszy jej człon. Treville należał do tych ostatnich; była to jedna z rzadkich natur o inteligencji posłusznej jak u psa, ślepej odwadze, bystrym oku, szybkiej ręce; wzrokiem obdarzony był tylko po

to, by widzieć, z kogo król jest niezadowolony, a ręką, by uderzyć tego, kto się królowi nie spodobał, czy to był Besme, Maurevers, Poltrot de Merę czy Vitry.

Zresztą Treville'owi brakowało jak dotąd jedynie okazji; ale czekał tylko na nią i obiecywał sobie, że chwyci ją za kark, jeśli kiedykolwiek pojawi się w zasięgu jego działania. Toteż Ludwik XIII mianował Treville'a kapitanem muszkietarów, którzy dzięki swemu oddaniu lub raczej fanatyzmowi byli dla tego króla tym samym, czym straż przyboczna dla Henryka III, a gwardia szkocka dla Ludwika XI.

Kardynał ze swej strony nie chciał królowi dać się wyprzedzić. Kiedy ujrzał niezrównanych chwatów, jakimi Ludwik XIII się otaczał, ów drugi lub raczej pierwszy król Francji zapragnął mieć gwardię dla siebie. Jakoż miał muszkietarów, podobnie jak Ludwik XIII, i obie te rywalizujące ze sobą potęgi ściągały do swej służby ludzi znamienitych w robieniu bronią ze wszystkich prowincji francuskich, a nawet z państw obcych. Richelieu i Ludwik XIII spierali się często przy wieczornej partii szachów o zasługi swoich zabijaków, chwając ich postawę i męstwo; i wypowiadając się głośno przeciw pojedyńkom i bijatykom, po cichu sami zagrzewali do nich i odczuwali prawdziwy żal lub niepohamowaną radość, dowiedziawszy się o klęsce lub zwycięstwie swoich ludzi. Tak przynajmniej powiadają pamiętniki człowieka, który nie raz jeden uczestniczył w tych zwycięstwach, a rzadko miał okazję zaznać klęsk.

Treville znał tę słabostkę monarchy i jej właśnie zawdzięczał stałe łaski Ludwika XIII, który nie odznaczał się, jak powiadają, zbyt wielką wiernością w przyjaźni. Z miną wielce przebiegłą kazał paradować muszkietarom przed kardynałem Armandem Duplessis, aż siwe wąsy Jego Eminencji jeżyły się ze złości.

Treville wybornie rozumiał istotę wojen w owej epoce, kiedy to albo żyło się na koszt wroga, albo na koszt ziomków; jego żołnierze tworzyli legion istnych diabłów i nie znali posłuchu przed nikim, prócz niego samego.

Uszargani, podpici, pokiereszowani muszkietarowie królewscy, a raczej muszkietarowie pana de Treville, zapełniali szynki, tłoczyli się w miejscach przechadzek i zabaw publicznych krzycząc głośno, podkręcając wąsa, pobrzękując szpadą, potracając z lubością gwardzistów pana kardynała, jeśli się na nich natknęli, i wśród żartów dobywali szpady pośrodku ulicy; często padali trupem, ale mogli być pewni, że zostaną opłakani i pomszczeni; często zabijali sami, wiedząc, że nie zgniją w więzieniu, ponieważ pan de Treville stamtąd ich wydobędzie. Toteż pan de Treville był wynoszony pod niebiosa i uwielbiany przez tych ludzi, którzy choć zuchwali ponad miarę, drżeli przed nim jak żaki przed bakałarzem, posłuszni każdemu jego słowu i gotowi śmiercią zmazać najdrobniejszy nawet zarzut.

Pan de Treville umiał posługiwać się tą potężną dźwignią przede wszystkim dla króla i jego przyjaciół, a potem dla siebie i własnych przyjaciół. Zresztą w żadnym z pamiętników owej epoki, chociaż pozostawiła ich tyle, nie można natrafić na najmniejszy zarzut skierowany przeciw temu godnemu szlachcicowi nawet przez jego wrogów, a miał tyłuż wrogów między ludźmi pióra co między noszącymi szpadę; nic jednak nie wskazuje na to, powiadamy, żeby ten zacny szlachcic kazał

sobie płacić za czyny swych zabijaków. Posiadając rzadki geniusz intrygi, który czynił go równym najtęższemu intrygantom pozostał uczciwym człowiekiem. Co więcej, choć robienie bronią zniekształca postać, choć wyczerpują uciążliwe i męczące ćwiczenia, był jednym z najznamienitszych galantów epoki, mężczyzną wykwintnym, niezrównanym dowcipnisiem; mówiono o sukcesach miłosnych Treville'a, jak dwadzieścia lat przedtem mówiono o sukcesach Bassompierre'a, a to nie byle co. Podziwiano tedy, kochano i bano się kapitana muszkietarów, co jest szczytem powodzenia ludzkiego.

Ludwik XIV gasił wszystkie małe gwiazdy dworu swym potężnym blaskiem; jego ojciec, słońce pluribus impar, pozwalał błyszczeć każdemu ze swych ulubieńców, nie odbierał splendoru żadnemu z dworzan. Poza asystowaniem przy toalecie króla i kardynała, liczone wówczas w Paryżu dwieście innych porannych toalet, przy których warto było być obecnym, a wśród nich poranek u pana de Treville był szacowany bardzo wysoko.

Dziedziniec jego pałacu położonego przy ulicy Vieux-Colombier przypominał obóz, i to od szóstej rano w lecie, a od ósmej w zimie. Pięćdziesięciu do sześćdziesięciu muszkietarów, którzy co pewien czas się zmieniali, aby dziedziniec nigdy nie świecił pustkami, przechadzało się tam i sam, zbrojnych i gotowych na wszystko. Po wielkich schodach, zajmujących tyle miejsca, że dziś wystarczyłoby go na zbudowanie całego domu, wstępowali i schodzili petenci z Paryża ubiegający się o jakiś fawor, szlachta z prowincji pragnąca zaciągnąć się do szeregów i służba w liberjach najróżniejszych barw, która przynosiła panu de Treville pisma od swych panów. W przedpokoju, na długich ławach ustawionych pod ścianami, czekali szczęśliwi wybrańcy, to znaczy ci, których zawezwano. Od rana do wieczora było tu gwarno, gdy tymczasem pan de Treville w gabinecie przylegającym do przedpokoju przyjmował wizyty, wysłuchiwał skarg, wydawał rozkazy, gdy zaś chciał odbyć przegląd ludzi i broni, trzeba mu było tylko stanąć w oknie, podobnie jak królowi, który w takich razach

wychodził na balkon Luwru.

W dniu kiedy d'Artagnan się zjawił, liczba zebranych była niemała, zwłaszcza dla prowincjusza. Co prawda ten prowincjusz był Gaskończykiem, a w owej epoce ziomkowie d'Artagnana mieli opinię ludzi niełatwo dających się onieśmielić. Przekroczywszy jednak potężną bramę nabijaną długimi gwoździami o kwadratowych łebkach, wpadało się w sam środek wojaków, którzy mijali się na dziedzińcu, nawoływali, kłócili i zabawiali. Aby utorować sobie drogę poprzez te wiry, trzeba było być oficerem, wielkim panem lub piękną kobietą.

Nasz młodzieniec posuwał się środkiem tej ciżby z bijącym sercem, przyciskając długi rapier do chudych nóg, z ręką przy rondzie kapelusza i z owym zakłopotanym uśmiechem parafianina, który nadrabia miną. Gdy tylko wyminął jakąś grupę, oddychał swobodniej; zdawał sobie sprawę, że oglądano się za nim; i choć był o sobie dobrego mniemania, po raz pierwszy w życiu poczuł się śmieszny.

Na schodach było gorzej jeszcze: na pierwszych stopniach stało czterech muszkieterów, którzy zabawiali się w osobliwy sposób, podczas gdy ich towarzysze, w liczbie dziesięciu czy dwunastu, czekali na podeście, by z kolei wziąć udział w zabawie.

Jeden z czwórki, stojący na wyższym stopniu z obnażoną szpadą w ręce, nie dopuszczał lub przynajmniej starał się nie dopuścić trzech innych do siebie.

Tamci trzej fechtowali się z nim nader zręcznie. D'Artagnan sądził zrazu, że mają floretty ćwiczebne, zaopatrzone w gałki, ale widząc zadraśnięcia stwierdził wkrótce, że broń jest ostra i sposobna do walki; przy każdym ciosie nie tylko aktorzy sceny, ale i widzowie śmiali się jak szaleni. Muszkieter, zajmujący w tej chwili wyższy stopień, znakomicie dawał sobie radę z przeciwnikami. Otoczono ich

kołem; warunki zabawy wymagały, by ten, kogo dosięgnął cios, ustępował miejsca temu, co go zadrasnął. W ciągu pięciu minut ów muszkieter ugodził jednego z przeciwników w przegub, drugiego w brodę, trzeciego w ucho, sam nie doznając najmniejszego szwanku; ta zręczność, zgodnie z przyjętymi regułami, dawała mu prawo do trzech nowych starć.

Choć nasz młody podróżny nie tyle nie mógł, ile nie chciał niczemu się dziwić, był zdumiony tą zabawą; widział w swej prowincji, w owej Gaskonii, gdzie tak łatwo zapalają się głowy, rozmaite pojedynki, ale brawura tych czterech graczy wydała mu się najniezwyklejsza ze wszystkiego, o czym słyszał kiedykolwiek, nawet w swej ojczyźnie. Zdało mu się, że przeniesiono go do owego bajecznego

kraju olbrzymów, co przejmowali Guliwera tak wielkim strachem; a przecież nie był jeszcze u kresu; pozostawał podest i przedpokój.

Na podeście nikt się już nie bił, opowiadano sobie anegdoty o kobietach, a w przedpokoju historyjki dworskie. Na podeście d'Artagnan oblał się pąsem, w przedpokoju zadrzał. Choć nie zbywało mu na wyobraźni i w Gaskonii bywał niebezpieczny dla młodzieńskich pokojowych, a niekiedy dla ich równie młodych pań, nawet w chwilach uniesienia nie marzył ani o połowie tych miłosnych cudów, ani o ćwierci kawalerskich czynów, którym blasku dodawały jeszcze powszechnie znane nazwiska i intymne szczegóły. Ale jeśli jego obyczajność doznała zgorszenia na podeście, szacunek do kardynała został pogwałcony w przedpokoju. Tu, ku swemu wielkiemu zdumieniu, d'Artagnan usłyszał, jak głośno krytykuje się politykę, przed którą drżała Europa, i życie prywatne kardynała, za co tylu wielkich i potężnych panów poniosło kary; ten wielki mąż, szanowany przez pana d'Artagnana ojca, służył za pośmiewisko muszkieterom pana de Treville, którzy kpili z jego pałakowatych nóg i zgarbionych pleców; jedni śpiewali piosenki o pani d'Aiguillon, jego kochance, i pani de Combalet,

jego siostrzenicy, podczas gdy inni zrywali się przeciwko giermkom i gwardzistom księcia kardynała; wszystko to razem wydawało się d'Artagnanowi czymś zgoła niemożliwym w swej potworności.

Jednakże gdy imię króla pojawiło się niespodziewanie wśród kpiniek z kardynała, zdawało się, że knebel zatyka te wszystkie drwiące usta; rozglądano się z wahaniem wokoło; rzekłbyś, że zebrani lękają się niedyskrecji ściany dzielącej przedpokój od gabinetu pana de Treville. Ale wkrótce jakaś aluzja sprowadzała znów rozmowę na Jego Eminencję, śmiechy na nowo rozlegały się w najlepsze, nie zostawiano na nim suchej nitki.

„Nie ulega wątpliwości, że ci ludzie zostaną wtrąceni do Bastylii i powieszani - myślał d'Artagnan z przerażeniem - i ja na pewno wraz z nimi, ponieważ słucham, słyszałem i zostanę poczytany za ich współnika. Co powiedziałby pan ojciec, który tak mi zalecał szacunek dla kardynała, gdyby wiedział, że znajduję się w towarzystwie tych pogan?”

Jak łatwo więc zrozumieć, d'Artagnan nie ośmielił się wziąć udziału w rozmowie. Patrzył tylko szeroko otwartymi oczami, nastawiał uszu, wyęczał wszystkie zmysły, by nic nie uszło jego uwagi; i mimo zaleceń ojcowskich czuł, że ponoszą go własne upodobania i instynkt, każąc mu pochwalać raczej niż ganić to wszystko, czego był świadkiem.

Ponieważ jednak był całkiem obcy w tłumie dworzan pana de Treville i widziano go tu po raz pierwszy, zapytano, czego sobie życzy. W odpowiedzi d'Artagnan wymienił skromnie swe nazwisko, podkreślił, że jest ziomkiem pana de Treville; pokojowcowi, który zwrócił się doń z pytaniem, oświadczył, że chciałby prosić pana de Treville o posłuchanie. Prośba została przyjęta w sposób nader protekcyjny, przy czym przyobiecano mu, że rzecz zostanie powtórzona w stosownym czasie i okolicznościach.

D'Artagnan ochłonął nieco z pierwszego zdumienia, miał więc czas przyjrzeć się strojom i fizjonomiom.

Pośrodku najbardziej ożywionej grupy stał wysoki muszkieter o dumnej twarzy, odziany w sposób tak osobliwy, że zwracał powszechną uwagę. W tej chwili nie miał na sobie mundurowej opończy, której noszenie nie było zresztą regułą w owych czasach niezbyt wielkiej wolności, ale znacznie większej

niezależności, tylko obcisły kaftan błękitnej barwy, wyblakły nieco i zniszczony, a na nim wspaniały pendent, cały zahartowany złotem, połyskujący niczym łuski na wodzie w słoneczny dzień. Długi płaszcz ze szkarłatnego aksamitu spadał z wdziękiem z jego ramion, odsłaniając jedynie z przodu wspaniały pendent i zawieszony na nim ogromny rapier.

Ów muszkieter powracał właśnie ze służby; skarżył się, że jest zakatarzony, i kaszlał od czasu do czasu w sposób bardzo przesadny. Dlatego to okrył się płaszczem, jak oświadczył. Gdy mówił, dumnie uniósłszy głowę i podkreślając niedbale wąsa, wszyscy podziwiali z zachwytem haftowany pendent, a d'Artagnan najwięcej ze wszystkich.

- No cóż - mówił muszkieter - teraz będzie się takie nosić; nie ma to wielkiego sensu, wiem o tym

dobrze, ale taka jest moda. Zresztą trzeba na coś wydać pieniądze ze schedy.

- Hola, Portosie! - zawołał jeden z obecnych - nie próbuj nam wmówić, że ten pendent zawdzięczasz rodzicielskiej hojności, dostałeś go od zawołowanej damy, z którą cię widziałem zeszłej niedzieli koło bramy Saint-Honore.

- Nie, na honor, słowo szlacheckie, że kupiłem za własne pieniądze - odparł ten, którego nazwano Portosem.

- Tak jak ja kupiłem tę nową sakiewkę za to, co moja kochanka włożyła do starej - rzekł drugi.

- Ależ to szczerą prawdą, a na dowód powiem, że zapłaciłem zań dwanaście pistoli.

Podziw wzrósł dwukrotnie, choć nadal trwały wątpliwości.

- Czy nie tak, Aramisie? - rzekł Portos zwracając się do innego muszkietera. Ów muszkieter był zupełnym przeciwieństwem tego, który pytał i nazywał go Aramisem. Był to młodzieniec liczący dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata zaledwie, o twarzy naiwnej i słodkiej, oku czarnym i łagodnym, policzkach różowych i aksamitnych jak brzoskwinia jesienią, a jego cienki wąsik kreślił na

górną wardze linię doskonale prostą; zdawało się, że niechętnie opuszcza ręce, w obawie, że żyły na nich mogą nabrznieć, i od czasu do czasu szczypał się w uszy, by zachować ich jasnoróżową, delikatną barwę. Zwykł być mówić mało i powoli, rozdawał wiele ukłonów, śmiał się bezgłośnie, odsłaniając piękne zęby, o które dbał zapewne tak samo, jak i o resztę swej osoby. Na pytanie przyjaciela odpowiedział potakującym skinieniem głowy.

Ta zgoda utwierdziła jednakże wątpliwości na temat pendentu; podziwiano go nadal, ale w milczeniu i na skutek nagłego zwrotu myśli rozmowa przeszła na inny temat.

- Słyszeliście, co opowiada giermek pana de Chalais? - zapytał jakiś muszkieter zwracając się do wszystkich obecnych.

- A cóż on opowiada? - rzekł Portos zarożumiałym tonem.

- Że spotkał w Brukseli Rocheforta, tego złego ducha kardynała, przebranego za kapucyna; dzięki temu przebraniu przeklęty Rochefort mógł spłatać tęgiego figla panu de Laigues, który nie należy do najmądrzejszych.

- To prawdziwy głupiec - rzekł Portos - ale czy wiadomość jest pewna?

- Wiem o tym od Aramisa - odparł muszkieter.

- Rzeczywiście?

- Wiesz przecież, Portosie - rzekł Aramis - powiedziałem ci wczoraj, nie mówmy o tym więcej.

- Nie mówmy o tym więcej, powiadasz - podjął Portos. - Nie mówmy o tym! Do licha, szybko to rozstrzygnąłeś. Jakże to! Kardynał każe szpiegować szlachcica, każe skraść jego korespondencję zdrajcy, łotrowi, szubienicznikowi; przy pomocy tego szpiega i dzięki tej korespondencji każe ściąć głowę panu de Chalais pod głupim pretekstem, że chciał on zabić króla i ożenić królewskiego brata z królową! Nikt nie wiedział nic o tej zagadce, powiedziałeś nam to wczoraj ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich i kiedy jesteśmy jeszcze oszołomieni tą nowiną, oświadczasz nam dzisiaj: Nie mówmy o tym więcej!

- Mówmy więc o tym, jeśli tego pragniesz - odparł Aramis cierpliwie.

- Gdybym był giermkim biednego Chalais, ów Rochefort spędziłby ze mną nie najmiłą chwilę.

- Sam zaś spędziłbyś nie najmiłszy kwadransik z Czerwonym Księżciem - podjął Aramis.

- Czerwony Księżę! Czerwony Księżę! Brawo, brawo! - zawołał Portos klaszcząc w ręce i kiwając z uznaniem głową. - Czerwony Księżę, to wyborne. Możesz być pewien, mój drogi, że puszcze to słówko w obieg. O, ten Aramis ma dowcip! Co za nieszczęście, że nie mogłeś pójść za swym powołaniem, przyjacielu, jakże rozkoszny byłby z ciebie księżulo!

- Cóż, to tylko chwilowe opóźnienie - podjął Aramis - będę nim kiedyś. Wiesz dobrze, Portosie, że studiuje nadal teologię.

- Zrobi, jak powiada - odparł Portos - wcześniej czy później.

- Wcześniej-rzekł Aramis.

- Jednego tylko czeka, zanim zdecyduje się ostatecznie na włożenie sutanny, wiszącej na kołku pod jego mundurem - powiedział któryś muszkieter.

- Czegóż to czeka? - zapytał inny.

- Czekaj, aż królowa da dziedzica francuskiej koronie.

- Nie żartujmy na ten temat, panowie - rzekł Portos - dzięki Bogu, królowa jest jeszcze w wieku, kiedy się to stać może.

- Podobno pan Buckingham jest we Francji - podjął Aramis ze szczególnym uśmiechem, który nadawał temu tak prostemu na pozór zdaniu sens dość gorszący.

- Aramisie, mój przyjacielu, tym razem źle mówisz - przerwał Portos - twoje upodobanie do

dowcipów ponosi cię zawsze zbyt daleko; gdyby pan de Treville cię usłyszał, nie usłoby ci to na sucho.

- Chcesz mi dawać nauki, Portosie! - zawołał Aramis i w jego łagodnym oku zaśniła błyskawica.

- Mój drogi, bądź muszkietierem lub księdzem. Bądź jednym lub drugim, ale nie jednym i drugim - podjął Portos. - Posłuchaj, Atos ci to już kiedyś powiedział: chcesz jeść z dwóch źłobów. Ach, nie unos się, proszę, to byłoby bezcelowe, wiesz dobrze, jaka jest umowa między tobą, Atosem i mną. Bywasz u pani d'Aiguillon i zalecasz się do niej; bywasz u pani de Bois-Tracy, krewniaczki pani de Chevreuse, i jak powiadają, cieszysz się faworami tej damy. Mój Boże, nie opowiadaj nam o swym szczęściu, nikt nie pyta o twe tajemnice, twoja dyskrecja jest znana. Ale skoro posiadasz tę cnotę, zrób z niej, u kaduka, użytek, jeśli idzie o Jej Królewską Mość. Niechaj każdy mówi, co mu się żywnie podoba, o królu i kardynale; ale królowa jest nietykalna i jeśli się mówi o niej, trzeba mówić dobrze.

- Portosie, jesteś zarozumiały jak Narcyz, uprzedzam cię - odparł Aramis - wiesz dobrze, że nienawidzę morałów, chyba że wygłasza je Atos. Jeśli idzie o ciebie, mój drogi, masz zbyt wspaniały pendent, byś mógł być mocny w tej materii. Będę księdzem, jeśli mi się spodoba, na razie jestem muszkietierem, jako muszkietier mówię to, na co mam ochotę, a w tej chwili mam ochotę ci powiedzieć, że mnie drażnisz.

- Aramisie!

- Portosie!

- Panowie! Panowie! - zawołano wokół.

- Pan de Treville prosi pana d'Artagnana - przerwał pokojowiec otwierając drzwi gabinetu.

Na to wezwanie, podczas którego drzwi gabinetu były otwarte, wszyscy zamilkli; wśród ogólnej ciszy młody Gaskończyk przeszedł przez przedpokój i znalazł się w gabinecie kapitana muszkietierów, winszując sobie z całego serca, że tak w porę uniknął zakończenia tej dziwnej sprzeczki.

III.

POSŁUCHANIE

Pan de Treville był w tej chwili w bardzo złym humorze, jednak pozdrowił uprzejmie młodzieńca, który skłonił się aż do ziemi, i słuchał z uśmiechem słów powitalnych; pobrzmiwał w nich akcent beameński przypominający mu młodość i kraj rodzinny, dwa wspomnienia, przywodzące uśmiechną

twarz każdego, bez różnicy wieku. Ale natychmiast niemal podszedł do drzwi i dając d'Artagnanowi znak ruchem ręki, jak gdyby prosił młodzieńca, by pozwolił mu zakończyć sprawę z innymi, zanim zacznie z nim samym, zawołał trzykrotnie, podnosząc głos za każdym razem, tak że objął całą skalę, od tonu rozkazującego do gniewu:

- Atos, Portos, Aramis!

Dwaj muszkietierowie, z którymi zawarliśmy już znajomość i do których odnosiło się to wezwanie, porzucili natychmiast kompanię i skierowali się do gabinetu; drzwi zamknęły się za nimi, gdy tylko przekroczyli próg. Ich sposób bycia, jakkolwiek zabarwiony odcieniem niepokoju, cechowała swoboda równie pełna godności jak posłuszeństwa, budząca zachwyt d'Artagnana, który uważał tych ludzi za półbogów, a ich dowódcę za Jowisza olimpijskiego, zbrojnego we wszystkie pioruny.

Kiedy dwaj muszkietierowie weszli, a drzwi zamknęły się za nimi, kiedy w przedpokoju znów zrobiło się gwarno, ponieważ wezwanie pana de Treville dało nowy temat do rozmów; kiedy pan de Treville przemierzył już w milczeniu i ze zmarszczonymi brwiami trzykroć lub czterokroć gabinet, za każdym razem przechodząc obok Portosa i Aramisa, wyprężonych i niemych jak na paradzie, przystanął nagle przed nimi i zawołał mierząc ich od stóp do głów gniewnym spojrzeniem:

- Czy wiecie, co mi król powiedział nie dalej jak wczoraj? Czy wiecie, panowie?

- Nie - odparli po chwili ciszy dwaj muszkietierowie - nie, panie kapitanie, nie wiemy.

- Ale mamy nadzieję, że zechce pan nam o tym powiedzieć - dodał Arami najgrzeczniejszym tonem i skłonił się z wdziękiem.

- Powiedział mi, że odtąd będzie werbował muszkieterów spośród gwardzistów pana kardynała!

- Spośród gwardzistów pana kardynała! A to dlaczego? - zapytał żywo Portos.

- Ponieważ przekonał się, że trzeba mu będzie dodać do swego cienkusza nieco zanego wina.

Dwaj muszkietierowie zaczerwienili się aż po białka oczu. D'Artagnan nie wiedział, co ze sobą począć, i rad byłby się znaleźć sto stóp pod ziemią.

- Tak, tak - ciągnął pan de Treville coraz goręcej - i Jego Królewska Mość ma rację, na honor, muszkietierowie mają żalowaną opinię na dworze. Wczoraj, grając z królem, pan kardynał opowiadał z miną pełną współczucia, która wcale mi się nie podobała, że onegdaj ci przekłęci muszkietierowie, te diabły wcielone (akcentował te słowa w sposób ironiczny, który jeszcze bardziej mi się nie podobał), ci dzielni wojacy (dodał patrząc na mnie tygrysim okiem) zasiedzieli się w jakimś szynku przy ulicy Ferou i ront jego gwardzistów (myślałem, że roześmieje mi się w nos) musiał ich arestować. Tam do licha! Powinniście coś wiedzieć o tym. Arestować muszkieterów! Byliście tam, tak, poznano was

i kardynał wymienił wasze nazwiska. Cóż, sam jestem winien, tak, tak, skoro to ja dobieram sobie ludzi. Posłuchaj no, Aramisie, u jakiego diabła prosiłeś mnie o żołnierską opończę, kiedy czułbyś się tak dobrze w sutannie? A ty, Portosie, masz zapewne ten piękny złoty pendent do wieszania słomianej szpady? A Atos! Nie widzę Atosa. Gdzie jest Atos?

- Panie kapitanie - odparł ze smutkiem Aramis - jest chory, bardzo chory.

- Chory, bardzo chory, powiadasz? Jakaż to choroba?

- Obawiamy się, czy to nie jest wietrzna ospa, panie kapitanie - odparł Portos chcąc także wtrącić słowo do rozmowy - co najprzykrzejsze jednak, choroba na pewno oszpeci mu twarz.

- Wietrzna ospa! Znowu jakaś chwalebna historia, Portosie! Wietrzna ospa w jego wieku? Cóż znowu, pewnie jest ranny, może zabity! Ach, gdybym wiedział! U kaduka, panowie muszkietierowie, nie życzę sobie, by moi ludzie uczęszczali do podejrzanych spelunek, doprowadzali do bójek na ulicach

i wymachiwali szpadami w zaułkach. Nie chcę wreszcie, by dawali powód do śmiechu gwardzistom pana kardynała, ludziom dzielnym, spokojnym, zręcznym, których nigdy się nie aresztuje i którzy zresztą nie daliby się aresztować, jestem tego pewien! Woleliby raczej umrzeć na miejscu, niż cofnąć się o krok. Uciekać, ustępować placu, zmykać to dobre dla muszkietierów królewskich!

Portos i Aramis trzęśli się z wściekłości. Chętnie zadusiliby pana de Treville, gdyby nie zdawali sobie sprawy, że to wielka miłość do nich każe mu tak przemawiać. Tupali nogami, zagryzali usta do krwi i ściskali ze wszystkich sił gardy szpad. Powiedzieliśmy już, że w pałacu słyszano, jak pan de Treville

wzywa Atosa, Portosa i Aramisa, i z jego tonu odgadnięto, że jest w wielkim gniewie. Dziesięć głów przypadło do portieri; ludzie bledli ze wściekłości, uszom przyklejonym do drzwi nie wymykało się ani jedno słowo rozmowy, gdy usta powtarzały obelgi kapitana wszystkim obecnym w przedpokoju. W jednej chwili w pałacu zawrzało, od drzwi gabinetu aż do bramy wejściowej.

- Ach, muszkietierowie królewscy pozwalają się aresztować gwardzistom pana kardynała! - ciągnął pan de Treville, równie wściekły w głębi serca, jak jego żołnierze, choć ważył każde słowo i zatapiał je niczym sztylet w piersi słuchaczy. - Ach, sześciu gwardzistów Jego Eminencji aresztuje sześciu muszkietierów Jego Królewskiej Mości! Do kata! Powziąłem decyzję. Natychmiast idę do Luwru, podaję się do dymisji jako kapitan muszkietierów królewskich i proszę o godność porucznika w gwardii pana kardynała. Jeśli mi odmówi, u kata, zostanę księdzem.

Gdy kapitan wyrzekł te słowa, w przedpokoju nastąpił wybuch. Zewsząd padały jedynie przekleństwa i złorzeczenia. „U pioruna! Do kroćset diabłów! Niech to zaraza!” - powtarzane wielokrotnie krzyżowały się w powietrzu.

D'Artagnan szukał zasłony, za którą mógłby się ukryć, i czuł nieodpartą ochotę, by wleźć pod stół.

- Dobrze więc, kapitanie - odezwał się Portos nie panując nad sobą - w rzeczy samej było nas sześciu przeciwko sześciu, ale zostaliśmy wzięci podstępem i zanim mieliśmy czas wyciągnąć szpady, dwaj nasi ludzie padli trupem, a Atos ciężko ranny, też był blisko śmierci. Znasz, kapitanie, Atosa; dwakroć

próbował się podnieść i dwakroć upadał. Tymczasem my bynajmniej nie wołaliśmy pardonu! Zawlekli nas siłą. Uciekliśmy w drodze. Atosa uznano za martwego i zostawiono, w spokoju na polu walki, mniemając, że nie warto go zabierać. Ot i cała historia. Tam u licha, panie kapitanie, nie wygrywa się wszystkich bitew. Wielki Pompejusz przegrał bitwę pod Farsalos, a król Franciszek I, który - jak powiadają - nie ustępował mu w niczym, przegrał bitwę pod Pawią.

- I mam zaszczyt pana zapewnić, że zabiłem jednego z gwardzistów jego własną szpadą - rzekł Aramis - ponieważ moja pękła przy pierwszym pchnięciu. Zabiłem lub zasztyletowałem, jak wolisz, kapitanie.

- Nie wiedziałem o tym - podjął pan de Treville tonem nieco łagodniejszym. - Widzę, że pan kardynał przesadził.

- Ale zechciej pan okazać nam łaskę - ciągnął Aramis, który widząc, że kapitan łagodnieje, ośmielił się zwrócić z prośbą - i nie mów nic o tym, że Atos jest ranny! Byłby niepokieszony, gdyby ta wieść dotarła do króla, a ponieważ rana jest bardzo ciężka, szpada przebiwszy bowiem ramię weszła w pierś, można by się obawiać...

W tej samej chwili zasłona się uniosła i piękna, szlachetna, ale straszliwie blada twarz ukazała się we drzwiach.

- Atos! - zawołali dwaj muszkietierowie.

- Atos! - powtórzył pan de Treville.

- Wzywałeś mnie, panie kapitanie - rzekł Atos do pana de Treville słabym, ale bardzo spokojnym głosem. - Dowiedziałem się od towarzyszy, że mnie wzywałeś, i pośpieszyłem stawić się na twe rozkazy; jestem, panie, czego chcesz ode mnie?

Mówiąc te słowa muszkietier w przepisowym stroju, ściśnięty pasem, wszedł pewnym krokiem do gabinetu. Pan de Trsville wzruszony do głębi tym dowodem odwagi, szybko podszedł do niego.

- Mówiłem właśnie tym panom - powiedział - że zabraniam moim muszkietierom wystawiać się na niebezpieczeństwo bez potrzeby. Dzielni żołnierze są drodzy królowi, a król wie, że muszkietierowie są najodważniejszymi ludźmi pod słońcem. Daj mi rękę, Atosie.

I nie czekając, aż nowo przybyły odpowie na ten dowód sympatii, pan de Treville chwycił jego prawą rękę i uściskał ją ze wszystkich sił, nie zauważywszy, że Atos, jakkolwiek wybornie panował nad sobą, skurczył się z bólu i choć wydawało się to zgoła niemożliwe, zbladł jeszcze bardziej.

Drzwi pozostały na wpół otwarte, tak wielkie wrażenie wywołało przybycie Atosa, o którego ranie, mimo tajemnicy, wiedzieli wszyscy. Ostatnie słowa kapitana zostały przyjęte z głośnym zadowoleniem i kilka głów uniesionych zapałem ukazało się w przecięciu zasłony. Pan de Treville niewątpliwie zganiłby ostro to naruszenie etykiety, ale poczuł nagle, jak ręka Atosa zaciska się

w jego rękę; rzuciwszy na niego okiem zobaczył, że muszkieter mdleje. W tym samym momencie Atos, który wyteżył wszystkie siły, by zapanować nad bólem, zwyciężony w końcu przez cierpienie, upadł na podłogę jak martwy.

- Chirurga! - zawołał pan de Treville. - Mojego, królewskiego, najlepszego! Chirurga, do stu tysięcy diabłów, bo mój dzielny Atos umrze!

Na okrzyk pana de Treville wszyscy pośpieszyli do jego gabinetu i zanim kapitan pomyślał o tym, by zamknąć drzwi, zgromadzili się wokół rannego. Ale cały ten pośpiech nie przydałby się zgoła na nic, gdyby lekarz nie znajdował się właśnie w pałacu; rozepchnął ciżbę, zbliżył się do Atosa wciąż leżącego bez czucia, a ponieważ ten hałas i ruch bardzo mu przeszkadzały, zażądał, by przede wszystkim przeniesiono muszkietera do sąsiedniego pokoju. Pan de Treville natychmiast otworzył drzwi i ruszył pierwszy, wskazując drogę Porostowi i Aramisowi, którzy nieśli towarzysza. Za grupą tą postępował chirurg; drzwi zamknęły się za nim.

Gabinet pana de Treville, gdzie zachowywano się zazwyczaj z największym respektem, zamienił się natychmiast w drugi przedpokój. Ludzie pana de Treville rozprawiali, perorowali, krzyczeli przeklinając, złorzecząc i śląc kardynała i jego gwardię do wszystkich diabłów.

W chwilę potem wrócili Portos i Aramis; chirurg i pan de Treville pozostali przy rannym.

Wreszcie powrócił pan de Treville. Ranny odzyskał przytomność; chirurg oświadczył, że stan muszkietera nie powinien niepokoić jego przyjaciół, osłabienie zostało bowiem spowodowane jedynie przez utratę krwi.

Wreszcie pan de Treville dał znać ręką i wszyscy opuścili gabinet, prócz d'Artagnana, który bynajmniej nie zapomniał, że wyznaczono mu posłuchanie, i z uporem Gaskończyka stał na swoim miejscu.

Kiedy wszyscy wyszli i drzwi zamknięto, pan de Trsville odwrócił się i stanął twarzą w twarz z młodym człowiekiem. To, co zaszło przed chwilą, przerwało tok jego myśli, zapytał więc, czego sobie życzy uparty petent. D'Artagnan wymienił swe nazwisko i pan de Treville, ogarniając pamięcią teraźniejszość i przeszłość, zorientował się w sytuacji.

- Przepraszam - powiedział uśmiechając się do niego - przepraszam, mój drogi ziomku, ale całkiem o tobie zapomniałem. Cóż, kapitan jest ojcem rodziny obciążonym większą odpowiedzialnością niż zwykły ojciec. Żołnierze to wielkie dzieci, a ponieważ bardzo zależy mi na tym, by rozkazy króla, zwłaszcza zaś rozkazy kardynała były spełniane...

D'Artagnan nie potrafił ukryć uśmiechu. Z tego uśmiechu pan de Treville wywnioskował, że nie ma bynajmniej do czynienia z głupcem, i zmierzając wprost do rzeczy odmienił temat rozmowy.

- Byłem bardzo przywiązany do twego pana ojca - powiedział. - Co mogę uczynić dla jego syna? Pośpiesz się, mój czas nie należy do mnie.

- Panie - rzekł d'Artagnan - wyjechałem z Tarbes mając zamiar prosić cię w imię tej przyjaźni, którą zachowałeś w pamięci, o opończę muszkietera, ale po tym, co zobaczyłem tu w ciągu dwóch godzin, rozumiem, że byłby to wielki fawor, i obawiam się, że nań nie zasługuję.

- Jest to w istocie wielki fawor, młodzieńcze - odparł pan de Treville – ale może zbyt mało się cenisz lub też tylko zbyt wielką okazujesz skromność. W każdym razie rzecz zależy od decyzji Jego Królewskiej Mości i muszę ci z przykrością powiedzieć, że nie można zostać muszkietерem, jeśli nie ma się na swoim rachunku udziału w kilku bitwach, kilku świetnych czynów i roku lub dwóch służby w regimencie mniej znamienitym od naszego.

D'Artagnan skłonił się nic nie odpowiadając. Jeszcze bardziej pragnął teraz zostać muszkietерem, odkąd wiedział, jak wielkie połączone są z tym trudności.

- Ale - ciągnął dalej pan de Treville ogarniając swego ziomka spojrzeniem tak przenikliwym, że zdało się, iż chce czytać w głębi jego serca - ale ze względu na twego ojca, a mojego dawnego towarzysza, jak rzekłem, chciałbym coś uczynić dla ciebie, młodzieńcze. Nasza młodzież z Bearn nie jest zazwyczaj bogata i wątpię, by się tam coś zmieniło od czasu mego wyjazdu. Nie zabrałeś zapewne ze sobą zbyt dużo pieniędzy przybywając do Paryża.

D'Artagnan wyprostował się z dumną miną, co miało znaczyć, że nie prosi o jałmużnę nikogo.

- Doskonale, młodzieńcze, doskonale - ciągnął Treville - znam te dumne miny, przybyłem do Paryża z czterema talarami w kieszeni, gotów bić się z każdym, kto powiedziałby mi, że nie stać mnie na kupienie Luwru.

D'Artagnan prostował się coraz bardziej; dzięki sprzedaży konia rozpoczął karierę mając o cztery talary więcej niż ongi pan de Treville.

- Powinieneś zatem zachować sumę, którą posiadasz, nawet gdyby była znaczna; ale musisz również wydoskonalić się w ćwiczeniach, które przystoją szlachcicowi. Napiszę dziś jeszcze list do dyrektora Akademii Królewskiej i od jutra zostaniesz tam przyjęty bez żadnej zapłaty. Nie odrzucaj

tej drobnej

uprzejmości. Nasi najlepiej urodzeni i najbogatsi panowie szlachta ubiegają się o to często bezskutecznie. Poznasz tam arkana jazdy konnej, fechtunku i tańca, zawrzesz stosowne znajomości i od czasu do czasu zjawisz się tu, by mi powiedzieć, jak ci się powodzi i czy mogę ci być w czymkolwiek pomocny.

Choć d'Artagnan całkiem jeszcze nie znał obyczajów dworskich, zrozumiał, że został bardzo chłodno przyjęty.

- Ach, panie - powiedział - widzę teraz, jak bardzo mi brak listu polecającego, który wręczył mi pan ojciec.

- W samej rzeczy - odparł pan de Treville - jestem zdumiony, że przedsięwziąłeś tak długą podróż nie mając ze sobą niezbędnego wiatyku i jedyne go sukursu, jaki pozostaje nam, ludziom z Bearn.

- Miałem go, panie, miałem list taki, jak trzeba, chwalić Boga – zawołał d'Artagnan - ale mi go podstępnie zabrano.

I opowiedział scenę z Meung, opisując nieznanego szlachcica z najdrobniejszymi szczegółami w sposób tak żywy i pełen prawdy, że oczarował pana de Treville.

- Dziwna rzecz - rzekł ten ostatni z namysłem - mówiłeś więc o mnie głośno?

- Tak, panie, popełniłem tę nieostrożność. Cóż, imię pańskie mogło mi być tarczą w podróży: oceń sam, czy często się nią osłaniałem.

Pochlebstwo było wówczas bardzo w modzie, a pan de Treville lubił bardzo kadzidło tak samo jak król czy kardynał. Nie mógł więc powstrzymać uśmiechu wyrażającego jawne zadowolenie, ale ten uśmiech znikł szybko i Treville powrócił do wypadku w Meung:

- Powiedz mi - ciągnął - czy ten szlachcic nie miał nieznacznej blizny na policzku?

- Tak, jak gdyby zadrasnęła go lekko kula.

- Tęga mina?

- Tak.

- Słuszny wzrost?

- Tak.

- Błada cera, ciemne włosy?

- Tak, tak dokładnie. Jakim sposobem znasz pan tego człowieka? Ach, jeśli go kiedyś znajdę, a znajdę go na pewno, przysięgam panu, choćby w piekle...

- Czekał na kobietę? - ciągnął Treville.

- Odjechał po chwili rozmowy.

- Nie wiesz, o czym rozmawiali?

- Wręczył jej szkatułkę, powiedział, że ta szkatułka zawiera instrukcje dla niej, i kazał otworzyć ją dopiero w Londynie.

- Czy ta kobieta nie była przypadkiem Angielką?

- Nazywał ją Milady.

- To on! - mruknął Treville. - To on! Myślałem, że jest jeszcze w Brukseli!

- Och, panie jeśli wiesz, kim jest ten człowiek - zawołał d'Artagnan - powiedz mi, jak się nazywa i gdzie go mam szukać, a nie będę cię o nic prosić, nawet o to, byś mnie przyjął do muszkieterów; przede wszystkim chcę się zemścić.

- Strzeż się tego człowieka, młodzieńcze - zawołał Treville - jeśli go zobaczysz na jednej stronie ulicy, przejdź na drugą; nie nacieraj na taką skałę; roztrzaska cię na kawałki.

- Nie szkodzi! - rzekł d'Artagnan. - Jeśli go kiedykolwiek znajdę...

- Na razie, jeśli mogę ci radzić - podjął Treville - nie szukaj go.

Nagle Treville urwał tknięty podejrzeniem. Czy ta wielka nienawiść, tak bardzo podkreślana przez młodego podróżnego, nienawiść do człowieka, który - rzecz mało prawdopodobna - zabrał mu list ojca, nie kryje w sobie jakiegoś podstępu? A może ten młodzieniec został nasłany przez Jego Eminencję? Może przybył, by zastawić jakąś pułapkę? Czy ten domniemany d'Artagnan nie jest

przypadkiem człowiekiem kardynała, którego kardynał chce wprowadzić do domu Treville'a, umieścić blisko jego osoby, by zdobył zaufanie kapitana, i zgubić go później, jak to praktykowano już tysiąc razy? Spojrzał na d'Artagnana jeszcze bardziej uważnie niż za pierwszym razem. Uspokoił go nieco wyraz tej twarzy pełnej sprytu i udanej pokory.

„Wiem dobrze, że to Gaskończyk - pomyślał - ale może być nim również dobrze dla kardynała, jak dla mnie. A więc wypróbujemy go”.

- Mój przyjacielu - rzekł powoli - jako że jesteś synem mego dawnego druha (historię o tym straconym liście uważam bowiem za prawdziwą), chcę, by znikł ów chłód, jaki dostrzegłeś w moich słowach na początku: aby ci to wynagrodzić, odsłonię ci sekrety naszej polityki. Król i kardynał są najlepszymi przyjaciółmi; pozory mogą zmylić jedynie głupców. Nie chcę, by mój ziomek, piękny kawaler, dzielny chłopiec, stworzony po to, by zrobić karierę, został wystrychnięty na dudka, uwierzywszy w te wszystkie zmyślenia, i wpadł niczym głupiec w sidła, jak tyłu innych. Bądź więc pewien, że jestem oddany tym dwóm wszechpotężnym panom i moje poczynania nigdy nie będą miały innych celów niż służba królowi i panu kardynałowi, jednemu z najświetniejszych geniuszy, jakich wydała Francja. A zatem, młodzieńcze, zastosuj się do tego i jeśli wyniosłeś z domu, nabyłeś od przyjaciół czy też instynktownie żywisz niechęć do kardynała, tak częstą wśród szlachty, żegnaj, rozstańmy się. Pomogę ci we wszelakich okolicznościach, ale nie przyjmę do domu. W każdym razie mam nadzieję, że moja szczerość natchnie cię przyjaźnią do mnie; jesteś bowiem jedynym młodym człowiekiem, z którym mówiłem w ten sposób.

Treville mówił sobie w duchu:

„ Jeśli kardynał nasłał na mnie tego młodego lisa, nie zapomniał mi powiedzieć, wiedząc, jak bardzo go nie cierpię, że najpewniej mnie zjedna wieszając psy na Jego Eminencji; jakoż mimo moich protestów sprytny młokos nie omieszka powiedzieć, że nie znosi kardynała”.

Stało się zupełnie inaczej, niż się Treville spodziewał; d'Artagnan odparł z największą prostotą:

- Panie, przybyłem do Paryża z podobnymi intencjami. Ojciec zalecił mi, bym nikomu nic nie puszczał płazem, prócz króla, kardynała i pana, których uważa za trzech pierwszych mężów we Francji.

Jak możemy zauważyć, d'Artagnan dodał imię pana de Treville do dwu innych; pomyślał jednak, że to nie zaszkodzi.

- Żywię więc największy podziw dla pana kardynała - ciągnął dalej - i najgłębszy szacunek dla jego czynów. Tym lepiej dla mnie, jeśli jak pan powiedział, mówisz do mnie szczerze - wówczas bowiem ocenisz zaszczytne dla mnie podobieństwo naszych gustów; ale jeśli nie ufałeś mi zbytnio, co jest

zresztą bardzo naturalne, wiem, że gubię się mówiąc prawdę; jednakże nie stracisz dla mnie szacunku, a na tym najbardziej mi zależy.

Pan de Treville był prawdziwie zaskoczony. Tak wielka przenikliwość, tak wielka szczerość wreszcie wzbudziła w nim podziw, ale nie rozproszyła całkowicie wątpliwości: im bardziej ten młodzieniec

przewyższał innych, tym bardziej niebezpieczna byłaby omyłka. Uścisnął jednak rękę d'Artagnana i powiedział:

- Jesteś zacnym chłopcem, ale w tej chwili nie mogę nic więcej zrobić dla ciebie prócz tego, co przyobiecałem przed chwilą. Mój pałac będzie zawsze dla ciebie stał otworem. Później, ponieważ będziesz mógł zwrócić się do mnie w każdej chwili, nie tracąc tym samym żadnej sposobności, osiągniesz prawdopodobnie to, czego pragniesz.

- To znaczy, panie - podjął d'Artagnan - że poczekaasz, bym na to zasłużył. Dobrze więc, możesz być spokojny - dodał z gaskońską poufałością - nie będziesz czekał długo.

I skłonił się, by opuścić gabinet, jak gdyby wszystko inne zależało odtąd tylko od niego samego.

- Ależ poczekaaj - rzekł pan de Treville zatrzymując go - przyrzekłem ci list do dyrektora Akademii. Czy jesteś zbyt dumny, by go przyjąć, mój młody panie szlachcicu?

- Nie, panie - rzekł d'Artagnan; - zaręczam ci, że z tym listem nie stanie się tak, jak z tamtym. Będę go dobrze pilnował i przysięgam, że trafi tam, gdzie należy: biada temu, kto próbowałby mi to pismo odebrać.

Pan de Treville uśmiechnął się na tę fanfaronadę; pozostawił młodego rodaka we wnęce okna, gdzie rozmawiali, usiadł przy stole i zaczął pisać przyobiecany list. Przez cały czas d'Artagnan, który nie miał nic lepszego do roboty, wybijał takt marsza na szybie, patrząc, jak muszkietierowie wychodzą jeden po drugim, i towarzyszył im spojrzeniem, aż znikli za zakrętem ulicy.

Pan de Treville zapieczętował list, wstał i zbliżył się do młodzieńca, by mu go wręczyć, ale w chwili gdy d'Artagnan wyciągnął po niego rękę, pan de Treville wielce się zdumiał widząc, jak jego protegowany podskoczył nagle, zaczerwienił się ze złości i wybiegł z gabinetu, wołając:

- Tam do kata, tym razem mi nie ujdzie!

- Kto taki? - zapytał pan de Trevelle.

- Mój złodziej! - odparł d'Artagnan. - Ach, zdrajca!

I znikł.

- Cóż za szaleniec! - mruknął pan de Treville. - Możliwe też, że się w ten sposób zręcznie wymknął, widząc, iż podstęp mu się nie udał.

IV.

RAMIĘ ATOSA, PENDENT PORTOSA I CHUSTKA ARAMISA

Rozwścieczony d'Artagnan przemknął przez przedpokój w trzech susach, rzucił się na schody, przeskakując po cztery stopnie naraz, z rozpędu wpadł z pochyloną głową na muszkietera wychodzącego od pana de Treville przez boczne drzwi i uderzył go czołem w ramię. Ów krzyknął, a

raczej zawył z bólu.

- Przepraszam - rzekł d'Artagnan usiłując biec dalej - przepraszam, ale śpieszę się bardzo.

Zaledwie jednak ruszył z miejsca, kiedy żelazna dłoń chwyciła go za szarfę i zatrzymała.

- Pan się śpieszy - zawołał muszkieter blady jak śmierć - pod tym pozorem potrącasz mnie, mówisz „Przepraszam” i sądzisz, że tego dość? Bynajmniej, młodzieńcze. Mniemasz może, że skoroś słyszał, jak pan de Treville przemawiał dziś do nas nieco ostro, wolno ci to, co i jemu? Mylisz się kolego; nie jesteś panem de Treville.

- Na honor - odparł d'Artagnan, który rozpoznał Atosa wracającego do domu po opatrunku zrobionym przez chirurga - na honor, nie uczyniłem tego umyślnie, i dlatego powiedziałem: Przepraszam. Wydaje mi się, że to dosyć. Powtarzam panu jednak, co tym razem jest zbyteczne, że śpieszę się, bardzo się śpieszę, kawalerskie słowo. Puść mnie więc, proszę, i pozwól mi odejść.

- Mój panie - rzekł Atos puszczając go - nie jesteś grzeczny. Widać, że przybywasz z daleka.

D'Artagnan przeskoczył już kilka stopni, ale słysząc uwagę Atosa zatrzymał się natychmiast.

- Do licha, mości panie - powiedział - choć przybywam z daleka, nie pan będziesz mnie uczył dwornego obejścia, uprzedzam cię.

- Być może - rzekł Atos.

- Ach, gdybym się nie śpieszył! - zawołał d'Artagnan - gdybym nie biegł za kimś...

- Mój pośpieszny panie, znajdziesz mnie nie goniąc za mną, zrozumiałeś?

- A gdzie to, jeśli łaska?

- Obok karmelitów bosych.

- O której godzinie?

- Koło południa.

- Koło południa, doskonale, stawię się.

- Postaraj się, żebym nie czekał, bo kwadrans po dwunastej obetnę ci uszy, gdy będziesz śpieszył na spotkanie.

- Dobrze! - krzyknął d'Artagnan - będę za dziesięć dwunasta.

I pobiegł, jak gdyby go gnali wszyscy diabli, w nadziei, że dopędzi jeszcze swego nieznajomego, który idąc spokojnym krokiem nie uszedł pewnie daleko.

Ale przy bramie stał Portos rozmawiając z żołnierzem z gwardii. Dzielila ich niewielka odległość, ale wystarczająca, by mógł się przemknąć jeden człowiek. D'Artagnan uznał tedy, że miejsca w sam raz wystarczy dla niego, i wpadł niczym strzała między tamtych dwóch; nie wziął jednak w rachubę wiatru. Wiatr bowiem wzdął długi płaszcz Portosa i d'Artagnan biegnąc wpadł pod ów płaszcz. Bez wątpienia Portos miał swoje powody, by nie zdejmować tej zasadniczej części stroju, ponieważ zamiast puścić połę, którą trzymał ręką, pociągnął ją ku sobie tak, że d'Artagnan owinał się w aksamit ruchem obrotowym, spowodowanym oporem niezłomnego Portosa.

D'Artagnan, słysząc przekleństwa muszkietera, chciał wyjść spod płaszcza, który zasłaniał mu oczy, i szukał drogi pośród fałdów. Obawiał się przede wszystkim, że uszkodzi wspaniały, znany nam już pendent, ale otworzywszy oczy stwierdził, że nos jego znajduje się pomiędzy barkami Portosa, a więc

właśnie na pendencie.

Niestety! Podobnie jak większość rzeczy tego świata, których wartość jest jedynie pozorna, pendent był złoty z przodu, a ze skóry bawolej z tyłu. Próżny Portos, nie mogąc mieć pendentu całego ze złota, miał złoty przynajmniej w połowie. Rozumiemy teraz przyczynę kataru i konieczność noszenia płaszcza.

- Do kata! - zawołał Portos czyniąc wysiłki, by uwolnić się od d'Artagnana, który łaskotał go w plecy. - Czyś pan oszalał, że się tak rzucasz na ludzi!

- Przepraszam - rzekł d'Artagnan wysuwając się spod ramienia olbrzyma - ale bardzo się śpieszę, pędzę za kimś...

- Czy przypadkiem nie zapominasz pan oczu, kiedy za kimś pędzisz? - zapytał Portos.

- Nie - odparł dotknięty d'Artagnan - nie, oczami właśnie widzę to, czego nie widzą inni.

Nie wiadomo, czy Portos zrozumiał, czy nie zrozumiał aluzji, ale poniósł go gniew:

- Mój panie - powiedział - uprzedzam cię, że możesz sobie zedrzeć skórę, jeśli będziesz się tak blisko ocierał o muszkieterów.

- Zedrzeć skórę, panie - rzekł d'Artagnan - to ostre słowo.

- Lecz bardzo stosowne w ustach człowieka, który zwykł patrzeć w twarz swym wrogom.

- Tam do licha! Jestem pewien, że nie odwracasz się do nich plecami.

I młody człowiek, zachwycony swym dowcipem, odszedł śmiejąc się na całe gardło.

Portos zapienił się z wściekłości i ruszył za d'Artagnanem.

- Nieco później, nieco później - zawołał tamten - kiedy zdejmiesz płaszcz.

- Zatem o pierwszej za Luksemburgiem.

- Doskonale, o pierwszej - odparł d'Artagnan skręcając za róg ulicy. Ale ani na tej ulicy, którą przebiegł, ani na tej, którą obejmował teraz spojrzeniem, nie ujrzał nikogo. Choć nieznajomy szedł powoli, zyskał przecie na czasie; być może wszedł do jakiegoś domu. D'Artagnan pytał o niego wszystkich przechodniów, skierował się w dół, do promu, i zawrócił ulicą De Setne i La Croix-Rouge, ale nic, ani śladu. Jednakże ten pościg nie był dla niego bez korzyści, ponieważ w miarę jak pot pokrywał mu czoło, serce chłodziło.

Zastanowił się tedy nad tym, co zaszło; zdarzeń było wiele i wszystkie niepomyślne: minęła za ledwie godzina jedenasta, a poranek przyniósł mu już niełaskę pana de Treville, który nie mógł sądzić, że d'Artagnan rozstał się z nim w dworny sposób. Poza tym miał w perspektywie dwa pojedynki z chwatami, z których każdy mógł zabić trzech d'Artagnanów, a byli to muszkietierowie, to znaczy ludzie, których tak czcił, że w sercu i myśli stawiał ich nad wszystkimi.

Sytuacja była smutna. Pewny, że zostanie zabity przez Atosa, młodzieniec, rzecz prosta, nie obawiał się zbytnio Portosa. Ponieważ jednak nadzieja najpóźniej ze wszystkich uczuć gaśnie w sercu człowieka, miał nadzieję, że uda mu się pozostać przy życiu, choć z dwiema straszliwymi ranami, wyniesionymi oczywiście z dwóch pojedynków. W tej to nadziei nie szczędził sobie wymówek na

przyszłość:

- Jakież ze mnie nieokrzesany głupiec! Ten dzielny i nieszczęśliwy Atos był ranny właśnie w to ramię, w które ugodziłem go łbem jak baran. Dziwi mnie tylko, że nie zabił mnie na miejscu; miał do tego prawo, musiałem mu zadać okropny ból. Z Portosem, och, doprawdy, rzecz jest bardziej zabawna.

I mimo woli młodzieniec się roześmiał rozglądając się jednak wokoło, czy ten śmiech samotny i nieuzasadniony, wedle mniemania patrzących z boku, nie obrazi jakiegoś przechodnia.

- Co do Portosa, rzecz jest bardziej zabawna; ale też ze mnie pożałowania godny roztrzepaniec. Widział kto kiedy rzucać się na ludzi bez uprzedzenia! I czy zagląda się im pod płaszcz, by zobaczyć to, czego tam nie ma. Wybaczyłby mi na pewno, wybaczyłby mi, gdybym nie zaczął doń mówić

o tym przeklętym pendencie, co prawda w półsłówkach; tak, piękne mi półsłówka, nie ma co. Ach,

utrapiony Gaskończyku, to doprawdy lokajskie dowcipy.

- A zatem, d'Artagnanie, mój przyjacielu - ciągnął już łagodniejszym tonem, na jaki wedle swego mniemania zasługiwał - jeśli wyjdiesz z tego cało, co jest wielce wątpliwe, na przyszłość trzeba ci być nader grzecznym. Niechaj cię podziwiają, podają za wzór. Być dwornym i grzecznym nie znaczy być tchórzem.

Spójrz raczej na Aramisa; Aramis to słodycz, wdzięk wcielony. I cóż, czy ktokolwiek odważy się powiedzieć, że Aramis jest tchórzem? Nie, oczywiście, i odtąd w każdym względzie biorę go sobie za wzór. Ale oto on.

Tak idąc i wygłaszając swój monolog znalazł się w odległości kilku kroków od pałacu Aiguillon i przed tym pałacem ujrzał Aramisa rozmawiającego wesoło z trzema szlachcicami z królewskiej gwardii. Ze swej strony Aramis zauważył d'Artagnana; ponieważ jednak nie zapomniał, iż w obecności tego młodzieńca właśnie pan de Treville tak uniósł się dziś rano, a świadek wymówek, jakich przyszło im wysłuchiwać, nie mógł mu być żadną miarą miły, udał, że go nie widzi. Tymczasem d'Artagnan, myśląc jedynie o swych dwornych i pojednawczych zamiarach, zbliżył się do czterech młodzieńców składając im piękny ukłon, któremu towarzyszył wdzięczny uśmiech. Aramis skinął lekko głową, ale się nie uśmiechnął. Wszyscy czterej zresztą przerwali od razu rozmowę.

D'Artagnan nie był na tyle głupi, by nie zauważyć, że jest tu zbyt cenny; ale że nie znał jeszcze dość dobrze światowych obyczajów, nie umiał wycofać się z fałszywej sytuacji, jaka powstaje niemal zawsze, kiedy człowiek znajdzie się w obcym towarzystwie i natrafi na rozmowę, w której nie może brać udziału.

Szukał więc sposobu, by wycofać się możliwie zręcznie, gdy zauważył, że Aramis upuścił chustkę i bez wątpienia przez nieuwagę nastąpił na nią nogą.

D'Artagnan osądził, że oto sposobna chwila, by zatrzeć popełnioną niezręczność; pochylił się z miną najbardziej uprzejmą, na jaką go było stać, wyciągnął chustkę spod nogi muszkietera, choć tamten opierał się temu najwyraźniej, za czym podając mu ją powiedział:

- Oto chustka, panie, której zapewne nie chciałbyś zgubić. Chustka była w samej rzeczy bogato haftowana i miała w jednym rogu koronę i herb. Aramis poczerwieniał gwałtownie i wyrwał raczej, niż wziął chustkę z ręki Gaskończyka.

- Ha, ha! - zawołał jeden z gwardzistów. - Czy nadal będziesz utrzymywał, dyskretny Aramisie, że nie jesteś w dobrych stosunkach z panią de Bois-Tracy, skoro ta urocza dama łaskawie użyła ci swych chustek?

Aramis rzucił d'Artagnanowi jedno z tych spojrzeń, które dają natrętowi do poznania, że zdobył sobie śmiertelnego wroga. Podjął jednak najśłodszy tonem:

- Mylicie się, panowie, to nie jest moja chustka i nie wiem, dlaczego temu panu przyszło do głowy wręczyć ją mnie właśnie, a nie jednemu z was. Na dowód, że to prawda, oto moja chustka.

Mówiąc te słowa wyciągnął z kieszeni własną chustkę, równie elegancką i z cienkiego batystu, choć batyst był drogi w owych czasach, ale bez haftów i herbu i ozdobioną jedynie inicjałem właściciela.

Tym razem d'Artagnan ani pisnął, zrozumiał bowiem swój błąd; jednakże przyjaciele Aramisa nie dali się przekonać, a jeden z nich zwracając się do młodego muszkietera rzekł z udaną powagą:

- Jeśli jest tak, jak powiadasz, muszę cię, mój drogi Aramisie, poprosić o tę chusteczkę, wiesz bowiem, że Bois-Tracy należy do moich przyjaciół i nie chciałbym, by ktokolwiek chełpił się przedmiotami, które należą do jego żony.

- Kiepsko mnie prosisz - odparł Aramis. - Choć całkowicie uznaję słuszność twojego żądania, jeśli idzie o jego treść, muszę odmówić ze względu na formę.

- Prawdę powiedziawszy - nieśmiało wtrącił d'Artagnan - nie widziałem, żeby chustka wypadła z kieszeni pana Aramisa, Postawił na niej nogę, oto wszystko, ja zaś pomyślałem, że skoro postawił nogę, chustka należy do niego.

- I pomyliłeś się, mój drogi panie - odparł chłodno Aramis, zgoła niewzruszony tym sprostowaniem.

Potem, zwracając się do gwardzisty, który wystąpił jako przyjaciel pana de Bois-Tracy, dodał:

- Zresztą, zastanowiłem się, mój zacny przyjacielu pana de Bois-Tracy, i doszedłem do wniosku, że jestem równie tkliwym jego przyjacielem, jak ty sam. Tak więc chustka równie dobrze mogła wypaść z twojej kieszeni, jak i z mojej.

- Nie, na honor! - zawołał gwardzista Jego Królewskiej Mości.

- Przysięgniesz na honor, ja dam kawalerskie słowo i wówczas będzie jasne, że jeden z nas dwóch kłamie. Posłuchaj, Montaran, zróbmy coś lepszego, niech każdy z nas weźmie połowę.

- Połowę chustki?

- Tak.

- Wybornie - zawołali dwaj inni gwardziści - istny sąd króla Salomona. Doprawdy, Aramisie, jesteś pełen mądrości.

Młodzi ludzie wybuchnęli śmiechem i jak można łatwo odgadnąć, na tym zakończono sprawę. Po chwili rozmowa się urwała i trzech gwardziści i muszkieter, uściskawszy sobie serdecznie ręce, poszli

każdy w swoją stronę.

- Oto chwila, by zawrzeć pokój z tym dwornym kawalerem - powiedział do siebie d'Artagnan, który trzymał się nieco na uboczu pod koniec rozmowy.

Wiedziony tym uczuciem pośpieszył za Aramisem, który oddalał się nie zwracając na niego uwagi.

- Panie - powiedział - mam nadzieję, że zechcesz mi wybaczyć.

- Ach, panie - przerwał Aramis - pozwól mi zauważyć, że nie zachowałeś się tak, jak dworny kawaler powinien się zachować w podobnych okolicznościach.

- Jak to, panie! - zawołał d'Artagnan - przypuszczasz...

- Przypuszczam, że nie jesteś głupcem i wiesz dobrze, choć przybywasz z Gaskonii, że nie stąpa się bez przyczyny po chustkach. U kaduka, Paryż nie jest wybrukowany batystem.

- Niesłusznie pan czyni, chcąc mnie upokorzyć - rzekł d'Artagnan, w którym swarliwy temperament zaczynał brać górę nad pokojowymi zamiarami. - Pochodzę z Gaskonii, to prawda, a skoro wiesz o tym, nie muszę ci mówić, że Gaskończycy niezbyt są cierpliwi; toteż kiedy raz przeprosili, choćby za głupstwo, są przekonani, że uczynili o połowę więcej, niż należało.

- Mój panie, nie mówię ci tego po to - odparł Aramis - by szukać z tobą zwady. Bogu dzięki, nie jestem zawadiaką, a będąc muszkietierem jedynie chwilowo, biję się tylko wtedy, gdy jestem do tego zmuszony, i czynię to zawsze z wielką niechęcią, ale tym razem sprawa jest poważna, albowiem winien jesteś kompromitacji damy.

- Obaj jesteśmy winni, chciałeś pan powiedzieć - zawołał d'Artagnan.

- Dlaczego popełniłeś niezręczność zwracając mi chustkę?

- Dlaczego popełniłeś niezręczność opuszczając ją na ziemię?

- Powiedziałem i powtarzam panu raz jeszcze, że chustka nie wypadła z mojej kieszeni.

- Zatem skłamałeś dwa razy, panie, widziałem bowiem, jak wypadła.

- Ach, zaczynasz z tego tonu, mości Gaskończyku. Dobrze, nauczę cię rozumu.

- Ja zaś ci pokażę, że to nie przelewki, mój książę. Wyciągnij szpadę, i o natychmiast.

- Nie tutaj, jeśli łaska, mój pocziwcze, nie tutaj. Czy nie widzisz, że jesteśmy naprzeciw pałacu Aiguillon, gdzie się roi od kreatur kardynała? Któż mi zaręczy, że to nie Jego Eminencja polecił ci, byś mu ofiarował moją głowę? Otóż wyobraź sobie, że w śmieszny sposób zależy mi na mojej

głowie, ponieważ mniemam, że dość pasuje do ramion. Chętnie cię więc zabiję, możesz być spokojny, ale po cichu, w miejscu ustronnym, gdzie nie mógłbyś pochwalić się swą śmiercią przed nikim.

- Przystaję z ochotą, ale nie licz zbyt na to i zabierz chustkę, czy należy do ciebie, czy nie. Być może, że ci się przyda.

- Jesteś pan Gaskończykiem? - zapytał Aramis.

- Tak. A pan nie odkłada spotkania przez przezorność?

- Przezorność, mój panie, jest cnotą dość bezużyteczną dla muszkietarów, wiem o tym, ale niezbędną dla sług kościoła; ponieważ zaś jestem muszkietarem tylko chwilowo, pragnę pozostać przezornym. O drugiej godzinie będę miał zaszczyt czekać na pana przed pałacem pana de Treville. Tam wskażę ci

odpowiednie miejsce.

Młodzieńcy pożegnali się. Aramis ruszył ulicą biegnącą w kierunku Luksemburga, a d'Artagnan widząc, że wyznaczona godzina się zbliża, skierował się do karmelitów bosych. Po drodze tak mówił do siebie:

- Rzecz jasna, nie wyjdę z tego cało. Jeśli jednak zostanę zabity, to przynajmniej przez muszkietera.

V.

MUSZKIETEROWIE KRÓLEWSCY I GWARDZIŚCI PANA KARDYNAŁA

D'Artagnan nie znał nikogo w Paryżu. Udał się więc na spotkanie z Atosem bez sekundanta, postanawiając poprzestać na wybranych przez przeciwnika. Zresztą miał zamiar przeprosić dzielnego muszkietera w sposób stosowny, nie okazując jednak słabości, obawiał się bowiem, że rzecz skończy się nieprzyjemnie, jak zawsze w takich razach, kiedy człowiek młody i pełen sił bije się z przeciwnikiem rannym i osłabionym: zwyciężony podwoi triumf przeciwnika, jako zwycięzca będzie pomawiany o przestępstwo i szukanie łatwych przewag.

Zresztą, jeśli nie przedstawiliśmy nieudolnie charakteru naszego poszukiwacza przygód, czytelnik zdołał już zauważyć, że d'Artagnan nie był zgoła człowiekiem pospolitym. Toteż wciąż sobie powtarzając, że nie uniknie śmierci, bynajmniej nie chciał umrzeć niczym baranek, jak to uczyniłby kto inny, mniej odważny i bardziej umiarkowany, na jego miejscu. Zastanowił się nad różnymi charakterami tych, z którymi miał się bić, i jaśniej zdał sobie sprawę z sytuacji. Miał nadzieję, że szczerze przeprosiwszy Atosa znajdzie przyjaciela w tym człowieku, którego wzięcie godne wielkiego pana i surowy wyraz twarzy bardzo mu się spodobały. Pochlebiał sobie, że napędzi

Portosowi stracha historią z pendentem, o której, jeśli nie padnie trupem na miejscu, mógłby opowiedzieć wszystkim; takie opowiadanie, sklecone zręcznie, mogłoby okryć śmiesznością

Portosa. Wreszcie, jeśli idzie o dyskretnego Aramisa, nie bał się go zbytnio, przypuszczając, że jeśli nawet dojdzie z nim do starcia, łatwo sobie poradzi lub w najgorszym razie rozpląta mu twarz, jak to zalecał Cezar żołnierzom Pompejusza, by zniszczyć na zawsze urodę, z której ów był tak dumny.

Ponadto d'Artagnanowi nie zbywało na rezolucji, którą zawdzięczał radom ojca, a senstychrad, jak wiemy, był taki: „Nie puszczaj nic płazem nikomu, prócz króla, kardynała i pana de Treville”. Leciał więc raczej, niż szedł w stronę klasztoru karmelitów bosych, budynku bez okien, otoczonego wyschniętymi łąkami. To miejsce, filia niejako Pre-aux-Clercs*, służyło zazwyczaj za teren spotkań ludziom, którzy nie mieli czasu do stracenia.

Kiedy d'Artagnan zjawił się na niewielkim, pustym obszarze rozciągającym się u stóp klasztoru, Atos czekał nań od pięciu minut tylko: właśnie biło południe. Był więc punktualny jak zegar na Samaritaine' * i największy kazuista w materii pojedynków nie miałby mu nic do zarzucenia.

* Pre-aux-Clercs- sławne w owym czasie miejsce pojedynków.

**Srtmdritaine - stara pompa hydrauliczna, zbudowana przy Pont-Neuf w roku 1603.

Atos, który cierpiał okrutnie z powodu rany, mimo że chirurg pana de Treville świeżo ją opatrzył, siedział na przydrożnym kamieniu czekając na przeciwnika z owym spokojem i godnością, jakie nie opuszczały go nigdy. Na widok d'Artagnana powstał i uprzejmie zbliżył się do niego o kilka kroków. Młodzieniec ze swej strony odkrył głowę i powitał Atosa ukłonem tak głębokim, że pióro jego kapelusza dotknęło ziemi.

- Panie - rzekł Atos - uprzedziłem moich dwóch przyjaciół, którzy posłużą mi za sekundantów, ale przyjaciele ci jeszcze nie przyszli. Dziwne, że się spóźniają, nie jest to w ich zwyczaju.

- Nie mam sekundantów, panie - powiedział d'Artagnan - przybyłem dopiero wczoraj do Paryża i nie znam tu jeszcze nikogo prócz pana de Treville. Zostałem mu polecony przez ojca, który ma zaszczyt należeć do jego przyjaciół.

Atos zamyślił się na chwilę.

- Znasz tylko pana de Treville? - zapytał.

- Tak, tylko jego.

- A zatem - ciągnął Atos, mówiąc na wpół do siebie, na wpół do d'Artagnana - a zatem, jeśli cię zabiję, powiedzą, że jestem pożeraczem dzieci.

- Nie sędzę, panie - odparł d'Artagnan z ukłonem nie pozbawionym godności - nie sędzę, skoro czynisz mi zaszczyt potykania się ze mną będąc rannym, co musi ci bardzo być niedogodne.

- W samej rzeczy; muszę przyznać, że zadałeś mi piekielny ból, ale wezmę szpadę do lewej ręki, robię tak zawsze w podobnych okolicznościach. Nie sędź, że z uprzejmości dla pana; biję się równie dobrze obiema rękami. Będzie to nawet dla pana niedogodne: mając broń w lewej ręce utrudnia się walkę

przeciwnikowi, który nie jest na to przygotowany; toteż przykro mi, że nie zdołałem cię zawczasu uprzedzić.

- Doprawdy, panie - rzekł d'Artagnan, składając znów ukłon - jesteś tak dworny, że czuję się wielce zobowiązany.

- Zawstydzasz mnie - odparł Atos z wielkopańską swobodą - ale mówmy o czym innym, chyba że będzie ci to niemiłe. Ach, u kaduka, jakżeś mnie uraził! Ramię mi płonie.

- Gdybyś zechciał pozwolić... - rzekł d'Artagnan nieśmiało.

- Na co, panie?

- Mam cudowny balsam na rany; dostałem go od matki i wypróbowałem już na sobie.

- A więc?

- Jestem pewien, że w ciągu trzech dni ten balsam pana uzdrowi, a po trzech dniach będę zaszczycony, jeśli zechcesz się ze mną potykać.

D'Artagnan powiedział te słowa z prostotą, która przynosiła zaszczyt dwornym obyczajom młodzieńca, nie czyniąc ujmy jego odwadze.

- U kaduka, mój panie, ta propozycja mi się podoba: nie powiadam, że ją przyjmuję, ale jest to mowa godna szlachcica. Tak mówili i postępowali bohaterowie za czasów Karola Wielkiego, których każdy kawaler powinien naśladować. Niestety, nie żyjemy w czasach wielkiego cesarza. Żyjemy w czasach pana kardynała i za trzy dni, choćbyśmy najpilniej strzegli tajemnicy, będzie wiadomo, że mamy się bić, i znajdą się tacy, co sprzeciwią się naszemu pojedynkowi. Ależ czy ci panowie nigdy nie przyjdą?

- Jeśli panu się śpieszy - rzekł d'Artagnan do Atosa z tą samą prostotą, z jaką przed chwilą proponował mu odłożenie pojedynku na trzy dni - jeśli panu się śpieszy i jeśli rad byś skończyć ze mną natychmiast, bądź łaskaw się nie krępować.

- Oto znów słowa, które bardzo mi się podobają - rzekł Atos, z wdziękiem skinąwszy głową d'Artagnanowi - tak nie mówi człowiek głupi ani tchórzliwego serca. Mości panie, lubię ludzi twego

pokroju i widzę, że jeśli jeden z nas nie zabije drugiego, znajdę prawdziwą przyjemność w

rozmowach z tobą. Poczekajmy na tych panów, jeśli łaska, na czasie mi nie zbywa, a sądzę, że będzie to bardziej właściwe. Ale oto jeden z nich, jak mi się zdaje.

W istocie u wylotu ulicy Yaugirard ukazała się ogromna postać Portosa.

- Jak to - zawołał d'Artagnan - pańskim pierwszym sekundantem jest pan Portos?

- Tak, czy to panu nie dogadza?

- Nie, bynajmniej.

- A oto drugi.

D'Artagnan zwrócił się w kierunku wskazanym przez Atosa i rozpoznał Aramisa.

- Jak to - zawołał z jeszcze większym zdziwieniem - drugim sekundantem jest pan Aramis?

- Oczywiście, czy nie wiesz, że wszędzie bywamy razem, że wśród muszkieterów i gwardzistów, na dworze i w mieście nazywają nas Atos, Portos i Aramis albo trzech nierozłączni? Zresztą, jako że przybywasz z Dax czy z Pau...

- Z Tarbes - rzekł d'Artagnan.

- Możesz więc nie wiedzieć o tym - rzekł Atos.

- Na honor - powiedział d'Artagnan - pięknie was nazywają, panowie; jeśli moja przygoda nabierze rozgłosu, dowiedzie przynajmniej, że wasza przyjaźń nie opiera się na przeciwnościach.

Tymczasem Portos zbliżył się i powitał Atosa skinieniem ręki, potem odwrócił się w stronę d'Artagnana i stanął jak wryty.

Zaznaczmy mimochodem, że zmienił pendent i nie miał już na sobie płaszcz.

- Ach - zawołał - cóż to znaczy?

- Biję się właśnie z tym panem - rzekł Atos wskazując ruchem ręki d'Artagnana i witając zarazem Portosa.

- I ja biję się z tym panem - rzekł Portos.

- Ale dopiero o pierwszej - odparł d'Artagnan.

- I ja biję się z tym panem - rzekł Aramis, zbliżając się do nich.

- Ale dopiero o drugiej - powiedział d'Artagnan równie spokojnie jak przedtem.

- Ale dlaczego się bijesz, Atosie? - zapytał Aramis.

- Na honor, sam dobrze nie wiem, uraził mnie w ramię. A ty, Portosie?

- Na honor, biję się, bo się biję - odparł Portos z rumieńcem na twarzy.

Atos, którego uwagi nic nie uchodziło, ujrzał lekki uśmiech na ustach Gaskończyka.

- Posprzeczaaliśmy się w sprawach stroju - rzekł młodzieniec.

- A ty, Aramisie? - zapytał Atos.

- Ja biję się z przyczyn natury teologicznej - odparł Aramis, prosząc gestem d'Artagnana o zachowanie w tajemnicy przyczyny pojedynku.

Atos ujrzał, jak uśmiech znów pojawił się na ustach d'Artagnana.

- Doprawdy? - rzekł.

- Tak, chodzi o ustęp ze świętego Augustyna, co do którego nie byliśmy zgodni.

- To pewna, że temu chłopcu nie zbywa na dowcipie - mruknął Atos.

- A teraz, kiedy jesteście już wszyscy, panowie, pozwólcie, że was przeproszę.

Gdy powiedział słowo „przeproszę”, chmura przemknęła przez czoło Atosa, pogardliwy uśmiech prześliznął się po ustach Portosa, a przeczący gest był odpowiedzią Aramisa.

- Nie zrozumieliście mnie, panowie - rzekł d'Artagnan unosząc głowę; na jego twarzy igrał teraz promień słońca, złocąc rysy delikatne i dumne - przepraszam was na wypadek, gdybym nie mógł spłacić mego długu wobec was wszystkich, jako że pan Atos ma prawo zabić mnie pierwszy, co umniejsza znacznie twoje szansę, panie Portosie, i przekreśla niemal zupełnie twoje, panie Aramisie. A zatem, panowie, przepraszam was raz jeszcze, ale tylko za to... i stawajmy!

Przy tych słowach d'Artagnan ruchem nadzwyczaj rycerskim wyciągnął swą szpadę z pochwy.

Krew uderzyła mu do głowy i w owej chwili dobyłby szpady przeciw wszystkim muszkietierom królestwa, jak dobywał jej przeciw Atosowi, Porostowi i Aramisowi.

Biła dwunasta piętnaście. Słońce stało w zenicie i żar zalewał łąkę, na której miał się odbyć pojedynek.

- Jest bardzo gorąco - rzekł Atos wyciągając z kolei szpadę - ale nie będę mógł zdjąć kaftana; jeszcze przed chwilą bowiem czułem, że rana mi krwawi, a obawiałbym się, iż byłoby ci przykro patrzeć na krew, której sam nie rozlałeś.

- Bądź pewny, panie - rzekł d'Artagnan - że zawsze z przykrością będę patrzeć na rany równie dzielnego szlachcica, bez względu na to, czy sam je spowodowałem, czy kto inny; biję się zatem w kaftanie, tak jak i pan.

- Nuże, moi panowie, dość już grzeczności, pamiętajcie, że czekamy na swoją kolej - powiedział Portos.

- Mów we własnym imieniu, Portosie, gdy wygłaszasz równie niestosowne zdania - przerwał Aramis. - Jeśli idzie o mnie, mniemam, że to, co mówią ci panowie, jest nader dobrze powiedziane i godne szlachciców.

- Jestem gotów, panie - rzekł Atos stając w pozycji.

- Czekam na rozkazy - rzekł d'Artagnan krzyżując z nim szpadę.

Ale zaledwie rapiery zadźwięczały w pierwszym złożeniu, kiedy oddział gwardii Jego Eminencji, pod dowództwem pana de Jussac, ukazał się za węgłem klasztoru.

- Gwardziści kardynała! - zawołali naraz Portos i Aramis. - Szpady do pochew! Panowie, szpady do pochew!

Ale było już za późno. Pozycja, w której stali dwaj przeciwnicy, mówiła aż nazbyt wyraźnie o ich zamiarach.

- Hola! - krzyknął Jussac zbliżając się do nich i dając znak swym ludziom, by uczynili to samo. - Hola, panowie muszkietierowie, bijecie się tutaj? Więc edykty nic was nie obchodzą?

- Wielce jesteście cnotliwi, panowie gwardziści - rzekł Atos pełen wściekłości, ponieważ Jussac był jednym z wczorajszych napastników. - Zaręczam, gdybyśmy widzieli, że się bijecie, nie usiłowalibyśmy wam przeszkodzić. Pozwólcie więc nam robić swoje, a zabawicie się nie narażając na kłopoty.

- Panowie - odparł Jussac - oświadczam wam z wielką przykrością, że rzecz jest niemożliwa. Obowiązek przede wszystkim. Schowajcie więc szpady, jeśli łaska, i proszę za nami.

- Panie - powiedział Aramis przedrzeźniając Jussaca - z wielką przyjemnością skorzystalibyśmy z tego dwornego zaproszenia, gdyby to zależało od nas, ale, niestety, rzecz jest niemożliwa; pan de

Treville nam tego zabronił. Pójdźcie więc swoją drogą, to najlepsze, co możecie zrobić.

Te kpiny rozwścieczyły Jussaca.

- Jeśli odmówicie posłuszeństwa, będziemy musieli was zaatakować.

- Jest ich pięciu - rzekł Atos półgłosem - a nas trzech tylko. Zostaniemy znowu pobici albo przyjdzie nam tu zginąć, oświadczam wam bowiem, że zwyciężony nie zjawię się przed kapitanem.

Atos, Portos i Aramis stanęli obok siebie natychmiast. Tymczasem Jussac ustawiał swoich żołnierzy.

Ta chwila wystarczyła, by d'Artagnan powziął decyzję. Było to jedno z wydarzeń rozstrzygających o życiu człowieka: trzeba było wybrać między królem a kardynałem; dokonawszy wyboru należało wyciągnąć wnioski. Jeśli stanie do walki, okaże nieposłuszeństwo wobec prawa, narazi własne życie i od razu zrobi sobie wroga z ministra potężniejszego od samego króla. To wszystko pojął nasz młodzieniec i - trzeba powiedzieć na jego pochwałę - nie wahał się ani przez chwilę. Rzekł tedy, zwracając się do Atosa i jego przyjaciół:

- Panowie, pozwólcie, że zmienię nieco sens waszych słów. Powiedzieliście, że jest was trzech tylko, gdy wydaje mi się, że jest nas czterech.

- Ale pan nie należysz do nas - powiedział Portos.

- To prawda - odparł d'Artagnan - różnię się od was strojem, ale należę do was duszą. Mam serce muszkietera, wiem o tym dobrze, i to łączy mnie z wami.

- Usuń się, młodzieńcze - krzyknął Jussac, który z gestów i wyrazu twarzy odgadł zamiary d'Artagnana. - Możesz odejść, nie mamy nic przeciwko temu. Ratuj swoją głowę i zmykaj szybko.

D'Artagnan nie ruszył się z miejsca.

- Doprawdy, jesteś zacnym chłopcem - rzekł Atos ściskając dłoń d'Artagnana.

- Nuże, zdecydujemy się wreszcie - podjął Jussac.

- Tak - rzekł Portos i Aramis - postanówmy, co robimy.

- Jesteś pan prawdziwie wielkoduszny - rzekł Atos.

Ale wszyscy trzej myśleli o młodości d'Artagnana i obawiali się jego braku doświadczenia.

- Jest nas trzech, z tego jeden ranny, i to dziecko - podjął Atos - a przecież będzie się mówić, że

stawalo nas czterech.

- Tak, ale ustapic?! - rzekl Portos.

- Trudna sprawa - rzekl Atos.

D'Artagnan zrozumial ich wahania.

- Panowie, zechciejcie mnie wyprobowac - powiedzial. - Klnę sie na honor, ze nie odejde stąd, jeśli zostaniemy pobici.

- Jak sie nazywasz, mój zuchu? - zapytal Atos.

- D'Artagnan, panie.

- Dobrze wiec! Atos, Portos, Aramis i d'Artagnan, naprzód!

- A zatem, panowie, wasza decyzja? - krzyknal po raz trzeci Jussac.

- Juzesmy ja powzieli - rzekl Atos.

- To znaczy? - zapytal Jussac.

- Mamy zamiar walczyc z wami - odparl Aramis uchylajac kapelusza jedna ręką i wyciagajac szpade drugą.

- Ach, stawiacie opór? - zawolal Jussac.

- Do kaduka! To pana dziwi?

I dziewięciu przeciwników ruszylo do ataku z furia, nie pozbawiona jednak metody.

Atos natarl na gwardziste nazwiskiem Cahusac, ulubienca kardynala, Portos zaatakowal Bicareta, a Aramis znalazl sie twarzą w twarz z dwoma innymi.

Jeśli idzie o d'Artagnana, przypadl mu w udziale sam Jussac.

Serce mlodego Gaskończyka bilo tak mocno, ze zdawalo sie, wyskoczy z piersi, nie ze strachu, Boze uchowaj, nie czul go w najmniejszym stopniu, ale z podniecenia. Bil sie jak rozwscieczony tygrys, okrazajac dziesiec razy przeciwnika, zmieniajac po dwadzieścia razy pozycje i miejsce. Jussac byl, jak wówczas powiadano, szermierzem zawolany i wielkim praktykiem; mimo to z najwiekszym trudem bronil sie przed przeciwnikiem, który zręczny i szybki, zmienial co chwila sposob walki,

atakował ze wszystkich stron jednocześnie, a czynił to z miną człowieka, który ogromnie dba o własną skórę.

Wreszcie Jussac stracił cierpliwość. Wściekły, że przeciwnik, którego uważał za dziecko, trzyma go w szachu, zbyt się zaciętrzewił i zaczął popełniać błędy. D'Artagnan, który w braku praktyki wybornie znał teorię, podwoił szybkość;

Jussac pragnąc skończyć zgiął się wpół i natarł straszliwie na przeciwnika; ale tamten odparował cios i kiedy Jussac się podniósł, przesunął się niczym wąż pod jego szpadą i przeszył go ostrzem na wylot. Jussac padł jak kłoda.

Wówczas d'Artagnan objął niespokojnym i szybkim spojrzeniem pole walki.

Aramis zabił już jednego ze swych przeciwników, ale drugi nacierał nań ostro; jednakże Aramis był w dobrej sytuacji i mógł się jeszcze bronić.

Bicaret i Portos wymieniali ciosy. Portos otrzymał cięcie w ramię, Bicaret w udo. Żadna z tych ran nie była wszakże groźna i walczyli obaj z jeszcze większym zapałem.

Atos, zraniony przez Cahusaca, bladł w oczach, ale nie cofnął się ani o krok; przerzucił tylko szpadę do lewej ręki.

D'Artagnan, zgodnie z regułami pojedynku, obowiązującymi w owych czasach, mógł przyjść komuś z pomocą. Gdy szukał wzrokiem tego z towarzyszy, którego mógłby wesprzeć, pochwycił spojrzenie Atosa. To spojrzenie pełne było wymowy. Atos umarłby raczej, niż wezwał pomocy, ale mógł patrzeć i prosić spojrzeniem. D'Artagnan to odgadł i jednym skokiem dopadł Cahusaca z boku, krzycząc:

- Baczość, panie gwardzisto, zabiję cię!

Cahusac odwrócił się, a był już największy czas: Atos, którego podtrzymywała jedynie odwaga, upadł na kolano.

- Tam do licha! - zawołał do d'Artagnana - nie zabijaj go, młodzieńcze, proszę cię. Mam z nim stare porachunki, załatwię je, kiedy wydobrzeję i odzyskam zdrowie. Rozbrój go tylko, odbierz mu szpadę. Otóż to. Dobrze, bardzo dobrze!

Atos wydał ten okrzyk widząc, jak szpada wyłuskana z rąk Cahusaca pofrunęła o dwadzieścia kroków. D'Artagnan i Cahusac skoczyli razem, jeden - by ją zabrać, drugi - by się w nią uzbroić; ale bardziej zwinny d'Artagnan pierwszy postawił na niej nogę.

Cahusac podbiegł do gwardzisty, zabitego przez Aramisa, chwycił jego rapier i miał właśnie powrócić do d'Artagnana; ale na swej drodze spotkał Atosa, który podczas krótkiej chwili wytchnienia, jaką zawdzięczał d'Artagnanowi, nabrał nieco sił, a obawiając się, że d'Artagnan zabije

jego wroga, chciał wrócić do walki.

D'Artagnan zrozumiał, że wyrzadziłby Atosowi niedźwiedzią przysługę, gdy-

by nie zostawił mu wolnej ręki. Jakoż w kilka sekund później Cahusac padł z gardłem przesytytym szpadą.

W tej samej chwili Aramis oparł szpadę na piersi obalonego przeciwnika, który musiał prosić pardonu.

Walczyli jeszcze Portos i Bicaret. Portos żartował sobie w najlepsze, pytał Bicareta o godzinę, wieszował mu, jako że jego brat otrzymał kompanię w nawarskim regimencie; ale te szyderstwa nie przydawały mu się na nic, Bicaret był jednym z tych ludzi, co padają, ale tylko trupem.

Trzeba jednak było kończyć. Mogła pojawić się straż i zaarrestować wszystkich walczących bez względu na to, czy są ranni, czy cali, rojaliści czy zwolennicy kardynała. Atos, Aramis i d'Artagnan otoczyli Bicareta nakłaniając go do złożenia broni. Choć jeden przeciwko wszystkim i z udem przebitym szpadą, Bicaret nie chciał ustąpić, ale Jussac uniósł się na łokciu i krzyknął do niego, by się poddał. Bicaret był Gaskończykiem jak d'Artagnan. Udał, że nie słyszy, roześmiał się i między dwoma sztychami znalazł chwilę czasu, by ukazać końcem szpady miejsce na ziemi:

- Tu! - zawołał parodiując słowa Biblii - tu zginął Bicaret, jedyny spośród tych, którzy z nim byli.

- Ale ich jest czterech przeciw tobie. Kończ, rozkazuję ci.

- Ach, jeśli to rozkaz, to co innego - rzekł Bicaret - jesteś moim dowódcą, muszę więc być posłuszny.

Za czym uskoczył do tyłu, złamał swą szpadę na kolanie, by jej nie oddać, cisnął odłamki za mur klasztoru, skrzyżował ręce na piersiach i zagwizdał pieśń gwardzistów kardynała.

Męstwo jest zawsze szanowane, nawet u wroga. Muszkietierowie złożyli Bicaretowi ukłon szpadami i włożyli je do pochew. D'Artagnan uczynił to samo, po czym z pomocą Bicareta, jedyne spośród gwardzistów, który trzymał się na nogach, zaniósł pod bramę klasztoru Jussaca, Cahusaca i tego z przeciwników Aramisa, który był tylko ranny. Czwarty, jak powiedzieliśmy, padł trupem na

polu walki. Dali sygnał do odwrotu, zabierając cztery szpady zdobyte na pięciu przeciwnikach, i ruszyli pijani radością ku pałacowi pana de Treville.

Widziano ich, jak szli zajmując całą szerokość ulicy, objawszy się ramionami, zaczepiając każdego spotkanego muszkietera, tak że ich powrót zamienił się w końcu w marsz triumfalny. Serce d'Artagnana pełne było upojenia, szedł między Atosem i Portosem ściskając ich czule.

- Jeśli nie jestem jeszcze muszkietierem - powiedział do nowych przyjaciół przekraczając próg pałacu pana de Treville - jestem chyba przyjęty do terminu, prawda?

VI.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ LUDWIK XIII

Zajście narobiło dużo hałasu. Pan de Treville gniewał się na muszkietierów głośno i winszował im po cichu, trzeba było jednak co szybciej uprzedzić króla, i pan de Treville pośpieszył do Luwru. Było już jednak za późno; król zamknął się z kardynałem i panu de Treville powiedziano, że Najjaśniejszy Pan pracuje i nie może go przyjąć. Wieczorem pan de Treville zjawił się znowu, kiedy król zasiadł do gry. Jego Królewska Mość wygrywał, a że odznaczał się wielkim skąpstwem, był w wysmienitym humorze; toteż krzyknął z daleka, gdy tylko ujrzał Treville'a:

- Pójdź no tu, panie kapitanie, pójdź, niech cię wyłajam! Czy wiesz, że Jego Eminencja przyszedł się poskarżyć na muszkietierów, a tak się tym wszystkim przejął, że jest teraz cierpiący. Ależ ci twoi muszkietierowie to diabły wcielone, doigrają się stryczka!

- Nie, Najjaśniejszy Panie - odparł Treville, który zrozumiał od razu, jak się rzeczy mają - przeciwnie, to zacni chłopcy, łagodni jak baranki, a pragną tylko jednego, jestem tego pewien: służyć szpadą Waszej Królewskiej Mości. Ale cóż robić, skoro gwardziści pana kardynała wciąż szukają z nimi zwady: biedacy, muszą bronić honoru swych barw.

- Słuchaj no, panie de Treville - rzekł król - można by pomyśleć, że mówisz o jakim zakonie! Doprawdy, mój miły kapitanie, bierze mnie ochota odebrać ci oficerski patent i ofiarować go panie de Chemerault, którą przyrzekłem zrobić przeoryszą klasztoru. Nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym, mości Treville, i wkrótce przekonamy się, jak się rzeczy mają.

- Właśnie dlatego, że ufam w twą sprawiedliwość, Najjaśniejszy Panie, cierpliwie i spokojnie czekam wyroku.

- Poczekaj więc, poczekaj - rzekł król - nie będziesz czekał długo.

W istocie szczęście odwróciło się, a ponieważ król zaczął przegrywać to, co uprzednio wygrał, rad był z pretekstu, który pozwalał mu wycofać się z wygraną.

Wstał więc po chwili i chowając do kieszeni pieniądze, których większą część stanowiła wygrana, powiedział:

- La Vieuville, zajmij moje miejsce, mam do pomówienia z panem de Treville w ważnej sprawie. Ach! Miałem na stole dwadzieścia cztery luidory; wyłóż tę samą sumę, aby ci, co przegrali, nie czuli się pokrzywdzeni. Sprawiedliwość przede wszystkim.

Za czym, zwracając się do pana de Treville i idąc z nim ku okiennej wnęce, król ciągnął dalej:

- Trzej muszkietierowie

- A zatem powiadasz, że to gwardziści Jego Eminencji szukali zwady z muszkietierami?

- Tak, Najjaśniejszy Panie, jak zawsze.

- A jakże do tego doszło, hę? Wiesz bowiem dobrze, drogi kapitanie, że sędzia powinien wysłuchać obu stron.

- Mój Boże, w sposób najprostszy i najzwyczajniejszy w świecie. Trzej moi najlepsi żołnierze, których imiona są Najjaśniejszemu Panu znane i których oddanie niejedną raz miał okazję ocenić - a mogę zapewnić mego króla, że służą mu z całego serca - trzej moi najlepsi żołnierze, jak rzekłem, panowie Atos, Portos i Aramis, udali się na przechadzkę z pewnym młodzieńcem z Gaskonii, którego im poleciłem tego samego ranka. Celem przechadzki miało być Saint-Germain; spotkali się właśnie obok karmelitów bosych, kiedy zaczęli ich panowie Jussac, Cahusac, Bicaret i dwaj inni gwardziści, którzy nie przybyliby tam zapewne w tak licznym towarzystwie, gdyby ich zamiary były w zgodzie z obowiązującymi edyktami.

- Więc tak! Dajesz mi do myślenia - rzekł król - zapewne sami przyszli się bić.

- Nie oskarżam ich, Najjaśniejszy Panie, ale sam orzeknij, co może robić pięciu uzbrojonych ludzi w miejscu tak bezludnym jak okolice klasztoru karmelitów bosych.

- Tak, masz słuszość, mój Tróville, masz słuszość.

- Kiedy jednak zobaczyli moich muszkietierów, zmienili zamiar i puścili w niepamięć niechęci osobiste, by przypomnieć sobie o niechęci do naszych barw. Wasza Królewska Mość wie dobrze, że muszkietierowie, którzy służą królowi i tylko królowi, są z natury rzeczy nieprzyjaciółmi gwardzistów pana kardynała.

- Tak, Treville - rzekł król melancholijnie - i bardzo to smutne, wierzaj mi, że dwie są partie we Francji, dwie głowy królestwa; ale wszystko to się skończy, Treville, wszystko się skończy. Powiadasz więc, że gwardziści szukali zwady z muszkietierami?

- Powiadam, że jest bardzo prawdopodobne, iż rzeczy wzięły taki obrót, ale nie mogę przysiąc, Najjaśniejszy Panie. Wiesz dobrze, jak trudno jest dojść prawdy, i jeśli nie jest się obdarzonym tym niezwykłym wyczuciem, które sprawiło, że Ludwik XIII otrzymał przydomek Sprawiedliwego...

- Masz słuszość, Treville; ale twoi muszkietierowie nie byli sami, towarzyszył im jakiś chłopiec?

- Tak, Najjaśniejszy Panie, a jeden spośród nich był ranny. Tak więc trzej muszkietierowie królewscy, w tym jeden ranny, oraz dziecko nie tylko stawili czoło pięciu najgroźniejszym gwardzistom kardynała, ale obalili czterech.

- Ale to zwycięstwo - zawołał król, cały promieniejąc - całkowite zwycięstwo!

- Tak, Najjaśniejszy Panie, równie wielkie, jak przy moście Clerc.

- Czterech ludzi, w tym jeden ranny i dziecko, powiadasz?

- Młodzieniec za ledwie, a tak się dzielnie zachował w tej okazji, że ośmielę się polecić go uwadze Waszej Królewskiej Mości.

- Jak się nazywa?

- D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie. Jest to syn jednego z mych najdawniejszych przyjaciół, syn człowieka, który pod wodzą twego sławnego ojca brał udział w wojnie podjazdowej.

- I powiadasz, że ten młodzieniec dzielnie walczył? Opowiedz mi o tym, Treville, wiesz, że lubię opowiadania o walkach i potyczkach.

Tu król Ludwik XIII gracko podkreślił wąsa i wziął się pod bok.

- Najjaśniejszy Panie - podjął Trésville - jak ci już powiedziałem, pan d'Artagnan jest niemal dzieckiem, a jako że nie ma zaszczytu być muszkietierem, nosił zwykłe suknie. Gwardziści pana kardynała, widząc, że to młokos i że nie należy do nas, poprosili go, by się wycofał, zanim przystąpią do ataku.

- Widzisz więc, Trésville - przerwał król - że to oni zaatakowali.

- W samej rzeczy, Najjaśniejszy Panie, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nakłaniali go więc, by się wycofał; ale on odparł, że sercem jest muszkietierem i wiernym sługą Waszej Królewskiej Mości, zostanie więc z panami muszkietierami.

- Dzielny młodzieniec! - szepnął król.

- I rzeczywiście został z nimi. Wasza Królewska Mość ma w jego osobie nie lada jakiego żołnierza, on to bowiem zadał panu de Jussac ów straszliwy cios, który tak bardzo rozgniewał pana kardynała.

- To on zranił Jussaca! - zawołał król. - On, to dziecko? Ależ Treville, to niemożliwe.

- Tak jest, jak to miałem honor powiedzieć Waszej Królewskiej Mości.

- Jussac, jedna z pierwszych szpad w królestwie!

- Najjaśniejszy Panie, trafił na lepszego od siebie.
- Chcę widzieć tego młodzieńca, Treville, chcę go widzieć i jeśli można coś dla niego zrobić, nie zapomnimy o nim.
- Kiedy Wasza Królewska Mość zechce go przyjąć?
- Jutro w południe, Trsville.
- Mam przyprowadzić tylko jego samego?
- Nie, niechaj przyjdą wszyscy czterej. Chcę im podziękować wszystkim razem, ludzie oddani trafiają się rzadko, Treville, wierność należy wynagrodzić.
- W południe, Najjaśniejszy Panie, będziemy w Luwrze.
- Ale bocznymi schodami, Treville, bocznymi schodami. Nie trzeba, żeby kardynał widział...
- Tak jest, Najjaśniejszy Panie.
- Rozumiesz, Treville, edykt jest zawsze edyktem, tak czy inaczej pojedynki są zabronione.
- Ale ta potyczka nie miała nic wspólnego z pojedynkiem, to napaść; dowodem, że było pięciu gwardzistów kardynała przeciw moim trzem muszkietierom i panu d'Artagnanowi.
- To prawda - rzekł król - ale mniejsza o to, Treville, przyjdźcie bocznymi schodami.

Treville uśmiechnął się, ale jako że zyskał już dużo od tego dziecka, które buntowało się przeciw swemu panu, pożegnał z szacunkiem króla i oddalił się za jego pozwoleniem.

Jeszcze tego samego wieczora trzej muszkietierowie zostali powiadomieni o czekającym ich zaszczycie. Ponieważ znali już od dawna króla, przyjęli tę wiadomość bez większego wzruszenia, ale d'Artagnan, którego ponosiła gaskońska wyobraźnia, dopatrywał się w tej audiencji łaski losu i spędził noc na rozkosznych marzeniach. O ósmej rano był już u Atosa.

Zastał muszkietera ubranego i gotowego do wyjścia. Ponieważ spotkanie u króla wyznaczone było na godzinę dwunastą, Atos ułożył się z Porostem i Aramisem, że spędzą czas na grze w piłkę w traktach położonej obok stajen luksemburskich. Atos zaprosił również d'Artagnana. Choć młodzieniec nie znał gry i nigdy nie brał w niej udziału, zgodził się chętnie, nie wiedząc, co ma robić z czasem do południa, była bowiem godzina dziewiąta.

Dwaj muszkietierowie byli już w traktach i bawili się przrzucaniem piłki. Atos, który znakomicie opanował wszystkie cielesne ćwiczenia, przeszedł z d'Artagnanem na stronę przeciwną, by rozegrać z nimi partię. Ale jakkolwiek posługiwał się lewą ręką, już za pierwszym ruchem zrozumiał, że rana jest jeszcze zbyt świeża, by mógł sobie pozwolić na grę. D'Artagnan został więc sam, a ponieważ oświadczył, że zbyt kiepskim jest jeszcze graczem, by mógł rozpocząć partię, zabawiano się tylko przrzucaniem piłki nie licząc punktów.

Tymczasem piłka rzucona herkulesową ręką Portosa przeleciała tuż obok twarzy d'Artagnana i nasz bohater pomyślał sobie, że niewiele brakowało, by przepadła audiencja, nie mógłby bowiem z pokiereszowaną twarzą zjawić się u króla.

A ponieważ jego gaskońska wyobraźnia od tej wizyty uzależniała całą przyszłość, skłonił się uprzejmie Portosowi i Aramisowi, oświadczając, że rozegra z nimi partię dopiero wtedy, gdy będzie mógł im sprostać; za czym stanął za sznurem wśród widzów.

Na nieszczęście d'Artagnana, między widzami znajdował się gwardzista Jego Eminencji; wzburzony wczorajszą porażką swych towarzyszy, przyrzekł sobie, że skorzysta z pierwszej okazji, żeby się zemścić. Uznał tedy, że sposobna chwila nadeszła, i rzekł zwracając się do sąsiada:

- Nic w tym dziwnego, że ten młodzieniec boi się piłki; to na pewno przyszedł muszkietier.

D'Artagnan odwrócił się, jakby ugryzła go żmija, i utkwiał spojrzenie w gwardziście, który wypowiedział te zuchwałe słowa.

- Tam do licha - podjął gwardzista, chwacko podkręcając wąsa - możesz na mnie patrzeć, ile ci się podoba, mój panku, powiedziałem, co powiedziałem.

- A ponieważ to, co pan powiedział, jest aż nadto jasne i nie musisz swych słów tłumaczyć, proszę, byś zechciał mi towarzyszyć.

- A kiedyż to? - zapytał gwardzista z tą samą kpiącą miną.

- Natychmiast, jeśli łaska.

- Wiesz pan zapewne, kim jestem?

- Nie mam najmniejszego pojęcia i niewiele mnie to obchodzi.

- Szkoda, gdybyś bowiem znał me nazwisko, być może nie spieszyłbyś się tak bardzo.

- Jakże się pan nazywa?

- Bemajoux, do usług.

- Dobrze więc, panie Bemajoux, będę cię czekał przy bramie.

- Idę.

- Nie śpiesz się zanadto, nie trzeba, by widziano, że wychodzimy razem. Zbyt wiele ludzi przeszkodziłoby nam w naszych zamiarach.

- Zgoda - odparł gwardzista zdumiony, że jego imię nie wywarło żadnego wrażenia na młodym człowieku.

W istocie było to imię dobrze znane wszystkim prócz jednego może d'Artagnana, Bemajoux należał bowiem do tych zabijaków, którzy najczęściej brali udział w codziennych burdach: wszystkie edykty króla i kardynała były wobec nich bezsilne.

Portos i Aramis grali z takim zapałem, Atos zaś przyglądał się grze z tak wielkim zainteresowaniem, że nie zauważyli wyjścia młodego towarzysza, który zatrzymał się przy bramie, jak to zapowiedział gwardziście; w chwilę potem Bemajoux też się tam zjawił. Ponieważ d'Artagnan nie miał czasu do stracenia, zważywszy, że audiencja u króla była wyznaczona na dwunastą, rozejrzał się dokoła i widząc, że ulica jest pusta, powiedział:

- Na honor, bardzo to dla pana szczęśliwie się składa, choć nazywasz się Bemajoux, że masz do czynienia jedynie z kandydatem na muszkietera, bądź jednak spokojny, uczynię wszystko, co w mej mocy. Stawaj!

- Wydaje mi się jednak - rzekł gwardzista, któremu d'Artagnan dopiekl do żywego - że miejsce nie jest najlepsze i że raczej należałoby się bić za opactwem Saint-Germain albo na Pre-aux-Clercs.

- Bardzo rozsądnie pan mówi - odparł d'Artagnan - ale niestety, mam niewiele czasu, ponieważ wyznaczono mi spotkanie dokładnie na dwunastą. Stawaj więc, mój panie, stawaj!

Bemajoux nie należał do tych, którym trzeba dwa razy powtarzać podobne wezwanie. W tej samej chwili szpada błysnęła w jego dłoni i natarł na swego przeciwnika, spodziewając się, że młokosa tchórz obleci.

Ale d'Artagnan poprzedniego dnia odbył chrzest bojowy i ożywiony zwycięstwem, pełen pychy na myśl o czekających go faworach, postanowił nie cofać się ani o krok. Jakoż obie szpady w pierwszym złożeniu przywarły do siebie aż po rękojeść, a ponieważ d'Artagnan nie ruszył się z miejsca, przeciwnik musiał postąpić do tyłu. D'Artagnan uchwycił jednak moment, kiedy Bemajoux czyniąc ten ruch odsłonił się na chwilę, zamierzył się i ugodził go w ramię. Za czym nasz młodzieniec cofnął się o krok i uniósł szpadę; ale Bemajoux krzyknął mu, że walczy dalej, i rzucając się w ferworze na przeciwnika, sam nadział się na jego szpadę. Ponieważ jednak nie upadł i nie uznał się za pokonanego, lecz cofał się w kierunku pałacu pana de La Trémouille, w którego służbie znajdował

się jego krewniak, d'Artagnan, nie zdając sobie sprawy z powagi tej drugiej rany, naciskał nań żywo i byłby niewątpliwie powalił go trzecim ciosem, kiedy odgłosy z ulicy dobiegły do sali gry w piłkę. Dwaj przyjaciele gwardzisty, którzy zauważyli, jak rozmawiał z d'Artagnanem i wyszedł w chwilę później, wypadli z bronią w ręce i rzucili się na zwycięzcę. Ale natychmiast pojawili się tam również Atos, Portos i Aramis i zmusili do odwrotu gwardzistów nacierających na ich młodego towarzysza. W tej chwili Bernajoux upadł, a jako że było dwóch gwardzistów na czterech muszkieterów, gwardziści poczęli krzyczeć: „Sam tu, ludzie pana de La Tremouille!” Na te krzyki kto żyw wybiegł z pałacu. Ludzie pana de La Tremouille rzucili się na czterech przyjaciół, którzy z kolei zaczęli wołać: „Sam tu, muszkieterowie!”

Ten okrzyk nie pozostawał zazwyczaj bez odpowiedzi; wiadano bowiem, że muszkieterowie są wrogami Jego Eminencji, a nienawiść, jaką żywili do kardynała, budziła dla nich sympatię. Toteż gwardziści z tych kompanii, które nie służyły Czerwonemu Księżciu, jak nazywał kardynała Aramis, brali w podobnych wypadkach stronę muszkieterów królewskich. Z trzech przechodzących gwardzistów z kompanii pana des Essarts dwaj przyszli z pomocą naszym znajomym, a trzeci pobiegł do pałacu pana de Treville wołając: „Sam tu, muszkieterowie, sam tu!” Pałac pana de Treville jak zawsze był pełen żołnierzy, którzy pośpieszyli na pomoc towarzyszom; zamieszanie stało się powszechne, ale przewaga była po stronie muszkieterów: gwardziści kardynała i ludzie pana

de La Tremouille wycofali się do pałacu, którego bramy zamknęli w ostatniej chwili, nie wpuszczając nieprzyjaciół. Rannego Bernajoux przeniesiono od razu do pałacu; nie było z nim najlepiej, jak to już powiedzieliśmy.

Wzburzenie muszkieterów i ich sprzymierzeńców sięgało szczytu i rozprawiano już o tym, czy nie należałoby podpalić pałacu pana de La Tremouille, by ukarać zuchwalstwo jego sług, którzy ośmielili się zaatakować muszkieterów królewskich. Propozycja została przyjęta z zapalem, kiedy na szczęście wybiła dwunasta. D'Artagnan i jego towarzysze przypomnieli sobie o czekającej ich audiencji, a ponieważ żalowałiby, gdyby tak piękna zabawa ich ominęła, postanowili ostudzić zapal towarzyszy. Poprzestano więc na rzuceniu kilku kamieni w bramy pałacu, ale bramy oparły się pociskom. W końcu i to się znudziło, zresztą ci, których można było uważać za prowodyrów, przed chwilą odeszli i zmierzali w kierunku pałacu pana de Treville, który czekał na nich, powiadomiony już o napaści.

- Szybko do Luwru - zawołał - do Luwru nie tracąc ani chwili i postarajmy się zobaczyć króla, zanim zostanie uprzedzony przez kardynała. Przedstawimy mu zdarzenie jako dalszy ciąg wypadków wczorajszych i razem jakoś to ujdzie.

Pan de Treville w towarzystwie czterech młodych ludzi skierował się więc do Luwru; ku wielkiemu jednak zdziwieniu kapitana muszkieterów oświadczone mu, że król wybrał się na jeniec do lasu Saint-Germain. Pan de Treville kazał sobie dwakroć powtórzyć tę wiadomość; młodzi ludzie widzieli, jak twarz jego chmurzy się coraz bardziej.

- Czy Jego Królewska Mość wczoraj jeszcze miał zamiar jechać na polowanie? - zapytał.

- Nie, Wasza Ekscelencjo - odparł pokojowiec - wielki łowczy przybył dziś rano z wiadomością, że w nocy wytropiono jelenia. Najjaśniejszy Pan najpierw powiedział, że nie jedzie, ale potem nie mógł oprzeć się przyjemności, jaką sobie obiecywał z polowania, i wyruszył zaraz po obiedzie.

- Czy król widział się z kardynałem? - zapytał pan de Treville.

- Zapewne - odparł pokojowiec - widziałem bowiem dziś rano zaprzężoną karocę Jego Eminencji. Gdy zapytałem, dokąd jedzie, powiedziano mi, że do Saint-Germain.

- Uprzedzono nas - rzekł pan de Treville. - Panowie, zobaczę się z królem wieczorem, wam jednak nie radzę tego próbować.

Rada była zbyt rozsądna, ponadto zaś pochodziła od człowieka, który zbyt dobrze znał króla, by czterej młodzieńcy mogli ją zlekceważyć. Pan de Treville polecił im więc, by poszli do domu i czekali na wiadomość od niego.

Wracając do swego pałacu pan de Treville pomyślał, że może byłoby lepiej, gdyby pierwszy wystąpił ze skargą. Posłał więc do pana de La Tremouille pachołka z listem, w którym prosił go, by usunął z domu gwardzistę pana kardynała i ukarał swych ludzi za zuchwałą napaść na muszkieterów. Ale pan de La Tremouille, powiadomiony już przez giermka - jak wiemy, krewniaka Bernajoux - odpowiedział, że skargi nie powinien zanosić pan de Treville ani jego muszkieterowie, lecz właśnie on, bo na jego ludzi napadli muszkieterowie i chcieli podpalić mu pałac. A jako że wymiana zdań między dwoma panami mogła trwać długo, przy czym każdy coraz bardziej upierałby się przy swoim, pan de Treville wybrał inny sposób, pozwalający na szybkie załatwienie sprawy: postanowił udać się do pana de La Tremouille.

Pośpieszył więc zaraz do jego pałacu i kazał oznajmić swe przybycie.

Dwaj panowie powitali się uprzejmie, bo jeśli nawet nie byli przyjaciółmi, to w każdym razie szanowali się wzajemnie. Obaj byli ludźmi odważnymi i ludźmi honoru, a jako że pan de La Tremouille, protestant rzadko widujący się z królem, nie należał do żadnej partii, w stosunkach z

ludźmi nie kierował się na ogół uprzedzeniami. Tym razem jednak jego zachowanie, choć uprzejme, było bardziej ozięble niż zazwyczaj.

- Panie - rzekł pan de Treville - jesteśmy obaj przekonani, że mamy powody skarżyć się na siebie, przybyłem więc osobiście, byśmy wspólnie wyjaśnili sprawę.

- Chętnie - odparł pan de La Tremouille - ale uprzedzam pana, że jestem dobrze poinformowany i cała wina spada na muszkieterów.

- Jesteś pan nazbyt sprawiedliwy i rozsądny - rzekł pan de Treville - żeby nie przyjąć propozycji, z którą do ciebie przychodzę.

- Mów, słucham pana.

- Jak się miewa pan Bernajoux, krewniak pańskiego giermka?

- Bardzo źle. Prócz ciosu w ramię, niezbyt groźnego, ma przebite płuco, także medyk nie wróży nic dobrego.

- Ale ranny zachował przytomność?

- I owszem.

- Mówi?

- Z trudem, ale mówi.

- A zatem udajmy się do niego. Zaknijmy go na imię Boga, który może go w każdej chwili wezwać do siebie, by powiedział prawdę. Niech będzie sędzią w swej własnej sprawie, ja uwierzę w to, co powie.

Pan de La Tremouille zastanawiał się przez chwilę, po czym się zgodził widząc, że trudno o rozsądniejszą propozycję.

Obaj zeszli do pokoju, gdzie znajdował się ranny. Ten widząc, że wchodzi dwaj szlachetnie urodzeni panowie, spróbował unieść się na łóżku, ale zbyt był słaby i, wyczerpany przez wysiłek, padł prawie bez czucia.

Pan de La Tremouille zbliżył się do Bernajoux i dał mu do powąchania sole, które go otrzeźwiły. Wówczas pan de Treville, nie chcąc, by go oskarżono, że próbował wpłynąć na rannego, poprosił pana de La Tremouille, by wypytał go sam.

Stało się tak, jak przewidywał pan de Treville. Bernajoux, znajdując się między życiem a śmiercią, nie miał bynajmniej zamiaru ukrywać prawdy; opowiedział więc szczerze obu panom przebieg zdarzenia.

Tego tylko chciał pan de Treville; złożył gwardziście życzenia rychłego powrotu do zdrowia, pożegnał pana de La Tremouille, wrócił do domu i kazał natychmiast zawiadomić czterech przyjaciół, że prosi ich do siebie na obiad.

Pan de Treville przyjmował najświetniejsze towarzystwo, nie usposobione zresztą przyjaźnie do kardynała. Można więc łatwo zrozumieć, że rozmowa podczas obiadu dotyczyła dwóch porażek, poniesionych przez gwardzistów Jego Eminencji. Ponieważ zaś d'Artagnan był bohaterem ostatnich

dwóch dni, jemu przypadły w udziale wszystkie pochwały, których Atos, Portos i Arami wyrzekli się chętnie nie tylko dlatego, że byli dobrymi przyjaciółmi, ale i dlatego, że podziwiani i chwaleni często, mogli bez żalu obyć się tym razem bez należytych im hołdów.

Około szóstej pan de Treville oświadczył, że udaje się do Luwru, ponieważ jednak minęła godzina wyznaczona przez Jego Królewską Mość na audiencję, zamiast iść bocznymi schodami, wszedł wraz z czterema młodymi ludźmi do przedpokojów królewskich. Król nie wrócił jeszcze z polowania. Nasi młodzieńcy czekali już pół godziny wśród tłumu dworzan, kiedy wszystkie drzwi otworzyły się i oznajmiono przybycie Najjaśniejszego Pana.

Gdy d'Artagnan to usłyszał, przeszył go dreszcz aż do szpiku kości. Nadchodząca chwila miała wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zdecydować o całym jego życiu. Z obawą utkwiał oczy w drzwiach, którymi miał wejść król.

Ludwik XIII szedł pierwszy; był w zakurzonym stroju myśliwskim, w wysokich butach i ze szpicróżgą w ręce. Od pierwszego rzutu oka d'Artagnan pojął, że król nie posiada się ze złości.

Choć dworzanie zdawali sobie również sprawę ze złego humoru Jego Królewskiej Mości, ustawili się w szpaler, gdy król przechodził: lepiej bowiem, żeby widziano cię gniewnym okiem na przedpokojach królewskich, niż żeby nie widziano cię wcale. Trzej muszkietierowie nie wahali się więc i postąpili krok naprzód, d'Artagnan stał ukryty za nimi; ale choć król rozpoznał Atosa, Portowa i Aramisa, minął ich, nie zaszczycając spojrzeniem ani słowem, jak gdyby nie widział ich nigdy w życiu. Wszelako gdy wzrok króla zatrzymał się na panu de Treville, kapitan wytrzymał to spojrzenie z taką mocą, że król odwrócił oczy. Zaczynając Jego Królewską Mość, mruczając coś pod nosem, wszedł do swoich pokojów.

- Niedobrze - rzekł Atos z uśmiechem - zdaje się, że tym razem nie zostaniemy jeszcze kawalerami orderu.

- Zaczekajcie tu dziesięć minut - rzekł pan de Treville. - Jeśli za dziesięć minut nie wrócę, idźcie do mego pałacu: dalsze czekanie byłoby bezcelowe.

Młodzi ludzie czekali dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut. Widząc, że pan de Treville się nie pojawia, wyszli, bardzo niespokojni o dalszy obrót spraw.

Pan de Treville wszedł nieśmiało do gabinetu króla i zastał Jego Królewską Mość w bardzo złym humorze. Ludwik XIII siedział na fotelu i uderzał się po butach szpicróżgą. Pan de Treville, nie zrażając się, z największym spokojem zapytał o jego zdrowie.

- Kiepsko, mości panie, kiepsko - odparł król - nudzę się.

Była to istotnie najgorsza choroba Ludwika XIII. Monarcha często pociągał do okna któregoś z

dworzan, mówiąc: „Mości taki a taki, nudźmy się razem”.

- Jak to! Wasza Królewska Mość się nudzi! - rzekł pan de Treville. - Czyżbyś nie znalazł przyjemności w dzisiejszym polowaniu, Najjaśniejszy Panie?

- Ładna mi przyjemność, Treville! Słowo daję, wszystko chyli się ku upadkowi i nie wiem, czy to zwierzyzna nie zostawia tropów, czy psy straciły węch. Wypłoszyliśmy dziesięcioletniego rogacza, ścigamy go przez sześć godzin i kiedy pochwyciliśmy go już niemal, kiedy Samt-Simon przykłada róg do ust, by zagrać sygnał, nagle cała sfera zmienia kierunek i goni młodziutkiego jelenia.

Zobaczysz, że będę musiał poniechać polowania z nagonką, jak poniechałem polowania z ptakami. Ach, jestem bardzo nieszczęśliwym królem, mości Treville! Miałem tylko jednego białozora, a i ten zdechł przedwczoraj.

- W samej rzeczy, Najjaśniejszy Panie, rozumiem twą rozpacz, nieszczęście jest bowiem wielkie, ale zdaje mi się, że posiadasz jeszcze dość znaczną liczbę sokołów, jastrzębków i rarogów.

- I ani jednego człowieka, żeby je wyuczył. Nie ma już sokolników, tylko ja jeden znam się jeszcze na sztuce polowania. Gdy mnie zabraknie, wszystko się skończy i będzie się zastawiać jedynie sidła, sposobić wnyki i wilcze doły. Gdybym miał czas, by wykształcić uczniów! Ale nie, pan kardynał nie pozostawia mi chwili wytchnienia, mówi o Hiszpanii, mówi o Austrii, mówi o Anglii! A skoro już mówimy o panu kardynale, powiem ci, że jestem niezadowolony z ciebie, mości Treville.

Pan de Treville spodziewał się tego. Znał króla wybornie i zrozumiał, że wszystkie te żale były tylko wstępem, którym król dodawał sobie odwagi, żeby wreszcie dojść do tego, do czego chciał dojść.

- Za jaką to przyczyną miałem nieszczęście nie spodobać się Waszej Królewskiej Mości? - zapytał udając głębokie zdumienie.

- Alboż to tak wypełnia się obowiązki, mości panie - ciągnął król, nie odpowiadając wprost na pytanie pana de Treville - czy po to mianowałem cię kapitanem moich muszkietarów? Muszkietarowie mordują człowieka, buntują całą dzielnicę i chcą spalić Paryż, a ty milczysz? Może zresztą - mówił dalej król - oskarżam cię zbyt pośpiesznie, wichrzyciele są zapewne w więzieniu, ty zaś mi powiesz, że sprawiedliwości stało się zadość.

- Najjaśniejszy Panie - odparł pan de Treville - przyszedłem tu, by prosić się o wymierzenie sprawiedliwości, ale zgoła komu innemu.

- Komuż to? - zawołał król.

- Oszczyrcem - rzekł pan de Treville.

- Proszę, oto coś nowego! Nie powiesz mi chyba, że ci twoi trzej przekłęci muszkietierowie i ów młokos z Bearn nie rzucili się jak wściekli na biednego Bernajoux i nie obeszlili się z nim w taki sposób, że kona, być może, w tej chwili! Nie powiesz mi, że nie oblegali pałacu księcia de La Tremouille i nie chcieli go podpalić, co nie byłoby zbyt wielkim nieszczęściem w czasie wojny, zważywszy, że to gniazdo hugenotów, ale w czasie pokoju jest to przykład gorszący. No cóż, może temu wszystkiemu zaprzeczysz?

- I któż opowiedział ci tę piękną bajkę, Najjaśniejszy Panie? – zapytał spokojnie pan de Treville.

- Kto mi opowiedział, mój panie! A któż, jeśli nie ten, kto czuwa, kiedy śpię, kto pracuje, kiedy się bawię, kto kieruje sprawami wewnątrz i na zewnątrz królestwa, we Francji i w Europie.

- Wasza Królewska Mość ma na pewno Boga na myśli - rzekł pan de Treville - nikt bowiem inny nie jest o tyle potężniejszy od Waszej Królewskiej Mości.

- Nie, mości panie, mam na myśli podporę państwa, mojego jedyne go sługę, jedyne go przyjaciela, pana kardynała.

- Jego Eminencja nie jest Jego Świątobliwością, Najjaśniejszy Panie.

- Co masz na myśli?

- Że tylko papież jest nieomylny i że ta nieomylność nie rozciąga się na kardynałów.

- Chcesz powiedzieć, że mnie oszukuje, że mnie zdradza. Oskarżasz go zatem. Proszę, mów, o co go oskarżasz.

- Nie oskarżam, Najjaśniejszy Panie, ale powiadam, że się myli; powiadam, że został wprowadzony w błąd, że zbyt spieszenie oskarżył muszkietierów, wobec których jest niesprawiedliwy, i że jego wiadomości nie pochodzą z dobrego źródła.

- Oskarża przecie księżę, pan de La Tremouille we własnej osobie. Co powiesz na to?

- Mógłbym powiedzieć, że sprawa zanadto go obchodzi, by mógł być świadkiem bezstronnym, ale nie uczynię tego, bynajmniej; znam księcia, Najjaśniejszy Panie, jest to uczciwy szlachcic i odwołam się do niego, ale pod jednym warunkiem.

- Jakiż to warunek?

- Że Wasza Królewska Mość go wezwie, wybada, ale sam, w cztery oczy, bez świadków, i że zostanę przyjęty zaraz po księciu.

- No, no - rzekł król - i przystajesz na to, co powie pan de La Tremouille?

- Tak, Najjaśniejszy Panie.

- Przyjmiesz jego sąd?

- Oczywiście.

- I zgodzisz się na karę, jakiej zażadam?

- Całkowicie.

- La Chesnaye! - zawołał król. - La Chesnaye!

Zaufany pokojowiec Ludwika XIII, który stał zawsze przy drzwiach, wszedł do pokoju.

- La Chesnaye - rzekł król - niechaj mi zaraz znajdą pana de La Tremouille. Chcę z nim mówić dziś wieczór.

- Wasza Królewska Mość daje mi słowo, że nie zobaczy się z nikim pomiędzy wizytą pana de La Tremouille i moją?

- Z nikim, na honor.

- Do jutra zatem, Najjaśniejszy Panie.

- Do jutra.

- O której godzinie Wasza Królewska Mość rozkaże?

- O której zechcesz.

- Ale gdybym przyszedł zbyt wcześnie, obawiam się, że zbudziłbym Waszą Królewską Mość.

- Zbudzisz mnie? Alboż to ja sypiam? Nie sypiam, mości panie, śnię niekiedy, ot i wszystko. Przyjdź tedy tak wcześnie, jak tylko masz ochotę, o siódmej na przykład; ale biada ci, jeśli twoi muszkietierowie są winni.

- Jeśli muszkietierowie są winni, zostaną oddani w ręce Waszej Królewskiej Mości, który postanowi o nich wedle swego uznania. Czy Wasza Królewska Mość żąda czegoś jeszcze? Jestem na rozkazy.

- Nie, nie, albowiem nie bez powodu nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym. Do jutra więc, mój panie, do jutra.

- Niech Bóg ma w opiece Waszą Królewską Mość!

Jeśli król spał kiepsko, pan de Treville spał jeszcze gorzej. Wieczorem kazał uprzedzić trzech muszkieterów i ich towarzysza, by stawili się u niego o wpół do ósmej rano. Zabrał ich ze sobą, o niczym nie zapewniając, nic nie obiecując i nie ukrywając przed nimi, że ich kariera, a nawet jego własna są postawione na kartę.

Przy wejściu na boczne schody kazał im zaczekać. Jeśli król wciąż jeszcze jest na nich zagniewany, odejdą bez widzenia; jeśli zechce przyjąć muszkieterów, wystarczy posłać po nich.

Gdy pan de Treville wszedł do przedpokoju przylegającego do komnat królewskich, zastał tam La Chesnaye'a, od którego dowiedział się, że nie znaleziono poprzedniego dnia księcia de La Tremouille w jego pałacu, że wrócił zbyt późno, by udać się do Luwru, że przybył dopiero przed chwilą i jest właśnie u króla.

Wiadomość ta bardzo przypadła do smaku panu de Treville, gdyż mógł być pewien, że pomiędzy oświadczenia pana de La Tremouille i jego własne nie wkradną się żadne inne.

W istocie po dziesięciu minutach drzwi do gabinetu króla otworzyły się i pan de Treville ujrzał wychodzącego księcia de La Tremouille, który zbliżył się do niego i rzekł:

- Panie de Treville, Jego Królewska Mość wezwał mnie, bym zaświadczył, jaki był przebieg wczorajszych wypadków w pałacu. Powiedziałem prawdę, to znaczy, że wina spada na moich ludzi i że jestem gotów za to pana przeprosić. Skoro cię spotkałem, zechciej przyjąć przeprosiny i uważać mnie zawsze za przyjaciela.

- Mości księżę - rzekł pan de Treville - byłem tak pewien twej prawości, że nie pragnąłem innego obrońcy wobec Najjaśniejszego Pana, prócz ciebie. Widzę, że nie omyliłem się, i dziękuję ci za to, że jest jeszcze we Francji ktoś, o kim można z całym przekonaniem powiedzieć to, co powiedziałem o tobie.

- Pięknie, pięknie - rzekł król, który słuchał tych uprzejmości stojąc pomiędzy podwójnymi drzwiami.
- Powiedz mu tylko, Treville, skoro uważa się za twego przyjaciela, że ja także chciałbym należeć do jego przyjaciół, ale on mnie zaniedbuje; nie widziałem go od trzech lat i widzę tylko wówczas, kiedy po niego poślę. Powiedz mu to wszystko w moim imieniu, są to bowiem słowa, których król sam nie może powiedzieć.

- Dzięki, Najjaśniejszy Panie, dzięki stokrotne, ale niech Wasza Królewska Mość będzie pewien, że nie ci, których widzi o każdej porze (nie mam na myśli pana de Treville), są mu najbardziej oddani.

- Ach, usłyszałeś, co mówiłem. Tym lepiej, księżę, tym lepiej - rzekł król stając w drzwiach. - Ach, to ty, Treville! Gdzież są nasi muszkieterowie? Powiedziałem ci przedwczoraj, żebyś mi ich przyprowadził. Dlaczego nie uczyniłeś tego?

- Są na dole, Najjaśniejszy Panie, i jeśli rozkażesz, La Chesnaye pójdzie ich zawołać.

- Tak, tak, niech przyjdą zaraz. Wkrótce już ósma, a o dziewiątej oczekuję tu kogoś. Żegnam cię, książę, i nie zapomnij powrócić. Wejdz, mości Treville.

Książę skłonił się i wyszedł. W chwili gdy otwierał drzwi, trzech muszkietierowie i d'Artagnan w towarzystwie La Chesnaye'a ukazali się na schodach.

- Chodźcie, moje zuchy - rzekł król - muszę was wyłajać.

Muszkietierowie zbliżyli się i skłonili, d'Artagnan szedł z tyłu za nimi.

- Tam do licha - ciągnął król - w ciągu dwóch dni daliście radę siedmiu gwardzistom Jego Eminencji! To za dużo, mości panowie, to za dużo. Gdyby tak dalej poszło, Jego Eminencja musiałaby za trzy tygodnie zaciągnąć nowych ludzi do swej kompanii, a ja zastosować edykty w całej surowości. Co innego jeden gwardzista, przypadkiem, nie mam nic przeciwko temu; ale siedmiu w ciągu dwóch dni to za dużo, o wiele za dużo, powtarzam raz jeszcze.

- Toteż widzisz, Najjaśniejszy Panie, że przychodzą skruszeni i pełni żalu, by cię przeprosić.

- Skruszeni i pełni żalu! Hm! - powiedział król - nie ufam zanadto Ich obłudnym minom; a zresztą widzę wśród nich Gaskończyka. Pójdź no tu, mości panie!

D'Artagnan, który rozumiał, że do niego odnoszą się te słowa, zbliżył się przybrawszy najbardziej zrozpaczony wyraz twarzy.

- Czemuż mówiłeś mi, że to młodzieniec? Ależ to dziecko! I to on właśnie zadał ten tęgi cios Jussacowi?

- I dwa piękne ciosy Bemajoux.

- Doprawdy?

- Nie mówiąc już o tym - rzekł Atos - że gdyby nie wydarł mnie z rąk Bicareta, na pewno nie miałbym w tej chwili zaszczytu składać Waszej Królewskiej Mości najpokorniejszego ukłonu.

- Ależ to istny szatan ten Bearneńczyk, niech go kule biją, jak powiedziałyby mój nieboszczyk ojciec. W tym zawodzie trzeba zedrzyć niejednego kaftan i złamać niejedną szpadę. A Gaskończycy są wciąż jeszcze biedni, co?

- Najjaśniejszy Panie, muszę powiedzieć, że nie odkryto jeszcze kopalni złota w ich górach, choć Pan Bóg mógłby sprawić ten cud w nagrodę za to, jak walczyli w obronie praw twego ojca.

- Co znaczy, innymi słowy, że to Gaskończycy zrobili mnie królem, skoro jestem synem swego ojca -

nieprawda, Treville? No cóż, proszę bardzo, nie przeczę. La Chesnaye, idź zobacz, czy w moich kieszeniach nie znajdzie się jakie czterdzieści pistoli i przynieś je tutaj. A teraz, mój chłopcze, powiedz z ręką na sercu, jak to wszystko się odbyło?

D'Artagnan opowiedział wypadki wczorajszego dnia z najdrobniejszymi szczegółami: jak nie mogąc zasnąć z radości, że zobaczy Jego Królewską Mość, przybył do przyjaciół na trzy godziny przed wyznaczoną audiencją, jak poszli razem do traktierni, jak przeraził się, że zostanie ugodzony w twarz, i jak zakpił sobie z niego Bemajoux, który tych kpín o mało nie przypłacił życiem, a Bogu ducha winien pan de La Tremouille utratą pałacu.

- Tak jest, samej rzeczy – mruknął król.-Tak właśnie opowiadał mi książe. Biedny kardynał! Siedmiu ludzi w dwa dni, i to tak ulubionych, ale dość tego, panowie, słyszycie! Dość! Zapłaciliście już za ulicę Ferou z nawiązką. Powinniście być zadowoleni.

- Jeśli Wasza Królewska Mość jest zadowolony, my jesteśmy także.

- Tak, i owszem - dodał król biorąc od La Chesnaye'a garść złota i wkładając je do ręki d'Artagnana.

- A to na dowód, żem rad.

W owych czasach obowiązujące dziś pojęcie honoru nie było zgoła znane. Szlachcic otrzymywał od króla pieniądze z ręki do ręki i nie był tym w najmniejszym stopniu upokorzony. D'Artagnan włożył więc czterdzieści pistoli do kieszeni bez żadnych ceremonii, dziękując gorąco Jego Królewskiej Mości.

- A teraz - rzekł król spoglądając na zegar - odejdźcie, jest bowiem wpół do dziewiątej; powiedziałem wam, że czekam na kogoś o dziewiątej. Dziękuję za waszą wierność, panowie. Mogę na nią liczyć, prawda?

- Och, Najjaśniejszy Panie - zawołałi jednym głosem czterej towarzysze – dla Waszej Królewskiej Mości damy się posiekać w kawałki.

- Dobrze, dobrze, ale pozostaniecie cali. To znacznie lepsze, a i dla mnie będziecie bardziej użyteczni. Treville - dodał król półgłosem, kiedy tamci wychodzili - ponieważ nie masz wolnego miejsca w szeregach muszkietarów, a postanowiliśmy zresztą, że trzeba odbyć nowicjat, by zostać muszkietarem, umieść tego młodzieńca w kompanii gwardzystów pana des Essarts, twego szwagra. Ale u kaduka, Treville, cieszę się zawczasu z miny, jaką zrobi kardynał: będzie wściekły, ale to mnie nie obchodzi; racja jest po mojej stronie.

VII.

PRYWATNE ŻYCIE MUSZKIETERÓW

Po opuszczeniu Luwru d'Artagnan zasięgnął opinii towarzyszy, co ma uczynić ze swymi pistolami. Atos poradził mu, by zamówił dobry obiad w gospodzie „Pod Szyszką”, Portos, by przyjął służącego, Aramis zaś był zdania, że powinien wziąć sobie kochankę.

Obiad odbył się jeszcze tego samego dnia i do stołu podawał służący. Obiad został zamówiony przez Atosa, a służącego dostarczył Portos. Był to Pikardyjczyk, którego pyszny muszkietier znalazł na moście Tournelle, gdy przyszedł służący zajmował się pluciem do wody w sposób nader misterny, tak że powstawały na niej kółka.

Portos był zdania, że to zajęcie świadczy o skłonności do rozmyślań i skupieniu ducha, i sprowadził go w mniemaniu, że jest to dostateczna rekomendacja. Wspaniała mina tego szlachcica zachwycała Plancheta, tak bowiem nazywał się Pikardyjczyk, który sądził, że Portos bierze go do siebie; był nieco rozczarowany stwierdziwszy, że Portos ma już służącego imieniem Mousqueton. Portos wyjaśnił mu, że choć żyje na wysokiej stopie, nie potrzebuje dwóch służących i Planchet zostanie służącym d'Artagnana. Gdy ujrzał jednak przy obiedzie, który wydawał jego nowy pan, jak ten ostatni płacąc wyciąga z kieszeni garść złota, pomyślał sobie, że fortuna mu sprzyja, i podziękował niebu, że dostał się na służbę do prawdziwego krezusa; w tym mniemaniu pozostał do końca uczyty, której resztkami wynagrodził sobie długi post. Ale gdy wieczorem słał łóżko swego pana, marzenia jego przysły.

W apartamencie, składającym się z przedpokoju i sypialni, było tylko jedno łóżko. Planchet spał w przedpokoju na kołdrze zdjętej z łóżka d'Artagnana, który odtąd musiał się bez niej obywać.

Atos miał służącego, którego urobił w szczególny sposób i który nazywał się Grimaud. Ów godny pan, mamy na myśli oczywiście Atosa, był z natury wielce małomówny. Od pięciu czy sześciu lat żył w najbliższej przyjaźni z druhami, Portosem i Aramisem, i ci ostatni, choć często widzieli uśmiech na jego ustach, nigdy nie słyszeli jego śmiechu. Mówił zwięźle, jasno, zawsze to tylko, co chciał powiedzieć, i nic więcej; żadnych ozdób, haftów, arabesek.

Choć Atos liczył sobie zaledwie trzydzieści lat i odznaczał się wielką pięknnością ciała i umysłu, nie słyszano nigdy, żeby miał kochankę. Nigdy też nie mówił o kobietach. Nie przeszkadzał, kiedy rozprawiano o nich w jego obecności, chociaż łatwo było zauważyć, że ten temat rozmów, do których wtrącał jedynie gorzkie słowa i niechętne uwagi, był mu nader nieprzyjemny. Jego powściągliwość, dzikość i małomówność czyniły z niego starca niemal; aby nie zmieniać więc swych obyczajów, przyuczył Grimauda odczytywać rozkazy z gestu czy ruchu ust. Mówił do niego jedynie w wyjątkowych okazjach.

Niekiedy Grimaud, który bał się swego pana jak ognia, choć bardzo był do niego przywiązany i wielce go podziwiał, mniemając, że zrozumiał wybornie życzenie, czynił coś zupełnie przeciwnego. Wówczas Atos wzruszał ramionami i nie wpadając bynajmniej w gniew, łoził Grimaudowi skórę. W takich dniach stawał się nieco rozmowniejszy.

Portos, jak to można było zauważyć, miał charakter całkiem odmienny niż Atos: nie tylko mówił wiele, ale mówił głośno. Mało go zresztą obchodziło, oddajmy mu tę sprawiedliwość, czy go słuchano, czy nie; mówił dla przyjemności mówienia i słyszenia samego siebie, mówił o wszystkim prócz zagadnień wchodzących w zakres nauk, okazując dla wiedzy zakorzenioną nienawiść,

którą, jak powiadał, od dzieciństwa żywi dla uczonych. Minę miał mniej wietkopańską niż Atos i na początku ich przyjaźni poczucie własnej niższości często czyniło go niesprawiedliwym dla tego szlachcica, którego usiłował wówczas prześcignąć wspaniałością stroju. Ale Atos, nawet gdy nosił zwykłą opończę muszkietera, już dzięki temu chociażby, jak trzymał głowę i stawiał stopę, zajmował należne mu miejsce i usuwał próżnego Portosa w cień. Portos pocieszał się okrzykując w przedpokoju pana de Treville i wśród gwardzistów w Luwrze swoje zwycięstwa miłosne, o czym Atos nigdy nie mówił. Teraz właśnie odmienił swe gusty i od bogatych mieszczek przeszedł do szlachcianek

wysokich rodów, od żon sadowników do żon baronów; głosił ni mniej, ni więcej, że pewna cudzoziemska księżniczka zaszczyca go swymi względami.

Stare przysłowie powiada: „Jaki pan, taki kram”; przejdźmy więc od służącego Atosa do służącego Portosa, od Grimauda do Mousquetona.

Mousqueton był Normandczykiem. Spokojne imię Bonifacy pan jego zastąpił dźwięczniejszym - Mousqueton. Został służącym Portosa w zamian za mieszkanie i ubranie, ale pod warunkiem, że będą one świetne; żądał dwóch godzin dziennie, by móc je poświęcić na zajęcia, które pokryłyby inne jego potrzeby. Portos przystał na to, bardzo mu to było na rękę. Kazał zrobić Mousquetonowi kaftany ze swoich starych ubrań i płaszczy; dzięki zaś zręcznemu krawcowi, który nicując te suknie przywracał im blask nowości, i jego żonie (podejrzewano, że krawcowa pragnie, by Portos wyrzekł się swych arystokratycznych upodobań) Mousqueton prezentował się bardzo okazale, gdy szedł za swym panem.

Charakter Aramis, wedle naszego mniemania, oświetliliśmy dostatecznie (możemy zresztą śledzić ten charakter w rozwoju podobnie jak reszty przyjaciół). Służący muszkietera nazywał się Bazin. Ponieważ pan miał nadzieję, że przyjmie pewnego dnia święcenia, Bazin ubierał się zawsze czarno, jak przystało służącemu osoby duchownej. Był rodem z Berry, miał lat nie mniej niż trzydzieści pięć i nie więcej niż czterdzieści, charakter łagodny i spokojny, był zażywny; w wolnych chwilach zajmował się czytaniem nabożnych książek, a jeśli było trzeba, przygotowywał dla swego pana i dla

siebie obiad składający się z niewielu dań, ale wyśmienity. Poza tym był milczący, głuchy, ślepy i bezgranicznie oddany.

Teraz, kiedy znamy już z grubsza panów i ich sługi, przejdźmy do mieszkań, które zajmowali.

Atos mieszkał przy ulicy Fšrou, niedaleko Luksemburga. Mieszkanie jego składało się z dwóch małych, schludnie urządzonych izb w domu, gdzie wynajmowano pokoje umeblowane; gospodyni,

jeszcze młoda i bardzo urodziwa, bez skutku robiła doń słodkie oczy. Kilka śladów dawnej świetności

zachowało się na ścianach tego skromnego mieszkania. Była tam na przykład szpada z pięknej damasceńskiej stali, pochodząca zapewne z czasów Franciszka I; sama jej rękojeść, inkrustowana drogimi kamieniami, warta była dwieście pistoli, jednakże Atos nigdy nie zgodziłby się jej zastawić lub sprzedać, nawet gdyby go bieda najbardziej przycisnęła. Ta szpada przez długi czas była marzeniem Portosa, dałby dziesięć lat życia za jej posiadanie. Kiedyś, gdy miał się spotkać z jakąś księżną, spróbował pożyczyć jej od Atosa. Atos nie powiedziawszy słowa opróżnił kieszenie, zebrał klejnoty, sakiewki, spinki i złote łańcuchy i wszystko to ofiarował Portosowi; ale szpada - powiedział - jest przytwierdzona do swego miejsca, i nie zmieni go aż do chwili, kiedy jej właściciel opuści mieszkanie. Poza szpadą był tam jeszcze portret przedstawiający wielmożę z czasów Henryka III, w bardzo bogatym stroju, udekorowanego Orderem Ducha Świętego, ów portret przypominał rysami twarzy Atosa, a pewne podobieństwo rodzinne wskazywało na to, że ów wielmoża, kawaler orderu

królewskiego, był jego przodkiem.

Wreszcie złota szkatułka przepięknej roboty, ozdobiona tymi samymi herbami co szabla i portret, stała na kominku, zgoła różna od reszty przedmiotów znajdujących się w tym mieszkaniu. Klucz od szkatułki Atos nosił zawsze przy sobie. Ale pewnego dnia otworzył ją w obecności Portosa i ten mógł się upewnić, że zawiera ona jedynie listy i papiery: zapewne listy miłosne i papiery rodzinne.

Portos zajmował przy ulicy Vieux-Colombier mieszkanie dość obszerne i prezentujące się okazale. Za każdym razem, gdy przechodził z którymś z przyjaciół pod oknami (przy jednym z nich niezmiennie stał Mousqueton w pełnej liberii), Portos podnosił głowę i wskazywał ręką: „Oto moje mieszkanie”. Ale nikt tam nigdy nie był, albowiem Portos nie zapraszał do siebie nikogo, tak że nie można było stwierdzić, czy pod okazałym wyglądem kryją się rzeczywiste skarby.

Jeśli idzie o Aramisa, zajmował on niewielkie mieszkanie złożone z gabinetu, jadalni i pokoju sypialnego, położonego jak pozostałe na parterze; ów pokój wychodził na mały ogród pełen zieleni, świeżości i cienia i całkowicie ukryty przed oczyma sąsiadów.

Co do d'Artagnana, wiemy już, jak mieszkał, i poznaliśmy jego służącego, imię Plancheta.

D'Artagnan, bardzo ciekawy z natury, jak zresztą wszyscy ludzie obdarzeni talentem do intryg, czynił wszystko, co w jego mocy, by się dowiedzieć, kim byli naprawdę Atos, Portos i Aramis; pod tymi imionami żołnierzy ukrywały się szlacheckie nazwiska, to było pewne, zwłaszcza jeśli idzie o Atosa, w którym na miłą czuło się wielkiego pana. D'Artagnan zwrócił się zatem do Portosa, by zasięgnąć wiadomości o Atosie i Aramisie, i do Aramisa, by poznać Portosa.

Niestety, Portos nie wiedział o życiu milczącego towarzysza więcej niż inni. Mówiono, że był bardzo nieszczęśliwy w miłości i że straszliwa zdrada zatrula na zawsze życie tego dwornego człowieka. Jakaż to była zdrada? Nikt nie wiedział.

Co do Portosa, to prócz jego prawdziwego nazwiska, które znał tylko pan de Treyille, podobnie jak nazwiska dwóch jego towarzyszy, życie jego nie miało tajemnic. Portos był pyszałek i gaduła, toteż

widać go było całego jak na dłoni. Jedyne błęd, jaki mógłby popełnić badacz jego charakteru, polegałby na tym, że uwierzyłby we wszystko dobre, co Portos sam mówił o sobie.

Natomiast Aramis, choć z pozoru można było sądzić, że nie ma żadnych sekretów, był młodzieńcem bardzo tajemniczym; odpowiadał skąpo na pytania dotyczące innych i unikał pytań na temat własnej osoby. Pewnego dnia d'Artagnan wypytujący go długo o Portosa, krążyły bowiem pogłoski, że ów muszkietier pozyskał względy pewnej księżny, chciał również dowiedzieć się czegoś o miłosnych przygodach swego rozmówcy:

- A ty sam, mój drogi towarzyszu - powiedział - co mówisz o baronowych, hrabinach i księżnych, udzielających swych łask innym?

- Przepraszam bardzo, mówiłem o tym, ponieważ Portos sam o tym mówi i głośno chwali się swymi triumfami przede mną. Ale wierzaj mi, mój drogi d'Artagnanie, gdybym wiedział o tym z innego źródła albo gdyby mi się zwierzył, nie znalazłby spowiednika bardziej dyskretnego ode mnie.

- Nie wątpię o tym - podjął d'Artagnan - ale w końcu wydaje mi się, że sam jesteś dość blisko z dobrze urodzonymi osobami, świadectwem chociażby owa haftowana chustka, której zawdzięczam znajomość z tobą.

Tym razem Aramis wcale się nie rozgniewał, ale przybrał najskromniejszą minę i odparł serdecznie:

- Nie zapominaj, mój drogi, że mam zostać sługą kościoła i unikam wszelkich uciech światowych. Owa chustka, którą widziałeś, nie została mi ofiarowana, zapomniał jej u mnie jeden z moich przyjaciół. Musiałem ją schować, by nie skompromitować obojga, jego i damy, którą kocha. Jeśli idzie o mnie, nie mam i nie chcę mieć kochanki, idąc za godnym przykładem Atosa, który jej nie ma tak samo jak i ja.

- Ale u licha, przecież nie jesteś księdzem, skoro jesteś muszkietierem.

- Muszkietierem per interim* mój kochany, jak powiada kardynał, muszkietierem wbrew chęci, ale sługą kościoła w głębi serca, możesz mi wierzyć. Atos i Portos skłonili mnie, bym się czymś zajął, w chwili kiedy miałem otrzymać święcenia, pewna trudność z... Ale to cię zapewne nie interesuje i zabieram ci cenny czas.

- Bynajmniej, bardzo mnie to interesuje! - zawołał d'Artagnan - i w tej chwili nie mam nic do roboty.

- Tak, ale ja muszę zmówić brewiarz - odparł Aramis - potem ułożyć kilka wierszy, o które poprosiła mnie pani d'Aiguillon, wreszcie trzeba mi się udać na ulicę Saint-Honore, by kupić różu dla pani de

Chevreuse. Widzisz więc, mój przyjacielu, że jeśli ty nawet masz wolny czas, mnie zgoła go braknie.

Tu Aramis wyciągnął serdecznie rękę do swego młodego towarzysza i pożegnał się z nim.

D'Artagnan, choć zadawał sobie wiele trudu, nie mógł dowiedzieć się nic więcej o swoich trzech nowych przyjaciółach. Postanowił więc wierzyć na razie we wszystko, co mówiono o ich przeszłości, mając nadzieję, że przyszłość przyniesie mu obfitsze i bardziej dokładne wiadomości. Tymczasem w jego mniemaniu Atos był Achillesem, Portos Ajaksem, a Aramis Józefem.

Zresztą czterej młodzieńcy pędzili żywot bardzo wesoły. Atos grał, ale stale przegrywał. Jednakże nie pożyczał nigdy ani grosza od swych przyjaciół, choć sakiewka jego stała dla nich zawsze otworem, a gdy grał na słowo, budził swego wierzyciela o szóstej rano, by zapłacić mu wczorajszy dług.

Z Portosem zdarzało się rozmaicie: kiedy wygrywał, bywał zuchwały i pyszny, jeśli przegrał, zniknął bez śladu na kilka dni, po czym zjawiał się z twarzą wybladłą i rzadką miną, ale z pieniędzmi w kieszeni.

*Per interim (łac.) - tymczasowo .

Aramis natomiast nie grał nigdy. Był to najgorszy muszkieter i najbardziej niefortunny towarzysz zabawy, jakiego można napotkać. Zawsze miał ochotę pracować. Nieraz podczas obiadu, gdy przyjaciele rozgrzani winem i rozmową chcieliby pozostać przy stole jeszcze dwie lub trzy godziny, Aramis spoglądał na zegarek, wstawał z pełnym wdzięku uśmiechem i żegnał się z resztą towarzystwa, ponieważ musiał, jak powiadał, naradzić się z jakimś teologiem, z którym był umówiony. Innym razem wracał do domu pisać rozprawę i prosił przyjaciół, by mu nie przeszkadzali.

Atos uśmiechał się swym czarującym i melancholijnym uśmiechem, który tak harmonizował z jego szlachetną twarzą, a Portos popijał, zaklinając się, że Aramis wykieruje się na wiejskiego proboszcza.

Planchet, służący d'Artagnana, pogodnie przyjmował łaski losu; otrzymywał trzydzieści soldów dziennie i przez miesiąc wracał do domu wesoły jak szczygieł i najprzychylniej usposobiony do swego pana. Kiedy los się odwrócił i nieprzyjazny wiatr powiał na ulicę des Fossoyeurs, to znaczy kiedy nie zostało nic lub prawie nic z czterdziestu pistoli ofiarowanych przez króla, służący zaczął narzekać, co Atos uznał za nudne, Portos za bezsensowne, a Aramis za śmieszne.

Atos poradził tedy d'Artagnanowi odprawić hultaja, Portos był zdania, że należy go wpieryć oćwiczyć, Aramis zaś uważał, że pan może słuchać od służącego tylko samych pochwał.

- Łatwo to wam powiedzieć - mówił d'Artagnan - tobie, Atosie, bo nie gadasz z Grimaudem,

zabraniasz mi mówić, a tym samym nigdy nie usłyszysz od niego lichego słowa; tobie Portosie, bo prowadzisz wspaniały żywot i jesteś bogiem dla Mousquetona; tobie wreszcie, Aramisie, bo wciąż zajęty swymi studiami teologicznymi budzisz najgłębszy szacunek w Bazynie, człowieku łagodnym i pobożnym; ale ja nie mam ani pozycji, ani majątku, nie jestem ani muszkietierem, ani gwardzistą. Jak mam postąpić, by natchnąć Plancheta miłością, strachem lub szacunkiem?

- Sprawa jest poważna - odparli trzej przyjaciele - nadto zaś jest to sprawa natury prywatnej. Ze służącymi rzecz ma się tak samo jak z kobietami: trzeba im wyznaczyć od razu właściwe miejsce. Zastanów się zatem.

D'Artagnan się zastanowił i doszedł do wniosku, że w każdym razie Planchetowi dobrze zrobią cięgi, po czym zabrał się do tego z sumiennością, cechującą go we wszystkim. Złoiwszy Planchetowi skórę, zabronił mu porzucać służbę bez zezwolenia.

- Czeka mnie na pewno świetna przyszłość - powiedział - szczęście się odwróci. Twój los będzie więc zapewniony, jeśli zostaniesz ze mną, a jestem zbyt dobrym panem, by wyrządzić ci krzywdę zwalniając cię, jak o to prosisz.

Ten sposób postępowania wzbudził wielki szacunek muszkietierów dla talentów dyplomatycznych d'Artagnana, Plancheta również ogarnął podziw i nie mówił już więcej o odejściu.

Czterej muszkietierowie żyli więc razem. D'Artagnan, który nie miał żadnych przyzwyczajęń, przybywał bowiem z prowincji i znalazł się w całkiem nowym świecie, przyjął natychmiast zwyczaje przyjaciół.

Wstawano około ósmej w zimie, a około szóstej rano w lecie, za czym muszkietierowie udawali się do pana de Tréville po rozkazy i wiadomości. D'Artagnan, choć nie był muszkietierem, wypełniał obowiązki ze wzruszającą dokładnością; stale był na służbie, ponieważ niezmiennie towarzyszył temu

z trzech przyjaciół, któremu służba wypadła. Znano go w pałacu muszkietierów i każdy uważał go za dobrego kolegę; pan de Tréville, który ocenił młodzieńca od pierwszego rzutu oka i odnosił się do niego z prawdziwą sympatią, nie przestawał go polecać względom królewskim.

Ze swej strony trzej muszkietierowie bardzo lubili młodego towarzysza. Przyjaźń łącząca tych czterech ludzi oraz konieczność widywania się kilka razy na dzień czy to z okazji pojedynku, czy dla załatwienia spraw, czy też dla rozrywek, sprawiały, że nieustannie biegli jeden za drugim niczym cienie i wciąż spotykano nierozłącznych przyjaciół szukających się między Luksemburgiem a placem Saint-Sulpice i między ulicą Vieux-Colombier a Luksemburgiem.

Tymczasem pan de Tréville nie zapomniał o swych obietnicach. Pewnego dnia król polecił kawalerowi des Essarts wziąć d'Artagnana do kompanii gwardzistów. D'Artagnan z westchnieniem

włożył strój gwardzisty; oddałby dziesięć lat życia, by go zamienić na opończę muszkietera. Pan de Treville przyrzekł mu tę łaskę po dwuletnim nowicjacie, termin ten mógł być zresztą skrócony, jeśli nastęczyłaby się sposobność i d'Artagnan oddałby jakąś przysługę królowi lub dokonał świetnego czynu. D'Artagnan musiał się zadowolić tą obietnicą i następnego dnia wstąpił do kompanii kawalera des Essarts.

Teraz z kolei Atos, Portos i Aramis pełnili służbę z d'Artagnanem. Tym sposobem kompania kawalera des Essarts otrzymała czterech ludzi zamiast jednego w dniu, kiedy wstąpił do niej d'Artagnan.

VIII.

DWORSKA INTRYGA

Jednakże czterdzieści pistoli króla Ludwika XIII, podobnie jak wszystkie rzeczy tego świata, miały swój początek i koniec, a od chwili kiedy ów koniec nastąpił, nasi czterej druhowie popadli w kłopoty. Zrazu Atos utrzymywał kompanię ze swych zasobów, następnie przyszła kolej na Portosa; Portos znikł nagle, jak to miał w zwyczaju, po czym wrócił i przez dwa tygodnie łożył na wszystkie

wydatki. Wreszcie do dzieła przystąpił Aramis, który wywiązał się chętnie z obowiązku: udało mu się zdobyć kilka pistoli ze sprzedaży ksiąg teologicznych, jak twierdził.

Wówczas, jak zwykle, trzeba było się uciec do pomocy pana de Treville: wypłacił im zaliczkę na rachunek żołdu. Ale ta zaliczka nie mogła wystarczyć na długo trzem muszkieterom, którzy mieli stare długi, i gwardziście, który nie miał ich jeszcze.

Wreszcie, kiedy ujrzeli, że czeka ich bieda, zebrali z wielkim trudem osiem czy dziewięć pistoli i dali je Portosowi, by spróbował szczęścia w grze. Niestety, szczęście mu nie dopisało; stracił wszystkie pieniądze, a ponadto przegrał dwadzieścia pięć pistoli na słowo.

Od tej chwili bieda zamieniła się w nędzę; można było ujrzeć czterech zgłodniałych druhów, gdy w towarzystwie służących przebiegali ulice i koszary szukając gdzie się da zaproszenia na obiad; zdaniem Aramisa bowiem należy w chwilach dostatku siać zaproszeniami na prawo i lewo, by w ciężkiej chwili znaleźć kilka dla siebie.

Atos został zaproszony cztery razy i za każdym razem zabierał ze sobą przyjaciół wraz z ich służącymi. Portosowi nadarzyło się sześć okazji i również nie zapomniał o towarzyszach; Aramisowi osiem. Jak mogliśmy zauważyć, był to człowiek, który mało robił hałasu, ale skrupulatnie wypełniał, co do niego należało.

D'Artagnan nie znał jeszcze nikogo w stolicy, udało mu się jedynie zdobyć śniadanie u pewnego księdza z Gaskonii i obiad u chorążego gwardii. Zaprowadził swoją armię do księdza, gdzie prócz

zapowiedzianej czekolady unicestwiono zapasy przygotowane na dwa miesiące, oraz do chorążego, który dokazywał prawdziwych cudów; ale - jak mawiał Planchet - je się tylko jeden raz, nawet gdy się je dużo.

D'Artagnan czuł się więc dość upokorzony, że w zamian za uczy, które były zasługą Atosa, Portosa i Aramis, mógł ofiarować swym towarzyszom tylko półtora posiłku, ponieważ śniadanie u księdza można było uznać jedynie za pół posiłku. Czuł się ciężarem dla przyjaciół, zapominając z młodzieńczą wielkodusznością, że żywił ich przez miesiąc, i jego skołatana głowa zaczęła pracować żywo. Doszedł do wniosku, że ten związek czterech dzielnych i przedsiębiorczych młodzieńców powinien mieć inny cel niżeli przechadzki, lekcje fechtunku i mniej lub bardziej dowcipne żarciki.

W istocie czterej ludzie tacy jak oni, jeden drugiemu gotowi oddać nie tylko sakiewkę, ale i życie, czterej ludzie skorzy do wzajemnej pomocy, nie cofający się nigdy, oddzielnie lub razem wypełniający decyzje wspólnie podjęte; cztery ramiona, zagrażające czterem stronom świata lub skierowane w jedną stronę, powinny być niezawodnie, skrycie lub jawnie, fortem lub przebojem, podstępem lub siłą, utorować drogę do celu, choćby to był cel najtrudniejszy i najbardziej odległy. D'Artagnan był zdumiony, że jego towarzyszom nigdy nie przyszło to na myśl. Kiedy on sam myślał o tym bardzo serio, łamiąc sobie głowę, by znaleźć zastosowanie dla tych czterech sił stanowiących jedną, a nie wątpił, że jest to potęga, zdolna ruszyć świat z posad, niczym owa dźwignia, nad którą

biedził się Archimedes, zapukano lekko do drzwi. D'Artagnan obudził Plancheta i kazał otworzyć.

Niechaj ze zdania: „d'Artagnan obudził Plancheta” czytelnik nie wnosi, że była jeszcze noc i panowały ciemności. Nie! Przed chwilą wybiła czwarta. Dwie godziny temu Planchet zjawił się u swego pana przypominając mu o obiedzie; d'Artagnan odpowiedział przysłowiem: „Kto śpi, głodu nie czuje”. I Planchet zastosował się do rady d'Artagnana.

Do pokoju wszedł mężczyzna o twarzy dość pospolitej, wyglądający na mieszczanina.

Planchet nie miałby nic przeciwko temu, by usłyszeć na deser rozmowę, ale mieszczanin oświadczył d'Artagnanowi, że sprowadzają go sprawy ważne i poufnej natury, toteż chciałby pomówić z nim na osobności.

D'Artagnan wyprowadził więc Plancheta i poprosił gościa, by usiadł.

Zapadła chwila ciszy; obaj przyglądali się sobie, jak gdyby chcąc zawrzeć wstępną znajomość, za czym d'Artagnan skłonił się na znak, że słucha.

- Słyszałem, że pan d'Artagnan jest dzielnym młodzieńcem - rzekł mieszczanin. - Reputacja, jaką pan d'Artagnan cieszy się tak słusznie, skłoniła mnie do zwierzenia mu pewnego sekretu.

- Niechaj pan mówi, proszę - rzekł d'Artagnan, który czuł instynktownie, że wyniknie z tego jakiś

pożytek.

Mieszczanin milczał znów przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Moja żona jest bieliźniarką królowej, panie; nie brak jej ani rozumu, ani urody. Wydano ją za mnie przed trzema niespełna laty, choć miała niewielki posag, pan de La Porte bowiem, szatny królowej, jest jej ojcem chrzestnym i opiekunem...

- A więc, proszę pana? - zapytał d'Artagnan.

- A więc - podjął mieszczanin - moja żona została porwana wczoraj rano, kiedy wychodziła z pokoju, gdzie pracuje.

- Przez kogo została porwana?

- Nie wiem nic pewnego, panie, ale podejrzewam kogoś.

- Kogóż pan podejrzewa?

- Człowieka, który ją prześladował od dawna.

- Tam do licha!

- Ale jeśli chcesz pan znać moje zdanie - ciągnął mieszczanin - powiem, że mniej jest w tym miłości niż polityki.

- Mniej miłości niż polityki - powtórzył d'Artagnan z zastanowieniem. - A kogóż pan podejrzewa?

- Nie wiem, czy powinienem mówić...

- Zwracam panu uwagę, że nie pytam pana o nic. To pan do mnie przyszedłeś, pan powiedziałeś, że chcesz mi zwierzyć tajemnicę. Czyń więc, jak ci się podoba, możesz się jeszcze wycofać.

- Nie, panie, nie, wyglądasz mi na uczciwego człowieka i mam do ciebie zaufanie. Sądzę więc, że mojej żony nie uprowadzono dla niej samej, chodzi tu o sprawy miłosne znacznie od niej większej damy.

- Ho, ho, może chodzi tu o sprawy miłosne pani de Bois-Tracy? - rzekł d'Artagnan, który chciał pokazać mieszczaninowi, że zna życie dworu.

- Wyżej, panie, wyżej.

- Pani d'Aiguillon?
- Jeszcze wyżej.
- Pani de Chevreuse?
- Wyżej, znacznie wyżej!
- A więc... - d'Artagnan urwał.
- Tak, panie - odparł przerażony mieszczanin tak cicho, że ledwo można było dosłyszeć.
- Któż jest przedmiotem tych uczuć?
- Któż jeśli nie księżę...
- Księżę...
- Tak, panie - odparł mieszczanin jeszcze cichszym głosem.
- Ale skąd pan wie o tym?
- Skąd wiem?
- Tak, skąd wiesz? Żadnych zatajeń albo... sam pan rozumie.
- Wiem od mojej żony.
- A ona?
- Od pana de La Porte. Powiedziałem panu przecie, że jest chrześniaczką pana de La Porte, zaufanego człowieka królowej. Pan de La Porte umieścił moją żonę przy Jej Królewskiej Mości, by nasza biedna królowa, opuszczona przez króla, śledzona przez kardynała i zdradzona przez wszystkich, miała w pobliżu kogoś, na kim mogłaby polegać.
- A, więc to tak - rzekł d'Artagnan.
- Moja żona przyszła do domu przed czterema dniami, postawiła bowiem jako warunek, że będzie się ze mną widywać dwa razy w tygodniu, a miałem już honor panu powiedzieć, iż moja żona bardzo mnie kocha; zatem moja żona przyszła i powiedziała mi, że królowa jest teraz w wielkim strachu.
- W istocie?
- Tak, wygląda bowiem na to, że pan kardynał śledzi ją i prześladowuje bardziej niż kiedykolwiek. Nie może jej wybaczyć historii z sarabandą. Znasz pan tę historię?

- Tam do kata, czy ją znam! - odparł d'Artagnan, który nic nie wiedział, ale chciał wyglądać na człowieka świetnie poinformowanego.
- Tak, i w grę teraz wchodzi nie nienawiść, ale zemsta.
- Doprawdy?
- A królowa sądzi...
- Co sądzi królowa?
- Że napisano do księcia Buckinghama w jej imieniu.
- W imieniu królowej?
- Tak, by sprowadzić go do Paryża i wciągnąć do zasadzki.
- Tam do licha! Ale, mój drogi panie, co twoja żona ma z tym wszystkim wspólnego?
- Wiadomo przecie, że moja żona jest bardzo oddana królowej, chciano więc oddalić ją od Najjaśniejszej Pani i albo napędzić jej strachu i wydrzeć tajemnicę królowej, albo też uczynić z niej szpiega.
- To być może - rzekł d'Artagnan - ale czy znasz pan człowieka, który ją porwał?
- Powiedziałem panu, że go znam.
- Jak się nazywa?
- Tego nie wiem; wiem tylko, że jest to kreatura kardynała, jego zły duch.
- Widziałeś go pan kiedy?
- Tak, moja żona pokazała mi go pewnego razu...
- Czy można tego człowieka po czymś rozpoznać?
- O, na pewno. Jest to szlachcic o wyniosłej minie, czarnych włosach, smagłej cerze, przenikliwym oku, białych zębach i ma bliznę na skroni.
- Bliznę na skroni! - zawołał d'Artagnan - i białe zęby, przenikliwe oko, smągła cera, czarne włosy, wyniosła mina! To mój człowiek z Meung!

- To pański człowiek, powiadasz?
- Tak, tak, ale to nie ma nic do rzeczy. Nie, myślę się, to znacznie sprawę upraszcza, bo jeśli twój wróg jest zarazem moim, za jednym zamachem dokonam podwójnej zemsty, ot i wszystko. Ale gdzie go znaleźć?
- Nie wiem.
- Nie wie pan, gdzie mieszka?
- Nie. Pewnego dnia odprowadzałem żonę do Luwru, wychodził stamtąd, gdy ona wchodziła, i wówczas go zobaczyłem.
- Do kroćset - mruknął d'Artagnan - wszystko to jest bardzo niejasne. Od kogo dowiedziałeś się o porwaniu żony?
- Od pana de La Porte.
- Czy nie udzielił ci bardziej szczegółowych wyjaśnień?
- Sam nic nie wiedział.
- A czy dowiedziałeś się czego inną drogą?
- Owszem, otrzymałem...
- Co?
- Nie wiem jednak, czy nie popełniam wielkiej nieostrożności.
- Znowu pan do tego powraca. Jednak uprzedzam cię, że teraz za późno już się cofać.
- I nie cofam się, do kata! - zawołał mieszczanin chcąc sobie dodać animuszu. - Zresztą, jakem Bonacieux...
- Nazywasz się Bonacieux? - przerwał d'Artagnan.
- Tak, to moje nazwisko.
- Mówiłeś więc: jakem Bonacieux! Przepraszam, że panu przerwałem, ale wydało mi się, że znam to nazwisko.
- To możliwe, panie. Jestem właścicielem domu, w którym mieszkasz.
- Ach - rzekł d'Artagnan unosząc się nieco i składając ukłon - jesteś pan właścicielem tego domu?

- Tak, panie, tak właśnie. A ponieważ mieszkasz u mnie od trzech miesięcy i zajęty ważnymi sprawami zapomniałeś mi zapłacić komorne, ja zaś, jak rzekłem, nie naprzykrzałem się panu ani przez chwilę, pomyślałem sobie, że będziesz miał wzgląd na moją delikatność.

- Oczywiście, drogi panie Bonacieux - podjął d'Artagnan - zechciej mi pan wierzyć, że jestem ci wielce zobowiązany, i jeśli mogę być w czymkolwiek użyteczny...

- Wierzę ci, panie, wierzę ci, i jakem Bonacieux, mam do ciebie zaufanie.

- Skończ zatem to, co chciałeś powiedzieć.

Mieszczanin wyciągnął z kieszeni papier i pokazał go d'Artagnanowi.

- List! - zawołał młodzieniec.

- Dostałem go dziś rano.

D'Artagnan otworzył list, a ponieważ zaczynało się ściemniać, podszedł do okna. Mieszczanin pośpieszył za nim.

Nie szukaj swej żony - przeczytał d'Artagnan - wróci do ciebie, kiedy nie będzie już potrzebna. Jeśli uczynisz najmniejszy krok, by ją znaleźć, jesteś zgubiony.

- Oto wreszcie coś pewnego - ciągnął d'Artagnan - ale to są tylko pogrożki.

- Tak, ale te pogrożki mnie przerażają. Ja, panie, nie jestem wojakiem i boję się Bastylii.

- Hm - rzekł d'Artagnan - ja też nie mam ochoty na Bastylię. Gdyby tu szło tylko o cios szpadą, mógłbym jeszcze przystać.

- Jednak liczyłem bardzo na pana.

- A więc?

- Widząc pana stale w otoczeniu dzielnych muszkieterów i wiedząc, że są to muszkieterowie pana de Treville, a tym samym nieprzyjacielem pana kardynała, pomyślałem sobie, że i pan, i jego kompanioni będziecie zachwyceni, jeśli uda wam się splatać figła Jego Eminencji i przy okazji stanąć w obronie naszej biednej królowej.

- Oczywiście.

- Poza tym przypomniałem sobie, że o zaległym komornym nie słyszał pan ode mnie ani słowa...

- Tak, tak, przytoczyłeś mi już ten argument i uważam go za wyborny...

- I licząc, że Jak długo będziesz pan łaskaw mieszkać u mnie, nigdy nie wspomnę o dalszych należnościach...

- Doskonale.

- Dodaj jeszcze, że w razie potrzeby ofiaruję ci, panie, pięćdziesiąt pistoli, jeśli wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu znajdujesz się chwilowo w opałach.

- Wspaniale, jesteś zatem bogaty, drogi panie Bonacieux!

- Muszę przyznać, że mam, czego mi trzeba, panie. Udało mi się uciąć około dwóch czy trzech tysięcy talarów renty, prowadziłem bowiem handel norymberszczyzną, a ponadto umieściłem nieco grosza w ostatniej wyprawie sławnego żeglarza Jana Mocquet; pan rozumie... O!... - zawołał nagle mieszczanin.

- Co tam? - zapytał d'Artagnan.

- Co widzę!

- Gdzie?

- Na ulicy, naprzeciw twych okien, we wnęce tej bramy: człowiek owinięty w płaszcz.

- To on! - krzyknęli jednocześnie d'Artagnan i mieszczanin, rozpoznając każdy swego wroga.

- Ach! - zawołał d'Artagnan chwytając za szpadę - tym razem mi się nie wymknie!

I wyciągając szpadę z pochwy, wybiegł z pokoju.

Na schodach spotkał Atosa i Portosa, którzy przyszedli go odwiedzić. Usunęli się z drogi i d'Artagnan przemknął między nimi jak błyskawica.

- Co to? Dokąd tak pędzisz? - zawołali dwaj muszkietierowie.

- Człowiek z Meung! - odparł d'Artagnan i znikł.

D'Artagnan niejedną raz opowiadał przyjaciółom o przygodzie z nieznanym, jak również o pojawieniu się pięknej podróźnej, której ów człowiek dał ważne zlecenie.

Zdaniem Atosa d'Artagnan zgubił swój list w zamieszaniu. Wnosząc z opisu d'Artagnana musiał to

być szlachcic, a wedle mniemania Atosa szlachcic nie mógł być tak nikczemny, by ukraść list.

Portos widział w tym jedynie schadzke miłosną wyznaczoną kawalerowi przez damę lub damie przez kawalera, a schadzce tej przeszkodziła obecność d'Artagnana i jego żółtego konika.

Aramis oświadczył, że sprawy tego rodzaju są bardzo tajemnicze i lepiej ich nie zgłębiać.

Zrozumieli więc z kilku słów d'Artagnana, o co chodzi, a ponieważ byli pewni, że młodzieniec powróci do domu niezależnie od tego, czy dopędzi swego wroga, czy straci go z oczu, poszli na górę.

Kiedy znaleźli się w pokoju d'Artagnana, pokój był pusty: gospodarz obawiając się skutków spotkania, do którego dojdzie niewątpliwie między młodzieńcem i nieznanym, uznał, że najprzezorniej będzie odejść - postępowanie najzupełniej zresztą zgodne z charakterem, który sam sobie w rozmowie przypisał.

IX.

D'ARTAGNAN WYSTĘPUJE NA PLAN PIERWSZY

Jak to przewidzieli Atos i Portos, d'Artagnan wrócił po półgodzinie. Tym razem znów nie dosięgnął wroga, który znikł w sposób czarodziejski. D'Artagnan ze szpadą w ręce przebiegł wszystkie pobliskie ulice, ale nigdzie nie udało mu się napotkać człowieka z Meung. Wreszcie uczynił to, od czego może powinien był zacząć, to znaczy zapukał do bramy, o którą wspierał się nieznanomy. Na próżno jednak kilkanaście razy potrząsał kołatką, nikt mu nie odpowiadał. Sąsiedzi słysząc hałas wylegli z domów lub wysunęli głowy przez okna; zapewniali go, że ów dom (zamknięty na wszystkie spusty) jest od pół roku nie zamieszkaany.

Podczas gdy d'Artagnan pędził po ulicach i pukał do bram, Aramis przyłączył się do dwóch towarzyszy; wróciwszy do domu d'Artagnan zastał przyjaciół w komplecie.

- No i cóż - zapytali jednocześnie trzej muszkietierowie widząc czoło d'Artagnana pokryte potem i jego twarz wykrzywioną złością.

- No cóż - zawołał d'Artagnan rzucając szpadę na łóżko - ten człowiek jest chyba wcielonym diabłem. Znikł jak zjawy, jak cień, jak widmo.

- Czy wierzysz w zjawy? - zapytał Atos Portosa.

- Wierzę w to tylko, co widziałem, a ponieważ nigdy nie widziałem duchów, nie wierzę w nie.

- Biblia - rzekł Aramis - każe nam w nie wierzyć: Cień Samuela pojawił się Saulowi, jest to artykuł wiary i bardzo byłoby mi przykro, gdybyś powątpiewał o tym, Portosie.

- W każdym razie, czy jest to istota z krwi i kości, czy diabeł, ciało czy cień, złudzenie czy

rzeczywistość, ten człowiek urodził się na moje przekleństwo; przez jego ucieczkę tracimy wspaniałą okazję, panowie. Moglibyśmy zdobyć sto pistoli albo i więcej.

- Jakże to? - zapytali Portos i Aramis.

Natomiast Atos, wierny swym obyczajom, zadowolili się pytającym spojrzeniem.

- Planchet - rzekł d'Artagnan do swego służącego, który wsadził właśnie głowę w uchylone drzwi, by usłyszeć co nieco z rozmowy - zejść do naszego gospodarza, imć pana Bonacieux i powiedz mu, żeby nam przysłał pół tuzina butelek Beaugency; to moje ulubione wino.

- No, no, masz więc otwarty rachunek u gospodarza domu? - zapytał Portos.

- Tak - odparł d'Artagnan - od dziś począwszy. I zapewniam was, że jeśli wino będzie kiepskie, odeślemy je żądając innego.

- Trzeba używać, lecz nie nadużywać - rzekł sentencjonalnie Aramis.

- Mówiłem zawsze, że d'Artagnan jest najtęższą głową z nas czterech - rzekł Atos. Wypowiedziawszy to zdanie, na które d'Artagnan odpowiedział ukłonem, popadł znów w swe zwykłe milczenie.

- Ale o co wreszcie chodzi? - zapytał Portos.

- Tak - wtrącił Aramis - chcielibyśmy wiedzieć, w czym rzecz, drogi przyjacielu, chyba że od twej dyskrekcji zależy honor jakiejś damy, w takim razie uczynisz lepiej nie mówiąc ani słowa.

- Bądźcie spokojni - odparł d'Artagnan - niczyj honor nie będzie tu wystawiony na szwank.

Powtórzył wówczas słowo w słowo rozmowę z gospodarzem, dodając, że człowiek, który porwał żonę Bonacieux, i ten, z którym doszło do utarczki w oberży „Pod Wolnym Młynarzem”, jest jedną i tą samą osobą.

- Nieźle to wygląda - rzekł Atos skosztowawszy wpiersp wina z miną znawcy i dając znak głową, że jest dobre - można będzie wyciągnąć od tego pocziwego jegomościa pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistoli. Trzeba się jednak zastanowić, czy dla tej sumy warto narazić cztery głowy.

- Ale zwróć uwagę - zawołał d'Artagnan - że jest w to wmieszana kobieta, że tę kobietę porwano, że grożą jej, torturują może, a wszystko dlatego, że jest wierna swojej pani!

- Miej się na baczności, d'Artagnanie - rzekł Aramis - zbyt się przejmujesz losem pani Bonacieux. Kobieta została stworzona na naszą zgubę i jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

Słyszając te słowa Atos zmarszczył brwi i przygryzł usta.

- Nie niepokoję się zgoła o panią Bonacieux - zawołał d'Artagnan – ale o królową. Nie dba o nią król, prześladowuje ją kardynał i biedaczka patrzeć musi, jak jedna po drugiej spadają głowy wszystkich jej przyjaciół.

- Dlaczego więc kocha tych, których nienawidzimy najbardziej, Hiszpanów i Anglików?

- Hiszpania jest jej ojczyzną - odparł d'Artagnan - i nic dziwnego, że kocha Hiszpanów, są dziećmi tej samej ziemi. Jeśli idzie o drugi zarzut, słyszałem, że kocha nie Anglików, lecz jednego Anglika.

- Na honor - rzekł Atos - trzeba przyznać, że ten Anglik jest prawdziwie godzien miłości. Nie widziałem człowieka o wspanialszej postawie.

- Nie mówiąc już o wspaniałości jego stroju - dodał Portos. - Byłem w Luwrze tego dnia, kiedy rozsypał perły; podniosłem dwie i sprzedałem je, każdą za dziesięć pistoli. Czy go znasz, Aramisie?

- Równie dobrze jak wy, panowie, byłem bowiem z ludźmi, którzy w ogrodach Amiens zatrzymali księcia; dostałem się tam za sprawą pana de Putange, giermka królowej. Byłem podówczas w seminarium i zdawało mi się, że król został dość okrutnie potraktowany.

- Co nie przeszkadza, że gdybym wiedział, gdzie jest książę Buckingham - rzekł d'Artagnan - wziąłbym go za rękę i zaprowadził do królowej, chociażby po to, by rozwścieczyć pana kardynała; w samej rzeczy bowiem, panowie, naszym prawdziwym, jedynym, wiecznym wrogiem jest kardynał i gdyby można było spłatać mu jakąś okrutną sztuczkę, chętnie ryzykowałbym głową.

- I kramarz powiedział ci, d'Artagnanie - podjął Atos - że zdaniem królowej sprowadzono Buckinghamą podając zmyślony powód?

- Obawia się tego.

- Poczekajcie - rzekł Aramis.

- A o co chodzi? - zapytał Portos.

- Próbuję sobie przypomnieć szczegóły.

- Teraz jestem pewien, że porwanie tej niewiasty z otoczenia królowej wiąże się z wypadkami, o których mówimy, a może również z obecnością pana Buckinghamą w Paryżu.

- Temu Gaskończykowi nie zbywa na pomysłach - rzekł Portos z podziwem.

- Bardzo lubię go słuchać - wtrącił Atos - jego gwara mnie bawi.

- Panowie - odezwał się Aramis - wysłuchajcie mnie.

- Słuchajmy, co powie Aramis - rzekli trzej przyjaciele.

- Byłem wczoraj u pewnego uczonego doktora teologii, zasięgam niekiedy jego rad pomocnych mi w studiach...

Atos uśmiechnął się.

- Mieszka na odludziu - ciągnął Aramis - jego upodobania i zawód wymagają tego. Otóż w chwili, kiedy wychodziłem od doktora...

Tu Aramis urwał.

- No i co? - zapytali słuchacze - co się stało w chwili, kiedy od niego wychodziłeś?

Zdawało się, że Aramis uczynił wysiłek niczym człowiek, który, zabrnawszy w kłamstwie, widzi, że coś zgoła nieprzewidzianego staje mu na przeszkodzie; ale trzej towarzysze nie spuszczały go z oka i cali zamienili się w słuch, tak że za późno już było się wycofać.

- Ów doktor ma siostrzenicę - ciągnął Aramis.

- Ach, ma siostrzenicę! - przerwał Portos.

- Bardzo godną damę - rzekł Arami.

Trzej przyjaciele zaczęli się śmiać.

- Jeśli będziecie się śmiać albo powątpiewać w moje słowa - podjął Aramis - nic się nie dowiecie.

- Wierzmy w twoje słowa jak mahometanie w proroka i milczymy jak groby - powiedział Atos.

- Mówię więc dalej - rzekł Aramis. - Ta siostrzenica odwiedza od czasu do czasu swego wuja; wczoraj właśnie była u niego i tak się złożyło, że musiałem ją odprowadzić do karocy.

- Ach, więc siostrzenica doktora ma karocę? - przerwał Portos, którego wadą była niepowściągliwość języka - piękna znajomość, mój przyjacielu.

- Portosie - rzekł Aramis - zwracałem ci już nieraz uwagę, że jesteś niedyskretny i że nie przysparza ci to łask u kobiet.

- Panowie, panowie - zawołał d'Artagnan, który domyślał się już, o co chodzi - sprawa jest poważna, postarajmy się nie żartować. Dalej, Aramisie.

- Naraz jakiś rosły mężczyzna o ciemnych włosach i postawie szlachcica... podobny do twojego, d'Artagnanie...
- Ten sam może - powiedział d'Artagnan.
- To możliwe - ciągnął Aramis - zbliżył się do mnie (towarzyszyło mu kilku ludzi, którzy postępowali za nim w odległości dziesięciu kroków) i rzekł najuprzejmiejszym tonem: „Mości książę i ty, pani” - zwracając się do damy, którą prowadziłem pod ramię...
- Do siostrzenicy doktora?
- Uspokójże się, Portosie! - rzekł Atos - jesteś nieznośny.
- „Zechciejcie wsiąść do tej karocy nie stawiając oporu i nie czyniąc hałasu”.
- Wziął cię za Buckingham! - zawołał d'Artagnan.
- Tak właśnie myślę - odparł Aramis.
- A ta dama? - zapytał Portos.
- Wziął ją za królową! - rzekł d'Artagnan.
- Niewątpliwie - odparł Aramis.
- Ten Gaskończyk to prawdziwy diabeł! - zawołał Atos - nic nie uchodzi jego uwagi.
- W samej rzeczy - powiedział Portos - Aramis wzrostem i postawą przypomina nieco pięknego księcia, jednakże wydaje mi się, że strój muszkietera...
- Miałem na sobie obszerny płaszcz - rzekł Aramis.
- W lipcu? - rzekł Portos - tam u licha, czy doktor obawia się, że cię kto rozpozna?
- Rozumiem jeszcze, że szpiega mogła zmylić postawa - powiedział Atos - ale twarz...
- Miałem na głowie wielki kapelusz.
- Mój Boże - zawołał Portos - jakże trzeba być ostrożnym studiując teologię!
- Panowie, panowie - rzekł d'Artagnan - nie traćmy czasu na żarty, biegnijmy szukać żony kramarza, w tym sedno sprawy.

- Tak sądzisz, d'Artagnanie?

- Kobieta tak niskiego stanu! - rzekł Portos krzywiąc się z pogardą.

- To chrześniaczka La Porte'a, zaufanego giermka królowej. Czy nie powiedziałem wam o tym, panowie? Zresztą Jej Królewska Mość może z rozmysłu szukać pomocy tak nisko. Wielkie głowy widać z daleka, a kardynał ma dobry wzrok.

- Zgoda więc - rzekł Portos - ale ulóż się wpierw z kramarzem, i to za dobrą cenę.

- To zbyt cenne - powiedział d'Artagnan - jestem bowiem pewien, że jeśli on nam nie zapłaci, zapłaci nam kto inny.

W tej chwili rozległy się szybkie kroki na schodach, drzwi otworzyły się z hałasem i nieszczęsny kramarz wpadł do pokoju, gdzie odbywała się rada.

- Panowie - zawołał - ratujcie mnie w imię Boga! Czterech ludzi przyszło mnie aresztować! Ratujcie mnie, ratujcie!

Portos i Aramis wstali.

- Spokojnie - zawołał d'Artagnan dając im znak, by włożyli z powrotem do pochew na wpół wyciągnięte szpady - spokojnie, tu nie trzeba odwagi, ale ostrożności.

- Nie pozwolimy jednak... - krzyknął Portos.

- Pozwól działać d'Artagnanowi - rzekł Atos - powtarzam, to najtęższa głowa z nas wszystkich i jeśli idzie o mnie, będę mu posłuszny. Czyń, co chcesz,, d'Artagnanie.

W tej chwili czterej strażnicy zjawili się w drzwiach przedpokoju i widząc czterech muszkieterów ze szpadami przy boku, zawahali się przez chwilę, czy iść dalej.

- Wejdźcie, panowie, wejdźcie-zawołał d'Artagnan - jesteście u mnie, a my wszyscy jesteśmy wiernymi sługami króla i pana kardynała.

- A zatem, panowie, nie będziecie czynić wstrętów i pozwolicie nam wykonywać otrzymane rozkazy? - zapytał jeden z przybyszy, który wyglądał na dowódcę.

- Skądże znowu! I gdyby zaszła tego potrzeba, udzielimy wam pomocy.

- Cóż on mówi? - wybąkał Portos.

- Jesteś głupcem-powiedział Atos - bądź cicho!

- Ale pan mi przyrzekłeś... - rzekł szeptem biedny kramarz.

- Możemy ci pomóc wówczas tylko, gdy będziemy wolni - odparł szybko i cicho d'Artagnan - a jeśli pokażemy po sobie, że chcemy cię bronić, aresztują nas wraz z tobą.

- Wydaje mi się jednak...

- Proszę, wejdźcie, panowie - rzekł głośno d'Artagnan - nie mam najmniejszego powodu bronić tego jegomościa. Widzę go dziś po raz pierwszy, i to jeszcze z jakiej okazji! Sam wam to może powiedzieć: przyszedł upomnieć się o zapłatę za mieszkanie. Nieprawda, panie Bonacieux, odpowiedz?

- To prawda - zawołał kramarz - ale ten młody pan wam nie mówi...

- Ani słowa o mnie, ani słowa o moich przyjaciółach, przede wszystkim zaś ani słowa o królowej albo zgubisz nas wszystkich nie ratując siebie. Nuże, panowie, zabierzcie tego człowieka!

I d'Artagnan popchnął oszołomionego kramarza w ramiona strażników mówiąc:

- Jesteś łajdakiem, mój drogi, przychodzisz prosić o pieniądze mnie, muszkietera! Do więzienia, raz jeszcze powtarzam, zaprowadźcie go do więzienia i trzymajcie pod kluczem możliwie najdłużej, żebym miał dość czasu na zapłacenie.

Zbiry rozplywając się w podziękowaniach uprowadzili swą zdobycz.

Gdy schodzili, d'Artagnan uderzył dowódcę po ramieniu:

- A może byśmy wypili sobie, ja za pańskie zdrowie, a pan za moje! – rzekł napełniając dwie szklanki winem Beaugency, które zawdzięczał uprzejmości pana Bonacieux.

- Będzie to prawdziwym zaszczytem dla mnie - rzekł dowódca - i przyjmuję zaproszenie z wdzięcznością.

- Twoje zatem zdrowie, panie... jak się nazywasz?

- Boisrenard.

- Boisrenard!

- Twoje zdrowie, mój szlachetny panie. A jak ty się nazywasz, jeśli łaska?

- D'Artagnan.

- Twoje zdrowie, panie!

- Zdrowie króla i kardynała! - zawołał d'Artagnan, jak gdyby w przyływie uniesienia.

Dowódca zbirów powątpiewałby może o szczerości d'Artagnana, gdyby wino było kiepskie, ale wino było dobre, więc uwierzył.

- Cóż za haniebny figiel nam tu wypłatał? - rzekł Portos, kiedy dowódca strażników przyłączył się do swych towarzyszy, a czterej przyjaciele znaleźli się sami. - Czterej muszkietierowie dopuszczają do aresztowania nieszczęśnika, który wzywa pomocy! Szlachcic pijący zdrowie ze zbiorem!

- Portosie - rzekł Aramis - Atos cię już uprzedził, żeś głupiec, a ja przychyliam się do jego zdania. D'Artagnan, jesteś wielkim człowiekiem i kiedy zajmiesz miejsce pana de Treville, mam nadzieję, że pomożesz mi dostać opactwo.

- Teraz całkiem już tracę głowę - rzekł Portos - więc pochwalacie to, co d'Artagnan uczynił?

- Uważam, że postąpił wybornie - powiedział Atos - i nie tylko pochwalam to, co uczynił, ale mu gorąco winszuję.

- A teraz, panowie - rzekł d'Artagnan nie zadając sobie trudu, by wyjaśnić swe zachowanie Portosowi - jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – oto nasza dewiza, prawda?

- A jednak - wtrącił Portos.

- Podnieś rękę i przysięgnij! - zawołali jednocześnie Atos i Aramis.

Zwyciężony przykładem i klnąc po cichu, Portos wznosił rękę i czterej przyjaciele powtórzyli jednym głosem słowa podyktowane przez d'Artagnana:

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Doskonale, teraz niechaj każdy wróci do siebie - rzekł d'Artagnan, jak gdyby przez całe życie tylko rozkazywał - miejmy się jednak na baczności, rozpoczęliśmy wojnę z kardynałem.

X.

PUŁAPKA W SIEDEMNASTYM WIEKU

Pułapka nie jest wynalazkiem naszych czasów; formujące się społeczeństwa wymyśliły policję, a policja wymyśliła pułapki.

Ponieważ nasi czytelnicy nie są, być może, zaznajomieni z gwarą ulicy Jerusalem, od chwili zaś kiedy zaczęliśmy pisać - a piszemy już lat piętnaście - po raz pierwszy używamy tego słowa w takim znaczeniu, wyjaśnijmy, co to jest pułapka.

W jakimś domu aresztuje się osobnika podejrzanego o zbrodnię, trzymając ten fakt w tajemnicy; następnie stawia się kilku ludzi na czatach w pierwszym pokoju, otwiera drzwi wszystkim, którzy pukają, wreszcie zamyka się drzwi oraz tych, co się za nimi znaleźli. Tym sposobem po dwu albo trzech dniach ma się w ręku wszystkich ludzi bywających w owym domu.

To właśnie jest pułapka.

Mieszkanie imć pana Bonacieux stało się pułapką. Każdego, kto się tam zjawił, zatrzymywali i przesłuchiwali Judzie pana kardynała. Ponieważ na pierwsze piętro, gdzie mieszkał d'Artagnan, prowadziło oddzielne wejście, ci, którzy go odwiedzali, byli wolni od wszelkiej kontroli.

Zresztą odwiedzali go tylko trzej muszkietierowie; każdy z nich wszczął poszukiwania, ale żaden nic nie odkrył i niczego się nie dowiedział. Atos zwrócił się nawet do pana de Treville, co, zważywszy zwykle milczenie tego godnego muszkietera, wielce zdziwiło jego dowódcę. Ale pan de Treville nic nie wiedział prócz tego, że za ostatnim razem, kiedy widział kardynała, króla i królową, kardynał miał minę mocno zatroskaną, król był niespokojny, a zaczerwienione oczy królowej mówiły o tym, że nie spała lub płakała. Jednakże nic w tym nie dostrzegł szczególnego, ponieważ królowa od swego zameścia często nie spała i płakała.

W każdym razie pan de Treville polecił Atosowi, by pilnie służył królowi, a zwłaszcza królowej, i poprosił go, by przypominał o tym również swym przyjaciołom.

Tymczasem d'Artagnan nie ruszał się z domu, a swój pokój zamienił w punkt obserwacyjny. Z okien widział tych, co przybywali, by wpaść w sidła, ponieważ zaś usunął deski z podłogi i wybił w niej otwór, tak że tylko sufit dzielił go od pokoju na parterze, gdzie odbywało się śledztwo, słyszał wszystko, co mówili „inkwizytorzy” i oskarżeni.

Przesłuchania poprzedzone szczegółową rewizją wyglądały niemal zawsze tak:

- Czy pani Bonacieux przekazała panu coś dla swego męża lub innej osoby?

- Trzej muszkietierowie

- Czy pan Bonacieux przekazał panu coś dla swej żony lub innej osoby?

- Czy pan Bonacieux lub pani Bonacieux nie czynili panu jakichś zwierzeń?

„Gdyby coś wiedzieli, nie pytaliby w ten sposób - pomyślał d'Artagnan. – Ale czego chcą się

dowiedzieć? Pewnie tego, czy książę Buckingham jest w Paryżu i czy widział się lub czy ma się widzieć z królową”.

D'Artagnan chwycił się tej myśli, która wzięwszy pod uwagę wszystko, co słyszał, nie wydała mu się pozbawiona słuszności.

Tymczasem pułapka wciąż działała, a d'Artagnan nie przestawał czuwać.

Wieczorem, w dzień po aresztowaniu biednego Bonacieux, kiedy Atos opuścił d'Artagnana, by udać się do pana de Treville (wybiła dziewiąta i Planchet, który nie posłał jeszcze łóżka, zabierał się do tej pracy) rozległo się stukanie do bramy: ktoś wpadł w pułapkę.

D'Artagnan rzucił się ku Otworowi w podłódze, położył się na brzuchu i nastawił uszu.

Wkrótce rozległy się krzyki, potem jęki, które starano się stłumić. O przesłuchaniu nie było mowy.

- Tam do licha - rzekł do siebie d'Artagnan - zdaje się, że to kobieta. Rewidują ją, ona się opiera, zadają jej gwałt, nędznicy!

I d'Artagnan, choć tak ostrożny, musiał się mocno trzymać w garści, by nie wmieszać się do sceny, rozgrywającej się na dole.

- Ale powiadam wam przecie, że jestem panią tego domu, że jestem pani Bonacieux, że należę do dworu królowej! - wołała nieszczęsna kobieta.

- Pani Bonacieux - mruknął d'Artagnan. - Czy byłbym tak szczęśliwy, by znaleźć tę, której wszyscy szukają?

- Właśnie na panią czekamy - odparli tamci.

Głos stawał się coraz bardziej stłumiony; od gwałtownego szamotania się zadrżały boazerie. Ofiara stawiała opór, o ile kobieta może się opierać czterem mężczyznom.

- Łaski, panowie, łas... - wyszeptała. Potem było już tylko słyszeć nieartykułowane dźwięki.

- Kneblują jej usta, chcą ją uprowadzić - zawołał d'Artagnan zrywając się na równe nogi. - Moja szpada! Aha, mam ją przy boku. Planchet!

- Słucham pana.

- Biegnij do Atosa, Portosa i Aramisa. Któryś z nich będzie z pewnością w domu, a może nawet wszyscy. Niech wezmą broń i śpieszą tutaj. Ach, przypominam sobie, Atos jest u pana de Treville.

- Ale dokąd pan idzie?

- Wychodzę przez okno - zawołał d'Artagnan - by zyskać na czasie; ty zaś połóż z powrotem deski, zamieć podłogę, wyjdź przez drzwi i biegnij tam, gdzie ci kazałem.

- Och, panie, panie, pan się zabije - zawołał Planchet.

- Milcz, głupcze - rzekł d'Artagnan. I chwyciwszy się ręką za futrynę okna skoczył z pierwszego piętra, które szczęściem nie było zbyt wysokie, nie poniósł więc żadnego uszczerbku.

Potem zapukał do drzwi, mruczając:

- Teraz ja z kolei wpadnę do pułapki, ale biada kotom, które natrafią na taką mysz.

Zaledwie rozległo się uderzenie kołatki, tumult ustał, dały się słyszeć kroki, bramę otwarto i d'Artagnan z obnażoną szpadą w dłoni skoczył do mieszkania imć pana Bonacieux; drzwi, zapewne zaopatrzone w sprężynę, zamknęły się same.

Wówczas ci, którzy mieszkali jeszcze w nieszczęsnym domu państwa Bonacieux, i najbliżsi sąsiedzi, usłyszeli krzyki, bieganinę, szcęk szpad i przeciągły łoskot padających mebli. W chwilę potem ludzie, którzy zaalarmowani hałasem rzucili się do okien, by dowiedzieć się jego przyczyny, mogli ujrzeć, jak drzwi się otwierają i czterej czarno ubrani mężczyźni nie tyle wychodzą, ile wylatują niczym spłoszone kruki, pozostawiając na ziemi i rogach stołów pióra ze swych skrzydeł, to znaczy strzępy ubrań i resztki płaszczy.

D'Artagnan odniósł zwycięstwo bez wielkiego trudu, trzeba to wyznać, ponieważ jeden tylko ze strażników był uzbrojony, a i ten bronił się tylko dla zachowania pozorów. Co prawda trzech inni starali się ugodzić młodzieńca ciskając krzesłami, taboretami i garnkami, ale dwa czy trzy zadraśnięcia zadane szpadą Gaskończyka przeraziły ich do reszty. W ciągu dziesięciu minut ponieśli klęskę

i d'Artagnan został panem na placu boju.

Sąsiedzi otworzyli okna z tym szczególnym spokojem, który cechował mieszkańców Paryża w owych czasach rozruchów i nieustannych bójek, zamknęli je jednak natychmiast, gdy tylko ujrzeli ucieczkę czterech czarno odzianych mężczyzn; instynkt mówił im, że na razie wszystko jest skończone.

Zresztą było już za późno, a wówczas, tak samo jak dziś, w dzielnicy luksemburskiej wcześniej kładziono się spać.

D'Artagnan zostawszy sam z panią Bonacieux odwrócił się w jej stronę; biedaczka leżała na fotelu na wpół zemdlona. D'Artagnan ogarnął ją szybkim spojrzeniem.

Była to urocza kobieta wyglądająca na lat dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć, brunetka o

niebieskich oczach, nosku nieco zadartym, olśniewających zębach i białej cerze o odcieniu rózu i opalu. Na tym jednak kończyły się cechy, dzięki którym mogłaby ujść za wielką damę. Ręce miała białe, ale o niezbyt wytwornym kształcie; jej stopy nie zdradzały arystokratycznego pochodzenia.

Na szczęście d'Artagnanowi było jeszcze daleko do tego, by zajmować się takimi szczegółami.

Podczas gdy d'Artagnan patrzył na panią Bonacieux i, jak powiedzieliśmy, przyglądał się właśnie jej stopom, ujrzał na podłodze batystową chusteczkę; podniósł ją swym zwyczajem i w rogu rozpoznał ten sam herb, jaki widział na chustce, dzięki której omal nie doszło do śmiertelnego starcia z Aramisem. Od tego czasu d'Artagnan nie ufał chusteczkom zdobnym w herby, włożył ją zatem bez słowa do kieszeni pani Bonacieux.

W tej samej chwili pani Bonacieux odzyskała przytomność. Otworzyła oczy, rozejrzała się z przestrachem wokół, ale zauważyła, że mieszkanie jest puste, a ona sama ze swym wybawcą, Z uśmiechem wyciągnęła ręce do d'Artagnana.

Pani Bonacieux uśmiechnęła się najwdzięczniej w świecie.

- Ach, panie - powiedziała - uratowałeś mnie, pozwól, że ci podziękuję.

- Pani - rzekł d'Artagnan - uczyniłem to tylko, co każdy szlachcic uczyniłby na moim miejscu, i nie zasłużyłem na podziękowanie.

- Jakkolwiek jest, przekonasz się pan, że nie jestem niewdzięczna. Ale czego chcieli ode mnie ci ludzie, których w pierwszej chwili wzięłam za złodziei, i dlaczego nie ma tu mego męża?

- Pani, ci ludzie są bardziej niebezpieczni niż złodzieje, są to bowiem agenci pana kardynała; twego męża zaś nie ma tu, ponieważ wczoraj zabrano go do Bastylii.

- Mój mąż w Bastylii - zawołała pani Bonacieux - och, mój Boże! Cóż takiego uczynił! Kochany biedak! On, wcielenie niewinności!

I coś na kształt uśmiechu przemknęło po wciąż jeszcze przerażonej twarzy młodej kobiety.

- Co uczynił? - powiedział d'Artagnan. - Myślę, że popełnił tę tylko zbrodnię, że ma szczęście, a zarazem nieszczęście być mężem pani.

- Ależ, panie, wiesz przecie...

- Wiem, że panią uprowadzono.

- Któż mnie uprowadził? O, jeśli wiesz, powiedz mi!

- Uprowadził panią człowiek liczący sobie lat czterdzieści lub czterdzieści pięć, o czarnych włosach, ogorzalej twarzy, z blizną na lewej skroni.

- Tak jest, tak właśnie, ale jak się nazywa?

- Jak się nazywa? Tego właśnie nie wiem.

- Czy mój mąż wiedział, że mnie uprowadzono?

- Został powiadomiony listem, który napisał do niego ów człowiek.

- Czy domyśla się, co było przyczyną porwania? - rzekła pani Bonacieux z zakłopotaniem.

- Zdaje się, że dopatruje się w tym polityki.

- Powątpiewałam w to zrazu, ale teraz jestem jego zdania. Więc ten kochany Bonacieux nie podejrzewał mnie ani przez chwilę...

- Ach, pani, nic podobnego, zbyt szczyci się swym rozumem, a nade wszystko twą miłością,

Niedostrzegalny niemal uśmiech po raz wtóry zjawił się na różanych ustach pięknej kobiety.

- Ale jak pani uciekła?

- Skorzystałam z chwili, kiedy mnie zostawiono samą, a ponieważ wiedziałam już tego ranka, co mam myśleć o porwaniu, zsunęłam się z okna po prześcieradłach; sądząc, że mój mąż jest tutaj, przybiegłach do domu.

- By szukać u niego opieki?

- Och, nie, wiedziałam dobrze, że ten kochany biedak nie potrafi mnie obronić, ale ponieważ mógł nam posłużyć do czego innego, chciałam go uprzedzić.

- O czym?

- To nie jest moja tajemnica, więc nie mogę jej panu zdradzić.

- Sądzę zresztą - rzekł d'Artagnan - (przepraszam panią, ale będąc ostrożny przypomnę jej o przezorności) sądzę zresztą, że nie jesteśmy tu w odpowiednim miejscu do zwierzania sobie tajemnic. Ludzie, których zmusiłem do ucieczki, powrócą z posiłkami. Jeśli nas tu znajdą, jesteśmy zgubieni. Kazałem co prawda uprzedzić moich trzech przyjaciół, ale kto wie, czy byli właśnie w domu.

- Tak, tak, ma pan słusność - zawołała przerażona pani Bonacieux - uciekajmy, ratujmy się!

Mówiąc te słowa wsunęła rękę pod ramię d'Artagnana i pociągnęła go za sobą.

- Ale dokąd uciekać? - rzekł d'Artagnan - gdzie się schronić?

- Przede wszystkim wyjdźmy z tego domu, potem zobaczymy.

I młoda kobieta oraz młody człowiek, nie trudząc się zamykaniem drzwi, przeszli szybko przez ulicę des Fossoyeurs; potem skręcili w ulicę Fosses-Monsieur-le-Prince i zatrzymali się dopiero na placu Saint-Sulpice.

- I co będziemy teraz robić? - zapytał d'Artagnan. - Dokąd każe się pani odprowadzić?

- Wyznam, że trudno mi na to odpowiedzieć - rzekła pani Bonacieux - miałam zamiar uprzedzić pana de La Porte przez męża, by dowiedzieć się, co działo się w Luwrze przez ostatnie trzy dni i czy mogę przyjść do pałacu nie narażając-się na niebezpieczeństwo.

- Ale i ja mógłbym uprzedzić pana de La Porte - rzekł d'Artagnan.

- Zapewne, jedna jest tylko przeszkoda: mego męża znają w Luwrze i wejdzie bez trudności, pana zaś nie znają i zamkną panu drzwi przed nosem.

- Mój Boże - westchnął d'Artagnan - masz przecie pani jakiegoś oddanego ci odźwiernego, który na dane hasło...

Pani Bonacieux przyjrzała się uważnie młodzieńcowi.

- A jeśli zdradzę panu to hasło - odparła - czy zapomnisz je natychmiast, gdy tylko się nim posłużysz?

- Słowo kawalerskie, przysięgam na honor! - powiedział d'Artagnan z tak szczerym akcentem, że nie można mu było nie wierzyć.

- Wierzę panu; wyglądasz na dzielnego młodzieńca, być może zresztą, że twoje oddanie przyniesie ci fortunę.

- Bez żadnych przyrzeczeń i wedle sumienia uczynię dla króla i królowej wszystko, co w mej mocy! - wykrzyknął d'Artagnan. -Rozporządzaj zatem mną, pani, jak przyjacielem.

- Ale co będzie ze mną przez ten czas?

- Czy nie zna pani kogoś, do kogo mógłby przyjść po ciebie pan de La Porte?

- Nie, nie chcę zawierzyć nikomu.
 - Zaraz - rzekł d'Artagnan - jesteśmy przy domu Atosa. Tak, to tutaj.
 - Któż to jest Atos?
 - Jeden z moich przyjaciół.
 - A jeśli jest w domu i mnie zobaczy?
 - Nie ma go, a ja zabiorę klucz, kiedy pani będzie już w mieszkaniu.
 - Ale on wróci przecież?
 - Nie wróci; zresztą powiedzą mu, że przyprowadziłem kobietę i że ta kobieta jest w jego mieszkaniu.
 - Ale to mnie skompromituje, czy pomyślałeś pan o tym?
 - Cóż to panią obchodzi? Nikt pani tu nie zna; zresztą jesteśmy w takim położeniu, że możemy nie zważać na konwenanse!
 - Idźmy zatem do pańskiego przyjaciela. Gdzie mieszka?
 - Przy ulicy Ferrou, dwa kroki stąd.
 - Chodźmy.
- Poszli. Jak to przewidział d'Artagnan, Atosa nie było w domu. Wziął więc klucz, który dawano mu zazwyczaj jako przyjacielowi Atosa, wszedł na górę i wprowadził panią Bonacieux do małego mieszkania, które już opisaliśmy.
- Jesteś tu pani u siebie - powiedział. - Zamknij drzwi od wewnątrz i nie otwieraj nikomu, chyba że ktoś zapuka tak - zapukał trzykrotnie: po dwóch mocnych i szybko po sobie następujących uderzeniach trzecie było słabsze i lżejsze.
 - Dobrze - rzekła pani Bonacieux - teraz ja dam panu wskazówki.
 - Słucham.
 - Pójdiesz do Luwru i przy wejściu prowadzącym od ulicy de l'Echelle wezwiesz Germaina.
 - Tak jest. Co dalej?
 - Zapyta pana, czego chcesz, powiesz mu te dwa słowa: Tours i Bruksela. Wówczas będzie na twoje

rozkazy.

- Cóż mam mu rozkazać?
- By udał się do pana de La Porte, pokojowca królowej.
- A kiedy go znajdzie i pan de La Porte się zjawi?
- Przyślesz go do mnie.
- Doskonale, ale gdzie i jak panią zobaczę?
- Zależy panu na tym, by mnie zobaczyć?
- Oczywiście.
- To już mnie pozostaw.
- Liczę na pani słowo.
- Możesz na nie liczyć.

D'Artagnan skłonił się pani Bonacieux, obejmując spojrzeniem pełnym miłosnego ognia jej uroczą drobną postać, i kiedy schodził ze schodów, usłyszał, jak przekręcała dwukrotnie klucz w zamku. W mgnieniu oka był w Luwrze. Kiedy podchodził do bramy od strony ulicy de l'Echelle, biła dziesiąta. Wszystkie opisane przez nas wypadki rozegrały się w ciągu pół godziny.

Wszystko poszło tak, jak zapowiedziała pani Bonacieux. Na umówione hasło Germain się skłonił; w dziesięć minut potem La Porte był w łoży odźwiernego. W krótkich słowach d'Artagnan poinformował go, gdzie znajduje się pani Bonacieux. La Porte dwukrotnie upewnił się o adresie i wybiegł. Zaledwie jednak zrobił dziesięć kroków, zawrócił z powrotem.

- Młodzieńcze - rzekł do d'Artagnana - dam ci radę.
- Jaką?
- Może się zdarzyć, że to, co zaszło, narazi cię na nieprzyjemności.
- Tak pan sądzi?
- Tak, Czy masz jakiegoś przyjaciela, którego zegar się spóźnia?
- Cóż dalej?

- Odwiedź go, by mógł zaświadczyć, że byłeś u niego z wizytą o wpół do dziesiątej. W sądownictwie nazywa się to alibi.

D'Artagnan uznał, że rada jest przezorna, wzięł nogi za pas i popędził do pana de Treville; ale zamiast udać się wraz z wszystkimi do salonu, poprosił, by wpuszczono go do gabinetu kapitana. Ponieważ d'Artagnan był częstym gościem w pałacu, nie robiono mu żadnych trudności i uprzedzono pana de Treville, że jego młody ziomek prosi o posłuchanie w ważnej sprawie. W pięć minut potem pan de Treville pytał d'Artagnana, czym mógłby mu służyć i czemu zawdzięcza wizytę o tak późnej porze.

- Zechce mi pan wybaczyć - rzekł d'Artagnan, który skorzystał z chwili, kiedy był sam, i przesunął wskazówkę zegara o trzy kwadransy wstecz - myślałem, że skoro jest dopiero dziewiąta dwadzieścia pięć, mogę jeszcze zjawić się u pana.

- Dziewiąta dwadzieścia pięć! - zawołał pan de Trsville spoglądając na zegar. - Ależ to niemożliwe!

- Zechciej pan spojrzeć na zegar - rzekł d'Artagnan.

- Rzeczywiście - powiedział pan de Trsville - myślałem, że jest już później. Ale czego sobie pan życzysz?

Wówczas d'Artagnan opowiedział panu de Treville długą historię na temat królowej. Wyłożył mu obawy co do osoby Jej Królewskiej Mości; opowiedział, co słyszał o projektach kardynała względem Buckinghama - a wszystko z wielkim spokojem i pewnością siebie, które zwiody pana de Treville, tym bardziej że on sam, jak to powiedzieliśmy, zauważył, że coś zaszło między kardynałem, królem

i królową.

Gdy wydzwoniła dziesiąta, d'Artagnan opuścił pana de Treville, który podziękował za wiadomości i polecił mu, by zawsze miał na sercu służbę królowi i królowej, za czym wrócił do salonu. Ale na dole d'Artagnan przypomniał sobie, że zapomniał laski, wrócił więc szybko, wszedł do gabinetu, jednym ruchem palca ustawił wskazówkę na właściwym miejscu, by nie można było zauważyć, że została uprzednio przesunięta; spokojny teraz, że ma świadka i alibi, zszedł ze schodów i wkrótce znalazł się na ulicy.

Po wizycie u pana de Treville d'Artagnan bardzo zamyślony wracał do domu okreśną drogą.

O czym to myślał nasz bohater, kiedy nakładał drogi i wpatrywał się w gwiazdy, wzdychając i uśmiechając się na przemian?

Myślał o pani Bonacieux. Dla przyszłego muszkietera młoda kobieta była nieledwie ideałem

kochanki. Ładna, tajemnicza, dopuszczona do wszystkich niemal dworskich sekretów, o czym mówiła powaga dodająca szczególnego uroku jej miłej twarzy, nie wydawała się zbyt sroga, co zawsze wabi nowicjusza w miłości; poza tym d'Artagnan uwolnił ją od nicponi, którzy chcieli ją rewidować i wyrządziliby jej krzywdę, a ta przysługa wywołała uczucie wdzięczności, tak łatwo przybierające odcień bardziej tkliwy.

D'Artagnan widział już - tak szybko bowiem mkną marzenia na skrzydłach wyobraźni - jak dogania go wysłannik młodej kobiety i wręcza czuły liścik, złoty łańcuch czy diament. Mówiliśmy już o tym, że młodzi kawalerowie przyjmowali bez wstydu dary od króla. Dodajmy jeszcze, że w owych czasach niezbyt surowej moralności zachowywali się nie inaczej w stosunku do swych kochanek, pozostawiających im niemal zawsze cenne i trwałe pamiątki, jak gdyby trwałością darów chciały przewyciężyć kruchość swych uczuć.

Bez rumieńca wstydu robiono podówczas kariery przy pomocy kobiet. Te, które były tylko piękne, ofiarowywały swą urodę i stąd zapewne pochodzi przysłowie, że najpiękniejsza w świecie dziewczyna nie może ofiarować więcej, niż posiada. Te, które były bogate, dawały ponadto część swych pieniędzy i można by wyliczyć niemało bohaterów tej rycerskiej epoki, co nie zdobyliby

ostróg wpierw i nie wygrali bitew później, bez lepiej lub gorzej wypchanej sakiewki, którą kochanka przyczepiała im do łęku siodła.

D'Artagnan nie posiadał nic; wahania prowincjusza, ów leciutki nalot, nietrwały kwiat, brzoskwiniowy puszek, rozwiały się jak za podmuchem wiatru pod wpływem niezbyt surowych rad, które trzej muszkietierowie dawali przyjacielowi. D'Artagnan, idąc za osobliwym obyczajem czasu, czuł się w Paryżu jak na polu bitwy, i to na polu bitwy we Flandrii: tam Hiszpan, tu kobieta. I tu, i tam

trzeba było pokonać nieprzyjaciela i ściągnąć kontrybucję.

Zaznaczmy jednak, że w tej chwili owładnęły d'Artagnana uczucia bardziej szlachetne i bezinteresowne. Kramarz powiedział, że jest bogaty; młodzieniec mógł się domyślić, że przy głupocie pana Bonacieux żona miała klucz od kasy. Ale to wszystko nie wpłynęło ani trochę na uczucia, które wywołał w nim widok pani Bonacieux, a wyrachowanie nie odgrywało niemal roli w początkach tej

miłości. Powiadamy: niemal, ponieważ świadomość, że młoda, wdzięczna, piękna i bystra kobieta jest zarazem bogata, nie szkodzi uczuciu; przeciwnie, umacnia je.

Dostatek pozwala na dbałość i kaprysy arystokratyczne, które tak pasują do urody. Cienka i biała pończoszka, jedwabna suknia, koronkowa chustka, zgrabny bucik na nodze, świeża wstążka we włosach nie zmieniają brzydkiej kobiety w ładną, lecz ładną mogą uczynić piękną. Nie wspominamy nawet, jak bardzo zyskują na tym ręce; ręce, zwłaszcza u kobiet, muszą być bezczynne, by mogły zachować urodę.

Przy tym d'Artagnan nie był bogaczem. Jak o tym doskonale wie czytelnik, przed którym nie tailiśmy stanu jego fortuny, miał nadzieję, że zostanie nim kiedyś, ale widział tę szczęśliwą chwilę w dość jeszcze dalekiej przyszłości.

Tymczasem jakaż to przykrość nie móc ofiarować kochanej kobiecie tysiąca owych drobnostek, które składają się na jej szczęście! Zresztą kiedy kochanka jest bogata, a kochanek biedny, sama ofiarowuje sobie to, czego on jej dać nie może, a choć za te przyjemności płaci zazwyczaj mąż, rzadko wdzięczność jemu przypada w udziale.

Zresztą d'Artagnan, choć stworzony na najczulszego kochanka, był przecież bardzo oddanym przyjacielem. Wśród miłosnych marzeń, których przedmiotem była żona kramarza, nie zapomniał o swoich druhach. Śliczna pani Bonacieux była kobietą, z którą chętnie by się wybrał na przechadzkę do Saint-Denis lub na jarmark do Saint-Germain w towarzystwie Atosa, Portosa i Aramisa; z dumą

pokazałby im swą wybraną. A jako że chodząc długo człowiek nabiera apetytu, co d'Artagnan mógł stwierdzić od niejakiemu czasu, urządzano by owe rozkoszne obiadki, kiedy to jednocześnie dotykasz ręki przyjaciela i nóżki kochanki.

Wreszcie, w trudnych chwilach i w groźnych sytuacjach, d'Artagnan byłby wybawcą przyjaciół.

A pan Bonacieux, którego d'Artagnan popchnął w ręce zbirów wypierając go się głośno i przyrzekając po cichu, że go uratuje? Musimy wyznać naszym czytelnikom, że d'Artagnan wcale o tym nie myślał, a jeśli myślał, to jedynie po to, by sobie powiedzieć, że panu Bonacieux jest dobrze tam, gdzie jest. Miłość to najbardziej egoistyczna ze wszystkich namiętności.

Niech się jednak nasi czytelnicy pocieszą: jeśli d'Artagnan zapomina o swym gospodarzu lub udaje, że o nim zapomina pod pozorem, iż nie wie, dokąd go zaprowadzono, my o nim nie zapomnimy i wiemy, gdzie jest. Ale na razie zachowamy się tak jak zakochany Gaskończyk, a do zacnego kramarza powrócimy nieco później.

Rozmyślając o swych przyszłych amorach, przemawiając do nocy, uśmiechając się do gwiazd, nasz bohater szedł ulicą Cherche-Midi czy Chasse-Midi, jak ją nazywano podówczas. Ponieważ znajdował się w dzielnicy, gdzie mieszkał Aramis, przyszło mu do głowy, że warto odwiedzić przyjaciela i wyjaśnić mu, dlaczego posłał Plancheta z prośbą, by Aramis zjawił się natychmiast w pułapce.

Jeśli by Planchet zastał Aramisa w domu, muszkieter bez wątpienia przybiegłby na ulicę des Fossoyeurs i, znalazłszy tam prawdopodobnie tylko dwóch przyjaciół, nie wiedziałby, podobnie jak i tamci, co to wszystko znaczy. Rzecz wymaga wyjaśnienia - oto co mówił sobie głośno d'Artagnan.

Potem pomyślał, że byłaby to wyborna okazja do rozmowy o ślicznej pani Bonacieux, która jeżeli nawet nie podbiła jego serca, to zawróciła mu w głowie.

Od pierwszej miłości nie należy żądać dyskrecji. Pierwszej miłości towarzyszy tak wielka radość, że musi znaleźć sobie ujście, inaczej cię udusi.

Paryż od dwóch godzin był ciemny i pustoszał coraz bardziej. Wszystkie zegary przedmieścia Saint-Germain wydzwoniły jedenastą; pogoda była piękna. D'Artagnan szedł uliczką znajdującą się tam, gdzie biegnie dziś ulica d'Assas, wdychając wonne powietrze, niesione wiatrem od ulicy Vaugirard i ogrodów odświeżonych wieczorną rosą i nocnym powietrzem. Z daleka, z kilku szynkowni rozrzuconych po równinie, dobiegały śpiewypijaków tłumione przez grube okiennice. Znalazłszy się przy końcu uliczki d'Artagnan skręcił w lewo. Dom, w którym mieszkał Aramis, znajdował się między ulicą Cassette i ulicą Seryandoni.

D'Artagnan przebył już ulicę Cassette i rozpoznał bramę domu przyjaciela tonącą w gąszczu sykomorów i powojów, kiedy ujrzał cień wychylający się z ulicy Seryandoni. Ów cień owinięty w płaszcz wydał się d'Artagnanowi zrazu mężczyzną, ale drobne kształty, niepewność ruchów i lękliwy krok wskazywały raczej na kobietę. Zdawało się, że ta kobieta nie wie zbyt dobrze, gdzie znajduje się dom, którego szuka, rozglądała się bowiem wokół, przystawała, cofała się, potem wracała znowu. Wzbudziło to ciekawość d'Artagnana.

„A gdybym zaofiarował jej swe usługi? - pomyślał. - Z postawy widać, że jest młoda, może jest też ładna. O, tak! Ale kobieta, która śpieszy ulicą o tej porze, może się udawać tylko do kochanka. Do licha! Gdybym przeszkodził spotkaniu, nie byłby to dobry sposób zawarcia znajomości”.

Tymczasem młoda kobieta wciąż szła naprzód licząc domy i okna. Nie było to zresztą trudne i nie zajmowało wiele czasu. W tej części ulicy znajdowały się zaledwie trzy domy i tylko dwa okna na nią wychodziły: okno pawilonu umieszczonego równolegle do tego, w którym mieszkał Aramis, i okno Aramisa.

- U kaduka! - rzekł d'Artagnan, który przypomniał sobie siostrzenicę teologa. - U kaduka! Byłoby zabawne, gdyby ta zapóźniona gołąbka szukała domu naszego przyjaciela., Ho, ho, na honor, bardzo mi na to wygląda. No, mój drogi Aramisie, tym razem chcę wiedzieć dokładnie, o co chodzi.

I d'Artagnan, skuliwszy się jak mógł najbardziej, ukrył się w najciemniejszym zakątku ulicy obok kamiennej ławki umieszczonej we wnęce.

Młoda kobieta szła dalej naprzód. Prócz lekkości kroku zdradził ją kaszel: głos miała świeży i młody. D'Artagnan pomyślał, że ten kaszel jest sygnałem.

Tymczasem kobieta zbliżyła się do okiennicy Aramisa bez wahania - czy to dlatego, że odpowiedziano na ten sygnał innym sygnałem, który rozproszył niepewność nocnego gościa, czy dlatego, że sama stwierdziła, iż jest u celu - i zapukała trzy razy w równych odstępach czasu.

- Do Aramisa - szepnął d'Artagnan. - Ach, mości hipokryto! Więc to tak wygląda twoja teologia!

Zaledwie przebrzmiało pukanie, gdy ktoś otworzył okno. i przez szpary w okiennicy zabłysło światło.

- Ho, ho! - rzekł d'Artagnan. - Ho, ho, więc spodziewano się wizyty! Zaraz okiennica się otworzy i dama wejdzie przez okno. Wybornie!

Ale ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana okiennica pozostała zamknięta. Co więcej, światło, które migotało przez chwilę, znikło i znowu zapanowały ciemności.

D'Artagnan pomyślał, że nie potrwa to długo, wyteżył wzrok i nastawił ucha. Miał rację: po kilku sekundach dwa krótkie uderzenia rozległy się wewnątrz.

Młoda kobieta na ulicy odpowiedziała jednym uderzeniem i okiennica się otworzyła.

Można sobie wyobrazić, z jaką wielką ciekawością patrzył i słuchał d'Artagnan.

Niestety, światło przeniesiono do innego pokoju, ale oczy młodzieńca przyzwyczyły się do ciemności. Zresztą, jak powiadają, Gaskończyk widzi w nocy niczym kot.

D'Artagnan ujrzał więc, jak młoda kobieta wyjmuje z kieszeni biały przedmiot. Była to chusteczka. Rozwinąwszy chusteczkę wskazała na jej róg swemu rozmówcy.

To przypomniało d'Artagnanowi znaną u stóp pani Bonacieux chustkę, która wydała mu się podobna do chustki upuszczonej przez Aramisa.

Co, u diabła, miała oznaczać ta chustka?

Ze swego miejsca d'Artagnan nie mógł widzieć twarzy Aramisa – młodzieniec nie wątpił bowiem ani przez chwilę, że to jego przyjaciel rozmawia z damą pod oknem - ciekawość wzięła jednak górę nad ostrożnością i korzystając z tego, że para była całkowicie zajęta chusteczką, opuścił swą kryjówkę i bezszelestnie, szybki niczym błyskawica, przypadł do węgła muru, skąd mógł doskonale widzieć wewnątrz mieszkania Aramisa.

Ale tu d'Artagnanomal nie krzyknął ze zdumienia: z nocnym gościem nie rozmawiał Aramis, lecz kobieta. D'Artagnan widział dość dobrze, by dostrzec jej strój, ale nie dość dobrze, by rozpoznać rysy.

W tej samej chwili kobieta znajdująca się wewnątrz wyciągnęła inną chustkę z kieszeni i wymieniła na tę, którą jej pokazano. Obie rozmawiały przez krótką chwilę, wreszcie okiennicę zamknęto. Kobieta znajdująca się na ulicy zawróciła i przeszła w odległości kilku kroków od d'Artagnana, nasuwając kaptur płaszcz; ale uczyniła to zbyt późno, d'Artagnan rozpoznał bowiem panią

Bonacieux.

Pani Bonacieux! Podejrzanie, że to właśnie ona, zaświtało już w umyśle młodzieńca, kiedy wyciągnęła chusteczkę z kieszeni; czy mógł jednak przypuszczać, że pani Bonacieux, która posłała go po pana de La Porte, by udać się w jego towarzystwie do Luwru, przebiega ulice Paryża o wpół do dwunastej w nocy, ryzykując, że zostanie porwana po raz wtóry?

Wynikało stąd, że sprawa jest wielkiej wagi. A jakaż może być sprawa wielkiej wagi dla kobiety dwudziestopięcioletniej? Miłość.

Ale czy we własnym interesie, czy dla kogo innego wystawia się na tak wielkie niebezpieczeństwo? Takie pytanie zadawał sobie młodzieniec, kąsany w serce przez demona zazdrości, jak gdyby był już naprawdę kochankiem pięknej kramarki.

Był zresztą prosty sposób stwierdzenia, dokąd udaje się pani Bonacieux: iść za nią. D'Artagnan wiedziony instynktem zastosował go bez namysłu.

Na widok młodego człowieka, który wyskoczył zza muru niczym posąg z niszy, i na odgłos kroków, pani Bonacieux krzyknęła i rzuciła się do ucieczki.

D'Artagnan pobiegł za nią. Dopędzić kobietę, której przeszkadzał płaszcz, nie było dla niego rzeczą trudną. Po chwili znalazł się przy niej. Nieszczęsna niewiasta była u kresu sił nie tyle ze zmęczenia, ile ze strachu, i kiedy d'Artagnan położył rękę na jej ramieniu, uklękła wołając zduszonym głosem;

- Możesz mnie pan zabić, jeśli chcesz, ale nic się nie dowiesz!

D'Artagnan podniósł ją obejmując ramieniem; ponieważ widać było, że jest bliska zemdlenia, pośpiesznie zapewnił ją o swoim oddaniu. Te słowa nie znaczyły nic dla pani Bonacieux, można je bowiem wygłaszać mając najgorsze zamiary, ale głos rozstrzygnął o wszystkim. Młodej kobiecie wydało się, że poznaje dźwięk tego głosu. Otworzyła oczy, spojrzała na człowieka, który ją tak

bardzo przestraszył, i poznając d'Artagnana wydała okrzyk radości.

- Och, to pan, pan! - zawołała. - Dzięki ci, Boże!

- Tak, to ja - rzekł d'Artagnan. - Bóg mnie posłał, bym czuwał nad panią.

- Czy to w tej intencji idziesz pan za mną? - zapytała z zalotnym uśmiechem młoda kobieta.

Wrodzona skłonność do drwin brała w niej teraz górę. Cały jej strach znikł z chwilą, gdy rozpoznała przyjaciela w człowieku, którego wzięła za wroga.

- Nie - rzekł d'Artagnan - nie, przyznaję, to przypadek skierował mnie tutaj. Zobaczyłem, że kobieta puka do okna jednego z mych przyjaciół...
- Jednego z pańskich przyjaciół? - przerwała pani Bonacieux.
- Oczywiście, Aramis jest moim przyjacielem.
- Aramis! Któż to jest?
- Jak to, powiesz mi pani, że nie znasz Aramisa?
- Słyszę to imię po raz pierwszy w życiu.
- I po raz pierwszy była pani w tym domu?
- Tak.
- Nie wiedziała pani, że mieszka tam młody człowiek?
- Nie.
- Muskieter?
- Skąd znowu!
- Więc nie przyszłaś pani po to, by się z nim zobaczyć?
- Bynajmniej. Zresztą widział pan przecie, że osoba, z którą rozmawiałam, to kobieta.
- To prawdą, ale ta kobieta jest przyjaciółką Aramisa.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Mieszka przecie u niego.
- To mnie nie obchodzi.
- Ależ któż to taki?
- O, to nie jest moja tajemnica.
- Droga pani Bonacieux, jest pani uroczą, ale zarazem najbardziej tajemniczą z kobiet...
- Czy mi z tym nie do twarzy?

- Nie, przeciwnie, jest pani czarująca.
- Jeśli tak, proszę mi podać ramię.
- Z przyjemnością. I co teraz?
- Teraz odprowadzi mnie pan.
- Dokąd?
- Tam, dokąd idę.
- Ale dokąd pani idzie?
- Zobacz pan, ponieważ pożegna się pan ze mną przy bramie.
- Czy mam na panią czekać?
- To zbyt długie.
- Wróci pani zatem sama?
- Może tak, a może nie.
- Ale kto będzie pani towarzyszyć, mężczyzna czy kobieta?
- Nie wiem jeszcze.
- Ale ja będę wiedział!
- Jakim sposobem?
- Zaczekam, by zobaczyć panią wychodzącą.
- W takim razie, do widzenia!
- Jak to?
- Nie jesteś mi pan potrzebny.
- Ale prosiła pani...
- Pomocy szlachcica, ale nie opieki szpiega.
- Słowo nieco za ostre!

- Więc jak nazywa się tych, którzy śledzą ludzi wbrew ich woli?

- Wścibskimi.

- Słowo nieco za łagodne.

- Widzę, pani, że trzeba mi czynić wszystko, co zechcesz.

- Dlaczego wyrzekłeś się pan zasługi, którą byś zyskał, gdybyś tak postąpił od razu?

- Czy nie ma zasługi w skruszce?

- A czy skrucha pana jest szczerą?

- Sam nie wiem. Ale obiecuję uczynić wszystko, co pani zechcesz, jeśli pozwolisz mi towarzyszyć ci tam, dokąd idziesz.

- I opuścisz mnie potem?

- Tak.

- Nie śledząc mnie, gdy będę wychodzić?

- Nie.

- Słowo honoru?

- Słowo szlachcica!

- Proszę mi zatem podać ramię i chodźmy.

D'Artagnan podał ramię pani Bonacieux, która wsparła się na nim, roześmiana i drżąca zarazem, i ruszyli ulicą La Harpe. Tu młoda kobieta zawahała się jak na ulicy Yaugirard, jednakże rozpoznała bramę i zbliżywszy się do niej, rzekła:

- A więc, mój panie, mam tu sprawę do załatwienia; dzięki stokrotne za towarzystwo, wybawiło mnie ono od niebezpieczeństw, na jakie idąc sama byłabym wystawiona. Ale oto chwila, kiedy trzeba ci będzie dotrzymać słowa: jestem u celu.

- Czy nie będzie się pani bała wracać?

- Mogę się obawiać jedynie złodziei.

- Alboż to fraszka?

- Cóż mogą mi zabrać? Nie mam ani grosza przy sobie.

- Zapomniała pani o tej pięknie haftowanej chustce ozdobionej herbem.

- O jakiej chustce?

- Tej, którą znalazłem u pani stóp i którą włożyłem do twej kieszeni.

- Milcz, milcz, nieszczęsny! - zawołała młoda kobieta. - Czy chcesz mnie zgubić?

- Widzi pani przecie, że grozi ci niebezpieczeństwo, skoro jedno słowo przyprawia cię o drżenie i skoro sama powiedziałaś, że gdyby ktoś usłyszał to słowo, byłabyś zgubioną. Ach, pani - zawołał d'Artagnan ujmując jej rękę i ogarniając ją płomiennym spojrzeniem - bądź bardziej wspaniałomyślna,

zaufaj mi. Czy nie wyczytałaś w moich oczach, że w sercu mam tylko oddanie i przyjaźń dla ciebie!

- Zapewne - rzekła pani Bonacieux - toteż możesz pytać o moje tajemnice, nie będę ich ukrywać; jeśli jednak idzie o cudze, sprawa wygląda zgoła inaczej.

- Dobrze - powiedział d'Artagnan - odkryję je, skoro mogą mieć wpływ na pani życie. Te tajemnice muszą się stać moimi.

- Strzeż się - zawołała młoda kobieta z powagą tak wielką, że mimo woli dreszcz przebiegł d'Artagnana. - Och, nie wtrącaj się pan do niczego, co mnie dotyczy, nie próbuj pomagać mi w tym, co czynię. Proszę cię o to w imię życzliwości, jaką masz dla mnie, w imię usług, które mi oddałeś i których nigdy nie zapomnę. Zechciej uwierzyć w to, co mówię. Nie zajmuj się mną, nie istnieję dla pana, jak gdybyś mnie nigdy nie widział.

- Więc wołałabyś, by uczynił to Aramis, pani? - rzekł d'Artagnan dotknięty.

- Już po raz drugi czy trzeci wymawia pan to imię, choć powiedziałam, że go nie znam.

- Nie zna pani człowieka, do którego okiennicy pani pukała? Widzę, że uważasz mnie za bardzo łatwowiernego!

- Niech pan przyzna, że wymyślił pan tę historię, by dowiedzieć się czegoś ode mnie. Wymyślił pan również tę osobę.

- Nic nie wymyśliłem, pani, mówię jedynie prawdę.

- I powiadasz, że twój przyjaciel mieszka w tym domu?

- Mówię i powtarzam po raz trzeci, że w tym domu mieszka mój przyjaciel, a tym przyjacielem jest Aramis.

- Wszystko to wyjaśni się później - szepnęła młoda kobieta - a teraz przestań o tym mówić.

- Gdybyś mogła widzieć moje serce - rzekł d'Artagnan - wyczytałabyś w nim tyle ciekawości, że miałabyś litość nade mną, i tyle miłości, że natychmiast zaspokoiłabyś mą ciekawość. Tych, co cię kochają, nie powinnaś się obawiać.

- Zbyt prędko mówisz o miłości - rzekła młoda kobieta kiwając głową.

- Bo pokochałem prędko, po raz pierwszy w życiu, a nie mam jeszcze dwudziestu lat.

Młoda kobieta spoglądała na niego ukradkiem.

- Proszę posłuchać, jestem na tropie - powiedział d'Artagnan. - Przed trzema miesiącami omal nie doszło do pojedynku między mną i Aramisem z powodu chusteczki podobnej do tej, którą pokazała pani kobiecie znajdującej się w jego mieszkaniu; chusteczka była znaczone tak samo, jestem tego pewien.

- Panie - rzekła młoda kobieta - przysięgam panu, że bardzo mnie męczysz tymi pytaniami.

- Ale czy pani, taka ostrożna, pomyślała o tym, że byłabyś skompromitowana, gdyby cię aresztowano z tą chusteczką i gdyby ci ją zabrano?

- Dlaczego? Przecież to moje inicjały: K.B., Konstancja Bonacieux.

- Albo Kamila de Bois-Tracy.

- Zamilknij, raz jeszcze ci powtarzam. Jeśli myśl o niebezpieczeństwach, na jakie się wystawiam, nie powstrzymuje pana, pomyśl o tych, co mogą grozić tobie samemu!

- Mnie?

- Tak, panu. Znajomość ze mną grozi więzieniem, grozi śmiercią!

- W takim razie nie opuszczę pani.

- Panie - rzekła tonem błagalnym młoda kobieta, składając ręce - panie, w imię nieba, w imię honoru żołnierza, pomnij na rycerskie obyczaje, oddal się. Bije północ, a o tej godzinie czekają na mnie.

- Pani - powiedział młodzieniec z ukłonem - nie potrafię odmówić, gdy tak prosisz; ciesz się, odchodzę.

- Ale nie będzie pan szedł za mną, nie będzie pan mnie śledził?

- Wracam natychmiast do domu.

- Wiedziałaam, że jest pan dzielnym młodzieńcem - zawołała pani Bonacieux wyciągając do niego rękę, a drugą sięgając do kołatki umieszczonej przy furtce w murze.

D'Artagnan ujął podaną dłoń i ucałował ją gorąco.

- Ach, wolałbym wcale pani nie znać! - zawołał z tą naiwną brutalnością, która często miłsza jest kobietom od uprzejmych słówek, odsłania bowiem głębię myśli i dowodzi, że uczucie bierze górę nad rozsądkiem.

- Cóż - podjęła pani Bonacieux głosem niemal pieszczotliwym, ściskając rękę d'Artagnana, który nie wypuścił jej dłoni - przecie jeszcze nic straconego. Kto wie, czy kiedyś, jeśli będę wolna od tajemnicy, nie zaspokoję pańskiej ciekawości.

- Czy ta obietnica dotyczy mojej miłości? - zawołał d'Artagnan pijany radością.

- Nie mogę nic przyrzekać, to zależy od uczuć, jakie zdoła pan we mnie wzbudzić.

- A więc dziś jeszcze, pani...

- Dziś czuję jedynie wdzięczność.

- Nazbyt jest pani czarująca - rzekł d'Artagnan ze smutkiem - i zwodzisz mnie tylko.

- Nie, korzystam jedynie z pańskiej wielkoduszności. Ale wierzaj, potrafię twe postępowanie ocenić.

- Czynisz mnie pani najszczęśliwszym z ludzi! Nie zapomnij tego wieczoru, nie zapomnij tej obietnicy.

- Bądź pan spokojny, przypomnę sobie w odpowiedniej chwili. A teraz odejdz, odejdz w imię Boga. Oczekiwano mnie o północy, a już się spóźniłam.

- O pięć minut.

- Tak, ale w pewnych okolicznościach pięć minut to pięć wieków.

- Kiedy się kocha.

- A któż panu powiedział, że nie chodzi tu o zakochanego?

- Więc to mężczyzna czeka na panią! - zawołał d'Artagnan.

- Znowu pan zaczyna - rzekła pani Bonacieux z uśmiechem, w którym było trochę niecierpliwości.

- Nie, nie, odchodzę, idę; wierzę pani, niechaj mam tę zasługę, że jestem ci oddany, nawet gdyby to było głupotą. Do widzenia, pani, żegnaj.

I jak gdyby w obawie, że nie wystarczy mu sił, by oderwać się od jej dłoni, jeśli nie uczyni tego natychmiast, puścił tę dłoń, oddalił się biegiem, zaś pani Bonacieux zapukała trzykrotnie, powoli i miarowo, tak samo jak do okiennicy.

Gdy był już na rogu, odwrócił się: brama otworzyła się i zamknęła, urocza kramarka znikła.

D'Artagnan szedł swoją drogą, dał bowiem słowo, że nie będzie jej śledzić, i gdyby nawet jego życie było w rękach pani Bonacieux lub w rękach osoby, która miała jej towarzyszyć, d'Artagnan nie zmieniłby zamiaru i wróciłby do domu, ponieważ powiedział, że wróci. W pięć minut potem był już na ulicy des Fossoyeurs.

- Biedny Atos - mówił do siebie - nie będzie wiedział, co to wszystko znaczy. Zaśnie pewnie, czekając na mnie, albo wróci do domu i dowie się, że była u niego kobieta. Kobieta u Atosa! Zresztą inna kobieta była też u Aramis. Wszystko to jest bardzo osobliwe i rad bym wiedzieć, jak się to skończy.

- Źle, proszę pana, źle - odparł głos, który był głosem Plancheta, wygłaszając bowiem głośno swój monolog, jak to jest w zwyczaju ludzi bardzo czymś pochłoniętych, d'Artagnan znalazł się na dróżce prowadzącej do jego mieszkania.

- Jak to źle? Co chcesz przez to powiedzieć, głupcze? - zapytał d'Artagnan - co się stało?

- Najróżniejsze nieszczęścia.

- Jakie?

- Przede wszystkim pan Atos został aresztowany.

- Aresztowany! Atos! Dlaczego?

- Zastano go w pańskim mieszkaniu i wzięto za pana.

- A któż go aresztował?

- Straż sprowadzona przez tych czarnych zbirów, których pan zmusił do ucieczki.
- Dlaczego nie powiedział, kim jest? Dlaczego nie powiedział, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego?
- Tego właśnie nie zrobił, panie; przeciwnie, podszedł do mnie i powiedział: „Twojemu panu potrzebna jest wolność w tej chwili, a nie mnie, ponieważ on wie wszystko, a ja nic. Pomyślą, że jego właśnie uwięzili, i przez to zyska na czasie; za trzy dni powiem, kim jestem i będą mnie musieli wypuścić”.
- Brawo, Atosie! Szlachetne serce, to do niego podobne - szepnął d'Artagnan. - A co uczynili tamci?
- Czterech uprowadziło go, ale nie wiem gdzie, do Bastylii czy do Fort-l'Eveque; dwaj zostali z tymi w czarnych sukniach, którzy przetrzasnęli wszystko i zabrali wszystkie papiery. Jeszcze dwaj stali przez cały czas na straży przy bramie; kiedy wszystko było skończone, odeszli zostawiając dom pusty i otwarty.
- A Portos i Aramis?
- Nie znalazłem ich, nie przyszli dotąd.
- Ale mogą przyjść w każdej chwili, skoro powiedziałeś im, że na nich czekam?
- Tak, panie.

- Dobrze. Nie ruszaj się stąd. Jeśli przyjdą, opowiedz im o tym, co się stało, i niechaj czekają na mnie w gospodzie „Pod Szyszką”; tu byłoby niebezpiecznie, może dom jest śledzony. Biegnę do pana de Treville, by opowiedzieć mu o wszystkim i wrócę do nich.
- Dobrze panie - rzekł Planchet.
- Ale ty zostaniesz w domu, nie będziesz się bał! - rzekł d'Artagnan zawracając, by dodać odwagi służącemu.
- Niech pan będzie spokojny - rzekł Planchet - nie zna mnie pan jeszcze; jestem odważny, kiedy już raz zacznę, najważniejszy początek; zresztą jestem Pikardyjczyk.
- Więc postanowione - rzekł d'Artagnan - raczej dasz się zabić, niż opuścisz swój posterunek.
- Tak, panie, i nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobił, by dowieść, że jestem do pana przywiązany.

- Pięknie - rzekł do siebie d'Artagnan - zdaje się, że metoda, którą zastosowałem wobec tego chłopca, jest dobra. Skorzystam z niej jeszcze przy okazji.

I z największą szybkością, na jaką stać było jego nogi, nieco już zmęczone marszami, skierował się na ulicę Vieux-Colombier.

Pana de Treville nie było w pałacu; jego kompania pełniła służbę w Luwrze, kapitan był tam również.

Trzeba było dotrzeć do pana de Treville i uprzedzić go o tym, co zaszło. D'Artagnan postanowił dostać się do Luwru. Mundur gwardzisty z kompanii pana des Essarts mógł zastąpić mu przepustkę.

Ruszył więc ulicą Petits-Augustins i zszedł na wybrzeże, by przejść przez Pont-Neuf... Miał zamiar przeprowdzić się promem, ale znalazłszy się nad brzegiem rzeki, włożył machinalnie rękę do kieszeni i stwierdził, że nie ma czym zapłacić.

Kiedy znalazł się na ulicy Guenésaud, ujrzał, jak z ulicy Dauphine wychodzą dwie osoby, których wygląd zwrócił jego uwagę.

Byli to mężczyzna i kobieta.

Kobieta przypominała postacią panią Bonacieux, mężczyzna był ładnie podobny do Aramisa. Co więcej, kobieta miała na sobie czarny płaszcz, który d'Artagnanowi rysował się wciąż jeszcze w pamięci na tle okiennicy przy ulicy Yaugirard i bramy przy ulicy La Harpe.

Co więcej, mężczyzna był w mundurze muszkietera.

Kobieta miała kaptur spuszczone na oczy, mężczyzna trzymał chustkę przy twarzy; jak z tego widać, oboje nie chcieli być rozpoznani.

Weszli na most. Była to droga d'Artagnana, który udawał się do Luwru, ruszył więc za nimi.

D'Artagnan nie zrobił jeszcze dwudziestu kroków, kiedy powziął przekonanie, że kobieta jest panią Bonacieux, a mężczyzna Aramisem.

W tej samej chwili poczuł, jak w sercu jego budzą się na nowo podejrzenia.

Był podwójnie zdradzony - przez przyjaciela i przez kobietę, którą kochał już jak kochankę. Pani Bonacieux przysięgła mu na wszystkie świętości, że nie zna Aramisa, a w kwadrans po tych przysięgach szła z nim pod ramię.

D'Artagnan nie pomyślał wcale o tym, że zna wdzięczną kramarkę dopiero od trzech godzin, że winna mu jest tylko nieco wdzięczności za to, że uwolnił ją od ludzi w czarnych sukniach, którzy chcieli ją uprowadzić, i że ni 'mu nie przyrzekała. Uważał się za kochanka znieważonego, zdradzonego,

oszukiwanego, okpionego. Z wściekłości krew uderzyła mu do twarzy; postanowił wszystko wyjaśnić.

Młoda kobieta i młody człowiek zauważyli, że ktoś za nimi idzie, i przyśpieszyli kroku. D'Artagnan wyprzedził ich, po czym zawrócił w chwili, kiedy znajdowali się właśnie przed Samaritaine oświetloną latarnią, której odblask padał na tę część mostu.

D'Artagnan zatrzymał się przed nimi; oni również stanęli.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał muszkieter cofając się o krok. Słowa te powiedział z cudzoziemskim akcentem, co przekonało d'Artagnana, że omylił się przynajmniej po części.

- To nie Aramis! - zawołał.

- Nie, panie, nie jestem Aramisem i z twego okrzyku widzę, że wzięłeś mnie za kogo innego, więc przebaczam ci.

- Pan mi przebacza! - zawołał d'Artagnan.

- Tak - odparł nieznajomy. - Pozwól mi zatem odejść, skoro nie o mnie ci chodzi.

- W samej rzeczy - powiedział d'Artagnan - nie o pana mi chodzi, natomiast mam słówko do pani.

- Do pani! Ależ pan jej nie zna - rzekł cudzoziemiec.

- Pan się myli, znam ją.

- Ach - rzekła pani Bonacieux z wyrzutem w głosie - ach, panie, dałeś mi słowo żołnierza i słowo szlachcica; myślałam, że mogę na nie liczyć.

- A pani przyrzekałaś mi... - odparł d'Artagnan zmieszany.

- Oto moje ramię, pani - rzekł nieznajomy. - Idźmy dalej.

Tymczasem d'Artagnan, oszołomiony, obezwładniony i unicestwiony tym, co na niego spadło, stał ze skrzyżowanymi ramionami przed muszkieterem i panią Bonacieux nie ruszając się z miejsca.

Muszkieter postąpił dwa kroki naprzód i odsunął d'Artagnana ręką.

D'Artagnan odskoczył do tyłu i wyciągnął szpadę.

W tej samej chwili nieznajomy dobył swojej z szybkością błyskawicy.

- Na miłość Boską, milordzie! - zawołała pani Bonacieux rzucając się między przeciwników i

chwytając szpady rękami.

- Milordzie! - zawołał d'Artagnan olśniony nagłą myślą. - Milordzie! Przepraszam pana, ale czy pan jest...

- To milord księżę Buckingham - powiedziała pani Bonacieux półgłosem - możesz nas wszystkich zgubić

- Milordzie, pani, przepraszam, przepraszam po stokroć; ale kocham i jestem zazdrosny; wiesz co to miłość, milordzie, wybacz mi i powiedz, jak mógłbym oddać życie za Waszą Wysokość.

- Jesteś dzielnym młodzieńcem - rzekł Buckingham wyciągając do d'Artagnana rękę, którą tamten uściskał z szacunkiem. - Ofiarowujesz mi swoje służby, ja je przyjmuję. Idź za nami w odległości dwudziestu kroków aż do Luwru; jeśli ktoś będzie nas śledził, zabij go.

D'Artagnan wziął pod pachę obnażoną szpadę, przepuścił panią Bonacieux i księcia na odległość dwudziestu kroków i ruszył za nimi, gotów ściśle wypełnić polecenie szlachetnego i wykwinanego ministra Karola I.

Na szczęście jednak młody fanatyk nie miał sposobności złożyć księciu dowodów swego oddania i młoda kobieta wraz z pięknym muszkietierem weszli do Luwru przez bramę od ulicy de l'Echelle nie będąc niepokojeni.

Za czym d'Artagnan udał się co prędzej do gospody "Pod Szyszką", gdzie znalazł czekających na niego Portosa i Aramis.

Nie wdając się w żadne wyjaśnienia, oświadczył, że zawezwał ich, ponieważ sądził, iż pomoc przyjaciół będzie mu potrzebna, ale udało mu się samemu załatwić sprawę.

A teraz, idąc za biegiem naszego opowiadania, pozostawmy trzech druhów w chwili, kiedy wracają do siebie, i podążmy krętymi przejściami Luwru za księciem Buckingham i jego przewodniczką.

XII.

JERZY VILLIERS KSIĄŻĘ BUCKINGHAM

Pani Bonacieux i księżę weszli do Luwru bez trudności. Panią Bonacieux znano jako osobę należącą do dworu królowej; księżę nosił mundur muszkietierów pana de Treville, którzy, jak powiedzieliśmy, pełnili służbę tego wieczora.

Zresztą Gennain był oddany królowej i jeśliby się coś zdarzyło, jedynie pani Bonacieux odpowiadałaby za to, że sprowadziła kochankę królowej do Luwru; brała na siebie winę. Co prawda

byłaby skompromitowana, ale jakąż wartość ma w świecie reputacja żony kramarza?

Znalazłszy się na dziedzińcu, księżę i młoda kobieta zrobili około dwudziestu pięciu kroków wzdłuż muru, po czym pani Bonacieux pchnęła małe drzwiczki dla służby, otwarte w ciągu dnia, ale zamknięte zazwyczaj w nocy. Drzwi ustąpiły; weszli i znaleźli się w ciemnościach. Pani Bonacieux wszakże znała wszystkie przejścia w tej części Luwru, przeznaczonej dla służby pałacowej.

Zamknęła za sobą drzwi, wzięła księcia za rękę, postąpiła kilka kroków po omacku, chwyciła ręką za poręcz, postawiła nogę na stopniu i zaczęła wstępować na schody; księżę zliczył dwa piętra. Wówczas przewodniczka skręciła długim korytarzem w prawo, zeszła piętro niżej, zrobiła jeszcze kilka kroków,

włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i popchnęła księcia do pokoju oświetlonego jedynie lampą nocną, mówiąc: „Proszę, niech księżę będzie łaskaw poczekać, zaraz tu ktoś przyjdzie”. Potem wyszła tymi samymi drzwiami, przekręciła klucz w zamku, tak że księżę dosłownie znalazł się w zamknięciu.

Trzeba powiedzieć, że księżę Buckingham, choć odcięty od świata, nie czuł ani przez chwilę obawy, odznaczał się bowiem wielkim upodobaniem do przygód i romantycznych sytuacji. Dzielny, zuchwały, przedsiębiorczy, nie po raz pierwszy narażał życie dla fantazji; dowiedział się, że rzekome wezwanie Anny Austriaczki, na skutek którego przybył do Paryża, było zasadzką, i zamiast wrócić do Anglii, korzystając z okazji, powiadomił królową, że nie wyjedzie, jeśli jej wpierv nie zobaczy. Królowa odmówiła zrazu stanowczo, potem jednak przelękała się, że zrozpaczony księżę popełni jakieś szaleństwo. Postanowiła już, że go przyjmie i ubłaga, by wyjechał natychmiast, gdy tego samego wieczora pani Bonacieux, która miała przyprowadzić księcia, została porwana. Przez dwa

dni nikt nie wiedział, co się z nią stało, i wszystko pozostało w zawieszeniu. Ale kiedy pani Bonacieux odzyskała wolność i porozumiała się z panem de La Porte, sprawy potoczyły się swoją koleją: pani Bonacieux wypełniła niebezpieczne zadanie z trzydniowym opóźnieniem spowodowanym przez areszt.

Buckingham, zostawszy sam, zbliżył się do lustra. W stroju muszkietera było mu bardzo do twarzy.

Mając trzydzieści pięć lat słusznie uchodził za najpiękniejszego i najbardziej wykwintnego kawalera Francji i Anglii.

Faworyt dwóch królów, pan milionowej fortuny, wszechwładny w królestwie, którego losy zależały od jego zachcianek i kaprysów, Jerzy Villiers, księżę Buckingham, należał do tych fantastycznych postaci, których życie, owiane legendą, jest przez wieki przedmiotem podziwu dla potomności.

Jakoż pewien siebie, świadom swej potęgi, przekonany, że prawa rządzące innymi ludźmi jego nie dotyczą, zmierzał prosto do obranego celu, nawet jeśli ten cel był tak niedostępny i olśniewający, że

dla kogo innego byłoby szaleństwem o nim pomyśleć. Dzięki temu udało mu się kilkakrotnie zbliżyć do pięknej i dumnej Anny Austriaczki, którą oczarował tak, że musiała go pokochać.

Jerzy Villiers stanął tedy przed lustrem, poprawił piękne jasne włosy, przygniecione nieco przez kapelusz, podkręcił wąsa i z sercem pełnym radości, szczęśliwy i pyszny, że oto nadchodzi chwila od tak dawna upragniona, uśmiechnął się do siebie pełen dumy i nadziei.

W tej chwili drzwi ukryte w ścianie obitej tkaniną otwały się i ukazała się w nich kobieta. Buckingham ujrzał ją w lustrze; krzyknął. To była królowa.

Anna Austriaczka miała wówczas dwadzieścia sześć czy dwadzieścia siedem lat i była w pełnym blasku urody.

Ruchy miała królowej albo bogini; jej oczy, rzucające szmaragdowe blaski, były cudownie piękne, pełne słodyczy i majestatu razem.

Usta miała małe i pąsowe, a chociaż dolna warga, jak u wszystkich książąt z domu austriackiego, wysunięta była lekko ku przodowi, umiała się uśmiechać z niewymownym wdziękiem, ale gdy chciała okazać pogardę, usta jej układały się w grymas głębokiego lekceważenia.

Jej delikatną i aksamitną skórę, ręce i ramiona olśniewającej piękności opiewali wszyscy poeci tego czasu.

Włosy wreszcie, jasne we wczesnej młodości, stały się z czasem ciemniejsze; lekko ufryzowane i mocno przysypane pudrem okalały wdzięcznie jej twarz, na której najsurowszy nawet sędzia wolałby widzieć jedynie nieco mniej różu, a rzeźbiarz najbardziej wymagający mógłby mieć zastrzeżenia tylko co do rysunku nosa.

Buckingham stał przez chwilę olśniony: nigdy, ani na balach, ani na uroczystościach i zabawach, Anna nie wydała mu się tak piękna jak teraz, kiedy ubrana w skromną suknię z białego atłasu weszła w towarzystwie doni Estefany, jedynej Hiszpanki, której nie wypędziła z Luwru zazdrość króla ani prześladowania Richelieugo.

Anna Austriaczka postąpiła dwa kroki naprzód; Buckingham ukląkł i zanim królowa zdołała temu przeszkodzić, ucałował skraj jej sukni.

- Książę, wiesz już o tym, że to nie ja pisałam do niego.

- O tak, pani, tak, Wasza Królewska Mość - zawołał książę. - Wiem, że jestem szalony, obłąkany, jeśli mógł przypuszczać, że śnieg się ożywi, marmur rozgrzeje; ale cóż, kiedy się kocha, łatwo wierzy się w miłość; zresztą nie przyjechałem na próżno, skoro ciebie widzę.

- Tak - odparła Anna - ale wiesz, książę, dlaczego przystałam na to spotkanie: nieczuły na me cierpienia uparłeś się, by zostać w tym mieście, gdzie narażasz swoje życie na niebezpieczeństwo, a

mój honor na szwank; przyszedłam tu, by ci powiedzieć, że wszystko nas dzieli: głębiny morza, wrogość naszych królestw, świętość przysięgi. Świętokradztwem jest walczyć przeciw tylu rzeczom, milordzie. Przyszedłam tu, by ci powiedzieć, że nie powinniśmy się już widzieć więcej.

- Mów, pani, mów, królowo - rzekł Buckingham - słodycz twego głosu łagodzi surowość słów. Mówisz o świętokradztwie, ale świętokradztwem jest rozłączać serca przez Boga dla siebie stworzone.

- Milordzie, zapominasz, że nigdy ci nie powiedziałam, że cię kocham.

- Ale nie powiedziałaś mi też nigdy, pani, że mnie nie kochasz, i doprawdy te słowa byłyby niewdzięcznością z twojej strony. Powiedz, gdzie znajdziesz miłość podobną mojej, której ani czas, ani nieobecność, ani rozpacz nie mogą zagasić! Miłość, która zadowala się zgubioną wstążką, przelotnym spojrzeniem, przypadkowym słowem? Przed trzema laty, pani, ujrzałem cię po raz pierwszy i od trzech lat tak cię kocham. Chcesz, bym ci powiedział, pani, jak byłaś ubrana, kiedy widziałem cię po raz pierwszy? Chcesz, bym ci opisał każdą ozdobę twego stroju? Widzę cię jeszcze:

siedziałaś obyczajem hiszpańskim na poduszkach, w sukni z zielonego atłasu haftowanej srebrem i złotem; opadające rękawy podpięte były na twych pięknych, na twych cudownych ramionach wielkimi diamentami; kreza otaczała twą szyję, a na głowie miałaś mały berecik koloru sukni, z czaplim piórem. Och, pani, zamykam oczy i widzę cię taką, jaką byłaś wtedy; otwieram je i widzę cię taką, jaką jesteś teraz, stokroć jeszcze piękniejszą!

- Co za szaleństwo - szepnęła Anna Austriaczka, która nie czuła się na siłach, by skarcić księcia za to, że jej obraz tak bardzo zapadł mu w serce - co za szaleństwo karmić bezpłodną namiętność takimi wspomnieniami!

- A jakże bym żył? Mam tylko wspomnienia. To moje szczęście, mój skarb, moja nadzieja. Za każdym razem, gdy cię widzę, pani, nowy diament zamykam w skarbcu mego serca. Oto czwarty wypadł ci z ręki, a ja go podnoszę: w ciągu trzech lat bowiem widziałem cię tylko cztery razy; po raz pierwszy – mówiłem o tym przed chwilą, po raz drugi u pani de Chevreuse i po raz trzeci w ogrodach

Amiens.

- Książę - rzekła królowa okrywając się rumieńcem - nie mów o tym wieczorze.

- Przeciwnie, pani, mówmy o nim, to najszczęśliwszy i najbardziej promienny wieczór w moim życiu. Pamiętasz, jaka piękna była noc? Jak łagodne i wonne powietrze, jak czyste i usiane gwiazdami niebo! Wtedy byłem przez chwilę sam z tobą, pani; byłaś gotowa wszystko mi powiedzieć, podzielić się ze mną smutkami swego serca, zdradzić, jak samotna jesteś w życiu. Oparłaś się na moim ramieniu, o patrz, na tym. Pochylając głowę czułem, że twoje piękne włosy

dotykają mej twarzy, i za każdym razem drżałem od stóp do głów. O, królowo, królowo! Nie wiesz, ile niebiańskiego szczęścia, ile rajskich radości może kryć się w takiej chwili. Oddam wszystko, bogactwa, fortunę, sławę, resztę życia za taką chwilę i noc! Tej nocy kochałaś mnie, pani, przysięgam.

- Milordzie, być może, że piękne otoczenie, czar nocy, siła twego spojrzenia, tysiąc okoliczności wreszcie, które splatają się, by zgubić kobietę, oszołomiły mnie w ów fatalny wieczór, ale widziałeś, że królowa pośpieszyła z pomocą słabnącej kobiecie przy pierwszym słowie, które ośmieliłeś się powiedzieć: przy pierwszym zuchwalstwie, na które należało dać odpowiedź, wezwałam jej pomocy.

- Och, tak, tak, to prawda, i inna miłość nie wytrzymałaby tej próby; moje uczucie jednak wyszło z niej zwycięsko, jeszcze bardziej płomiennie i nieśmiertelne. Sądziłaś, pani, że uciekasz ode mnie wracając do Paryża, sądziłaś, że nie porzucę skarbu, nad którym kazał mi czuwać mój monarcha. Ach, cóż mnie obchodzą wszystkie skarby świata i wszyscy królowie tej ziemi! W tydzień później byłem z powrotem. Tym razem nie mogłaś mi nic zarzucić: postawiłem na kartę łaski, którymi się cieszyłem, życie nawet, by patrzeć na ciebie przez sekundę; nie dotknąłem nawet twej ręki i przebaczyłaś, widząc mnie tak uległym i skruszonym.

- Tak, ale te wszystkie szaleństwa stały się pretekstem do oszczerstw, choć nie zawiniłam, wiesz o tym dobrze, milordzie. Król, podburzony przez pana kardynała, wybuchnął strasznym gniewem; pani de Vemet została wypędzona, Putange wygnany, pani de Chevreuse popadła w niełaskę i kiedy chciałeś przyjechać jako ambasador do Francji, król, jak pamiętasz, sam król przeciwstawił się temu.

- Tak, i Francja zapłaci wojną za tę decyzję swego króla. Nie mogę cię więcej widzieć, pani; dobrze, chcę, byś co dzień słyszała o mnie. Jaki cel, myślisz, ma wyprawa na wyspę Re i liga, którą utworzę z protestantami z La Rochelle? Rozkosz ujrzenia ciebie! Nie wejdę na czele armii do Paryża, wiem o tym dobrze; ale wojna może zakończyć się pokojem, a wówczas potrzebny będzie ktoś, kto zajmie się układami: ja nim będę. Wtedy nikt nie odważy się mi odmówić, powrócę do Paryża, zobaczę ciebie, pani, i będę szczęśliwy przez chwilę. To prawda, że tysiące ludzi zapłaci życiem za moje szczęście, ale cóż mnie to obchodzi, jeśli cię ujrzę! Wszystko to jest szaleństwem, obłędem może, ale powiedz, jaka kobieta ma bardziej płomiennego kochanka, jaka królowa bardziej oddanego sługę?

- Milordzie, na swą obronę przytaczasz argumenty, które jeszcze bardziej cię oskarżają; wszystkie dowody miłości, jakie chcesz mi złożyć, to niemal zbrodnie.

- Dlatego, że nie kochasz mnie, pani. Gdybyś mnie kochała, widziałabyś wszystko inaczej; gdybyś mnie kochała, ach, gdybyś mnie kochała, byłoby to zbyt wielkim szczęściem, oszalałbym. Pani de Chevreuse, o której mówiłaś przed chwilą, była mniej okrutna od ciebie: Holland ją kochał, a ona odwzajemniła jego miłość.

- Pani de Chevreuse nie jest królową - szepnęła Anna Austriaczka, wbrew woli zwyciężona tak

wielkim uczuciem.

- Więc kochałabyś mnie, gdybyś nie była królową, powiedz, pani, kochałabyś mnie? Czy mogę wierzyć, że tylko dostojęństwo czyni cię okrutną dla mnie? Mogę wierzyć, że gdybyś była panią de Chevreuse, biedny Buckingham mógłby żywić nadzieję? Dzięki za te słodkie słowa, o, moja piękna królowo, dzięki stokrotnie.

- Ach, milordzie, źle mnie zrozumiałeś, źle wytłumaczyłeś sobie moje słowa; nie chciałam powiedzieć...

- Zamilcz, zamilcz, pani! - rzekł książę. - Jeśli jestem szczęśliwy z powodu omyłki, nie bądź tak okrutna, by ją prostować. Sama powiedziałaś, że wciągnięto mnie do zasadzki, może nie ujdę z życiem, dziwne to bowiem, ale od jakiegoś czasu mam przeczucie, że umrę. - Książę uśmiechnął się smutnym i czarującym uśmiechem.

- O, mój Boże! - zawołała Anna Austriaczka z akcentem przerażenia, zdradzającym, że książę obchodzi ją bardziej, niż chciała mu to okazać.

- Nie mówię tego po to, by cię przerazić, pani; to, co mówię, jest nawet śmieszne i wierzaj mi, nie poświęcam uwagi sennym rojeniom. Ale słowo, jakie wyrzekłaś, pani, nadzieja, którą niemal mi dałaś, są dostateczną nagrodą, nawet gdybym miał zapłacić za nie życiem.

- Posłuchaj, książę - rzekła Anna Austriaczka - ja także mam przeczucia, ja także miewam sny. Śniło mi się, że widziałam cię zranionego, broczącego krwią.

- Rana zadana nożem w lewy bok, prawda? - przerwał Buckingham.

- Tak, milordzie, tak właśnie, w lewy bok nożem. Któż mógł ci powiedzieć, że miałam taki sen? Tylko Bogu zwierzyłam go w modlitwie.

- Nie pragnę nic więcej, pani, kochasz mnie.

- Ja cię kocham?

- Tak pani. Czy Bóg zsyłałby ci te same sny co mnie, gdybyś mnie nie kochała? Czy mielibyśmy te same przeczucia, gdyby nasze istnienia nie były związane serdecznymi więzami? Kochasz mnie, królowo, i będziesz mnie opłakiwać.

- O, mój Boże, mój Boże! - zawołała Anna Austriaczka. - Nie mogę tego znieść! Książę, na miłość boską, oddal się stąd, wyjeżdżaj! Nie wiem, czy cię kocham, czy cię nie kocham; wiem jednak, że nie będę łamała przysięgi. Miej więc litość nade mną i wyjeżdżaj. Och, gdyby cios dosięgnął cię we Francji, gdybyś umarł we Francji, gdybym miała sądzić, że miłość do mnie stała się przyczyną twej zguby, nie pocieszyłabym się nigdy, oszalałabym. Wyjeżdżaj, wyjeżdżaj, błagam cię.

- Jakże jesteś piękna! Jakże cię kocham! - rzekł Buckingham.

- Jedź, jedź, błagam i wróć później; wróć jako ambasador, jako minister otoczony strażą, która cię obroni, służbą, która będzie czuwała nad tobą; wówczas nie będę drżała o twoje życie i będę szczęśliwa mogąc cię ujrzeć.

- Czy to prawda?

- Tak...

- Niechaj tak będzie: lecz daj mi jakiś dowód twojej łaskawości, pani, przedmiot należący do ciebie, który przypomni mi, że nie śniłem; coś, co nosiłaś i co ja mógłbym nosić, pierścień, naszyjnik, łańcuch.

- I odjedziesz, jeśli dam ci to, o co prosisz?

- Tak.

- Natychmiast?

- Tak.

- Opuścisz Francję, wrócisz do Anglii?

- Tak, przysięgam.

- Zaczekaj więc, książę.

Anna Austriaczka udała się do swych apartamentów i wróciła wkrótce, niosąc szkatułkę z różanego drzewa zdobną w jej inicjały inkrustowane złotem.

- Proszę, milordzie - rzekła - zachowaj to na pamiątkę ode mnie. Buckingham wziął szkatułkę i po raz drugi ukląkł.

- Przrzekłeś mi, że odjedziesz - powiedziała królowa.

- I dotrzymam słowa. Daj mi rękę, pani, i odjadę.

Anna Austriaczka wyciągnęła rękę zamykając oczy i wspierając się drugą ręką na ramieniu doni Estefany, czuła bowiem, że siły ją opuszczają.

Buckingham przywarł namiętnie ustami do tej pięknej dłoni, po czym rzekł wstając:

- Za sześć miesięcy, jeśli będę żył, ujrzę cię, pani, nawet gdybym miał poruszyć niebo i ziemię.

I wiemy swemu przyrzeczeniu opuścić pokój.

Na korytarzu spotkał panią Bonacieux, która na niego czekała: z równą ostrożnością jak przedtem i równie szczęśliwie wyprowadziła go z Luwru.

XIII.

PAN BONACIEUX

Jak można było zauważyć, w opisanych zdarzeniach brała udział jeszcze jedna osoba, o którą mimo jej niepewnej sytuacji nie troszczyliśmy się zbyt. Mamy na myśli pana Bonacieux, poczciwego męczennika intryg politycznych i miłosnych, tak bardzo związanych ze sobą w tej epoce rycerskiej i sentymentalnej zarazem.

Na szczęście - czytelnik pamięta o tym, a może nie pamięta - na szczęście przyrzekliśmy, że nie stracimy go z oczu.

Straż, która uwięziła pana Bonacieux, powiodła go prosto do Bastylii, gdzie drząc ze strachu musiał przejść obok oddziału żołnierzy ładujących muszkiety.

Stamtąd zaprowadzono go do podziemnej galerii, gdzie stał się przedmiotem najbardziej ordynarnych obelg i najokrutniejszego traktowania ze strony tych, co go przywiedli. Zbiry widząc, że nie mają do czynienia ze szlachcicem, nie oszczędzali mu niczego.

Po półgodzinie pisarz sądowy uwolnił go od tych tortur nie wybawiając od niepokoju, ponieważ kazał zaprowadzić pana Bonacieux do izby przesłuchań. Zazwyczaj przesłuchiowano więźniów w ich celach, ale z panem Bonacieux nie robiono sobie tyle zachodu.

Dwaj strażnicy zajęli się kramarzem; wiedli go przez podwórze, potem przez korytarz, gdzie wystawione były trzy posterunki, otworzyli drzwi i pchnęli do niskiej izby, której umeblowanie składało się ze stołu, krzesła i komisarza. Komisarz siedział na krześle i zajęty był pisaniem na stole.

Strażnicy podprowadzili więźnia do stołu i na znak dany przez komisarza oddalili się na taką odległość, by nie mogli słyszeć zeznań.

Komisarz, który siedział z głową pochyloną nad papierami, podniósł ją, by zobaczyć, z kim ma do czynienia. Był to człowiek o wyglądzie bardzo nieprzyjemnym, spiczastym nosie, wystających kościach policzkowych i żółtej cerze; oczy miał małe, ale przenikliwe i bystre, jego fizjonomia przypominała kunę i lisa zarazem, a głowa, osadzona na długiej i ruchliwej szyi, sterczała z szerokiej czarnej sukni kiwając się niczym głowa żółwia, gdy zwierzę wysuwa się ze skorupy.

Zaczął od pytania o nazwisko i imię, wiek, zajęcie i adres pana Bonacieux.

Oskarżony odparł, że nazywa się Jakub Michał Bonacieux, że ma pięćdziesiąt jeden lat, był dawniej kramarzem i mieszka przy ulicy des Fossoyeurs 11.

Za czym komisarz, zamiast pytać dalej, wygłosił wielką mowę o niebezpieczeństwach, jakie grożą nieświadomemu mieszczaninowi, gdy miesza się do spraw publicznych.

Mowę uzupełnił wywodem o potędze i świetnych czynach pana kardynała, niezrównanego ministra, wobec którego niczym są dawni ministrowie i który będzie przykładem dla przyszłych ministrów; tej potędze nic nie zdoła się oprzeć.

Po drugiej części swej mowy utkwiał krogulcze spojrzenie w biednym Bonacieux i polecił mu, by się zastanowił nad powagą sytuacji

Kramarz nie potrzebował zastanawiać się długo: przeklinał chwilę, w której pan de La Porte wpadł na pomysł, by ożenić go ze swą chrześniaczką, a zwłaszcza ów dzień, kiedy ta chrześniaczką została bieliźniarką królowej.

Zasadniczą cechą charakteru pana Bonacieux był głęboki egoizm pomieszany z ohydny skąpstwem, a wszystko to okraszone nieprzeciętnym tchórzostwem.

Miłość, jaką żywił dla swej młodej żony, była uczuciem drugorzędym i nie mogła walczyć o lepsze z wrodzonymi skłonnościami, które wymieniliśmy.

Bonacieux zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Ależ panie komisarzu - rzekł chłodno - możesz mi pan wierzyć, że znam i ogromnie cenię niezwykle zasługi Jego Eminencji, pod którego rządami mamy zaszczyt pozostawać.

- Doprawdy? - zapytał komisarz tonem pełnym powątpiewania. - Ale gdyby tak było, jakżebyś pan mógł się znaleźć w Bastylii?

- Jak się znalazłem w Bastylii lub raczej dlaczego się tu znalazłem – odparł pan Bonacieux - tego wytłumaczyć nie potrafię, zważywszy, że sam nic o tym nie wiem; ale na pewno nie dlatego, żebym świadomie ubliżył w czymkolwiek panu kardynałowi.

- Jednakże musiał pan popełnić zbrodnię, skoro jesteś oskarżony o zdradę stanu.

- O zdradę stanu! - zawołał przerażony Bonacieux. - O zdradę stanu! Jakim sposobem biedny kramarz, który nienawidzi hugenotów i brzydzi się Hiszpanami, może być oskarżony o zdradę stanu? Zastanów się panie, rzecz jest przecie zgoła niemożliwa.

- Panie Bonacieux - rzekł komisarz patrząc na oskarżonego tak, jak gdyby jego małe oczy obdarzone były zdolnością czytania w głębi serc ludzkich – panie Bonacieux, pan ma żonę?

- Tak, panie - odparł kramarz drżąc na całym ciele i czując, że tu sprawa się gmatwa. - To znaczy, miałem żonę.

- Jak to miałeś? A co z nią zrobiłeś, skoro jej nie masz?

- Porwano mi ją, panie.

- Porwano? - rzekł komisarz. - Aha!

Bonacieux wyczuł z tego "aha", że sprawa gmatwa się coraz bardziej.

- Porwano ją! - podjął komisarz. - A czy znasz człowieka, który dokonał tego gwałtu?

- Zdaje się, że go znam.

- Któż to taki!

- Panie komisarzu, nie twierdzę z pewnością, mogę jedynie podejrzewać.

- Kogóż podejrzewasz? Proszę, mów pan szczerze.

Pan Bonacieux znalazł się w największym kłopotcie: czy ma wszystkiemu zaprzeczyć, czy wszystko powiedzieć? Gdyby zaprzeczył, naraziłby się na posądzenie, że wie znacznie więcej, niż mówi; gdyby powiedział wszystko, dałby dowód swej dobrej woli. Postanowił więc wszystko powiedzieć.

- Podejrzewam - rzekł - wysokiego bruneta o wyniosłej minie, który wygląda na wielkiego pana; wydało mi się, że śledził nas wielokrotnie, kiedy czekałem na żonę przy wejściu do Luwru, by zabrać ją do domu.

- A jego nazwisko? - powiedział.

- Nazwiska nie znam, ale zapewniam pana, że jeśli go kiedyś spotkam, rozpoznam natychmiast, nawet wśród tysiąca osób.

Komisarz zasepił się.

- Rozpoznasz go wśród tysiąca ludzi, powiadasz?

- To znaczy - podjął Bonacieux, który spostrzegł się, że obrał złą drogę – to znaczy...

- Powiedziałeś pan, że go rozpoznasz - rzekł komisarz. - Doskonale, dosyć na dzisiaj. Zanim przystąpimy do dalszych rozmów, trzeba uprzedzić kogoś, że znasz człowieka, który porwał twoją żonę.

- Przecież nie mówiłem panu, że go znam! - zawołał zrozpaczony Bonacieux. - Przeciwnie, powiedziałem...

- Wyprowadzić więźnia - rzekł komisarz do dwóch strażników.

- Gdzie mamy go umieścić? - zapytał pisarz.

- W lochu.

- W którym?

- Mój Boże, w pierwszym lepszym, jeśli tylko zamyka się dobrze – odparł komisarz z obojętnością, która przejęła zgrozą biednego Bonacieux.

- Biada mi, biada! - mówił do siebie - nieszczęście spadło na moją głowę, moja żona popełniła jakąś straszną zbrodnię; myślę, że jestem jej współnikiem, i zostanę ukarany z nią razem; będzie mówić, wyzna, że wszystko mi powiedziała, kobieta jest istotą tak słabą! Pierwszy lepszy loch, otóż to właśnie! Wkrótce minie noc; jutro czeka mnie koło lub szubienica! O, mój Boże, mój Boże, miej litość nade mną!

Dwaj strażnicy, nie słuchając lamentów pana Bonacieux (do lamentów byli zresztą przyzwyczajeni), wzięli więźnia pod ramiona i wyprowadzili go, podczas gdy komisarz pisał w pośpiechu list, na który czekał pisarz sądowy.

Bonacieux nie zmrużył oka, nie dlatego nawet, że w lochu było mu nazbyt niewygodnie, ale dlatego, że trapił go wielki niepokój. Przez całą noc siedział na ławeczce wzdrygając się przy najmniejszym szmerze, a kiedy pierwsze światło brzasku przedostało się do lochu, wydało mu się, że słońce wschodzi w żałobnych barwach.

Nagle usłyszał zgrzyt zamków i podskoczył z przestrawem. Sądził, że przyszli już po niego, by go zaprowadzić na szafot; toteż gdy zamiast kata ujrzał w drzwiach wczorajszych znajomych, komisarza i pisarza, gotów był rzucić się im na szyję.

- Pańska sprawa znacznie się skomplikowała od wczoraj, mój zacny panie - powiedział do niego komisarz - i radzę powiedzieć całą prawdę; jedynie skrucha może złagodzić gniew kardynała.

- Ależ jestem gotów wszystko powiedzieć! - zawołał Bonacieux - a przynajmniej to, co wiem. Proszę, niech mnie pan pyta.

- Przede wszystkim, gdzie jest pańska żona?

- Przecież powiedziałem panu, że ją porwano.

- Tak, ale dzięki twojej pomocy uciekła wczoraj o piątej po południu.

- Moja żona -uciekła! - zawołał Bonacieux. - O, nieszczęsna! To nie moja wina, jeśli uciekła, przysięgam panu.

- A cóżeś pan robił u pana d'Artagnana, twego sąsiada, z którym miałeś długą rozmowę tego samego dnia?

- Tak, panie komisarzu, tak, to prawda, przyznaję, że popełniłem błąd. Byłem u pana d'Artagnana.

- Jaki był cel tej wizyty?

- Prosiłem go, by pomógł mi odnaleźć żonę. Myślałem, że mam do tego prawo; zdaje się, że się omyliłem, i proszę pana o wybaczenie.

- I co powiedział pan d'Artagnan?

- Przyrzekł mi pomoc; ale wkrótce spostrzegłem, że mnie zdradził.

- Usiłujesz wprowadzić w błąd sprawiedliwość! Pan d'Artagnan zawarł pakt z panem, zmusił do ucieczki naszych ludzi, którzy aresztowali pańską żonę, i uniemożliwił wszelkie poszukiwania.

- Pan d'Artagnan porwał moją żonę! Co też pan powiada?

- Na szczęście pan d'Artagnan jest w naszych rękach i zaraz go tu przyprowadzimy.

- Na Boga, nic więcej nie pragnę! - zawołał Bonacieux. - Miło mi będzie ujrzeć znajomego.

- Proszę wprowadzić pana d'Artagnana - rzekł komisarz do strażników.

Strażnicy wprowadzili Atosa.

- Ależ to nie jest pan d'Artagnan! - zawołał Bonacieux.

- Jak to, to nie jest pan d'Artagnan? - ryknął komisarz.

- Nie, ani trochę - odparł Bonacieux.

- Jak się nazywa ten pan? - zapytał komisarz.

- Nie mogę panu tego powiedzieć, nie znam go.
- Nie znasz go?
- Nie.
- Nie widziałeś go nigdy?
- Owszem; ale nie wiem, jak się nazywa.
- Pańskie nazwisko? - zapytał komisarz.
- Atos - odparł muszkieter.
- Ależ to nie jest nazwisko człowieka, to nazwa góry! - zawołał nieszczęsny komisarz, który zaczynał tracić głowę.
- To moje nazwisko - rzekł spokojnie Atos.
- Powiedziałaś pan jednak, że nazywasz się d'Artagnan.
- Ja?
- Tak, pan.
- Zapytano mnie: "Pan jest d'Artagnan?" Odparłem: „Tak sądzicie?” Strażnicy krzyknęli, że są tego pewni. Nie chciałem im przeczyć. Zresztą mogłem się mylić.
- Panie, pan obraża powagę sprawiedliwości.
- Bynajmniej - rzekł spokojnie Atos.
- Jesteś d'Artagnan.
- Widzi pan, że znowu mi pan to mówi.
- Ależ powiadam panu, panie komisarzu - zawołał z kolei pan Bonacieux - sprawa jest jasna jak słońce. Pan d'Artagnan mieszka u mnie i chociaż nie płaci mi komornego lub właśnie z tego powodu, muszę go znać. Pan d'Artagnan to młodzieniec dziewiętnasto- lub dwudziestoletni, a ten pan ma trzydzieści lat z okładem. Pan d'Artagnan jest w gwardii pana des Essarts, a ten pan w kompanii muszkieterów pana de Treville; spójrz pan na jego mundur, panie komisarzu.
- To prawda - mruknął komisarz.- do licha, to prawda.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie; wszedł posłaniec w towarzystwie odźwiernego z Bastylli i wręczył list komisarzowi.

- O, nieszczęsna! - zawołał komisarz.

- Jak, co pan powiada? O kim pan mówi? Mam nadzieję, że nie o mojej żonie.

- Właśnie o niej. Pańska sprawa pięknie wygląda, słowo daję.

- Ach! - zawołał zrozpaczony kramarz - zechciej mi łaskawie powiedzieć; panie komisarzu, jakim cudem moja sprawa może zależeć od tego, co czyni moja żona, gdy ja jestem w więzieniu!

- A tak, ponieważ działa wedle wspólnie przez was ułożonego planu, planu zaiste piekielnego!

- Przysięgam, panie komisarzu, że jesteś w największym błędzie, że nie wiem nic o tym, co miała robić moja żona, że nie mam nic wspólnego z tym, co zrobiła, i jeśli zrobiła głupstwo, wypieram się jej, zarzekam, przeklinam.

- Panie komisarzu - rzekł Atos - jeśli nie jestem potrzebny, wypraw mnie pan stąd, ten twój pan Bonacieux jest nader nudny.

- Odprowadzić więźniów do lochów - rozkazał komisarz, wskazując jednym ruchem ręki Atosa i Bonacieux - i niech mi ich pilnują jak oka w głowie.

- Jednakże - rzekł Atos ze swym zwykłym spokojem - jeśli potrzebny jest panu pan d'Artagnan, nie bardzo widzę, jak mógłbym go zastąpić.

- Proszę zrobić to, co kazałem - krzyknął komisarz - i zachować najściślejszą tajemnicę! Rozumiesz pan?!

Atos udał się ze strażą, wzruszając ramionami, pan Bonacieux wydając jęki, które mogłyby zmiękczyć serce tygrysa.

Pana Bonacieux zaprowadzono do tego samego lochu, gdzie spędził noc, i zostawiono go tam przez cały dzień. Dzień ten spędził na lamentach zaiste godnych kramarza; nie był bowiem człowiekiem rycerskiego ducha, jak sam nam to powiedział. Wieczorem, około godziny dziewiątej, kiedy miał się właśnie położyć do łóżka, rozległy się kroki na korytarzu. Kroki zbliżyły się do jego lochu, drzwi się otwarły i ukazali się dwaj strażnicy.

- Proszę za mną - rzekł oficer postępujący za strażą.

- Za panem! - zawołał Bonacieux. - Za panem o tej godzinie! Dokąd to, mój Boże?

- Tam, gdzie mamy rozkaz pana zaprowadzić.

- Ale to nie jest odpowiedź!

- Innej nie możemy panu udzielić.

- Ach, mój Boże, mój Boże - szepnął biedny kramarz - tym razem jestem zgubiony!

I ruszył machinalnie za strażnikiem, nie stawiając najmniejszego oporu.

Szedł tym samym korytarzem, co wówczas kiedy go tu prowadzono, minął pierwsze podwórze, potem główną część budowli i wreszcie przy bramie wjazdowej ujrzał pojazd otoczony czterema strażnikami na koniach. Kazano mu wejść do pojazdu, oficer siadł obok niego, drzwiczki zamknięto na klucz i obaj znaleźli się w ruchomym więzieniu.

Pojazd ruszył powoli niczym karawan. Poprzez kratę zamkniętą na kłódkę więzień widział jedynie domy i bruk, ale jako paryżanin z krwi i kości rozpoznawał każdą ulicę po słupach, szyldach, latarniach. Kiedy wjeżdżali do Saint-Paul, gdzie dokonywano wyroków na skazańcach z Bastylli, o mało nie zemdlął i przeżegnał się dwukrotnie. Sądził, że pojazd tu się zatrzyma; ale jechali dalej.

Jeszcze większy strach go ogarnął, kiedy przejeżdżali obok cmentarza Saint-Jean, gdzie grzebano więźniów stanu. Pocieszał się tylko tym, że zazwyczaj wpierw ucinano im głowy, a później grzebano, a jego głowa wciąż jeszcze siedziała na karku. Ale gdy ruszyli w stronę placu Greve, gdy ujrzał

stromy dach ratusza i pojazd wjechał pod arkady, był pewien, że to już koniec, chciał się więc wypowiedzieć przed oficerem; kiedy ten mu odmówił, zaczął jęczeć tak żałośnie, że oficer oświadczył, iż zaknebluje mu usta, jeśli nie zamilknie.

Ta groźba pocieszyła nieco imć pana Bonacieux: gdyby chciano go stracić na placu Greve, kneblowanie ust byłoby zbyt cenne, skoro znajdowali się już na miejscu egzekucji. Jakoż pojazd nie zatrzymując się minął straszny plac. Teraz pozostawał tylko Croix-du-Trahoir: tam właśnie skierował się pojazd.

Tym razem nie było już wątpliwości, tu bowiem tracono przestępców mniej znacznych. Bonacieux pochlebiał sobie uważając się za godnego Saint-Paul czy placu Greve: w Croix-du-Trahoir miała się zakończyć jego podróż i dopełnić przeznaczenie! Nie mógł jeszcze widzieć tego nieszczęsnego krzyża, ale zdawało mu się, że okropne miejsce przysuwa się samo w jego stronę. Kiedy dzieliło go

odeń zaledwie dwadzieścia kroków, usłyszał zgiełk i pojazd stanął. Było to więcej, niż mógł wytrzymać biedny Bonacieux, zdruzgotany następującymi po sobie wstrząsami. Wydał słaby jęk podobny do ostatniego westchnienia umierającego i zemdlął.

CZŁOWIEK Z MEUNG

Zgromadzony tłum nie czekał na egzekucję; przyglądał się powieszonemu.

Pojazd przystanął na chwilę, wjechał w tłum, przeciął ulicę Saint-Honorś, skręcił w ulicę Bons-Enfants i zatrzymał się przed niską bramą.

Brama otworzyła się i dwaj strażnicy zajęli się panem Bonacieux, którego podtrzymywał oficer; pchnięto go-w aleję, potem na schody, aż wreszcie znalazł się w przedpokoju.

Wszystkie te ruchy wykonał machinalnie.

Szedł tak, jak idzie się we śnie; przedmioty widział poprzez mgłę; dźwięki docierały do jego uszu, ale ich nie rozróżniał; można go było zabić w tej chwili, nie potrafiłby obronić się nawet gestem, nie błagałby o litość.

Siedział więc bez ruchu na ławce, gdzie pozostawili go strażnicy, ze zwieszonymi rękami, wsparty plecami o ścianę.

Ponieważ jednak rozglądając się wokół nie ujrzał żadnego groźnego przedmiotu i nic nie wskazywało na to, że zagraża mu rzeczywiste niebezpieczeństwo; ponieważ ławka była miękko wysłana, ściana obita pięknym kurdybanem, a wielkie zasłony z czerwonego adamaszku, podpięte złotymi sznurami, zdobiły okno, zrozumiał powoli, że przeląkł się nad miarę, i zaczął poruszać głową z prawa na lewo i z dołu do góry.

Kiedy nikt nie sprzeciwił się tym ruchom, nabrał nieco odwagi i ośmielił się poruszyć jedną nogą, potem drugą, wreszcie, pomagając sobie obiema rękami, podniósł się z ławki i stanął na nogach.

Ledwie to uczynił, gdy oficer o chwackiej minie odsunął portierę. Rozmawiał jeszcze przez chwilę z osobą znajdującą się w sąsiednim pokoju, po czym zwrócił się do więźnia:

- Pan się nazywa Bonacieux? - zapytał.

- Tak, panie oficerze - wybełkotał kramarz na wpół żywy - to ja, do usług.

- Proszę wejść -- rzekł oficer.

Usunął się z drogi, by kramarz mógł przejść. Bonacieux usłuchał w milczeniu -szedł do pokoju, gdzie na niego czekano.

Był to wielki gabinet o ścianach przybranych najrozmaitszymi rodzajami broni, zaciszny i zamknięty; na kominku płonął ogień, choć był to zaledwie koniec września. Pośrodku pokoju stał kwadratowy stół pokryty książkami i papierami, na których leżał ogromny plan La Rochelle.

Przy kominku stał mężczyzna średniego wzrostu z miną wyniosłą i dumną, o przenikliwych oczach, szerokim czole i ozdobionej wąsem pociągłej twarzy, wydłużonej jeszcze spiczastą bródką. Choć ten mężczyzna liczył sobie zaledwie trzydzieści sześć lub trzydzieści siedem lat, jego włosy, wąs i bródka przyprószone były siwizną. Nie nosił szpady, ale miał postawę żołnierza, a jego lekko zakurzone buty ze skóry bawolej wskazywały na to, że w ciągu dnia dosiadał konia.

Był to Armand-Jean Duplessis, kardynał de Richelieu, nie taki jednak, jakim go nam przedstawiają; nie był ani zgięty wpół jak starzec, ani cierpiący jak męczennik, ciało jego nie było bezsilne ani głos zgaszony; nie siedział też zagrzebany w wielkim fotelu niczym w grobie. Kardynał Richelieu podówczas jeszcze nie utrzymywał się przy życiu jedynie siłą swego geniuszu, a całego wysiłku myśli nie obracał na walkę z Europą. W owej epoce był to mężczyzna zręczny i dwornych obyczajów, już niezbyt mocny fizycznie, ale podtrzymywany tą siłą ducha, która uczyniła zeń jednego z najbardziej niezwykłych ludzi w historii; popart księcia de Nevers w jego walkach o księstwo mantuańskie, zajął Nimes, Castres i Uzes i gotował się właśnie do wypędzenia Anglików z wyspy Re i oblężenia La Rochelle.

Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, że jest to kardynał, i ci, co nie widzieli go nigdy, nie mogli odgadnąć, przed kim się znajdują.

Biedny Bonacieux stał przy drzwiach, podczas gdy oczy osobistości, którą opisywaliśmy, wpatrywały się w niego uważnie, jak gdyby chciały odgadnąć wszystko, nawet przeszłość kramarza.

- Więc to jest imię Bonacieux? - zapytał po chwili milczenia.

- Tak, Wasza Dostojność - odparł oficer.

- Dobrze, podaj mi papiery i zostaw nas.

Oficer wziął ze stołu potrzebne papiery, podał je i skłoniwszy się aż do ziemi, wyszedł.

Bonacieux rozpoznał protokoły swoich przesłuchań z Bastylji. Od czasu do czasu mężczyzna przy kominku podnosił oczy znad papierów i wbijał je niczym dwa sztylety w serce biednego kramarza.

Po dziesięciu minutach lektury i dziesięciu sekundach obserwacji kardynał wiedział już, co sądzić o sprawie.

- Ten człowiek nie spiskował nigdy - mruknął. - Przekonajmy się jednak.

- Jest pan oskarżony o zdradę stanu - rzekł powoli kardynał.

- Powiedziano mi już o tym, Wasza Dostojność - zawołał Bonacieux, nadając swemu rozmówcy tytuł zasłyszany u oficera - ale przysięgam, że nie wiem zgoła o niczym.

Kardynał powstrzymał uśmiech.

- Spiskowałeś ze swoją żoną, z panią de Chevreuse i księciem Buckingham.

- W samej rzeczy, Wasza Dostojność, słyszałem wszystkie te nazwiska.

- Przy jakiej sposobności?

- Moja żona mówiła, że kardynał Richelieu ściągnął księcia Buckingham do Paryża, by go zgubić, a wraz z nim zgubić królową.

- Tak mówiła! - zawołał kardynał gwałtownie.

- Tak, Wasza Dostojność, ale powiedziałem jej, że źle czyni mówiąc w ten sposób i że Jego Eminencja nie mógłby...

- Zamilknij pan, jesteś głupcem - rzekł kardynał.

- To samo odpowiedziała mi żona, Wasza Dostojność.

- Czy wiesz, kto porwał twoją żonę?

- Nie, Wasza Dostojność.

- Jednakże podejrzewasz kogoś?

- Tak, Wasza Dostojność, ale te podejrzania wydały się niewłaściwe panu komisarzowi i już się ich pozbyłem.

- Czy wiesz, że twoja żona uciekła?

- Nie, Wasza Dostojność, dowiedziałem się o tym dopiero w więzieniu, dzięki uprzejmości pana komisarza, bardzo godnego człowieka.

Kardynał po raz wtóry powściągnął uśmiech.

- Nie wiesz zatem, co stało się z twoją żoną po jej ucieczce?

- Nic zgoła, Wasza Dostojność, ale powinna była wrócić do Luwru.

- O pierwszej nad ranem jeszcze jej tam nie było.
- Ach, mój Boże, co się z nią mogło stać?
- Dowiemy się o tym, możesz być spokojny, nic nie ukryje się przed kardynałem: kardynał wie wszystko.
- A czy Wasza Dostojność przypuszcza, że kardynał raczy mi powiedzieć, co się stało z moją żoną?
- Być może; ale naprzód musisz powiedzieć wszystko, co wiesz o stosunkach twej żony z panią de Chevreuse.
- Wasza Dostojność, nic nie wiem; nigdy jej nie widziałem.
- Kiedy udawałeś się po żonę do Luwru, czy wracaliście od razu do domu?
- Prawie nigdy; zazwyczaj szła jeszcze do handlarzy płótnem, a ja jej towarzyszyłem.
- Ilu było tych handlarzy?
- Dwóch, Wasza Dostojność.
- Gdzie mieszkają?
- Jeden przy ulicy Vaugirard, drugi przy ulicy La Harpe.
- Czy wchodziłeś z nią razem?
- Nigdy, Wasza Dostojność, czekałem przy bramie.
- Pod jakim pozorem wchodziła tam sama?
- Nic mi nie mówiła; kazała mi czekać i ja czekałem.
- Jesteś wyrozumiałym mężem, mój drogi panie Bonacieux! - rzekł kardynał.
- „Nazywa mnie droгим panem - rzekł do siebie kramarz. - Do licha, sprawy przybierają dobry obrót”.
- Czy rozpoznałbyś te bramy?
- Tak.
- Czy znasz ich numery?
- Tak.

- Jakież to numery?

- Numer 25 przy ulicy Vaugirard i numer 75 przy ulicy La Harpe.

- Dobrze - rzekł kardynał.

Mówiąc te słowa wziął do ręki srebrny dzwonek i zadzwonił; wszedł oficer.

- Idź - powiedział półgłosem - i znajdź mi Rocheforta; niech zjawi się tu natychmiast.

- Hrabia czeka właśnie i prosi, by Wasza Eminencja przyjął go zaraz.

- Niech więc wejdzie - rzekł żywo Richelieu.

Oficer wybiegł z pokoju z największym pośpiechem: rozkazy kardynała wypełniano błyskawicznie.

- Wasza Eminencja! - powtórzył szeptem Bonacieux tocząc dokoła błędnym wzrokiem.

Nie minęło pięć sekund od wyjścia oficera, kiedy drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła nowa osoba.

- To on! - zawołał Bonacieux.

- Kto taki? - zapytał kardynał.

- Ten, co mi porwał żonę.

Kardynał zadzwonił po raz wtóry. Zjawił się oficer.

- Oddaj tego człowieka w ręce strażników. Niech czeka, aż go wezwę do siebie.

- Nie, Wasza Dostojność, nie, to nie on! - zawołał Bonacieux - omyliłem się; to kto inny i wcale go nie przypominam. Ten pan jest zacnym człowiekiem!

- Zabierz mi tego głupca! - rzekł kardynał.

Oficer wziął pana Bonacieux za ramiona i wyprowadził do przedpokoju, gdzie czekali na niego strażnicy.

Nowo przybyły niecierpliwie wodził oczami za kramarzem, póki go nie wyprowadzono. Ledwie drzwi się zamknęły, powiedział zbliżając się do kardynała:

- Widzieli się.

- Kto? - zapytał Jego Eminencja.
- Ona i on.
- Królowa i księżę! - zawołał Richelieu. - Gdzie?
- W Luwrze.
- Jesteś pan tego pewien?
- Tak jest.
- Kto ci to powiedział?
- Pani de Lannoy, która, jak o tym wie Jego Eminencja, jest mu oddana całą duszą.
- Dlaczego nie powiedziała o tym wcześniej?
- Czy to przez przypadek, czy z braku zaufania królowa kazała pani de Surgis spać w swoim pokoju i przez cały dzień nie rozstawały się obie.
- Jesteśmy więc pobici. Spróbujmy wziąć odwet.
- Dopomogę ze wszystkich sił, Jego Eminencja może być tego pewien.
- Jak się odbyło spotkanie?
- W pół godziny po północy królowa była ze swymi damami...
- Gdzie?
- W sypialni...
- Tak.
- Gdy wręczono jej chusteczkę przyniesioną przez bieliźniarkę...
- Co dalej?
- Królowa okazała wielkie wzruszenie i choć miała róż na twarzy, bardzo przybladła.
- Dalej! Dalej!

- Wstała jednak i rzekła niepewnym głosem: „Moje panie, poczekajcie tu, za dziesięć minut wrócę”. Otworzyła drzwi do alkowy, po czym wyszła.
- Dlaczego pani de Lannoy nie uprzedziła cię natychmiast?
- Nie wiedziała jeszcze nic pewnego; zresztą królowa powiedziała: „Moje panie, zaczekajcie na mnie”; a ona nie śmiała nie usłuchać królowej.
- Jak długo królowa była nieobecna?
- Trzy kwadranse..
- Żadna z dam jej nie towarzyszyła?
- Tylko doña Estefana.
- Czy wróciła potem?
- Tak, ale po to, by wziąć małą szkatułkę z różanego drzewa ze swymi inicjałami.
- Czy przyniosła szkatułkę z powrotem?
- Nie.
- Czy pani de Lannoy wie, co się znajdowało w tej szkatułce?
- Tak, spinki diamentowe, które Jego Królewska Mość ofiarował królowej.
- Wróciła więc bez szkatułki?
- Tak.
- Pani de Lannoy sądzi, że królowa dała spinki księciu Buckinghamowi?
- Jest tego pewna.
- Jak to?
- W ciągu dnia pani de Lannoy (jest przecież damą z fraucymeru królowej) szukała tej szkatułki, zaniepokoiła się jej brakiem i wreszcie zapytała o nią królową.
- I co na to królowa?
- Królowa zaczerwieniła się mocno i odpowiedziała, że poprzedniego dnia złamała jedną ze spinek i posłała ją złotnikowi do naprawy.

- Trzeba pójść do niego i przekonać się, czy to prawda.
- Byłem już.
- I co złotnik?
- Złotnik nic o tym nie wie.
- Dobrze, doskonale! Rochefort, nie wszystko jeszcze stracone i być może... być może, sprawy ułożą się jak najlepiej.
- W samej rzeczy, nie wątpię, że geniusz Jego Eminencji...
- ...naprawi głupstwa, których narobił sługa.
- Właśnie to chciałem powiedzieć.
- A czy wiesz, gdzie ukrywają się księżna de Chevreuse i księżę Buckingham?
- Nie. Wasza Dostojność, moi ludzie nie potrafili mi powiedzieć nic pewnego.
- Ale ja wiem.
- Wasza Eminencja wie?
- Tak, a przynajmniej przypuszczam, że jedno z nich ukrywało się przy ulicy Yaugirard 25, a drugie przy ulicy La Harpe 75.
- Czy Wasza Eminencja życzy sobie, bym ich aresztował?
- Za późno już, wyjadą.
- Wszystko jedno, można się upewnić.
- Weź dziesięciu ludzi z mojej gwardii i przeszukaj oba domy.
- Idę, Wasza Wysokość.

I Rochefort wyszedł z pokoju.

Gdy kardynał został sam, zastanowił się przez chwilę i zadzwonił po raz trzeci.

Zjawił się ten sam oficer.

- Wprowadzić więźnia - rozkazał.

Imć Bonacieux znowu wszedł do pokoju; na znak kardynała oficer wyszedł.

- Oszukałeś mnie - rzekł surowo kardynał.

- Ja?! - zawołał Bonacieux. - Ja miałbym oszukać Waszą Eminencję!

- Twoja żona, idąc na ulicę Vaugirard i na ulicę La Harpe, nie udawała się do handlarzy płótnem.

- A do kogóż, mocny Boże?

- Do księżny de Chevreuse i do księcia Buckingham.

- Tak - powiedział Bonacieux, przywołując wspomnienia - tak, Wasza Eminencja ma słuszość. Mówiłem wielokroć mojej żonie, że dosyć to osobliwe, iż kupcy mieszkają w domach nie mających szyldów, i za każdym razem żona wybuchala śmiechem. Ach, Wasza Dostojność - ciągnął Bonacieux rzucając się do stóp kardynała - zaiste jesteś kardynałem, wielkim kardynałem, którego cały świat podziwia.

Choć zwycięstwo odniesione nad istotą tak pospolitą nie było wielkim powodem do triumfu, kardynał cieszył się nim przez chwilę, za czym, jak gdyby nowa myśl przyszła mu do głowy, uśmiechnął się i rzekł wyciągając rękę do kramarza:

- Wstań, mój przyjacielu, jesteś zacnym człowiekiem.

- Kardynał dotknął mojej ręki! Dotknąłem ręki wielkiego człowieka! - zawołał Bonacieux. - Wielki człowiek nazwał mnie swym przyjacielem!

- Tak, przyjacielu, tak! - rzekł kardynał ojcowskim tonem, jaki przybierał niekiedy, zwodząc w ten sposób ludzi, którzy go nie znali - ponieważ jednak podejrzewano cię niesłusznie, należy ci się jakieś wynagrodzenie: proszę, weź tę sakiewkę ze stu pistolami i wybacz mi.

- Ja mam wybaczyć Waszej Dostojności! - wykrzyknął Bonacieux wahając się, czy wziąć sakiewkę, i obawiając się zapewne, że ten rzekomy dar jest tylko żartem. - Ależ Jego Eminencja ma prawo mnie uwięzić, torturować, powiesić: tyś jest panem i nie pisańłbym słowa. Przebaczyć Waszej Dostojności! Mój Boże, to chyba żarty?

- Mój drogi panie Bonacieux, jesteś wielkoduszny, widzę to i dziękuję ci. Toteż weźmiesz tę sakiewkę i odejdiesz bez złej myśli?

- Odejdę zachwycony, Wasza Dostojność.

- Żegnaj więc lub raczej do widzenia, mam bowiem nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

- Kiedy tylko Wasza Eminencja zechce, jestem zawsze na jego rozkazy.
- Często, często, bądź tego pewien, z wielką bowiem przyjemnością rozmawiam z tobą.
- Och, Wasza Eminencjo!
- Do widzenia, panie Bonacieux, do widzenia.

I kardynał skinął ręką, na co Bonacieux odpowiedział ukłonem do ziemi; potem wyszedł tyłem i kiedy już był w przedpokoju, kardynał usłyszał, jak woła w uniesieniu na całe gardło: „Niech żyje Jego Dostojność! Niech żyje Jego Eminencja! Niech żyje wielki kardynał!” Kardynał słuchał z uśmiechem tego wybuchu entuzjastycznych uczuć pana Bonacieux; potem, kiedy okrzyki oddaliły się, powiedział:

- Wybornie, oto człowiek, który da się dla mnie zabić.

Następnie z największym skupieniem zabrał się do studiowania mapy La Rochelle, leżącej na stole, i nakreślił ołówkiem linię owej sławnej tamy, która w półtora roku później miała odciąć port od oblężonego miasta.

Kiedy kardynał był pogrążony w rozważaniach strategicznych, drzwi się otworzyły i wszedł Rochefort.

- I cóż? - rzekł żywo kardynał z szybkością, która dowodziła, jak wielką wagę przywiązywał do zadania powierzonego hrabiemu.

- Młoda kobieta w wieku lat dwudziestu siedmiu lub dwudziestu ośmiu i mężczyzna pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem życia mieszkali w domach wskazanych przez Waszą Eminencję, kobieta cztery dni, mężczyzna pięć; ale ona wyjechała tej nocy, a on dziś rano.

- To oni! - zawołał kardynał patrząc na zegar. - Teraz jest już za późno, by puścić się za nimi w pogoń; księżna jest w Tours, a książę w Boulogne. Trzeba ich szukać w Londynie.

- Jakie są rozkazy Waszej Eminencji?

- Ani słowa o tym, co się stało: niech królowa czuje się całkowicie bezpieczna; niechaj nie wie, że znamy jej tajemnicę; niech myśli, że chcemy wykryć zgoła inny spisek. Przyślij do mnie kanclerza Seguiera.

- A co Wasza Eminencja zrobił z tym człowiekiem?

- Z jakim człowiekiem? - zapytał kardynał.

- Z tym Bonacieux.

- Zrobiłem wszystko, co można było zrobić: uczyniłem zeń szpiega własnej żony.

Hrabia de Rochefort skłonił się z miną człowieka, który jest świadom wielkiej przewagi swego pana, i wyszedł.

Gdy kardynał pozostał sam, usiadł znowu, napisał list, który zapieczętował sygnetem, po czym zadzwonił. Oficer wszedł po raz czwarty.

- Zawołaj Vitraya - rzekł - i powiedz mu, by był gotów do podróży.

W chwilę potem ten, kogo wezwano, stał przed kardynałem w podróżnych butach z ostrogami.

- Vitray - powiedział kardynał - pojedziesz natychmiast do Londynu. Nie zatrzymasz się ani na chwilę w drodze. Ten list oddasz Milady. Oto kwit na dwieście pistoli, udaj się do mego skarbnika i każ sobie wypłacić tę sumę. Tyle samo dostaniesz za powrotem, jeśli znajdziesz się tu za sześć dni i dobrze

wypełnisz moje polecenie.

Wysłaniec ukłonił się, bez słowa wziął list oraz kwit na dwieście pistoli i wyszedł.

A oto co zawierał list:

Milady.

Proszę pójść na najbliższy bal, na którym będzie książę Buckingham. Przy kaftanie będzie miał dwanaście diamentowych spinek; niech pani podejdzie do niego i odetnie dwie. Gdy tylko zdobędziesz pani te spinki, daj mi znać.

XV.

ŻOŁNIERSKA OPOŃCZA I SUKNIA URZĘDNICZA

Gdy następnego dnia po opisanych wypadkach Atos się nie zjawił, d'Artagnan i Portos zawiadomili o tym pana de Treville.

Aramis poprosił o urlop pięciodniowy i jak powiadano, wyjechał do Rozen w sprawach rodzinnych.

Pan de Treville był ojcem dla żołnierzy. Kto nosił opończę muszkietera, choćby był najskromniejszy i zupełnie nieznan, mógł liczyć na kapitana jąkną rodzzonego brata.

Kapitan udał się więc natychmiast do namiestnika sądowego. Wezwano komendanta Croix-Rouge i w końcu udało się stwierdzić, że Atos znajduje się teraz w Fort-l'Eveque.

Atosowi wypadło doświadczyć tych samych przykrości co imć panu Bonacieux.

Byliśmy świadkami konfrontacji obu więźniów. Atos, który dotąd nic nie powiedział pragnąc, by d'Artagnan miał dość czasu, oświadczył teraz, że nazywa się Atos, a nie d'Artagnan.

Dodał, że nie zna ani pana, ani pani Bonacieux; że nigdy nie rozmawiał z nimi; że zjawił się około dziesiątej wieczór, by złożyć wizytę panu d'Artagnanowi, swemu przyjacielowi, ale przedtem był u pana de Treville na obiedzie. Dwudziestu świadków - dodał - może dowieść prawdziwości jego słów, tu wymienił kilku szlachty o znanych nazwiskach, między innymi księcia de La Tremouille.

Drugi komisarz był równie zaskoczony jak pierwszy prostym i zwięzłym oświadczeniem muszkietera, a chętnie dałby mu się we znaki, jako że gryzipiórki wielce lubią okazywać przewagę żołnierskiemu stanowi; ale nazwiska pana de Treville oraz księcia de La Tremouille zasługiwały na zastanowienie.

Atos został więc odesłany do kardynała, ale niestety, kardynał był właśnie w Luwrze u króla.

Działo się to dokładnie w tym samym czasie, kiedy pan de Treville, nie znalazłszy Atosa, opuścił namiestnika i zarządcę Fort-L'Eveque i udał się do Jego Królewskiej Mości.

Jako kapitan muszkieterów pan de Treville mógł o każdej porze wejść do króla.

Wiadomo, jak wielkie uprzedzenie żywił król do królowej, a uczucia te zęcnie podsyczał kardynał, który w dziedzinie intryg znacznie bardziej obawiał się kobiet niż mężczyzn. Jedną z głównych przyczyn tej niechęci była przyjaźń Anny Austriaczki dla pani de Chevreuse. Te dwie kobiety niepokoiły króla bardziej niż wojna z Hiszpanią, zatargi z Anglią i kłopoty finansowe. Wedle jego

mniemania pani de Chevreuse pomagała królowej nie tylko w intrygach politycznych, ale i w intrygach miłosnych, co przyprawiało go o jeszcze większy niepokój.

Na pierwsze słowa kardynała, że pani de Chevreuse, wygnana do Tours, przybyła do Paryża i pozostała tu przez pięć dni, zmyliwszy tropy policji, król wpadł w straszliwy gniew. Kapryśny i niestały monarcha pragnął być nazywany Ludwikiem Sprawiedliwym i Ludwikiem Cnotliwym. Potomni z trudem zrozumieją charakter tego człowieka, historia bowiem bada jedynie fakty z jego życia, nie starając się ich wyjaśnić.

Ale kiedy kardynał dodał, że pani de Chevreuse nie tylko przybyła do Paryża, ale porozumiała się z królową za pomocą owych tajemniczych biletów, które nazywano podówczas kabałą; kiedy zapewnił króla, że to on właśnie, kardynał, mając w ręku nici tej ciemnej intrygi, pochwyciłby na gorącym uczynku wysłanniczkę królowej oraz wygnaną księżnę i zdobyłby wszystkie dowody winy, lecz pewien muszkieter ośmielił się przeszkodzić w wymierzeniu sprawiedliwości nacierając ze szpadą w ręce na godnych urzędników badających bezstronnie całą sprawę, by przedstawić ją królowi -

Ludwik XIII stracił panowanie nad sobą i zrobił krok w kierunku apartamentów królowej, błąd i niemy z oburzenia. W takim stanie ów monarcha mógł dopuścić się najzimniejszego okrucieństwa.

Ale mówiąc to wszystko kardynał nie wspomniał ani słowem o księciu Buckingham.

W tej chwili wszedł pan de Treville, chłodny, uprzejmy, w nienagannym stroju.

Choć obecność kardynała i gniew na twarzy króla pozwoliły mu w mgnieniu oka zorientować się w sytuacji, czuł się mocny jak Samson wobec Filistynów.

Ludwik XIII kładł właśnie rękę na klamce drzwi, ale na odgłos kroków pana de Treville odwrócił się.

- Przybywasz pan w samą porę - rzekł król; kiedy namiętności go ponosiły, nie potrafił nic ukryć - pięknych rzeczy dowiedziałem się o twych muszkietkach.

- Ja zaś - odparł zimno pan de Treville - mam piękne rzeczy do powiedzenia Waszej Królewskiej Mości o jego sędziach.

- Cóż takiego? - zapytał wyniośle król.

- Mam zaszczyt oznajmić Waszej Królewskiej Mości - ciągnął pan de Treville tym samym tonem - że pewni prokuratorzy, komisarze i urzędnicy policji, ludzie nader godni, ale jak się zdaje, bardzo żołnierzom niechętni, pozwolili sobie aresztować w mieszkaniu, prowadzić przez całe miasto i wtrącić do Fort-l'Eveque - a wszystko na podstawie rozkazu, którego nie chciano mi pokazać - jednego z mych muszkietków, albo raczej jednego z twych muszkietków, Najjaśniejszy Panie, człowieka o nienagannym zachowaniu, wybornej reputacji, którego Wasza Królewska Mość zna z najlepszej strony; mówię o panu Atosie.

- Atos - rzekł król machinalnie - w istocie, znam to nazwisko.

- Tak, Wasza Królewska Mość przypomina sobie, pan Atos to ten muszkietek, który w owym przykrym pojedynku miał nieszczęście ciężko zranić pana de Cahusac. Wasza Eminencjo - zwrócił się pan de Treville do kardynała - mam nadzieję, że pan de Cahusac czuje się zupełnie dobrze?

- Dziękuję - rzekł kardynał zagryzając wargi ze złości.

- Pan Atos udał się więc do przyjaciela, którego nie zastał w domu - mówił dalej pan de Treville - młodego Bearneńczyka, gwardzisty z kompanii królewskiej pana des Essarts, ale ledwie znalazł się w jego domu i wziął do ręki książkę, kiedy chmara pachołków i żołnierzy otoczyła dom, wyłamała kilkoro drzwi...

Kardynał dał królowi znak głową, co miało znaczyć: „To właśnie ta sprawa, o której mówiłem”.

- Wiemy o tym - odparł król - gdyż wszystko to uczyniono nam służąc.

- A zatem to dla Waszej Królewskiej Mości porwano mego niewinnego muszkietera, umieszczono niczym złoczyńcę między dwoma strażnikami i prowadzono pośród zuchwałej gawiedzi? Hańba ta spotkała zacnego żołnierza, który dziesięciokrotnie przelewał krew dla Waszej Królewskiej Mości i gotów jest zawsze uczynić to samo.

- Hm - rzekł król niepewnie - więc to tak wyglądało?

- Pan de Treville nie mówi o tym - rzekł kardynał z największym spokojem - że ten niewinny muszkieter, ten zacny żołnierz godzinę wcześniej natarł z bronią w rękę na czterech komisarzy wysłanych przeze mnie, by rozpatrzyli sprawę doniosłego znaczenia.

- Wzywam Waszą Eminencję, by tego dowiódł - zawołał pan de Treville ostro i ze szczerością prawdziwie gaskońską - ponieważ godzinę wcześniej pan Atos który, jak mogę zapewnić Waszą Królewską Mość, wywodzi się z wielkiego rodu, był łaskaw przybyć na obiad do mego pałacu i rozmawiał w salonie z moimi gośćmi, księciem de la Tremouille i hrabią de Chalus.

Król spojrział na kardynała.

- Protokół zasługuje na wiarę - powiedział kardynał, głośno odpowiadając na milczące pytanie króla - poturbowani ludzie spisali protokół, który miałem zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości.

- Protokół sędziów miałby się równać z żołnierskim słowem honoru? – odparł dumnie de Treville.

- No, no, Treville, bądź cicho - rzekł król.

- Jeśli pan kardynał żywi jakieś podejrzenia wobec moich muszkieterów - powiedział de Treville - zażądam śledztwa; sprawiedliwość Jego Eminencji zbyt dobrze jest znana.

- W domu, gdzie zarządzono rewizję - ciągnął niewzruszony kardynał - mieszka pewien Bearneńczyk, przyjaciel muszkietera.

- Wasza Eminencja ma na myśli pana d'Artagnana?

- Mam na myśli człowieka, którego otaczasz swą opieką, panie de Treville.

- Tak, Wasza Eminencjo, to prawda.

- Czy nie podejrzewasz, że ten młodzieniec dawał złe rady...
- Panu Atosowi, który ma dwa razy tyle lat? - przerwał pandę Treville. -Nie, Wasza Eminencjo. Zresztą pan d'Artagnan spędził wieczór u mnie.
- Ach, więc to tak? - rzekł kardynał. - Wszyscy zatem spędzili wieczór u pana?
- Jego Eminencja nie wierzy moim słowom? - zapytał Treville z czołem purpurowym z gniewu.
- Nie, Boże uchroni - odrzekł kardynał. - Ale o której godzinie był u pana?
- Mogę to powiedzieć Waszej Eminencji dokładnie; zauważyłem, że na zegarze jest dziewiąta trzydzieści, choć myślałem, że to już później.
- O której wyszedł z pańskiego pałacu?
- O dziesiątej trzydzieści: w godzinę po zejściu.
- Jednakże - odparł kardynał, który nie wątpił ani przez chwilę w prawdomówność Treville'a i czuł, że zwycięstwo mu się wymyka - jednakże Atos został wzięty w domu przy ulicy des Fossoyeurs.
- Czyżby przyjacielowi nie wolno było odwiedzić przyjaciela? Czy muszkieter z mojej kompanii nie może być w braterskich stosunkach z gwardzistą z kompanii pana des Essarts?
- Nie, jeśli dom, gdzie się spotykają, jest podejrzany.
- Bo widzisz, Treville - wtrącił król - ten dom jest podejrzany; może nie wiedziałeś o tym?
- W istocie, Najjaśniejszy Panie, nic mi o tym nie było wiadomo. W każdym razie, nawet jeśli tak jest, nie może chodzić o mieszkanie pana d'Artagnana; zapewniam cię bowiem, Najjaśniejszy Panie (jeśli mam wierzyć temu, co powiedział), że nie masz bardziej oddanego sługi, a Jego Eminencja większego admiratora.
- Czy to ten sam d'Artagnan, co zranił kiedyś Jussaca w owym nieszczęsnym spotkaniu w pobliżu klasztoru karmelitów bosych? - zapytał król spoglądając na kardynała, który poczerwieniał z przykrości.
- A następnego dnia posiekał imć pana Bemajoux. Tak, Najjaśniejszy Panie, masz wyborną pamięć.
- Co więc postanowimy? - rzekł król.
- To zależy bardziej od Waszej Królewskiej Mości niż ode mnie – powiedział kardynał. - Ja

twierdzą, że jest winien.

- A ja temu przeczę - rzekł Treville. - Ale Jego Królewska Mość ma sędziów, sędziowie rozstrzygną.

- Otóż to, odeślijmy sprawę do sędziów: ich rzeczą jest sądzić i tak też uczynią.

- Jednakże - podjął Treville - jest to objaw bardzo smutny, że w naszych nieszczęsnych czasach życie najbardziej czyste, cnota nieposzlakowana, nie wybawia człowieka od oszczerstw i prześladowań. Toteż ręczę ci, Najjaśniejszy Panie, że żołnierze będą niezbyt radzi widząc, iż są narażeni na przykrości z powodu dochodzeń policyjnych.

Były to słowa niebaczne, ale pan de Treville wypowiedział je świadomie. Chciał doprowadzić do wybuchu, gdyż wybuch wywołuje płomień, a płomień rzuca światło.

- Dochodzenia policyjne - zawołał król powtarzając słowa pana de Treville - dochodzenia policyjne! A co o tym wiadomo waszmość panu? Zajmij się swymi muszkietierami i nie zwracaj mi głowy. Słuchając pana można by pomyśleć, że jeśli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności aresztuje się muszkietera, Francja jest w niebezpieczeństwie. Tyle hałasu o jednego muszkietera! Każę aresztować

dziesięciu, u kaduka, stu nawet; całą kompanię, i nie chcę, żeby ktokolwiek ośmielił się pisnąć słówko.

- Od chwili, gdy Wasza Królewska Mość ich podejrzewa, istotnie są winni; jakoż, Najjaśniejszy Panie, gotów jestem zwrócić ci szpadę, pan kardynał bowiem, oskarżywszy wpierw mych żołnierzy,

niewątpliwie skończy na tym, że oskarży mnie samego; wolę więc być więźniem wraz z panem Atosem, który już jest aresztowany, i z panem d'Artagnanem, którego aresztuje się zapewne

wkrótce.

- Cicho bądź wreszcie, gaskońska pałko! - zawołał król.

- Najjaśniejszy Panie - odparł Treville nie zniżając głosu - rozkaż, by zwrócono mi muszkietera, albo niechaj go sądzą.

- Stanie przed sądem - rzekł kardynał.

- Dobrze, tym lepiej; w tym bowiem wypadku poproszę Jego Królewską Mość, by pozwolił mi go bronić.

Król obawiał się wybuchu.

- Jeśli Jego Eminencja - powiedział - z osobistych względów nie będzie miał nic przeciwko temu.

Kardynał zrozumiał słowa króla i natychmiast zmienił ton:

- Wybacz, Najjaśniejszy Panie, ale jeśli widzisz w mojej osobie stronniczego sędziego, wycofuję się.

- Treville, czy możesz mi przysiąc na pamięć mego ojca, że pan Atos był u ciebie podczas zajścia i nie brał w nim udziału?

- Przysięgam na pamięć twego wielkiego ojca i na miłość do ciebie, Najjaśniejszy Panie, którego kocham i cenię nade wszystko.

- Zechciej się zastanowić, Najjaśniejszy Panie - rzekł kardynał. – Jeśli wypuścimy więźnia, nie dojdziemy prawdy.

- Pan Atos będzie na miejscu - rzekł pan de Treville - do rozporządzenia sędziów w każdej chwili. Nie ucieknie, panie kardynale; bądź spokojny, odpowiadam za niego.

- To prawda, że nie ucieknie - zgodził się król - zawsze można go będzie znaleźć, jak powiada Treville. Zresztą - dodał zniżając głos i patrząc z błagalną miną na Jego Eminencję - zapewnimy im bezpieczeństwo, to nawet będzie politycznie.

Ta polityka Ludwika XIII wywołała uśmiech na twarzy Richelieugo.

- Rozkazuj, Najjaśniejszy Panie, masz prawo łaski.

- Prawo łaski można stosować tylko wobec winnych - rzekł Treville, który chciał mieć ostatnie słowo - a mój muszkieter jest niewinny. Nie o łaskę więc chodzi, Najjaśniejszy Panie, ale o wymierzenie sprawiedliwości.

- Jest w Fort-l'Eveque? - zapytał król.

- Tak, Najjaśniejszy Panie, i trzymają go w lochu jak najgorszego zbrodniarza.

- Do licha, do licha - mruknął król - co więc należy uczynić?

- Podpisać rozkaz uwolnienia, to wszystko - odezwał się kardynał. - Mniemam, podobnie jak Wasza Królewska Mość, że słowo pana de Treville jest więcej niż wystarczające.

Treville skłonił się z szacunkiem i z radością, w której był odcień obawy; wolałby opór kardynała od tej nieoczekiwanej łaskawości.

Król podpisał rozkaz zwolnienia i Treville zabrał go ze sobą natychmiast.

W chwili gdy kapitan wychodził, kardynał uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł do króla:

- W oddziale twych muszkieterów, Najjaśniejszy Panie, panuje piękna harmonia między dowódcami a żołnierzami, co jest z wielkim pożytkiem dla służby i przynosi zaszczyt obu stronom.

„Wkrótce spłata mi tęgiego figla - powiedział do siebie pan de Treville - z takim człowiekiem niczego nie można być pewnym. Ale pośpieszmy się, ponieważ król może zmienić zdanie, a wiadomo, że trudniej jest wtrącić do Bastylli lub Fort-l'Eveque człowieka, który stamtąd wyszedł, niż trzymać w więzieniu tego, co już w nim jest”.

Pan de Treville wkroczył triumfalnie do Fort-l'Eveque i uwolnił swego muszkietera, którego ani na chwilę nie opuszczała spokojna obojętność.

Gdy później spotkał się z d'Artagnanem, powiedział mu:

- Tym razem uszło ci na sucho, oto zapłata za cios zadany Jussacowi. Zostaje ci jeszcze Bemajoux, ale nie powinieneś zbytnio na to liczyć.

Pan de Treville miał zresztą słuszość mając się na baczności przed kardynałem, zaledwie bowiem zamknęły się drzwi za kapitanem muszkieterów, gdy Jego Eminencja powiedział do króla:

- Teraz, kiedy jesteśmy sami, możemy porozmawiać poważnie, jeśli Wasza Królewska Mość sobie tego życzy. Najjaśniejszy Panie, książę Buckingham był przez pięć dni w Paryżu i wyjechał dziś rano.

XVI.

PAN KANCLERZ SEGUIER PO KILKAKROĆ SZUKA SZNURA OD DZWONU, BY ZAŃ
POCIĄGNAĆ, JAK TO CZYNIŁ ONGI

Niepodobna wyobrazić sobie wrażenia, jakie te słowa wywarły na Ludwiku XIII. Czerwieniał i bladł na przemian; kardynał spostrzegł w lot, że za jednym zamachem odzyskał wszystko, co był utracił.

- Książę Buckingham w Paryżu!.- zawołał. - A po cóż tu przyjechał?

- Bez wątpienia po to, by spiskować z twymi nieprzyjaciółmi, hugenotami i Hiszpanami.

- Nie, u licha, nie! Spiskować przeciwko mnie z panią de Chevreuse, z panią de Longueville i z Kondeuszami!

- Och, Najjaśniejszy Panie, cóż znowu! Królowa jest nazbyt mądra, a przede wszystkim nazbyt kocha Waszą Królewską Mość.

- Kobieta jest istotą słabą, panie kardynale - rzekł król - a co do miłości, jaką żywi dla mnie, mam o tym swoje zdanie.
- Utrzymuję jednak - odparł kardynał - że księżę Buckingham przybył do Paryża w zamiarach ściśle politycznych.
- Ja zaś jestem pewien, że przyjechał po co innego, panie kardynale; ale niechaj królowa drży, jeśli jest winna!
- W samej rzeczy - rzekł kardynał - chociaż myślę o podobnej zdradzie ze wstrętem, słowa Waszej Królewskiej Mości zastanawiają mnie: pani de Lannoy, którą zgodnie z rozkazem Waszej Królewskiej Mości wypytywałem kilkakrotnie, mówiła mi dziś rano, że wczorajszej nocy Jej Królewska Mość nie spała do późna, z rana bardzo płakała i pisała przez cały dzień.
- Otóż to właśnie - odparł król - ani chybi, że do niego. Kardynale, chcę mieć papiery królowej.
- Ale jakże je dostać, Najjaśniejszy Panie? Wydaje mi się, że ani ja, ani Wasza Królewska Mość nie możemy się tego podjąć.
- A jak poradzono sobie z marszałkową d'Ancre? - zawołał król w największym gniewie - przetrząsnięto wszystkie jej szafy, po czym zrewidowano ją samą.
- Marszałkową d'Ancre była tylko marszałkową d'Ancre, awanturnicą florencką i niczym więcej, Najjaśniejszy Panie, podczas gdy dostojna małżonka Waszej Królewskiej Mości jest Anną Austriaczką, królową Francji, a więc jedną z pierwszych monarchiń na świecie.
- Tym bardziej jest winna, księżę kardynale! Im bardziej zapomina o stanowisku, które zajmuje, tym niżej upada. Od dawna zresztą postanowiłem skończyć z tymi wszystkimi drobnymi intrygami politycznymi i miłosnymi. Ma ona przy swej osobie szlachcica nazwiskiem La Porte...
- Który, moim zdaniem, jest duszą wszystkiego - rzekł kardynał.
- Myślisz więc jak ja, że królowa mnie zdradza?
- Sądzę i powtarzam Waszej Królewskiej Mości, że królowa spiskuje przeciw potędze Najjaśniejszego Pana, ale bynajmniej nie godzi w jego honor.
- A ja powiadam, że godzi w jedno i drugie; ja powiadam, że królowa mnie nie kocha; że kocha innego; że kocha tego niegodziwego Buckingham! Dlaczego nie kazałeś go aresztować, kiedy był w Paryżu?
- Aresztować księcia! Pierwszego ministra Karola II! Co powiadasz, Najjaśniejszy Panie? Jakież

skandal! Gdyby zaś podejrzenia Waszej Królewskiej Mości (co nadal wydaje mi się wątpliwe) miały jakieś podstawy, jakież – straszliwy rozgłos!

- Ale skoro sam zachowuje się jak włóczęga, jak złodziejaszek, należałoby... Ludwik XIII urwał, przerażony tym, co chciał powiedzieć, podczas gdy Richelieu z wyciągniętą szyją na próżno czekał na słowo, które zawisło na ustach królewskich.

- Należałoby?

- Nic - rzekł król - nic. Ale przez cały ten czas, kiedy był w Paryżu, nie straciłeś go, kardynale, z oka?

- Ani na chwilę.

- Gdzie mieszkał?

- Przy ulicy La Harpe 75.

- Gdzie to jest?

- W pobliżu Luksemburga.

- I jesteś pewien, że królowa i on nie widzieli się?

- Sądzę, że królowa zbyt wielką wagę przywiązuje do swych obowiązków, Najjaśniejszy Panie.

- Ale pisywali do siebie; to do niego pisała przez cały dzień; książkę, muszę mieć te listy!

- Jednakże, Najjaśniejszy Panie...

- Książkę, chcę je mieć za wszelką cenę!

- Zwrócę wszak uwagę Waszej Królewskiej Mości...

- Więc zdradzasz mnie także, panie kardynale, sprzeciwiając się wciąż mojej woli? Więc i ty jesteś w porozumieniu z Hiszpanem i z Anglikiem, z panią de Chevreuse i z królową?

- Najjaśniejszy Panie - rzekł z westchnieniem kardynał - zdaje mi się, że takie podejrzenie nie może paść na mnie.

- Panie kardynale, zrozumiałeś mnie: chcę mieć te listy.

- Jeden jest tylko na to sposób.

- Jaki?

- Powierzyć to zadanie panu kanclerzowi Segurier. Wchodzi to całkowicie w zakres jego obowiązków.

- Niechaj natychmiast po niego poślą!

- Powinien być u mnie, Najjaśniejszy Panie; kazałem go prosić, a kiedy udawałem się do Luwru, poleciłem, żeby na mnie zaczekał.

- Niech pójdą po niego natychmiast.

- Rozkazy Waszej Królewskiej Mości zostaną wykonane, ale...

- Ale co?

- Ale królowa może nie usłuchać.

- Moich rozkazów?

- Tak, jeśli nie będzie wiedziała, że pochodzą od króla.

- Dobrze, żeby nie miała żadnych wątpliwości, sam ją uprzedzę.

- Wasza Królewska Mość zechce łaskawie pamiętać, że zrobiłem wszystko, co w mej mocy, by zapobiec zerwaniu.

- Tak, księżę kardynale, wiem, że jesteś wielce pobłażliwy dla królowej, może nawet zbyt pobłażliwy; później pomówimy o tym, uprzedzam cię.

- Kiedy Wasza Królewska Mość rozkaże; ale byłbym szczęśliwy i dumny, Najjaśniejszy Panie, gdybym mógł się poświęcić dla utrzymania harmonii między tobą a królową Francji.

- Dobrze, kardynale, dobrze; ale na razie poślij po pana kanclerza; ja idę do królowej.

Ludwik XIII otworzył boczne drzwi i ruszył korytarzem łączącym jego pokoje z pokojami Anny Austriaczki.

Królowa była w otoczeniu swoich dam dworu, pani de Guitaut, pani de Sable, pani de Montbazon i pani de Guemenee. W kącie siedziała doña Estefana, owa Hiszpanka, która przybyła z królową z Madrytu. Pani de Guemenee czytała i damy słuchały, prócz królowej, która umyślnie po to nakazała lekturę, by móc się oddać swym myślom.

Te myśli, choć ozłoczone promieniem miłości, były wszakże smutne. Anna Austriaczka, pozbawiona

zaufania męża, znieawidzona przez kardynała, który nie mógł jej wybaczyć, że wzgardziła uczuciem bardziej tkliwym (miała przed oczami przykład królowej matki; nienawiść kardynała zatręła jej życie, chociaż Maria Medycejska, jeśli wierzyć pamiętnikom z epoki, ofiarowała wreszcie kardynałowi uczucie, którego Anna Austriaczka wciąż odmawiała), Anna Austriaczka zatem widziała wokół siebie coraz mniej oddanych sług, zaufanych przyjaciół, ulubionych faworytów. Królowa należała do ludzi obdarzonych fatalnym darem przynoszenia nieszczęścia wszystkiemu, czego dotkną. Pani de Chevreuse i pani de Yemet zostały wygnane, La Porte wreszcie nie ukrywał przed swą panią, że oczekuje uwięzienia lada chwila.

Kiedy była właśnie pogrążona w tych gorzkich rozmyślaniach, drzwi się otworzyły i wszedł król.

Lektorka urwała natychmiast, wszystkie damy wstały i zapanowała głęboka cisza.

Król w najmniejszej mierze nie silił się na uprzejmość. Stał przed królową i rzekł gniewnym głosem:

- Pani, odwiedzi cię pan kanclerz i z mego polecenia powiadomi o pewnych sprawach.

Nieszczęsna królowa, której nieustannie grożono rozwodem, wygnaniem, a nawet sądem, zbladła pod warstwą różu i nie powstrzymała się od pytania:

- Jakiż powód tej wizyty, Najjaśniejszy Panie? Cóż takiego może mi powiedzieć pan kanclerz, czego Wasza Królewska Mość nie mógłby mi sam oznajmić?

Król odwrócił się i wyszedł bez słowa: niemal w tej samej chwili kapitan gwardii, pan de Guitaut, oznajmił przybycie kanclerza.

Kiedy kanclerz wszedł, król wyszedł już innymi drzwiami.

Kanclerz wszedł lekko zarumieniony, z uśmiechem na twarzy. Ponieważ spotkamy go jeszcze w naszej opowieści, nie zawadzi, jeśli czytelnicy zawrą z nim znajomość teraz.

Kanclerz był to ucieszny jegomość. Poleciał go Jego Eminencji, jako człowieka pewnego, Des Roches le Masie, kanonik Notre-Dame, który był ongi pokojowcem kardynała. Kardynał zaufał mu i dobrze na tym wyszedł.

O kanclerzu opowiadano najrozmaitsze historie, między innymi następującą:

Po burzliwej młodości schronił się w klasztorze, by przez jakiś czas bodaj pokutować za młodzieńcze grzechy.

Ale wchodząc do świętego przybytku, biedny pokutnik nie umiał dość szybko zamknąć za sobą drzwi,

by wraz z nim nie wkroczyły również namiętności, przed którymi uciekał. Pokusy dręczyły go nieustannie; wyznał to przeorowi; przeor, który chciał mu pomóc, poradził, by w chwili kiedy szatan-kusiciel zbliża się do niego, pokutnik chwycił za sznur dzwonu i dzwonił ze wszystkich sił. Dźwięk

dzwonu oznajmił mnichom, że brat ich jest kuszony od szatana, i całe zgromadzenie przystąpiło do modlitwy.

Rada wydała się dobra przyszłemu kanclerzowi; odpędzi złego ducha dzięki pomocnym modlitwom mnichów. Ale diabeł nie ustępuje łatwo z miejsca raz już zajętego; w miarę jak zwiększano egzorcyzmy, on mnożył pokusy; jakoż w dzień i w nocy dzwon nie przestawał dzwonić zwiastując, że pokutnik doznaje gwałtownej potrzeby umartwienia.

Mnisi nie mieli chwili spokoju. Przez cały dzień tylko wchodzili i schodzili ze schodów wiodących do kaplicy; w nocy, nie licząc komplety i jutrzni, musieli po dwadzieścia razy wyskakiwać z łóżek i leżeć krzyżem na kamiennych płytach celi.

Nie wiadomo, czy diabeł ustąpił z pola, czy mnisi się zmęczyli, wszelako po trzech miesiącach pokutnik pojawił się w świecie z opinią człowieka najbardziej opętanego przez diabła, jaki żył kiedykolwiek.

Wyszedłszy z klasztoru obrał karierę urzędniczą: został przewodniczącym sądu na miejsce swego wuja, przyłączył się do stronnictwa kardynała, co dowodziło wielkiej bystrości, został kanclerzem i służył gorliwie Jego Eminencji, który nienawidził królowej matki i pragnął zemsty na Annie Austriaczce; kanclerz pokierował sędziami w sprawie pana de Chalais, wspomagał poczynania pana de Lafiemas, wielkiego łowczego Francji; wreszcie, ciesząc się tak bardzo zasłużonym zaufaniem kardynała, otrzymał to osobliwe zadanie i zjawił się u królowej.

Królowa stała jeszcze, kiedy wszedł, ale zaledwie go ujrzała, siadła z powrotem na swym fotelu i dała znak damom, by usiadły na poduszkach i taboretach.

Za czym rzekła z wielką wyniosłością:

- Czego pan sobie życzy i w jakim celu przybywa pan do mnie?

- Aby w imieniu króla i z całym szacunkiem, jaki winien jestem Waszej Królewskiej Mości, dokonać dokładnej rewizji papierów Najjaśniejszej Pani.

- Jak to? Rewizji moich papierów? Ależ to niegodne!

- Zechciej mi wybaczyć, Najjaśniejsza Pani, ale jestem tylko narzędziem w ręku króla. Czy Jego Królewska Mość nie był tu sam i nie przygotował cię do mej wizyty?

- Szukaj więc, panie; wygląda na to, że jestem przestępczynią. Estefano, proszę dać klucze od moich biur i sekreter.

Kanclerz, by stało się zadość formom, przejrzał szuflady, ale wiedział dobrze, że nie w szufladach królowa ukryła list napisany za dnia.

Kiedy już kanclerz dwadzieścia razy otworzył i zamknął szuflady sekreter, trzeba było, jakkolwiek się wahał, posunąć się dalej, a mianowicie zrewidować królową. Kanclerz zbliżył się zatem do Anny Austriaczki i powiedział tonem wielce zakłopotanym i niepewnym:

- A teraz muszę dokonać rewizji zasadniczej.

- Jakiej? - zapytała królowa, która nie rozumiała lub raczej nie chciała zrozumieć.

- Jego Królewska Mość jest pewien, Najjaśniejsza Pani, że napisałaś dzisiaj list; wie również o tym, że list nie został jeszcze wysłany. Tego listu nie ma w biurku, ani w sekreterze, a przecież musi gdzieś być.

- Czy odważysz się podnieść rękę na swą królową? - rzekła Anna Austriaczka prostując się i patrząc na kanclerza z groźnym niemal wyrazem.

- Jestem wiernym sługą króla, pani, i uczynię wszystko, co Jego Królewska Mość rozkaże.

- A więc to prawda! - rzekła Anna Austriaczka - szpiedzy pana kardynała dobrze mu służą. Napisałam dziś list i ten list nie został wysłany. Jest tutaj.

I królowa położyła piękną dłoń na staniku.

- Proszę mi zatem dać ten list, Najjaśniejsza Pani - rzekł kanclerz.

- Dam go jedynie królowi, panie kanclerzu - rzekła Anna.

- Gdyby król chciał wziąć ten list sam, zażądałby go od Waszej Królewskiej Mości. Powtarzam wszakże, że mnie kazał to uczynić i jeśli nie oddasz listu, pani...

- Jeśli go nie oddam?

- Rozkazy polecają, bym go odebrał.

- Jak to, co chcesz przez to powiedzieć?

- Że moje pełnomocnictwa idą daleko i że jestem upoważniony do odebrania listu, nawet gdyby znajdował się przy osobie Waszej Królewskiej Mości.

- To potworne! - zawołała królowa.

- Zechciej więc, Najjaśniejsza Pani, pójść łatwiejszą drogą.

- Czy wiesz pan, że dopuszczasz się niegodnego gwałtu?

- Wybacz, Najjaśniejsza Pani, ale to rozkaz króla.

- Nie zniosę tego, nie, nie, raczej umrę! - zawołała królowa, w której zagrała krew Hiszpanki i Austriaczki.

Kanclerz skłonił się głęboko, po czym z oczywistym zamiarem wypełnienia misji, jaką go obarczono, niczym pacholek kata w izbie kaźni, zbliżył się do Anny Austriaczki, w której oczach ukazały się łzy wściekłości.

Jak powiedzieliśmy, królowa była bardzo piękna.

Zadanie było więc delikatnej natury, ale król w swojej zazdrości o Buckinghama doszedł już do tego, że nie był zazdrosny o nikogo więcej.

Bez wątpienia kanclerz Seguiier szukał w tej chwili oczami sznura słynnego dzwonu; ale nie widząc go, powziął decyzję i wyciągnął rękę w tę stronę, gdzie jak to wyznała królowa, znajdował się list.

Anna Austriaczka cofnęła się o krok, tak blada, że zdawała się bliska śmierci; opierając się lewą ręką o stół znajdujący się za nią, prawą wydobyła papier spoczywający na piersi i podała go kanclerzowi.

- Proszę, oto list - zawołała królowa głosem urywanym i drżącym - weź go i uwolnij mnie pan od swej obmierzłej obecności.

Kanclerz, który drżał również, łatwo bowiem zrozumieć jego wzruszenie, wziął list, skłonił się do ziemi i wyszedł.

Zaledwie drzwi się zamknęły, królowa na wpół zemdlona padła w ramiona dam.

Kanclerz zaniósł królowi list nietknięty. Król wziął go drżącą ręką, poszukał adresu, ale go nie znalazł, zbladł, otworzył list powoli, po czym, widząc z pierwszych słów, że był napisany do króla Hiszpanii, przeczytał go szybko.

Był to dokładny plan ataku na kardynała. Królowa prosiła swego brata i cesarza austriackiego, aby pod pozorem obrazy za politykę Richelieugo, który nieustannie zmierzał do umniejszenia potęgi domu austriackiego, wypowiedział wojnę Francji, a jako warunek pokoju podał dymisję kardynała; w całym jednak liście nie było słowa o miłości.

Uradowany król zapytał, czy kardynał jest jeszcze w Luwrze. Powiedziano mu, że Jego Eminencja czeka w gabinecie na rozkazy Jego Królewskiej Mości.

Król udał się natychmiast do niego.

- Rzeczywiście, książę kardynale, miałeś słuszość, a ja byłem w błędzie; to intryga polityczna, nie ma w liście ani słowa o miłości, wiele natomiast mówi się o tobie.

Kardynał wziął list i przeczytał go z największą uwagą. Gdy skończył, zabrał się do lektury raz jeszcze.

- No cóż, Najjaśniejszy Panie - powiedział - widzisz sam, jak daleko posuwają się moi nieprzyjaciele; grożą ci dwiema wojnami, jeśli mnie nie usuniesz. Doprawdy, na twym miejscu, Najjaśniejszy Panie, ustąpiłbym tak potężnemu naciskowi, dla mnie zaś byłoby prawdziwym szczęściem, gdybym mógł się wycofać z polityki!

- Co powiadasz, książę?

- Powiadam, Najjaśniejszy Panie, że tracę zdrowie w tych wyczerpujących walkach i nieustannej pracy. Powiadam, że prawdopodobnie nie zniosę trudów oblężenia La Rochelle i że lepiej by było, żebyś mianował wodzem pana de Conde, pana de Bassompierre lub jakiegoś innego dzielnego męża, stworzonego do prowadzenia wojen, nie zaś mnie, sługę kościoła; wciąż narzuca mi się prace, do jakich nie mam żadnych zdolności, odwracając mnie od mego powołania. Będiesz szczęśliwszy w sprawach wewnętrznych, Najjaśniejszy Panie, i bez wątpienia nie umniejszy to twej potęgi za granicą.

- Książę kardynale - rzekł król - rozumiem, bądź spokojny: wszyscy wymienieni w tym liście zostaną ukarani, jak na to zasługują, nawet królowa.

- Co mówisz, Najjaśniejszy Panie! Niechaj Bóg broni, żeby królowa miała zaznać najmniejszej przykrości z mego powodu! Wasza Królewska Mość może zaświadczyć, że choć zawsze byłem z całego serca po jej stronie, nawet przeciw Waszej Królewskiej Mości, uważała mnie za swego wroga. O, gdyby królowa zdradzała cię, Najjaśniejszy Panie, przynosząc ujmę twemu honorowi, to byłoby

co innego i pierwszy bym powiedział: „Nie ma łaski, Najjaśniejszy Panie, nie ma łaski dla winnej!” Na szczęście nic podobnego nie można powiedzieć, a dowód Wasza Królewska Mość masz w ręce.

- To prawda, panie kardynale - rzekł król - jak zawsze, masz rację; ale królowa mimo to zasłużyła sobie na mój gniew.

- To ty, Najjaśniejszy Panie, ściągnąłeś na siebie jej gniew i doprawdy, gdyby dąsała się na Waszą Królewską Mość, ja bym się temu nie dziwił; Wasza Królewska Mość traktował ją tak surowo!

- Zawsze w ten sposób będę się odnosić do moich i twoich nieprzyjaciół, książę, nawet jeśli stoją bardzo wysoko i jeśli bym narażał się na niebezpieczeństwo surowo z nimi postępując.
- Królowa jest moją nieprzyjaciółką, ale nie twoją, Najjaśniejszy Panie; przeciwnie, jest to małżonka wierna, posłuszna i nienaganna; pozwól więc, Najjaśniejszy Panie, że wstawię się za nią do Waszej Królewskiej Mości.
- Niechaj się więc ukorzy i pierwsza przyjdzie do mnie.
- Na odwrót, Najjaśniejszy Panie, daj przykład: ty właśnie pierwszy popełniłeś błąd podejrzewając królową.
- Ja mam uczynić pierwszy krok? - rzekł król. - Nigdy!
- Najjaśniejszy Panie, błagam cię.
- Zresztą, jak mam to uczynić?
- Umyślając coś takiego, co sprawi jej przyjemność.
- Cóż, na przykład?
- Wydaj bal, wiesz, jak królowa lubi tańczyć. Zaręczam, że jej uraza zniknie, gdy okażesz jej takie względy.
- Panie kardynale, wiesz dobrze, że nie lubię uciech światowych,
- Tym bardziej królowa będzie ci wdzięczna, zna bowiem twą niechęć do tych rozrywek. Zresztą stanie się to dla niej okazją do włożenia owych pięknych spinek diamentowych, któreś ofiarował jej w dniu imienin i w które nie miała dotąd sposobności się ustroić.
- Zobaczymy, panie kardynale, zobaczymy - rzekł król, wielce uradowany tym, że królowa jest winna zbrodni mało go obchodzącej, a nie ma na sumieniu wykroczenia, którego najbardziej się obawiał, i gotów już do zgody - zobaczymy, ale na honor, zbyt jesteś pobłażliwy.
- Najjaśniejszy Panie - odpowiedział kardynał - pozostaw surowość ministrom, pobłażliwość jest cnotą królów; użyj jej, a przekonasz się, że dobrze na tym wyjdiesz.

Tu kardynał słysząc, że zegar wybija jedenastą, skłonił się głęboko i zapytał, czy król pozwoli mu odejść, błagając go jednocześnie, aby wstawił się za nim u królowej.

Anna Austriaczka, która po historii z listem spodziewała się wyrzutów, była nader zdumiona widząc

na jutro, że król próbuje się z nią pojednać. W pierwszym odruchu chciała go odepchnąć, ponieważ jej godność kobieca i duma królowej były zbyt głęboko zranione, by mogła od razu wszystko puścić w niepamięć, ale idąc za radami dam z fraucymeru starała się zachować tak, jakby nic się nie stało. Król skorzystał z pierwszej sposobności, by jej powiedzieć, że wkrótce ma zamiar wydać bal.

Dla biednej Anny Austriaczki bal był czymś tak rzadkim, że na wieść o nim, jak to przewidział kardynał, wszelki ślad niechęci znikł, jeśli nie z jej serca, to w każdym razie z twarzy. Zapytała, kiedy bal się odbędzie, ale król odparł, że musi się porozumieć w tej sprawie z kardynałem.

Istotnie król co dzień pytał kardynała, kiedy odbędzie się bal, i za każdym razem kardynał unikał pod jakimś pozorem odpowiedzi.

Tak upłynęło dziesięć dni.

Ósmego dnia po opisanych wydarzeniach kardynał otrzymał list z Londynu, który zawierał te kilka wierszy:

„Mam je; ale nie mogę opuścić Londynu, brak mi pieniędzy- Proszę mi przysłać pięćset pistoli, a w cztery lub pięć dni po ich otrzymaniu będę w Paryżu.”

Tego samego dnia król jak zwykle zwrócił się do kardynała ze swoim pytaniem.

Richelieu policzył na palcach i powiedział do siebie cicho:

- Przyjedzie w cztery albo pięć dni po otrzymaniu pieniędzy; trzeba czterech albo pięciu dni na przesłanie, czterech albo pięciu dni na jej powrót, to stanowi dziesięć dni; teraz weźmy pod uwagę przeciwne wiatry, nieprzewidziane wypadki, słabość kobiecą, a więc dwanaście dni.

- A zatem, książę kardynale, obliczyłeś już? - rzekł król.

- Tak, Najjaśniejszy Panie; mamy dziś 20 września; ławnicy miasta urządzają bal drugiego października. W ten sposób wszystko ułoży się doskonale i nie będzie wyglądało na to, że pragniesz pojednania z królową.

Po czym kardynał dodał:

- Nie zapomnij, Najjaśniejszy Panie, powiedzieć w przeddzień balu Jej Królewskiej Mości, by włożyła diamentowe spinki.

Po raz drugi w rozmowie z królem kardynał wspomniał o spinkach diamentowych. Uderzyło to Ludwika XIII i pomyślał sobie, że w tym przypomnieniu musi się kryć jakaś tajemnica.

Niejednokrotnie już król czuł się upokorzony, że kardynał, który miał policję znakomitą, choć daleką jeszcze od doskonałości policji nowoczesnej, wiedział lepiej niż on sam o jego sprawach małżeńskich. Miał więc nadzieję, że w rozmowie z Anną Austriaczką dowie się czegoś i powróci do Jego Eminencji z sekretem znanym lub nie znanym kardynałowi, co podniesie go nieskończenie w oczach ministra.

Udał się więc do królowej i wedle swego zwyczaju zaczął od nowych pogroźek wobec jej przyjaciół. Anna Austriaczka opuściła głowę i w milczeniu słuchała potoku słów czekając, aż to się wreszcie skończy. Ale nie tego chciał Ludwik XIII; Ludwik XIII pragnął rozmowy, która mogłaby rzucić nowe światło, był bowiem przekonany, że kardynał ma jakieś uboczne myśli i przygotowuje mu straszną niespodziankę, jak to on potrafił. Toteż król osiągnął swój cel dzięki upartemu rzucaniu oskarżeń.

- Najjaśniejszy Panie - zawołała Anna Austriaczka wyczerpana tymi bezładnymi atakami – nie mówisz mi wszystkiego, co masz na sercu.. Co takiego uczyniłam? Jaką zbrodnię popełniłam? Niemożliwe, żeby przyczyną gniewu Waszej Królewskiej Mości był jedynie list, który napisałam do brata.

Król zaatakowany wprost, nie wiedział co odpowiedzieć; pomyślał sobie, że nadeszła sposobna chwila, by wspomnieć o tym, o czym miał mówić dopiero w przeddzień balu.

- Pani - rzekł z dostojeństwem - wkrótce odbędzie się bal w ratuszu. Spodziewam się, że zechcesz uczynić zaszczyt naszym zacnym ławnikom i zjawisz się w uroczystym stroju, mając na sobie owe spinki diamentowe, które ofiarowałem ci na imieniny. Oto moja odpowiedź.

Odpowiedź była straszliwa. Annie Austriaczce wydało się, że Ludwik XIII wie wszystko i że kardynał nakłonił go tylko, by ukrywał to przez siedem czy osiem dni, co zresztą doskonale pasowało do jego charakteru. Królowa strasznie zbladła, oparła na konsoli rękę cudownie piękną, która w tej chwili wyglądała jak z wosku, i patrząc na króla przerażonymi oczami nie odpowiedziała ani słowem.

- Zrozumiałaś mnie, pani - rzekł król, którego ogromnie uradowało jej zakłopotanie, choć nie znał jego przyczyny - zrozumiałaś mnie?

- Tak, Najjaśniejszy Panie - wyjąkała królowa.

- Przyjdiesz na bal?

- Tak.

- Włóżysz spinki?

- Tak.

Królowa zbladła jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe; król zauważył to i poczuł radość płynącą z zimnego okrucieństwa, które było jedną z wad jego charakteru.

- A zatem rzecz postanowiona - rzekł - oto wszystko, co miałem pani do powiedzenia.

- Kiedy odbędzie się ten bal? - zapytała Anna Austriaczka.

Ludwik XIII poczuł instynktownie, że nie powinien odpowiedzieć na to pytanie zadane przez królową gasnącym głosem.

- Wkrótce, pani - powiedział - nie przypominam sobie dokładnie daty, ale zapytam kardynała.

- A więc ten bal jest pomysłem kardynała? - zawołała królowa.

- Tak, pani - odparł król zdziwiony - ale o co chodzi?

- To on ci powiedział, żebym włożyła spinki?

- To znaczy, pani...

- To on, Najjaśniejszy Panie, to on!

- I cóż, jakie to ma znaczenie, on czy ja? Alboż takie zaproszenie jest zbrodnią?

- Nie, Najjaśniejszy Panie.

- Więc będziesz na balu?

- Tak, Najjaśniejszy Panie.

- Dobrze więc - rzekł król odchodząc - dobrze, liczę na to.

Królowa skłoniła się głęboko, nie tyle ze względu na etykietę, ile dlatego, że nogi ugięły się pod nią.

Król wyszedł wielce zadowolony.

- Jestem zgubiona - szepnęła królowa - kardynał wie wszystko, to on popycha króla, który nic jeszcze nie wie, ale dowie się wkrótce. Jestem zgubiona! Mój Boże, mój Boże, mój Boże!

Uklęła na poduszce i zaczęła się modlić z głową ukrytą w drżących rękach.

W istocie sytuacja jej była okropna. Buckingham wrócił do Londynu, pani de Chevreuse była w Tours. Pilnowana bardziej niż kiedykolwiek, królowa czuła niejasno, że jedna z jej dam ją zdradziła, ale nie wiedziała która. La Porte nie mógł opuścić Luwru; nie miała komu zaufać.

Widząc zagrażające nieszczęście i czując się opuszczona przez wszystkich, wybuchnęła szlochem.

- Czy nie mogę w niczym usłużyć Waszej Królewskiej Mości? - odezwał się nagle głos pełen słodyczy i współczucia.

Królowa odwróciła się żywo, dźwięk tego głosu nie mógł bowiem mylić; mówiła do niej przyjaciółka.

W istocie, w drzwiach wiodących do pokoi królowej ukazała się urocza pani Bonacieux. Kiedy król wszedł, była zajęta układaniem sukien i bielizny w przyległej gotowalni: nie mogła wyjść stamtąd i usłyszała wszystko.

Królowa zaskoczona krzyknęła przenikliwie; w swoim zmartwieniu nie rozpoznała zrazu młodej kobiety, protegowanej pana de La Porte.

- Och, Najjaśniejsza Pani, nie obawiaj się - rzekła młoda kobieta składając ręce i płacząc ze współczucia dla królowej - jestem oddana Waszej Królewskiej Mości duszą i ciałem i choć jestem od niej daleko, choć miejsce moje jest nisko, zdaje mi się, że znalazłam sposób, by wybawić Waszą Królewską Mość z kłopotu.

- Ty! O nieba! Ty? - zawołała królowa - ale spójrz na mnie. Jestem zdradzona przez wszystkich; czy mogę ci zaufać?

- Och, Najjaśniejsza Pani - zawołała młoda kobieta padając na kolana - na mą duszę, gotowa jestem umrzeć dla Waszej Królewskiej Mości.

Ten okrzyk płynął z głębi serca i podobnie jak za pierwszym razem nie można było się mylić.

- Tak - ciągnęła pani Bonacieux - tak, są tu zdrajcy; ale na Pannę Przenajświętszą przysięgam, że nie ma osoby bardziej niż ja oddanej Waszej Królewskiej Mości. Te spinki, których żąda król, Wasza Królewska Mość dała księciu Buckingham, prawda? Znajdowały się w małej szkatułce z różanego drzewa, którą miał pod płaszczem. Czyżbym się myliła? Czyż tak nie było?

- O mój Boże, mój Boże - szeptała królowa, szcękając zębami z przerażenia.

- A zatem trzeba dostać z powrotem te spinki - ciągnęła pani Bonacieux.
- Tak, oczywiście - zawołała królowa - ale jak to zrobić, w jaki sposób?
- Trzeba posłać kogoś do księcia.
- Ale kogo... kogo?... Komu mogę zaufać?
- Zechciej mi zaufać, Najjaśniejsza Pani; uczyn mi ten zaszczyt, moja królowo, a znajdę wysłannika!
- Ale trzeba napisać!
- Tak, to konieczne. Dwa słowa napisane ręką Waszej Królewskiej Mości i zabezpieczone jej sygnetem.
- Ale te dwa słowa to wyrok na mnie, rozwód, wygnanie!
- Tak, jeśliby dostały się w niegodne ręce! Ale ja odpowiadam za to, że dojdą tam, gdzie trzeba.
- O, mój Boże, muszę więc oddać w twe ręce swoje życie, honor, reputację!
- Tak, tak, Najjaśniejsza Pani, tak trzeba, a ja cię ocalę.
- Ale jak? Przynajmniej powiedz mi jak.
- Mój mąż został wypuszczony na wolność przed kilkoma dniami; nie miałam jeszcze czasu, by się z nim zobaczyć. Jest to dzielny i zacny człowiek - ani nie kocha, ani nienawidzi nikogo. Uczyni, co zechcę; wyjedzie na mój rozkaz nie wiedząc, co wiezie, i odda list Waszej Królewskiej Mości pod wskazanym adresem, nieświadom nawet, że ten list pisała królowa.

Królowa w uniesieniu ujęła ręce młodej kobiety, spojrzała na nią, jakby chciała czytać w głębi jej serca, a widząc jedynie szczerłość w jej pięknych oczach, ucałowała ją czule.

- Uczyn to - zawołała - a uratujesz mi życie, uratujesz mój honor!
- Och, nie przydawaj pani zbyt wielkiego znaczenia usłudze, jaką mam szczęście ci oddać; nie trzeba mi ratować ani życia, ani honoru Waszej Królewskiej Mości, która jest jedynie ofiarą niecnych intryg.
- To prawda, to prawda, moje dziecko - rzekła królowa - masz słuszość.
- Proszę więc, zechciej dać mi ten list, pani, czasu mamy niewiele.

Królowa pośpieszyła do małego biureczka, na którym znajdował się atrament, papier i pióra; napisała dwie linijki, zabezpieczyła list swoim sygnetem i wręczyła go pani Bonacieux.

- Ale zapomniałyśmy o pewnej ważnej rzeczy.

- O czym?

- O pieniądzech.

Pani Bonacieux zarumieniła się.

- Tak, to prawda - powiedziała - i wyznam Waszej Królewskiej Mości, że mój mąż...

- Twój mąż nie ma pieniędzy, to chciałaś powiedzieć.

- Przeciwnie, ma, ale jest bardzo skąpy, to jego wada. Jednakże niech się Jej Królewska Mość nie kłopotuje, znajdziemy jakiś sposób.

- Ja też nie mam - rzekła królowa (tych, co przeczytają Pamiętniki pani de Motteville, nie zdziwi ta odpowiedź) - ale zaczekaj.

Anna Austriaczka pobiegła do szkatułki z klejnotami.

- Weź, to pierścionek wielkiej wartości, jak powiadają; otrzymałam go od brata, króla Hiszpanii, należy do mnie i mogę nim rozporządzać. Weź ten pierścionek, sprzedaj go i niech twój mąż wyjeżdża.

- Za godzinę rozkaz Najjaśniejszej Pani będzie wykonany.

- Oto adres - dodała królowa tak cicho, że zaledwie można było ją usłyszeć. - Do milorda księcia Buckingham w Londynie.

- List zostanie oddany do rąk własnych.

- Szlachetne dziecko! - zawołała Anna Austriaczka.

Pani Bonacieux ucałowała ręce królowej, ukryła list na piersi i znikła lekka niczym ptak.

W dziesięć minut potem była w domu. Jak wyznała królowej, nie widziała się jeszcze z mężem po jego wyjściu na wolność; nie wiedziała o zmianie, jaka zaszła w jego stosunku do kardynała, utwierdzonej jeszcze przez dwie czy trzy wizyty hrabiego de Rochefort, obecnie najlepszego przyjaciela pana Bonacieux.

Hrabia potrafił bez wielkiego trudu przekonać kramarza, że w porwaniu jego żony nie kryło się nic złego, a jedyną jego przyczyną była przezorność natury politycznej.

Pani Bonacieux zastała go samego; biedak z wielkim trudem doprowadzał do porządku dom, gdzie wszystkie bez mała meble znalazł połamane, a wszystkie niemal szafy puste, jako że wymiar sprawiedliwości nie należy do owych trzech rzeczy, o których król Salomon powiada, że nie zostawiają po sobie śladów. Co się tyczy służącej, to uciekła zaraz po aresztowaniu jej pana, a ogarnął ją strach tak wielki, że szła bez wytchnienia do swej ojczystej Burgundii.

Zacny kramarz znalazłszy się w domu od razu dał znać żonie o swym szczęśliwym powrocie; żona powinszowała mu z tego powodu! zawiadomiła, że skorzysta z pierwszej wolnej chwili, by się z nim zobaczyć.

Na tę chwilę trzeba było czekać pięć dni, co w innych okolicznościach wydałoby się imć panu Bonacieux terminem bardzo długim, ale wizyta u kardynała i odwiedziny Rocheforta dawały mu dość materiału do rozmyślań, wiadomo zaś, że nigdy czas nie mija tak szybko, jak na rozmyślaniu.

Tym bardziej że rozmyślania pana Bonacieux były nadzwyczaj przyjemne. Rochefort nazywał go swym przyjacielem, swym drogim Bonacieux i wciąż mu powtarzał, że kardynał wielce go ceni. Kramarz widział już przed sobą drogę do zaszczytów i fortuny.

Ze swej strony pani Bonacieux również rozmyślała, ale trzeba powiedzieć, że jej uwagi nie pochłaniała ambicja; mimo woli powracała wciąż myślą do owego pięknego młodzieńca, tak dzielnego, i - jak się zdawało - tak w niej zakochanego. Wydano ją za męża za pana Bonacieux, gdy miała osiemnaście lat, przebywała stale wśród przyjaciół swego męża, a nie byli to ludzie mogący wzbudzić uczucia w młodej kobiecie, która miała serce wzniosłe mimo niskiego urodzenia; jakoż

pani Bonacieux przyjmowała obojętnie pospolite hołdy. W owych czasach tytuł szlachecka wiele znaczył dla mieszczaństwa, a d'Artagnan był szlachcicem; ponadto nosił mundur gwardzisty, po mundurze muszkietierów najwyżej ceniony przez damy. D'Artagnan, powtarzamy to raz jeszcze, był piękny, młody, krewki, mówił o miłości jak człowiek, który kocha i pragnie być kochany; tego

wszystkiego było aż nadto, by zawrócić w głowie kobiecie dwudziestotrzyletniej, a pani Bonacieux właśnie osiągnęła ten szczęśliwy wiek.

Małżonkowie, choć nie widzieli się przeszło tydzień i choć podczas tego tygodnia wydarzyło się wiele, spotkali się z pewnym zakłopotaniem; pan Bonacieux jednak okazał prawdziwą radość i podszedł do żony z otwartymi ramionami.

Pani Bonacieux podała mu czoło do ucałowania.

- Porozmawiajmy - powiedziała

- Jak to? - zapytał Bonacieux zdziwiony.

- A tak, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.
- W samej rzeczy, ja też mam do ciebie kilka poważnych spraw. Proszę, opowiedz mi co nieco o twym porwaniu.
- Nie o to bynajmniej chodzi w tej chwili - rzekła pani Bonacieux.
- A o co chodzi? O moje aresztowanie?
- Dowiedziałam się o nim tego samego dnia; ale jako że nie byłeś winien żadnej zbrodni ani żadnej intrygi, że nie wiedziałeś nic, co mogłoby skompromitować ciebie albo inną osobę, przydawałam temu zdarzeniu tyle tylko wagi, na ile zasługiwało.
- Wygodnie ci tak mówić, moja pani - rzekł Bonacieux dotknięty, że żona okazuje mu tak mało zainteresowania - czy wiesz, że cały dzień i noc spędziłem w lochu Bastylji?
- Dzień i noc szybko przeminęły; porzućmy więc tę sprawę i przejdźmy do tego, co mnie tu sprowadza.
- Jak to! Do tego, co cię sprowadza! Czy nie po to przyszedłeś, by zobaczyć się z mężem, z którym byłaś rozłączona przez tydzień? - zapytał kramarz dotknięty do żywego.
- Po to przede wszystkim, ale jeszcze po coś innego.
- Mów więc.
- Jest to sprawa największej wagi, od niej zależą, być może, nasze przyszłe losy.
- Nasze losy bardzo się zmieniły od chwili, kiedy się z tobą widziałem, moja żono, i nie zdziwię się, jeśli za kilka miesięcy ludzie będą nam zazdrościć.
- Owszem, jeśli zechcesz pójść za wskazówkami, których ci udzielenę.
- Mnie?
- Tak, tobie. Mój mężu, chodzi o uczynek dobry i szlachetny, a także o sporą sumę pieniędzy.

Pani Bonacieux wiedziała, że mówiąc o pieniądzach trafia w czule miejsce. Ale ten, kto rozmawiał przez dziesięć minut z kardynałem Richelieu, choćby był nawet kramarzem, nie jest już tym samym człowiekiem.

- O sporą sumę pieniędzy! - rzekł Bonacieux rozdziawiając usta.
- Tak.

- Ile to może dać mniej więcej?
- Jakieś tysiąc pistoli.
- To sprawa poważna?
- Tak.
- Co należy zrobić?
- Wyjedziesz natychmiast, dam ci pismo, którego nie pozwolisz sobie odebrać pod żadnym pozorem, a które doręczysz do rąk własnych.
- A dokąd mam jechać?
- Do Londynu.
- Ja do Londynu! Chyba żartujesz, nie mam żadnych spraw w Londynie.
- Ale innym potrzebny jest twój wyjazd.
- A któż są ci inni? Uprzedzam cię, że nie uczynię nic na ślepo; chcę wiedzieć nie tylko, na co się narażam, ale i dla kogo.
- Wysyła cię znamienita osoba, czeka na ciebie równie znamienita; nagroda przejdzie twe oczekiwania, oto wszystko, co mogę ci przyrzec.
- Znowu intrygi, wciąż te intrygi! Dziękuję, teraz mam się już na baczości, pan kardynał wszystko mi wyjaśnił.
- Kardynał! - zawołała pani Bonacieux - widziałeś kardynała?
- Wezwał mnie - odparł dumnie kramarz.
- I poszedłeś do niego, nieostrożny człowieku!
- Muszę powiedzieć, że nie miałem wyboru, znajdowałem się bowiem między dwoma strażnikami. Co prawda, ponieważ nie znałem wówczas Jego Eminencji, byłbym zachwycony, gdybym mógł tej wizyty uniknąć.
- Źle cię więc potraktował, groził ci?
- Wyciągnął do mnie rękę i nazwał mnie swym przyjacielem – swym przyjacielem! Słyszysz, żono?

Jestem przyjacielem wielkiego kardynała!

- Wielkiego kardynała!

- Czyżbyś mu przypadkiem odmawiała prawa do tego tytułu?

- Nie odmawiam mu niczego, ale powiadam ci, że fawor ministra jest rzeczą przelotną i trzeba być szalonym, by przywiązywać się do ministrów; są większe potęgi, które nie wspierają się na kaprysie ani na przypadkach, i z tymi potęgami należy się łączyć.

- Przykro mi bardzo, żono, ale nie znam większej potęgi nad potęgę wielkiego człowieka, któremu mam zaszczyt służyć.

- Służysz kardynałowi?

- Tak, i jako jego sługa nie pozwolę, byś brała udział w spiskach przeciw bezpieczeństwu ojczyzny i była narzędziem w rękach kobiety, która nie jest Francuzką i ma serce hiszpańskie. Na szczęście wielki kardynał czuwa nad wszystkimi i wie wszystko.

Bonacieux powtarzał słowo po słowie zdanie, zasłyszane od hrabiego Rocheforta; ale biedna kobieta, która liczyła na swego męża i w tej myśli zaręczyła za niego królowej, zadrzała widząc niebezpieczeństwo, jakiego uniknęła, i własną niemoc. Jednakże znając słabość; a przede wszystkim chciwość swego męża, nie traciła nadziei, iż osiągnie swój cel..

- Ach, więc jesteś stronnikiem kardynała, mój panie! - zawołała. – Więc służysz partii tych, co prześladują twoją żonę i znieważają twoją królową!

- Sprawy osobiste nie znaczą nic wobec spraw publicznych. Jestem po stronie tych, którzy ratują Państwo - rzekł, z emfazą Bonacieux.

Był to inny frazes hrabiego Rocheforta, który Bonacieux zapamiętał sobie i uznał za stosowne w tej chwili przytoczyć.

- A wiesz, co to jest państwo, o którym mówisz? - rzekła pani Bonacieux wzruszając ramionami. - Niech ci wystarczy, że jesteś zwykłym mieszczaninem, i idź z tymi, którzy mogą ci zapewnić większe korzyści.

- Ho, ho - rzekł Bonacieux uderzając ręką po pękatej sakiewce, która wydała dźwięk metaliczny - a co powiesz na to, pani kaznodziejko?

- Skąd masz te pieniądze?

- Nie domyślasz się?

- Od kardynała?
- Od niego i mego przyjaciela, hrabiego Rocheforta.
- Hrabiego Rocheforta? Ależ to on właśnie mnie porwał!
- To być może, żono.
- I bierzesz pieniądze od tego człowieka?
- A czy sama nie powiedziałaś mi, że porwanie miało charakter ściśle polityczny?
- Tak; ale porwano mnie po to, bym zdradziła moją dostojną panią, bym na torturach uczyniła wyznania, które mogą splamić jej honor, a nawet narazić jej życie.
- Żono - podjął Bonacieux - twoja dostojna pani jest przewrotną Hiszpanką i kardynał postąpił słusznie.
- Mężu - rzekła młoda kobieta - wiedziałam, że jesteś tchórzem, skąpcem i głupcem, ale nie wiedziałam, że jesteś niegodziwcem!
- Żono - powiedział Bonacieux, który nigdy nie widział pani Bonacieux w gniewie i chciał uniknąć kłótni małżeńskiej - żono, co mówisz?
- Mówię, że jesteś nędznikiem! - ciągnęła pani Bonacieux, która zauważyła, że słowa jej zaczynają wywierać wpływ na męża. - Ach, więc zajmujesz się polityką! I to na domiar polityką kardynalską! Sprzedajesz za pieniądze dało i duszę diabłu.
- Nie diabłu, ale kardynałowi.
- To jedno i to samo! - zawołała młoda kobieta. -Kto mówi: Richelieu, mówi: Szatan.
- Zamilknij, zamilknij, mogą cię słyszeć.
- Tak, masz rację, wstydziałabym się za ciebie.
- Ale czego żądasz ode mnie? Powiedz!
- Powiedziałam już: byś wyjechał natychmiast i wykonał lojalnie zadanie, którym cię zaszczytam; pod tym warunkiem zapomnę o wszystkim i wybaczę; więcej - wyciągnęła rękę - zwrócę ci moją przyjaźń.

Bonacieux był tchórzem i skąpcem, ale kochał swoją żonę: poczuł wzruszenie.

Mężczyzna pięćdziesięcioletni nie może długo żywić urazy do kobiety mającej dwadzieścia trzy lata. Widząc, że się waha, pani Bonacieux rzekła:

- A więc postanowiłeś?

- Ależ, moja kochasiu, zastanów się, czego ode mnie żądasz! Londyn jest daleko od Paryża, bardzo daleko, i może to zadanie jest niebezpieczne.

- Cóż z tego, jeśli unikniesz niebezpieczeństwa!

- Wysłuchaj mnie, żono - rzekł kramarz - odmawiam stanowczo: boję się intryg. Byłem w Bastylii, brrr, jaka jest okropna! Na samą myśl o tym od razu dostaję gęsiej skórki. Grożono mi torturami. Czy wiesz, co to są tortury? Pakują ci między nogi drewniane koły, aż kości pękają! Nie, stanowczo nie jadę. Do licha, czemu nie jedziesz sama? Doprawdy, zdaje się, że myliłem się dotychczas: ty jesteś mężczyzną, i to najbardziej zawziętym!

- A ty jesteś babą, nędzną babą, głupią i nikczemną. Ach, więc się boisz! Dobrze więc, jeśli nie wyruszysz natychmiast, zostaniesz aresztowany na rozkaz królowej i każę cię wtrącić do tej Bastylii, której się tak obawiasz.

Bonacieux zamyślił się głęboko; ważył w skupieniu dwa zagrażające mu gniewy, gniew kardynała i gniew królowej; gniew kardynała przeraził go bez porównania bardziej.

- Każ mnie aresztować na rozkaz królowej, a ja odwołam się do Jego Eminencji.

Pani Bonacieux zrozumiała nagle, że posunęła się zbyt daleko, i przeraziła się. Spoglądała przez chwilę z trwogą na tę tępą twarz, na której malowała się niezłomna decyzja, decyzja przerażonego głupca.

- Dobrze więc, dosyć tego! - rzekła. - Być może zresztą, masz rację: mężczyzna lepiej zna się na polityce od kobiety, zwłaszcza zaś ty, mężu, coś rozmawiał z kardynałem. Jednakże ciężko to znieść - dodała - że mój mąż, człowiek, na którego uczucie, zdawało się, mogłam liczyć, odnosi się do mnie tak niełaskawie i nie chce zaspokoić moich fantazji.

- Ponieważ twoje fantazje mogą zaprowadzić zbyt daleko - odparł Bonacieux z triumfem - mam się przed nimi na baczności.

- Ustępuję więc - rzekła młoda kobieta z westchnieniem - nie mówmy już o tym.

- Gdybyś mi choć powiedziała, co mam robić w Londynie - podjął Bonacieux, przypomniawszy

sobie trochę za późno, że Rochefort polecił mu poznać tajemnice żony.

- To ci zgoła niepotrzebne - powiedziała młoda kobieta, której jakaś instynktowna nieufność nakazywała teraz się cofać - chodzi o drobnostkę, zwykły kaprys kobiecy, o sprawunek, na którym można by dobrze zarobić.

Ale im bardziej broniła się młoda kobieta, tym bardziej Bonacieux nabierał przekonania, że sekret, którego nie chciała mu zwierzyć, ma wielkie znaczenie.

Postanowił więc natychmiast biec do hrabiego de Rochefort i powiedzieć mu, że królowa szuka posłańca do Londynu.

- Przepraszam, ale muszę cię opuścić, droga żono - powiedział - nie wiedząc bowiem, że przyjdiesz, umówiłem się z przyjacielem; wrócę zaraz i jeśli zechcesz poczekać na mnie pół godziny, przyjdę tu po ciebie, gdy tylko skończę rozmowę, i odprowadzę cię do Luwru, zaczyna się bowiem ściemniać.

- Dziękuję ci, mężu - odparła pani Bonacieux - nie jesteś dość dzielny, by pomóc mi w czymkolwiek, wrócę do Luwru sama.

- Jak chcesz, żono - rzekł były kramarz. - Czy zobaczę cię wkrótce?

- Zapewne; mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu będę miała wolną chwilę. Korzystając z tego przyjdę tu i uporządkuję rzeczy, które są na pewno w nieładzie.

- Doskonale, będę czekał na ciebie. Nie gniewasz się na mnie?

- Ja? Skądże znowu!

- Zatem do widzenia.

- Do widzenia.

Bonacieux ucałował rękę żony i wyszedł szybko.

- Tego tylko brakowało - rzekła pani Bonacieux, gdy mąż był już na ulicy i została sama - żeby ten głupiec został stronnikiem kardynała! A ja zaręczyłam królowej, ja przyrzekłam mojej biednej pani... Ach, mój Boże, mój Boże! Będzie mnie uważać za jedną z tych niecnych osób, których pełno jest w pałacu i które kręcą się tam tylko po to, by ją szpiegować. Ach, panie Bonacieux, nigdy nie kochałam cię za bardzo; ale teraz jest znacznie gorzej, teraz cię nienawidzę. O, przysięgam, zapłacisz mi za to!

W chwili gdy mówiła te słowa, zapukano w sufit; podniosła głowę i jakiś głos z góry krzyknął:

- Droga pani Bonacieux, proszę mi otworzyć boczne drzwi, zejść do pani.

KOCHANEK I MAŻ

- Ach, pani - rzekł d'Artagnan wchodząc przez drzwi, które otworzyła mu młoda kobieta - pozwól mi powiedzieć, że nieszczęśliwego masz męża.

- Słyszałeś więc pan naszą rozmowę? - zapytała żywo pani Bonacieux spoglądając na d'Artagnana.

- Od początku do końca.

- Ale jak, mój Boże?

- Mam swój sposób. Słyszałem również ożywioną rozmowę, kiedy byli u pani ludzie kardynała.

- I co zrozumiałeś z tego, cośmy mówili?

- Tysiąc rzeczy: przede wszystkim, że twój mąż jest na szczęście skończonym głupcem; po wtóre, że ma pani kłopoty, czemu bardzo jestem rad, jako że daje mi to okazję do ofiarowania ci swych usług, a Bóg jeden wie, że jestem gotów skoczyć w ogień dla ciebie; wreszcie, że królowej trzeba chwata, człowieka bystrego i oddanego, który uda się dla niej do Londynu. Posiadam przynajmniej dwie z tych trzech zalet, oto więc jestem.

Pani Bonacieux nie odpowiedziała, ale serce jej biło radośnie i ukryta nadzieja błyszczała w jej oczach.

- A jaką możesz mi pan dać rękojmię - zapytała - jeśli zgodzę się powierzyć ci tę misję?

- Moją miłość dla pani. Mów, rozkazuj, co należy uczynić?

- Mój Boże, mój Boże! - wyszeptała młoda kobieta - mam więc ci powierzyć taką tajemnicę? Jesteś niemal dzieckiem!

- Widzę z tego, że trzeba pani kogoś, kto poręczyłby za mnie.

- Wyznam, że byłabym wielce temu rada.

- Czy znasz pani Atosa?

- Nie.

- Portosa?

- Nie.
- Aramisa?
- Nie. Cóż to za panowie?
- Muszkietierowie królewscy. Znasz pana de Treville, ich kapitana?
- O, tak, tego znam, nie osobiście wprawdzie, ale słyszałam wiele razy, jak mówiono królowej, że jest to dzielny i uczciwy szlachcic.
- Nie obawiasz się, że zdradzi twe tajemnice kardynałowi, prawda?
- O, na pewno nie.
- Dobrze więc, zwierz mu swoją tajemnicę i zapytaj go, pani, czy możesz mi zaufać, nawet gdyby to była tajemnica największej wagi i najbardziej straszliwa.
- Ale to nie jest moja tajemnica, nie mogę więc jej wyjawić.
- Zawierzyłabyś ją jednak panu Bonacieux - rzekł d'Artagnan z urazą.
- Ale byłoby to tak, jakbym ją zawierzyła dziupli w drzewie, skrzydłu gołębia, obroży psa.
- Widzisz wszakże, że cię kocham, pani.
- Tak mówisz.
- Jestem człowiekiem dwornych obyczajów.
- Wierzę.
- Jestem odważny!
- O, tego jestem pewna.
- Więc wystaw mnie pani na próbę.

Pani Bonacieux spojrzała na młodzieńca wahając się jeszcze trochę. Ale w jego oczach błyszczał taki ogień, tyle przekonania brzmiało w jego głosie, że zapragnęła mu się zwierzyć. Zresztą znajdowała się w takiej sytuacji, że musiała postawić wszystko na kartę. Dla królowej równie zgubna byłaby zbyt wielka powściągliwość, jak nadmiar ufności. Wreszcie, wyznajmy to jeszcze, uczucie, które powzięła mimo woli dla swego młodego obrońcy, skłoniło ją do mówienia.

- Posłuchaj tedy - powiedziała - ustępuję i zaufam twym zapewnieniom. Ale przysięgam ci wobec Boga, który nas słyszy, że jeśli mnie zdradzisz, a wrogowie zostawią mnie przy życiu, zabiję cię, a wina spadnie na twą głowę.

- A ja przysięgam ci wobec Boga, pani - rzekł d'Artagnan - że jeśli pochwycą mnie przy wypełnianiu rozkazów, jakie otrzymam od ciebie, umrę raczej niż uczynię lub powiem coś, co mogłoby skompromitować kogokolwiek.

Wówczas młoda kobieta zdradziła mu straszliwą tajemnicę, którą poznał już częściowo owej nocy na moście.

Było to zarazem ich nieme wyznanie miłosne.

D'Artagnan promieniał radością i dumą. Tajemnica, którą posiadał, kobieta, którą kochał, zaufanie i miłość dawały mu siły olbrzyma.

- Wyjeżdżam - rzekł - wyjeżdżam natychmiast.

- Jak to wyjeżdżasz! - zawołała pani Bonacieux - a twój regiment, twój kapitan?

- Na mą duszę, zapomniałem o wszystkim, droga Konstancjo! Tak, masz słuszność, muszę mieć zwolnienie.

- Jeszcze jedna przeszkoda - powiedziała pani Bonacieux z bólem.

- Och, jeśli o to idzie - zawołał d'Artagnan po chwili namysłu - dam sobie łatwo radę, możesz być pani spokojna.

- Jakim sposobem?

- Udam się dziś jeszcze do pana de Treville i poproszę, by wstawił się za mną do pana des Essarts, swego szwagra.

- Pozostaje jeszcze jedna sprawa.

- Jaka? - zapytał d'Artagnan widząc, że pani Bonacieux się waha.

- Może nie masz pan pieniędzy?

- Nie mam ich za dużo - rzekł d'Artagnan z uśmiechem.

- W takim razie - powiedziała pani Bonacieux otwierając szafę i wyjmując z niej trzos, który przed półgodziną miłośnie gładził jej mąż - weź ten trzos.

- Trzos kardynała! - zawołał wybuchając śmiechem d'Artagnan, który jak wiemy, usunął deski w podłodze i nie utracił ani słowa z rozmowy między kramarzem a jego żoną.
- Trzos kardynała - odparła pani Bonacieux - widzisz, że wygląda wcale okazale.
- Do kroćset - zawołał d'Artagnan - ratować królową za pieniądze kardynała, o ile to zabawniejsze!
- Jesteś miłym i uprzejmym młodzieńcem - rzekła pani Bonacieux. – Bądź pewien, że Jej Królewska Mość nie okaże się niewdzięczna.
- O, jestem już dostatecznie wynagrodzony! - zawołał d'Artagnan. – Kocham panią, pozwalasz mi to mówić; to większe szczęście niż ośmieliłbym się spodziewać.
- Cicho - przerwała pani Bonacieux cała drżąc.
- Co?
- Słysząc głosy na ulicy.
- To głos...
- Mego męża. Tak, poznaję go!

D'Artagnan podbiegł do drzwi i zasunął rygiel.

- Nie wejdzie, zanim ja nie wyjdę. Otworzy mu pani, kiedy mnie nie będzie.
- Ale mnie także nie powinno tu być. A jak wytłumaczyć zniknięcie pieniędzy, skoro jestem w domu?
- Ma pani słuszność, trzeba wyjść.
- Ale dokąd? Zobaczy nas, kiedy będziemy wychodzić.
- Trzeba więc pójść do mnie.

- Ach! - zawołała pani Bonacieux - mówisz to tonem, który mnie przeraża.

Pani Bonacieux powiedziała te słowa ze łzami w oczach. D'Artagnan ujrzał te łzy i zmieszany, wzruszony, padł na kolana.

- Będziesz u mnie równie bezpieczna jak w świątyni, dam ci słowo szlachcica - powiedział.
- Chodźmy - rzekła - ufam ci, mój przyjacielu.

D'Artagnan otworzył ostrożnie drzwi i oboje, lekko niby cienie, wysliznęli się przez wewnętrzne drzwi na korytarz, bez szmeru weszli na schody i znaleźli się w pokoju d'Artagnana.

Kiedy młody człowiek był już u siebie, zabarykadował drzwi dla większej pewności; oboje zbliżyli się do okna i przez szparę w okiennicy ujrzeni pana Bonacieux, rozmawiającego z człowiekiem owiniętym w płaszcz.

Na widok człowieka w płaszczu d'Artagnan podskoczył i na wpół wyciągnąwszy szpadę z pochwy rzucił się ku drzwiom.

Był to człowiek z Meung.

- Co chcesz uczynić? - zawołała pani Bonacieux - zgubisz nas.

- Przysięgłem, że zabiję tego człowieka - rzekł d'Artagnan.

- Twoje życie nie należy w tej chwili do ciebie. W imieniu królowej zabraniam ci narażać się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo prócz niebezpieczeństw podróży!

- A we własnym imieniu nic mi nie rozkażesz?

- We własnym imieniu - powiedziała pani Bonacieux z żywym wzruszeniem - we własnym imieniu proszę cię o to. Ale słuchajmy, zdaje się, że mówią o mnie.

D'Artagnan zbliżył się do okna i nastawił ucha.

Pan Bonacieux otworzył drzwi i widząc, że mieszkanie jest puste, wrócił do mężczyzny w płaszczu, którego zostawił na chwilę samego.

- Wyszła - powiedział - wróciła do Luwru.

- Czy jesteś pan pewien - powiedział nieznajomy - że nie przypuszczała, w jakich zamiarach wyszedłeś?

- Nie - odparł Bonacieux z zadowoleniem - to zbyt powierzchowna kobieta.

- Czy młody gwardzista jest w domu?

- Nie sędzę; jak pan widzi, okiennica jest zamknięta i nie widać żadnego światła przez szpary.

- Wszystko jedno, trzeba się upewnić.

- W jaki sposób?

- Pukając do drzwi.

- Zapytam jego służącego.

- Dobrze.

Bonacieux wszedł do swego mieszkania, wyszedł tymi samymi drzwiami, z których skorzystali uciekinierzy, wspiał się po schodach i zapukał do drzwi d'Artagnana.

Nikt nie odpowiedział. Portos, by dodać sobie blasku, wypożyczył na ten wieczór Plancheta, a d'Artagnan nie dawał znaku życia.

W chwili gdy rozległo się pukanie, serca dwojga młodych drgnęły.

- Nie ma nikogo - rzekł Bonacieux.

- Wszystko jedno, chodźmy do pana, będziemy bezpieczniejsi niż stojąc na progu.

- Ach, mój Boże - szepnęła pani Bonacieux - nic nie usłyszymy.

- Przeciwnie, usłyszymy jeszcze lepiej.

D'Artagnan usunął kilka desek, na skutek czego pokój stawał się niczym ucho Dionizosa*, rozłożył kobierzec na podłodze, ukląkł i dał znak pani Bonacieux, by nachyliła się razem z nim nad otworem.

- Jesteś pan pewien, że nie ma nikogo? - rzekł nieznajomy.

- Ręczę za to - odparł Bonacieux.

- Myślisz więc, że twoja żona?...

- Wróciła do Luwru.

- Nie rozmawiając z nikim prócz ciebie?

- Jestem tego pewien.

- To bardzo ważne, pojmujesz mnie pan?

- A zatem wiadomość, którą ci przyniosłem, jest wielkiego znaczenia...

- Bardzo wielkiego, mój drogi Bonacieux, nie kryję tego bynajmniej.

- Więc kardynał będzie zadowolony ze mnie?

- Bez wątpienia.
- Wielki kardynał!
- Jesteś pan pewien, że w rozmowie żona nie wymieniła żadnych nazwisk?
- Tak sędzę.
- Ani pani de Chevreuse, ani księcia Buckinghama, ani pani de Vemet?
- Nie, powiedziała mi tylko, że chce mnie posłać do Londynu w sprawie dotyczącej znamienitej osoby.
- Zdrajca! - szepnęła pani Bonacieux.
- Cicho! - rzekł d'Artagnan ujmując jej rękę, na co pozwoliła bezwiednie.
- Wszystko jedno - ciągnął mężczyzna w płaszczu - jesteś głupcem, jeśli nie udales, że przystajesz na tę misję, miałbyś teraz list w ręce, zagrożone państwo byłoby uratowane, a pan...
- A ja?
- A pan! Kardynał nadałby ci tytuł szlachecki...
- Mówił panu o tym?
- Tak, wiem, że chciał ci zrobić tę niespodziankę.
- Niech pan będzie spokojny - podjął Bonacieux - żona mnie uwielbia, mamy jeszcze czas.
- Osioł! - szepnęła pani Bonacieux.
- Cicho! - rzekł d'Artagnan ściskając mocniej jej rękę.
- Jak to mamy jeszcze czas? - powiedział mężczyzna w płaszczu.
- Udam się do Luwru, zawezwę żonę, powiem jej, że się namyśliłem, że podejmuję się zadania, wezmę list i pośpieszę do kardynała.
- Dobrze, ale szybko; wrócę wkrótce, by dowiedzieć się, jak się panu powiodło.

Nieznajomy wyszedł.

- Nędznik! - rzekła pani Bonacieux pod adresem męża.

- Cicho! - powtórzył d'Artagnan ściskając jej rękę jeszcze mocniej.

Straszliwy wrzask przerwał rozmyślenia d'Artagnana i pani Bonacieux. To mąż, zauważywszy brak trzosa, wzywał pomocy.

*Ucho Dionizjosa - więzienie podziemne, zbudowane w kształcie ucha na rozkaz Dionizjosa, tyrana Syrakuz (405-367 p.n.e.), który siedząc w ukrytej komnacie mógł z niej słyszeć wyznania więźniów.

- O! mój Boże - zawołała pani Bonacieux - postawi na nogi całą dzielnicę!

Bonacieux krzyczał długo, ponieważ jednak podobne wrzaski rozlegały się zbyt często przy ulicy Fossoyeurs, by ściągnąć kogokolwiek, a dom kramarza cieszył się od niejakiego czasu nie najlepszą opinią, Bonacieux widząc, że nikt nie nadchodzi, wyszedł z domu wciąż krzycząc i skierował się w stronę ulicy du Bac.

- A teraz, kiedy już wyszedł, i pan musisz się oddalić - rzekła pani Bonacieux. - Odwagi, ale przede wszystkim ostrożności i pamiętaj, że należysz do królowej.

- Do niej i do ciebie! - zawołał d'Artagnan. - Bądź spokojna, piękna Konstancjo, powrócę godzinę jej wdzięczności; ale czy będę również godzinę twego serca?

Młoda kobieta nie odpowiedziała, tylko zarumieniła się mocno. W kilka chwil potem d'Artagnan wyszedł z domu owinięty w wielki płaszcz, pod którym zawadiacko sterczała długa szpada.

Pani Bonacieux odprowadziła go długim miłosnym spojrzeniem, jakim kobieta odprowadza mężczyznę, gdy czuje, że jest kochana; ale kiedy znikł za węgłem ulicy, padła na kolana i zawołała składając ręce:

- O mój Boże, miej w swej opiece królową, miej mnie w swej opiece!

XIX.

PLAN WYPRAWY

D'Artagnan udał się wprost do pana de Trésville. Doszedł do wniosku, że za kilka minut kardynał będzie już wszystko wiedział od tego przekłętą nieznajomego, niechybnie agenta Jego Eminencji, i nie bez racji sądził, że nie ma ani chwili do stracenia.

Serce młodzieńca przepelnione było radością. Oto okazja zdobycia sławy i pieniędzy, i ta okazja zbliżała go do uwielbianej kobiety. Przypadek ofiarowywał mu więcej, niż śmiałyby prosić Opatrzność.

Pan de Treville był jak zwykle w salonie, w towarzystwie panów szlachty. D'Artagnana znano w

pałacu, udał się więc wprost do jego gabinetu i kazał oznajmić kapitanowi, że chce się z nim widzieć w bardzo ważnej sprawie.

Zaledwie minęło pięć minut, kiedy wszedł pan de Tréville. Widząc radość malującą się na twarzy młodzieńca, od razu zrozumiał, że istotnie zaszło coś nowego.

Przez całą drogę d'Artagnan namyślał się, czy zwierzyć się panu de Tréville, czy tylko poprosić go, by pozostawił mu swobodę działania w pewnej poufnej sprawie. Pan de Tréville odnosił się do niego zawsze tak życzliwie, tak był oddany królowi i królowej, tak serdecznie nie cierpiał kardynała, że młodzieniec postanowił wszystko mu powiedzieć.

- Chciałeś się ze mną widzieć, mój chłopcze? - zapytał pan de Tréville.

- Tak, panie - powiedział d'Artagnan - i wybaczy mi pan, sądzę, że mu przeszkodziłem, kiedy dowiesz się, o jak ważną sprawę chodzi.

- Mów więc, słucham.

- Chodzi o honor, a może i życie królowej - rzekł d'Artagnan zniżając głos.

- Co powiadasz! - rzekł pan de Tréville rozglądając się wokół, czy nikt ich nie słyszy, i patrząc pytająco na d'Artagnana.

- Powiadam, że przypadek pozwolił mi poznać tajemnicę...

- Której nie wydasz, mam nadzieję, nawet za cenę życia.

- Ale muszę ją panu zwierzyć, tylko pan bowiem może mi pomóc w wypełnieniu zadania, które zleciła mi Jej Królewska Mość.

- Czy to twoja tajemnica?

- Nie, panie, królowej.

- Czy Jej Królewska Mość upoważniła cię do podzielenia się tą tajemnicą ze mną?

- Nie, panie, przeciwnie, zalecono mi najściślejsze milczenie.

- Dlaczego więc chcesz mi ją zdradzić?

- Dlatego że, jak powiedziałem, bez pana nic nie mogę zdziałać, a mógłbyś mi nie udzielić swej pomocy, jeśli nie będziesz wiedział, w jakim celu cię proszę.

- Zachowaj swą tajemnicę, młodzieńcze, i powiedz, czego pragniesz.
- Pragnę, by uzyskał pan dla mnie u pana des Essarts zwolnienie na piętnaście dni.
- Od kiedy?
- Jeszcze tej nocy.
- Opuszczasz Paryż?
- Udaję się z misją.
- Czy możesz mi powiedzieć dokąd?
- Do Londynu.
- Czy jest ktoś zainteresowany w tym, żebyś nie przybył do celu?
- Myślę, że kardynał dałby wiele za to, by mi w tym przeszkodzić.
- Jedziesz sam?
- Sam.
- W takim razie nie dojedziesz dalej jak do Bondy, jakem Treville!
- Dlaczego?
- Zamordują cię.
- Zginę spełniając swój obowiązek!
- Ale zadanie nie zostanie wykonane.
- To prawda - rzekł d'Artagnan.
- Wierżaj mi - ciągnął Treville - w takich przedsięwzięciach trzeba czterech, by jeden doszedł do celu.
- Ma pan rację - rzekł d'Artagnan - ale znasz, panie, Atosa, Portosa i Aramisę i wiesz, że mogę na nich liczyć.
- Nie zwierżając im tajemnicy, której poznać nie chciałem?
- Przysięgliśmy sobie raz na zawsze ślepe zaufanie i wierność w każdej próbie; zresztą możesz im

pan powiedzieć, że mi ufasz, a uwierzą mi jak i pan.

- Mogę każdego z nich zwolnić ze służby na dwa tygodnie; Atosa, któremu rana wciąż daje się we znaki, by udał się do wód w Forges, Portosa i Aramisa, by towarzyszyli druhowi, którego nie chcą opuścić w tak opłakanej sytuacji. Jeśli przyślę im zwolnienie, będzie to znaczyć, że upoważniam ich do wyjazdu.

- Dziękuję ci, panie, jesteś niezmiernie dobry.

- Idź więc do nich natychmiast i niechaj wszystko będzie załatwione tej nocy.

Najpierw jednak napisz mi prośbę do pana des Essarts. Może szpieg depcze ci po piętach, a w takim razie kardynał wie już o twojej wizycie i trzeba mieć dla niej uzasadnienie.

D'Artagnan napisał prośbę i pan de Treville biorąc papier zapewnił go, że przed drugą po północy cztery zwolnienia znajdą się w mieszkaniach czterech podróżnych.

- Bądź pan łaskaw przesłać moje zwolnienie do Atosa. Obawiam się, że gdybym wrócił do domu, naraziłbym się na jakieś niemiłe spotkanie.

- Bądź spokojny. Do widzenia i szczęśliwej podróży! Ale, zaczekaj no jeszcze! - rzekł pan de Treville.

D'Artagnan zawrótł.

- Czy masz pieniądze?

D'Artagnan brzęknął trzosem, który miał w kieszeni.

- Wystarczy? - zapytał pan de Treville.

- Trzysta pistoli.

- Wybornie, można z tym pojechać na koniec świata; ruszaj więc.

D'Artagnan skłonił się przed panem de Treville, który wyciągnął do niego rękę; d'Artagnan uściskał ją z szacunkiem i wdzięcznością. Od chwili gdy przybył do Paryża, mógł tylko dziękować Bogu, że poznał tego wspaniałego człowieka, tak zawsze godnego szacunku, prawego i wielkiego.

Naprzód udał się do Aramisa; nie był u swego przyjaciela od owego wieczoru, kiedy szedł za panią Bonacieux. Co więcej, za każdym razem kiedy go spotykał, dostrzegał głęboki smutek malujący się na twarzy młodego muszkietera.

Tego wieczora Aramis nie spał jeszcze, pogrążony w smutnych rozmyślaniach; widząc tę głęboką melancholię, d'Artagnan zadał mu kilka pytań. Arami wyjaśnił, że na przyszły tydzień musi napisać po łacinie komentarz do osiemnastego rozdziału św. Augustyna i ta praca całkowicie go pochłania.

Gdy dwaj przyjaciele tak rozmawiali, wszedł służący pana de Treville niosąc zapieczętowaną kopertę.

- Cóż to takiego? - zapytał Aramis.

- To zwolnienie, o które pan prosił - odparł służący.

- Nie prosiłem o żadne zwolnienie.

- Milcz i bierz - rzekł d'Artagnan. - A oto, mój pocziwcze, pół pistola za twój trud; powiedz panu de Treville, że pan Aramis bardzo dziękuje. Ruszaj.

Służący skłonił się do ziemi i wyszedł.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Aramis.

- Weź, co ci trzeba do dwutygodniowej podróży, i chodź ze mną.

- Ale ja nie mogę opuścić Paryża w tej chwili nie wiedząc...

Aramis urwał.

- Co się z nią stało, prawda? - ciągnął d'Artagnan.

- Z kim? - rzekł Aramis.

- Z kobietą, która była tutaj, z właścicielką haftowanej chustki.

- Kto ci powiedział, że była tu kobieta? - odparł Aramis blady jak śmierć.

- Widziałem ją.

- I wiesz, kto to jest?

- W każdym razie mogę przypuszczać.

- Posłuchaj - rzekł Aramis - skoro wiesz tyle, czy wiesz także, co się z nią stało?

- Sądzę, że wróciła do Tours.

- Do Tours? Tak, to się zgadza, znasz ją. Ale jakże mogła wrócić do Tours nic mi nie mówiąc?

- Obawiała się, że ją aresztują.

- Dlaczego nie napisała do mnie?

- Nie chciała cię skompromitować.

- D'Artagnanie, wracasz mi życie!- zawołał Aramis. - Sądziłem, że wzgardzono mną, że mnie zdradzono. Byłem tak szczęśliwy ujrawszy ją znowu! Nie mogłem uwierzyć, że naraża swą wolność dla mnie, a jednak, co za sprawa sprowadziła ją do Paryża?

- Ta sama, dla której dziś jeszcze musimy jechać do Londynu.

- A mianowicie? - zapytał Aramis.

- Dowiesz się kiedyś, Aramisie; na razie będę naśladował obyczaje siostrzenicy doktora.

Aramis uśmiechnął się przypomniawszy sobie bajkę, którą opowiedział pewnego wieczora przyjaciółom.

- A zatem, skoro jesteś pewien, że ona opuściła Paryż, nic mnie już nie zatrzymuje i mogę ci towarzyszyć. Powiadasz, że udajemy się?...

- Na razie do Atosa; jeśli chcesz iść, pośpiesz się, ponieważ straciliśmy już wiele czasu. Ach, jeszcze coś, Uprzedź Bazina.

- Bazin wyrusza z nami? - zapytał Aramis.

- Być może. W każdym razie dobrze byłoby, gdyby nam towarzyszył tymczasem do Atosa.

Aramis wezwał Bazina i rozkazał mu, żeby poszedł za nimi do Atosa.

- Chodźmy -powiedział do d'Artagnana biorąc płaszcz, szpadę, trzy pistolety i na próżno otwierając po drodze wszystkie szuflady w poszukiwaniu zabłąkanego pistola. Kiedy przekonał się, że te poszukiwania są bezowocne, ruszył za d'Artagnanem zadając sobie w duchu pytanie, jakim cudem ten młokos z gwardii wie równie dobrze jak on, kim była kobieta, której udzielił gościny, i lepiej niż on, co się z nią stało.

Wychodząc Aramis położył rękę na ramieniu d'Artagnana i zapytał patrząc na niego uważnie:

- Nie mówiłeś z nikim o tej damie?

- Z nikim.

- Nawet z Atosem i Portosem?

- Nie puściłem pary z ust.

- Wybornie.

I upewniwszy się w tej ważnej kwestii, poszedł z d'Artagnanem. Wkrótce byli obaj u Atosa.

Zastali go ze zwolnieniem w jednej ręce i listem od pana de Treville w drugiej.

- Czy możecie mi wyjaśnić, co znaczy ten list i zwolnienie, które otrzymałem przed chwilą? - zapytał zdumiony Atos.

„Mój drogi Atosie, pragnąłbym, abyś odpoczął przez dwa tygodnie, twoje zdrowie tego koniecznie wymaga. Udaj się więc do wód w Forges albo gdzie indziej i postaraj się szybko wrócić do zdrowia.

Oddany ci Treville”

- A więc, Atosie, ten list i zwolnienie znaczą, że masz mi towarzyszyć.

- Do wód w Fórges?

- Tam lub gdzie indziej.

- W służbie króla?

- Króla czy królowej: czy nie jesteśmy sługami Ich Królewskich Mości?

W tej chwili wszedł Portos.

- Tam do kata - powiedział - oto mi osobliwa historia: od kiedy udziela się muszkietierom zwolnień, o które nie proszą?

- Odkąd mają przyjaciół, którzy robią to za nich - odparł d'Artagnan.

- Ho, ho - rzekł Portos - zdaje się, że zdarzyło się coś nowego?

- Tak, wyjeżdżamy - rzekł Aramis.

- Dokąd?-zapytał Portos.

- Doprawdy, nie wiem - rzekł Atos - zapytaj d'Artagnana.

- Do Londynu, panowie - powiedział d'Artagnan.
- Do Londynu! - zawołał Portos - a cóż będziemy robić w Londynie?
- Tego nie mogę wam powiedzieć, musicie mi zaufać.
- Ale żeby jechać do Londynu, trzeba pieniędzy - dodał Portos - a ja ich nie mam.
- Ani ja - rzekł Atos.
- Ani ja - rzekł Aramis.
- Ale ja mam - powiedział d'Artagnan wyciągając swój skarb z kieszeni i kładąc go na stole. - W tym trzosie jest trzysta pistoli; niechaj każdy z nas weźmie siedemdziesiąt pięć, to wystarczy na drogę do Londynu i z powrotem. Zresztą możecie być spokojni, nie wszyscy dojedziemy do Londynu.
- A to dlaczego?
- Dlatego że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa niektórzy z nas pozostaną w drodze.
- Ależ to wojenna wyprawa!
- I to bardzo niebezpieczna, uprzedzam was.
- Skoro jednak narażamy się na śmierć - rzekł Portos - pragnąłbym przynajmniej wiedzieć, z jakiego powodu?
- Dużo ci to pomoże! - rzekł Atos.
- Mimo to zgadzam się z Portosem - rzekł Aramis.
- Czy król ma zwyczaj zdawać sprawę ze swych planów? Nie; mówi po prostu: mości panowie, jest wojna w Gaskonii albo we Flandrii, idźcie się bić; i wy idziecie. Dlaczego? To was nic nie obchodzi.
- D'Artagnan ma słuszość - rzekł Atos - oto trzy zwolnienia, które otrzymaliśmy od pana de Treville, i trzysta pistoli, które wzięły się nie wiadomo skąd. Ruszajmy więc nastawiać karku tam, gdzie każą. Czy życie warte jest tego, by trudzić się zadawaniem tylu pytań? D'Artagnanie, gotów jestem iść z tobą.
- I ja także - rzekł Portos
- I ja także - rzekł Aramis. - Nie martwi mnie nawet, że opuszczam Paryż. Trzeba mi rozrywek.
- Możecie być spokojni, panowie, rozrywek wam nie zabraknie - rzekł d'Artagnan.

- A zatem, kiedy wyruszamy? - spytał Atos.

- Natychmiast - odparł d'Artagnan - nie ma ani chwili do stracenia.

- Grimaud, Planchet, Mousqueton, Bazin! - krzyknęli czterej młodzi ludzie na swych służących - wyczyśćcie nasze buty i przyprowadźcie konie ze stajni pałacowej.

Każdy bowiem muszkieter zostawiał swojego konia i konia służącego w stajni pałacowej jak w koszarach.

Grimaud, Planchet, Mousqueton i Bazin wybiegli pędem.

- Teraz ułożmy plan wyprawy - rzekł Portos. - Dokąd udajemy się najpierw?

- Do Calais - odpowiedział d'Artagnan - to najkrótsza droga do Londynu.

- Dobrze, teraz wyniszczę wam swój pogląd - rzekł Portos.

- Mów.

- Czterej ludzie podróżujący razem budzą podejrzenia: niechaj d'Artagnan da każdemu z nas wskazówki; ja wyruszę pierwszą drogą na Boulogne, by zbadać teren; Atos wyjedzie w dwie godziny później traktem na Amiens; Arami uda się za nami w kierunku na Noyon; d'Artagnan zaś pojedzie drogą, jaką zechce, w ubraniu Plancheta, podczas gdy Planchet towarzyszyć nam będzie w mundurze gwardzisty.

- Panowie - rzekł Atos - moim zdaniem nie należy wtajemniczać służących w taką sprawę: szlachcic może przypadkiem zdradzić sekret, ale prawie zawsze sprzeda go lokaj.

- Plan Portosa wydaje mi się niemożliwy do wykonania - rzekł d'Artagnan - sam bowiem nie wiem, jakich wskazówek mógłbym wam udzielić. Mam oddać list, oto wszystko. Nie mam i nie mogę zrobić trzech kopii tego listu, jest bowiem zapieczętowany. Moim więc zdaniem należy jechać razem. Ten list jest tu, w tej kieszeni. - i wskazał kieszeń, w której znajdował się list. - Jeśli zostanę zabity, jeden z was go weźmie i pojedzie dalej, jeśli ten z kolei padnie, weźmie go następny i tak dalej; jeśli jeden chociaż dojedzie do celu, rzecz będzie załatwiona.

- Brawo, d'Artagnanie! Jestem tego samego zdania - rzekł Atos. - Zresztą trzeba postępować konsekwentnie; udaję się do wód, wy mi towarzyszycie; zamiast do wód Forges, jadę nad morze, mam wolny wybór. Jeśli zechcą nas zatrzymać, pokażę list pana de Treville, wy swoje zwolnienia; jeśli nas zaatakują, będziemy się bronić, jeśli będą nas sądzić, będziemy twierdzić niezmiennie, że mieliśmy jedynie brać kąpiele morskie. Zbyt łatwo dano by sobie radę z czterema ludźmi oddzielnie, podczas gdy czterech ludzi razem tworzy oddziałek. Uzbrowimy naszych służących w pistolety i

muszkiety; jeśli wyślą przeciw nam wojsko, wydamy bitwę i ten, który zostanie przy życiu, jak powiada d'Artagnan, dostarczy list.

- Dobrze powiedziane - zawołał Aramis - nie mówisz często, Atosie, ale kiedy już mówisz, prawdziwy z siebie Jan Złotousty. Zgadzam się na plan Atosa. A ty, Portosie?

- Ja również - rzekł Portos - jeśli ten plan odpowiada d'Artagnanowi. D'Artagnan ma list, więc naturalną kolejną rzeczą jest dowódca wyprawy; niechaj postanawia. My wykonamy.

XX.

PODRÓŻ

O drugiej nad ranem nasi czterej awanturnicy wyruszyli z Paryża przez roгатkę Saint-Denis. Ponieważ była noc, pogrążeni byli w milczeniu; mimo woli ulegali działaniu ciemności i wszędzie dopatrywali się zasadzek.

Z pierwszymi promieniami dnia języki się rozwiązały; wraz ze słońcem wróciła wesołość; jak w przededniu bitwy, serca były im mocno, oczy się śmiały i czuli, że życie, z którym może przyjdzie im się rozstać, bądź co bądź jest dobre.

Oddziałek przedstawiał się zresztą nader okazale; czarne konie muszkietarów, ich bojowy wygląd, regularny krok, jakim uczy się stąpać w szwadronie ten szlachetny towarzysz żołnierza, zdradziłyby najbardziej ściśle incognito.

Służący jechali za swymi panami uzbrojeni po zęby.

Wszystko szło dobrze aż do Chantilly, dokąd przybyli o ósmej rano. Trzeba było zjeść śniadanie. Zsiadli więc z koni przed oberżą, której szyld wyobrażał świętego Marcina oddającego połowę swego

plaszcz ubogiemu, i polecili służącym, żeby nie rozkułbaczali koni i w każdej chwili byli gotowi do odjazdu.

Przyjaciele weszli do ogólnej sali i zasiedli do stołu.

Jakiś szlachcic, który przybył drogą wiodącą z Dammartin, siedział przy tym samym stole i jadł śniadanie. Rozpoczął rozmowę o pogodzie; podróżni wtrącili kilka słów; wypił ich zdrowie; podróżni na grzeczność odpowiedzieli grzecznością.

Ale w chwili kiedy Mousqueton zameldował, że konie są gotowe, i wstawano już od stołu, nieznajomy zaproponował Portosowi, by wypił zdrowie kardynała. Portos odpowiedział, że uczyni to

z chęcią, jeśli nieznajomy ze swej strony zechce wznieść zdrowie króla. Nieznajomy zawołał, że nie zna innego króla prócz Jego Eminencji. Portos nazwał go pijakiem; nieznajomy dobył szpady.

- Zrobiłeś głupstwo - rzekł Atos - ale mniejsza z tym, nie można się teraz cofać; zabij tego człowieka i pędź za nami jak najszybciej.

Wszyscy trzej dosiedli koni i ruszyli galopem, podczas gdy Portos obiecywał nieznajomemu, że przedziurawi go wszystkimi ciosami znanymi w szermierce.

- O jednego mniej - rzekł Atos, gdy ujechali pięćset kroków.

- Ale dlaczego ten człowiek zaczepił Portosa, a nie kogo innego? - zapytał Aramis.

- Bo Portos mówił najgłośniej z nas wszystkich i tamten wziął go za dowódcę - rzekł d'Artagnan.

- Zawsze mówiłem, że ten młokos z Gaskonii to kopalnia mądrości - mruknął Atos.

Za czym jechali dalej.

W Beauvais zrobili dwugodzinny postój, żeby dać wytchnąć koniom i poczekać na Portosa. Po dwu godzinach, jako że Portosa nie było widać i nie otrzymano żadnej wiadomości od niego, przyjaciele ruszyli w dalszą drogę.

W odległości mili od Beauvais, w miejscu, gdzie droga zwężała się między dwoma wzgórzami, napotkali około dziesięciu ludzi, którzy udawali, że naprawiają uszkodzony w tym miejscu trakt, kopiąc doły i robiąc błotniste kałuże.

Aramis obawiając się, że zabrudzi sobie buty w tym błocie, zwymyślał ich ostro. Atos chciał go powstrzymać, ale już było za późno. Robotnicy zaczęli sobie pokpiwać z podróżnych, a ich zuchwałość wyprowadziła z równowagi nawet Atosa, który natarł koniem na jednego z nich.

Wówczas tamci cofnęli się do rowu i chwycili ukryte muszkiety, tak że naszych siedmiu podróżnych musiało przejechać dosłownie pod gradem kul. Jedna zraniła w ramię Aramisa, inna trafiła Mousquetona w pośladek. Mousqueton spadł z konia, nie dlatego jednak, że był ciężko ranny, ale nie mogąc widzieć rany, przypuszczał, że jest niebezpieczniejsza niż była w istocie.

- To zasadzka - rzekł d'Artagnan - nie strzelajmy i dalej w drogę.

Aramis, choć ranny, uchwycił się grzywy swego konia i ruszył wraz z innymi. Koń Mousquetona szedł samotnie z tyłu.

- Będziemy mieć konia na zmianę - rzekł Atos.

- Wolałbym kapelusze - powiedział d'Artagnan - mój zdmuchnęła kula. To prawdziwe szczęście, że nie miałem w nim listu.

- Och, zabiją biednego Portosa, gdy będzie tędy jechał - odezwał się Aramis.

- Gdyby Portos mógł się utrzymać na nogach, byłby już z nami - rzekł Atos. - Ten pijak otrzeźwiał zapewne, stanąwszy na placu.

Galopowali jeszcze przez dwie godziny, choć konie były już zdrożone i można było przypuszczać, że wkrótce nie będą zdolne do dalszej jazdy.

Podróżni jechali na przełaj, mając nadzieję, że tym sposobem unikną zaczepki; ale w Crevecoeur Aramis oświadczył, że nie może jechać dalej. W istocie trzeba było całej jego odwagi, maskowanej wykwinnym obejściem i dworną mową, by przebyć tę część drogi. Bładł coraz bardziej i musiano go podtrzymywać na koniu; przyjaciele pomogli mu zsiąść przed oberżą, pozostawili z nim Bazina, który w potyczce więcej zresztą przeszkadzał, niż pomagał, i ruszyli dalej w nadziei, że przenocują w Amiens.

- Do licha - rzekł Atos, kiedy byli już w drodze, teraz w czterech tylko, dwaj panowie oraz Grimaud i Planchet - do licha, nie dam się już zwieść i ręczę ci, że nie otworzę ust ani nie dobędę szpady aż do Calais. Przysięgam...

- Nie przysięgajmy - rzekł d'Artagnan - jedźmy galopem, jeśli nasze konie jeszcze to wytrzymają.

Podróżni wbili ostrogi w brzuchy koni, które tak pobudzone potrafiły odnaleźć siły. O północy byli w Amiens i zsiadli przed oberżą „Pod Złotą Lilią”.

Oberżysta wyglądał na najzacniejszego w świecie człowieka; przyjął podróżnych ze świecznikiem w jednej ręce i z bawełnianą szlafmycą w drugiej; pragnął umieścić gości we wspianych pokojach, ale niestety, te pokoje znajdowały się daleko od siebie. D'Artagnan i Atos odmówili; gospodarz oświadczył, że nie ma innych pokoi godnych Ich Dostojności; podróżni powiedzieli, że będą spali

w jednym pokoju, każdy na materacu rzuconym na podłogę. Gospodarz nalegał, oni upierali się przy swoim; trzeba było zrobić, co chcieli.

Zaledwie przygotowali sobie posłanie i zabarykadowali od wewnątrz drzwi, gdy ktoś zapukał do okiennicy od podwórza; zapytali, kto puka, i poznawszy głos służących otworzyli.

Byli to Planchet i Grimaud.

- Grimaud da sobie radę z pilnowaniem koni - rzekł Planchet - jeśli panowie zechcą, będę spał przy drzwiach; w ten sposób panowie mogą być pewni, że nikt do nich nie wejdzie.

- A na czym będziesz spał? - zapytał d'Artagnan.

- Oto moje posłanie - odparł Planchet i wskazał na wiązkę słomy.

- Dobrze - rzekł d'Artagnan - 'masz rację: ten gospodarz nie bardzo mi się podoba, nazbyt jest uprzejmy.

- Mnie nie podoba się również - wtrącił Atos.

Planchet wszedł przez okno i położył się przy drzwiach. Grimaud zaś umieścił się w stajni oświadczając, że o piątej rano będzie wraz z końmi gotów do drogi.

Noc minęła dość spokojnie, około drugiej po północy usiłowano tylko otworzyć drzwi; ale Planchet obudził się, zerwał na równe nogi i krzyknął: „kto to?”

Odpowiedziano mu, że to pomyłka, i nocni goście odeszli.

O czwartej nad ranem przyjaciół dobiegł wielki hałas ze stajni. Grimaud chciał obudzić stajennych i stajenni rzucili się na niego. Kiedy otworzono okno, ujrano biednego chłopca leżącego bez przytomności, z głową rozciętą widłami.

Planchet zszedł na podwórze chcąc osiodłać konie; konie były ochwacone. Jedyne koń Mousquetona, który poprzedniego dnia podróżował bez jeźdźca przez sześć godzin, mógł ruszyć w drogę, ale na skutek niepojętej pomyłki weterynarz, po którego posłano jakoby po to, by puścił krew koniowi oberżysty, puścił krew koniowi Mousquetona.

Wszystko to stawało się niepokojące; kolejne wypadki mogły być zbiegiem okoliczności, ale równie dobrze skutkiem zmywy. Atos i d'Artagnan wyszli, Planchet udał się na poszukiwanie trzech koni. Przy bramie stały dwa konie gotowe do podróży, świeże i wypoczęte. To ułatwiało znakomicie sprawę. Planchet zapytał, gdzie ich panowie, odpowiedziano mu, że spędzili noc w oberży i właśnie płacą gospodarzowi.

Atos poszedł też zapłacić, a d'Artagnan i Planchet pozostali przy bramie.

Oberżysta znajdował się w dość odległym, niskim pokoju i poproszono Atosa, by tam się udał.

Atos nie podejrzewając niczego wszedł i wyjął dwa pistole, by zapłacić; oberżysta siedział sam przy kantorku, którego szuflady były na wpół otwarte.

Wziął pieniądz podany przez Atosa, obrócił go w rękach, krzyknął nagle, że moneta jest fałszywa i że każe aresztować Atosa oraz jego przyjaciela jako fałszerzy.

- Hultaju - rzekł Atos idąc na niego - bo obetnę ci uszy!

W tej samej chwili czterej ludzie uzbrojeni po zęby weszli przez boczne drzwi i rzucili się na Atosa.

- Pochwycili mnie! - krzyknął Atos co sił w płucach. - Pędź, d'Artagnanie, co koń wyskoczy! - i wystrzelił dwukrotnie z pistoletu.

D'Artagnan i Planchet nie dali sobie tego powtarzać dwa razy, odwiązali konie stojące przy bramie, wskoczyli na nie, spięli ostrogami i ruszyli galopem.

- Czy wiesz, co stało się z Atosem? - zapytał d'Artagnan Plancheta, pędząc co koń wyskoczy.

- Ach, panie - odparł Planchet - dwaj padli od jego strzałów i zdawało mi się, że widzę przez oszklone drzwi, jak rąbie pozostałych.

- Dzielny Atos! - mruknął d'Artagnan. - I pomyśleć, że muszę go opuścić! Zresztą, kto wie, co czeka nas za chwilę. Naprzód, Planchet, naprzód! Dzielny z ciebie chłopiec.

- Powiedziałem to już panu - odparł Planchet. - Pikardczyków poznaje się w potrzebie; zresztą jestem tu na swojej ziemi i to dodaje mi ducha.

Nie zatrzymując się w drodze i kłując konie ostrogami dojechali do Saint-Omer. Tu dali wytchnąć koniom trzymając je za cugle w obawie przed wypadkiem, podjedli sobie trochę na stojąco i ruszyli dalej.

W odległości stu kroków od bram Calais koń d'Artagnana padł na ziemię i żadnym sposobem nie można go było podnieść; krew lała mu się z nozdrzy i oczu. Pozostał koń Plancheta, ale i ten zaparł się w ziemię tak, że nie udało się go poruszyć.

Na szczęście, jak powiedzieliśmy, byli w odległości stu kroków od miasta; pozostawili wierzchowce na drodze i pobiegli do portu. Planchet wskazał swemu panu szlachcica, który w towarzystwie służącego szedł pięćdziesiąt kroków przed nimi.

Dopędzili tego szlachcica, który jak się zdawało, śpieszył się bardzo. Buty miał pokryte kurzem i pytał właśnie, czy nie mógłby natychmiast jechać do Anglii.

- Nic łatwiejszego - powiedział właściciel statku gotowego do odjazdu – ale dziś rano otrzymaliśmy rozkaz: nikt nie może wyruszyć bez pozwolenia pana kardynała.

- Mam to pozwolenie - odparł szlachcic wyciągając papier z kieszeni - proszę.

- Niech je poświadczy zarządca portu - rzekł właściciel - będę rad panu usłużyć.

- Gdzie znajdę zarządcę?

- Na letnim mieszkaniu.

- Gdzie to jest?

- Ćwierć mili od miasta; proszę, widzisz pan u stóp tego wielkiego wzgórza dom pokryty dachówką?

- Wybornie! - powiedział szlachcic.

Za czym w towarzystwie służącego ruszył w stronę domu zarządcy. D'Artagnan i Planchet szli za nim w odległości stu kroków.

Kiedy byli już za miastem, d'Artagnan przyśpieszył kroku i dopędził szlachcica, kiedy ten wchodził do lasu.

- Panie, wydaje mi się, że bardzo się śpieszysz?

- Ogromnie, proszę pana.

- Przykro mi niezmiernie - rzekł d'Artagnan - ponieważ śpieszę się również i chciałem pana prosić o oddanie mi pewnej usługi.

- Jakiej?

- Chciałbym być pierwszy.

- To niemożliwe - odpowiedział szlachcic - zrobiłem sześćdziesiąt mil w czterdzieści cztery godziny i muszę być jutro w południe w Londynie.

- Zrobiłem czterdzieści mil w czterdzieści godzin i muszę być jutro o dziesiątej rano w Londynie.

- Niezmiernie mi przykro, panie, ale przybyłem pierwszy i nie wyjadę drugi.

- Niezmiernie mi przykro, panie, ale przybyłem drugi i wyjadę pierwszy.

- Jestem w służbie króla! - rzekł szlachcic.

- Jestem w służbie mojej własnej osoby! - rzekł d'Artagnan.

- Wydaje mi się, że szukasz ze mną zaczepki.

- Do kata! A czegoż by innego?

- Czego chcesz?

- Chce pan wiedzieć?

- Oczywiście.

- Dobrze więc, chcę pozwolenia na przejazd, które pan posiada, ponieważ nie mam żadnego, a bardzo mi jest potrzebne.

- Pan chyba żartuje.

- Nie żartuję nigdy.

- Pozwól mi przejść!

- Nie pójdziesz dalej.

- Mój dzielny młodzieńcze, zdaje się, że rozwalę ci głowę. Hola, Lubin! Moje pistolety.

- Planchet - rzekł d'Artagnan - zajmij się służącym, ja zajmę się panem.

Planchet ośmielony tą zachętą skoczył na Lubina, a jako że był mocny i zwinny, przewrócił go na ziemię i klęknął mu na piersi.

- Niech pan robi swoje - rzekł Planchet - ja już sobie poradziłem.

Widząc to szlachcic wyciągnął szpadę i natarł na d'Artagnana; ale miał do czynienia z lepszym od siebie.

W trzy sekundy d'Artagnan zadał mu trzy ciosy, mówiąc za każdym razem:

- Ten za Atosa, ten za Portosa, a ten za Aramis.

Przy trzecim pchnięciu szlachcic padł jak kłoda. D'Artagnan mniemał, że jest nieżywy albo przynajmniej zemdlony, i zbliżył się, by wziąć pozwolenie na przejazd; ale w chwili gdy wyciągał rękę, ranny, który nie wypuścił szpady, zadał mu cios w pierś, mówiąc:

- A ten dla ciebie.

- Dla mnie! Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni - zawołał rozwścieczony d'Artagnan przygważdżając go do ziemi czwartym ciosem w brzuch.

Tym razem szlachcic zamknął oczy i zemdłał. D'Artagnan przeszukał kieszeń, do której, jak widział, nieznajomy włożył pozwolenie na przejazd, i zabrał je. Papier był wystawiony na nazwisko hrabiego de Wardes.

Następnie rzucając ostatnie spojrzenie na pięknego młodzieńca, mogącego liczyć najwyżej dwadzieścia pięć lat, którego pozostawił tu bez czucia, a może już nieżywego, westchnął myśląc o dziwnym losie, popychającym jednych ludzi do zabijania innych w interesie osób obcych i najczęściej nie wiedzących nawet o ich istnieniu.

Ale wkrótce z tych rozmyślań wyrwał go wrzask Lubina, ze wszystkich sił wzywającego pomocy.

Planchet ścisnął go potężnie ręką za gardło.

- Panie - rzekł - jak długo będę go tak trzymał, nie zdoła krzyknąć, to pewne; ale ledwie go puszczę, narobi znów wrzasku. Widzę, że to Normandczyk, a Normandczycy są uparci.

W istocie, choć Lubin znajdował się w wielce niedogodnym położeniu, próbował wydawać dźwięki.

- Zaczekaj! - zawołał d'Artagnan. Wziął chustkę i zakneblował mu usta.

- A teraz - rzekł do Plancheta - przywiążmy go do drzewa.

Uczynili to bardzo sumiennie, potem przywlekli hrabiego de Wardes do jego służącego; ponieważ zaczynało już zmierzchać, a zakneblowany sługa i ranny pan znajdowali się w lesie, było rzeczą oczywistą, że pozostaną tu do rana.

- A teraz do zarządcy! - rzekł d'Artagnan.

- Zdaje mi się, że pan jest ranny? - zapytał Planchet.

- To nic, zajmijmy się rzeczami pilniejszymi; potem przyjdzie czas na ranę, która nie wydaje mi się zresztą bardzo niebezpieczna.

I szybkim krokiem skierowali się do domu czcigodnego zarządcy.

Oznajmiono hrabiego de Wardes.

D'Artagnan wszedł.

- Masz pan zezwolenie podpisane przez kardynała? - spytał zarządca.

- Tak, panie - odparł d'Artagnan - oto ono.

- W samej rzeczy, jest w największym porządku - rzekł zarządca.

- To oczywiste, należę do najwierniejszych sług kardynała.

- Wygląda na to, że Jego Eminencja chce komuś przeszkodzić w wyjeździe do Anglii.
- Tak, chodzi o niejakiego d'Artagnana, szlachcica bearneńskiego, który wyjechał z Paryża wraz z trzema swymi przyjaciółmi celem udania się do Londynu.
- Znasz go pan osobiście?
- Kogo?
- Tego d'Artagnana.
- Wybornie.
- Daj mi więc jego rysopis,
- Nic łatwiejszego.

I d'Artagnan opisał najbardziej szczegółowo hrabiego de Wardes.

- Czy ktoś mu towarzyszy? - zapytał zarządca.
- Tak, służący nazwiskiem Lubin.
- Będziemy mieć ich na oku i jeśli uda nam się ich pochwycić, Jego Eminencja może być spokojny, zostaną odwiezieni do Paryża pod dobrą eskortą.
- Czyniąc to, panie zarządco, zasłużysz sobie na wdzięczność kardynała.
- Czy zobaczysz go pan za powrotem, panie hrabio?
- Bez wątpienia.
- Zechciej mu pan powiedzieć, że jestem jego oddanym sługą.
- Nie omieszka.

Rad z tego zapewnienia zarządca podpisał pozwolenie na przejazd i oddał je d'Artagnanowi.

D'Artagnan nie tracił czasu na zbędne uprzejmości, pożegnał zarządcę, podziękował mu i wyszedł.

Za czym obaj z Planchetem ruszyli w drogę i okrążając las wrócili do miasta inną bramą.

Statek wciąż stał gotów do odjazdu i właściciel czekał w porcie.

- No i cóż? - zapytał widząc d'Artagnana.

- Oto moje pozwolenie potwierdzone przez zarządcę.

- A tamten szlachcic?

- Nie pojedzie dzisiaj - odparł d'Artagnan - ale bądź spokojny, zapłacę za dwóch.

- W takim razie ruszajmy - rzekł właściciel.

- Ruszajmy - powtórzył d'Artagnan.

Wskoczyli z Planchetem do łodzi; w pięć minut później byli na pokładzie.

Czas już był najwyższy, bo w odległości pół mili od lądu d'Artagnan ujrzał światło i usłyszał huk wystrzału.

Był to wystrzał armatni, który oznajmiał zamknięcie portu. Teraz trzeba było zająć się raną. Na szczęście przypuszczenie d'Artagnana okazało się słuszne, rana nie była niebezpieczna: ostrze szpady napotkało żebro i ześliznęło się po kości; co więcej koszula przykleiła się natychmiast do rany tamując upływ krwi, tak że uszło jej tylko kilka kropel,

D'Artagnan padał ze zmęczenia. Położono mu materac na pokładzie .rzucił się nań i zasnął.

Nazajutrz o wschodzie słońca znajdował się o kilka zaledwie mil od Anglii; wiatr był słaby przez całą noc i posuwano się bardzo wolno naprzód.

O dziesiątej statek zarzucił kotwicę w Dover.

O wpół do jedenastej d'Artagnan stanął na ziemi angielskiej wołając:

- Nareszcie!

Ale nie było to jeszcze wszystko: trzeba było dojechać do Londynu. Poczta w Anglii działała sprawnie. D'Artagnan i Planchet najęli konie, pocztylion jechał przed nimi; w cztery godziny byli u bram stolicy.

D'Artagnan nie znał Londynu, nie umiał ani słowa po angielsku, ale napisał nazwisko Buckingham na papierze i wskazano mu pałac księcia.

Księżę był z królem na polowaniu w Windsorze.

D'Artagnan zwrócił się do zaufanego pokojowca, który towarzyszył księciu we wszystkich podróżach i wybornie mówił po francusku; oświadczył mu, że przybył z Paryża w sprawie największej wagi i

musi natychmiast zobaczyć się z jego panem.

D'Artagnan mówił z tak wielką szczerością w głosie, że przekonał Patricka, tak bowiem nazywał się ów minister ministra. Patrick kazał osiodłać dwa konie i sam wyruszył z młodym gwardzistą. Planchet natomiast zsiadł z konia sztywny jak kij: biedny chłopiec był u kresu sił; zdawać się mogło, że d'Artagnan jest z żelaza.

Gdy przyjechali do zamku, dowiedzieli się, że król i Buckingham polują na ptactwo w bagnach położonych w odległości kilku mil.

Po dwudziestu minutach byli na wskazanym miejscu. Wkrótce Patrick usłyszał głos swego pana wołającego sokoła.

- Kogo mam oznajmić księciu panu? - zapytał Patrick.

- Młodego człowieka, który pewnego wieczoru szukał z nim zwady na Pont-Neuf, naprzeciw Samaritaine.

- Szczególne oznajmienie.

- Zobacz pan, że nie najgorsze.

Patrick ruszył galopem, dopędził księcia i powiedział mu o przyjeździe wysłannika.

Buckingham przypomniał sobie d'Artagnana natychmiast, a ponieważ przypuszczał, że coś się zdarzyło we Francji, nie tracąc czasu zapytał tylko, gdzie jest wysłannik; rozpoznawszy z daleka mundur gwardzisty, galopem podjechał do niego. Patrick trzymał się dyskretnie na uboczu.

- Czy królowej nie wydarzyło się jakie nieszczęście? - zawołał Buckingham zdradzając tym pytaniem swe myśli i miłość.

- Nie sądzę; ale grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, z którego jedynie Wasza Wysokość może ją wybawić.

- Ja? - zawołał Buckingham. - Ach, byłbym szczęśliwy, gdybym mógł jej być użyteczny w czymkolwiek! Mów, mów!

- Zechciej przeczytać ten list, książę - rzekł d'Artagnan.

- Ten list? A od kogo jest ten list?

- Przypuszczam, że od Jej Królewskiej Mości.

- Od Jej Królewskiej Mości! - rzekł książę blednąc tak bardzo, że d'Artagnan przestraszył się, iż Jego

Wysokość zemdleje.

Buckingham złamał pieczęć.

- Co znaczy ta dziura? - zapytał wskazując na miejsce, gdzie list był przebity na wskroś.

- Ach, nie zauważyłem - rzekł d'Artagnan - to szpada hrabiego de Wardes przebiła list, kiedy zadał mi cios w pierś.

- Jesteś ranny? - zapytał Buckingham odrywając pieczęć.

- Drobnostka - rzekł d'Artagnan - zadraśnięcie.

- Mocny Boże, co czytam! - zawołał książę. - Patrick, zostań tutaj lub raczej udaj się za królem i powiedz Jego Królewskiej Mości, że błagam go pokornie o wybaczenie, ale sprawa niezmiernej wagi wzywa mnie do Londynu. Chodźmy, mój panie.

I obaj ruszyli galopem do stolicy.

XXI.

HRABINA DE WINTER

Przez całą drogę książę kazał sobie opowiadać, nie o tym jednak, co się stało, ale o tym, co było wiadome młodzieńcowi. Zestawiając opowieść d'Artagnana z własnymi wspomnieniami, mógł sobie wyobrazić dość dokładnie sytuację; z jej powagi zresztą zdał sobie sprawę po przeczytaniu listu królowej, choć był on krótki i nie mówił wszystkiego wyraźnie. Ale najbardziej zdumiewało go, że

kardynał, któremu zależało ogromnie na tym, by młodzieniec nie przedostał się do Anglii, nie potrafił go zatrzymać w drodze. D'Artagnan widząc zdziwienie księcia opowiedział o powziętych środkach ostrożności i o tym, jak dzięki oddaniu trzech przyjaciół, których pozostawił krwawiących w drodze, sam uszedł cało, mając tylko przedziurawiony list królowej, za co zapłacił panu de Wardes tak straszliwie. Słuchając tej historii opowiedzianej z największą skromnością, książę spoglądał od czasu do czasu na młodzieńca ze zdumieniem, jak gdyby nie mógł zrozumieć, jakim sposobem tyle przezorności, odwagi i ofiarności może iść w parze z wyglądem i twarzą, pozwalającymi przypuszczać, że d'Artagnan nie ma jeszcze dwudziestu lat.

Konie leciały jak wiatr i w kilka minut byli przy bramach Londynu. D'Artagnan przypuszczał, że w mieście książę powstrzyma nieco bieg konia, ale stało się inaczej: książę gnał dalej, mało robiąc sobie z tego, że może na swej drodze obalić przechodniów. Toteż gdy zbliżali się do City, dwaj czy trzej ludzie leżeli już na ziemi, ale Buckingham nie odwrócił nawet głowy, by zobaczyć, co się z nimi stało. D'Artagnan jechał obok księcia pośród okrzyków bardzo przypominających przekleństwa.

Wjeżdżając na dziedziniec pałacu Buckingham zeskoczył z konia; nie troszcząc się o to, co się z nim stanie, zarzucił mu lejce na szyję i skierował się ku wejściu. D'Artagnan poszedł w jego ślady nieco niespokojny o los tych szlachetnych zwierząt, które miał okazję ocenić, ale na szczęście kilkoro służby wybiegło ze stajen i kuchni i zajęło się wierzchowcami.

Księżę szedł tak szybko, że d'Artagnan z trudem za nim nadążał. Przeszedł przez liczne salony urządzone tak wytwornie, że najwięksi panowie Francji o takim wykwincie nie mieli nawet pojęcia, i wszedł do sypialni, która była cudem smaku i przepychu. Do alkowy prowadziły drzwi pokryte tkaniną; księżę otworzył je małym złotym kluczykiem, który nosił na szyi na złotym łańcuszku.

D'Artagnan pozostał dyskretnie z tyłu, ale Buckingham stojąc już na progu odwrócił się i widząc wahanie młodego człowieka, rzekł:

- Chodź ze mną; jeśli będziesz miał szczęście znaleźć się w obliczu Jej Królewskiej Mości, powiedz jej, co widziałeś.

Zachęcony zaproszeniem d'Artagnan poszedł za księciem, który zamknął za nim drzwi.

Znaleźli się w małej kaplicy, całej wybitej perskim jedwabiem, przetykanym złotem, i rzeźbiście oświetlonej mnóstwem świec. Nad czymś w rodzaju ołtarza, pod baldachimem z błękitnego aksamitu, ozdobionym pękami białych i czerwonych piór, znajdował się portret Anny Austriaczki wielkości naturalnej, a tak doskonale utrafony, że d'Artagnan wydał okrzyk zdumienia: mogłoby się zdawać, że królowa za chwilę przemówi.

Na ołtarzu, u stóp portretu, stała szkatułka z diamentowymi spinkami.

Księżę zbliżył się do ołtarza, klęknął, jak klęka ksiądz przed wizerunkiem Chrystusa, po czym otworzył szkatułkę.

- Proszę - rzekł wyciągając ze szkatułki wielką kokardę z błękitnej wstążki całą usianą diamentami - oto owe szacowne spinki; przysiągłem sobie, że zostanę z nimi pogrzebany. Królowa mi je dała, królowa je zabiera, niechaj jej wola, jak wola Boga, spełnia się we wszystkim.

Za czym ucałował kolejno owe spinki, z którymi trzeba mu było się rozstać.

Nagle wydał straszliwy okrzyk.

- Co się stało? - zapytał d'Artagnan z niepokojem - co się stało, milordzie?

- Wszystko stracone! - zawołał Buckingham blady jak trup. - Brak dwóch spinek, tylko dziesięć zostało.

- Milord je zgubił, czy sądzi, że zostały ukradzione?
- Ukradzono mi je - rzekł książę - i to sprawka kardynała. Popatrz, wstążki, do których były przypięte, odcięto nożyczkami.
- Gdyby milord domyślał się, kto jest sprawcą kradzieży...Być może, ta osoba ma je jeszcze w rękach.
- Zaczekaj! Zaczekaj! - zawołał książę. - Miałem te spinki tylko raz na sobie, przed tygodniem w Windsorze, na balu u króla. Hrabina Winter, z którą byłem poróżniony, podeszła do mnie. To pogodzenie się było zemstą zazdrosnej kobiety. Od tego czasu nie widziałem jej. Hrabina jest agentką kardynała.
- Kardynał ma więc agentów na całym świecie! - zawołał d'Artagnan.
- Tak, tak - rzekł Buckingham zaciskając zęby ze złości. - Tak, to straszliwy przeciwnik. Ale powiedz mi, kiedy odbędzie się ten bal?
- W przyszły poniedziałek.
- W przyszły poniedziałek! Mamy jeszcze pięć dni, więcej, niż nam trzeba. Patrick! - zawołał książę otwierając drzwi kaplicy. - Patrick!

Wszedł zaufany pokojowiec księcia.

- Wezwij mojego złotnika i sekretarza!

Pokojowiec wyszedł szybko, nie mówiąc słowa, co wskazywało na to, że był przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa i milczącego spełniania rozkazów.

Ale choć złotnik został wezwany pierwszy, naprzód zjawił się sekretarz, dlatego po prostu, że mieszkał w pałacu. Gdy wszedł, Buckingham siedział przy stole w swojej sypialni, pisząc własną ręką rozkazy.

- Mości Jackson - rzekł - udasz się natychmiast do lorda kanclerza i powiesz, że polecam mu wykonanie tych rozkazów. Życzę sobie, żeby zostały ogłoszone natychmiast.
- Ale, Wasza Wysokość, jeśli lord kanclerz zapyta mnie, jakie przyczyny skłoniły księcia do poczynienia tak niezwykle kroków, co mam mu odpowiedzieć?
- Że taka jest moja wola i że nikomu nie będę zdawał sprawy z moich poczynań.

- Czy tę odpowiedź mam przekazać Jego Królewskiej Mości - rzekł uśmiechając się sekretarz - jeśli Najjaśniejszy Pan zechce się dowiedzieć, dlaczego żaden statek nie może opuścić portów Wielkiej Brytanii?

- Masz rację - odparł Buckingham - niechaj powie w takim razie królowi, że wypowiadam wojnę i że to jest pierwszy krok przeciwko Francji.

Sekretarz skłonił się i wyszedł.

- Tak więc załatwiliśmy jedną sprawę - rzekł Buckingham zwracając się do d'Artagnana. - Jeśli spinki nie pojechały jeszcze do Francji, nie znajdą się tam przed tobą.

- Jak to?

- Wydałem rozkaz zatrzymania wszystkich statków znajdujących się w tej chwili w portach Jego Królewskiej Mości i tylko za specjalnym pozwoleniem można będzie podnieść kotwicę.

D'Artagnan spojrział ze zdumieniem na tego człowieka, używającego nieograniczonej władzy, jaką obdarzyło go zaufanie króla, do załatwiania swoich spraw miłosnych. Buckingham zauważył z wyrazu twarzy młodzieńca, co dzieje się w jego duszy, i uśmiechnął się.

- Tak - rzekł - tak, Anna Austriaczka jest moją prawdziwą królową; na jedno jej słowo zdradzę moją ojczyznę, mego króla, mego Boga. Poprosiła mnie, żebym nie udzielił protestantom z La Rochelle przyrzeczonej pomocy, i uczyniłem to. Nie dotrzymałem słowa, ale mało mnie to' obchodzi, skoro zaspokoilem jej pragnienie; czy nie zostałem szczerze wynagrodzony za moje posłuszeństwo, skoro mam dzięki niemu ten portret!

D'Artagnan myślał o tym, na jak wątych i tajemnych niciach zawieszono są nieraz losy narodu i życia ludzkie.

Był pogrążony w rozważaniach, kiedy wszedł złotnik. Był to Irlandczyk, jeden z najzręczniejszych w swym zawodzie; sam mawiał, że zarabia u księcia Buckinghamama sto tysięcy funtów rocznie.

- Panie O'Reilly - rzekł do niego książę prowadząc go do kaplicy – przyjrzyj się tym diamentowym spinkom i powiedz mi, ile warta jest sztuka.

Złotnik rzucił okiem na piękną robotę, obliczył wartość diamentów i rzekł bez najmniejszego wahania:

- Tysiąc pięćset pistoli każda, milordzie.

- Ilu dni trzeba na zrobienie takich dwóch spinek? Widzisz, że tu dwóch brakuje.

- Tygodnia, milordzie.

- Zapłacę po trzy tysiące pistoli za sztukę, ale muszę je mieć pojutrze.

- Milord będzie je miał.

- Jesteś nieocenionym człowiekiem, panie O'Reilly, ale to jeszcze nie wszystko: nie mogę nikomu powierzyć tych spinek, muszą być zrobione w pałacu.

- To być nie może, milordzie, tylko ja mógłbym je zrobić tak, by nie było żadnej różnicy między nowymi i starymi.

- Jakoż, mój drogi O'Reilly, jesteś moim więźniem i gdybyś chciał wyjść teraz z pałacu, nie będziesz tego mógł uczynić; pogódź się więc z losem. Powiedz mi, jacy czeladnicy są ci potrzebni i jakie narzędzia mają przynieść ze sobą.

Złotnik znał księcia i wiedział, że wszelki opór byłby bezcelowy, powziął więc decyzję od razu.

- Czy mogę uprzedzić żonę?

- O, możesz ją nawet zobaczyć, mój drogi panie O'Reilly. Twoja niewola będzie łagodna, bądź pewien; a że wszelki kłopot powinien być wynagrodzony, oto, oprócz zapłaty za spinki, kwit na tysiąc pistoli, byś zapomniał o przykrościach, których jestem sprawcą.

D'Artagnan nie mógł wyjść ze zdumienia; zadziwiał go ten minister rządzący wedle swej woli ludźmi i sypiący milionami.

Tymczasem złotnik pisał list do żony, posyłając jej kwit na tysiąc pistoli i prosząc, by przysłała mu w zamian najlepszego czeladnika i kolekcję diamentów, których wagę i wartość podawał, oraz listę potrzebnych narzędzi.

Buckingham zaprowadził złotnika do przeznaczonego dla niego pokoju, który po półgodzinie został zamieniony w pracownię. Za czym postawił wartownika przy każdych drzwiach, zabraniając wchodzić do tego pokoju komukolwiek prócz Patricka. Nie musimy dodawać, że imię O'Reilly i jego pomocnik nie mogli wyjść stamtąd pod żadnym pozorem.

Załatwiwszy tę sprawę książę wrócił do d'Artagnana.

- Teraz, mój młody przyjacielu, Anglia należy do nas: czego chcesz, czego pragniesz?

- Łóżka - odparł d'Artagnan - przyznam się, że w tej chwili najbardziej mi tego potrzeba.

Buckingham dał d'Artagnanowi pokój, który sąsiadował z jego sypialnią. Chciał mieć młodego człowieka pod ręką, nie dlatego, żeby mu nie ufał, ale by móc z nim rozmawiać o królowej.

W godzinę potem ogłoszono w Londynie zakaz wypływania dla wszystkich statków zmierzających ku brzegom Francji, w tej liczbie dla statków wiozących pocztę. Opinia publiczna uznała ten krok za początek wojny między dwoma królestwami.

W dwa dni potem, o godzinie jedenastej, dwie spinki diamentowe były gotowe, a tak dokładnie wykonane, tak doskonale podobne, że Buckingham nie mógł odróżnić starych od nowych i nawet najbardziej doświadczone oko musiałoby ulec złudzeniu.

Natychmiast kazał wezwać d'Artagnana.

- Proszę - rzekł - oto spinki diamentowe, po które przyjechałeś; jesteś świadkiem, że zrobiłem wszystko, co jest w ludzkiej mocy.

- Możesz być spokojny, milordzie, powiem, co widziałem. Wasza Wysokość włoży spinki do szkatułki?

- Szkatułka by ci tylko przeszkadzała. Zresztą szkatułka jest dla mnie tym cenniejsza, że tylko ona mi pozostaje. Powiedz, że ją zachowuję.

- Powtórzę twoje polecenie słowo w słowo, milordzie.

- A teraz - powiedział Buckingham patrząc uważnie na młodego człowieka - jakże zdołam się tobie odwdzięczyć?

D'Artagnan zaczerwienił się aż po białka oczu. Rozumiał, że książę chce mu coś ofiarować i szuka tylko stosownego sposobu, ale myśl, iż krew jego przyjaciół i jego własna ma być zapłacona angielskim złotem, była mu dziwnie wstrętne.

- Porozumiejmy się, milordzie - odparł - i zważmy najpierw fakty, by nie popełnić omyłki. Jestem w służbie króla i królowej Francji, należę do kompanii pana des Essarts, który podobnie jak jego szwagier, pan de Treville, jest szczególnie przywiązany do Ich Królewskich Mości. Co więcej, być może nie zrobiłbym tego wszystkiego, gdybym nie chciał być miły osobie, która jest damą mego serca, jak królowa jest panią twego.

- Tak - rzekł książę z uśmiechem - zdaje mi się nawet, że znam tę osobę, to...

- Milordzie, nie wymieniłem jej nazwiska - przerwał żywo młodzieniec.

- To prawda - rzekł książę - więc tej osobie winien jestem wdzięczność za tve oddanie.

- W istocie, milordzie, bo właśnie teraz, kiedy jest mowa o wojnie, muszę wyznać, że widzę w Waszej Wysokości tylko Anglika, a więc nieprzyjaciela, którego wolałbym spotkać na polu bitwy niż

w windsorskim parku czy na korytarzach Luwru; co zresztą nie przeszkodzi wykonać mi z największą dokładnością zadania, a nawet zginąć, gdyby zaszła tego potrzeba; ale powtarzam Waszej Wysokości, że osobiście nie masz powodu być mi bardziej wdzięczny teraz niż przy naszym pierwszym spotkaniu.

- Mówimy: „Dumny jak Szkot” - mruknął Buckingham.

- A my mówimy: „Dumny jak Gaskończyk” - odparł d'Artagnan. - Gaskończycy to Szkoci Francji.

Skłonił się księciu i ruszył ku wyjściu.

- Cóż, odchodzisz? Jak? Dokąd?

- Prawda, zapomniałem.

- Tam do kata! Francuzi nie boją się niczego.

- Zapomniałem, że Anglia jest wyspą, a Wasza Wysokość jej królem.

- Idź do portu, zapytaj o dwumasztowiec „Sund” i oddaj ten list kapitanowi: zawiezie cię do małego portu, gdzie nikt się ciebie nie spodziewa i gdzie zazwyczaj zatrzymują się jedynie statki rybackie.

- Jak się ten port nazywa?

- Saint-Valery; ale poczekaj: gdy się tam znajdziesz, udaj się do podłej oberży bez nazwy i szyldu, prawdziwego zajazdu dla marynarzy; nie możesz się omylić, oberża jest tam tylko jedna.

- Co potem?

- Zawołasz oberżystę i powiesz mu: Forward.

- Co to znaczy?

- Naprzód. To hasło. Da ci konia osiodłanego i gotowego do drogi i wskaże, jak masz jechać. Tym sposobem znajdziesz cztery postoje na swej drodze. Jeśli zechcesz dać każdemu oberżystę swój adres w Paryżu, wszystkie cztery konie znajdą się u ciebie; znasz już dwa z nich i zdaje się, że oceniłeś je okiem znawcy: to te, na których jechaliśmy; wierzaj mi, inne nie są ani trochę gorsze. Te cztery konie są wyekwipowane do wyprawy wojennej. Choć jesteś dumny, nie odmówisz mi, weźmiesz jednego z nich i skłonisz twych przyjaciół, by przyjęli trzy inne: zresztą bierzesz je na wojnę z nami. Cel uświęca środki, jak powiadają Francuzi, prawda?

- Tak, milordzie, przyjmuję - rzekł d'Artagnan - i jeśli Bóg da, zrobimy dobry użytek z twych darów.

- A teraz podaj mi rękę, młodzieńcze; może spotkamy się wkrótce na polu walki; ale na razie

pożegnajmy się jak przyjaciele.

- Tak, milordzie, w nadziei, że wkrótce zostaniemy wrogami.

- Bądź spokojny, przyrzekam ci.

- Liczę na ciebie, milordzie.

D'Artagnan pożegnał księcia i szybko ruszył do portu.

Naprzeciw Tower znalazł oznaczony statek, przekazał list kapitanowi, który poświadczył go u zarządcy portu, za czym odbił natychmiast od portu.

Pięćdziesiąt statków gotowych do odjazdu czekało w porcie. Gdy d'Artagnan mijał jeden z nich, wydało mu się, że rozpoznaje damę z Meung, tę samą, którą nieznajomy szlachcic nazywał Milady i która wydała się d'Artagnanowi tak piękna; ale statek płynął z prądem rzeki, wiatr był pomyślny i po chwili młodzieniec stracił ją z oczu.

Nazajutrz około dziewiątej rano wylądował w Saint-Valery.

D'Artagnan skierował się natychmiast do wskazanej przez księcia oberży, rozpoznał ją po krzykach, które stamtąd dobiegały: mówiono o wojnie między Anglią i Francją jako o fakcie bardzo bliskim i niewątpliwym i weseli marynarze bawili się ochoczo.

D'Artagnan przebił się przez tłum, zbliżył do oberżysty i powiedział: Forward.

Oberżysta natychmiast dał mu znak, by ruszył za nim, wyszedł tylnymi drzwiami na podwórze, zaprowadził d'Artagnana do stajni, gdzie czekał na niego osiodłany koń, i zapytał podróżnego, czy życzy sobie czegoś jeszcze.

- Chciałbym wiedzieć, jaką drogą mam jechać.

- Jedź, panie, do Blangy, a z Blangy do Neufchatel. Tam udaj się do oberży „Pod Złotą Broną”, powiedz hasło oberżyście, a znajdziesz, jak tu, konia gotowego do podróży.

- Co jestem ci winien? - zapytał d'Artagnan.

- Wszystko jest zapłacone, i to szczerze. Jedź pan zatem i niech cię Bóg prowadzi!

- Amen! - odparł młody człowiek ruszając galopem.

W cztery godziny potem był w Neufchatel.

Trzymał się ściśle otrzymanych wskazówek; w Neufchatel, jak w Saint-Valery, znalazł czekającego nań konia; kiedy chciał przenieść swoje pistolety na siodło nowego wierzchowca, zauważył, że w olstrach jest broń.

- Pana adres w Paryżu?

- Pałac gwardii, kompania pana des Essarts.

- Dobrze - rzekł oberżysta.

- Jaką drogą mam jechać? - zapytał z kolei d'Artagnan.

- Na Rouen, ale niech pan zostawi miasto po prawej stronie. Zatrzyma się pan w miasteczku Ecouis, gdzie jest tylko jedna oberża, „Pod Francuskim Talarem”. Nie sądź jej z wyglądu: w stajni będzie czekać na ciebie koń nie gorszy od tego.

- To samo hasło?

- Tak jest.

- Do widzenia, panie gospodarzu!

- Szczęśliwej podróży, szlachetny panie! Czy trzeba ci czegoś?

D'Artagnan dał znak głową, że nie, i ruszył naprzód. W Ecouis powtórzyła się ta sama scena: znalazł oberżystę równie uprzejmego, konia świeżego i wypoczętego; zostawił swój adres jak poprzednio i z równą szybkością pogalopował do Pontoise. W Pontoise po raz ostatni zmienił konia i o dziewiątej wjechał galopem na dziedziniec pałacu pana de Treville.

Zrobił prawie sześćdziesiąt mil w dwanaście godzin.

Pan de Treville przyjął go, jak gdyby się rozstali przed chwilą; uścisnął mu tylko rękę serdeczniej niż zazwyczaj i powiedział, że kompania pana des Essarts pełni dziś służbę w Luwrze i d'Artagnan może się udać na posterunek.

XXII.

BALET MERLAISON

Następnego dnia w całym Paryżu mówiono tylko o balu, który panowie ławnicy wydawali na cześć króla i królowej. Ich Królewskie Mości miały wziąć udział w sławnym balecie Meriaison, ulubionym tańcu króla.

Od tygodnia przygotowywano się w ratuszu do tego uroczystego wieczoru. Stolarz miejski zbudował estrady dla zaproszonych dam; korzennik miejski ozdobił salę dwustu świecami z białego wosku, co było niezwykłym zbytkiem w owych czasach; wreszcie zamówiono dwudziestu muzykantów płacąc im dwa razy tyle co zazwyczaj, pod warunkiem, że będą grali przez całą noc.

O dziesiątej rano pan de La Coste, chorąży gwardii królewskiej, w towarzystwie dwóch oficerów i oddziału łuczników, zażądał od pisarza miejskiego nazwiskiem Clement wszystkich kluczy od drzwi, pokojów i gabinetów ratusza.

Klucze wręczono mu natychmiast; do każdego z nich była przyczepiona karteczka, objaśniająca, do jakich drzwi pasują, za czym pan de La Coste objął straż nad wszystkimi drzwiami i wejściami do ratusza.

O jedenastej przybył pan Duhallier, kapitan gwardii, z pięćdziesięciu łucznikami, którzy rozbiegli się natychmiast po pałacu, zajmując wyznaczone im miejsca przy drzwiach.

O trzeciej przybyły dwie kompanie gwardii, jedna francuska, druga szwajcarska. Kompania francuska w połowie składała się z ludzi pana Duhallier, w połowie z ludzi pana des Essarts.

O szóstej zaczęli przybywać pierwsi goście. W miarę jak wchodzili, zajmowali miejsca w wielkiej sali na przygotowanych estradach.

O dziewiątej przybyła małżonka burmistrza miasta. Ponieważ po królowej była drugą damą balu, została przyjęta przez panów radnych i wprowadzona do łoży znajdującej się naprzeciw łoży królowej.

O dziesiątej, w małej sali od strony kościoła Świętego Jana, naprzeciw srebrnego kredensu miejskiego, strzeżonego przez czterech łuczników, przygotowano dla króla lekką kolację złożoną ze słodyczy.

O północy usłyszano głośnie okrzyki i wiwaty: to król jechał z Luwru do ratusza ulicami, które oświetlały kolorowe latarnie.

Natychmiast panowie ławnicy odziani w sukienne stroje, poprzedzani przez sześciu sierżantów, z których każdy trzymał w dłoni pochodnię, wyszli na spotkanie króla, wstępującego na schody. Starszy cechu kupców dziękował Jego Królewskiej Mości za przybycie, Najjaśniejszy Pan zaś przeproszał za spóźnienie, zrzucając winę na pana kardynała, który zatrzymał go do jedenastej w sprawach państwowych.

Jego Królewska Mość był w uroczystym stroju, a towarzyszyli mu brat królewski, hrabia de Soissons, wielki jałmużnik, książę de Longueville, książę d'Elbeuf, hrabia d'Harcourt, hrabia de Roche-Guyon, pan de Liancourt, pan de Baradas, hrabia de Cramail i kawaler de Souveray.

Wszyscy zauważyli, że król miał twarz smutną i zatroskaną.

Dla króla, podobnie jak dla brata królewskiego, urządzono specjalne gotowalnie, gdzie znajdowały się stroje i maski. Takie same gotowalnie czekały na królową i małżonkę burmistrza. Panowie i damy ze świty Ich Królewskich Mości mieli się przebierać po dwie osoby w przygotowanych w tym celu pokojach.

Król wchodząc do gotowalni polecił, by powiadomiono go natychmiast o przybyciu kardynała.

W pół godziny po zjawieniu się króla okrzyki rozległy się na nowo: to jechała królowa. Znów ławnicy, poprzedzani przez sierżantów, pośpieszyli na spotkanie dostojnej pani.

Królowa weszła do sali: zauważono, że podobnie jak król twarz miała smutną i zmęczoną.

W chwili gdy wchodziła, rozsunęła się zasłona małej trybuny, zakrytej dotychczas, i ujrzano bladą twarz kardynała przebranego w strój kawalera hiszpańskiego. Oczy Jego Eminencji napotkały wzrok królowej i uśmiech straszliwej radości pojawił się na jego ustach; królowa nie miała diamentowych spinek.

Królowa przez chwilę przyjmowała powitania rajców miejskich i odpowiadała na ukłony dam.

Nagle król wraz z kardynałem pojawił się w drzwiach sali. Kardynał mówił do niego cicho i król był bardzo blady.

Król przeszedł przez tłum bez maski, z niedbale przywiązаныmi wstążkami przy kaftanie, zbliżył się do królowej i rzekł zmienionym głosem:

- Pani, dlaczego nie włożyłaś spinek diamentowych, skoro wiedziałaś, że widok ich sprawiłby, mi przyjemność?

Królowa rozejrzała się wokół i zobaczyła kardynała, który uśmiechał się diabelskim uśmiechem.

- Najjaśniejszy Panie - odparła królowa nieswoim głosem - obawiałam się, że w tłumie mogę je zgubić.

- Niesłusznie! Podarowałem ci te spinki, abyś je nosiła. Powtarzam, że postąpiłaś niewłaściwie.

Głos króla drżał z gniewu, obecni patrzyli i słuchali ze zdumieniem, nie rozumiejąc, co się dzieje.

- Najjaśniejszy Panie - rzekła królowa - mogę po nie posłać do Luwru i życzenie Waszej Królewskiej Mości zostanie spełnione.

- Zrób to, pani, zrób jak najszybciej: za godzinę balet się rozpocznie.

Królowa skłoniła się na znak posłuszeństwa i poszła z damami do swej gotowalni.

Król udał się do swojej.

Na sali panował przez chwilę niepokój i pomieszenie.

Obecni mogli zauważyć, że coś zaszło między królem i królową; ale oboje mówili cicho, szacunek zaś nakazywał oddalić się o kilka kroków, tak że nikt nic nie usłyszał. Muzykanci grali ile sił, nie zwracano jednak na nich uwagi.

Król wyszedł pierwszy ze swego gabinetu; miał na sobie wykwintny strój do polowania, brat królewski i inni panowie byli ubrani tak samo. W tym stroju Ludwikowi XIII było najbardziej do twarzy i nikt nie wyglądał wytworniej od niego.

Kardynał zbliżył się do króla i podał mu pudełko. Król otworzył je i znalazł dwie spinki diamentowe.

- Co to ma znaczyć? - zapytał kardynała.

- Nic - odparł kardynał - jeśli jednak królowa pojawi się w spinkach, w co śmiem wątpić, policz je, Najjaśniejszy Panie, a gdy zauważysz ich tylko dziesięć, zapytaj Jej Królewską Mość, kto mógł jej zabrać dwie, które się tu znajdują.

Król spojrzał pytająco na kardynała, ale nie miał czasu na zadanie pytania: okrzyk zachwyty wydarł się ze wszystkich ust. Jeśli król wyglądał wytwornie, królowa była na pewno najpiękniejszą kobietą Francji.

Strój myśliwski, który nosiła, bardzo podnosił jej urodę: miała pilśniowy kapelusz z błękitnymi piórami, aksamitny kubraczek perłowej barwy spięty diamentowymi agrafami i spódnicę z błękitnego atlasu, całą zahartowaną srebrem. Na jej lewym ramieniu migotały spinki podtrzymywane kokardą tej samej barwy co pióra i spódnica.

Król zadrzał z radości, kardynał z gniewu; ponieważ jednak byli daleko od królowej, nie mogli policzyć spinek: królowa miała je na sobie, ale czy było ich dziesięć czy dwanaście?

W tej chwili muzykanci dali hasło rozpoczęcia balu. Król zbliżył się do małżonki burmistrza, z którą miał tańczyć, brat królewski do królowej. Wszyscy stanęli na miejscach i rozpoczęli się balet.

Król tańczył naprzeciw królowej i za każdym razem, gdy przechodził obok niej, pożerał spojrzeniem spinki, których nie mógł porachować. Zimny pot wystąpił na czoło kardynała.

Balet trwał godzinę, miał szesnaście figur.

Kiedy balet się skończył, tancerze wśród oklasków całej sali odprowadzali swe damy na miejsca; król skorzystał z przywileju, który pozwalał mu opuścić swoją damę, i zbliżył się szybko do królowej.

- Dziękuję ci, pani - rzekł - że zechciałaś spełnić moje życzenie, ale zdaje mi się, że brak ci dwóch spinek, właśnie ci je przynoszę.

Mówiąc te słowa podał królowej dwie spinki, które otrzymał od kardynała.

- Jak to, Najjaśniejszy Panie! - zawołała młoda królowa udając zdziwienie - dajesz mi dwie jeszcze, będę więc teraz miała czternaście!

Król obliczył: na ramieniu Jej Królewskiej Mości znajdowało się dwanaście spinek.

Król wezwał kardynała.

- Co to ma znaczyć, panie kardynale? - zapytał surowym tonem.

- To znaczy, Najjaśniejszy Panie - odparł kardynał - że pragnąłem ofiarować te dwie spinki Jej Królewskiej Mości i nie mając odwagi sam tego uczynić, użyłem fortelu.

- Jestem bardzo wdzięczna Waszej Eminencji - odparła Anna Austriaczka z uśmiechem, który dowodził, że nie dała się zwieść tej przemyślnej galanterii - wiem bowiem, iż te dwie spinki kosztowały cię równie drogo, jak dwanaście pozostałych Jego Królewską Mość.

Za czym skłoniwszy się królowi i kardynałowi, królowa udała się do gotowalni, gdzie miała się przebrać.

Uwaga, jaką musieliśmy na początku tego rozdziału poświęcić wprowadzonym przez nas sławnym osobistościom, odsunęła nas na chwilę od owego młodzieńca, któremu Anna Austriaczka zawdzięczała wspaniały triumf odniesiony nad kardynałem; nie znany nikomu, stojąc wśród tłumu przy drzwiach, patrzył na tę scenę zrozumiałą jedynie dla czterech osób: króla, królowej, kardynała i jego samego.

Królowa była już w swym pokoju i d'Artagnan miał zamiar odejść, kiedy poczuł, że ktoś lekko dotyka jego ramienia. Odwrócił się i ujrzał młodą kobietę, która dała mu znak, by szedł za nią. Dama miała twarz osłoniętą maską z czarnego aksamitu, ale mimo to poznał natychmiast swoją przewodniczkę,

lekką i uroczą panią Bonacieux.

Poprzedniego dnia widzieli się przez chwilę u szwajcara Germania, dokąd d'Artagnan ją wywołał. Młodej kobiecie było tak spieszo zanieść królowej pomyslną nowinę o szczęśliwym powrocie wysłańca, że kochankowie zamienili zaledwie kilka słów. D'Artagnan poszedł więc za panią Bonacieux, poruszony dwoma uczuciami: miłością i ciekawością. W miarę jak korytarze coraz bardziej pustoszały, d'Artagnan nabierał ochoty, by zatrzymać młodą kobietę, objąć ją, popatrzeć na nią choćby przez chwilę; ale lekka jak ptak wciąż wyslizgiwała mu się z rąk, a kiedy chciał mówić, kładła palec na ustach gestem rozkazującym, a pełnym wdzięku, przypominając mu, że jest we władzy potęgi, której musi być ślepo posłuszny i która nie dopuszcza nawet najlżejsze j skargi; wreszcie, po dwu minutach drogi krętymi korytarzami, pani Bonacieux otworzyła drzwi i wprowadziła młodzieńca do zupełnie ciemnego gabinetu. Tu dała mu znów znak, żeby był cicho, i znikła otwierając drugie drzwi obite tkaniną, przez które wdarło się nagle jaskrawe światło.

D'Artagnan stał przez chwilę bez ruchu, nie wiedząc, gdzie jest, ale wkrótce promień światła przenikający do pokoju, powietrze ciepłe i wonne, głosy kilku kobiet mówiących w sposób wykwinny a pełen szacunku, wreszcie zwrot:

„Wasza Królewska Mość” powtarzany wielokrotnie, pozwolił mu zrozumieć, że znajduje się w gabinecie przylegającym do pokoju królowej.

Młodzieniec stał w cieniu i czekał. Królowa wydawała się wesoła i szczęśliwa, co wielce zdumiewało osoby z jej otoczenia, przywykły ją bowiem widzieć zatroskaną.

Królowa objaśniała swą radość urokami zabawy, przyjemnością, jaką jej sprawił balet, a że nie można inaczej myśleć niż królowa, czy śmieje się, czy płacze, wychwalano galanterię panów ławników miasta Paryża.

Chociaż d'Artagnan nie znał królowej, wkrótce odróżnił jej głos od innych, przede wszystkim dzięki lekkiemu akcentowi cudzoziemskiemu, a także dzięki owej wyniosłości tonu, która przebija w mowie osób nawykłych do rozkazywania. Słyszał, jak zbliża się i oddala od otwartych drzwi, i kilka razy cień jej postaci przysłonił światło.

Wreszcie ręka cudownej piękności, olśniewająco biała, wysunęła się nagle przez tkaninę; d'Artagnan zrozumiał, że to właśnie jest jego nagroda: ukląkł, ujął tę rękę i z szacunkiem ją ucałował; ręka

cofnęła się zostawiając w jego dłoni jakiś przedmiot, który okazał się pierścionkiem, po czym drzwi się zamknęły i d'Artagnan znów został w zupełnych ciemnościach.

D'Artagnan włożył pierścień na palec i czekał dalej; było jasne, że to nie wszystko jeszcze. Po nagrodzie za jego oddanie przyjdzie nagroda za miłość.

Zresztą choć balet został już odtąńczony, bal dopiero się zaczął: kolacja miała być o trzeciej, a zegar u Świętego Jana wydzwonił niedawno godzinę drugą czterdzieści pięć.

Hałas głosów w sąsiednim pokoju cichł powoli, potem głosy oddaliły się, wreszcie otwarły się drzwi gabinetu, w którym znajdował się d'Artagnan, i wyszła pani Bonacieux.

- Nareszcie! - zawołał d'Artagnan.

- Cicho! - rzekła młoda kobieta kładąc rękę na ustach młodzieńca - cicho! Wyjdź tą drogą, którą przyszedłeś.

- A kiedy panią zobaczę? - zawołał d'Artagnan.

- Dowiesz się z biletu, który znajdziesz w domu. Idź, idź!

Mówiąc te słowa otworzyła drzwi na korytarz i pchnęła d'Artagnana. D'Artagnan usłuchał jak dziecko, bez oporu i najmniejszego sprzeciwu, co dowodzi, że był rzeczywiście bardzo zakochany.

XXIII.

SCHADZKA

D'Artagnan pobiegł do domu i choć była trzecia nad ranem, a miał do przebycia niebezpieczne dzielnice Paryża, nie przytrafiło mu się nic złego. Jak wiadomo, jest Bóg, co czuwa nad pijakami i zakochanymi.

Furtka była uchylona; wszedł na schody i lekko zapukał, jak było umówione między nim a jego służącym. Planchet, którego wysłał przed dwiema godzinami z ratusza, polecając, by na niego czekał, otworzył mu drzwi.

- Czy ktoś przyniósł list dla mnie? - zapytał żywo d'Artagnan.

- Nikt nie przyniósł listu, panie - odparł Planchet - ale jest tu list, który zjawił się sam.

- Co chcesz powiedzieć, głupcze?

- Chcę powiedzieć, że kiedy wróciłem do domu, choć miałem klucz od mieszkania w kieszeni i nie rozstawałem się z nim ani na chwilę, znalazłem list na stole w pańskiej sypialni, na zielonej tkaninie.

- A gdzie jest ten list?

- Zostawiłem go tam, gdzie był, panie. To nie jest normalne, żeby tym sposobem przychodziły do ludzi. Gdyby okno było otwarte lub uchylone, zrozumiałbym jeszcze, ale nie, wszystko było szczelnie zamknięte. Niech pan uważa, proszę pana, to na pewno jakieś czary.

Młodzieniec pobiegł do sypialni i otworzył list; był on od pani Bonacieux i brzmiał następująco:

„Chciałabym złożyć Panu podziękowanie we własnym imieniu i innej jeszcze osoby. Bądź dziś wieczór o dziesiątej w Saint-Cloud, naprzeciw pawilonu, wznoszącego się za węglem domu pana d'Estrees. K.B.”

Czytając te słowa d'Artagnan czuł, jak wzbiera w nim rozkoszny dreszcz, który dręczy i pieści serca kochanków.

Był to pierwszy liścik miłosny, jaki otrzymał w życiu, pierwsza wyznaczona schadzka. Serce jego pijane radością odmówiło mu niemal posłuszeństwa u progu rajy ziemskiego, który nazywa się miłością.

- A zatem, panie - rzekł Planchet, który widział, jak jego pan czerwienieje i blednie na przemian - czy nie odgadłem, że to jakaś kiepska sprawa?

- Mylisz się Planchet - odparł d'Artagnan - a na dowód masz talara, żebyś wypił za moje zdrowie.

- Dziękuję panu za talara i przyobiecuję, że nie omieszkam spełnić polecenia, jest wszakże prawdą, że listy, które dostają się tym sposobem do zamkniętych domów...

- Spadają z nieba, mój przyjacielu, spadają z nieba.

- Więc pan jest zadowolony? - zapytał Planchet.

- Mój drogi Planchet, jestem najszczęśliwszym z ludzi.

- Czy mógłbym skorzystać z pańskiego szczęścia i pójść spać?

- Tak, idź.

- Niechaj Bóg pana błogosławi, jednakże ten list...

Planchet wyszedł potrząsając głową z powątpiewaniem, którego nie mogła nawet rozproszyć hojność d'Artagnana.

Gdy d'Artagnan został sam, kilkakrotnie przeczytał list i ucałował ze dwadzieścia razy słowa skreślone ręką pięknej kochanki. Wreszcie położył się, zasnął i miał różowe sny.

O siódmej rano wstał i zawołał Plancheta, który na powtórne wezwanie otworzył drzwi; na twarzy jego malował się wciąż jeszcze niepokój.

- Planchet - rzekł d'Artagnan - wychodzę na cały dzień, jesteś zatem wolny do siódmej wieczór; ale o siódmej bądź gotów i osiodłaj dwa konie.

- Proszę bardzo - rzekł Planchet - wydaje mi się, że znowu wygarbują nam skórę!
- Weźmiesz swoje pistolety i muszkiet.
- No i co, czy nie mówiłem? - zawołał Planchet. - Byłem tego pewien. Przeklęty list!
- Nie bój się, głupcze, to tylko wycieczka.
- Właśnie, jak kiedyś, kiedy kule spadały na nas jak deszcz, a wszędzie na drodze wyrastały pułapki.
- Zresztą, jeśli się boisz, panie Planchet - podjął d'Artagnan - pojedę sam. Wolę to, niż mieć u swego boku towarzysza, który drży ze strachu.
- Pan mnie obraża - rzekł Planchet - zdaje się jednak, że widział mnie pan w potrzebie.
- Tak, ale myślę, że zużyłeś swą odwagę za jednym razem.
- Zobaczy pan, że przy okazji odwagi mi nie zabraknie; proszę jednak, by pan nią zbytnio nie szafował, jeśli pan chce, żeby pozostała mi na jakiś czas.
- Czy sądzisz, że nie zawiedzie cię dziś wieczór?
- Mam nadzieję.
- Dobrze, liczę na ciebie.
- Będę gotów o wyznaczonej godzinie, zdawało mi się jednak, że pan ma tylko jednego konia w stajni gwardyjskiej.
- Może na razie tylko jednego, ale dziś wieczór będzie ich cztery.
- Wygląda na to, że nasza podróż wzbogaciła nam stajnię?
- Właśnie - odparł d'Artagnan.

Pożegnał Plancheta i wyszedł.

Przy bramie stał pan Bonadeux. D'Artagnan miał zamiar minąć zacnego kramarza nie mówiąc słowa; ale pan Bonadeux ukłonił mu się tak słodko i czule, że lokator nie tylko musiał mu odpowiedzieć tym samym, ale jeszcze nawiązać z nim rozmowę.

Jakże zresztą nie mieć odrobiny pobłażania dla męża, którego żona wyznaczyła ci tego jeszcze wieczora schadzkę w Saint-Cloud, naprzeciw pawilonu pana d'Estrees! D'Artagnan zbliżył się z

najuprzejmiejszą w świecie miną.

Rozmowa zesłała od razu na uwięzienie biedaka. Pan Bonadeux, nie podejrzewając, że d'Artagnan słyszał jego rozmowę z nieznajomym z Meung, opowiedział swemu młodemu lokatorowi o prześladowaniach, jakie zniósł za sprawą tego potwora, pana de Laffemas, którego wciąż nazywał katem w służbie u kardynała, i długo rozprawiał o Bastylji, o ryglach, okienkach, judaszach, kratkach i narzędziach tortur.

D'Artagnan słuchał go z godną naśladowania uprzejmością, a gdy kramarz skończył, powiedział:

- A czy wie pan, kto porwał panią Bonadeux? Pamiętam bowiem, że temu przykreemu zdarzeniu zawdzięczam zaszczyt poznania pana.

- Ach - rzekł Bonadeux - nie pisnęli na ten temat słowa, a moja żona ze swej strony przysięgała na wszystkie świętości, że też nic nie wie. Ale pan sam – dodał pan Bonadeux z niezwykłą dobroduszością - co się z panem działo przez ten czas? Nie widziałem ani pana, ani pańskich przyjaciół i nie sądzę, żeby na paryskim bruku zebrał pan ten cały kurz, z którego Planchet czyścił wczoraj pańskie buty.

- Słusznie mówisz, drogi panie Bonadeux, wybraliśmy się wraz z przyjaciółmi w niewielką podróż.

- Daleko stąd?

- Ależ nie, jakie czterdzieści mil: odprowadzaliśmy pana Atosa do wód w Forges, gdzie moi przyjaciele pozostali.

- A pan powrócił, prawda? - podjął pan Bonadeux z najbardziej złośliwym wyrazem twarzy. - Taki piękny chłopiec jak pan nie dostanie od kochanki zwolnienia na długo, czekano na nas niecierpliwie w Paryżu, co?

- Na honor - rzekł śmiejąc się młody człowiek - muszę się do tego przyznać, kochany panie Bonadeux, tym bardziej że, jak widzę, nic się przed panem nie ukryje. Tak, czekano na mnie bardzo niecierpliwie, zapewniam pana.

Chmurka przemknęła po czole pana Bonadeux, ale tak lekka, że d'Artagnan jej nie zauważył.

- I zostaniemy sownie wynagrodzeni za nasz pośpiech? - ciągnął kramarz lekko zmienionym głosem, czego d'Artagnan nie dostrzegł, tak samo jak zmiany wyrazu jego twarzy.

- Ach, abyś był dobrym prorokiem! - rzekł śmiejąc się d'Artagnan.

- Jeśli to panu mówię - rzekł Bonadeux - to tylko po to, by dowiedzieć się, czy późno pan wróci.

- Czemu zawdzięczam to pytanie, drogi gospodarzu? - zapytał d'Artagnan. - Czy chcesz na mnie

czekać?

- Nie, mówię to tylko dlatego, że od czasu mego aresztowania i kradzieży w domu ogarnia mnie lęk za każdym razem, kiedy słyszę, że ktoś otwiera bramę, zwłaszcza nocą. Do licha, czegoż pan chce! Nie jestem przecież wojakiem!

- Nie przerażaj się więc, jeśli powrócę o pierwszej, drugiej lub trzeciej nad ranem; bądź też spokojny, jeśli nie wrócę wcale.

Tym razem Bonadeux zbladł tak mocno, że d'Artagnan nie mógł tego nie zauważyć i zapytał, co mu jest.

- Nic - odparł Bonadeux - nic. Po tych strasznych przejściach czuję się chwilami słabo; teraz właśnie poczułem dreszcze. Nie zwracaj, panie, na to uwagi; ty przecież możesz myśleć tylko o swoim szczęściu.

- Mam więc o czym myśleć, bo jestem szczęśliwy.

- Jeszcze nie, niech pan poczeka, powiedział pan, że dziś wieczorem.

- Ten wieczór przecież nadejdzie, Bogu dzięki. Może czekasz nań równie niecierpliwie jak ja. Może pani Bonadeux zjawi się dziś wieczorem w domu.

- Pani Bonacieux jest dziś zajęta - rzekł z powagą mąż - obowiązki zatrzymują ją w Luwrze.

- Tym gorzej dla ciebie, drogi gospodarzu, tym gorzej; kiedy jestem szczęśliwy, pragnę, aby wszyscy byli również szczęśliwi, ale zdaje się, że jest to niemożliwe.

I młody człowiek odszedł śmiejąc się głośno z żartu, który jak sądził, sam tylko mógł zrozumieć.

- Wesołej zabawy! - odparł Bonadeux grobowym tonem.

Ale d'Artagnan zbyt już się oddalił, żeby usłyszeć, a nawet gdyby usłyszał, nic by nie zauważył, tak radośnie był usposobiony.

Ruszył ku pałacowi pana de Treville; jak pamiętamy, jego wczorajsza wizyta była bardzo krótka i niewiele wyjaśniła.

Zastał pana de Treville w różowym humorze. Król i królowa byli dla niego nader mili na balu, choć kardynał nie okazał mu wielkiej przychylności.

O pierwszej nad ranem wyszedł pod pretekstem, że niedobrze się czuje, natomiast Ich Królewskie

Mości wróciły do Luwru dopiero o szóstej.

- Teraz - rzekł pan de Treville zniżając głos i rozglądając się na wszystkie strony, by się upewnić, że nikt ich nie słyszy - teraz porozmawiajmy o tobie, mój młody przyjacielu, nie ulega bowiem wątpliwości, że twój szczęśliwy powrót przyczynił się do dobrego humoru króla, triumfu królowej i upokorzenia Jego Eminencji. Musisz się więc mieć na baczności.

- Czegóż mógłbym się obawiać - odparł d'Artagnan - jeśli będę się cieszył łaskami Ich Królewskich Mości?

- Wszystkiego, możesz mi wierzyć. Kardynał nie jest człowiekiem, który by zapomniał, że wyprowadzono go w pole, dopóki nie załatwi rachunków z winowajcą, a zdaje mi się, że tym razem winowajcą jest pewien mój znajomy Gaskończyk.

- Czy sądzisz, kapitanie, że kardynał wie nawet, że byłem w Londynie?

- Do licha! Byłeś w Londynie. Czy to z Londynu przywiozłeś ten piękny diament, który migoce na twym palcu? Uważaj, mój drogi d'Artagnanie, podarek od nieprzyjaciela nie wróży nic dobrego. Czy znasz przysłowie łacińskie... Zaczekaj no...

- Tak, oczywiście - odparł d'Artagnan, który nigdy nie potrafił wbić sobie do głowy najprostszych reguł tego języka i ta niewiedza doprowadzała do rozpaczy jego preceptora - tak, na pewno jest takie.

- Tak, tak - rzekł pan de Treville, który miał słabość do literatury - pan de Benserade cytował mi je pewnego dnia. Poczekaj no... Otóż to, przypomniałem sobie: „Timeo Danaos et dona ferentes”. Co znaczy: „Miej się na baczności przed nieprzyjacielem składającym ci dary”.

- Ten diament nie pochodzi od nieprzyjaciela, panie - podjął d'Artagnan - ale od królowej j.

- Od królowej! Ho, ho, ho! -zawołał pan de Treville.-W samej rzeczy, jest to zaiste klejnot królewski, wart tysiąc pistołów, jak jeden grosz. Przez kogo przesłała ci królowa ten prezent?

- Dała mi go sama.

- Gdzie?

- W gabinecie przylegającym do pokoju, gdzie zmieniała strój.

- Jakże to?

- Podała mi rękę do ucałowania.

- Ucałowałaś rękę królowej! - zawołał pan de Treville patrząc na d'Artagnana.

- Jej Królewska Mość zechciała mi udzielić tej łaski.

- W obecności świadków? Nierozważna, po trzykroć nierozważna!

- Nie, panie, niech pan będzie spokojny, nikt nie widział.

I opowiedział panu de Treville, jak rzeczy się miały.

- Och, kobiety, kobiety! - zawołał stary żołnierz - poznaję ich romantyczną wyobraźnię, wszystko, co pachnie tajemnicą, urzeka je; widziałeś rękę, nic więcej; spotkasz królową i nie rozpoznasz jej, ona spotkawszy cię nie będzie wiedziała, kim jesteś.

- Nie, ale dzięki temu diamentowi... - rzekł młody człowiek.

- Posłuchaj - rzekł pan de Treville - czy chcesz, żebym ci dał radę, dobrą radę, radę przyjacielską?

- Wyświadczy mi pan zaszczyt - odpowiedział d'Artagnan.

- Dobrze. Udaj się do pierwszego lepszego złotnika i sprzedaj mu ten diament za cenę, którą ci ofiaruje; gdyby nawet był najbardziej skąpy, dostaniesz i tak osiemset pistoli. Pistole nie mają imienia, a ten pierścień ma imię straszne, mogące zdradzić tego, kto go nosi.

- Sprzedać ten pierścień! Pierścień pochodzący od mojej królowej! Nigdy! - zawołał d'Artagnan.

- W takim razie odwróć kamień do środka, biedny szaleńcze, wiadomo bowiem, że młokos z Gaskonii nie znajduje takich klejnotów w szkatułce swej matki.

- Sądzisz pan zatem, że mam powody do obaw? - zapytał d'Artagnan.

- Mój chłopcze, człowiek zasypiający na minie z zapalonym lontem może się uważać za bezpiecznego w porównaniu z tobą.

- Do diabła - rzekł d'Artagnan, którego ton pana de Treville zaczął niepokoić - do diabła, co robić?

- Mieć się na baczności zawsze i przed wszystkim. Kardynał ma wyborną pamięć i jest mściwy; możesz mi wierzyć, że wypłata ci jeszcze jakiegoś figla.

- Ale jakiego?

- Ba, czyż ja to mogę wiedzieć? Czy nie ma na usługach wszystkich forteli szatana? Co najmniej możesz się spodziewać, że cię aresztują.

- Jak to! Ośmielono by się aresztować człowieka będącego w służbie Jego Królewskiej Mości?

- Tam do kata, bardzo liczono się z Atosem! W każdym razie, chłopcze, wierzej człowiekowi, który od trzydziestu lat jest przy dworze: uważaj, inaczej jesteś zgubiony. Powiadam ci, dopatruj się wszędzie nieprzyjaciół. Jeśli ktoś szuka z tobą zwady, unikaj jej, nawet gdyby to było dziesięcioletnie dziecko; jeśli napadną cię w dzień lub w nocy, zmykaj bez najmniejszego wstydu; jeśli przechodzisz przez most, uważaj, żeby jakaś deska nie usunęła ci się spod nóg; jeśli mijasz budowany dom, patrz w górę, żeby kamień nie spadł ci na głowę; jeśli wracasz późno, niechaj idzie za tobą twój służący i niech będzie dobrze uzbrojony, o ile w ogóle możesz ufać swemu służącemu. Nie dowierzaj nikomu: ni przyjacielowi, ni rodzonemu bratu, a kochance przede wszystkim.

D'Artagnan spłonął rumieńcem.

- Kochance - powtórzył machinalnie - dlaczego jej właśnie?

- Ponieważ kochanką posługuje się kardynał najchętniej i najbardziej skutecznie: kobieta sprzeda cię za dziesięć pistoli, przykładem Dalila. Znasz Pismo Święte, hę?

D'Artagnan pomyślał o spotkaniu wyznaczonym przez panią Bonacieux na dzisiejszy wieczór; ale musimy powiedzieć na pochwałę naszego bohatera, że niepochlebny sąd pana de Trésville o kobietach w ogóle, nie natchnął go najmniejszym podejrzeniem wobec uroczej kramarki.

- Ale powiedz no - podjął pan de Treville - co się stało z twymi trzema towarzyszami?

- Chciałem właśnie pana zapytać, czy nie masz od nich jakichś wiadomości.

- Żadnych.

- Pozostawiłem ich w drodze: Portosa w Chantiny z pojedynkiem na karku; Aramis w Crevecoeur z kulą w ramieniu; Atosa w Amiens, oskarżonego o fałszerstwo pieniędzy.

- Otóż masz - rzekł pan de Treville - a jakżeś się sam wy dostał?

- Cudem, panie, muszę to powiedzieć; dostałem cios szpadą w piersi i na drodze do Calais przygwoździłem hrabiego de Wardes do ziemi jak motyla do tkaniny.

- Proszę, jeszcze jeden dowód! De Wardes, człowiek kardynała, krewniak Rocheforta. Posłuchaj, przyjacielu, mam pomysł.

- Powiedz, panie.

- Na twoim miejscu tak postąpiłbym...

- Jak?

- Podczas gdy Jego Eminencja szukałby mnie w Paryżu, wyruszyłbym po cichu do Pikardii, by zasięgnąć języka o swoich trzech towarzyszach. Tam do licha, zasługują przecie na odrobinę uwagi z twojej strony.

- Rada jest dobra, panie, jutro jadę.

- Jutro! A dlaczego nie dziś wieczór?

- Dziś wieczór, panie, zatrzymuje mnie w Paryżu ważna sprawa.

- Ach, młodzieńcze, młodzieńcze! Jakaś miłostka? Miej się na baczności, powtarzam: to kobieta zgubiła nas wszystkich i gubić nas będzie po wieki. Usłuchaj mnie, jedź dziś wieczór.

- Niemożliwe, panie.

- Dałeś słowo?

- Tak, panie.

- W takim razie to co innego, ale przyrzeknij mi, że jeśli nie zostaniesz zabity tej nocy, wyjedziesz jutro.

- Przyrzekam.

- Czy trzeba ci pieniędzy?

- Mam jeszcze pięćdziesiąt pistoli. To akurat tyle, ile mi trzeba.

- A twoi towarzysze?

- Myślę, że i im nie brak pieniędzy. Wyjechaliśmy z Paryża każdy z siedemdziesięcioma pięcioma pistolami w kieszeni.

- Czy zobaczę cię przed twoim wyjazdem?

- Nie sędzę, panie, chyba że zdarzyłoby się coś nowego.

- A zatem szczęśliwej podróży!

- Dziękuję panu.

D'Artagnan pożegnał pana de Treville, wzruszony bardziej niż kiedykolwiek jego ojcowską troską o muszkieterów.

Udał się kolejno do Atosa, Portosa i Aramis. Żaden z nich nie wrócił do domu. Ich służący również

byli nieobecni i nie otrzymano żadnej wiadomości ni o jednych, ni o drugich.

Mógłby dowiedzieć się czegoś od ich kochanek, ale nie znał ani kochanki Portosa, ani Aramisa, Atos zaś nie miał kochanki.

Przechodząc obok pałacu gwardii zajrzał do stajni: były tam już trzy konie z darowanych czterech. Oślupiał ze zdumienia Planchet czyścił je właśnie; zabierał się do trzeciego konia.

- Ach, panie - rzekł Planchet patrząc na d'Artagnana - jakże się cieszę, że pana widzę!

- A to dlaczego? - zapytał młody człowiek.

- Czy ufa pan imć panu Bonacieux, naszemu gospodarzowi?

- Ja? Ani trochę.

- I słusznie, panie.

- Ale dlaczego mnie o to pytasz?

- Obserwowałem go, kiedy rozmawiał z panem, nie słuchając waszej rozmowy: panie, twarz jego zmieniła barwę dwa albo trzy razy.

- I cóż z tego?

- Pan tego nie zauważył zajęty listem, ale ja zauważyłem, dziwny bowiem sposób, w jaki list dostał się do domu, obudził we mnie podejrzliwość i nie spuszczałem ani przez chwilę z oka fizjonomii gospodarza.

- I jaka ci się wydała?

- Zdradziecka, panie.

- Doprawdy?.

- Poza tym, kiedy pan odszedł i znikł za rogiem ulicy, pan Bonacieux wziął kapelusz, zamknął drzwi i pobiegnął w przeciwną stronę.

- W samej rzeczy, masz słusność, mój drogi, to wydaje mi się dość szczególne; ale bądź spokojny, nie zapłacimy mu ani grosza, póki wszystko nie zostanie dokładnie wyjaśnione.

- Pan sobie żartuje, ale pan jeszcze zobaczy.

- No cóż, co się ma stać, to się stanie.

- Więc pan się nie wyrzeka wieczornej przechadzki?

- Wprost przeciwnie, Planchet, im bardziej mam na pieńku z panem Bonacieux, tym chętniej pójde na spotkanie, które przyrzeka mi list tak ciebie niepokojący.

- Więc pan już postanowił...

- Nieodwołalnie, mój przyjacielu; a zatem o dziewiątej bądź tu gotów, przyjde po ciebie.

Planchet widząc, że nie ma sposobu, by odwieść pana od jego zamiaru, westchnął głęboko i zaczął czyścić trzeciego konia.

Natomiast d'Artagnan, w gruncie rzeczy chłopiec bardzo ostrożny, zamiast wrócić do domu, udał się na obiad do owego gaskońskiego księdza, który, gdy czterej przyjaciele znajdowali się w tarapatach, zaprosił ich na czekoladę.

XXIV.

PAWILON

O godzinie siódmej d'Artagnan był w pałacu gwardii; Plancheta zastał w pogotowiu. Czwarty koń przybył już na miejsce.

Planchet był uzbrojony w muszkiet i pistolet.

D'Artagnan miał u boku szpadę i zatknął za pas dwa pistolety; obaj dosiedli koni i wyjechali po cichu. Noc była ciemna i nikt ich nie widział. Planchet jechał za panem w odległości dziesięciu kroków.

D'Artagnan przeciął bulwary nadbrzeżne, wyjechał przez bramę Confrence i skierował się do Saint-Cloud drogą piękniejszą podówczas niż dzisiaj.

Jak długo byli w mieście, Planchet z szacunku przestrzegał dystansu dzielącego go od pana, ale kiedy droga stała się bardziej pusta i ciemna, przybliżył się powoli: w Lasku Bulońskim jechał już u boku d'Artagnana. Nie powinniśmy bowiem ukrywać, że kołysanie się wielkich drzew i księżycowe światło

padające na ciemne krzaki napawały go żywym niepokojem. D'Artagnan zauważył, że z jego służącym dzieje się coś niezwykłego.

- Hola, mości Planchet - zapytał - co tobie?
- Czy nie uważa pan, proszę pana, że lasy są jak kościoły?
- A to dlaczego, mój Planchet?
- Dlatego, że ani tu, ani tam nikt nie waży się głośno mówić.
- Dlaczego nie mówisz głośno? Boisz się?
- Boję się, żeby mnie nie usłyszano, panie.
- Żeby cię nie usłyszano! Przecież w naszej rozmowie nie ma nic zdrożnego i nikt nie miałby jej nic do zarzucenia.
- Ach, panie - rzekł Planchet wracając do myśli, która wciąż nie dawała mu spokoju - ten pan Bonacieux ma coś ponurego w brwiach i taki niemiły grymas ust.
- Po kiego licha myślisz o panu Bonacieux?
- Panie, człowiek myśli o tym, o czym musi myśleć, a nie o tym, na co ma ochotę.
- Bo jesteś tchórzem, Planchet.
- Panie, nie mieszajmy przezorności z tchórzostwem; przezorność jest cnotą.
- A ty jesteś cnotliwy, prawda, Planchet?
- Panie, czy to nie lufa muszkietu błyszczy tam w dali? A może byśmy pochylili głowy?
- Do kroćset - mruknął d'Artagnan, któremu przyszły na pamięć zalecenia pana de Treville - do kroćset, to bydlę doprowadzi mnie w końcu do strachu.

I ruszył kłusem naprzód.

Planchet poszedł w ślady swego pana, jak gdyby był jego cieniem, i kłusował obok niego.

- Czy będziemy tak jechać przez całą noc, proszę pana? - zapytał.
- Nie, Planchet, ponieważ ty jesteś już na miejscu.
- Jak to ja jestem na miejscu? A pan?
- Ja pojedę jeszcze kilka kroków.

- I zostawi mnie pan tu samego?

- Boisz się, Planchet?

- Nie, ale chciałbym zwrócić panu uwagę na fakt, że noc będzie bardzo zimna, że chłód rodzi reumatyzm, a służący cierpiący na reumatyzm jest żalonym służącym, zwłaszcza dla kogoś tak gorącego jak pan.

- Dobrze więc, Planchet, skoro jest ci zimno, idź do gospody, jednej z tych, które tam widzisz, i jutro o szóstej rano czekaj na mnie przed drzwiami.

- Panie, przepiłem już i przejadłem, uczciwszy pana, talara, którego dałeś mi dziś rano; nie mam teraz przy duszy ani złamanego szeląga, by pokrzepić się na wypadek zimna.

- Oto masz pół pistola. Do jutra.

D'Artagnan zsiadł z konia, rzucił lejce Planchetowi i ruszył szybko, owijając się w płaszcz.

- Boże, jak mi zimno! - zawołał Planchet, zaledwie stracił pana z oczu, a ponieważ śpieszyło mu się do rozgrzewki, co szybciej zapukał do drzwi domu ozdobionego godłami gospody podmiejskiej.

Tymczasem d'Artagnan skręciwszy w boczną ścieżkę szedł dalej i wkrótce znalazł się w Saint-Cloud; ale zamiast główną ulicą, ruszył pustą uliczką za pałacem i za chwilę był już naprzeciw oznaczonego pawilonu, w zupełnym pustkowiu. Ów pawilon znajdował się na rogu wielkiego muru wznoszącego się z jednej strony uliczki; z drugiej żywopłot bronił przechodniom wstępu do niewielkiego ogródka z nędzną chałupką w głębi.

Tak więc przybył na spotkanie, a ponieważ nie kazano mu oznajmiać o swym przybyciu żadnym sygnałem, czekał.

Panowała głęboka cisza; zdawało się, że Saint-Cloud jest oddalone o sto mil od stolicy. D'Artagnan oparł się o żywopłot, rzuciwszy wpierw okiem za siebie.

Za żywopłotem, ogródkiem i chatą ciemna mgła spowijała ogromną przestrzeń, na której rozciągał się Paryż, pustą, szeroką przestrzeń, gdzie świeci kilka jasnych punktów, smutnych gwiazd tego piekła.

Ale d'Artagnan widział wszystko w różowych barwach, każda myśl zdawała się doń uśmiechać, ciemności były przejrzyste. Za chwilę miała wybić godzina spotkania.

Rzeczywiście, po kilku minutach z grzmiącej i szerokiej paszczy dzwonu w Saint-Cloud wydobyło się powoli dziesięć uderzeń.

W tym spiżowym głosie było coś ponurego, skarga zabrzmiała w nocnych ciemnościach.

Oczy d'Artagnana były utkwione w małym pawilonie znajdującym się na rogu muru; wszystkie jego okna, oprócz okna na pierwszym piętrze, zasłaniały okiennice.

W tym oknie migotało łagodne światło srebrząc drżące listowie kilku lip rosnących tuż za murem. Zapewne za tym wdzięcznie oświetlonym oknem czekała pani Bonacieux.

Ukołyszany tą słodką myślą d'Artagnan czekał pół godziny bez najmniejszej niecierpliwości, nie spuszczać oka z czarującego pokoju, którego sufit ze złożonym gzymsem, mówiącym o elegancji całego wnętrza, mógł jedynie dostrzec.

Dzwon w Saint-Cloud wydzwonił wpół do jedenastej,

Tym razem d'Artagnana przebiegł dreszcz, choć sam nie wiedział dlaczego. Być może poczuł chłód i brał za doznanie psychiczne wrażenie bez wątpienia fizyczne.

Potem przyszło mu na myśl, że źle przeczytał list i spotkanie było wyznaczone dopiero na jedenastą.

Zbliżył się do okna, stanął tak, by padało na niego światło, wyjął list z kieszeni i przeczytał; jednak nie omylił się, spotkanie było wyznaczone na dziesiątą.

Wrócił na swoje miejsce dość zaniepokojony tą ciszą i samotnością. Wybiła jedenasta.

D'Artagnan poczuł naprawdę obawę, czy coś się nie przydarzyło pani Bonacieux.

Klasnął trzykrotnie w dłonie, zwykły sygnał zakochanych; nikt mu nie odpowiedział, nawet echo.

Potem pomyślał z niejaką goryczą, że młoda kobieta zasnęła czekając na niego.

Zbliżył się do muru i spróbował się wspiąć; ale mur był świeżo otynkowany i d'Artagnan daremnie łamał sobie paznokcie.

W tej chwili spojrział na drzewa, których liście wciąż srebrzyło światło; jedno z nich pochyliło się nad drogą; pomyślał, że spośród gałęzi będzie mógł zajrzeć do wnętrza pawilonu.

Wdrapać się na to drzewo nie było rzeczą trudną. D'Artagnan miał zaledwie dwadzieścia lat i dość dobrze pamiętał chłopięce czasy. W mgnieniu oka znalazł się na drzewie i przez przejrzyste szyby zajrzał do wnętrza pawilonu.

Zadrzał od stóp do głów: to łagodne światło, ten spokojny blask ukazywał scenę pełną przerażającego nieładu; jedna szyba była stłuczona, wybite i na wpół złamane drzwi wisiały na

zawiasach; stół, zastawiony zapewne wykwinną wiczerzą, był przewrócony, odłamki butelek i rozdeptane owoce zaścielały podłogę; wszystko mówiło o tym, że w pokoju toczyła się gwałtowna i rozpaczliwa walka. D'Artagnanowi wydało się nawet, że w tym dziwnym pomieszaniu przedmiotów rozróżnia strzępy ubrania; kilka krwawych plam znaczyło obrus i firanki.

Z największym pośpiechem zszedł na ulicę; serce biło mu jak młotem, chciał sprawdzić, czy nie znajdzie innych śladów gwałtu.

Łagodne światło płonęło wciąż w ciszy nocnej. D'Artagnan dostrzegł wówczas, na co nie zwrócił uwagi przedtem, ponieważ nic go do tego nie skłaniało, że na ziemi widać pomieszane ślady stóp ludzi i koni. Poza tym koła powozu, który przybył chyba z Paryża, pozostawiły w miękkiej ziemi głębokie bruzdy biegnące w stronę pawilonu i zawracające potem do Paryża.

Wreszcie d'Artagnan szukając dalej znalazł przy murze rozdartą damską rękawiczkę. Była to jedna z tych uperfumowanych rękawiczek, które kochankowie tak lubią zdejmować z pięknej dłoni, nieskazitelnie świeża, prócz kilku miejsc, gdzie zatknęła się z błotem.

W miarę jak d'Artagnan czynił dalsze poszukiwania, pot coraz obfitszy i zimniejszy pokrywał jego czoło, oddychał nierówno i przerywanie, a serce ścisnęła straszliwa obawa; jednak pocieszał się powtarzając sobie, że może ten pawilon nie ma nic wspólnego z panią Bonacieux, że młoda kobieta wyznaczyła mu spotkanie przed pawilonem, a nie wewnątrz, i że mogła ją zatrzymać w Paryżu służba czy zazdrość męża.

Lecz uczucie bólu ogarniające nas w pewnych okolicznościach bez reszty i wołające wielkim głosem, każdą cząstką naszego ciała i duszy, że nieszczęście zawisło nad nami, rozbiło, zdruzgotało, obróciło wniwecz to rozumowanie.

Wówczas d'Artagnana ogarnęło niemal szaleństwo: wybiegł na główny trakt i tą samą drogą, którą przyszedł, pośpieszył w stronę promu, by wypytać przewoźnika.

O siódmej wieczór przewoźnik przeprawił przez rzekę kobietę otuloną w czarny płaszcz; zdawało się, że zależy jej niezmiernie na tym, by nie zostać rozpoznaną, ale właśnie z tego powodu wzbudziła zainteresowanie przewoźnika, który stwierdził, że jest ona młoda i ładna.

W owych czasach, tak samo jak dzisiaj, wiele ładnych i młodych kobiet udawało się do Saint-Cloud i żadna z nich nie chciała być rozpoznana, d'Artagnan nie wątpił jednak ani przez chwilę, że była to pani Bonacieux.

Skorzystał ze światła lampy palącej się w chatce przewoźnika, by przeczytać raz jeszcze bilet pani Bonacieux i stwierdzić, że się nie omylił, że spotkanie było wyznaczone w Saint-Cloud, a nie gdzie indziej, przed pawilonem pana d'Estrees, nie zaś na innej ulicy.

Wszystko dowodziło, że przecucia go nie zmyliły i że stało się wielkie nieszczęście.

Pobiegł z powrotem w stronę pałacu; zdawało mu się, że podczas jego nieobecności zdarzyło się może coś nowego w pawilonie i że tam znajdzie wyjaśnienie.

Uliczka była wciąż pusta i to samo spokojne i łagodne światło padało z okna.

D'Artagnan przypomniał sobie wtedy niemą i ślepą chatkę, która na pewno coś widziała i chyba coś nawet mogłaby powiedzieć.

Furtka była zamknięta, ale przeskoczył przez żywopłot i mimo szczekania psa łańcuchowego zbliżył się do chatki.

Na jego pukanie nikt nie odpowiedział. Śmiertelna cisza panowała tu tak samo, jak w pawilonie; nie ustępował jednakże, ta chatka była jego ostatnią nadzieją.

Wkrótce wydało mu się, że dobiegają go jakieś odgłosy z wewnątrz, ale bardzo stłumione, jak gdyby ktoś się obawiał, że zostanie usłyszany.

Wtedy d'Artagnan przestał pukać i zaczął prosić, ale głosem tak pełnym niepokoju, obietnic, lęku i serdeczności, że mógł dodać ducha najbardziej bojaźliwemu człowiekowi. Wreszcie stara, spróchniała okiennica otworzyła się lub raczej na wpół wypadła z okna i zamknęła się natychmiast, gdy tylko światło nędznej lampy, płonącej w kącie, padło na pendent, gardę szpady i kolby pistoletów d'Artagnana. Jakkolwiek wszystko to stało się w mgnieniu oka, d'Artagnan zdołał ujrzeć głowę starca.

- W imię Boga! - rzekł - wysłuchaj mnie: czekałem na kogoś, kto nie przychodzi, i umieram z niepokoju. Czy w okolicy zdarzyło się jakieś nieszczęście? Mów.

Okno otworzyło się i ukazała się ta sama twarz, tylko bledsza niż poprzednio.

D'Artagnan opowiedział z prostotą całą historię nie wymieniając jedynie nazwisk. Mówił o tym, że miał się spotkać z młodą kobietą przed pawilonem; widząc, że nie nadchodzi, wdrapał się na lipę i ujrzał w świetle lampy nieład w pokoju.

Starzec słuchał z uwagą, kiwając potakująco głową. Potem, gdy d'Artagnan skończył, zwiesił głowę, a mina jego nie wróżyła nic dobrego.

- Co chcesz powiedzieć? - zawołał d'Artagnan. - Na miłość boską, wyjaśnij mi, o co chodzi.

- Och, panie - rzekł starzec - nie pytaj mnie o nic; biada mi, jeśli ci powiedziałem, co widziałem.

- Więc coś widziałeś! - podjął d'Artagnan. - W takim razie mów, na Boga - rzekł rzucając mu pistolet - mów, co widziałeś, a daję ci słowo szlachcica, że wszystko, co powiesz, zachowam w tajemnicy.

Starzec wyczytał tyle szczerości i cierpienia na twarzy d'Artagnana, że dał mu znak, żeby słuchał, i rzekł cichym głosem:

- Była mniej więcej dziewiąta, kiedy usłyszałem hałas na ulicy. Chciałem się dowiedzieć, co się dzieje, podszedłem do drzwi i zauważyłem, że ktoś usiłuje wejść. Ponieważ jestem biedny i nie boję się kradzieży, otworzyłem i ujrzałem kilku mężczyzn. W cieniu stała zaprzężona karoca, obok niej wierzchowce. Te konie należały zapewne do trzech mężczyzn, którzy byli w strojach do konnej jazdy.

- Ach, moi zacni panowie - zawołałem - czego chcecie?

- Masz zapewne drabinę? - rzekł jeden z nich, wyglądający na dowódcę.

- Tak, panie, służy mi do zbierania owoców.

- Daj nam drabinę i wracaj do domu, masz talara za fatygę. Pamiętaj jednak, że jeśli piśniesz słowo o tym, co zobaczysz i usłyszysz (ponieważ będziesz patrzył i słuchał, żebyśmy ci nie wiem jak grozili), jesteś zgubiony. Mówiąc te słowa rzucił mi talara, którego podniosłem, i wziął drabinę. W samej rzeczy, ledwie zamknąłem za nimi furtkę w żywopłocie, udałem, że wracam do domu, ale wyszedłem natychmiast tylnymi drzwiami i prześlizgując się w cieniu, doszedłem do krzaka bzu, skąd mogłem

widzieć wszystko nie będąc widziany. Trzej mężczyźni kazali podjechać cicho karocy, wyciągnęli z niej małego, grubego i siwego człowieczka odzianego ubogo w ciemne suknie, który wszedł

ostrożnie na drabinę, zajrzał do pokoju, zszedł cichutko i szepnął:

- To ona.

Natychmiast ten, co ze mną rozmawiał, zbliżył się do drzwi pawilonu, otworzył je kluczem, który miał przy sobie, zamknął drzwi i znikł; jednocześnie dwaj inni weszli na górę po drabinie. Mały grubas pozostał przy drzwiczkach karocy, woźnica siedział na koźle, a służący trzymał wierzchowce za uzdy. Nagle głośne krzyki rozległy się w pawilonie, jakaś kobieta podbiegła do okna i otworzyła je, jak gdyby chciała wyskoczyć. Ale ledwo zobaczyła dwóch mężczyzn, rzuciła się do tyłu; tamci dwaj skoczyli do środka.

Potem nic już nie widziałem, słyszałem tylko trzask łamanych mebli. Kobieta krzyczała i wzywała pomocy. Ale wkrótce jej krzyki ucichły; trzej mężczyźni zbliżyli się do okna niosąc kobietę w ramionach; dwaj zeszli po drabinie i zanieśli ją do karocy, dokąd mały grubas wszedł za nią. Ten, który został w pawilonie, zamknął okno, wyszedł po chwili przez drzwi i upewnił się, że kobieta jest w karocy; dwaj towarzysze czekali już na koniach. Wskoczył na siodło, służący usiadł obok woźnicy; karoca oddaliła się galopem pod eskortą trzech jeźdźców i wszystko było skończone. Od tej chwili nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

D'Artagnan, zdruzgotany tą straszliwą nowiną, stał nieruchomy i niemy, a wszystkie demony gniewu i zazdrości wyły w jego sercu.

- Ale, mój szlachetny panie - rzekł starzec, na którym ta niema rozpacz wywarła zapewne większe wrażenie, niż uczyniłyby to krzyki i łzy - nie upadaj na duchu, przecież ci jej nie zabili, a to jest najważniejsze.

- Czy wiesz - rzekł d'Artagnan - kim jest człowiek, co stał na czele tej pięknej wyprawy?

- Nie znam go.

- Ale skoro z tobą mówił, mogłeś go widzieć.

- Ach, pan żąda ode mnie opisu?

- Tak.

- Wysoki, szczupły, o smagłej cerze, czarny wąs, czarne oko, postawa szlachcica.

- To on! - zawołał d'Artagnan. - Znowu on! Wiecznie on! To chyba mój demon! A drugi?

- Który?

- Ten mały.

- Och, to żaden pan, jestem tego pewien; zresztą nie miał szpady i tamci traktowali go bez żadnego szacunku.

- Jakiś służący - mruknął d'Artagnan. - Ach, biedna, biedna kobieta! Co z nią zrobili?

- Przyrzekł mi pan dochować tajemnicy - rzekł starzec.

- I ponawiam moją obietnicę raz jeszcze. Szlachcic nie ma nic prócz honoru, a ja dałem ci słowo.

D'Artagnan z rozpaczą w duszy skierował się ku promowi. Chwilami nie mógł uwierzyć, że to była pani Bonacieux, i miał nadzieję, że nazajutrz odnajdzie ją w Luwrze, to znów obawiał się intrygi miłosnej z kim innym, kto uprowadził ją powodowany zazdrością. Gubił się w domysłach, trafił się, rozpacział.

- Ach, gdybyż tu byli moi przyjaciele! - zawołał. - Miałbym przynajmniej jakąś nadzieję, że ją znajdę, ale kto wie, co się z nimi samymi stało!

Była mniej więcej północ, trzeba było znaleźć Plancheta. D'Artagnan pukał do wszystkich szynków, w których zauważył światło, ale w żadnym go nie znalazł.

W szóstym z kolei pomyślał sobie, że to, co czyni, nie ma wielkiego sensu. Kazał przyjść służącemu o szóstej rano i do tego czasu Planchet miał prawo rozporządzania swoją osobą.

Poza tym młodemu człowiekowi przyszło na myśl, że pozostając blisko miejsca, gdzie dokonano porwania, może dowie się czegoś o tajemniczej sprawie, W szóstym więc szynku, jak powiedzieliśmy, zatrzymał się, zamówił butelkę najlepszego wina, usiadł w najciemniejszym kącie i postanowił tak czekać do rana; ale i tym razem zawiodły go nadzieje i choć nastawiał uszu, wśród przekleństw, obelg i wymyślań, jakie wymieniali między sobą robotnicy, służba i obieżyświaty - zacna kompania zgromadzona w gospodzie - nie usłyszał nic, co mogłoby go naprowadzić na trop nieszczęsnej kobiety. Toteż kiedy już wypił swoją butelkę, nie miał nic lepszego do roboty (a nie chciał budzić podejrzeń), niż umieścić się możliwie najwygodniej i zdrzemnąć się trochę. D'Artagnan, jak pamiętamy, miał dwadzieścia lat, a w tym wieku sen ma swe niewzruszone prawa i potężnie tych praw dochodzi, nawet jeśli serce jest zatroskane.

Około szóstej nad ranem d'Artagnan obudził się czując się kiepsko, jak to zazwyczaj się zdarza po źle spędzonej nocy. Nie trzeba mu było dużo czasu, żeby się ogarnąć: sprawdził, czy nie skorzystano z jego snu, by go okraść, i znalazłszy diament na palcu, sakiewkę w kieszeni, a pistolety za pasem, wstał, zapłacił za wino i wyszedł, by się przekonać, czy nie poszczęści mu się bardziej ze znalezieniem służącego w dzień niż w nocy. Poprzez wilgotną i szarawą mgłę od razu ujrzał zacnego Plancheta: trzymając dwa konie za uzdy czekał przy drzwiach szyneczku wątpliwego autoramentu, obok którego d'Artagnan przechodził nie podejrzewając nawet jego istnienia.

XXV.

PORTOS

Zamiast udać się od razu do domu, d'Artagnan pośpieszył wpierw do pałacu pana de Treville i szybko wszedł na schody. Tym razem postanowił opowiedzieć mu wszystko, co się zdarzyło. Bez wątpienia pan de Treville udzieli mu dobrej rady; poza tym kapitan niemal co dzień widywał królową i mógłby od Jej Królewskiej Mości dowiedzieć się czegoś o nieszczęsnej kobiecie, która tak drogo zapłaciła za wierność swej pani.

Pan de Treville wysłuchał opowiadania młodzieńca z powagą, świadczącą o tym, że w całej tej sprawie widział coś więcej niż intrygę miłosną, a gdy d'Artagnan skończył, powiedział:

- Hm, w tym wszystkim czuć na miłą Jego Eminencję.

- Ale co robić? - rzekł d'Artagaan.

- Nic, absolutnie nic. Na razie, jak ci powiedziałem, musisz możliwie najszybciej opuścić Paryż. Zobaczę królową, opowiem jej o porwaniu biednej kobiety, nie zna bowiem zapewne szczegółów sprawy; te wiadomości będą dla niej wskazówką i gdy powrócisz, może dowiesz się ode mnie

czegoś dobrego. Możesz na mnie polegać.

D'Artagnan wiedział, że pan de Tréville, choć Gaskończyk, nie miał zwyczaju przyrzekać, a jeśli przypadkiem co przyrzekł, robił nawet więcej, niż obiecał. Pożegnał go tedy pełen wdzięczności za otrzymane łaski i te, jakich się na przyszłość mógł spodziewać, a godny kapitan, który ze swej strony żywo interesował się dzielnym i rezolutnym młodzieńcem, serdecznie uściśnął mu rękę życząc szczęśliwej podróży.

Postanowiwszy wprowadzić rady pana de Tréville natychmiast w życie, d'Artagnan skierował się na ulicę des Fossoyeurs, aby dopatrzeć przygotowań do podróży. Zbliżając się do domu ujrzał pana Bonacieux stojącego na progu w stroju porannym. Wszystko, co przezorny Planchet powiedział

poprzedniego dnia o niegodnym charakterze gospodarza, przyszło d'Artagnanowi na myśl, kiedy przyjrzał mu się uważniej niż zwykle. Istotnie, prócz żółtawej i chorobliwej cery, świadczącej o przedostawaniu się żółci do krwi, co zresztą mogło być tylko chwilowe, d'Artagnan zauważył coś przebiegłego i podstępnego w wyrazie jego twarzy. Hultaj nie uśmiecha się tak samo jak człowiek uczciwy, hipokryta nie płacze tymi samymi łzami co człowiek szczery. Wszelki fałsz jest maską i nawet jeśli maska jest najdoskonalsza, przy odrobinie uwagi można ją zawsze odróżnić od twarzy.

D'Artagnanowi wydało się tedy, że pan Bonacieux nosi maskę i co więcej, że ta maska nie należy do najmiłszych.

Wiedziony odrazą do tego człowieka, chciał go minąć bez słowa, kiedy pan Bonacieux zatrzymał go podobnie jak dnia poprzedniego.

- No i cóż, młodzieńcze - rzekł - zdaje się, że przyjemnie spędzamy noc? Siódma rano, tam do licha! Obawiam się, że odwraca pan nieco porządek rzeczy i wraca do domu o godzinie, o której inni wychodzą.

- Nic podobnego nie można tobie zarzucić, panie Bonacieux – odpowiedział młody człowiek - jest pan bowiem przykładem dla porządnych ludzi. Co prawda, jeśli się ma żonę młodą i ładną, nie trzeba szukać szczęścia gdzie indziej; szczęście samo pana szuka, nieprawda, panie Bonacieux?

Bonacieux zbladł śmiertelnie i skrzywił usta w uśmiechu.

- Ha, ha, żartowniś z pana! Ale gdzieżeś spędził noc, mój młody panie? Zdaje się, że nie było zbyt wygodnie chodzić po manowcach.

D'Artagnan rzucił okiem na swe buty, całe pochłapane błotem, ale w tej samej chwili ujrzał buciki i pończochy kramarza: powiedziałbyś, że zanurzono je w tej samej kałuży; jedne i drugie miały jednakowe plamy.

Wówczas nagle myśl przyszła d'Artagnanowi do głowy. Ten mały człowiek, gruby, krótki, siwawy, ten domniemany służący odziany w ciemne suknie, traktowany bez szacunku przez ludzi z eskorty, był właśnie panem Bonacieux.

Małżonek brał udział w uprowadzeniu żony.

D'Artagnana wzięła straszliwa chęć, by skoczyć do gardła kramarzowi i udusić go; ale powiedzieliśmy, że był to chłopiec wielce przezorny, więc zapanował nad sobą. Jednak twarz zmieniła mu się tak wyraźnie, że Bonacieux poczuł strach i chciał się cofnąć, stał wszakże tuż przy drzwiach i nie mogąc postąpić kroku pozostał na miejscu.

- Hm, pan żartuje, mój zacny panie - rzekł d'Artagnan - zdaje mi się bowiem, że jeśli moim butom przyda się szczotka, twoim trzewikom i pończochom nie zawadzi ona również. Czyżbyś i pan biegał po nocy, panie Bonacieux? Do diabła, tego byłoby za wiele dla człowieka w twoim wieku, mającego ponadto młodą i ładną żonę.

- Och, mój Boże - odparł Bonacieux - byłem wczoraj w Saint-Mande, by dowiedzieć się o służącą (nie mogę sobie dać bez niej rady), a że drogi są tam kiepskie, zabłociłem się okropnie i nie zdążyłem się jeszcze oczyścić.

Miejsce, które wymienił Bonacieux jako cel swojej wyprawy, stanowiło nowy dowód potwierdzający podejrzenia d'Artagnana. Bonacieux wymienił Saint-Mandś, ponieważ Saint-Mande leży po przeciwległej stronie niż Saint-Cloud.

Te przypuszczenia pocieszyły nieco d'Artagnana. Jeśli Bonacieux wie, gdzie jest jego żona, można będzie, uciekając się do ostatecznych środków, zmusić kramarza do otworzenia ust i wydania tajemnicy. Chodziło tylko o to, by te przypuszczenia zamieniły się w pewność.

- Przepraszam, drogi panie Bonacieux, jeśli zachowam się zbyt swobodnie, ale nic tak nie pobudza pragnienia jak brak snu; wściekle chce mi się pić; pozwól, że wypiję u ciebie szklankę wody; takiej przysługi nie odmawia się sąsiadowi.

I nie czekając na pozwolenie gospodarza, d'Artagnan wszedł szybko do mieszkania i rzucił błyskawiczne spojrzenie na łóżko. Łóżko nie było posłane, Bonacieux nie kładł się tej nocy. Wrócił więc zaledwie przed paroma godzinami; towarzyszył żonie aż do miejsca, gdzie ją zawieziono, a przynajmniej do pierwszego postoju.

- Dziękuję, panie Bonacieux - rzekł d'Artagnan wychylając szklankę – oto wszystko, czego chciałem od pana. Teraz pójdę do siebie i każę wyczyścić moje buty Planchetowi; jeśli by pan chciał, przyślę go potem, by oczyścił pańskie.

I opuścił kramarza oszołomionego tym szczególnym pożegnaniem i zadającego sobie pytanie, czy nie

wpadł we własne sidła.

Na schodach spotkał Plancheta, który okazywał wielki niepokój.

- Ach, panie - zawołał, gdy tylko ujrzał d'Artagnana - znowu coś nowego, nie mogłem się pana doczekać.

- O co chodzi? - zapytał d'Artagnan.

- O, stawiam sto, tysiąc przeciw jednemu, że nie odgadnie pan, kto był tu z wizytą pod pańską nieobecność.

- Kiedy?

- Przed półgodziną, kiedy pan był u pana de Treville.

- Kto taki? No, mówże wreszcie!

- Pan de Cavois.

- Pan de Cavois?

- We własnej osobie.

- Kapitan gwardzistów Jego Eminencji?

- Ten sam.

- Przyszedł mnie aresztować?

- Tak mi się wydało, choć miał bardzo układną minę.

- Miał układną minę, powiadasz?

- Był słodki jak miód, proszę pana.

- Rzeczywiście?

- Powiedział, że przybywa pana prosić w imieniu Jego Eminencji, który bardzo dobrze panu życzy, żebyś był łaskaw udać się do Palais-Royal.

- I cóżeś odpowiedział?

- Że to niemożliwe, ponieważ pan jest nieobecny, co mógł sam stwierdzić.

- A on co na to?

- Żeby pan koniecznie przyszedł dzisiaj; po czym dodał cicho: „Powiedz swemu panu, że Jego Eminencja jest do niego bardzo przychylnie usposobiony i że jego pomyślność zależy być może od tego spotkania”.

- Pułapka jest dość niezręczna jak na kardynała - rzekł ze śmiechem młodzieniec.

- Toteż spostrzegłem się i odpowiedziałem, że będzie pan niepokieszony po powrocie. „Dokąd wyjechał?” - zapytał pan de Cavois. „Do Troyes w Szampanii” - odparłem. „A kiedy wyjechał?” „Wczoraj wieczór”.

- Planchet, mój przyjacielu - przerwał d'Artagnan - jesteś doprawdy nieoceniony.

- Rozumie pan, pomyślałem sobie, że jeśli zechce pan zobaczyć się z panem Cavois, zdąży pan zawsze powiedzieć, że wcale pan nie wyjeżdżał, wówczas na mnie spada kłamstwo, a jako że nie jestem szlachcicem, mogę kłamać.

- Pociesz się, Planchet, zachowasz opinię prawdomównego człowieka: wyjeżdżamy za kwadrans.

- Właśnie chciałem tak poradzić panu; a dokąd jedziemy, jeśli nie jestem zbyt ciekawy?

- Tam do licha, w przeciwnym kierunku, niż wskazałeś. Zresztą, czy nie spieszo ci wiedzieć, co stało się z Grimaudem, Mousquetonem i Bazinem, tak jak ja chcę wiedzieć, co stało się z Atosem, Portosem i Aramisem?

- Pewnie, panie - rzekł Planchet - wyjadę, kiedy pan rozkaże; powietrze prowincji lepiej nam teraz zrobi niż powietrze paryskie. Toteż...

- Toteż zapakuj rzeczy, Planchet, i ruszajmy; ja wyjadę pierwszy, z pustymi rękami, żeby umknąć podejrzeń. Spotkamy się w pałacu Gwardii. Ale, mój drogi, zdaje się, masz rację co do naszego gospodarza, który na pewno jest skończonym łotrem.

- Ach, może mi pan wierzyć, kiedy coś mówię; znam się na ludziach, i to jak jeszcze!

D'Artagnan zszedł pierwszy, jak było postanowione. By nie mieć sobie nic do zarzucenia, skierował się po raz ostatni do mieszkań trzech przyjaciół; nie otrzymano od nich żadnych wiadomości, jedynie uperfumowany list zaadresowany drobnym i eleganckim pismem znajdował się w mieszkaniu Aramisa.

D'Artagnan go zabrał. W dziesięć minut później spotkał się z Planchetem w stajniach gwardyjskich. By nie tracić czasu, d'Artagnan osiodłał sam swego konia.

- Dobrze - rzekł zwracając się do Plancheta, kiedy służący przytroczył bagaże - teraz osiodłaj tamte trzy konie i ruszajmy,

- Myśli pan, że będziemy jechać szybciej, jeśli każdy z nas będzie miał dwa konie? - zapytał Planchet z przebiegłą miną.

- Nie, mój kiepski żartownisiu - odparł d'Artagnan - ale mając cztery konie będziemy mogli zabrać naszych trzech przyjaciół, jeśli zastaniemy ich jeszcze przy życiu.

- Co byłoby prawdziwym szczęściem - odparł Planchet - ale nie trzeba wątpić w miłosierdzie boskie.

- Amen - rzekł d'Artagnan wsiadając na konia.

Za czym wyjechali z pałacu Gwardii, każdy w inną stronę; jeden przez roгатkę Villette, drugi przez Montmartre, by spotkać się za Saint-Denis; ten manewr strategiczny wykonali obaj z jednaką punktualnością i równie pomyślnie. Do Pierrefitte d'Artagnan i Planchet wjechali już razem.

Trzeba powiedzieć, że Planchet był bardziej odważny w dzień niż w nocy. Jednakże przyrodzona przezorność nie opuszczała go ani na chwilę: pamiętał doskonale poprzednią podróż i uważał za wroga każdego spotkanego na drodze człowieka. Trzymał więc stale kapelusz w ręce, za co d'Artagnan złażał go surowo, obawiając się, żeby na skutek owej nadmiernej uprzejmości służącego nie poczytano jego samego za hetkę-pętelkę.

Ale czy to dlatego, że napotykanym ludzi wruszały dobre obyczaje Plancheta, czy że tym razem nikogo nie postawiono na drodze młodego człowieka, dość że nasi dwaj podróżni bez żadnego wypadku przybyli do Chantilly i zsiadli przed oberżą „Pod Wielkim Świętym Marcinem”, tą samą, gdzie zajechali po raz pierwszy.

Gospodarz, widząc młodego człowieka w towarzystwie służącego prowadzącego luzem dwa konie, wyszedł z szacunkiem na próg domu. Ponieważ zrobili już jedenaście mil, d'Artagnan postanowił

zatrzymać się w oberży niezależnie od tego, czy zostanie tam Portosa. Poza tym może nie byłoby rzeczą przezorną wypytywać od razu o losy muszkietera. D'Artagnan zsiadł więc z konia i nie

pytając o nic, polecił wierzchowca opiece służącego, wszedł do małego pokoju przeznaczonego dla podróżnych, którzy chcieli być sami, i zamówił u oberżysty butelkę najlepszego wina i wyborne śniadanie, co utwierdziło jeszcze oberżystę w dobrym o nim mniemaniu powziętym od pierwszego wejrzenia.

D'Artagnan został więc obsłużony z niezwykłą szybkością. Regiment gwardii rekrutował się z najlepszej szlachty królestwa, toteż d'Artagnan, podróżujący w towarzystwie służącego i mający

cztery wspaniałe konie, nie mógł mimo swego prostego munduru nie zwrócić na siebie uwagi. Oberżysta chciał mu sam usługiwać, co widząc d'Artagnan kazał przynieść dwie szklanki i tak zaczął rozmowę;

- Doprawdy, mój drogi gospodarzu - rzekł napełniając szklanki – prosiłem cię o najlepsze wino i jeśliś mnie oszukał, będziesz ukarany pijąc ze mną, nie lubię bowiem pić sam. Weź więc szklankę i pijmy. Za co wypijemy, by nikogo nie urazić? Wypijmy za pomyślność twej oberży.

- Wasza Miłość czyni mi zaszczyt - odpowiedział gospodarz - i dziękuję mu serdecznie za życzenie.

- Ale nie daj się tym zwieść, więcej jest samolubstwa w mych słowach, niż przypuszczasz: tylko w oberżach, gdzie gospodarzowi dobrze się powodzi, można być dobrze obsłużonym; w oberżach, gdzie interesy idą kulawo, wszystko się rozlatuje i podróżny jest ofiarą kłopotów gospodarza. Podróżuję dużo, a najwięcej bywam w tych stronach, więc chciałbym, żeby wszyscy oberżysci zrobili majątek.

- W istocie, zdaje mi się, że nie po raz pierwszy mam zaszczyt pana widzieć.

- No cóż, przejeżdżałem chyba z dziesięć razy przez Chantilly i co najmniej trzy razy na dziesięć stawałem w twojej oberży. Właśnie byłem tu przed dziesięciu czy dwunastu dniami, odprowadzając mych przyjaciół muszkietarów; jeden z nich posprzeczał się z jakimś przyjezdnym, który nie wiem dlaczego szukał z nim zwady.

- Ach, to prawda - rzekł gospodarz - pamiętam doskonale. Czy Wasza Miłość nie mówi przypadkiem o panu Portosie?

- Tak właśnie nazywa się mój towarzysz podróży. Mój drogi gospodarzu, powiedz mi, na Boga, czy nie przydarzyło mu się jakieś nieszczęście?

- Wasza Miłość mógł zauważyć, że pan Portos nie pojechał dalej.

- W samej rzeczy, przyrzekł, że nas dogoni, ale nie widzieliśmy go więcej.

- Był łaskaw zaszczyścić nas swoją obecnością.

- Jak to?

- Tak, panie, został w tej oberży; jesteśmy nawet bardzo niespokojni.

- A to z jakiej przyczyny?

- Ponieważ poczynił pewne wydatki.

- No cóż, przecie je pokryje.
- Ach, panie, twoje słowa to balsam na moje serce! Jego rachunek jest pokaźny, a dziś jeszcze chirurg nam powiedział, że jeśli pan Portos nie zapłaci, zabierze się do mnie, ja bowiem posłałem po niego.
- Więc Portos jest ranny?
- Nie umiem panu powiedzieć.
- Jak to nie umiesz powiedzieć? Przecież wiesz lepiej niż ktokolwiek inny.
- Tak, ale w naszym fachu nie mówimy wszystkiego, co wiemy, panie, zwłaszcza jeśli kto uprzedza, że za gadanie obetnie nam uszy.
- Dobrze więc. Czy mogę zobaczyć Portosa?
- Oczywiście, panie. Proszę pójść schodami na pierwsze piętro i zapukać do pokoju numer jeden. Zechciej pan jednak uprzedzić go, że to pan.
- Jak to mam go uprzedzić, że to ja?
- Tak, inaczej może się panu przytrafić nieszczęście.
- A jakie to nieszczęście ma mi się przytrafić, jeśli łaska?
- Pan Portos może wziąć pana za kogoś z domowników i w przystępie gniewu przebić cię szpadą lub palnąć ci w łeb.
- Cóżżeś mu pan zatem zrobił?
- Prosiliśmy go o pieniądze.
- Ach, u diabła, rozumiem! Jest to prośba, której Portos bardzo nie lubi, kiedy nie ma pieniędzy; ale wiem, że powinien je mieć.
- Myśmy tak samo myśleli, panie, ponieważ. prowadzimy dom bardzo solidnie i robimy rachunki co tydzień, po ośmiu dniach przedłożyliśmy mu rachunek, ale zdaje się, że trafiliśmy na złą chwilę, bo od razu posłał nas do wszystkich diabłów; co prawda grał poprzedniego dnia.
- Jak to grał poprzedniego dnia, z kim?
- Och, mój Boże, czy to można wiedzieć! Z pewnym przyjezdnym szlachcicem, któremu

zapropował partię lancknechta.

- Otóż to, biedak wszystko przegrał.

- Wraz z koniem, panie; kiedy ów szlachcic miał wyjeżdżać, zauważyliśmy, że jego służący siodła konia pana Portosa. Zwróciliśmy mu na to uwagę, ale odparł, że wtrącamy się do nie swoich spraw i ten koń należy do niego. Natychmiast uprzedziliśmy pana Portosa, ale kazał nam powiedzieć, że jesteśmy hultaje, skoro powątpiewamy w słowo szlachcica; jeśli bowiem ów szlachcic oświadczył nam, że koń należy do niego, nie może być inaczej.

- Poznaję go po tym - mruknął d'Artagnan.

- Za czym - ciągnął gospodarz - kazałem mu powiedzieć, że skoro nie możemy się porozumieć co do zapłaty, mam nadzieję, że zechce przynajmniej okazać swe łaski mojemu koledze, imć panu oberżyscie z gospody „Pod Złotym Orłem”, ale pan Portos odpowiedział mi, że moja gospoda jest lepsza i woli tu zostać. Ta odpowiedź była zbyt pochlebna dla mnie, bym nalegał dalej. Ograniczyłem się więc do prośby, by zechciał opuścić swój pokój, który jest najlepszy w całym zajeździe, i zadowolił się miłym pokoikiem na trzecim piętrze. Ale na to pan Portos odpowiedział, że czeka lada chwila swej kochanki, jednej z najznakomitszych dam dworu, i powinienem zrozumieć, że pokój, który łaskawie zajmuje, jest jeszcze o wiele za skromny dla takiej osoby. Jednakże, choć uznałem słuszność jego słów, musiałem nalegać; ale nie zadając sobie nawet trudu porozumienia się ze mną, pan Portos chwycił za pistolet, położył go na nocnym stoliku i oświadczył, że na pierwsze słowo o przenosinach na zewnątrz czy wewnątrz palnie w łeb temu, kto będzie dość nieostrożny, by wtrącać się do sprawy dotyczącej tylko jego. Toteż od tego czasu, panie, nikt prócz jego służącego nie wchodzi do pokoju, który zajmuje.

- Mousqueton jest więc tutaj?

- Tak, panie; w pięć dni po swym wyjeździe powrócił w bardzo kiepskim humorze; zdaje się, że on także zaznał kłopotów w podróży. Niestety, jest bardziej żwawy niż jego pan, co sprawia, że chcąc mu usłużyć wywraca cały dom do góry nogami; ponieważ zaś przypuszcza, że może mu czegoś odmówią, bierze wszystko, czego mu trzeba, bez pytania.

- W samej rzeczy - odparł d'Artagnan - zauważyłem, że Mousqueton jest bardzo oddany i ma niepospolitą inteligencję.

- To być może, panie, ale wyobraź sobie, że jeśli tylko cztery razy do roku zetknę się z równym oddaniem i inteligencją, jestem zrujnowany.

- Nie, ponieważ Portos ci zapłaci.

- Hm! - mruknął oberżysta tonem pełnym powątpiewania.

- Jest to ulubieniec wielkiej damy, a nie zechce ona na pewno, by martwił się taką drobnostką jak

owa suma, którą jest ci winien.

- Jeśli wolno mi powiedzieć, co o tym sędzę...

- Mów.

- Powiem więcej: co wiem.

- Co wiesz?

- I czego jestem nawet pewien.

- No, czegoż wreszcie jesteś pewien?

- Że znam tę wielką damę.

- Ty?

- Tak, ja.

- A, jakimże to sposobem?

- Och, panie, gdybym mógł zawierzyć twej dyskrecji...

- Mów; słowo kawalerskie, że nie będziesz żałował.

- Dobrze więc. Przyzna pan, że niepokój może skłonić człowieka do różnych rzeczy.

- Cóżżeś zatem zrobił?

- Och, nic takiego, do czego nie miałby prawa wierzyciel.

- A więc?

- Pan Portos dał nam list do tej księżny, polecając oddać go na pocztę. Jego służącego jeszcze tu nie było. Ponieważ nie mógł opuścić swego pokoju, musiał nam powierzyć list.

- Co dalej?

- Zamiast oddać list na pocztę, co nigdy nie jest pewne, skorzystałem z okazji, jeden z moich pacholków jechał bowiem do Paryża, i poleciłem mu, żeby oddał list do rąk księżny. Było to zgodne z życzeniem pana Portosa, który gorąco nam ten list polecił; czy nie tak?

- Mniej więcej.
- A wie pan, kim jest ta wielka dama?
- Nie, słyszałem o niej tylko od Portosa, oto wszystko.
- Czy wiesz, kim jest domniemana księżna?
- Powtarzam ci, że jej nie znam.
- Jest to żona prokuratora z Chatelet, panie, stara pani Coquenard, która ma co najmniej pięćdziesiąt lat, a jednak wciąż jeszcze stroi miny zazdrosnej kochanki. Wydało mi się zresztą bardzo dziwne, żeby księżna mieszkała przy ulicy aux Ours.
- Skąd wiesz o tym?
- Ponieważ wpadła w wielki gniew otrzymawszy list i powiedziała, że pan Portos jest wietrznikiem i na pewno został ranny z powodu jakiejś kobiety.
- Został więc ranny?
- Ach, mój Boże, co ja powiedziałem!
- Powiedziałeś, że Portos został ranny.
- Tak; ale zabronił mi to mówić.
- Dlaczego?
- Do licha, ponieważ puszył się, że przebije tego nieznajomego, z którym się posprzeczał, a rzecz miała się zgoła inaczej, bo właśnie ów nieznajomy, mimo wszystkich przechwałek pana Portosa, rozciągnął go na ziemi. Pan Portos zaś, człowiek wielce próżny, nie chciał się przyznać nikomu, że został pokłuty szpadą, prócz księżnej, którą chciał zaciekawić swoją przygodą.
- Więc to rana trzyma go w łóżku?
- Było to mistrzowskie pchnięcie, zapewniam pana. Pański przyjaciel ma chyba duszę przybitą kołkami do ciała.
- Byłeś przy tym?
- Wyszedłem za nimi przez ciekawość, panie, tak że widziałem walkę me będąc widziany.
- I jak to wyglądało?

- Och, walka nie trwała długo, może mi pan wierzyć. Staęli w pozycji; nieznajomy zrobił fintę i natarł: wszystko potoczyło się tak szybko, że kiedy pan Portos chciał odbić pchnięcie, ostrze na głębokość trzech cali tkwiło mu już w piersi. Padł na wznak. Nieznajomy przyłożył mu natychmiast szpadę do gardła; pan Portos, widząc, że jest wydany na łaskę przeciwnika, uznał się za pokonanego. Wówczas nieznajomy zapytał go o imię i dowiedziawszy się, że nazywa się Portos, a nie d'Artagnan, dopomógł mu wstać, odprowadził do oberży, po czym wskoczył na konia i odjechał.

- Więc ten nieznajomy szukał pana d'Artagnana?

- Zdaje się, że tak.

- A wiesz, co się z nim stało?

- Nie; nie widzieliśmy go nigdy przedtem i nie ujrzeliśmy go potem.

- Doskonale; wiem, co chciałem wiedzieć. Powiadasz tedy, że pokój Portowa jest na pierwszym piętrze, numer jeden?

- Tak, panie, to najpiękniejszy pokój w oberży, już dziesięć razy mogłem go wynająć.

- Ależ uspokój się - rzekł d'Artagnan ze śmiechem - Portos zapłaci pieniędzmi księżny Coquenard.

- Ach, panie, prokuratorowa czy księżna, wszystko jedno, byleby tylko sięgnęła do mieszka; ale powiedziała stanowczo, że ma dość żądań i niewierności pana Portosa i że nie pośle mu ani grosza.

- Przekazałeś tę odpowiedź swemu gościowi?

- Boże uchoj: zobaczyłby, w jaki sposób wykonaliśmy jego polecenie.

- Czeka więc wciąż na pieniądze?

- A tak, wczoraj znowu napisał list, ale tym razem jego służący oddał list na pocztę.

- I powiadasz, że prokuratorowa jest stara i brzydka?

- Ma pięćdziesiąt lat, panie, i nie grzeszy urodą, jak powiada Pathaud.

- W takim razie możesz być spokojny, że da się udobruchać; zresztą Portos nie może być dużo winien.

- Jak to nie może! Dwadzieścia pistoli nie licząc lekarza. O, nie odmawia sobie niczego; widać, że jest przyzwyczajony do dobrego życia.

- Dobrze więc, jeśli kochanka go opuści, znajdą się przyjaciele, ręcę ci za to. Bądź dobrej myśli, mój drogi gospodarzu, i opiekuj się nim w chorobie jak należy.

- Pan przyrzekł mi, że nie wspomni słowem o prokuratorowej i ranie.

- To rzecz postanowiona, masz moje przyrzeczenie.

- Bo widzi pan, pan Portos zabiłby mnie!

- Nie bój się, nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Mówiąc te słowa d'Artagnan wszedł na schody, zostawiając gospodarza w nieco lepszym nastroju; na dwóch bowiem rzeczach ogromnie mu zależało: na otrzymaniu należności i własnej skórze.

Na najbardziej okazałych drzwiach korytarza czarnym atramentem była wypisana ogromna jedynka. D'Artagnan zapukał; poproszono go, by wszedł; otworzył drzwi.

Portos leżał i by nie wyjść z wprawy, grał z Mousquetonem w lancknehta; na ogniu obracał się rożen z kuropatwami, a w obu kątach wielkiego kominka stały na palnikach rondle, z których radując powonienie unosiły się zapachy potrawy z królika i potrawy z ryb w winnym sosie. Na sekreterze i marmurowym blacie komody stały puste butelki.

Na widok przyjaciela Portos wydał gromki okrzyk radości. Mousqueton powstał z szacunkiem, ustąpił miejsca d'Artagnanowi i poszedł do rondli, które jak widać otaczał szczególną opieką.

- Do kroćset, to ty! - rzekł Portos do d'Artagnana - witaj i wybacz mi, że nie wstaję na twoje przyjęcie. Czy wiesz - dodał patrząc z pewnym niepokojem na d'Artagnana - co mi się przydarzyło?

- Nie.

- Gospodarz nic ci nie mówił?

- Zapytałem tylko o ciebie i od razu tu przyszedłem.

Portos odetchnął swobodnie.

- Cóż ci się zatem przydarzyło, drogi Portosie? - ciągnął d'Artagnan.

- Nacieralem na przeciwnika, któremu zadałem trzy pchnięcia i miałem właśnie zadać czwarte i ostateczne, gdy potknąłem się na kamieniu i wywichnąłem sobie kolano.

- Doprawdy?

- Słowo honoru! Miał szczęście ten hultaj, bo położyłbym go trupem, możesz być pewien.
- Ale co się z nim stało?
- Nie wiem; miał dosyć i odjechał nie czekając na resztę. A cóż się z tobą działo, mój drogi d'Artagnanie?
- Więc to zwichnięcie trzyma cię w łóżku, mój drogi, Portosie?
- A tak, nic innego, zresztą za kilka dni będę już na nogach.
- Dlaczego nie kazałeś się przewieźć do Paryża? Musiałeś się tu nudzić okrutnie.
- Miałem zamiar to uczynić; ale muszę ci coś wyznać, przyjacielu.
- Cóż takiego?
- Ponieważ nudziłem się okrutnie, jak sam powiedziałaś, a miałem w kieszeni siedemdziesiąt pięć pistoli od ciebie, zaprosiłem przyjezdnego szlachcica, któremu zaproponowałem partię gry w kości, żeby się nieco rozerwać. Przystał i siedemdziesiąt pięć pistoli zawędrowało z mojej kieszeni do jego, nie licząc konia, którego zabrał na dokładkę. Ale ty, mój drogi d'Artagnanie?
- Cóż chcesz, drogi Portosie, nie można być szczęśliwym we wszystkim. Znasz przysłowie: „Kto nie ma szczęścia w grze, ma szczęście w miłości”. Jesteś zbyt szczęśliwy w miłości, by wiodło ci się w grze; ale co cię obchodzą niełaski fortuny! Czy nie masz, szczęśliwe ładaco, swej księżny, która na pewno pośpieszy ci z pomocą?
- Ach, mój drogi d'Artagnanie, jako że gram nieszczęśliwie – odezwał się Portos z największą swobodą - napisałem do niej, żeby przysłała mi kilkadziesiąt luidorów, których koniecznie mi było trzeba, zważywszy moją sytuację...
- No i co?
- Zapewne jest w swoich posiadłościach, nie odpowiedziała mi bowiem na list.
- Rzeczywiście?
- Tak. Toteż wysłałem jej wczoraj drugą epistołę, jeszcze bardziej nagłą niż pierwsza; ale skoro tu jesteś, drogi przyjacielu, mówmy o tobie. Wyznam ci, że zacząłem się trochę o ciebie niepokoić.
- Jednakże widzę, że gospodarz odnosi się do ciebie dobrze, mój drogi Portosie - rzekł d'Artagnan wskazując na pełne rondle i puste butelki.
- Ujdzie, ujdzie - odparł Portos. - Przed kilkoma dniami ten zuchwalec przedłożył mi rachunek, ja zaś

wyrzuciłem go za drzwi wraz z rachunkiem, jestem więc tu na prawach zwycięzcy, zaborcy. Obawiając się, że mogą mnie zaatakować, uzbroiłem się, jak widzisz, po zęby.

- Wydaje mi się jednak - rzekł śmiejąc się d'Artagnan - że od czasu do czasu robisz wycieczki.

I wskazał palcem na butelki i rondle.

- Niestety, to nie ja! - rzekł Portos. - Nieszczęsne zwichnięcie trzyma mnie w łóżku, ale Mousqueton prowadzi boje i zdobywa żywność. Mousqueton, mój przyjacielu - ciągnął dalej - jak widzisz, przybywają nam posiłki, trzeba zatem powiększyć zapasy.

- Mousqueton - rzekł d'Artagnan - chciałbym, abyś mi oddał pewną przysługę.

- Jaką, panie?

- Udziel wskazówek Planchetowi; może się zdarzyć, że i mnie kiedyś będą oblegać, a nie gniewałbym się wcale, gdyby wiodło mi się równie dobrze, jak twemu panu.

- Mój Boże! - odparł Mousqueton z najskromniejszą miną - ależ nic łatwiejszego, proszę pana. Trzeba tylko zręczności, ot i wszystko. Wyrosłem na wsi i mój ojciec w wolnych chwilach zajmował się po trochu kłusownictwem.

- A co robił przez resztę czasu?

- Trudnił się rzemiosłem, które zawsze uważałem za bardzo korzystne, proszę pana.

- Jakież to rzemiosło?

- Ponieważ było to w czasach wojen katolików z hugenotami i widział, jak katolicy zabijają hugenotów, a hugenoci katolików - zawsze w imieniu religii - wybrał sobie religię mieszaną, tak że bywał raz katolikiem, innym razem hugenotem. Zazwyczaj przechadzał się za przydrożnymi płotami

ze strzelbą na ramieniu i kiedy ujrzał idącego samotnie katolika, religia protestancka natychmiast brała w nim górę. Kierował strzelbę w stronę podróżnego; za czym, gdy był już w odległości dziesięciu kroków, nawiązywał z nim rozmowę, na skutek której katolik niemal zawsze wyrzekał się sakiewki, by ratować życie. Jest rzeczą jasną, że gdy spotkał hugenota, gorliwość katolicka ogarniała go tak gwałtownie, że nie pojmował, jak przed kwadransem mógł powątpiewać o przewadze naszej świętej religii. Ja bowiem, panie, jestem katolikiem, ponieważ mój ojciec, wiemy swym zasadam, starszego brata wychował na hugenota.

- A jakże skończył ten zacny człowiek? - zapytał d'Artagnan.

- Och, w najbardziej nieszczęśliwy sposób, panie. Pewnego dnia znalazł się na wąskiej drodze pomiędzy hugenotem i katolikiem, z którymi miał już do czynienia; rozpoznali go obaj, połączyli się przeciw niemu i powiesili ojca na drzewie, potem przyszli pochwalić się swym pięknym czynem do karczmy, gdzie piliśmy razem z bratem.
- I co zrobiliście? - rzekł d'Artagnan.
- Pozwoliliśmy im gadać do woli - ciągnął Mousqueton. - Potem wyszli z karczmy i każdy udał się w innym kierunku; wówczas mój brat zaczął się na drodze katolika, a ja na drodze protestanta. W dwie godziny potem było już po wszystkim; każdy z nas zrobił, co do niego należało, podziwiając przezorność ojca, który każdego z nas wychował w innej religii.
- W samej rzeczy, z tego, co mówisz, Mousqueton, widać, że twój ojciec był tęgim chwatem i mądrym człowiekiem. Powiadasz więc, że w wolnych chwilach zajmował się kłusownictwem?
- Tak, panie, i to on nauczył mnie zastawiać sidła na zwierzynę i sieci na ryby. Toteż gdy zobaczyłem, że ten nicpoń oberżysta karmi nas zwyczajnym mięsem, dobrym dla byle kogo, ale nie nadającym się dla żołądków tak delikatnych jak nasze, przypomniałem sobie swój dawny fach. Przechadzając się w lasach księcia zastawiałem tu i ówdzie sidła; leżąc na brzegach wód Jego Książęcej Wysokości, zapuszczałem sieci. Tak że jak pan się może o tym przekonać, nie zbywa nam, dzięki Bogu, na niczym; mamy kuropatwy i króliki, karpie i węgorze, co jest pożywieniem lekkim, zdrowym i odpowiednim dla chorych.
- Ale kto dostarcza wina? - zapytał d'Artagnan. - Wasz gospodarz?
- To znaczy i tak, i nie.
- Jak to „i tak, i nie”?
- Dostarcza nam, to prawda, ale nie wie o tym, że spotyka go ten zaszczyt.
- Wyłumacz się jaśniej, Mousqueton, rozmowa z tobą jest bardzo pouczająca.
- Rzecz wygląda tak, panie. W moich podróżach poznałem przypadkiem Hiszpana, który widział wiele krajów, między innymi Nowy Świat.
- Jakiż może być związek między Nowym Światem a butelkami stojącymi na sekreterze i komodzie?
- Cierpliwości, panie, na wszystko przyjdzie czas.
- To prawda, Mousqueton; zdaję się na ciebie i słucham.
- Ów Hiszpan miał służącego, który towarzyszył mu w podróży do Meksyku. Służący był moim ziomkiem, a zaprzyjaźniliśmy się tym szybciej, że podobne mieliśmy usposobienie. Obaj lubiliśmy

nade wszystko polowanie, opowiedział mi kiedyś, że w pampasach poluje się na tygrysy i bawoły zarzucając pętlę na szyję tych straszliwych zwierząt. Z początku nie chciałem wierzyć, że można

dojść do takiej zręczności i zarzucić pętlę z odległości dwudziestu czy trzydziestu kroków, ale dowiedziono mi, że opowiadanie jest prawdziwe. Mój przyjaciel ustawiał butelkę w odległości trzydziestu kroków i za każdym razem zarzucał pętlę na szyjkę butelki. Zacząłem się także ćwiczyć, a że natura obdarzyła mnie pewnymi zdolnościami, rzucam dziś lassem tak samo celnie jak tubylec z Nowego Świata. Rozumie pan zatem? Nasz gospodarz ma dobrze zaopatrzoną piwniczkę, ale nie rozstaje się nigdy z kluczem; ta piwnica ma wszakże okienko. Zarzucam więc lasso przez okienko, a że wiem już, gdzie stoją najlepsze wina, stamtąd wybieram sobie flaszki. Oto, proszę pana, związek, jaki zachodzi między Nowym Światem a butelkami stojącymi na komodzie i sekreterze. Teraz proszę spróbować naszego wina, panie, i powiedzieć nam szczerze, co panu nim sędzi.

- Dziękuję, mój przyjacielu; niestety, jestem już po obiedzie.

- Zatem nakryj do stołu, Mousqueton, a gdy będziemy jedli obiad, d'Artagnan opowie nam, jakich przygód zaznał podczas owych dziewięciu dni, kiedyśmy się nie widzieli.

- Chętnie - rzekł d'Artagnan.

I gdy Portos z Mousquetonem zajadali z apetytem rekonwalescentów i ową braterską serdecznością, która zbliża ludzi w nieszczęściu, d'Artagnan opowiedział o tym, jak ranny Aramis musiał pozostać w Crevecoeur, jak w Amiens zostawił Atosa z czterema ludźmi, oskarżającymi go o fałszerstwo, i jak sam po brzuchu hrabiego de Wardes przyjechał do Anglii.

Ale tu urwały się zwierzenia d'Artagnana; powiedział tylko, że przywiózł z Anglii cztery wspaniałe konie, po jednym dla każdego z przyjaciół, i dodał, że koń przeznaczony dla Portosa znajduje się już w stajni zajazdu.

W tej chwili wszedł Planchet; oświadczył swemu panu, że konie wypoczęły dostatecznie i jeśli pojedą zaraz, zdążą na nocleg do Clermont.

Ponieważ d'Artagnan był już mniej więcej spokojny o Portosa, a chciał jak najszybciej dowiedzieć się o losach dwóch pozostałych przyjaciół, wyciągnął rękę do chorego, mówiąc, że rusza w dalszą drogę. Przypuszczał zresztą, że będzie wracał tędy i zabierze za powrotem Portosa, jeśli za jakie osiem dni Portos będzie jeszcze w oberży "Pod Wielkim Świętym Marcinem".

Portos odparł, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa chora noga nie pozwoli mu się stąd ruszyć, zresztą musi zostać w Chantilly, by czekać na odpowiedź księżny.

Życząc Portosowi szybkiej i pomyślnej odpowiedzi, d'Artagnan polecił go raz jeszcze opiece Mousquetona, zapłacił należność gospodarzowi i ruszył w drogę z Planchetem, który teraz kłopotał

się o jednego konia mniej.

XXVI.

UCZONA ROZPRAWA ARAMISA

D'Artagnan nie powiedział Portosowi ani słowa o ranie i prokuratorowej. Nasz Bearneńczyk choć tak jeszcze młody, był bardzo rozsądnym chłopcem. Udał więc, że wierzy we wszystko, co powiedział chełpliwy muszkietier, sądził bowiem, że nie ma takiej przyjaźni, której nie zaszkodzi odkrycie cudzej

tajemnicy, zwłaszcza gdy ta tajemnica godzi w miłość własną; poza tym mamy zawsze pewną przewagę moralną nad ludźmi, których życie jest nam znane, a jako że d'Artagnan chciał uczynić z przyjaciół narzędzia pomocne mu w zdobyciu łask losu, nie miał nic przeciwko temu, by w jego rękach znalazły się zawczasu niewidzialne nici, za ich pomocą bowiem mógłby nimi kierować.

Jednak przez całą drogę głęboki smutek ścisnął mu serce, gdy myślał o młodej i ślicznej pani Bonacieux, która miała mu wynagrodzić wianą służbę; pośpieszmy wszakże powiedzieć, że ten smutek mniej wynikał z żalu za utraconym szczęściem niż z obawy, czy biednej kobiecie nie przytrafiło się jakieś nieszczęście. Wedle jego mniemania pani Bonacieux padła ofiarą zemsty kardynała, a wiemy, że zemsta Jego Eminencji była straszna. Nie wiedział, jak to się stało, że znalazł łaskę w oczach ministra; wyjaśniłby mu to kapitan gwardii, pan de Cavois, gdyby go zastał w domu.

Nic tak nie skraca czasu w podróży, jak myśl zaprzatająca całkowicie człowieka. Świat zewnętrzny wydaje się wówczas marzeniem sennym, czas nie ma miary, przestrzeń odległości. Wyjeżdżamy z jednego miejsca i przybywamy do drugiego, nic więcej. Z przebytej przestrzeni pozostaje w naszej

pamięci tylko jakaś mgła, w której zacierają się pomieszane widoki drzew, gór i krajobrazów. W tym stanie ducha, który można by nazwać halucynacją, d'Artagnan przebył sześć czy osiem mil dzielących Chantilly od Crevecoeur, pozwalając, by koń jechał tak prędko, jak mu się podoba; gdy przyjechał na miejsce, nie pamiętał nic z tego, co widział po drodze.

Tu dopiero odzyskał pamięć; potrząsnął głową, zauważył gospodę, w której zostawił Aramisa, popędził konia i zatrzymał się przy bramie.

Tym razem przyjął go nie gospodarz, ale gospodyni. D'Artagnan był fizjonomistą: jednym spojrzeniem objął zażywną i wesołą twarz oberżystki i zrozumiał, że nie trzeba mu wyprowadzać jej w pole i nie ma się czego obawiać ze strony tak pogodnej osoby.

- Moja zacna pani - zapytał d'Artagnan - czy możesz mi powiedzieć, co się stało z moim przyjacielem, którego zostawiliśmy tu przed dwunastu dniami?

- Piękny młodzieniec liczący sobie dwadzieścia trzy albo cztery lata, łagodny, uprzejmy, dobrze ułożony?

- I ranny w ramię.

- Tak jest.

- Właśnie.

- Jest wciąż tutaj, proszę pana.

- Tam do licha, moja pani gosposiu - rzekł d'Artagnan zsiadając z konia i rzucając uzdę Planchetowi - wracasz mi życie. Gdzież jest ten drogi Aramis, niechże go uścisnę! Muszę wyznać, że bardzo mi pilno go zobaczyć.

- Przepraszam, panie, ale wątpię, czy mógłby pana przyjąć w tej chwili.

- Dlaczego? Czy jest u niego kobieta?

- Jezu! Co też pan mówi! Biedny chłopiec! Nie, panie, to nie kobieta.

- A któż zatem?

- Proboszcz z Montdidier i przeor jezuitów z Amiens.

- Mój Boże - zawołał d'Artagnan - tak z nim źle?

- Nie, panie, wprost przeciwnie; ale na skutek choroby spłynęła nań łaska i postanowił wstąpić do klasztoru.

- To prawda, zapomniałem, że był muszkietierem tylko chwilowo.

- Pan chciałby go koniecznie widzieć?

- Oczywiście.

- Dobrze, niech pan wejdzie schodami z prawej strony podwórza, drugie piętro, numer pięć.

D'Artagnan udał się we wskazanym kierunku i znalazł owe schody zewnętrzne, jakie widuje się dziś jeszcze w starych oberżach. Ale do przyszłego księdza nie wchodziło się od razu: pokoju Aramisa strzeżono nie mniej czujnie niż ogrodów Armidy; Bazin, który stał na korytarzu, zagroził d'Artagnanowi przejście z tym większym męstwem, że po wielu latach próby nareszcie dochodził do spełnienia swych pragnień.

Marzeniem biednego Bazina była zawsze służba u osoby dochovej, toteż czekał z niecierpliwością

na z dawna upragnioną chwilę, kiedy Aramis porzuci wreszcie opończę muszkietera i włoży sutannę. Jedyne przyrzeczenie, które stale powtarzał młodzieniec, że ta chwila bez wątpienia nadejdzie, zatrzymywało Bazina w służbie muszkietera, choć obawiał się, że zagraża to zbawieniu jego duszy.

Bazin był więc u szczytu radości. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jego pan tym razem się nie cofnie. Połączenie cierpienia fizycznego z cierpieniem duchowym wywarło efekt od dawna spodziewany; Aramis cierpiąc na duchu i na ciele zwrócił wreszcie swą myśl i serce ku religii, to zaś,

co go spotkało, a mianowicie nagłe zniknięcie kochanki oraz ranę w ramię, uznał za ostrzeżenie niebios.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w tym stanie ducha, w jakim Bazin się teraz znajdował, nic nie mogło mu być bardziej niemiłe niż przybycie d'Artagnana, d'Artagnan bowiem mógł znowu wtrącić jego pana w wir myśli świeckich, które pochłaniały go tak długo. Postanowił zatem dzielnie bronić drzwi; ale zdradzony przez oberżystkę nie mógł powiedzieć, że Aramisa nie ma, spróbował więc wytłumaczyć nowo przybyłemu, iż byłoby szczytem nietaktu przeszkadzać jego panu w pobożnej dyspacie, którą rozpoczął z samego rana i która, zdaniem Bazina, skończy się dopiero wieczorem.

D'Artagnan nie zwracał jednak najmniejszej uwagi na wymowę imię Bazina, a ponieważ nie miał zamiaru wdawać się w polemiki ze sługą przyjaciela, odsunął go jedną ręką, drugą zaś nacisnął klamkę drzwi numer pięć.

Drzwi się otwarły i d'Artagnan wszedł do pokoju.

Aramis w czarnym kaftanie, z głową przyczesaną gładko i okrągło, co przypominało wcale dobrze czapkę zakonną, siedział przy podłużnym stole, na którym spoczywały zwoje papieru i olbrzymie foliały; po jego prawej stronie znajdował się przeor jezuitów, po lewej proboszcz z Montdidier. Okna były na wpół zasłonięte i do pokoju przedostawało się przyćmione światło sprzyjające świątobliwym rozmyślaniom. Wszystkie przedmioty świeckie, zatrzymujące spojrzenie, gdy wchodzi się do pokoju młodzieńca, a tym bardziej, młodego muszkietera, zniknęły jak zaczarowane; Bazin, zapewne z obawy, że widok szpady, pistoletów, kapelusza z piórami, haftów i koronek nasunie jego panu myśli światowe, schował je w ukryciu.

Zamiast nich d'Artagnan ujrzał w ciemnym kącie coś na kształt dyscypliny zawieszanej na gwoździu.

Na hałas otwieranych drzwi Aramis podniósł głowę i poznał przyjaciela. Ale ku wielkiemu zdumieniu młodzieńca, jego widok nie wywarł wielkiego wrażenia na muszkieterze, tak bardzo umysł Aramisa oderwany był od spraw ziemskich.

- Dzień dobry, drogi d'Artagnanie - rzekł Aramis - wierzaj mi, że jestem rad cię widzieć.

- Ja również, choć nie jestem całkiem pewien, czy mówię z Aramisem.

- Z nim samym, mój przyjacielu, z nim samym; czemuż o tym wątpiszz?...

- Przeląknęłam się, że zmyliłem numer pokoju, i wydało mi się wpierw, że wszedłem do mieszkania jakiegoś duchownego; potem popełniłem inny błąd widząc cię w towarzystwie tych panów; przyszło mi na myśl, że jesteś ciężko chory.

Dwaj czarno odziani mężczyźni zrozumieli aluzję d'Artagnana i spojrzeli na niego niemal groźnie; ale d'Artagnan nic sobie z tego nie robił.

- Może przeszkadzam ci, mój drogi Aramisie - ciągnął d'Artagnan - ponieważ z tego, co widzę, skłonny jestem sądzić, że spowiadasz się tym panom.

Aramis zaczerwienił się lekko.

- Ty mi przeszkadzasz? Przeciwnie, drogi przyjacielu, przysięgam. A na dowód pozwól mi powiedzieć, że rad jestem wielce widząc cię zdrowym i całym.

„Ach, nareszcie! - pomyślał d'Artagnan - nie jest więc z nim tak źle”.

- Albowiem ten młody człowiek, który jest moim przyjacielem, uniknął wielkiego niebezpieczeństwa - ciągnął z namaszczaniem Aramis zwracając się do duchownych i pokazując d'Artagnana palcem.

- Twoja rozprawa? Przygotowujesz więc rozprawę?

- Oczywiście - odparł jezuita - rozprawa jest wymagana przy egzaminie poprzedzającym święcenia.

- Święcenia! - zawołał d'Artagnan, który nie mógł uwierzyć w to, co mówiła mu gospodyni i Bazin. - Święcenia!

I powiódł zdumionymi oczyma po trzech osobach, które miał przed sobą.

- A zatem - ciągnął Aramis przybierając w swym fotelu pozę równie wdzięczną, jak gdyby był w alkowie, i przyglądając się z przyjemnością swojej ręce białej i gładkiej jak ręka kobieca, którą wznosił do góry, żeby odpłynęła z niej krew - a zatem, jakieś słyszał, d'Artagnanie, ksiądz przeor pragnie, by moja rozprawa była dogmatyczna, podczas gdy ja wolałbym, żeby miała charakter

idealny. Dlatego ksiądz przeor zaproponował mi temat jeszcze nie opracowany, w którym widzę materiał pełen wspaniałych możliwości:

Utraque manus in benedicendo cleńcis inferioribus necessaria est.

D'Artagnan, którego erudycję znamy, nie drgnął nawet, tak samo jak przy cytacie pana de Treville dotyczącym podarunków otrzymanych od księcia Buckingham.

- Co znaczy - rzekł Aramis, chcąc mu rzecz ułatwić – „Dwóch rąk trzeba kapłanom posiadającym niższe święcenia, kiedy udzielają błogosławieństwa”.

- Cudowny temat! - zawołał jezuita.

- Cudowny i dogmatyczny! - zawołał proboszcz, który tęgi w łacinie mniej więcej tak samo jak d'Artagnan, baczył pilnie, by nie pozostać w tyle za jezuitą, i powtarzał jego słowa niczym echo.

Jeśli idzie o d'Artagnana, pozostał całkowicie obojętny na entuzjazm duchownych.

- Tak, cudowny! Prorsus admirabile! - ciągnął Aramis - ale wymaga głębokich studiów nad Ojcami Kościoła i Pismem Świętym. Jakoż wyznałem tym uczonym kapłanom z całą pokorą, że noce spędzone na straży i służba dla króla zmusiły mnie do zaniedbania studiów. Czułbym się więc bardziej swobodnie, *facilius natans*, mając temat przez siebie wybrany, a mianowicie jakieś zagadnienie, którego związek z zasadniczymi zagadnieniami teologii byłby podobny do związku moralności z metafizyką w dziedzinie filozofii.

D'Artagnan nudził się śmiertelnie, proboszcz również.

- Proszę, jaki początek! - zawołał jezuita.

- Exordium - powtórzył ksiądz proboszcz, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Złóż dzięki Bogu, panie - odparli księza jednocześnie składając mu ukłon.

- Nie zapomniałem o tym, wielebni ojcowie - rzekł młodzieniec kłaniając się z kolei.

- Przychodzisz w porę, drogi d'Artagnanie - powiedział Aramis – biorąc bowiem udział w dyskusji, rzucisz na nią nowe światło. Wielebny przeor z Amiens, wielebny proboszcz z Montdidier i ja rozprawialiśmy o pewnych kwestiach teologicznych, zajmujących nas od dawna; byłbym zachwycony, gdybym mógł usłyszeć twe zdanie.

- W tych sprawach zdanie żołnierza nie ma wielkiej wagi - odparł d'Artagnan, którego obrót rozmowy zaczynał nieco niepokoić - i wierzaj mi, że możesz w tej materii zaufać wiedzy wielebnych ojców.

Dwaj księza w czerni skłonili się znowu.

- Przeciwnie - rzekł Aramis - twoje zdanie będzie dla nas cenne. Posłuchaj, o co chodzi: ksiądz przeor mniema, że moja rozprawa powinna być przede wszystkim dogmatyczna i dydaktyczna.

- Quemadmodum inter caelorum immensitatem.

Aramis spojrział ukradkiem na d'Artagnana i zauważył, że jego przyjaciel ziewa od ucha do ucha.

- Mówmy po francusku, mój ojciec - rzekł do jezuita - pan d'Artagnan łatwiej uchwyci sens naszych rozważań.

- Tak, jestem zmęczony podróżą - rzekł d'Artagnan - i łacina umyka mojej uwagi.

- Dobrze - rzekł jezuita trochę niezadowolony, podczas gdy proboszcz spojrział na d'Artagnana z wdzięcznością - zobaczmy więc, jakie korzyści można wyciągnąć z tego zdania.

- Mojżesz, sługa boży... jest tylko sługą, zwróć uwagę! Mojżesz błogosławi rękami; każe podtrzymywać sobie ręce, kiedy Hebrajczycy walczą z nieprzyjaciółmi; błogosławi więc dwiema rękami. Zresztą Ewangelia powiada: Imponite manus a nie manum - połóżcie ręce, a nie rękę.

- Połóżcie ręce - rzekł proboszcz czyniąc odpowiedni gest.

- Inaczej święty Piotr, którego następcami są papieże - ciągnął jezuita. - Pomge digitos. Połóżcie palce; rozumiesz teraz?

- Oczywiście - odparł Aramis z widocznym zadowoleniem - ale kwestia jest nader delikatna.

- Palce! - podjął jezuita - święty Piotr błogosławi palcami. Papież błogosławi również palcami. Iluż palcami błogosławi? Trzema: w imieniu Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Wszyscy się przeżegnali; d'Artagnan uznał za konieczne pójść w ślady reszty towarzystwa.

- Papież jest następcą świętego Piotra i reprezentuje trzy władze boskie; reszta, ordines inferiores hierarchii kościelnej, błogosławi w imieniu świętych archaniołów i aniołów. Najskromniejsi słudzy kościoła, jak nasi diakoni i zakrystianie, błogosławią kropidłem, które wyobraża niejako nieokreśloną liczbę palców błogosławiących. Tak więc wygląda to zagadnienie w uproszczeniu, argumentum omni denudatum ornamento. Mógłbym na ten temat - ciągnął jezuita - napisać dwa tomy tej wielkości.

I porwany zapalem uderzył w świętego Chryzostoma in folio, pod którego ciężarem uginał się stół.

D'Artagnan zadrzał.

- Bez wątplenia - rzekł Aramis - przyznaję, że temat jest piękny, uważam jednak, że przerasta moje siły. Wybrałem ten tekst, powiedz mi, drogi d'Artagnanie, czy ci się podoba: Nañ inutiie est desiderrum in oblatione albo lepiej jeszcze: „Niecō żalu przyjmie Pan chętnie w ofierze”.

- Stój! - zawołał jezuita - ten temat trąci herezją; podobne sformułowanie jest w Augustynie herezjarchy Janseniusa, którego dzieło prędzej czy później zostanie spalone na stosie. Miej się na baczności, mój młody przyjacielu; skłaniasz się ku fałszywym doktrynom, mój młody przyjacielu, zginiesz!

- Zginiesz - rzekł proboszcz opuszczając z boleścią głowę.

- Dotykasz tu sławnego zagadnienia wolnej woli, które jest groźną skałą; słuchasz wymysłów pelagijczyków i ludzi do nich zbliżonych.

- Ależ, wielbny ojciec... - wtrącił Aramis nieco oszołomiony gradem argumentów spadających na jego głowę.

- Jak udowodnisz - ciągnął jezuita nie dając mu czasu na odpowiedź – że należy żałować świata, kiedy człowiek ofiarowuje się Bogu? Zastanów się nad tym dylematem: Bóg jest Bogiem, a świat jest diabłem. Żałować świata, to żałować diabła; oto mój wniosek.

- Jest to również i mój wniosek - rzekł proboszcz.

- Ależ, proszę pozwolić... - rzekł Aramis.

- Desideras diabolum, nieszczęsny - zawołał jezuita.

- Żal mu diabła! Ach, mój młody przyjacielu - podjął proboszcz z jękiem – nie żałuj diabła, błagam cię o to.

D'Artagnan czuł się całkiem ogłupiały; wydawało mu się, że jest w domu obłąkanych i że oszaleje tak samo jak ci, których ma przed sobą. Musiał wszakże milczeć, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Ależ niech wielbny ojciec wysłucha mnie wreszcie - podjął Arami z uprzejmością, pod którą przebijało zniecierpliwienie - nie powiadam, że żałuję; nie, nie wygłoszę nigdy zdania, które nie byłoby zgodne z kanonami wiary...

Jezuita wznosił ręce ku niebu, proboszcz uczynił to samo.

- Nie, ale przyznajcie przynajmniej, że nie godzi się ofiarowywać Bogu tego, do czego jest się całkiem zniechęconym. Czy nie tak, d'Artagnanie?

- Ta racja wydaje mi się wyborna! - zawołał d'Artagnan.

Proboszcz i jezuita podskoczyli na krzesłach.

- Oto mój punkt wyjścia, jest to sylogizm: świat ma wiele powabów, porzucam świat, zatem czynię ofiarę, a przecie Pismo powiada wyraźnie: „Czyńcie ofiary Panu”.

- To prawda - powiedzieli przeciwnicy.

- A poza tym - ciągnął Aramis szczypiąc się w ucho, by się zaróżowiło, podobnie jak potrzasał rękami, by stały się białe - a poza tym ułożyłem rondo, które w ubiegłym roku przeczytałem panu Voiture; ten wielki człowiek bardzo je chwalił.

- Rondo! - rzekł pogardliwie jezuita.

- Rondo! - rzekł bezmyślnie proboszcz.

- Chcielibyśmy je usłyszeć - zawołał d'Artagnan - to nas nieco rozerwie.

- Nie, to wiersz religijny - odparł Aramis - teologia w rymach.

- Do licha! - zawołał d'Artagnan.

- Oto on - powiedział Aramis ze skromną miną, nie pozbawioną odrobiny hipokryzji:

Wy, co opłakujecie dawne dni promienne,

Wy, dźwigający z sobą trosk i nieszczęść wór,

Umilknie smutków waszych żałośliwy chór,

Gdy poświęćcie Bogu łzy wasze, tak cenne

Jak pereł sznur.

Proboszcz i d'Artagnan byli wzruszeni. Jezuita upierał się przy swoim.

- Strzeż się świeckich gustów w stylu teologicznym. Cóż bowiem mówi święty Augustyn? Seyerus sit dericorum sermo.

- Tak, niechaj kazanie będzie jasne! - rzekł proboszcz.

- A zatem - wtrącił szybko jezuita widząc, że jego sprzymierzeniec nieco się zaplątał - twój temat spodoba się damom, będzie miał powodzenie, jeśli użyje go w mowie sądowej mistrz Patru.

- Daj to Boże! - zawołał Aramis w uniesieniu.

- Widzisz sam - zawołał jezuita - świat przemawia jeszcze przez ciebie wielkim głosem, altissima voce. Świat cię nęci, mój młody przyjacielu, i obawiam się wielce, czy łaska będzie skuteczna.

- Pociesz się, ojciec wielbny, odpowiadam za siebie.

- Zadufanie światowe.

- Znam siebie, ojciec, moje postanowienie jest nieodwołalne.

- Zatem trwasz przy swoim temacie?

- Czuję się powołany do zajmowania się tym właśnie, a nie innym; będę więc pracował nadal i mam nadzieję, że wielbny ojciec będzie zadowolony z poprawek, jakie wprowadzę za jego radą.

- Pracuj powoli - rzekł proboszcz - zostawiamy cię w wybornym stanie ducha.

- Tak, grunt jest zasiany - dodał jezuita - i nie musimy się obawiać, że część ziarna upadła na kamień, inna rozsypała się wzdłuż drogi, a ptaki niebieskie zjadły resztę, aves coeli comederunt Ułam.

- Niech cię zaraza z tą twoją łaciną - jęknął d'Artagnan, czując, że jest u kresu sił.

- Do widzenia, mój synu, do jutra - rzekł proboszcz.

- Do jutra, młody wietrzniku - powiedział jezuita - zapowiadasz się na jedną z gwiazd Kościoła; niechaj nieba sprawią, żeby światło tej gwiazdy nie było trawiącym ogniem.

D'Artagnan, który przez godzinę z niecierpliwością obgryzał paznokcie, zaczął się już zabierać do palców.

Dwaj kapłani w czerni wstali, skłonili się Aramisowi i d'Artagnanowi i skierowali się ku drzwiom. Bazin, który stał przy drzwiach i słuchał tej dysputy z pobożną radością, podskoczył ku drzwiom, wziął brewiarz proboszcza, mszał jezuitę i torując im drogę ruszył przed nimi z wielkim szacunkiem.

Aramis odprowadził księży na dół i wrócił zaraz do d'Artagnana, który był wciąż jeszcze jak we śnie.

Przyjaciele przez pewien czas milczeli zakłopotani: jednak któryś z nich musiał przerwać tę ciszę pierwszy, a że d'Artagnan nie bardzo się kwapił,

Aramis rzekł w te słowa:

- Jak widzisz, wróciłem do moich dawnych zamiarów.

- Tak, doznałeś skutecznej łaski, jak mówił ten ksiądz przed chwilą.

- O, myślałem o klasztorze od dawna; słyszałeś przecie, że mówiłem o tym, prawda, mój przyjacielu?
- Tak, ale przypuszczałem, że żartujesz.
- Żartować w tych sprawach! Och, d'Artagnanie!
- Do licha, nieźle żartuje się ze śmiercią!
- Bardzo źle, d'Artagnanie, ponieważ śmierć jest bramą, wiodącą do zguby lub do zbawienia.
- Zgoda, ale jeśli łaska, nie rozprawiajmy o teologii, Aramisie; powinieneś mieć tego dosyć na resztę dnia. Co do mnie, niemal całkiem zapomniałem łaciny, a nigdy nie znałem jej dobrze, poza tym, muszę ci wyznać, nie jadłem od dziesiątej rano i jestem głodny jak wilk.
- Wkrótce zjemy kolację, drogi przyjacielu, zapamiętaj jednak, że dziś jest piątek, a więc dzień, kiedy nie mogę ani jeść, ani patrzeć na mięso. Jeśli zechcesz się zadowolić moim obiadem, proszę cię bardzo, składa się z gotowanej zieleniny i owoców.
- Co rozumiesz przez zieleninę? - zapytał d'Artagnan z niepokojem.
- Szpinak - wyjaśnił Aramis - ale ze względu na ciebie dodam jaja, choć jest to poważne naruszenie reguły, jako że jaja to mięso, skoro z jaja wykrawa się kurczę.
- Uczta nie będzie nazbyt obfita, ale mniejsza o to, przystaję, żeby zostać z tobą.
- Wdzięczny ci jestem za poświęcenie - rzekł Aramis - i jeśli ten posiłek nie przyniesie pożytku twemu ciału, bez wątpienia będzie pożyteczny dla twojej duszy.
- A zatem, Aramisie, wstępujesz do zakonu. Co powiedzą twoi przyjaciele, co powie pan de Treville? Uprzedzam, że uznają cię za dezertera.
- Rzecz wygląda nieco inaczej, wracam do Kościoła. Porzuciłem Kościół dla świata, wiesz bowiem dobrze, że zadałem sobie gwałt wkładając opończę muszkietera.
- Nic o tym nie wiem.
- Nie wiesz, jak porzuciłem seminarium?
- Nic zgoła.
- Oto moja historia. Zresztą Pismo Święte powiada: „Spowiadajcie się jedni przed drugimi”, spowiadam się więc przed tobą, d'Artagnanie.
- A ja daję ci z góry rozgrzeszenie; sam widzisz, że jestem poczciwym człowiekiem.

- Nie pokpiwaj sobie z rzeczy świętych, mój przyjacielu.

- Mów, słucham cię.

- Byłem w seminarium od dziewiątego roku życia, miałem skończyć za trzy dni dwadzieścia lat i zostać księdzem, wszystko już było ułożone. Pewnego dnia, kiedy udałem się jak zawsze do domu, gdzie bywałem z przy jednością - cóż, jest się młodym, jest się słabym - pewien oficer, który patrzył zawistnym okiem, że czytam „Żywoty Świętych” pani domu, wszedł nagle i bez oznajmienia. Właśnie tego wieczora przełożyłem epizod o Judycie i czytałem moje wiersze damie, a ona nie szczędziła mi pochwał i wsparta o moje ramię odczytywała je na nowo wraz ze mną. Jej poza, nieco swobodna, muszę przyznać, nie spodobała się oficerowi; nie powiedział nic, ale kiedy wychodziłem, poszedł za mną i rzekł

- Mój księżu, czy lubisz kije?

- Nie potrafię odpowiedzieć - rzekłem - bo jak dotychczas nikt jeszcze nie ośmielił się mnie uderzyć.

- Zapamiętaj więc sobie, mój księżu, że jeśli pojawisz się raz jeszcze w domu, gdzie spotkałem cię dzisiaj, ja się ośmielę.

Myślę, że przeląknęłem się; zbladłem mocno, czułem, że nogi uginają się pode mną, szukałem odpowiedzi, ale jej nie znalazłem i nie powiedziałem ani słowa.

Oficer czekał na odpowiedź i widząc, że milczę, zaczął się śmiać, odwrócił się do mnie plecami i Wszedł do domu. Ja wróciłem do seminarium.

Jestem z dobrej szlachty i krew mam gorącą, jak to mogłeś zauważyć, drogi d'Artagnanie; zniewaga była straszna i choć nikt jej nie słyszał, czułem ją w głębi serca. Powiedziałem przełożonym, że nie czuję się dostatecznie przygotowany do święceń, i na moje żądanie odłożono ceremonię na rok.

Udałem się wówczas do najlepszego fechtmistrza w Paryżu, umówiłem się, że codziennie będę brał u niego lekcje, i istotnie brałem je co dzień przez rok. Za czym w rocznicę tego dnia, kiedy zostałem znieważony, powiesiłem sutannę na kołku, włożyłem strój kawalerski i udałem się na bal do znajomej damy, gdzie spodziewałem się spotkać mego wroga. Było to przy ulicy Francs-Bourgeois, obok La Force. Mój oficer tam był; podszedłem do niego, kiedy śpiewał rzewną pieśń miłosną spoglądając czule na pewną damę, i przerwałem mu w samym środku drugiej zwrotki.

- Panie - powiedziałem - czy wciąż nie podoba się panu, bym bywał w pewnym domu przy ulicy Payenne, i czy wciąż masz ochotę dać mi kije, gdybym zechciał cię nie usłuchać?

Oficer spojrział na mnie ze zdumieniem, potem powiedział:

- Czego pan sobie życzy, panie? Nie znam pana.

- Jestem - odparłem - owym księżykiem, który czytał „Żywoty Świętych” i tłumaczył Judytę wierszem.

- Ach tak? Przypominam sobie - rzekł oficer z kpina - czegoż pan chce ode mnie?

- Chcę, żebyś zechciał wyjść ze mną na chwilę.

- Jutro rano, jeśli to panu dogadza, z największą przyjemnością.

- Nie jutro rano, ale natychmiast, jeśli łaska,

- Jeśli pan tego żąda...

- Tak, żądam tego.

- Wyjdźmy zatem, a panie niechaj sobie nie przeszkadzają – powiedział oficer. - Trzeba mi tylko chwilki, by zabić tego pana, wrócę zaraz skończyć ostatnią zwrotkę.

Wyszliśmy.

- Zaprowadziłem go na ulicę Payenne, na to samo miejsce, gdzie przed rokiem o tej samej godzinie powiedział mi owe miłe słowa, które ci powtórzyłem. Była cudowna noc księżycowa. Wzięliśmy szpady do ręki i przy pierwszym złożeniu zadałem mu cios śmiertelny.

- Do licha! - rzekł d'Artagnan.

- Ale - ciągnął Aramis - jako że śpiewak nie powrócił do dam i znaleziono go przy ulicy Payenne przebitego szpadą, pomyślano, że to dzieło mojej ręki, i zrobił się huczek. Musiałem więc na pewien czas wyrzec się sutanny. Atos, którego poznałem podówczas, i Portos, który poza lekcjami fechtunku nauczył mnie kilku zacnych pchnięć, skłonili mnie, bym wstąpił do muszkieterów. Król bardzo lubił

mego ojca, zabitego przy oblężeniu Arras, zaszczycono mnie więc opończą muszkietera. Rozumiesz teraz, że dziś jest właściwa chwila, bym powrócił na łono Kościoła.

- A dlaczego dziś właśnie, a nie wczoraj lub jutro? Co takiego stało się dziś, że takie ponure myśli przychodzą ci do głowy?

- Ta rana, mój drogi d'Artagnanie, stała się dla mnie ostrzeżeniem z nieba.

- Ta rana? Przecież jest niemal zaleczona i wiem zresztą, że nie przez nią cierpiałeś najwięcej.

- Co masz na myśli? - zapytał Aramis okrywając się rumieńcem.

- Masz ranę w sercu, Aramisie, bardziej bolesną i krwawą, ranę zadaną przez kobietę.

Oko Aramisa zabłysło.

- Ach - rzekł ukrywając wzruszenie pod maską obojętności - nie mów mi o tych rzeczach, ja miałbym o nich myśleć? Cierpieć z miłości? Vaniras yamtatum! Więc wedle ciebie ktoś zawrócił mi w głowie? I to kto, jakaś szwaczka, pokojówka, do której zalecałem się na jakimś postoju? Fe!

- Wybacz, mój drogi Aramisie, ale sądziłem, że wyżej mierzysz.

- Wyżej? A kimże jesteś, by mieć tyle pychy? Ja, biedny muszkieter, ciemny, niewykształcony, co nie znosi poddaństwa, a tak skromne miejsce zajmuje w świecie?

- Aramisie, Aramisie - zawołał d'Artagnan spoglądając na przyjaciela z niedowierzaniem.

- Prochem jestem i w proch się obrócę. Życie pełne jest upokorzeń i cierpień - ciągnął z ponurą miną - wszystkie nici wiodące do szczęścia rwą się w rękę człowieka, a najbardziej złote nici. O, mój drogi d'Artagnanie - rzekł Arami z lekkim odcieniem goryczy w głosie - wierzaj mi, ukrywaj swoje rany.

Milczenie jest ostatnią radością nieszczęśliwych; strzeż się, by ktokolwiek poznał twoje cierpienie, bo ciekawość ludzka pije nasze łzy jak muchy krew rannego jelenia.

- Niestety, drogi Aramisie - odparł d'Artagnan z głębokim westchnieniem - opowiadasz mi moją własną historię.

- Jakże to?

- Tak, kobieta, którą kocham, którą wielbię, została porwana. Nie wiem, gdzie jest, dokąd ją uprowadzono, może jest uwięziona, może już nie żyje.

- Ale masz przynajmniej tę pociechę, że możesz sobie powiedzieć: nie porzuciła mnie z własnej woli; jeśli nie mam od niej wiadomości, to dlatego, że nie wolno jej pisać, podczas gdy...

- Podczas gdy...

- Nic - rzekł Aramis - nic.

- A zatem wyrzekasz się świata na zawsze; to twoje postanowienie, nieodwołalna decyzja?

- Na zawsze. Dziś jesteś moim przyjacielem, jutro będziesz tylko cieniem lub raczej nie będziesz istniał wcale. Świat jest grobem, niczym więcej.

- Do kroćset! Bardzo to smutne, co mi powiadasz.

- Czego chcesz, idę za głosem mego powołania.

D'Artagnan uśmiechnął się i nic nie odpowiedział. Aramis ciągnął dalej:

- Ale póki jeszcze jestem związany ze sprawami tej ziemi, chciałbym mówić o tobie, o naszych przyjaciółach.

- A ja - rzekł d'Artagnan - chciałbym mówić o tobie, ale nic cię to nie obchodzi; gardzisz miłością; przyjaciele są cieniami, świat grobem.

- Niestety, sam się o tym przekonasz - rzekł Aramis z westchnieniem.

- Nie mówmy o tym więcej - powiedział d'Artagnan - i spalmy ten list, który zapewne donosi ci o nowej niewierności twej szwaczki czy pokojówki.

- Jaki list? - zawołał żywo Aramis.

- List, który przyszedł podczas twej nieobecności i który mam ci doręczyć.

- Ale od kogo jest ten list?

- Och, od jakiejś zapłakanej szwaczki czy zrozpaczonej pokojówki, może od pokojówki pani de Chevreuse, która musiała wrócić do Tours ze swoją panią i pragnąc dodać sobie splendoru wzięła perfumowany papier i zapieczętowała list herbem z mitrą książęcą.

- Co powiadasz?

- Masz tobie, zgubiłem go! - rzekł chytrze młodzieniec udając, że szuka listu, - Na szczęście świat jest grobem, ludzie, a więc i kobiety, cieniami, a miłość uczuciem, którym gardzisz.

- Ach, d'Artagnanie, d'Artagnanie - zawołał Aramis - zabijasz mnie!

- Nareszcie, oto jest - rzekł d'Artagnan.

I wyciągnął list z kieszeni.

Aramis skoczył, porwał list i przeczytał go lub raczej pochłonał; jego twarz promieniała.

- Zdaje się, że pokojówka ma piękny styl - powiedział niedbale d'Artagnan.

- Dzięki, d'Artagnanie - zawołał Aramis na wpół przytomny. - Musiała wrócić do Tours; jest mi

wierna, kocha mnie! Pójdź, mój przyjacielu, niech cię uścisnę! Szczęście mnie rozpiera!

I dwaj przyjaciele puścili się w tany wokół szacownego św. Chryzostoma, dzielnie tratując karty uczonej rozprawy, które spadły na podłogę.

W tej chwili wszedł Bazin ze szpinakiem i omletem.

- Uciekaj stąd, nieszczęsny! - zawołał Aramis ciskając mu w twarz swą zakonną czapeczkę - wracaj, skąd przyszedłeś, i zabieraj mi z oczu te okropne jarzyny i to straszne danie! Zamów szpikowanego zająca, tłustego kapłona, pieczeń baranią z czosnkiem i cztery butelki starego burgunda.

Bazin spoglądał na swego pana nic nie rozumiejąc z tej zmiany, po czym opuścił melancholijnie omlet na szpinak, a szpinak na podłogę.

- Oto chwila właściwa, byś poświęcił swe życie Królowi Królów – powiedział d'Artagnan - jeśli chcesz mu naprawdę wyświadczyć uprzejmość: Non inutiie desideñum in oblatione.

- Idźże do diabła ze swoją łaciną; mój drogi d'Artagnanie, pijmy, pijmy tęgo, pijmy dużo i powiedz mi, co słyhać na świecie

XXVII.

ŻONA ATOSA

Teraz trzeba będzie się dowiedzieć, co się dzieje z Atosem - rzekł d'Artagnan do wesołego Aramisa, kiedy opowiedział mu, co się stało w stolicy po ich wyjeździe; doskonała kolacja pozwoliła już zapomnieć jednemu o rozprawie, a drugiemu o zmęczeniu.

- Przypuszczasz więc, że przydarzyło mu się nieszczęście? - zapytał Aramis. - Atos jest tak opanowany, tak dzielny, tak świetnie włada szpadą!

- Tak, to prawda, nikt bardziej ode mnie nie ceni odwagi i zręczności Atosa, ale wolę, by atakowano mnie lancą aniżeli kijami; obawiam się, że Atos został pobity przez hołotę, a tacy biją mocno i nie kończą .prędko. Oto dlaczego chciałbym wyruszyć jak najszybciej.

- Chciałbym pojechać z tobą - rzekł Aramis - choć nie wiem, czy potrafię dosiąść konia. Wczoraj spróbowałem na sobie tej dyscypliny, którą widzisz na ścianie, ale ból przeszkodził mi kontynuować te pobożne ćwiczenia.

- Bo widzisz, mój drogi przyjacielu, nigdy nie leczy się rany od kuli uderzeniami rzemienia; ale byłeś chory, choroba osłabia umysł, i to cię usprawiedliwia.

- Kiedy wyruszasz?
- Jutro o wschodzie słońca; odpocznij dobrze tej nocy, a jutro, jeśli będziesz mógł, pojedziemy razem.
- Do jutra więc - rzekł Aramis - choć jesteś z żelaza, trzeba ci przecie odpoczynku.
- Nazajutrz, kiedy d'Artagnan wszedł do pokoju Aramisa, zastał go stojącego przy oknie.
- No co tak patrzysz? - zapytał d'Artagnan.
- Podziwiam te trzy wspaniałe konie, które stajenni trzymają za cugle; to zaiste królewska przyjemność jeździć na takim wierzchowcu.
- No cóż, mój drogi Aramisie, zaznasz tej przyjemności, jeden z tych koni należy do ciebie.
- Co? Który?
- Ten, którego sobie wybierzesz, mnie jest wszystko jedno.
- A bogaty czaprak na nim również do mnie należy?
- Oczywiście.
- Kpisz, d'Artagnanie.
- Nie kpię, odkąd poniechałeś łaciny.
- Więc moje są te złocone olstra, ten aksamitny czaprak i siodło nabijane srebrem?
- Twoje, ten drugi koń, który przebiera nogami, jest mój, a ten, co podskakuje, Atosa.
- Do licha, to wspaniałe rumaki!
- Jestem zachwycony, że ci się podobają.
- To od króla otrzymałeś ten prezent?
- Na pewno nie od kardynała, ale nie troszcz się o to, skąd się wzięły, i myśl tylko o tym, że jeden z nich jest twoją własnością.
- Biorę tego, którego trzyma rudy pachołek.
- Wybornie.

- Mocny Boże - zawołał Aramis - oto najlepsze lekarstwo na mój ból; wsiadłbym na takiego konia z trzydziestu kulami w brzuchu. Ach, na mą duszę, jakie piękne strzemiona! Hola, Bazin, chodź tu, a żywo!

Ponury i zbolały Bazin ukazał się w drzwiach.

- Włóż moją szpadę do pochwy, przygotuj kapelusz, wyczyść płaszcz i załaduj pistolety - rozkazał Aramis.

- To ostatnie polecenie jest zbyteczne - przerwał d'Artagnan - w olstrach masz załadowane pistolety.

Bazin westchnął.

- Nuże, panie Bazin, uspokój się - powiedział d'Artagnan - królestwo boże można zdobyć w każdych warunkach.

- Mój pan był już tak dobrym teologiem - rzekł Bazin niemal z płaczem - zostałby biskupem, kardynałem może.

- No, mój biedny Bazin, proszę, zastanów się trochę; cóż z tego, że byłby księdzem? Nie unika się przez to wojny. Wiesz przecie, że kardynał ruszy do walki w szyszaku na głowie i z oszczepem w rękę. A co powiesz o panu de Nogaret de la Yalette? Jest także kardynałem; zapytaj jego lokaja, ile razy robił mu opatrunki.

- Niestety - westchnął Bazin - wiem o tym, panie, dziś świat jest przewrócony do góry nogami.

Tak rozmawiając młodzi ludzie i służący zeszli na dół.

- Przytrzymaj mi strzemię, Bazin - rzekł Aramis.

I wskoczył na siodło ze zwykłą mu lekkością i gracją; ale po kilku skokach szlachetnego zwierzęcia jeździec poczuł tak nieznośny ból, że zbladł i zachwiał się. D'Artagnan, przypuszczając zawczasu, że do tego dojdzie, nie spuszczał z Aramisa oka; skoczył ku niemu, pochwycił go w ramiona i odprowadził do pokoju.

- Trudno, mój drogi Aramisie, musisz się leczyć, pojedę sam szukać Atosa.

- Jesteś człowiekiem ze spiżu - rzekł Aramis.

- Nie, mam tylko szczęście; ale jakże będziesz żył teraz czekając na mnie? Żadnych rozważań o palcach i błogosławieństwach, co?

Aramis uśmiechnął się.

- Będę. układał wiersze - rzekł.

- Tak, wiersze pachnące niczym bilecik pokojowej pani de Chevreuse. Naucz prozodii Bazina, to go pocieszy. Dosiadaj też co dzień konia, a przywykniesz rychło.

- O, możesz być spokojny - odparł Aramis - kiedy wrócisz, będę gotów do podróży.

Pożegnali się, d'Artagnan polecił przyjaciela opiece Bazina i oberżystki, i w dziesięć minut potem jechał kłusem w kierunku Amiens.

Co się dzieje z Atosem i czy w ogóle go znajdzie?

Zostawił go w trudnej sytuacji, łatwo mogli sobie dać z nim radę. Ta myśl zachmurzyła młodzieńcowi czoło i wydarła kilka westchnień; szeptem poprzysiął zemstę. Ze wszystkich przyjaciół Atos był najstarszy, a więc z pozoru najmniej mu bliski w gustach i upodobaniach.

Jednakże d'Artagnan miał dla tego szlachcica szczególne uczucie. Szlachetne i wykwintne wzięcie Atosa, błysk wielkości migocący niekiedy z cienia, w jakim ukrył się z własnej woli, niewzruszony spokój, czyniący obcowanie z nim tak łatwym, dowcip ostry i zjadliwy, brawura, którą nazwałbyś ślepą, gdyby nie była skutkiem najzimniejszej rozwagi, wszystkie te zalety budziły w d'Artagnanie nie tylko szacunek i przyjaźń, ale i podziw.

W istocie, jeśli porównywał Atosa, gdy był on w dobrym humorze, z panem de Treville nawet, dworzaniem eleganckim i szlachetnym, muszkieter wychodził z tego porównania obronną ręką; był średniego wzrostu, ale tak doskonale i proporcjonalnie zbudowany, że niejedną raz w walkach z Portosem kładł tego olbrzyma, którego siła fizyczna stała się wśród muszkieterów przysłowiowa;

twarz Atosa o przenikliwych oczach, prostym nosie i brodzie zarysowanej jak u Brutusa, miała wdzięk i znamię osobliwej wielkości; jego ręce, chociaż nie dbał o nie wcale, doprowadzały do rozpaczki Aramisa, który używał stale maści migdałowej i wonnej oliwy; głos miał jasny i melodyjny; lecz najbardziej zdumiewająca u tego człowieka, który pragnął pozostać w cieniu, była znajomość obyczajów światowych i manier najlepszego towarzystwa, i ów widoczny w najdrobniejszym nawet geście sposób bycia, jaki wynosi się z dobrego domu.

Jeśli chodzi na przykład o ucztę, Atos wiedział zawsze, gdzie umieścić każdego biesiadnika, mając na uwadze jego urodzenie i pozycję w świecie.

Orientował się doskonale w heraldyce, znał całą szlachtę królestwa, genealogię, pokrewieństwa, herby i pochodzenie herbów. Etykieta nie miała dla niego tajemnic, znał uprawnienia wielkich właścicieli ziemskich, znał się wybornie na myślistwie i polowaniu z sokołami, i pewnego dnia, mówiąc o tej wielkiej sztuce, zadziwił Ludwika XIII uchodzącego za mistrza w tej dziedzinie.

Jak wszyscy wielcy panowie w owej epoce, znakomicie jeździł konno i świetnie posługiwał się bronią. Co więcej, odebrał tak staranne wychowanie, nawet w zakresie nauk scholastycznych, mało znanych szlachcie ówczesnej, że uśmiechał się, kiedy Portos udawał, że rozumie łacińskie cytaty Aramisa; kilka razy nawet, ku wielkiemu zdumieniu przyjaciół, poprawiał Aramisa, kiedy ten

ostatni popełnił jaki błąd w deklinacji czy koniugacji. Co więcej, był nieskazitelnie uczciwy, rzecz dość osobliwa w czasach, kiedy rycerze tak łatwo frymarczyli religią i sumieniem, kochankowie niezbyt przestrzegali delikatności obowiązującej dzisiaj, a biedacy nie zawsze byli w zgodzie z siódmym przykazaniem bożym. Atos był więc niezwykłym człowiekiem.

A jednak można było zauważyć, że ta wyjątkowa natura, istota tak piękna i subtelna, nie jest bez skazy. W godzinach przygnębienia, a godziny te były częste, Atos gasł i pogrążał się jak gdyby w głębokich ciemnościach.

Wówczas na miejscu półboga zjawiał się człowiek daleki od człowieczeństwa nawet. Z głową opuszczoną, przygaszonym wzrokiem, mówiąc z trudem, spoglądał przez długie godziny na butelkę i szklankę albo na Grimauda, który przyzwyczajony do rozumienia gestów swego pana, czytał w jego oczach najdrobniejsze życzenia i wypełniał je natychmiast. Jeśli czterej przyjaciele spotykali się w takich chwilach, jedno słowo wypowiedziane z wielkim wysiłkiem było całym wkładem Atosa do rozmowy. W zamian za to Atos sam pił za czterech, marszcząc coraz bardziej brwi i popadając w coraz większy smutek.

D'Artagnan, którego dociekliwy i ciekawy umysł znamy, nie potrafił, choć bardzo się o to starał, zaspokoić swej ciekawości i wyjaśnić przyczyn tego przygnębienia ani okoliczności mu towarzyszących. Atos nie otrzymywał żadnych listów i nie czynił nic, o czym nie wiedzieliby jego przyjaciele.

Nie można powiedzieć, że do smutku doprowadziło go wino, pił bowiem po to, by wyzwolić się od smutku, ale ten środek, jak powiedzieliśmy, pogłębiał tylko jego melancholię. Nie można też było przypisać ponurych humorów grze, bo w przeciwieństwie do Portosa, który radował się lub przeklinał swe szczęście czy nieszczęście w grze, Atos pozostawał równie obojętny na wygraną, jak i na przegraną. Pewnego wieczora wygrał w towarzystwie muszkieterów tysiąc pistoli, po czym przegrał je wraz ze swym pasem haftowanym złotem, który wkładał od święta, wreszcie odegrał się znowu, zdobywając ponadto jeszcze sto luidorów, a jego piękne brwi nie drgnęły, jego ręce perłowej barwy nie zmieniły koloru, a słowa, jakie mówił, były uprzejme i spokojne jak zwykle.

Nie był to również, jak u naszych sąsiadów Anglików, wpływ pogody, która ściiera uśmiech z twarzy, ponieważ ów smutek stawał się bardziej jeszcze widoczny podczas najpiękniejszych dni w roku; czerwiec i lipiec były dla Atosa miesiącami straszliwymi.

Nie miał kłopotów, jeśli idzie o terażniejszość, i wzruszał ramionami, gdy pytano go o przyszłość; jego tajemnica dotyczyła więc przeszłości, jak powiedziano d'Artagnanowi.

Odcień tajemnicy czynił jeszcze bardziej interesującym tego człowieka, którego oczy i usta nie zdradzały nigdy, nawet gdy był całkiem pijany, a pytanie zwrócone do niego najzręczniejszym sformułowane.

- Tak - myślał głośno d'Artagnan - biedny Atos nie żyje już być może, i to z mojej winy, ponieważ ja go wciągnąłem do sprawy, której przyczyn nie zna, której wyników nie pozna i która nie daje mu żadnych korzyści.

- Nie mówiąc o tym, panie - odparł Planchet - że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zawdzięczamy mu życie. Pamięta pan, jak wołał: „Pochwycili mnie, pędź, d'Artagnanie, co koń

wyskoczy!” A potem, kiedy nie miał już kul w pistoletach, ile zamieszania narobił swoją szpadą! Można by pomyśleć, że to nie jeden człowiek, ale dwudziestu ludzi lub raczej dwudziestu rozwścieczonych diabłów!

Te słowa podwajały jeszcze zapal d'Artagnana, który kłuł ostrogami konia bez żadnej potrzeby, wierzchowiec bowiem mknął galopem.

Około godziny jedenastej przed południem ujrzeni Amiens; o wpół do dwunastej byli przy bramie przeklętej oberży.

D'Artagnan często myślał o srogiej karze dla podstępного oberżysty, nadzieja zemsty jest już bowiem pociechą. Wszedł więc do oberży z kapeluszem nasuniętym na oczy i z lewą ręką na gardzie szpady, w prawej zaś trzymał szpicrutę, którą ze świstem przecinał powietrze.

- Czy pan mnie poznajesz? - rzekł do gospodarza, który zbliżył się, żeby go powitać.

- Nie mam zaszczytu znać Waszej Miłości - odparł oberżysta olśniony świetnością przybyłego pana i jego koni.

- Ach, więc mnie nie znasz! .

- Nie, Wasza Miłość.

- Dobrze, kilka słów przywróci ci pamięć. Co uczyniłeś z tym szlachcicem, któremu przed dwu tygodniami mniej więcej miałeś czelność zarzucać fałszerstwo pieniędzy?

Oberżysta zbladł, d'Artagnan bowiem przybrał najgroźniejszą postawę, a Planchet naśladował swego pana.

- Ach, Wasza Miłość, proszę nie mówić o tym! - zawołał gospodarz płaczącym głosem. - Ach, Panie Boże, jak drogo zapłaciłem za swój błąd! Ach, ja nieszczęsny!

- Powtarzam; co się stało z tym szlachcicem?

- Zechciej mnie wysłuchać, szlachetny panie, i bądź wyrozumiały. Raczej usiąść, jeśli łaska.

D'Artagnan, niemy z gniewu i niepokoju, usiadł groźny jak sędzia. Planchet oparł się dumnie o jego fotel.

- Oto jak się rzecz miała, panie - podjął oberżysta drżąc ze strachu – teraz poznaję pana; pan odjechał właśnie wtedy, gdy doszło do tego nieszczęsnego zajścia ze szlachcicem, o którym mówisz.

- Tak, to ja; widzisz więc dobrze, że nie możesz spodziewać się łaski, jeśli nie powiesz mi całej prawdy.

- Zechciej mnie wysłuchać, panie, a usłyszysz tylko prawdę.

- Słucham.

- Zostałem uprzedzony przez władze, że pewien sławny fałszerz pieniędzy przybędzie do mojej oberży wraz z towarzyszami; mieli być przebrani za gwardzistów lub muszkieterów. Wasze konie, wasi służący, wasze twarze, panowie, wszystko zostało opisane.

- Co dalej? - rzekł d'Artagnan, który rychło zrozumiał, skąd pochodzi ten dokładny opis.

- Zgodnie więc z rozkazami władz, które przysłały mi pomoc w liczbie sześciu ludzi, przedsięwzięłem środki, jakie wydawały mi się konieczne dla zabezpieczenia się przed rzekomymi fałszerzami.

- Znowu! - zawołał d'Artagnan, dla którego słowo „fałszerze” brzmiało wielce nieprzyjemnie.

- Wybacz mi, Wasza Miłość, że mówię takie rzeczy, ale one właśnie mnie tłumaczą. Władze mnie nastraszyły, a pan wie, że oberżysta musi się liczyć z władzami.

- Ale raz jeszcze pytam: gdzie jest ten szlachcic? Co się z nim stało? Żyje czy umarł?

- Cierpliwości, panie, zaraz, zaraz. Stało się więc to, o czym pan wie i co potwierdził pański szybki odjazd - rzekł gospodarz sprytnie (nie uszło to uwagi d'Artagnana). - Ten szlachcic, przyjaciel pana,

bronił się rozpaczliwie; jego służący, który fatalnym zbiegiem okoliczności pokłócił się z przedstawicielami władz, przebranymi za stajennych...

- Ach, hultaju! - zawołał d'Artagnan. - Wszyscy byliście w zмовie i nie wiem doprawdy, dlaczego nie zabiłem jeszcze was wszystkich, jak tu jesteście!

- Ach, nie, panie, nie byliśmy w znowie, jak się pan o tym przekona. Pański przyjaciel (przepraszam, że nie wymieniam jego szacownego nazwiska, ale nie znam go), pański przyjaciel położył dwóch ludzi wystrzałami z pistoletów i zaczął się cofać broniąc się szpadą, przy czym zranił jednego z moich ludzi, a mnie samego ogłuszył uderzeniem szpady.

- Czy skończysz wreszcie, łajdaku! - rzekł d'Artagnan. - Atos, co się stało z Atosem?

- Cofając się, jak powiedziałem, znalazł się przy schodach do piwnicy; drzwi były otwarte, wyjął klucz i zabarykadował się w środku. Ponieważ byliśmy pewni, że nam nie umknie, pozostawiliśmy go w spokoju.

- Tak - rzekł d'Artagnan - nie chodziło o to, by go zabić, lecz o to, by go uwięzić.

- Boże sprawiedliwy! Uwięzić, Wasza Miłość? Sam się przecie uwięził, przysięgam. Przedtem zaś dokonał strasznego spustoszenia, jednego człowieka położył na miejscu, dwaj inni zostali ciężko ranni. Trupa i dwóch rannych zabrali towarzysze i odtąd nie słyszałem ani o jednych, ani o drugich. Gdy wróciłem do przytomności, udałem się do pana zarządcy, któremu opowiedziałem wszystko,

co zaszło; zapytałem go również, co mam uczynić z więźniem. Ale pan zarządca miał taką minę, jakby spadł z nieba; powiedział mi, że nie wie o niczym, że rozkazy, jakie otrzymałem, nie pochodzą od niego i jeśli ośmielę się pisać, że ma coś wspólnego z tą bijatyką, każe mnie powiesić. Wynikało z tego, że się omyliłem, panie, że zatrzymałem kogo innego i że ten, kogo miałem zatrzymać, uciekł.

- Ale Atos - zawołał d'Artagnan, którego niecierpliwość wzrosła jeszcze, gdy usłyszał o obojętności władz wobec sprawy. - Co się stało z Atosem?

- Ponieważ spieszno mi było naprawić swój błąd wobec więźnia – rzekł oberżysta - udałem się do piwnicy, by go wypuścić na wolność. Ach, panie, to nie człowiek, to diabeł. Na moją propozycję oświadczył, że to nic innego jak pułapka i że zanim wyjdzie, żąda wypełnienia postawionych przez siebie warunków. Odrzekłem pokornie, że gotów jestem wypełnić jego warunki, ponieważ wiedziałem, że źle ze mną, skoro podniosłem rękę na muszkietera Jego Królewskiej Mości. „Przed wszystkim żądam, by przyszedł tu do mnie mój służący w pełnym uzbrojeniu” - oświadczył. Co szybciej wykonano ten rozkaz; sam pan rozumie, że skłonni byliśmy uczynić wszystko, czego zapragnie pański przyjaciel. Pan Grimaud (powiedział nam bowiem swoje imię, choć nie mówi dużo) pan Grimaud zszedł do piwnicy, choć był ranny; ale kiedy się tam znalazł, jego pan zabarykadował drzwi i kazał nam pozostać na górze.

- Ale gdzie jest Atos, u licha! - zawołał d'Artagnan. - Gdzie jest Atos?

- W piwnicy, panie.

- Jak to, nędzniku, trzymacie go w piwnicy tyle czasu?

- Boże miłościwy! Nie, panie. My mielibyśmy go trzymać w piwnicy! Nie wie pan więc, co on robi

w piwnicy? Ach, gdybyś go skłonił do wyjścia, panie, byłbym ci wdzięczny przez całe życie, czciłbym cię jak mego patrona.

- Więc tam jest? Znajdę go tam?

- Oczywiście, panie; uparł się, żeby tam zostać. Co dzień podajemy mu przez okienko chleb na widłach i mięso, jeśli go zażąda, lecz niestety, nie chleb i nie mięso stanowią główne jego pożywienie. Pewnego razu próbowałem zejść do piwnicy z dwoma pachołkami, ale wpadł w straszliwy gniew. Usłyszałem, jak ładuje pistolety, a jego służący muszkiet. Potem, kiedy zapytaliśmy, jakie są ich

zamiary, pan odpowiedział, że mają czterdzieści kul i wystrzelą je wszystkie, jeśli odważymy się zejść do piwnicy. Wówczas udałem się na skargę do zarządcy, ale pan zarządca powiedział mi, że mam to, na co zasłużyłem, i że oduczę się obrażać godnych panów, zatrzymujących się w mojej oberży.

- Tak więc od tego czasu?... - rzekł d'Artagnan nie mogąc powstrzymać się od śmiechu na widok żalostnej miny oberżysty.

- Tak więc od tego czasu, panie - ciągnął gospodarz - prowadzimy bardzo smutny żywot; musi pan bowiem wiedzieć, że nasze wszystkie zapasy są w piwnicy; tam jest wino w butelkach i wino w

beczkach, piwo, oliwa i korzenie, słonina i kielbasy; ponieważ nie możemy tam wejść, musimy odmawiać jedzenia i picia podróżnym, tak że nasza oberża podupada z dnia na dzień. Jeśli

pański przyjaciel zostanie jeszcze przez tydzień w piwnicy, jesteśmy zrujnowani.

- To ci się należy, nicponiu! Czy nie wiedziałeś od razu, że jesteśmy porządnyimi ludźmi, a nie fałszerzami, powiedz?

- Tak, panie, tak, masz słuszość - rzekł gospodarz. - Ale posłuchaj, posłuchaj, znowu wpada w gniew.

- Zapewne ktoś go niepokoi - rzekł d'Artagnan.

- Ale co robić! - zawołał gospodarz - przyjechali dwaj panowie angielscy.

- No i co z tego?

- Co? Anglicy, jak pan wie, lubią dobre wino; ci zażądali najlepszego. Moja żona poprosiła więc pana Atosa, by pozwolił wejść do piwnicy; odmówił jak zazwyczaj. Ach, na miłosierdzie boskie, co za piekielny hałas!

Rzeczywiście d'Artagnan usłyszał zgiełk dobiegający z piwnicy; wstał i mając przed sobą oberżystę, który załamywał ręce, a za sobą Plancheta, który trzymał w dłoni nabity muszkiet, skierował się do piwnicy.

Dwaj Anglicy byli zrozpaczeni; zrobili spory kawał drogi i umierali z głodu i pragnienia.

- Cóż to za tyrania - wołali bardzo dobrą francuszczyzną, choć z akcentem cudzoziemskim - ten szlachcic nie pozwala wejść tym poczciwym ludziom do piwnicy po ich wino. Hola, wyważmy drzwi, a jeśli za bardzo będzie się ciskał, zabijemy go.

- Wolnego, panowie - rzekł d'Artagnan wyciągając pistolety zza pasa - nie zabijecie nikogo, jeśli łaska.

- Dobrze, dobrze - odezwał się zza drzwi spokojny głos Atosa - niech tu wejdą te chwaty, zobaczymy.

Choć dwaj panowie angielscy wyglądali na odważnych ludzi, spojrzeli po sobie z wahaniem; powiedziałybyś, że w tej piwnicy znajduje się jakiś wyglodniały potwór, olbrzym z podań ludowych, i nikt nie może wejść bezkarnie do jego piwnicy.

Zapadła cisza; ale dwóm Anglikom wstyd było się cofać i bardziej rezolutny

z nich zszedł kilka schodków i kopnął w drzwi tak potężnie, że nie tylko drzwi,

ale mur nie ostałby się pod takim uderzeniem.

- Planchet - rzekł d'Artagnan ładując pistolet - ja zajmę się tym, który jest na górze, a ty tym, który jest na dole. Ach, mości panowie, chce się wam bitki, będziecie ją mieli!

- Mój Boże - rozległ się z piwnicy głuchy głos Atosa - słyszę d'Artagnana!

- To ja - rzekł d'Artagnan głośno - to ja, mój przyjacielu.

- Dobrze więc - rzekł Atos - zajmijmy się tymi panami, co lubią wyłamywać drzwi.

Anglicy mieli szpady w rękach, ale zostali wzięci w dwa ognie; wahali się przez chwilę jeszcze, duma jednak wzięła górę jak przedtem i drzwi zachwiały się od drugiego uderzenia.

- Na bok, d'Artagnanie, na bok - krzyknął Atos - strzelam!

- Panowie - rzekł d'Artagnan, którego nigdy nie opuszczał rozsądek - panowie, zastanówcie się. Cierpliwości, Atosie. Zaplątaliście się w kiepską sprawę i podziurawimy was jak rzeszoto. Mój służący i ja pošlemy wam trzy kule, z piwnicy czeka was tyleż; poza tym mamy jeszcze nasze szpady, a zapewniam was, że mój przyjaciel i ja umiemy się nimi posługiwać. Pozwólcie mi robić swoje, a

załatwię i wasze sprawy. Za chwilę dostaniecie wina, daję słowo.

- Jeśli go jeszcze zostało - mruknął kpiąco Atos.

Oberżysta poczuł, jak zimny pot spływa mu wzdłuż grzbietu.

- Jak to, jeśli go zostało! - wyjąkał.

- Tak, do licha, zostało, zostało - rzekł d'Artagnan - bądź spokojny, nie wypili we dwóch całej piwnicy. Panowie, włóżcie szpady do pochew.

- Dobrze, ale pan włóż pistolety za pas.

- Chętnie.

D'Artagnan dał przykład. Potem rozkazał Planchetowi gestem, żeby rozładował muszkiet.

Uspokojeni Anglicy pomrukując włożyli szpady do pochew. Opowiedziano im historię Atosa, a jako że byli dobrą szlachtą potępili oberżystę.

- A teraz, panowie - rzekł d'Artagnan - pójdziecie do siebie, a ręcę wam, że za dziesięć minut dostaniecie wszystko, czego zapragniecie.

Dwaj Anglicy skłonili się i wyszli.

- Teraz, kiedy jestem sam, mój drogi Atosie - powiedział d'Artagnan - otwórz mi drzwi, proszę.

- W tej chwili - zgodził się Atos.

Usłyszano wówczas odgłos uderzających o siebie wiązek chrustu i skrzypiących belek; były to przeciwności i bastiony Atosa, które burzył teraz oblężony.

Po chwili wyleciały drzwi piwnicy i ukazała się blada twarz Atosa, który szybko rozejrzał się wokół.

D'Artagnan rzucił mu się na szyję i uściskał czule, ale gdy chciał go zabrać ze sobą z tego wilgotnego mieszkania, zauważył, że Atos chwieje się na nogach.

- Jesteś ranny? - zapytał.

- Nie, bynajmniej, jestem tylko pijany jak bela; nikt jeszcze tak godziwie sobie na to nie zapracował. Mocny Boże, mój oberżysto, wypilem co najmniej sto pięćdziesiąt butelek.

- Wielkie nieba! - zawołał oberżysta. - Jeśli służący wypił połowę tego co pan, jestem zrujnowany.

- Grimaud jest służącym z dobrego domu, nie ośmieliłby się nigdy robić tego samego co ja; pił tylko z beczki. Proszę, zdaje mi się, że zapomniał ją zatkać, słyszycie, jak leje się wino?

D'Artagnan wybuchnął śmiechem, co sprawiło, że dreszcz oberżysty zamienił się w gorączkę.

Tymczasem zjawił się Grimaud z muszkietem na ramieniu; głowa mu drżała niczym pijanemu satyrowi na obrazach Rubensa, z przodu i z tyłu był zlany tłustym płynem: gospodarz rozpoznał swoją najlepszą oliwę.

Orszak przeszedł przez wielką salę i zatrzymał się w najlepszym pokoju oberży, który d'Artagnan zajął bez wahania.

Tymczasem gospodarz i jego żona pośpieszyli z lampami do piwnicy, dokąd wstęp był im tak długo wzbroniony; straszny widok ukazał się ich oczom.

Za linią fortyfikacji, w których Atos uczynił wyłom, by wyjść z piwnicy, a które składały się z wiązek chrustu, desek i pustych beczek ułożonych ściśle wedle reguł strategii, widać było tam i sam kości ze zjedzonych szynek pływające w kałużach oliwy i wina; góra potłuczonych butelek zapełniała

róg piwnicy; beczka z otwartym kurkiem roniła ostatnie krople krwi. Obraz spustoszenia i śmierci, jak powiada poeta starożytny, roztaczał się tu niczym na polu bitwy.

Z pięćdziesięciu kielbas, wiszących u belek, zostało dziesięć.

Jęki gospodarza i gospodyni przebiły sklepienie piwnicy i nawet d'Artagnan poczuł się poruszony. Atos nie odwrócił nawet głowy.

Ale za chwilę cierpienie ustąpiło miejsca wściekłości. Gospodarz chwycił rożen i pełen rozpaczycy skoczył do pokoju przyjaciół.

- Wina! - rzekł Atos widząc oberżystę.

- Wina! - zawołał gospodarz osłupiały. - Wina! Ależ wypiełeś mi pan wina za dobre sto pistoli! Jestem zrujnowany, zgubiony, zniszczony!

- Ba - odparł Atos - byliśmy wciąż spragnieni.

- Gdyby pan poprzestał na picciu, pół biedy jeszcze; ale potłukłeś mi wszystkie butelki.

- Popchnąłeś mnie na nie, to twoja wina.
 - Przepadła cała moja oliwa!
 - Oliwa jest najlepszym balsamem na rany, a biedny Grimaud musiał sobie opatrzyć rany, które mu zadałeś.
 - Wszystkie moje kiełbasy zjedzone!
 - W piwnicy jest mnóstwo szczurów.
 - Zapłacisz mi pan za wszystko - zawołał zrozpaczony gospodarz.
 - Łajdaku, łajdaku i jeszcze raz łajdaku! - rzekł Atos wstając. Ale opadł natychmiast na miejsce; widać było, jak mało ma sił. D'Artagnan pośpieszył mu z pomocą podnosząc szpicrutę.
- Gospodarz cofnął się o krok i wybuchnął płaczem.
- To cię nauczy - rzekł d'Artagnan - grzeczniej obchodzić się z gośćmi, których Pan Bóg ci zsyła.
 - Bóg! Powiedz pan raczej: diabeł!
 - Mój drogi przyjacielu - powiedział d'Artagnan - jeśli nadal będziesz nam rozdzierał uszy wrzaskami, zamkniemy się wszyscy czterej w piwnicy i przekonamy się, czy straty są tak wielkie, jak powiadasz.
 - Tak, panowie - rzekł gospodarz - przyznaję, że popełniłem błąd, ale jest zmiłowanie za grzechy. Jesteście wielkimi panami, a ja biednym oberżystą, zlitujcie się nade mną.
 - Ach, mówiąc w ten sposób, rozdzierasz mi serce i łzy popłyną z mych oczu jak wino z twoich beczek - rzekł Atos. - Nie jesteśmy tak źli, jak wyglądamy. Podejdź tu, porozmawiajmy,
- Oberżysta zbliżył się z niepokojem.
- Chodźże i nie bój się, powiadam - ciągnął Atos. - W chwili gdy miałem ci płacić, położyłem sakiewkę na stole.
 - Tak, Wasza Miłość.
 - W tej sakiewce było sześćdziesiąt pistoli. Gdzie jest sakiewka?
 - Na przechowaniu w sądzie, Wasza Miłość; powiedziano mi, że to fałszywe pieniądze.
 - Dobrze więc, każ sobie zwrócić sakiewkę i weź te sześćdziesiąt pistoli.

- Ale wasza Miłość wie przecie, że sąd nie zwraca tego, co ma już w ręce. Gdyby to były fałszywe pieniądze, mógłbym mieć jeszcze nadzieję, ale niestety, pieniądze są dobre.
- Ułóż się więc z sądem, mój pocziwcze, nie obchodzi mnie to, tym bardziej że nie mam już ani grosza.
- Powiedz no, panie gospodarzu - wtrącił d'Artagnan - gdzie jest koń Atosa?
- W stajni.
- Ile jest wart?
- Co najwyżej pięćdziesiąt pistoli.

- Wart jest osiemdziesiąt; weź go sobie i niech na tym będzie koniec.
- Jak to, sprzedajesz mego konia, mego Bajazyta? - rzekł Atos. - A na czym pojedę na wojnę, na Grimaudzie?
- Przyprowadziłem ci innego - rzekł d'Artagnan.
- Innego?
- Wspaniałego konia! - zawołał gospodarz.
- Jeśli więc mam innego, piękniejszego i młodszego, zabierz go sobie i daj mi pić.
- Jakie wino mam podać? - zapytał gospodarz, całkiem już rozpogodzony.
- To, co stoi w głębi, przy deskach; zostało jeszcze dwadzieścia pięć butelek, wszystkie inne się potłukły, kiedy upadłem. Podaj nam sześć.
- Ależ to piorun nie człowiek! - rzekł gospodarz do siebie - jeśli zostanie tu jeszcze dwa tygodnie i zapłaci za wszystko, co wypije, powetuję sobie straty.
- I nie zapomnij - dodał d'Artagnan - posłać cztery butelki tego samego wina tym panom Anglikom.
- A teraz - rzekł Atos - kiedy czekamy na wino, opowiedz mi, d'Artagnanie, co się dzieje z resztą naszych przyjaciół!

D'Artagnan opowiedział mu, jak znalazł Portosa w łóżku ze zwichniętym kolaniem, a Aramisa przy stole między dwoma teologami. Kiedy kończył, wszedł gospodarz z butelkami i szynką, która na

szczęście dla niego nie znajdowała się w piwnicy.

- Dobrze - powiedział Atos napełniając szklanki - pijmy za zdrowie Portowa i Aramisa; ale co tobie, mój przyjacielu? Masz smutną minę.

- Niestety - rzekł d'Artagnan - jestem najniezwyklejszy z nas wszystkich!

- Ty jesteś nieszczęśliwy, d'Artagnanie! - rzekł Atos. - Jakże to, jakim sposobem? Opowiedz mi.

- Potem - odparł d'Artagnan.

- Potem! A dlaczego potem? Myślisz może, że jestem pijany, d'Artagnanie? Zapamiętaj sobie: nigdy nie mam jaśniej w głowie niż wówczas, gdy wypiję wina. Mówże, zamieniam się cały w słuch.

D'Artagnan opowiedział mu swoją przygodę z panią Bonacieux. Atos słuchał z największym spokojem, a kiedy d'Artagnan skończył, rzekł:

- Wszystko to tylko marność, marność, powiadam!

Było to ulubione słowo Atosa.

- Zawsze tak mówisz, mój drogi Atosie - rzekł d'Artagnan - ale nie przystoi tak mówić tobie, nigdy przecie nie kochałeś.

Zgaszone oko Atosa zapłonęło nagle; ale była to tylko błyskawica i wkrótce spojrzenie jego stało się ponure i zamglone jak poprzednio.

- To prawda - odparł spokojnie - nigdy nie kochałem.

- Widzisz więc, kamienne serce - rzekł d'Artagnan - że nie masz racji będąc niewyrozumiałym dla nas, ludzi o czułych sercach.

- Czułe serca, przebite serca - powiedział Atos.

- Co powiadasz?

- Mówię, że miłość to loteria, gdzie wy grywa jąć wygrywa się śmierć! Wierzaj mi, mój drogi d'Artagnanie, szczęście to prawdziwe, że przegrałeś. Jeśli mogę ci udzielić rady, przegrywaj zawsze.

- Zdawało mi się, że bardzo mnie kocha!

- Tak ci się zdawało,

- O, ona mnie kochała,

- Dziecko! Nie ma mężczyzny, który by nie wierzył jak ty, że kochanka go kocha, i nie ma mężczyzny, którego by nie oszukała kochanka.

- Prócz ciebie, Atosie, nigdy bowiem nie miałeś kochanki.

- To prawda - rzekł Atos po chwili ciszy - nigdy nie miałem kochanki. Pijmy.

- Ale jeśli jesteś takim filozofem, poucz mnie, wspomóż mnie; trzeba mi pomocy i pociechy.

- Pociechy? W czym?

- W moim nieszczęściu.

- Twoje nieszczęście budzi śmiech - powiedział Atos wzruszając ramionami - ciekaw byłbym, co byś rzekł, gdybym ci opowiedział pewną historię miłosną.

- Która się przydarzyła tobie?

- Albo jednemu z moich przyjaciół, wszystko jedno!

- Mów więc, Atosie.

- Pijmy, to lepsze.

- Pij i opowiadaj.

- Doprawdy, można i tak - rzekł Atos wychylając i znów napełniając swą szklankę - obie rzeczy wybornie idą w parze.

- Słucham - powiedział d'Artagnan.

Atos zebrał się w sobie i d'Artagnan zobaczył, że przyjaciel blednie; był w tej fazie pijaństwa, kiedy pospolici pijacy padają i usypiają. On natomiast śnił głośno, nie zasypiając. Ten pijacki somnambulizm miał w sobie coś przerażającego.

- Chcesz koniecznie?

- Proszę cię o to - rzekł d'Artagnan.

- Niechaj więc będzie. Jeden z moich przyjaciół, jeden z moich przyjaciół, powtarzam, nie ja - rzekł Atos z ponurym uśmiechem - jeden z hrabiów prowincji, skąd pochodzę, to znaczy z Berry, pan równie szlachetnie urodzony, jak Dandolo czy Montmorency, zakochał się, mając dwadzieścia pięć lat, w szesnastoletniej dziewczynie, pięknej jak sen. Choć była jeszcze naiwna, umysł miała żywy,

nie był to umysł niewiasty, lecz poety; nie podobała się, lecz upajała; mieszkała w małym miasteczku z bratem, który był księdzem. Oboje przybyli do prowincji nie wiadomo skąd; ale ona była tak piękna, a jej brat tak pobożny, że nie przychodziło nawet na myśl pytać, skąd przybywają. Zresztą mówiono, że są z dobrej rodziny. Mój przyjaciel był panem na tych ziemiach; mógł ją uwieść, uprowadzić przemocą, on bowiem tu władał; któż przyszedłby z pomocą dwojgu obcym i nieznanym ludziom? Na nieszczęście był to człowiek uczciwy i poślubił ją. Głupiec, dureń, idiota!

- Ale dlaczego, jeśli ją kochał? - zapytał d'Artagnan.

- Zaczekaj - rzekł Atos. - Zabrał ją do swego zamku, uczynił z niej pierwszą damę prowincji; trzeba przyznać, że potrafiła się znakomicie znaleźć.

- I co dalej? - zapytał d'Artagnan.

- Pewnego dnia - ciągnął Atos cicho i szybko - gdy była na polowaniu ze swym mężem, spadła z konia i zemdląca: hrabia rzucił się jej na pomoc, a ponieważ dusiły ją suknie, przeciął je sztyletem i odsłonił jej ramię. Czy możesz sobie wyobrazić, co miała na ramieniu, d'Artagnanie? - rzekł Atos wybuchając głośnym śmiechem.

- Skądże mogę wiedzieć? - rzekł d'Artagnan.

- Kwiat lilii - odparł Atos. - Była napiętnowana.

Atos wychylił jednym haustem szklanekę, którą trzymał w ręce.

- Cóż za okropność! - zawołał d'Artagnan. - Co mówisz?

- Mówię prawdę. Mój drogi, anioł był demonem. Nieszczęsna dziewczyna była złodziejką.

- I co zrobił hrabia?

- Hrabia był wielkim panem i miał na swych ziemiach prawo wymierzania wszelkiej sprawiedliwości. Zdarł więc suknię z hrabiny, związał jej ręce z tyłu i powiesił ją na drzewie.

- O nieba, Atosie, to morderstwo! - zawołał d'Artagnan.

- Tak, morderstwo, nic innego - rzekł Atos śmiertelnie blady. - Ale zdaje się, że zabrakło nam wina.

Ujął za szyjkę ostatnią butelkę, zbliżył do ust i wychylił ją tak gładko, jakby to była szklanka.

Potem opuścił głowę na ręce; d'Artagnan siedział bez ruchu, przejęty zgrozą.

- To wyleczyło mnie z uczuć do kobiet pięknych, poetycznych i zakochanych - rzekł Atos wstając i nie myśląc już ciągnąć opowieści o hrabim. – Niech Bóg użyczy ci tego samego. Pijmy!

- Więc ona nie żyje? - wyjąkał d'Artagnan.

- Do kroćset! - rzekł Atos. - Dajże swą szklanę. Szynki, nicponiu - krzyknął - nie możemy pić!

- A jej brat? - zapytał nieśmiało d'Artagnan.

- Brat? - rzekł Atos,

- Tak, ten ksiądz?

- Zasięgnąłem o nim wiadomości, by i jego powiesić z kolei, ale uciekł ze swego probostwa poprzedniego dnia.

- Czy wiadomo przynajmniej, kim był ten nędznik?

- To zapewne pierwszy kochanek i współnik ślicznotki, zacny człowiek, który udawał księdza, by wydać za mąż swą kochankę i zabezpieczyć jej los. Mam nadzieję, że został poćwiartowany.

- O, mój Boże, mój Boże! - zawołał d'Artagnan oszołomiony straszliwą opowieścią.

- Jedźże tę szynkę, d'Artagnanie, jest wyborna - rzekł Atos krojąc kawałek i kładąc go na talerz młodzieńca. - Jaka szkoda, że takich szynek było tylko cztery w piwnicy! Wypiłbym pięćdziesiąt butelek więcej.

D'Artagnan nie mógł znieść tej mowy, która doprowadzała go do szału; opuścił głowę na ręce i udawał, że śpi.

- Młodzi ludzie nie umieją dziś pić - powiedział Atos spoglądając na niego z litością. - A ten przecież należy do najlepszych!...

D'Artagnan długo jeszcze był ogłuszony straszliwym wyznaniem Atosa, jednak wiele rzeczy wydało mu się w opowieści niejasnych; przede wszystkim wyszła z ust człowieka pijanego, słuchał jej człowiek na wpół pijany, a przecie mimo oszołomienia wywołanego oparami kilku butelek burgunda, d'Artagnan budząc się nazajutrz miał wyryte w pamięci każde słowo Atosa. Wszelkie wątpliwości

napawały go tylko większym pragnieniem zdobycia pewności, poszedł więc do przyjaciela chcąc nawiązać do wczorajszej rozmowy. Ale Atos, już najzupełniej opanowany, znów był najdelikatniejszym i najbardziej nieprzeniknionym z ludzi.

Zresztą muszkietier, zamieniwszy z nim uścisk dłoni, sam zaczął pierwszy:

- Byłem bardzo pijany wczoraj, mój drogi d'Artagnanie - powiedział - czułem to dziś rano jeszcze, miałem bowiem skołowaciały język i przyspieszone tętno. Idę o zakład, że naplotłem bredni bez liku.

Mówiąc te słowa spojrzął na przyjaciela z uwagą, która wprawiła d'Artagnana w zmieszanie.

- Ależ nie - odparł d'Artagnan - jeśli pamiętam, mówiłeś mi rzeczy całkiem zwyczajne.

- Ach, zdumiewasz mnie! Zdawało mi się, że opowiedziałem ci bardzo żalosalną historię.

I spojrzął na młodzieńca, jak gdyby chciał czytać w jego sercu.

- Na honor - rzekł d'Artagnan - musiałem być jeszcze bardziej pijany od ciebie, skoro sobie nic nie przypominam.

Atosowi nie wystarczyło to widać i ciągnął dalej:

- Zauważyłeś pewnie, mój drogi przyjacielu, że każdy człowiek upija się inaczej: na smutno lub na wesoło. Ja upijam się na smutno i kiedy jestem pijany, opowiadam najokropniejsze bajdy, jakie wbiła mi w pamięć moja głupia niania. To moja wada, wada zasadnicza, muszę przyznać; ale poza tym potrafię pić dobrze i tego.

Atos mówił to w sposób tak naturalny, że d'Artagnan zachwiał się w swoich przypuszczeniach.

- Ach, tak, w samej rzeczy - rzekł młody człowiek próbując uchwycić prawdę - przypominam sobie jak przez sen, że mówiliśmy o powieszonych.

- Widzisz sam - odparł Atos blednąc, a jednak próbując się śmiać - byłem tego pewien, wisielcy to moja zmora.

- Tak, tak - rzekł d'Artagnan - wraca mi pamięć, tak, chodziło więc... poczekaj... chodziło o kobietę.

- Proszę bardzo - odparł Atos mieniąc się na twarzy - to moja zwykła opowieść; kobieta o jasnych włosach, opowiadam o niej zawsze, gdy jestem pijany na umór.

- Otóż to właśnie - rzekł d'Artagnan - historia o jasnowłosej kobiecie, wysokiej, pięknej, o niebieskich oczach.

- Tak, i powieszanej.

- Przez swego męża którego znałeś - ciągnął d'Artagnan patrząc uważnie na Atosa.

- Widzisz, jak można kogoś skompromitować, kiedy człowiek nie wie, co mówi - rzekł Atos

wzruszając ramionami, jak gdyby litował się nad sobą. - Stanowczo przestanę się upijać, d'Artagnanie, to bardzo niedobre przyzwyczajenie.

D'Artagnan milczał.

Potem Atos nagle zmienił temat rozmowy:

- Chciałem ci podziękować za konia, którego mi przyprowadziłeś - powiedział.

- Podoba ci się? - zapytał d'Artagnan.

- Tak, ale nie jest to koń bardzo wytrzymały.

- Mylisz się; zrobiłem na nim dziesięć mil w niespełna półtorej godziny, a był równie świeży, jakby okrążył plac Saint-Sulpice.

- Co powiesz? Zaczynam tedy żałować.

- Żałować?

- Tak, bo się go pozbyłem.

- Jak to?

- Było to tak: dziś rano zbudziłem się o szóstej, ty spałeś jak zabity i nie wiedziałem, co robić; byłem wciąż jeszcze otumaniony po naszym wczorajszym pijaństwie; zszedłem więc do wielkiej sali i ujrzałem tam jednego z naszych Anglików, który kupował konia u handlarza, jego koń bowiem padł wczoraj. Podeszedłem do niego i widząc, że daje sto pistoli za karogniadego konika, rzekłem: „Na honor, mój panie, ja też mam konia do sprzedania”.

„Nawet wielce pięknego - odparł - widziałem wczoraj, jak prowadził go służący pańskiego przyjaciela”.

„Czy sądzisz, że jest wart sto pistoli?”

„Tak, czy chcesz mi go pan sprzedać za tę cenę?”

„Nie, ale mogę zagrać o niego”.

„Zagrać?”

„Tak”.

„W co?”

„W kości”.

- Jak rzekłem, tak zrobiłem i przegrałem konia. Ale proszę - ciągnął Atos - odegrałem czaprak.

D'Artagnan się zachmurzył.

- To ci sprawia przykrość? - zapytał Atos.

- Tak, przyznam się - odparł d'Artagnan - ten koń miał iść z nami do bitwy, w której mieliśmy się odznaczyć; to dar, pamiątka. Źle zrobiłeś, Atosie.

- Ach, mój drogi przyjacielu, postaw się na moim miejscu – powiedział muszkieter - nudziłem się śmiertelnie, a poza tym, na honor, nie lubię angielskich koni. Jeśli rzecz tylko w tym, by ktoś nas rozpoznał, siodło wystarczy, jest dość wspaniałe. Co do konia, wymyślimy jakąś przyczynę jego zniknięcia. Tam u licha? Koń jest istotą śmiertelną; przypuśćmy, że mój dostał nosaczyny lub tyleżaka.

D'Artagnan był w kiepskim humorze.

- Przykro mi, że tak bardzo zależy ci na zwierzętach, ponieważ nie skończyłem jeszcze mojej historii.

- Cóżeś jeszcze zrobił?

- Przegrawszy mego konia dziewięć przeciw dziesięciu (pomyśl tylko!), przyszło mi do głowy, że mogę grać o twego.

- Tak, ale mam nadzieję, że poprzestałeś na pomysle?

- Nie, natychmiast wprowadziłem go w czyn.

- Co mówisz! - zawołał d'Artagnan z niepokojem.

- Grałem i przegrałem.

- Mego konia?

- Twego konia; siedem przeciw ośmiu; o jeden punkt... znasz przecie przysłowie.

- Atosie, nie jesteś przy zdrowych zmysłach, przysięgam ci!

- Mój drogi, trzeba mi to było powiedzieć wczoraj, kiedy opowiadałem ci głupie historie, a nie dzisiaj. Przegrałem go zatem z całym rynsztunkiem.

- Ależ to okropne!

- Poczekajże, nie wiesz pewnie, że jestem doskonałym graczem, kiedy się nie upieram; ale kiedy się uprę, jest tak samo, jak wtedy gdy piję; uparłem się więc...
- Ale o co mogłeś jeszcze grać, nic ci przecie nie zostało!
- W istocie, w istocie, mój przyjacielu. Pozostał nam tylko ten diament, który błyszczy na twym palcu; zauważyłem go wczoraj.
- Ten diament! - zawołał d'Artagnan dotykając ręką pierścienia.
- A ponieważ jestem znawcą, miałem już bowiem kilka takich, oszacowałem go na tysiąc pistoli.
- Mam nadzieję - rzekł poważnie d'Artagnan, na wpół żywy z przerażenia - że nie wspomniałeś nawet o moim diamencie?
- Przeciwnie, drogi przyjacielu; rozumiesz przecie, że ten diament był naszym jedynym ratunkiem, przy jego pomocy mogłem odzyskać nasze uprzęże i konie, a ponadto pieniądze na drogę.
- Atosie, przerażasz mnie - zawołał d'Artagnan.
- Powiedziałem więc o twoim diamencie Anglikowi, który go także zauważył. Tam do licha, nosisz gwiazdę z nieba na palcu i chcesz, by jej nie dostrzeżono? To niemożliwe!
- Kończ wreszcie, mój drogi, kończ! - rzekł d'Artagnan. - Na honor, twoja zimna krew mnie zabija.
- Podzieliliśmy więc ten diament na dziesięć części, po sto pistoli każda.
- Ach, kpisz sobie ze mnie, chcesz mnie wypróbować? - rzekł d'Artagnan, którego gniew zaczynał już chwytać za włosy jak Minerwa Achillesa w „Iliadzie”.
- Nie, nie kpię, u licha, chciałbym zobaczyć ciebie na swoim miejscu! Przez piętnaście dni nie widziałem twarzy ludzkiej i głupiałem zupełnie, rozmawiając jedynie z butelkami.
- To jeszcze nie powód, by grać o mój diament! - odparł d'Artagnan zaciskając nerwowo rękę.
- Posłuchajże do końca. Dziesięć partii po sto pistoli każda w dziesięciu rzutach nie licząc rewanżu; w trzynastym rzucie przegrałem wszystko, w trzynastym rzucie, powiadam; trzynastka była zawsze dla mnie liczbą nieszczęśliwą, właśnie trzynastego lipca...
- Do stu piorunów! - zawołał wstając od stołu d'Artagnan, na którym historia gry wywarła tak wielkie wrażenie, że zapomniał o wczorajszym opowiadaniu.

- Cierpliwości - rzekł Atos' - miałem swój plan. Anglik jest oryginał, widziałem, jak rano rozmawiał z Grimaudem i Grimaud powiedział mi, że Anglik proponował mu służbę u siebie. Zagrałem więc z nim o Grimauda, cichego Grimauda podzielonego na dziesięć części.

- Ach, niechże to diabli! - zawołał d'Artagnan, mimo woli wybuchając śmiechem.

- O Grimauda we własnej osobie, rozumiesz! I mając Grimauda podzielonego na dziesięć części, Grimauda, który nie jest wart nawet dukata, wygrywam diament. Powiedz teraz, czy upór nie jest cnotą.

- Na honor, pocieszna historia! - zawołał uradowany d'Artagnan, ze śmiechu trzymając się za boki.

- Sam rozumiesz, że widząc, jak szczęście mi sprzyja, natychmiast zacząłem grać na nowo o diament.

- O, do kaduka - rzekł d'Artagnan zasmucony znowu.

- Wygrałem z powrotem twoją uprząż, potem twego konia, potem moją uprząż, potem mego konia i znowu przegrałem. Krótko mówiąc odzyskałem twoją uprząż, potem moją. Oto jak rzecz wygląda. Powiodło mi się wybornie, więc poprzestałem na tym.

D'Artagnan odetchnął, jakby mu zdjęto całą oberżę z piersi.

- Zatem diament zostaje przy mnie? - zapytał nieśmiało.

- Nienaruszony, drogi przyjacielu; a ponadto uprząż twego konika i mojego.

- Ale co z nimi zrobimy nie mając koni?

- Mam pewien pomysł.

- Atosie, dreszcz mnie przebiega.

- Posłuchaj, nie grałeś od dawna, co, d'Artagnanie?

- Nie mam najmniejszej ochoty grać.

- Nie zarzekajmy się. Nie grałeś od dawna, jak powiedziałem, zatem powinieneś mieć szczęśliwą rękę.

- No i co z tego?

- Anglik i jego towarzysze są jeszcze tutaj. Zauważyłem, że bardzo mu było żal uprzęży. Widzę, że tobie zależy na koniu. Na twoim miejscu postawiłbym uprząż przeciw koniowi.

- Ale nie będzie chciał jednej tylko uprzęży.

- Graj o dwie, do licha, nie jestem egoistą jak ty.
- Dałbyś? - zapytał d'Artagnan niezdecydowanie, tak bardzo pewność Atosa zaczęła i jego ogarniać wbrew woli.
- Słowo honoru, na jeden rzut.
- Ale skoro straciliśmy konie, niezmiernie mi zależy na zachowaniu uprzęży.
- Graj więc o diament.
- O, nie; nigdy, nigdy!
- Do diabła - rzekł Atos - zaproponowałbym ci, byś grał o Plancheta, ale to już raz było, Anglik może się nie zgodzić.
- Doprawdy, mój drogi Atosie - odparł d'Artagnan - wolałbym nie ryzykować.
- Szkoda - rzekł chłodno Atos - Anglik jest nadziany pistoletami. Ach, mój Boże, spróbuj jeden raz, to nie trwa długo.
- A jeśli przegram?
- Wygrasz.
- Ale jeśli przegram?
- Oddasz uprzężę.

- Zgoda na jeden rzut - powiedział d'Artagnan.

Atos udał się na poszukiwania Anglika i znalazł go w stajni, gdzie ten patrzył na uprzęż pożądanym okiem. Chwila była sposobna. Postawił swoje warunki: dwie uprzęże przeciw jednemu koniowi lub stu pistoletom. Anglik policzył szybko: uprzęże warte były trzysta pistoli; przystał.

D'Artagnan rzucił kości drżącą ręką: miał trzy punkty. Jego bladość przeraziła Atosa, który powiedział tylko:

- Nie najlepszy rzut, kolego; będziesz miał konie w uprzęży, mój panie.

Anglik triumfując nie zadał sobie nawet trudu, żeby potrząsnąć kośćmi, rzucił je na stół nie patrząc, tak był pewien wygranej; d'Artagnan odwrócił się, by ukryć swój zły humor.

- Patrz, patrz - rzekł Atos swym spokojnym głosem - niezwykły rzut, widziałem coś podobnego tylko cztery razy w życiu: dwie jedyńki!

Anglik spojrział i zdumiał się, d'Artagnan spojrział i ogarnęła go radość.

- Tak - ciągnął Atos - tylko cztery razy: jeden raz u pana de Crequy; drugi raz u mnie na wsi, w moim zamku... kiedy miałem zamek; po raz trzeci u pana de Treville, co obudziło powszechne zdumienie; wreszcie po raz czwarty w szynku, mój własny rzut, kiedy przegrałem sto luidorów i kolację.

- Zatem bierzesz konia, panie - rzekł Anglik.

- Rzecz prosta - powiedział d'Artagnan.

- Nie gramy parti rewanżowej?

- W warunkach nie przewidywaliśmy rewanżu, jak pan sobie przypomina.

- To prawda; koń zostanie zwrócony pańskiemu służącemu.

- Chwileczka - rzekł Atos - jeśli pan pozwoli, powiem dwa słowa mojemu przyjacielowi.

- Proszę.

Atos wziął d'Artagnana na stronę.

- Czego chcesz ode mnie, kusicielu, chcesz, bym grał jeszcze, co? – zapytał d'Artagnan.

- Nie, chcę, żebyś się zastanowił.

- Nad czym?

- Weźmiesz konia, prawda?

- Oczywiście.

- Źle robisz, ja wziąłbym sto pistoli, wiesz przecie, że grałeś o konia lub sto pistoli przeciw dwóm uprzędom.

- Tak.

- Wziąłbym sto pistoli.

- Ja zaś wezmę konia.

- I źle zrobisz, powtarzam; co uczynimy we dwóch z jednym koniem? Przecież nie wsiądę za tobą z

tyłu, wyglądalibyśmy jak dwaj synowie Aymona*, którzy stracili brata; nie zechcesz też mnie upokarzać jadąc obok mnie na tym wspaniałym rumaku. Ja nie wahając się ani przez chwilę wziąłbym sto pistoli, trzeba nam przecie pieniędzy na powrót do Paryża.

- Zależy mi na tym koniu.

* Mowa o Aymonie, ojcu czterech synów, których przygody z koniem Bayardem zostały opisane w licznych opowieściach średniowiecznych.

- Nie masz racji, mój przyjacielu; koń miewa narowy, potyka się, może się ochwacić, może jeść ze żłobu, gdzie poprzednio jadł koń zarażony nosacizną; oto koń lub inaczej sto straconych pistoli; pan musi karmić swego konia, podczas gdy sto pistoli karmi swego pana.

- Ale jakże wrócimy?

- Na koniach naszych służących, do licha! I tak będzie widać z naszych min, że nie jesteśmy hołotą.

- Pięknie będziemy wyglądać na tych szkapach, kiedy Aramis i Portos będą harcować na swych rumakach!

- Aramis i Portos! - zawołał Atos ze śmiechem.

- O co chodzi? - zapytał d'Artagnan, który nie rozumiał wesołości przyjaciela.

- Dobrze, dobrze, mówmy dalej - rzekł Atos.

- A zatem twoim zdaniem?...

- Należy wziąć sto pistoli, d'Artagnanie; mając sto pistoli będziemy ucztować do końca miesiąca; zazналиśmy trudów, musimy nieco odpocząć.

- Ja miałbym odpoczywać! O nie, Atosie, jak tylko wrócę do Paryża, zabiorę się do szukania tej biednej kobiety.

- Czy sądzisz, że koń będzie ci do tego równie potrzebny, jak dobre złote luidory? Bierz sto pistoli, przyjacielu, bierz sto pistoli.

D'Artagnanowi trzeba było tylko jednego jeszcze argumentu, by ustąpił. Ten wydał mu się doskonały. Zresztą obawiał się, że gdyby opierał się dłużej, Atos uznałby go za egoistę; przystał więc i wybrał sto pistoli, które Anglik natychmiast mu zapłacił.

Za czym myślano już tylko o wyjeździe. Pokój zawarty z oberżystą prócz dawnego konia Atosa kosztował jeszcze sześć pistoli; d'Artagnan i Atos wsiedli na konie Plancheta i Grimauda, a dwaj

służący puścili się w drogę pieszo, niosąc siodła na głowach.

Choć przyjaciele jechali na lichych koniach, wkrótce wyprzedzili służących i przybyli do Crevecoeur. Z daleka ujrzeni Aramis, który melancholijnie wsparty o parapet okna patrzył niczym Anna z opowieści * na kurz wzbijający się na horyzoncie.

- Hola, Aramisie! Co tu robisz? - krzyknęli dwaj przyjaciele.

- Ach, to ty, d'Artagnanie, i ty, Atosie - rzekł młody człowiek. – Myślałem o tym, z jaką szybkością opuszczają nas dobra tego świata; mój koń angielski oddalający się i znikający wśród tumanu kurzu był dla mnie żywym dowodem kruchości rzeczy ziemskich. Sens życia można stracić w trzech słowach: Erat, est, fuit**.

- To znaczy? - zapytał d'Artagnan, który zaczynał się domyślać prawdy.

- To znaczy, że dałem się okpić: za sześćdziesiąt luidorów sprzedałem konia, który robi cwałem pięć mil na godzinę. D'Artagnan i Atos wybuchnęli śmiechem.

- Mój drogi d'Artagnanie - powiedział Aramis - proszę, nie gniewaj się na mnie, ale gdy mus przycisnąć, nie ma rady, zresztą sam jestem najbardziej ukarany, ponieważ ten niecny handlarz ukraść mi najmniej pięćdziesiąt luidorów. Ach, wy jesteście dobrymi gospodarzami! Przyjeżdżacie na koniach służących, a swoje rumaki każecie prowadzić za uzdy powoli, by nie zaznały zmęczenia.

*Anna z Ma soeur Anne- autor nawiązuje tu do opowieści o siedmiu żonach Sinobrodego; ostatnia z nich, Fatima, skazana na śmierć nieustannie prosi swą siostrę Annę, aby z wieży na zamku wypatrywała pomocy braci.

**Erat, est, fuit (łac.) - było, jest, minęło.

W tej samej chwili furgon, który przed kilku minutami pojawił się na drodze z Amiens, przystanął i wysiedli z niego Grimaud i Planchet z siodłami na głowach. Furgon jechał pusty do Paryża i dwaj służący skorzystali z okazji częstując w zamian woźnicę winem.

- Co to znaczy? - zapytał Aramis widząc, co się dzieje. - Zostały wam tylko siodła?

- Więc rozumiesz już teraz? - rzekł Atos.

- Moi przyjaciele, postąpiliście tak samo jak ja. Wiedziony instynktem zachowałem uprzęż. Hej, Bazin, przynieś moją nową uprzęż i połóż obok uprzęży panów.

- Co zrobiłeś z księżmi? - zapytał d'Artagnan.

- Nazajutrz zaprosiłem ich na obiad; powiem wam mimochodem, że mają tu wyborne wino, lałem w nich, ile wlało; toteż proboszcz zabronił mi rozstawać się z opanczyką, a jezuita prosił mnie, żebym

mu pomógł wstąpić do muszkieterów.

- Bez rozprawy! - krzyknął d'Artagnan. - Żądam zniesienia uczonej rozprawy!

- Od tej chwili wiodłem nader przyjemne życie. Zacząłem pisać poemat wierszem jednozgłoskowym, co jest dość trudne, ale zasługa leży przecie w pokonywaniu trudności. Temat jest świecki, przeczytam wam pierwszą pieśń; ma ona czterysta wierszy, a czytanie trwa jedną minutę.

- Na honor, mój drogi Aramisie - rzekł d'Artagnan, który niemal tak samo nie cierpiał wierszy jak łaciny - do zasługi, jaką jest pokonywanie trudności, dołącz zwięzłość i będziesz przynajmniej pewien, że twój poemat ma dwie zalety.

- Co więcej - ciągnął Aramis - mówi on o szlachetnych uczuciach, sami zobaczycie. Ale cóż, przyjaciele, wracamy do Paryża? Brawo, jestem gotów; zobaczymy więc naszego pocziwego Portosa, bardzo się cieszę. Czy uwierzycie, że brakowało mi tego wielkiego głuptasa? Na pewno nie sprzedałby swego konia, gdyby mu nawet ofiarowywali za niego królestwo. Chciałbym go zoba-

czyć na tym rumaku i w siodle. Będzie wyglądał jak Wielki Mogoł, zapewniam was.

Zatrzymano się na godzinę, żeby konie wytchnęły nieco. Aramis zapłacił rachunek, umieścił Bazina na furgonie obok jego kolegów i wyruszono po Portosa.

Portos był już na nogach i mniej blady niż za pierwszą bytnością d'Artagnana. Siedział przy stole; choć był sam, nakryto dla czterech osób. Kolacja składała się z wybornie przyrządzonych mięs, najlepszych win i wspaniałych owoców.

- Do kroćset - rzekł wstając - przybywacie w samą porę, panowie; właśnie byłem przy zupie, zjecie ze mną kolację.

- Ho, ho, - rzekł d'Artagnan - tych butelek Mousqueton nie łowił chyba na łąso, a oto szpikowana pieczeń cielęca i polędwica wołowa...

- Pokrzepiam się - wyjaśnił Portos - nic tak nie osłabia, jak te diabelskie zwichnięcia, czy miałeś kiedy z tym do czynienia, Atosie?

- Nigdy; przypominam sobie tylko, że w czasie utarczki przy ulicy Ferou dostałem cios szpadą, który po dwóch tygodniach przyprawiał mnie o także cierpienia.

- A czy ta kolacja była przygotowana dla ciebie samego, mój drogi Portosie? - rzekł Aramis.

- Nie, spodziewałem się kilku szlachty z sąsiedztwa, ale dali mi znać, że nie przybędą; wy ich zastąpicie, nie stracę na zamianie. Hola, Mousqueton, krzesel! I niech przyniosą drugie tyle wina.

- Czy wiecie, co jemy? - zapytał Atos po upływie dziesięciu minut.

- Tam do licha - odparł d'Artagnan - ja jem szpikowaną cielęcinę z hiszpańskimi karczochemi i mózdzkiem.

- A ja comber z jagnięcia - rzekł Portos.

- A ja potrawkę z drobiu - rzekł Aramis.

- Mylicie się wszyscy, panowie - odparł z powagą Atos - jecie bowiem konia.

- Cóż znowu! - zawołał d'Artagnan.

- Konia! - skrzywił się z niesmakiem Aramis.

Tylko Portos nie odpowiadał.

- Tak, konia; prawda, Portosie, że jemy konia? Być może, że wraz z uprzężą.

- Nie, panowie, zachowałem siodło - odrzekł Portos.

- Na honor, wszyscy jesteście sobie warci - powiedział Aramis - można by powiedzieć, żeśmy się umówili.

- Co chcecie - rzekł Portos - goście czuli się upokorzeni widokiem tego konia, nie chciałem im robić przykrości.

- Tym bardziej że twoja księżna jest wciąż u wód - rzekł d'Artagnan.

- Wciąż jeszcze - odparł Portos. - Zarządca prowincji, jeden z tych panów, których zaprosiłem dziś na obiad, pragnął go tak bardzo, że mu go dałem.

- Dałeś? - zawołał d'Artagnan.

- Ach, mój Boże, dałem! Tak się mówi, wart był bowiem na pewno sto pięćdziesiąt luidorów, a ten sknera nie chciał mi zapłacić więcej jak osiemdziesiąt.

- Bez siodła? - zapytał Aramis.

- Tak, bez siodła.

- Zauważcie, panowie - rzekł Atos - że Portos zrobił najlepszy interes z nas wszystkich.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, niezrozumiałym dla biednego Portosa; ale wkrótce wyjaśniono mu przyczynę wesołości i Portos śmiał się wraz z innymi, głośno i hałaśliwie, jak to miał w zwyczaju.

- Wynika z tego, że wszyscy mamy pieniądze? - powiedział d'Artagnan.
- Ja nie - odparł Atos - wino hiszpańskie, którym nas częstował Aramis, wydało mi się tak dobre, że kazałem zapakować sześćdziesiąt butelek na furgon służących, co bardzo uszczupliło moją sakiewkę.
- Jeśli idzie o mnie - rzekł Aramis - wyobraźcie sobie, że oddałem wszystko do ostatniego grosza kościołowi w Montdidier i jezuitom w Amiens; prócz zobowiązań, jakie miałem, zamówiłem mszę na mój ą intencję i waszą, panowie, a nie wątpię, że te msze wybornie nas wspomogą.
- A czy sądzicie, że zwichnięcie nic mnie nie kosztowało? - odezwał się Portos. - Nie mówiąc już o ranie Mousquetona, dla którego musiałem sprowadzać chirurga dwa razy dziennie, a kazał sobie ów chirurg płacić za wizyty podwójnie, pod pozorem, że ten dureń Mousqueton ma kulę w miejscu, które pokazuje się jedynie cyrulikowi; poleciłem mu przy okazji, żeby unikał ran w tym miejscu.
- No, no - rzekł Atos wymieniając uśmiech z d'Artagnanem i Aramisem - widzę, że zachowałeś się wspaniałomyślnie wobec biednego chłopca, jesteś dobrym panem.
- Krótko mówiąc po zapłaceniu rachunku zostaje mi jakieś trzydzieści talarów.
- A mnie dwanaście pistoli - rzekł Aramis.
- Ho, ho, wydaje mi się, że jesteśmy prawdziwymi krezusami - rzekł Atos. - Ile ci zostało z twoich stu pistoli, d'Artagnanie?
- Z moich stu pistoli? Przede wszystkim dałem ci pięćdziesiąt.
- Tak myślisz?
- Do licha!
- Rzeczywiście, przypominam sobie.
- Sześć zapłaciłem oberżystie.
- Cóż za bydlę z tego oberżysty! Czemu dałeś mu sześć pistoli?
- Przecież sam kazałeś mu je dać.
- To prawda, jestem nazbyt dobry. Krótko mówiąc, ile zostało?
- Dwadzieścia pięć pistoli - odpowiedział d'Artagnan.
- A mnie - rzekł Atos, wyciągając drobne z kieszeni - mnie...

- Tobie nic.

- Rzeczywiście. Albo tak niewiele, że nie ma nawet co kłaść do wspólnej kasy. Teraz policzymy, ile mamy razem. Portos?

- Trzydzieści talarów.

- Aramis?

- Dziesięć pistoli.

- A ty, d'Artagnanie?

- Dwadzieścia pięć.

- Czyli razem? - zapytał Atos.

- Czterysta siedemdziesiąt pięć liwrów! - rzekł d'Artagnan, który rachował jak Archimedes.

- Po przybyciu do Paryża zostanie nam jeszcze czterysta, nie licząc uprzęży - rzekł Portos.

- Ale co będzie z końmi? - zapytał Aramis.

- Cztery konie naszych służących zamienimy na dwa dobre wierzchowce, o które będziemy ciągnąć losy; czterysta liwrów wystarczy na skromniejszego konia dla jednego z pozostałych; wreszcie wywrócimy kieszenie i damy resztki d'Artagnanowi, który ma szczęśliwą rękę i pójdzie grać do pierwszego lepszego szynku.

- Jedzmy - rzekł Portos - bo nam kolacja wystygnie.

Czterej przyjaciele, spokojniejsi już o swą przyszłość, zjedli ze smakiem kolację, której resztki otrzymali Mousqueton, Grimaud, Bazin i Planchet.

Po przyjeździe do Paryża d'Artagnan znalazł w domu list od pana de Treville, który donosił, że na jego prośbę król zaszczyił d'Artagnana łaską: został przyjęty do muszkietarów.

Ponieważ tego właśnie nasz młodzieniec pragnął najbardziej, nie mówiąc oczywiście o odnalezieniu pani Bonacieux, pobiegł uszczęśliwiony do przyjaciół, z którymi pożegnał się przed półgodziną; zastał ich smutnych i zatroskanych. Zebrali się na naradę u Atosa, co dowodziło, że sprawa jest poważna.

Pan de Treville kazał ich uprzedzić, że król postanowił rozpocząć działania wojenne pierwszego

maja; muszą więc niezwłocznie przygotować się do wyprawy.

Czterej filozofowie spoglądali na siebie osłupiali: w sprawach dyscypliny pan de Treville nie żartował.

- Jak sądzicie, po ile wypadnie nam ekwipunek? - zapytał d'Artagnan.

- Och, nie ma o czym mówić - rzekł Aramis - obliczyliśmy wszystko ze skromnością godną Spartan: trzeba po tysiąc pięćset liwrów na każdego.

- Co pomnożone przez cztery daje sześć tysięcy liwrów - rzekł Atos.

- Mnie się wydaje - powiedział d'Artagnan - że jeśli każdy będzie miał tysiąc liwrów, co prawda mówię nie tyle jak Spartanin, ile jak prokurator...

To słowo wyrwało z zadumy Portosa.

- Mam pomysł! - zawołał.

- To już coś znaczy: ja nie mam nawet cienia pomysłu - rzekł chłodno Atos. - Jeśli idzie o d'Artagnana, panowie, radość, że nosi nasze barwy, doprowadziła go do szaleństwa; tysiąc liwrów! Oświadczam, że ja sam muszę mieć dwa tysiące.

- Cztery razy dwa jest osiem - rzekł Aramis - zatem na ekwipunek trzeba nam ośmiu tysięcy liwrów; co prawda, posiadamy już siodła.

- A ponadto - powiedział Atos, gdy d'Artagnan, który udawał się z podziękowaniem do pana de Treville, zamykał drzwi - a ponadto ów piękny diament, co błyszczy na palcu naszego przyjaciela.

Cóż, u diabła, d'Artagnan jest zbyt dobrym kolegą, by zostawić swych braci w kłopotcie, kiedy na środkowym palcu nosi pierścień królewski.

XXIX.

W POGONI ZA EKWIPUNKIEM

Czterech przyjaciół najbardziej zatroskany sprawą ekwipunku był na pewno d'Artagnan, choć jako gwardzista mógł wyekwipować się znacznie łatwiej niż muszkietierowie, którzy byli wielkimi panami; jak mogliśmy jednak zauważyć, nasz młody Gaskończyk był bardzo przezorny i niemal skąpy, a przy tym (któż zrozumie te przeciwieństwa!) próżny tak, że mógł konkurować z Portosem. Ale do tej próżności dołączyło się w tej chwili uczucie mniej samolubne. Choć bardzo o to zabiegał, nie dowiedział się nic o losach pani Bonacieux. Pan de Treville mówił o niej z królową; królowa nie

wiedziała, gdzie jest młoda kramarka, i przyrzekła, że każe jej szukać. Była to jednak obietnica bardzo

mglista i niezbyt pocieszyła d'Artagnana.

Atos nie opuszczał swego mieszkania i postanowił nie robić nic dla zdobycia ekwipunku.

- Zostaje nam dwa tygodnie - mówił do przyjaciół. - Jeśli przez ten czas nie znajdę lub raczej jakaś okazja mnie nie znajdzie, poszukam zaczepki z czterema gwardzistami Jego Eminencji lub ośmiu Anglikami (jestem bowiem zbyt dobrym katolikiem, by roztrzaskać sobie łeb kulą z pistoletu) i będę się bił tak długo, aż jeden z nich mnie zabije, co stanie się niezawodnie, zważywszy liczbę przeciwników. Wówczas powiedzą, że zginąłem dla króla, tak iż wypełnię swe obowiązki bez zdobywania ekwipunku.

Portos przechadzał się z rękami założonymi na plecy, potrząsając głową i mówiąc:

- Mam pomysł.

Zatroskany i niedbale uczesany Aramis nic nie mówił.

Z tych żalonych szczegółów można wnosić, że przygnębienie ogarnęło przyjaciół.

Słudzy, niczym rumaki Hipolita, dzielili smutek swych panów; Mousqueton robił zapasy sucharów; Bazin, który zawsze miał skłonność do dewocji, nie wychodził z kościoła; Planchet łapał muchy; Grimaud zaś, którego nawet powszechna rozpacz nie mogła skłonić do złamania milczenia nakazanego przez pana, wzdychał tak, że kamień by się wzruszył.

Trzej przyjaciele - Atos poprzysiągł bowiem, że nie ruszy się z miejsca - wychodzili z domu wczesnym rankiem i wracali bardzo późno. Włóczyli się po ulicach, liczyli kamienie bruku w nadziei, że jakiś przechodzień zgubi sakiewkę. Powiedziałbyś, że są na czymś tropie, tak bardzo byli uważni. Spotykając się spoglądali po sobie smutnymi oczami, w których kryło się pytanie: czyś co znalazł?

Tymczasem Portos, który pierwszy wpadł na pomysł i uparcie zmierzał do wprowadzenia go w życie, pierwszy też zaczął działać. Nasz zacny Portos był człowiekiem czynu. Pewnego dnia d'Artagnan zobaczył, jak przyjaciel zmierza do kościoła Saint-Leu, i poszedł za nim wiedziony instynktem. Portos wchodząc do świętego przybytku podkręcił węża i przyglądał bródkę, co oznaczało, że

rusza na podbój. Ponieważ d'Artagnan postarał się ukryć, Portos mniemał, że nikt go nie widzi. D'Artagnan wszedł za nim. Portos wsparł się o filar, d'Artagnan, wciąż niewidzialny, wsparł się o ten sam filar z drugiej strony.

Było właśnie kazanie i kościół był pełen. Portos skorzystał z okazji, by przyjrzeć się kobietom: dzięki troskliwym zabiegom Mousquetona jego wygląd nie zdradzał trosk wewnętrznych: wprawdzie kapelusz miał nieco wytarty, pióro wypłowiałe, hafty nieświeże, a koronki podarte, ale w półcieniu tych drobnostek nie było widać i Portos był wciąż pięknym Portosem.

Na ławce znajdującej się najbliżej filaru, o który się oparli, d'Artagnan ujrzał jakąś przejrzałą piękność, pożółkłą nieco i wyschniętą, ale trzymającą się prosto i wyniośle pod czarnym kwefem. Oczy Portosa zatrzymały się przelotnie na tej damie, później błędziły daleko po nawie.

Dama ze swej strony okrywała się rumieńcem i od czasu do czasu, z szybkością błyskawicy, rzucała spojrzenia na płochego Portosa; natychmiast jego oczy zaczynały wściekle latać. Było jasne, że ten manewr rani do żywego damę w czarnym kwefie, gryzła bowiem wargi do krwi, pocierała koniec nosa i kręciła się rozpaczliwie w miejscu.

Widząc to Portos znów podkręcał wąsa, wygładzał bródkę i dawał znaki pięknej pani znajdującej się w pobliżu chóru. Owa pani była nie tylko kobietą piękną, ale i wielką damą, stał bowiem za nią Murzynek, a Murzynek ten przyniósł poduszkę, na której klęczała teraz; pokojowa trzymała ozdobiony herbem pokrowiec od książki do nabożeństwa, z której modliła się dama.

Dama w czarnym kwefie śledziła każde spojrzenie Portosa i mogła stwierdzić, że jego oczy zatrzymywały się na damie klęczącej na aksamitnej poduszce, Murzynku i pokojowej.

Portos zaś poczynał sobie dzielnie: mrugał oczami, kładł palce na usta i posyłał zabójcze uśmiechy, dobijające wzgardzoną kochankę.

Jakoż przy mea culpa uderzyła się w piersi i chrząknęła tak żywo, że wszyscy, nawet dama na czerwonej poduszce, odwrócili się w jej stronę. Portos nie dał nic poznać po sobie, choć zrozumiał to chrząknięcie; udawał jednak głuchego.

Dama klęcząca na czerwonej poduszce, jako że była bardzo piękna, wywarła wielkie wrażenie na damie w czarnym kwefie, która ujrzała w niej groźną rywalkę; wywarła też wielkie wrażenie na Portosie, który uznał, że znacznie jest piękniejsza od damy w czarnym kwefie; na d'Artagnanie wreszcie, rozpoznał w niej bowiem nieznaną z Meung, Calais i Dover; jego wróg, mężczyzna z blizną na twarzy, nazywał ją Milady.

D'Artagnan, nie tracąc z oczu damy na czerwonej poduszce, wciąż obserwował manewry Portosa, co go wielce bawiło; przypuszczał, że dama w czarnym kwefie jest prokuratorową z ulicy aux Ours, tym bardziej że kościół Saint-Leu znajdował się niedaleko od tej ulicy.

Domyślił się też, że Portos chciał się zemścić za swoje niepowodzenie w Chantiny, kiedy prokuratorowa okazała się tak twarda i za nic nie chciała otworzyć sakiewki.

D'Artagnan zauważył również, że zaloty Portosa pozostawały bez odpowiedzi. Były to pozory i

urojenia; ale czy dla prawdziwej miłości, dla prawdziwej zazdrości trzeba czegoś więcej niż pozorów i urojeń?

Kazanie się skończyło; prokuratorowa podeszła do kropielnicy; Portos wyprzedził ją i zamiast zanurzyć palec, włożył do wody całą rękę. Prokuratorowa uśmiechnęła się sądząc, że Portos poda jej wodę święconą, ale wkrótce została okrutnie wyprowadzona z błędu: kiedy była o trzy kroki od niego, odwrócił głowę przesywając spojrzeniem damę, która powstała z czerwonej poduszki i zbliżała się w towarzystwie Murzynka i pokojowej.

Kiedy dama znalazła się obok Portosa, muszkietier wyciągnął z kropielnicy ociekającą wodą rękę; piękna pobożnisa dotknęła delikatnie ręką wielkiej dłoni Portosa, uśmiechając się uczyniła znak krzyża i wyszła z kościoła.

Tego było już prokuratorowej nadto; miała teraz pewność, że coś się święci między damą i Portosem. Gdyby była wielką panią, zemdlałaby; ale była tylko prokuratorowa, toteż poprzestała na słowach, które z wściekłością rzuciła muszkieterowi:

- Cóż, panie Portosie, nie podasz mi wody święconej?

Na dźwięk tego głosu Portos podskoczył niczym człowiek, który budzi się ze snu trwającego sto lat.

- Pa... pani? - zawołał. - Ach, to pani! Jakże się miewa pani mąż, drogi pan Coquenard? Czy wciąż jeszcze jest taki skąpy? Gdzież miałem oczy, że nie zauważyłem pani podczas kazania trwającego dwie godziny?

- Byłam o dwa kroki od pana - odparła prokuratorowa - nie zauważyłeś mnie, ponieważ nie spuszczałeś oka z tej pięknej damy, której podawałeś wodę święconą.

Portos udał zakłopotanie.

- Ach, więc pani zauważyła...

- Musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć.

- Tak - rzekł niedbale Portos - to księżna, z którą jestem zaprzyjaźniony. Bardzo mi trudno ją widywać, ponieważ mąż jest okropnie zazdrosny; uprzedziła mnie więc, że przyjdzie dziś do tego nędznego kościoła położonego w zapomnianej dzielnicy, żeby się ze mną zobaczyć.

- Panie Portosie - rzekła prokuratorowa - czy byłbyś łaskaw ofiarować mi ramię na pięć minut? Chcę z tobą porozmawiać.

- Oczywiście, pani - odparł Portos, robiąc sam do siebie oko jak gracz, który śmieje się z

popelnionego oszustwa.

W tej chwili przechodził obok d'Artagnan postępujący za Milady; zerknął w stronę Portosa i zauważył to triumfalne spojrzenie.

„Ho, ho - powiedział do siebie zgodnie z niezbyt moralnym duchem tej dwornej epoki - oto ktoś, kto będzie miał ekwipunek na czas”.

Portos wiedziony ręką prokuratorowej, jak łódź kierowana sterem, dotarł do klasztoru Saint-Magloire, miejsca mało uczęszczanego i zamkniętego kołowrotami u obu końców. Za dnia zobaczyłbyś tam tylko posilających się żebraków i bawiące się dzieci.

- Ach, panie Portosie - zawołała prokuratorowa, kiedy była już pewna, że nikt poza ludźmi tu przebywającymi nie może ich widzieć i słyszeć; - ach, panie Portosie, wydaje mi się, że jesteś wielkim zdobywcą serc!

- Ja, pani? - rzekł Portos nadymając się. - A to dlaczego?

- A te znaki, a woda święcona? Ach, ta dama z Murzynkiem i pokojową, to co najmniej księżna krwi!

- Myli się pani, doprawdy, to tylko zwykła księżna - odparł Portos.

- A strzelec czekający przy drzwiach i karoca z woźnicą w liberii na koźle?

Portos nie widział ani strzelca, ani karocy, ale pani Coquenard okiem zazdrosnej kobiety zobaczyła wszystko.

Portos żałował, że od samego początku nie nadał damie z czerwoną poduszką tytułu księżnej krwi.

- Ach, panie Portosie, jesteś ulubieńcem pięknych kobiet! - mówiła wzdychając prokuratorowa.

- Przecież rozumie pani - odparł Portos - że przy urodzie, jaką mnie obdarzyła natura, nie brak mi powodzenia.

- Mój Boże, jak szybko zapominają mężczyźni! - zawołała prokuratorowi wznosząc oczy do nieba.

- Ale nie szybciej od kobiet - odparł Portos - mogę bowiem powiedzieć, że pani zapomniała o mnie okrutnie, kiedy leżałem ranny, umierający, opuszczony przez chirurgów; ja, potomek znakomitej rodziny, zaufałem twej przyjaźni, a niewiele brakowało, bym umarł wpierw z ran, a potem z głodu w nędznej oberży w Chantilly, podczas gdy pani nie raczyłaś nawet odpowiedzieć na żaden z moich płomiennych listów.

- Ależ, panie Portosie - szepnęła prokuratorowa, która czuła, że postąpiła źle, jeśli wziąć pod uwagę zachowanie się wielkich dam owej epoki.
- Ja, co poświęciłem dla ciebie baronową de...
- Wiem o tym dobrze.
- Hrabinę de..
- Panie Portosie, nie dobijaj mnie.
- Księżnę de...
- Panie Portosie, bądź wielkoduszny.
- Masz słuszość, pani, nie będę kończył.
- Mój mąż nie chce słyszeć o pożyczce.
- Pani Coquenard - rzekł Portos - przypomnij sobie pierwszy list, który napisałaś do mnie i który mam wciąż jeszcze w pamięci.

Prokuratorowa jęknęła.

- Poza tym suma, której żądałeś, była zbyt wielka - powiedziała.
- Pani Coquenard, wybrałem ciebie. Nie napisałem ani do księżny de... Nie chcę wymieniać jej nazwiska, nie należę bowiem do tych mężczyzn, co kompromitują damy; wiem jednak, że gdybym napisał do niej, przysłałaby mi tysiąc pięćset.

Pani prokuratorowa uroniła łzę.

- Panie Portosie - rzekła - przysięgam, że ukarałeś mnie surowo i jeśli w przyszłości znajdziesz się w podobnym położeniu, wystarczy ci zwrócić się do mnie.
- Cóż znowu, pani! - rzekł Portos udając oburzenie - nie mówmy o pieniądzach, to upokarzające.
- Więc już mnie nie kochasz! - powiedziała powoli i ze smutkiem prokuratorowa.

Portos milczał dumnie.

- Taka jest twoja odpowiedź? Niestety, rozumiem.
- Pomyśl, jak mnie obraziłaś, pani; ta obraza pozostała tu - rzekł Portos kładąc z mocą rękę na sercu.

- Naprawię swój błąd, mój drogi Portosie.

- Zresztą, o co cię prosiłem? - mówił Portos wzruszając dobrodusznie ramionami - o pożyczkę, nic więcej. Jestem przecie człowiekiem rozsądnym. Wiem, że nie jesteś bogata, moja pani Coquenard, i twój mąż musi wysysać krew ze swych biednych klientów, by zdobyć tych kilka nieszczęsnych talarów. O, gdybyś była hrabiną, markizą lub księżną, to co innego, nie przebaczyłbym ci nigdy.

Prokuratorowa poczuła się dotknięta.

- Dowiedz się, panie Portosie, że moja szkatuła, choć należy tylko do prokuratorowej, jest być może lepiej zaopatrzona niż szkatuły twoich wystrojonych lalek.

- Zatem dotknęłaś mnie tym bardziej - odparł Portos puszczając ramię prokuratorowej - jeśli bowiem jesteś bogata, pani Coquenard, twoja odmowa nie ma usprawiedliwienia.

- Kiedy powiadam, że jestem bogata - rzekła prokuratorowa widząc, że posunęła się zbyt daleko - nie trzeba tego rozumieć dosłownie. Właściwie nie jestem bogata, ale na niczym mi nie zbywa.

- Proszę cię, pani-rzekł Portos-nie mówmy już o tym. Nie zrozumiałaś mego serca; wszelkie łączące nas uczucia wygasły.

- Och, niewdzięczny!

- Jeszcze się pani skarżysz! - zawołał Portos.

- Idź więc do swojej pięknej księżny! Nie zatrzymuję pana.

- Ach, więc nie cierpisz tak bardzo, jak myślałem!

- Panie Portosie, po raz ostatni: czy kochasz mnie jeszcze?

- Niestety, pani - rzekł tonem pełnym melancholii - wyruszamy na wojnę, a przecucia mi mówią, że polegnę...

- Ach, nie mów takich rzeczy! - zawołała prokuratorowa wybuchając płaczem.

- Czuję, że tak się stanie - ciągnął Portos głosem coraz bardziej melancholijnym.

- Powiedz raczej, że się zakochałeś.

- Nie, mówię szczerze. Nikt inny nie posiadał mego serca, czuję nawet, że serce to przemawia za tobą, pani. Ale za dwa tygodnie, jak wiesz, a może nie wiesz o tym, rozpoczyna się ta nieszczęsna wojna;

będę całkowicie zajęty przygotowaniem ekwipunku. Zresztą muszę pojechać do mojej rodziny do Bretanii, by otrzymać potrzebną mi sumę.

Na oczach Portosa miłość i skąpstwo toczyły ostatni bój.

- A ponieważ dobra księżnej, którą widziałas pani w kościele, sąsiadują z moimi, pojedziemy razem. Pani wie, że droga wydaje się znacznie krótsza, gdy podróżuje się we dwoje.

- Nie masz więc przyjaciół w Paryżu, panie Portosie?

- Myślałem, że mam - rzekł Portos przybierając znowu melancholijną minę - ale widzę, że się omyliłem.

- Masz ich, masz, panie Portosie - rzekła prokuratorowa z uniesieniem, które zdumiało ją samą - przyjdź do mnie jutro. Jesteś synem mojej ciotki, a więc moim kuzynem; przybywasz z Noyon w Pikardii, masz kilka procesów w Paryżu, brak ci tylko prokuratora. Zapamiętasz sobie to, co ci powiedziałam?

- Wybornie, pani.

- Przyjdź na obiad.

- Znakomicie.

- I nie trać kontenansu rozmawiając z moim mężem, który mimo swoich siedemdziesięciu sześciu lat jest szczwanym lisem.

- Siedemdziesiąt sześć lat! Tam do licha, piękny wiek! - rzekł Portos.

- Późny wiek, chciałeś powiedzieć, panie Portosie. Drogi biedaczek może mnie w każdej chwili osierocić - ciągnęła prokuratorowa rzucając znaczące spojrzenie na Portosa. - Na szczęście z kontraktu małżeńskiego wynika, że cały majątek przechodzi na to z małżonków, które pozostaje przy życiu.

- Cały majątek? - rzekł Portos.

- Cały.

- Jesteś kobietą przewidującą, droga pani Coquenard - powiedział Portos, czule ściskając jej rękę.

- A zatem pogodziliśmy się, drogi panie Portosie? - rzekła wdzięcząc się prokuratorowa.

- Na zawsze - odparł Portos z równie czułą miną.

- Do widzenia, mój zdrajco.

- Do widzenia, moja wietrznico.

- Do jutra, aniele.

- Do jutra, miłości mego życia.

XXX.

MILADY

D'Artagnan szedł za MUady nie będąc przez nią widziany. Zobaczył, jak wsiadła do karocy, i usłyszał, jak kazała jechać woźnicy do Saint-Germain.

Byłoby rzeczą bezcelową iść pieszo za karocą, unoszoną klusem przez dwa rącze konie. D'Artagnan udał się więc na ulicę Ferou.

Na ulicy Serne spotkał Plancheta, który przystanął przed sklepem cukiernika i pogrążony w zachwycie patrzył na ciastko o wielce smakowitym wyglądzie.

D'Artagnan kazał mu iść do stajni pana de Treville i osiodłać dwa konie, pan de Treville bowiem pozwolił d'Artagnanowi korzystać z jego stajni, kiedy zechce.

Za czym Planchet poszedł na ulicę Vieux-Colombier, a d'Artagnan na ulicę Perou. Atos był w domu, smutnie popijając owo sławne wino hiszpańskie, które przywiózł z Pikardii. Dał znak Grimaudowi, by podał szklankę d'Artagnanowi, i Grimaud usłuchał jak zwykle.

D'Artagnan opowiedział tedy Atosowi, co zaszło w kościele między Porostem a prokuratorową; zapewne teraz ich towarzysz jest na najlepszej drodze do zdobycia ekwipunku.

- Co do mnie - rzekł Atos na to - kobiety nie będą płacić za mój ekwipunek, jestem o to zupełnie spokojny.

- A jednak, mój drogi Atosie, jesteś tak piękny, dworny, tak wielki pan, że nawet księżniczki i królowe nie oparłyby się tobie.

- Jaki ten d'Artagnan jeszcze młody! - rzekł Atos wzruszając ramionami.

Po czym dał znak Grimaudowi, by przyniósł jeszcze jedną butelkę.

W tej chwili Planchet wsunął skromnie głowę przez uchylone drzwi i zameldował panu, że konie

czekają.

- Jakie konie? - zapytał Atos.

- Dwa konie, które pan de Treville pożycza mi na przejażdżkę. Wybieram się do Saint-Germain.

- Co chcesz robić w Saint-Germain? - zapytał znów Atos.

Wówczas d'Artagnan opowiedział o spotkaniu w kościele, o tym, jak rozpoznał ową damę, która, podobnie jak szlachcic w czarnym płaszczu i z blizną na skroni, wciąż go niepokoi.

- To znaczy, że jesteś w niej zakochany, jak byłeś zakochany w pani Bonacieux - rzekł Atos wzruszając pogardliwie ramionami, jak gdyby przejęty litością dla słabości ludzkiej.

- Ja? Skądże znowu! - zawołał d'Artagnan. - Chciałbym tylko wyjaśnić tajemnicę z nią związaną. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażam sobie, że ta kobieta, choć nie znam jej zupełnie i ona mnie nie zna, ma wpływ na moje życie.

- W gruncie rzeczy masz rację - rzekł Atos - nie znam kobiety, której warto by szukać, skoro raz zginęła. Pani Bonacieux zginęła, tym gorzej dla niej, jeśli się znajdzie.

- Nie, Atosie, nie, mylisz się - powiedział d'Artagnan - kocham moją biedną Konstancję bardziej niż kiedykolwiek i gdybym wiedział, gdzie się znajduje, choćby to było na końcu świata, poszedłbym uwolnić ją z rąk nieprzyjaciół; ale nic nie wiem i wszystkie moje poszukiwania były bezowocne. Cóż więc chcesz, trzeba się rozerwać.

- Rozerwij się więc, mój drogi d'Artagnanie, życzą ci z całego serca zabawy z Milady.

- Posłuchaj, Atosie - rzekł d'Artagnan - zamiast siedzieć tu zamknięty jak w więzieniu, siadź na konia i jedź ze mną do Saint-Germain.

- Mój drogi-odparł Atos-dosiadam koni, jeśli je mam; w przeciwnym razie chodzę pieszo.

- Ja zaś - oświadczył d'Artagnan uśmiechając się z tej mizantropii Atosa, która u kogoś innego na pewno by go uraziła - ja zaś, mniej dumny od ciebie, wsiadam na każdego konia, który mi wpadnie pod rękę. Do widzenia tedy, mój drogi Atosie.

- Do widzenia - rzekł muszkieter dając znak Grimaudowi, by otworzył butelkę, którą właśnie przyniósł.

D'Artagnan i Planchet dosiedli koni i ruszyli do Saint-Germain.

Przez całą drogę prześladowały młodzieńca słowa Atosa o pani Bonacieux. Chociaż d'Artagnan nie miał zbyt sentymentalnego usposobienia, wdzięczna kramarka naprawdę zapadła mu w serce; jak to powiedział, gotów był pójść na koniec świata, by ją odnaleźć. Ale świat ma wiele końców, ponieważ ziemia jest kulą, nie wiedział przeto, w którą stronę się udać.

Na razie chciał się dowiedzieć, kim jest Milady. Milady rozmawiała z szlachcicem w czarnym płaszczu, a więc go znała, d'Artagnan zaś mniemał, że to on porwał panią Bonacieux po raz wtóry, jak to uczynił za pierwszym razem. D'Artagnan skłamał więc tylko w połowie, co jest niewielkim kłamstwem, kiedy powiedział, że szukając Milady szuka zarazem Konstancji.

Tak rozmyślając i od czasu do czasu bodąc konia ostrogą, d'Artagnan dojechał do Saint-Germain. Minął pawilon, gdzie w dziesięć lat później miał się urodzić Ludwik XIV, i jechał odludną ulicą rozglądając się na prawo i lewo, by trafić na ślad pięknej Angielki, kiedy na parterze ładnego domu, który zwyczajem owego czasu nie miał ani jednego okna wychodzącego na ulicę, ujrzał znajomą postać.

Ów człowiek przechadzał się po tarasie ozdobionym kwiatami. Planchet rozpoznał go pierwszy.

- Panie - rzekł zwracając się do d'Artagnana - czy nie przypominasz sobie tej rozdziawionej gęby?

- Nie - odparł d'Artagnan - mimo to jestem pewien, że nie widzę jej po raz pierwszy.

- Myślę sobie - rzekł Planchet - to ten biedak Lubin, służący hrabiego de Wardes, którego pan tak pięknie urządził przed miesiącem, w Calais, na drodze wiodącej do letniego domu zarządcy.

- Tak- powiedział d'Artagnan- poznaję go teraz. Czy sądzisz, że cię pozna?

- Doprawdy, panie, był tak przestraszony, że wątpię, by mógł zachować jasność myśli.

- Dobrze więc, idź, pogadaj z nim i dowiedz się, czy jego pan żyje.

Planchet zsiadł z konia i podszedł do Lubina, który rzeczywiście go nie poznał. Dwaj służący nawiązali rozmowę najserdeczniejszą w świecie, a d'Artagnan ruszył tymczasem uliczką i okrążywszy dom, ukrył się, nasłuchując za leszczy- nowym szpalerem.

Po kwadransie usłyszał turkot pojazdu i ujrzał, jak naprzeciw zatrzymuje się karoca Milady. Nie ulegało wątpliwości, to była Milady. D'Artagnan położył się na szyi konia, by wszystko widzieć nie będąc widzianym.

Milady wychyliła śliczną głowę przez drzwiczki karocy i dała polecenie pokojówce.

Pokojówka, ładna dziewczyna mogąca liczyć dwadzieścia jeden lub dwadzieścia dwa lata, zwinna i

fertyczna, prawdziwa pokojówka wielkiej damy, zeskoczyła ze stopnia, na którym siedziała wedle zwyczaju owych czasów, i skierowała się ku tarasowi, gdzie d'Artagnan zauważył Lubina.

D'Artagnan odprowadził ją oczami i ujrzał, jak podchodzi do tarasu. Jakiś rozkaz wezwał Lubina do środka, tak że Planchet został sam i rozglądał się na wszystkie strony za d'Artagnanem.

Pokojówka zbliżyła się do Plancheta, którego wzięła za Lubina, i podała mu bilecik.

- Dla twego pana - rzekła.

- Dla mego pana? - spytał zdumiony Planchet.

- Tak, to bardzo pilne. Proszę wziąć szybko.

Co powiedziawszy pobiegła ku karocy, która już zawróciła; wskoczyła na stopień i karoca znikła.

Planchet obracał bilecik w ręce, ale przyzwyczajony do biernego posłuszeństwa zeskoczył z tarasu, skręcił w uliczkę i w odległości dwudziestu kroków spotkał d'Artagnana, który widział wszystko i szedł mu naprzeciw.

- Dla pana - rzekł Planchet podając bilet młodzieńcowi.

- Dla mnie? - rzekł d'Artagnan. - Czy jesteś tego pewien?

- Do licha, czy jestem pewien! Pokojówka powiedziała: „Dla twego pana”. Nie mam innego pana prócz pana, a zatem... Na honor, śliczna ta pokojówka! D'Artagnan otworzył list i przeczytał te słowa:

„Pewna osoba, która bardziej interesuje się panem niż może wyznać, chciałaby wiedzieć, kiedy mógłby się pan wybrać do lasu na przechadzkę. Jutro w oberży „Pod Złotą Tarczą” lokaj w czarnoczerwonej liberii będzie czekał na pańską odpowiedź.”

- Ho, ho - powiedział do siebie d'Artagnan - wcale nieźle. Zdaje się, że Milady i ja troszczymy się o zdrowie tej samej osoby. Planchet, jakże się czuje ten pan de Wardes? Chyba nie umarł?

- Nie, proszę pana, czuje się o tyle dobrze, o ile to możliwe, kiedy się ma cztery rany, ponieważ pan, nie wypominając, zadał cztery ciosy temu godnemu szlachcicowi; jest on jeszcze bardzo słaby, utoczył mu pan sporo krwi. Jak mówiłem, Lubin mnie nie poznał i opowiedział mi naszą przygodę z najdrobniejszymi szczegółami.

- Doskonale, .Planchet, jesteś królem służących, teraz wsiadaj na konia i jedźmy za karocą.

Pościg nie trwał długo. Po pięciu minutach zauważyli karocę na zakręcie drogi; bogato ubrany

kawaler stał przy drzwiczkach.

Rozmowa między Milady i kawalerem była tak ożywiona, że choć d'Artagnan zatrzymał się z drugiej strony karocy, nikt prócz ładnej pokojówki nie zauważył jego obecności.

Rozmowa toczyła się po angielsku, a więc w języku, którego d'Artagnan nie znał, ale z intonacji młody człowiek mógł odgadnąć, że piękna Angielka była mocno zagniewana; wymowę zdań zakończyła gestem nie pozostawiającym wątpliwości: uderzyła kawalera wachlarzem tak gwałtownie, że ta niewielka zabawka rozleciała się w tysiące kawałków.

Kawaler wybuchnął śmiechem, co bardzo rozdrażniło Milady.

D'Artagnan pomyślał, że nadeszła chwila, by się wtrącić. Zbliżył się do drzwiczek i zdejmując kapelusz rzekł z szacunkiem:

- Pani, czy pozwolisz, że ofiaruję ci swe usługi? Zdaje mi się, że ten kawaler cię rozgniewał. Powiedz jedno słowo, pani, aukarzę go za ten brak grzeczności.

Milady odwróciła się przy pierwszych jego słowach, patrząc na młodzieńca ze zdumieniem; kiedy d'Artagnan skończył, powiedziała bardzo dobrą francuszczyzną.

- Panie, z radością skorzystałabym z twej opieki, gdyby ten kawaler nie był moim bratem.

- Ach, w takim razie, proszę mi wybaczyć. Rozumie pani, że nie mogłem o tym wiedzieć.

- Po kiego licha wtrąca się ten żółtodziób! - zawołał pochylając się ku drzwiczkom kawaler, którego Milady nazwała bratem. - Dlaczego nie jedzie swoją drogą?

- Sam pan jesteś żółtodziób - rzekł d'Artagnan pochylając się z kolei na koniu i odpowiadając ze swej strony drzwiczek - nie jadę, bo spodobało mi się tu zatrzymać.

Kawaler powiedział kilka słów po angielsku do siostry.

- Mówię do pana po francusku - rzekł d'Artagnan - bądź więc łaskaw odpowiadać mi w tym samym języku. Jesteś pan bratem tej damy, i owszem, ale na szczęście nie moim.

Można by przypuszczać, że Milady, bojaźliwa jak to zwykle kobiety, zechce załagodzić sprzeczkę, by sprawy nie posunęły się zbyt daleko. Ale stało się inaczej: cofnęła się w głąb karocy i krzyknęła do woźnicy zimnym głosem:

- Ruszaj do pałacu!

Ładna pokojówka rzuciła niespokojne spojrzenie na d'Artagnana, którego chwacka mina wywarła na niej, widać, wrażenie.

Karoca ruszyła pozostawiając dwóch mężczyzn naprzeciw siebie, teraz nie dzieliła ich już żadna przeszkoda

Kawaler zrobił ruch, jakby chciał towarzyszyć karocy, ale wściekły gniew d'Artagnana jeszcze przybrał na sile, kiedy młodzieniec się przekonał, że kawaler jest Anglikiem z Amiens, tym samym, co wygrał jego konia, i mało brakowało, a wygrałby od Atosa jego diament, skoczył więc, chwycił za uzdę konia przeciwnika i zatrzymał go.

- Ach, panie - powiedział - wydaje mi się, że jeszcze większy z ciebie żółtodziób niż ze mnie, zapominasz bowiem, jak widać, że mamy ze sobą sprawę.

- Ach, to ty, mój panie! Widzę, że grywasz we wszelkie gry?

- Tak, i to mi przypomina, że powinienem się jeszcze odegrać. Zobaczymy, drogi panie, czy równie zręcznie -posługujesz się rapierem, jak kubkiem do kości.

- Widzisz pan przecie, że nie mam przy sobie szpady - rzekł Anglik.- Chcesz udawać zucha wobec bezbronnego człowieka?

- Mam nadzieję, że ma pan jakąś broń w domu - odparł d'Artagnan. - W każdym razie ja mam dwie szpady i jeśli chcesz, jestem gotów panu służyć.

- Nie trzeba - rzekł Anglik - jestem dostatecznie zaopatrzony w przedmioty tego rodzaju.

- Dobrze więc, mój zacny panie szlachcicu - odpowiedział d'Artagnan - wybierz najdłuższą szpadę i pokaż mi ją dziś wieczór.

- Gdzie, jeśli łaska?

- Za Luksemburgiem, to prześliczne miejsce i odpowiednie do takich schadzek.

- Dobrze, stawię się.

- O której godzinie?

- O szóstej.

- Zapewne ma pan dwóch przyjaciół?

- Mam nawet trzech, bez wątpienia będą zachwyceni tą okazją.
- Trzech? Wybornie! Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, mam również tylu - odparł d'Artagnan.
- A teraz powiedz mi pan, kim jesteś?
- Jestem d'Artagnan, szlachcic gaskoński, służę w gwardii, kompania pana des Essarts. A pan?
- Lord Winter, baron Sheffield.
- Doskonale, jestem do twych usług, panie baronie - rzekł d'Artagnan - choć masz nazwisko trudne do zapamiętania.

I spiąwszy konia ostrogami, ruszył galopem w stronę Paryża.

Jak zazwyczaj w takich wypadkach, d'Artagnan udał się prosto do Atosa.

Znalazł przyjaciela leżącego na wielkiej kanapie, gdzie czekał, aż ekwipunek sam do niego przyjdzie.

D'Artagnan opowiedział Atosowi o tym, co zaszło, zatajając jedynie list do pana de Wardes.

Atos był zachwycony, kiedy się dowiedział, że będzie się bił z Anglikiem. Mówiliśmy już, że tylko o tym marzył.

Posłano natychmiast służącego do Portosa i Aramisa, by zawiadomić ich o tym, co zaszło.

Portos wyciągnął szpadę z pochwy i zaczął się fechtować biorąc ścianę za przeciwnika i podskakując jak tancerz. Aramis, który wciąż pracował nad swym poematem, zamknął się w gabinecie Atosa prosząc, by mu na razie nie przeszkadzano.

Atos dał znak Grimaudowi, by przyniósł butelkę wina.

Natomiast d'Artagnan układał sobie plan, który zostanie wprowadzony w życie nieco później; jak widać było z uśmiechów przebiegających od czasu do czasu po jego zamyślonej twarzy, obiecywał sobie po nim niejedną miłą przygodę.

CZĘŚĆ DRUGA

ANGLICY I FRANCUZI

O oznaczonej godzinie czterej przyjaciele wraz ze swymi służącymi udali się na ogrodzony plac za Luksemburgiem, gdzie pasły się kozy. Atos dał drobną monetę pastuchowi, by się oddalił, służących postawiono na straży.

Wkrótce kilku mężczyzn przybyło w milczeniu na to samo miejsce; zgodnie z obyczajem zamorskim nastąpiły teraz prezentacje.

Anglicy byli ludźmi z najlepszego towarzystwa i dziwaczne nazwiska przeciwników nie tylko ich zdumiały, ale wzbudziły w nich niepokój.

- Jednakże - rzekł lord Winter, kiedy trzej przyjaciele wymienili swe nazwiska - nie wiemy nadal, kim jesteście, panowie, i nie będziemy się bili z ludźmi, którzy tak się zwa: to są imiona pasterzy.

- Bo i w samej rzeczy, milordzie, są to nazwiska fałszywe – odpowiedział Atos.

- Co budzi w nas tym większe pragnienie poznania nazwisk prawdziwych - odparł Anglik.

- Graliście jednak z nami nie znając naszych nazwisk - rzekł Atos - i nawet wygraliście od nas dwa konie.

- To prawda, ale szło nam jedynie o pieniądze, gdy tym razem idzie o życie. Grać można z każdym, ale bić się tylko z równym sobie.

- Słusznie - rzekł Atos. Odprowadził na stronę Anglika, z którym miał się bić, i powiedział mu cicho swe nazwisko.

Portos i Aramis uczynili to samo.

- Czy to panu wystarczy - rzekł Atos do swego przeciwnika - i czy uważasz mnie za dość wielkiego pana, byś zechciał skrzyżować ze mną szpadę?

- Tak, panie - powiedział Anglik z ukłonem.

- Dobrze. A teraz, czy pozwoli pan, że mu coś powiem? - rzekł chłodno Atos.

- Słucham - odparł Anglik.

- Uczyniłbyś pan lepiej nie pytając mnie o nazwisko.

- Dlaczego?

- Ponieważ mniema się, że nie żyję, ponieważ mam powody, dla których nie chcę, by wiadano o

tym, że żyję, i ponieważ będę musiał pana zabić, by moja tajemnica nie została odkryta.

Anglik spojrział na Atosa przypuszczając, że ten żartuje, ale Atos zgoła nie żartował.

- Panowie - rzekł Atos zwracając się jednocześnie do swych towarzyszy i przeciwników - czy jesteście gotowi?

- Tak - odparli jednym głosem Anglicy i Francuzi.

- A zatem do dzieła - rzekł Atos.

Za chwilę osiem szpad błysnęło w promieniach zachodzącego słońca i rozpoczęła się zawzięta walka, co jest całkowicie zrozumiałe, jeśli się zważy, że potykali się ludzie będący podwójnie wrogami.

Atos walczył z tak wielkim spokojem i tak regularnie, jakby był w sali fechtunku.

Portos, którego przygoda w Chantiny uleczyła ze zbytnej pewności siebie, prowadził grę tyle przebiegłą co ostrożną.

Aramis miał skończyć trzecią pieśń swego poematu, śpieszył się więc jak człowiek mający niewiele czasu.

Atos pierwszy zabił swego przeciwnika: zadał mu tylko jeden cios, ale, jak zapowiedział, cios był śmiertelny, szpada przebiła serce.

Portos drugi z kolei rozciągnął przeciwnika na trawie: przebił mu udo.

Wówczas Anglik nie opierając się dłużej oddał mu swoją szpadę, a Portos zaniósł go do kolaski.

Aramis nacierał tak ostro, że przeciwnik cofnął się o jakie pięćdziesiąt kroków, wreszcie rzucił się do ucieczki co sił w nogach i znikł wśród szyderczych śmiechów służby.

Tymczasem d'Artagnan obrał taktykę obronną, a kiedy zobaczył, że przeciwnik jest już mocno zmęczony, tęgim ciosem flankowym wyłuskał mu szpadę z ręki. Baron widząc, że jest bezbronny, cofnął się kilka kroków wstecz; ale w tej chwili noga mu się pośliznęła i upadł na wznak.

D'Artagnan jednym skokiem znalazł się przy nim i przyłożywszy szpadę do gardła Anglika, powiedział:

- Mógłbym cię zabić, panie, jesteś bowiem zdany na moją łaskę, ale daruję ci życie ze względu na twą siostrę.

D'Artagnan był u szczytu radości; wprowadził w życie plan, który powziął i do którego, jak mówiliśmy, uśmiechał się zawczasu.

Anglik zachwycony, że ma do czynienia z tak dwornym szlachcicem, uścisnął d'Artagnana, powiedział mnóstwo uprzejmości trzem muszkietierom, a ponieważ przeciwnik Portosa znajdował się już w kolasce, przeciwnik Aramis'a zmykał zaś ile sił w nogach, myślano tylko o nieboszczyku.

Kiedy Portos i Aramis rozbierali go w nadziei, że rana nie jest śmiertelna, zza pasa wypadła mu ciężka sakiewka. D'Artagnan podniósł ją i podał lordowi Winter.

- I cóż mam z tym robić, u diabła? - rzekł Anglik.

- Zwrócisz pan rodzinie - odparł d'Artagnan.

- Rodzinie nic po tej drobnostce: dziedziczy po nim piętnaście tysięcy luidorów renty. Oddaj tę sakiewkę waszym służącym.

D'Artagnan włożył sakiewkę do kieszeni.

- A teraz, mój młody przyjacielu (mam bowiem nadzieję, że pozwolisz mi tak do siebie mówić) - rzekł lord Winter - jeśli zechcesz, przedstawię cię dziś wieczór mojej siostrze, lady Ciarick, pragnę bowiem, byś pozyskał sobie jej względy; jest dobrze widziana na dworze i może ci być użyteczna.

D'Artagnan zarumienił się z zadowolenia i skłonił się na znak zgody.

Tymczasem Atos podszedł do d'Artagnana.

- Co masz zamiar zrobić z tą sakiewką? - szepnął mu do ucha.

- Oddać tobie, mój drogi Atosie.

- Mnie? A to dlaczego?

- Do kroćset, - tyś go zabił; to przecież łup wojenny.

- Ja miałbym dziedziczyć po wrogu! - rzekł Atos - za kogo mnie bierzesz?

- To obyczaj wojenny - powiedział d'Artagnan. - Dlaczego nie miałby być stosowany w pojedynku?

- Nawet na polu bitwy nigdy tego nie robię - odparł Atos.

Portos wzruszył ramionami, Aramis ruchem warg przytaknął Atosowi.

- A zatem - rzekł d'Artagnan - dajmy te pieniądze służbie, jak powiedział lord Winter.

- Tak - rzekł Atos - dajmy tę sakiewkę służbie, nie naszej wszakże, lecz Anglików.

Atos wziął sakiewkę i rzucił ją woźnicy.

- To dla ciebie i twoich towarzyszy.

Ten wielkopański gest człowieka pozbawionego wszelkich zasobów zdumiał nawet Portosa. Lord Winter i jego przyjaciel nie omieszkali rozpowiedzieć wszystkim o szczodrości Francuza i czyn Atosa zdobył sobie powszechny aplauz; jedynie panowie Grimaud, Mousoueton, Planchet i Bazin mieli w tej sprawie zgoła odmienne zdanie.

Lord Winter, żegnając się z d'Artagnanem, dał mu adres swej siostry; mieszkała przy placu Royal pod numerem 6, w bardzo modnej podówczas dzielnicy. Powiedział zresztą, że przyjdzie po niego: D'Artagnan umówił się z lordem na godzinę ósmą u Atosa.

Wizyta u Milady zaprzętała całkowicie umysł naszego Gaskończyka. Nie mógł zapomnieć, że ta kobieta miała jakieś osobliwe związki z jego losami; choć był przekonany, że Milady pozostaje na służbie u kardynała, czuł, iż namiętność, z której nie potrafił sobie zdać sprawy, pociąga go ku niej nieodparcie. Obawiał się tylko, by nie rozpoznała w nim człowieka z Meung i Dover. Wówczas

wiedziałaaby, że należy do przyjaciół pana de Treville, a zatem do stronnictwa wiernego królowi; utraciłby od razu przynajmniej część jej faworów, graliby bowiem w otwarte karty. Jeśli idzie o związek romansu między Milady a hrabią de Wardes, nasz pyszałek nie bardzo brał go w rachubę, choć hrabia był młody, piękny, bogaty i w łaskach u kardynała. To nie byle co mieć lat dwadzieścia,

a zwłaszcza urodzić się w Tarbes.

D'Artagnan wystroił się więc wspaniale, po czym udał się do Atosa, żeby swym zwyczajem wszystko mu opowiedzieć. Atos wysłuchał go, pokiwał głową i z pewną goryczą zalecił mu ostrożność.

- Jak to - powiedział - straciłeś kobietę, którą uważałeś za dobrą, uroczą, szlachetną, i już gonisz za inną?

D'Artagnan odczuł słuszność zarzutu.

- Kochałem panią Bonacieux sercem, Milady zaś zajmuje tylko mój umysł - rzekł - idąc do niej chcę przede wszystkim dowiedzieć się, jaką rolę odgrywa na dworze.

- Do kaduka! Nietrudno to odgadnąć po tym, co mi powiedziałaś. To agent kardynała: ta kobieta wciągnie cię w zasadzkę, nie ujdiesz z życiem.

- Do diabła, mój drogi Atosie, zdaje mi się, że widzisz wszystko w zbyt czarnych kolorach.

- Mój drogi, mam się na bacności przed kobietami; cóż chcesz, zdobyłem już doświadczenie, zwłaszcza z blondynkami. Milady jest blondynką, jak powiedziałeś?

- Ma najpiękniejsze jasne włosy, jakie zdarzyło mi się widzieć.

- Ach, mój biedny d'Artagnanie - rzekł Atos.

- Posłuchaj, pragnę rzecz wyświecić; potem, kiedy będę wiedział, co chcę wiedzieć, odejdę.

- Wyświeć - rzekł flegmatycznie Atos.

Lord Winter przybył o umówionej godzinie, ale Atos, uprzedzony w porę, wyszedł do drugiego pokoju. Zastał więc d'Artagnana samego, a ponieważ dochodziła ósma, zabrał młodzieńca ze sobą.

Piękna karoca zaprzęzona w dwa rącze konie czekała na dole; w mgnieniu oka byli na placu Royale.

Lady Ciarick przyjęła d'Artagnana z powagą. Jej pałac odznaczał się wielkim przepychem i choć na skutek wojny większość Anglików musiała opuścić Francję lub zbierała się. teraz do odjazdu, Milady poczyniła nowe wydatki na urządzenie, co dowodziło, że ograniczenia dotyczące Anglików jej nie obejmowały.

- Widzisz przed sobą - rzekł lord Winter przedstawiając d'Artagnana siostrze - młodego szlachcica, który miał moje życie w swych rękach i nie skorzystał z tej przewagi, choć po dwakroć miał powód, by to uczynić; obraziłem go i jestem Anglikiem. Podziękuj mu zatem, jeśli masz trochę przyjaźni dla mnie.

Milady zmarszczyła lekko brwi. Ledwie dostrzegalna chmura przemknęła przez jej czoło i uśmiech tak osobliwy pojawił się na ustach, że młodzieńca przebiegł dreszcz.

Brat nic nie zauważył; odwrócił się, by pobawić się z ulubioną małpką Milady, która pociągnęła go za kaftan.

- Witam cię, panie - powiedziała Milady głosem, którego szczególna słodycz kontrastowała z oznakami złego humoru dostrzeżonymi przez d'Artagnana - zdobyłeś dziś prawa do mojej wiecznej wdzięczności.

Anglik opowiedział teraz przebieg walki nie omijając żadnego szczegółu. Milady słuchała z największą uwagą, jednak widać było wyraźnie, choć starała się ukryć swe wrażenia, że opowieść nie jest jej miła. Krew uderzała jej do głowy, a mała nóżka poruszała się niecierpliwie pod suknią.

Lord Winter i tym razem nic nie dostrzegł. Gdy skończył, zbliżył się do stołu, gdzie stała na tacy

butelka wina hiszpańskiego i szklanki. Napełnił dwie szklanki i gestem zaprosił d'Artagnana.

D'Artagnan wiedział, że dla Anglika odmowa wzniesienia toastu jest ciężką zniewagą. Podszedł więc do stołu i wziął szklankę. Jednakże nie tracił Milady z oka i w lustrze widział jej zmienione rysy. Teraz, kiedy sądziła, że nikt na nią nie patrzy, coś na kształt okrucieństwa ożywiło jej twarz. Gryzła chustkę pięknymi zębami.

Weszła ładniutka pokojówka, którą d'Artagnan był już zauważył. Powiedziała po angielsku kilka słów do lorda Wintera; ten natychmiast przeprosił d'Artagnana, że musi odejść, powołując się na ważność sprawy i polecając siostrze, by wytłumaczyła go przed gościem.

D'Artagnan uściskał dłoń lorda Wintera i wrócił do Milady. Jej twarz zdumiewająco szybko przybrała wdzięczny wyraz, jedynie kilka małych czerwonych plamek rozsianych po chusteczce wskazywało na to, że gryzła sobie usta do krwi.

Usta miała piękne, rzekłbyś z koralu.

Rozmowa potoczyła się wesoło, Milady odzyskała już spokój ducha. Opowiedziała, że lord Winter jest jej szwagrem, a nie bratem; wyszła za męża za jego młodszego brata, który osierocił ją wraz z dzieckiem. Dziecko jest jedynym spadkobiercą lorda Wintera, jeśli lord się nie ożeni. D'Artagnan czuł, że za tymi słowami coś się kryje, ale co, tego jeszcze nie wiedział.

Po półgodzinnej rozmowie d'Artagnan doszedł do przekonania, że Milady jest jego rodaczką: mówiła po francusku tak czysto i wykwinicie, że jej narodowość nie ulegała żadnej wątpliwości.

D'Artagnan rozplątywał się w komplementach i zapewnieniach o swym oddaniu, Milady słuchała naszego Gaskończyka z życzliwym uśmiechem. Ale trzeba było już odejść. D'Artagnan pożegnał Milady i opuścił salon czując się najszcześliwszym z ludzi.

Na schodach spotkał ładniutką pokojówkę, która w przejściu otarła się o niego lekko i cała w rumieńcach przeprosiła go głosem tak słodkim, że młodzieniec wybaczył jej natychmiast.

D'Artagnan zjawił się nazajutrz i został przyjęty jeszcze uprzejmiej niż dnia poprzedniego. Lorda Wintera nie było i Milady tym razem sama czyniła honory domu. Okazała naszemu młodzieńcowi wiele zainteresowania, spytała go, skąd pochodzi, jakich ma przyjaciół i czy nie pomyślał kiedy o tym, by wstąpić na służbę do kardynała.

D'Artagnan, chłopiec bardzo ostrożny jak na swoje dwadzieścia lat, przypominał sobie o podejrzeniach, jakie żywił wobec Milady. Wygłosił tedy wielką pochwałę Jego Eminencji; powiedział, że na pewno wstąpiłby do jego gwardii zamiast do gwardii królewskiej, gdyby znał na przykład pana de Cavois, a nie pana de Treville.

Milady zmieniła temat rozmowy w najbardziej naturalny sposób i zapytała d'Artagnana tonem niedbałym, czy był kiedy w Anglii.

D'Artagnan odparł, że pan de Treville wysłał go po zakup koni; przywiózł nawet cztery konie na próbę.

W czasie rozmowy Milady kilka razy zagryzała wargi: miała do czynienia z bardzo ostrożnym Gaskończykiem.

D'Artagnan wyszedł o tej samej godzinie co poprzedniego dnia. Na korytarzu znów spotkał ładną Ketty: tak nazywała się pokojówka. Patrzyła na niego z przychylnością, co do której nie można było się mylić, ale d'Artagnan tak był zajęty jej panią, że nie zwrócił na dziewczynę żadnej uwagi.

Zjawił się u Milady nazajutrz i dnia następnego; dama przyjmowała go coraz bardziej życzliwie.

Każdego wieczora w przedpokoju, w korytarzu czy na schodach spotykał ładną pokojówkę,

Ale jak już powiedzieliśmy, d'Artagnan nie zwracał uwagi na stałość biednej Ketty.

II.

OBIAD U PROKURATORA

Portos nie zapomniał o obiedzie u swojej prokuratorowej, jakkolwiek bardzo był przejęty pojedynkiem, w którym odegrał tak świetną rolę. Nazajutrz około pierwszej kazał Mouscruetonowi, by po raz ostatni poprawił mu fryzurę, i krokiem człowieka, któremu sprzyjała fortuna, skierował się na ulicę aux Ours.

Serce mu biło, ale nie jak d'Artagnanowi z młodej i niecierplivej miłości. Za zgoła inną i wielce przyziemną przyczyną krew burzyła mu się w żyłach: wreszcie przekroczy tajemniczy próg i wejdzie na nieznane schody, którymi jeden po drugim stąpały talary imć pana Coquenard.

Miał ujrzeć ową skrzynię, której obraz dwadzieścia razy widział we snach, skrzynię o kształcie podłużnym, głęboką, zamczystą, okutą, przytwierdzoną do podłogi; skrzynię, o której tak często słyszał. Ręce prokuratorowej, nieco wyschnięte co prawda, ale wciąż jeszcze niebrzydkie, miały ją ukazać zachwyconym oczom muszkietera.

Co więcej, on, człowiek bezdomny, bez majątku, bez rodziny, żołnierz przywykły do oberż, szynków, zajazdów, żarłok skazany najczęściej na przypadek, miał zasiąść do rodzinnego stołu, rozkoszować się domowymi wygodami, zaznać tych drobnych przyjemności, które, jak mówią starzy żołnierze, tym bardziej przypadają do smaku, im bardziej twardy wiedzie się żywot.

Zasiadać co dzień do suto zastawionego stołu jak członek rodziny, spędzać chmury z żółtego i pomarszczonego czoła starego prokuratora, skubnąć niekiedy młodych pisarczyków wprowadzając ich w arkana basety, gry w trzy kostki, lancknehta, i w nagrodę za udzieloną lekcję w godzinę pozbawić ich oszczędności miesięcznych - wszystko to niezmiernie uśmiechało się Portosowi.

Muszkietier pamiętał dobrze, zasłyszane tu i owdzie, niezbyt zresztą pochlebne opinie o prokuratorach, które przetrwały po dzień dzisiejszy: powiadano, że są skąpi, że jadają odgrzewane potrawy i przestrzegają dni postu; ponieważ jednak mógł stwierdzić, że prócz przystępów oszczędności, które uważał zawsze za niewczesne, prokuratorowa jest osobą dość szczodłą (jak na prokuratorową, oczywiście), miał nadzieję, że wejdzie do domu postawionego na godnej stopie.

Ale już przy drzwiach muszkietier zasnął niejakich wątpliwości. Wejście nie było zachęcające: cuchnący i ciemny korytarz, źle oświetlone schody, gdzie światło przenikało z sąsiedniego podwórza, na pierwszym piętrze drzwi niskie i nabijane olbrzymimi gwoździami niczym główna brama do Grand-Chatelet*.

Portos lekko zapukał. Wysoki i blady pisarczyk z wiechą włosów, które nie zaznały grzebienia, otworzył i powitał muszkietera z miną człowieka, który musi. uszanować w drugim postawę zdradzającą siłę, mundur wojskowy i rumianą twarz świadczącą o przyzwyczajeniu do dobrego życia.

Za pierwszym pisarczykiem stał drugi, mniejszy, za nim trzeci, większy, i całkiem z tyłu dwunastoletni wyrostek.

Słowem, trzech i pół pisarczyka, co w owych czasach wskazywało, że kancelaria cieszy się dużą wziętością.

Chociaż muszkietier miał przybyć o pierwszej, prokuratorowa wyglądała go od dwunastej, licząc, że serce, a może i żołądek kochanka każą mu się pośpieszyć.

Pani Coquenard ukazała się tedy w drzwiach prowadzących do mieszkania w tej samej chwili, kiedy gość wchodził drzwiami wiodącymi ze schodów; pojawienie się godnej damy wybawiło go z wielkiego kłopotu. Pisarczyki patrzyły nań ciekawym okiem, a. on, nie wiedząc, co powiedzieć tej rosnącej i malejącej gamie, stał w milczeniu.

- To mój krewniak! - zawołała prokuratorowa. - Wejdziesz, wejdziesz, panie Portosie.

Nazwisko wywarło odpowiedni efekt na pisarczykach, którzy zaczęli się śmiać; ale Portos spojrzawszy na nich i znów zapanowała powaga.

Do gabinetu prokuratora wchodziło się przez przedpokój, gdzie znajdowały się właśnie pisarczyki, i kancelarię, gdzie powinni się byli znajdować: była to mroczna sala pełna papierów. Wychodząc z niej minęli kuchnię po prawej stronie i weszli do bawialni. Wszystkie te pokoje nie usposabiały przychylnie.

*Grand-Chatelet - więzienie dla przestępców kryminalnych okręgu Paryża, które mieściło się w starej fortecy. Zostało zburzone w 1802 r.

Drzwi były otwarte na oścież i z daleka usłyszałbyś zapewne każde słowo; w przejściu Portos rzucił szybkie i badawcze spojrzenie w stronę kuchni i musiał wyznać sobie w cichości, ku wstydowi prokuratorowej i swemu wielkiemu żalowi, że nie widzi tej krzątaniny, ożywienia i ruchu, które w chwili przygotowywania dobrego posiłku panują zazwyczaj w owym sanktuarium żarłoków.

Prokurator był zapewne uprzedzony o wizycie, ponieważ nie okazał zdumienia na widok Portosa, który zbliżył się do niego z miną dość swobodną i pozdrowił go dwornie.

- Zdaje się, że jesteśmy krewniakami, panie Portosie? - rzekł prokurator podciągając się w trzcinowym fotelu.

Starzec otulony w wielki czarny kaftan, w którym gubiło się jego wątłe ciało, był zielony i suchy; małe szare oczy płonęły jak robaczki świętojańskie, usta poruszały się nieustannie; zdawało się, że w oczach i ustach prokuratora skupiło się całe życie, reszta twarzy była martwa. Niestety, nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa tej kościstej maszynie, jakoż od kilku miesięcy godny prokurator stał się niemal niewolnikiem swej żony.

Krewniak został przyjęty z rezygnacją i tyle. Gdyby imć pan Coquenard był równie żwawy jak dawniej, uchyliłby się od wszelkiego pokrewieństwa.

- Tak, panie, jesteśmy spokrewnieni - rzekł nie tracąc kontenansu Portos, który nie liczył zresztą na to, że mąż przyjmie go z zachwytem.

- Przez kobiety, he? - rzekł złośliwie prokurator.

Portos nie dostrzegł kpiny i uznał ją za naiwność, toteż uśmiechnął się pod wąsem. Pani Coquenard, świadoma, że naiwny wśród prokuratorów to ptak bardzo rzadki, uśmiechnęła się lekko i mocno zaczerwieniła.

Imć pan Coquenard z chwilą przybycia Portosa rzucił niespokojne spojrzenie na wielką szafę umieszczoną naprzeciw dębowego biurka. Portos zrozumiał, że szafa, choć kształtem zgoła różna od tej, jaką widywał w snach, jest zapewne ową upragnioną skrzynią, i powińszował sobie, że rzeczywistość mierzy o sześć stóp więcej niż sen.

Coquenard nie ciągnął dalej swoich dociekań genealogicznych, ale przenosząc niespokojne spojrzenie z szafy na Portosa, zadowolił się powiedzeniem:

- Nasz pan krewniak przed wyruszeniem w pole zechce nam uczynić zaszczyt i przyjdzie do nas raz jeszcze, ale na obiad, nieprawdaż, żono?

Tym razem cios trafił Portosa prosto w żołądek, odczuł to dobrze; zdawało się, że pani Coquenard również nie pozostała nieczuła, ponieważ dodała:

- Mój krewniak nie odwiedzi nas więcej, jeśli będziemy go źle traktowali; pozostaje krótko w Paryżu i nie będzie miał zbyt wiele czasu, powinniśmy więc tym bardziej go prosić, by zechciał nam poświęcić wszystkie wolne chwile, jakimi rozporządza przed wyjazdem.

- Och, moje nogi, moje biedne nogi, co z wami? - zamruczał Coquenard.

I spróbował się uśmiechnąć.

Ta pomoc, udzielona w chwili, kiedy Portos został dotknięty w swych nadziejach gastronomicznych, natchnęła go wielką wdzięcznością dla prokuratorowej.

Wkrótce nadeszła pora obiadu. Towarzystwo udało się do jadalni, wielkiej ciemnej sali, położonej naprzeciw kuchni.

Pisarczyki, które, jak widać, poczuły w domu niezwykle zapachy, przybyły z istic wojskową punktualnością, trzymając w rękach taborety i gotowi zasiąść do stołu. Sposób, w jaki ruszali szczękami, wskazywał na to, że mieli straszliwe zamiary.

„Tam do kata! - pomyślał Portos rzucając okiem na trzech głodomorów, ponieważ podrostek, jak można się domyślić, nie był dopuszczony do zaszczytu zasiadania przy głównym stole - tam do kata, na miejscu mojego krewniaka miałbym się na bacności przed takimi żarłokami. Powiedziałbyś, że to rozbitkowie, którzy od sześciu tygodni nie mieli nic w ustach”.

Wjechał imć Coquenard w fotelu na kółkach, popychanym przez panią domu, której Portos pomógł przysunąć męża do stołu.

Ledwie się zjawił, prokurator poruszył nosem i szczękami, idąc w ślad pisarczyków.

- Ho, ho - zawołał - jak cudownie pachnie ta zupa!

„Co nadzwyczajnego, u diabła, widzą oni w tej zupie?” - rzekł do siebie Portos na widok sporej wazy rosółu, bladego, bez jednego oczka, na którym niczym wyspy archipelagu pływało kilka grzanek.

Pani Coquenard uśmiechnęła się i na znak przez nią dany wszyscy szybko zasiedli do stołu.

Pan Coquenard został obsłużony pierwszy, po nim Portos, potem pani Coquenard napełniła swój talerz i rozdzieliła grzanki bez rosółu pomiędzy niecierpliwych pisarczyków.

W tej chwili drzwi do jadalni otworzyły się poskrzypując i Portos ujrzał małego pisarczyka, który nie mogąc brać udziału w uczcie, zajadał swój chleb okraszony wonią płynącą z kuchni i jadalni.

Po zupie służąca podała gotowaną kurę; na widok tej wspaniałości oczy biesiadników otworzyły się tak szeroko, że zdawało się, wyskoczą z orbit.

- Widać, że kochasz swoją rodzinę, pani Coquenard - rzekł prokurator z uśmiechem niemal tragicznym - wspaniale raczysz swego krewniaka.

Nieszczęsna kura była chuda i pokryta skórą twardą i kostropatą, której nie zdołały przebić ostre i sterczące kości; zapewne szukano jej długo na grzędzie, gdzie chciała w spokoju dokonać długiego żywota.

„Do licha - pomyślał Portos - bardzo to smutne; szanuję starość, ale nie mam jej w wielkiej estymie, kiedy jest ugotowana lub upieczona”.

Tu rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy współbiesiadnicy podzielają jego mniemanie; wszelako rzecz miała się przeciwnie: zebrani przy stole płonącymi oczami pożerali cudowną kurę, przedmiot jego pogardy.

Pani Coquenard przysunęła do siebie półmisek, oderwała zręcznie dwie wielkie czarne łapy i położyła je na talerzu męża; odcięła szyję, którą wraz z głową przeznaczyła dla siebie; odjęła wreszcie skrzydła dla Portosa, po czym oddała służącej półmisek z nietkniętym niemal ptakiem. Kura znikła, zanim

muszkieter miał czas zauważyć, jak ów zawód odbił się na twarzach, zależnie od charakteru i temperamentu biesiadników.

Zamiast pieczystego wjechał na stół olbrzymi półmisek fasoli przybranej kilkoma baraniami kośćmi, które na pierwszy rzut oka mogły się wydać pokryte mięsem.

Ale pisarczyki nie dały się zwieść pozorom i na ich posepnych twarzach ukazał się wyraz rezygnacji.

Pani Coquenard obdzieliła tym daniem młodych ludzi z umiarem godnym dobrej gospodyni.

Przyszła kolej na wino. Pan Coquenard napełnił z butelki szczupłych rozmiarów jedną trzecią szklanki każdego z młodzieńców, nalał sobie mniej więcej tyle samo i butelka przeszła na stronę Portosa i pani Coquenard.

Młodzieńcy dopełnili szklanki wodą, a kiedy wypili połowę, dodali sobie znów wody, wciąż powtarzając ten zabieg, tak że przy końcu posiłku popijali napój, którego rubinowy zrazu kolor ustąpił barwie dymnego topazu.

Portos jadł nieśmiało skrzydło kury i zadrżał czując, jak kolano prokuratorowej dotyka pod stołem jego kolana. Wypił także pół szklanki owego oszczędnie odmierzonego wina, w którym rozpoznał okropnego cienkusa z Montreuil, plagę wyrafinowanego podniebienia.

Coquenard ujrzał, że gość wypija wino bez kropli wody, i westchnął.

- Zjesz może nieco tej fasoli, mój kuzynie? - rzekła pani Coquenard tonem, który oznacza: wierzaj mi, nie jedz.

- Niech mnie diabli, jeśli jej skosztuję! - mruknął cicho Portos.

Za czym rzekł głośno;

- Dziękuję, kuzynko, nie jestem już głodny.

Zapadła cisza. Portos nie wiedział, jak się zachować. Prokurator powtarzał:

- Ach, pani Coquenard, muszę ci powinszować, ten obiad był prawdziwą ucztą. Boże, alem sobie podjadł!

Imé Coquenard zjadł zupę, czarne łapy kury i obgryzł jedyną kość baranią, na której było nieco mięsa.

Portos sądził, że kpią sobie z niego, podkreślił więc węża i zmarszczył brew; ale kolano pani Coquenard łagodnie zaleciło mu cierpliwość.

Ta cisza i przerwa w podawaniu potraw, niezrozumiałe dla Portosa, miały straszliwą wymowę dla pisarczyków: widząc spojrzenie prokuratora, któremu towarzyszył uśmiech prokuratorowej, wstali powoli od stołu, jeszcze wolniej złożyli serwety, skłonili się i ruszyli ku drzwiom.

- Nuże, młodzieńcy, odpoczniecie po obiedzie pracując - rzekł surowo prokurator.

Gdy pisarczyki wyszły, pani Coquenard wstała i wyjęła z kredensu kawałek sera, konfitury z pigwy i ciasto z migdałami i miodem własnej roboty.

Imé Coquenard zmarszczył brew, jako że zbyt wiele dań pojawiała się na stole; Portos zagryzł wargi, ponieważ zrozumiał, że nie zje obiadu.

Rozejrzał się, czy półmisek z fasolą jest jeszcze na stole, ale półmiska nie było.

- Prawdziwa ucztą - zawołał pan Coquenard poruszając się na fotelu - prawdziwa ucztą, epulae epularum, Lukullus na obiedzie u Lukullusa!

Portos zerknął na butelkę stojącą obok niego mając nadzieję, że zaspokoi głód winem, chlebem i serem, ale wina nie było, butelka stała pusta; pani i pan Coquenard zdawali się tego nie zauważać.

„Dobrze - rzekł do siebie Portos - teraz wiem wszystko”.

Skoszował konfitur, które nabrał małą łyżeczką, i zakleił sobie zęby lepjącym się ciastem pani Coquenard.

„Teraz - powiedział sobie - ofiara jest dopełniona. Ach, gdybym nie żywił nadziei, że wraz z panią Coquenard zajrzę do szafy jej męża!”

Imć Coquenard po rozkoszach tak świetnego obiadu, który mienił zbytkiem, odczuł potrzebę odpoczynku. Portos miał nadzieję, że prokurator zdrzemnie się natychmiast i w tym samym pokoju, ale przekłety starowina nie chciał nawet o tym słyszeć: trzeba go było zawieźć do gabinetu, a krzyczał tak długo, aż znalazł się przy swej szafie; dla większego bezpieczeństwa umieścił nogi na jej listwie.

Prokuratorowa zaprowadziła Portosa do sąsiedniego pokoju i tu podjęto pierwsze kroki zmierzające do porozumienia.

- Możesz pan bywać u nas na obiedzie trzy razy w tygodniu – powiedziała pani Coquenard.

- Dziękuję - rzekł Portos - ale nie lubię nadużywać gościnności; zresztą muszę myśleć o ekwipunku.

- To prawda - powiedziała prokuratorowa z jękiem - ten nieszczęsny ekwipunek!

- Niestety! - rzekł Portos - w tym właśnie sęk.

- Ale z czego składa się ekwipunek w twoim regimencie, panie Portosie?

- Och, z wielu rzeczy - rzekł Portos - rouszkietierowie, jak pani wie, to kwiat wojska i trzeba im wielu rzeczy, zbędnych dla gwardzystów czy Szwajcarów.

- Powiedz mi wreszcie szczegółowo.

- To może kosztować nie więcej... - powiedział Portos, który wolał omawiać rzecz ogólnie niż zagłębiać się w szczegóły.

Prokuratorowa czekała cała drżąca.

- Nie więcej niż? - rzekła - mam nadzieję, że suma nie przekroczy...

Urwała, zabrakło jej słów.

- O, nie - odparł Portos - nie przekroczy dwu tysięcy pięciuset liwrów; myślę nawet, że przy pewnych oszczędnościach dam sobie radę z dwoma tysiącami.

- Wielki Boże, dwa tysiące liwrów! - zawołała - ależ to cała fortuna!

Portos skrzywił się w sposób wielce znaczący i pani Coquenard to zrozumiała.

- Pytam o szczegóły - rzekła - ponieważ wielu naszych krewnych i klientów trudni się handlem i jestem niemal pewna, że mogłabym kupić wszystko o sto procent taniej niż pan.

- Ach, tak, więc to chciałaś pani powiedzieć - rzekł Portos.

- A tak, panie Portosie! A zatem trzeba ci konia?

- Tak, konia.

- Dobrze, ja to załatwię.

- O - zawołał Portos promieniejąc - świetnie się składa; poza tym trzeba mi jeszcze całkowitej uprzęży, którą tylko muszkietier może kupić; nie będzie to zresztą kosztowało więcej niż trzysta liwrów.

- Trzysta liwrów, dobrze, niech będzie trzysta liwrów - odparła prokuratorowa z westchnieniem.

Portos uśmiechnął się: pamiętamy, że miał siodło od Buckinghamama, a więc liczył, że te trzysta liwrów schowa do kieszeni.

- Poza tym - ciągnął - chodzi jeszcze o konia dla mego służącego i kufer podróżny; o broń nie potrzebuje się pani troszczyć, mam jej pod dostatkiem.

- Konia dla służącego? - podjęła z wahaniem prokuratorowa. - Wielki pan z twego służącego, mój przyjacielu.

- Ach, pani - rzekł dumnie Portos - czy masz mnie za hołysza?

- Nie, chciałam tylko powiedzieć, że ładny muł wygląda czasem równie zacnie jak koń i że dając ci ładnego muła dla Mousquetona...

- Zgoda na ładnego muła - powiedział Portos - ma pani rację, widziałem wielmożów hiszpańskich, których cała świta siedziała na mułach. Ale, pani Coquenard, muł z kitą z piór i dzwonkami, rzecz prosta.

- Możesz być spokojny - rzekła prokuratorowa.

- Pozostaje jeszcze kufer - podjął Portos.

- Och, nie martw się o to wcale - zawołała pani Coquenard - mój mąż ma pięć czy sześć kufrów, wybierzesz sobie najlepszy; jeden zwłaszcza, który najchętniej zabierał w podróże, jest tak wielki, że Bóg wie, co można by w nim pomieścić.

- Zatem ten kufer jest pusty? - zapytał naiwnie Portos.

- Oczywiście, że jest pusty - odparła z równą naiwnością prokuratorowa.

- Ależ mój kufer musi być dobrze wyposażony, moja droga.

Pani Coquenard westchnęła znowu. Molier nie napisał jeszcze wówczas sławnej sceny ze Skąpca. Pani Coquenard wyprzedza więc Harpagona.

Reszta ekwipunku została zdobyta w podobny sposób; w rezultacie prokuratorowa miała dać osiemset liwrów w srebrze i dostarczyć konia i muła, które czekał zaszczyt dźwigania Portosa i Mousquetona ku sławie.

Ustaliwszy te warunki Portos pożegnał panią Coquenard. Dama pragnęła go wprawdzie zatrzymać robiąc słodkie oczy, ale Portos wymówił się służbą i prokuratorowa musiała ustąpić miejsca królowi.

Muszkietier wrócił do domu głodny i w bardzo kiepskim humorze.

III.

POKOJÓWKA I PANI

Jak już powiedzieliśmy, d'Artagnan mimo wyrzutów sumienia i mądrych rad Atosa z godziny na godzinę coraz bardziej był zakochany w Milady; nasz awanturniczy Gaskończyk nie ustawał w codziennych wizytach i zalotach i był przekonany, że prędzej czy później Milady będzie musiała odpowiedzieć na jego hołdy.

Pewnego wieczora, kiedy szedł lekkim krokiem i z miną człowieka, który czeka na złoty deszcz, natknął się na pokojówkę przy wjazdowej bramie; ale tym razem ładniutka Ketty nie zadowolila się dotknięciem w przejściu i ujęła go delikatnie za rękę.

„Wybornie - pomyślał d'Artagnan - ma do mnie jakieś polecenie od swej pani; wyznacza mi zapewne schadzkę, nie starczyło jej śmiałości, by uczynić to samej”.

Tu spojrział na piękną dziewczynę z miną zwycięzcy.

- Chciałam powiedzieć panu kilka słów, panie kawalerze - wyjąkała pokojówka.

- Mów, moje dziecko, mów - rzekł d'Artagnan - słucham.

- Nie mogę tutaj: zbyt wiele mam panu do powiedzenia, a nade wszystko jest to wielka tajemnica.

- Ale co w takim razie robić?

- Gdyby pan kawaler chciał udać się ze mną - rzekła nieśmiało Ketty.

- Dokąd zechcesz, moje piękne dziecko.

- Więc chodźmy.

I Ketty, która nie wypuściła ręki d'Artagnana ze swojej, poprowadziła go małymi, ciemnymi i krętymi schodami. Przeszli jakie piętnaście stopni, po czym dziewczyna otworzyła drzwi.

- Wejdz, panie kawalerze - rzekła - tu będziemy sami i porozmawiamy bez przeszkód.

- Czyj to pokój, moja ślicznotko? - zapytał d'Artagnan.

- Mój, panie kawalerze; łączy się z pokojem mojej pani tymi oto drzwiami. Ale bądź pan spokojny, nie usłyszysz, co mówimy, nie kładzie się nigdy przed północą.

D'Artagnan rozejrzał się. Pokoik był uroczy, urządony ze smakiem i bardzo schludny; ale mimowiednie utkwiał oczy w drzwiach, które, jak powiedziała Ketty, prowadziły do sypialni Milady.

Ketty odgadła, co dzieje się w duszy młodzieńca, i westchnęła.

- Bardzo kochasz moją panią, panie kawalerze! - rzekła.

- Och, bardziej niż potrafię powiedzieć! Oszalałem zupełnie, Ketty.

Ketty westchnęła po raz wtóry.

- Niestety, panie, wielka to szkoda.

- A co w tym widzisz złego, u licha? - zapytał d'Artagnan.

- A to, że moja pani - podjęła Ketty - nie kocha pana wcale.

- He? - rzekł d'Artagnan - i kazała ci mnie o tym powiadomić?

- Och, nie, panie! To ja sama, z życzliwości dla pana.
- Dziękuję, moja dobra Ketty, ale tylko za intencję; zgodzisz się chyba, że wyznanie nie jest miłe.
- To znaczy, że pan nie wierzy w to, co powiedziałam?
- Trudno w to uwierzyć, moje piękne dziecko, chociażby przez miłość własną.
- A zatem pan mi nie wierzy?
- Wyznam, że dopóki mi nie dowiedziesz...

- Co powie pan o tym?

I Ketty wyjęła zza gorsu bilecik.

- Dla mnie? - rzekł d'Artagnan szybko biorąc list.
- Nie, dla innego.
- Dla innego?
- Tak?
- Jak się nazywa, jak się nazywa? - zawołał d'Artagnan.
- Spójrz pan na adres.
- Hrabia de Wardes.

Wspomnienie sceny z Saint-Germain pojawiło się natychmiast w umyśle pewnego siebie Gaskończyka; błyskawicznym ruchem rozdarł kopertę, choć Ketty krzyknęła widząc, co zamierza zrobić, a raczej, co już zrobił.

- Och, mój Boże! Co pan robi, panie kawalerze?
- Ja! Nic! - rzekł d'Artagnan i przeczytał:

„Nie odpowiedział Pan na mój pierwszy bilet: czy jest Pan zatem cierpiący, a możeś już zapomniał, jak czule spoglądałeś na mnie na balu u pani de Guise? Oto sposobność, hrabio, nie pozwól jej uciec!”

D'Artagnan zbladł; jego próżność została zraniona, ale zdawało mu się, że zostało zranione jego

uczucie.

- Biedny, drogi pan d'Artagnan! - rzekła Ketty tonem pełnym współczucia, znowu ściskając rękę młodzieńca.

- Zabijesz mnie, zacne stworzenie! - rzekł d'Artagnan.

- O, tak, z całego serca! Wiem, co to miłość!

- Ty wiesz, co to miłość? - rzekł d'Artagnan, po raz pierwszy patrząc na nią z niejaką uwagą.

- Niestety, tak.

- Dobrze więc, zamiast mnie żałować, lepiej zrobisz pomagając mi zemścić się na twej pani.

- A jakaż to ma być zemsta?

- Chciałbym zatriumfować nad nią, utracić mego rywala.

- Nigdy panu w tym nie pomogę, panie kawalerze! - rzekła Ketty.

- A to dlaczego? - zapytał d'Artagnan.

- Dla dwóch powodów.

- Jakich?

- Po pierwsze dlatego, że moja pani nigdy pana nie pokocha.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Zranił ją pan w samo serce.

- Ja! Jakże mogłem ją zranić, skoro od kiedy ją znam, jestem jej niewolnikiem! Mów, proszę.

- Wyznam to tylko człowiekowi... który zrozumie moje serce.

D'Artagnan spojrzał na Ketty po raz wtóry. Młoda dziewczyna była tak świeża i śliczna, że niejedna księżna oddałaby chętnie swą mitrę za taką urodę.

- Oczywiście, Ketty, nie kłopotz się o to.

Tu ucałował biedną dziewczynę, która poczerwieniała jak wiśnia.

- O nie - zawołała Ketty - pan mnie nie kocha! Kocha pan moją panią, powiedział mi to pan przed chwilą.

- I to przeszkadza ci odkryć mi drugą przyczynę?

- Druga przyczyna, panie kawalerze - podjęła Ketty ośmielona pocałunkiem i wyrazem oczu młodzieńca - jest taka, że w miłości każdy myśli o sobie.

Dopiero wówczas d'Artagnan przypomniał sobie powłóczyście spojrzenia Ketty, spotkania w przedpokoju, na schodach, w korytarzu, uściski dłoni, stłumione westchnienia. Pochłonięty pragnieniem spodobania się pani, zlekceważył pokojówkę: kto poluje na orła, nie troszczy się o wróbla.

Ale tym razem nasz Gaskończyk zrozumiał natychmiast, jak wielkie korzyści mogłaby mu przynieść miłość, którą Ketty wyznała mu w sposób tak naiwny czy tak zuchwały: przejmowanie listów adresowanych do hrabiego de Wardes, wszelkie wiadomości, wejście o każdej godzinie do pokoju Ketty, przylegającego do sypialni jej pani. Jak widzimy, zdrajca poświęcał już w myśli biedną dziewczynę, by zdobyć Milady podstępem lub siłą.

- Posłuchaj, moja droga Ketty - powiedział do młodej dziewczyny – czy chcesz, bym ci dał dowód miłości, o której powątpiewasz?

- Miłość? - zapytała dziewczyna.

- Tak, gotów jestem cię pokochać.

- A jakież to dowód?

- Czy chcesz, abym dziś wieczór był z tobą zamiast z twoją panią?

- O, tak - zawołała Ketty klaszcząc w dłonie - bardzo chcę!

- A zatem, moje drogie dziecko - rzekł d'Artagnan siadając w fotelu – pójdź tu, a powiem ci, że jesteś najładniejszą pokojówką jaką widziałem w życiu!

Po czym powiedział jej tyle słodkich słówek, że biedna dziewczyna, która pragnęła tylko mu uwierzyć, uwierzyła... Ale ku wielkiemu zdumieniu d'Artagnana Ketty bronila się dość stanowczo.

Na atakach i obronie czas mija szybko.

Wybiła północ i prawie jednocześnie rozległ się dzwonek w pokoju Milady.

- Wielki Boże! - zawołała Ketty. - Pani mnie woła! Idźże, idź!

D'Artagnan wstał, wziął kapelusz, jakby miał zamiar usłuchać, ale zamiast drzwi wiodących na schody otworzył szybko drzwi wielkiej szafy i schował się wśród sukien i porannych strojów Milady.

- Co pan robi? - zawołała Ketty.

D'Artagnan, który zawczasu wyjął klucz, zamknął się w szafie, nie dając odpowiedzi.

- Cóż to - zawołała Milady ostrym głosem - śpisz, że nie przychodzisz na mój dzwonek?

D'Artagnan usłyszał, jak gwałtownie otworzono drzwi łączące oba pokoje.

- Idę już, Milady - zawołała Ketty biegnąc ku pani.

Obie weszły do sypialni, a ponieważ drzwi pozostały otwarte, d'Artagnan mógł słyszeć, jak Milady przez jakiś czas łaje pokojówkę; wreszcie uspokoiła się i podczas gdy Ketty rozbierała swą panią, rozmowa zeszła na niego.

- Wiesz - rzekła Milady - nie widziałam naszego Gaskończyka dziś wieczór.

- Jak to, pani - rzekła Ketty - nie przyszedł? Czyżby okazał się płochy, zanim jeszcze zdobył szczęście?

- O, nie! Zapewne zatrzymał go pan de Treville lub pan des Essarts. Znam się na tym, Ketty, trzymam go mocno.

- I co pani z nim zrobi?

- Co zrobię!... Bądź spokojna, Ketty, między tym człowiekiem i mną jest coś, o czym on nie wie... niewiele brakowało, a pozbawiłby mnie zaufania Jego Eminencji... Och, zemszczę się!

- Myślałam, że pani go kocha?

- Ja miałabym go kochać? Nienawidzę go! Głupiec, miał życie lorda Wintera w swym ręku i nie zabił go, pozbawiając mnie w ten sposób trzystu tysięcy liwrów renty!

- To prawda - rzekła Ketty - syn pani byłby jedynym spadkobiercą wuja i aż do jego pełnoletności pani używałaby fortuny.

D'Artagnan zadrżał do szpiku kości, słysząc, jak ta drapieżna istota zarzuca mu przeraźliwie ostrym głosem, któremu z tak wielkim trudem nadawała w czasie rozmów inne brzmienie, że nie zabił kogoś, kto okazał jej tyle przyjaźni.

- Zemściłabym się już na nim, gdyby kardynał, nie wiadomo dlaczego, nie kazał mi go oszczędzać.

- O tak! Ale nie oszczędziła pani bynajmniej kobiety, którą kochał.

- Ach, ta kramarka z ulicy des Fossoyeurs! Czy nie zapomniał już o jej istnieniu? Piękna zemsta, na honor!

Zimny pot spływał z czoła d'Artagnana: ta kobieta była potworem.

Próbował podsłuchiwać dalej, ale niestety, wieczorna toaleta była ukończona.

- Dobrze - rzekła Milady - idź do swego pokoju, a jutro postaraj się zdobyć wreszcie odpowiedź na list, który ci dałam.

- Do pana de Wardes? - zapytała Ketty.

- Tak, do pana de Wardes.

- Oto człowiek, który wygląda mi zgoła inaczej niż ten biedny pan d'Artagnan - rzekła Ketty.

- Możesz odejść - rzekła Milady - nie lubię komentarzy.

D'Artagnan usłyszał, jak drzwi się zamykają, potem dobiegł go odgłos zasuwanych przez Milady rygli; Ketty ze swej strony przekręciła klucz w zamku najciszej, jak mogła. Młodzieniec otworzył drzwi szafy.

- O, mój Boże! - rzekła cicho Ketty - co panu, dlaczego pan taki blady?

- Odrażająca istota! - wyszeptał d'Artagnan.

- Cicho, cicho, niech pan wyjdzie; tylko przepierzenie dzieli mój pokój od pokoju Milady, w jednym słycać wszystko, co się dzieje w drugim.

- Właśnie dlatego nie wyjdę - rzekł d'Artagnan.

- Jak to? - zapytała Ketty oblewając się rumieńcem.

- Albo wyjdę... później.

Przyciągnął Ketty do siebie, nie mogła się opierać, opór robi tylko hałas, i Ketty uległa.

Był to odruch zemsty nad Milady. D'Artagnan zrozumiał, że nie bez racji powiadają, iż zemsta jest rozkoszą bogów. Gdyby miał trochę serca, zadowoliłby się tym nowym zwycięstwem; ale rządziła nim tylko ambicja i duma.

Trzeba jednak rzec na jego pochwałę, że ze swego wpływu na Ketty skorzystał przede wszystkim po to, by dowiedzieć się, co stało się z panią Bonacieux; ale biedna dziewczyna przysięgła na krucyfiks, że nie ma o tym najmniejszego pojęcia, jej pani nie pozwala nigdy przemknąć swych tajemnic; może jedynie powiedzieć, że pani Bonacieux żyje.

O sprawie, która nie pozbawiła omal Milady zaufania kardynała, Ketty również nic nie wiedziała; tu jednak d'Artagnan miał nad nią przewagę: dostrzegł Milady na statku zatrzymanym w chwili, kiedy opuszczał Anglię, i przypuszczał, że chodzi o diamentowe spinki.

Co jednak nie ulegało wątpliwości, to prawdziwa, głęboka, niezmienna nienawiść do d'Artagnana, który nie zabił jej szwagra.

Następnego dnia d'Artagnan zjawił się u Milady. Była w bardzo złym humorze; d'Artagnan przypuszczał, że rozdrażnił ją brak odpowiedzi od pana de Wardes. Weszła Ketty; Milady potraktowała ją bardzo ostro. Dziewczyna spojrzała na d'Artagnana, jej spojrzenie mówiło: widzisz, ile cierpię dla ciebie.

Ale pod koniec wieczoru piękna lwica złagodniała nieco, z uśmiechem słuchała słodkich słówek d'Artagnana i dała mu nawet rękę do pocałowania.

D'Artagnan wyszedł nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć; ale że był to chłopiec, który nie traci łatwo głowy, zalecając się do Milady układał już sobie w myśli plan.

Spotkał Ketty przy drzwiach i jak poprzedniego wieczora poszedł do niej. Ketty została porządnie złajana, pani zarzucała jej niedbałość. Milady nie rozumiała, dlaczego hrabia de Wardes milczy, i kazała Ketty przyjść po trzeci list o dziewiątej rano.

D'Artagnan wymógł na Ketty przyrzeczenie, że przyniesie mu ten list nazajutrz. Biedna dziewczyna przyrzekła zrobić wszystko, co chciał jej kochanek; była zakochana bez pamięci.

Następnie rzeczy poszły swoją koleją: d'Artagnan zamknął się w szafie, Milady wezwała pokojówkę do wieczornej toalety, odprawiła ją i zamknęła drzwi. Jak poprzedniego dnia d'Artagnan wrócił do domu dopiero o piątej rano.

O jedenastej przyszła Ketty. W ręce miała nowy liścik Milady. Tym razem biedna dziewczyna nie próbowała nawet spierać się z d'Artagnanem, pozwoliła mu robić, co chce, należała ciałem i duszą do pięknego żołnierza.

D'Artagnan otworzył list i przeczytał, co następuje:

„Piszę po raz trzeci, by powiedzieć Panu, że go kocham. Uważaj, bym nie napisała po raz czwarty, że Cię nienawidzę.

Jeśli okażesz skruchę za swoje postępowanie, dowiesz się od młodej dziewczyny, która odda Ci ten bilecik, w jaki sposób dworny mężczyzna zdobywa przebaczenie.”

D'Artagnan czerwieniał i bladł na przemian, czytając ten bilet.

- Och, pan ją wciąż kocha! - powiedziała Ketty, która nie spuszczała oczu z twarzy młodzieńca.

- Nie, Ketty, mylisz się, nie kocham jej, ale chcę się zemścić za jej wzgardę.

- Tak, wiem, co to za zemsta: mówił mi pan o tym.

- Cóż cię to obchodzi, Ketty! Wiesz dobrze, że tylko ciebie kocham.

- Skąd mogę wiedzieć?

- Moja zemsta cię przekona.

Ketty westchnęła.

D'Artagnan wziął pióro i napisał;

„Pani, aż do tej chwili wątpiłem, czy rzeczywiście do mnie były skierowane dwa pierwsze bilety, czułem się bowiem niegodny tak wielkiego zaszczytu; zresztą byłem tak cierpiący, że w każdym razie

wahałbym się z odpowiedzią.

Ale dziś muszę uwierzyć w Twe łaski, ponieważ nie tylko Twój list, ale i Twa pokojówka zapewnia mnie, że jestem tym, którego kochasz.

Pokojówka nie musi mi mówić, w jaki sposób dworny mężczyzna zdobywa przebaczenie. Dziś wieczór o godzinie jedenastej śpieszę o nie prosić. Kazać Ci czekać jeden dzień jeszcze, znaczyłoby

obrazić Cię na nowo.

Ten, którego uczyniłaś najszczęśliwszym z ludzi

Hrabia de Wardes”

Ten bilet był nie tylko sfałszowany, ale brutalny; z punktu widzenia naszych współczesnych obyczajów rzecz wielce haniebna, ale w owej epoce certowano się mniej niż dzisiaj. Zresztą d'Artagnan wiedział z własnych słów Milady, że winna była zdrady wobec osób bardziej znamienitych, i niewielki żywił dla niej szacunek. A przecież czuł obłądną namiętność do tej kobiety.

Namiętność pełną pogardy, ale namiętność lub żądzę, jak kto woli.

Plan d'Artagnana był prosty; przez pokój Ketty wejdzie do pokoju jej pani; skorzysta z pierwszej chwili zdumienia, zawstydzenia, przestachu, by ją zdobyć; być może, spotka go niepowodzenie, ale z tym także musiał się liczyć. Za tydzień rozpoczyna się kampania, rusza w pole: d'Artagnan nie miał czasu na obmyślenie doskonalszej intrygi miłosnej.

- Proszę - rzekł młodzieniec dając Ketty zapieczętowany bilet - daj ten list Milady, to odpowiedź od pana de Wardes.

Biedna Ketty zbladła śmiertelnie; domyślała się, co zawiera list.

- Posłuchaj, moje drogie dziecko - powiedział d'Artagnan - sama rozumiesz, że wszystko to musi się skończyć tak czy inaczej. Milady może się dowiedzieć, że dałaś pierwszy bilet mojemu służącemu zamiast służącemu hrabiego; że ja rozpieczętowałem inne zamiast pana de Wardes. Milady cię przegna, a znasz ją dobrze i wiesz, że ta kobieta nie zna granic w zemście.

- Niestety - rzekła Ketty - i dla kogo naraziłam się na to wszystko?

- Dla mnie, wiem o tym dobrze, moja ślicznotko - odparł młodzieniec - i jestem ci nieskończenie wdzięczny, przysięgam.

- Ale co zawiera pański bilet?

- Milady ci powie.

- Ach, pan mnie nie kocha! - zawołała Ketty - jestem bardzo nieszczęśliwa!

Na ten wyrzut nastąpiła odpowiedź, która zawsze zwodzi kobiety; d'Artagnan odpowiedział tak, że Ketty tylko utwierdziła się w swym błędzie.

Bardzo jednak płakała, zanim przyrzekła, że odda list Milady, wreszcie zdecydowała się, a było to wszystko, czego chciał d'Artagnan.

Zresztą przyobiecał jej, że wieczorem wyjdzie wcześniej od jej pani i pośpieszy do niej.

Ta obietnica całkiem uspokoiła biedną Ketty.

IV.

W KTÓRYM JEST MOWA O EKWIPUNKU ARAMISA I PORTOSA

Odkąd czterej przyjaciele myśleli tylko o zdobyciu ekwipunku, nie spotykali się jak dawniej. Do obiadu zasiadali w pojedynkę, jak Bóg zdarzył. Służba też pochłaniała wiele cennego czasu, który upływał tak szybko. Ustalili jedynie, że będą się spotykać raz w tygodniu, około pierwszej, w mieszkaniu Atosa, wiedzieli bowiem, że Atos, zgodnie ze swym przyrzeczeniem, nie wychyli nosa z domu.

Właśnie w umówionym dniu Ketty odwiedziła d'Artagnana.

Zaledwie Ketty wyszła, d'Artagnan skierował się na ulicę Ferou. Zastał Atosa i Aramisa pogrążonych w rozważaniach. Aramis zastanawiał się, czy nie przywdziać sutanny. Atos, zgodnie ze swym zwyczajem, ani go zniechęcał, ani zachęcał, sądził bowiem, że każdy powinien sam decydować o sobie. Nigdy nie dawał rad, jeśli go o nie nie proszono, a nawet gdy go proszono, kazał to sobie powtarzać dwa razy.

- Zazwyczaj prosi się o rady, by ich nie słuchać - mawiał - albo jeśli się ich słucha, to po to jedynie, by móc się gniewać później na tego, kto rady udzielił.

Portos zjawił się w chwilę po d'Artagnanie. Nikogo więc nie brakło.

Cztery oblicza wyrażały cztery różne uczucia: twarz Portosa spokoj, d'Artagnana nadzieję, Aramisa niepokój, Atosa bez troskę.

Po chwili rozmowy, w której Portos dawał do zrozumienia, że osoba wysoko postawiona zechciała go wybawić z kłopotu, wszedł Mousqueton.

Przyszedł prosić Portosa, by udał się do swego mieszkania, gdzie (mówił to z żalosną miną) jego obecność jest konieczna.

- Czy przysłano mój ekwipunek? - zapytał Portos.

- Tak i nie - odparł Mousqueton.

- Cóż to, nie możesz powiedzieć?...

- Proszę, niech pan idzie.

Portos wstał, pożegnał przyjaciół i ruszył za Mousquetonem.

W chwilę potem zjawił się Bazin.

- Czego chcesz, mój przyjacielu? - rzekł Aramis słodko jak zwykle, kiedy jego myśli kierowały się ku Kościołowi.

- Jakiś człowiek czeka na pana w domu - odparł Bazin.

- Jakiś człowiek! Kto zacz?

- Żebrak.

- Daj mu jałmużnę, Bazin, i powiedz, by modlił się za biednego grzesznika.

- Ten żebrak chce za wszelką cenę mówić z panem i twierdzi, że będzie pan rad go ujrzeć.

- Czy nie powiedział nic więcej?

- Owszem. „Jeśli pan Aramis będzie się wahał, proszę mu powiedzieć, że przybywam z Tours”.

- Z Tours? - zawołał Aramis - panowie, przepraszam stokrotnie, ale ten człowiek na pewno przynosi mi nowiny, na które czekam.

Wstał natychmiast i wyszedł szybko.

Pozostali Atos i d'Artagnan.

- Sądzę, że te zuchy mają już, czego im trzeba. Co myślisz o tym, d'Artagnanie? - rzekł Atos.

- Wiem, że Portos był na dobrej drodze - powiedział d'Artagnan - o Aramisa, prawdę mówiąc, nigdy nie martwiłem się poważnie; ale ty, mój drogi Atosie, rozdałeś tak wspaniałomyślnie pistole Anglika, które należały ci się sprawiedliwie! Co teraz poczniesz?

- Jestem bardzo rad, że zabiłem tego ladaco, mój chłopcze, to zbożny czyn zabić Anglika; ale gdybym zabrał jego pistole, ciążyłyby mi jak wyrzut sumienia.

- Cóż znowu, mój drogi Atosie! Doprawdy masz osobliwe poglądy.

- Dajmy temu spokój. Ale pan de Treville zaszczycił mnie wczoraj wizytą i powiedział mi, że przyjaźnisz się z tymi podejrzanymi Anglikami, którym kardynał okazuje względy.

- To znaczy, że widuję się z Angielką, o której ci mówiłem.

- Ach, tak, ta blondynka; mówiłeś mi o niej, a ja udzieliłem ci rad, których oczywiście nie usłuchałeś.

- Podąłem ci swoje racje.

- Jeśli się nie mylę, sądzisz, że w ten sposób zdobędziesz ekwipunek?

- Nic podobnego! Zdobyłem pewność, że ta kobieta odgrywa jakąś rolę w porwaniu pani Bonacieux.

- Tak, rozumiem; by odnaleźć jedną kobietę, zalecasz się do drugiej: jest to droga dłuższa, ale przyjemniejsza.

D'Artagnan chciał już wszystko opowiedzieć Atosowi, ale pewien wzgląd go powstrzymał: Atos był bardzo surowy, jeśli idzie o sprawy honoru, szczegóły zaś planu, który nasz zakochany sobie ułożył, nie znalazłyby uznania u purytanina, mógł być tego z góry pewien. Wolał tedy zachować milczenie, a ponieważ Atos był człowiekiem najmniej ciekawym w świecie, zwierzenia d'Artagnana urwały się na tym.

Opuścimy więc dwóch przyjaciół, którzy nie mieli sobie już nic ważnego do powiedzenia, aby udać się za Aramisem.

Na wiadomość o tym, że człowiek, co chciał z nim mówić, przybywa z Tours, młodzieniec zerwał się z miejsca i pośpieszył za Bazinem, a raczej go wyprzedził; jednym niemal susem przebył odległość dzielącą ulicę Ferou od ulicy Vaugirard.

Gdy wszedł do swego mieszkania, ujrzał niskiego mężczyznę o bystrych oczach, odzianego w łaachmany.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - zapytał muszkieter.

- Chciałem się widzieć z panem Aramisem; czy to pan?

- We własnej osobie. Czy masz coś dla mnie?

- Tak, jeśli pokaże mi pan przedtem haftowaną chustkę.

- Oto ona - rzekł Aramis otworzywszy kluczykiem, który nosił na piersi, hebanową szkatułkę, inkrustowaną masą perłową - oto ona, proszę.

- Dobrze - powiedział żebrak - odpraw pan teraz swego służącego.

Albowiem Bazin ciekaw, czego żebrak chce od jego pana, szedł za nim i przybył niemal jednocześnie z Aramisem; ale ten pośpiech niezbyt mu się przydał: na prośbę żebraka pan kazał mu wyjść i Bazin musiał usłuchać.

Gdy służący wyszedł, żebrak rozejrzał się szybko wokoło, by się upewnić, czy nikt nie może go ani widzieć, ani słyszeć, rozpiął podartą kurtkę, byle jak ściągniętą skórzanym pasem, zaczął odpruwać wierzch kaftana, z którego wydobył list.

Aramis wydał okrzyk radości, a widząc pieczęć ucałował pismo z czcią niemal religijną. Rozpieczętował list i przeczytał, co następuje:

„Przyjacielu, los chce, abyśmy przebywali jeszcze czas jakiś w rozłące, lecz piękne dni młodości nie są stracone bezpowrotnie. Czyń swą powinność na polu walki; ja spełniam moją gdzie indziej. Weź to, co wręczy Ci posłaniec; stawaj jak dzielny i dobry szlachcic i myśl o przyjaciółce, która czule całuje Twe czarne oczy.

Żegnaj lub raczej do widzenia.”

Żebrak pruł ciągle kaftan: z brudnych łachmanów wyciągnął jeden po drugim sto pięćdziesiąt podwójnych pistoli hiszpańskich i ułożył je na stole; za czym otworzył drzwi, uklonił się i wyszedł, zanim zdumiony młodzieniec ośmielił się powiedzieć słowo.

Aramis przeczytał raz jeszcze list i zauważył, że zawiera on postscriptum.

„PS. Przyjmij dobrze wysłańca, jest to hrabia i grand hiszpański.”

- Złote sny! - zawołał Aramis. - O, piękne życie! Tak, jesteśmy młodzi! Tak, czekają nas jeszcze szczęśliwe dni! O, dla ciebie, dla ciebie, moja miłość, moja krew, moje życie! Wszystko, wszystko, wszystko, moja piękna kochanko!

Ucałował namiętnie list nie patrząc nawet na złoto połyskujące na stole.

Bazin zapukał do drzwi. Aramis nie miał teraz powodu, żeby go nie wpuszczać, i pozwolił mu wejść.

Bazin stanął jak wryty na widok złota i zapomniał oznajmić przybycie d'Artagnana, który ciekaw, jaki to żebrak odwiedził Aramisa, przyszedł do niego od Atosą.

D'Artagnan nie ceremoniował się z Aramisem. Skoro Bazin nie oznajmił jego przybycia, uczynił to sam.

- Tam do licha, mój drogi Aramisie - rzekł d'Artagnan - jeśli takie śliwki przysłano ci z Tours, możesz w moim imieniu powinszować ogrodnikowi, co je wyhodował.

- Mylisz się, mój drogi - odparł zawsze dyskretny Aramis - to mój wydawca przysłał mi pieniądze za poemat wierszem jednozgłoskowym, który tam rozpocząłem.

- Ach, w samej rzeczy! - rzekł d'Artagnan - wybornie, mój drogi Aramisie, mogę ci tylko powiedzieć, że twój wydawca jest wspaniałomyślny.

- Jak to, panie! Można więc sprzedać poemat tak drogo! To niewiarygodne! - zawołał Bazin. - Och, panie, pan jest wszechmocny, pan może dorównać panu de Voiture, panu de Benserade'. Bardzo mi się to podoba, poeta to prawie ksiądz. Ach, panie Aramisie, zostań poetą, proszę!

- Bazin, mój przyjacielu - rzekł Aramis - zdaje mi się, że wtrącasz się do rozmowy.

Bazin zrozumiał, że posunął się zbyt daleko, spuścił głowę i wyszedł.

- Ho, ho - powiedział d'Artagnan z uśmiechem - sprzedajesz swoje utwory na wagę złota! Jesteś szczęśliwy, mój przyjacielu; ale uważaj, bo zgubisz list, który wyziera ci zza kaftana; zapewne także pochodzi od twego wydawcy.

Aramis zaczerwienił się po uszy, wsunął list i zapiął guziki kaftana.

- Mój drogi d'Artagnarue - powiedział - jeśli masz ochotę, chodźmy do naszych przyjaciół. Jestem dziś bogaty, zjemy obiad znów razem, potem przyjdzie na was kolej.

- Na honor - rzekł d'Artagnan - z wielką przyjemnością. Od dawna już nie jedliśmy przyzwoitego obiadu; dziś wieczór czeka mnie wyprawa dość niebezpieczna i nie mam nic przeciwko temu, żeby do dać sobie animuszu kilkoma butelkami starego burgunda.

- Zgadzam się na stary burgund, i ja wcale go lubię - rzekł Aramis, którego na widok złota opuściły pobożne myśli jak ręką odjął.

Aramis włożył do kieszeni kilka podwójnych pistoli na bieżące potrzeby i zamknął resztę w hebanowej szkatułce inkrustowanej masą perłową.

Dwaj przyjaciele udali się naprzód do Atosa, który, wiemy swej przysiędze zabraniającej mu opuszczać mieszkanie, obiecał zająć się przyniesieniem obiadu do domu; a że znakomicie umiał dobierać potrawy, d'Artagnan i Aramis powierzyli mu chętnie to odpowiedzialne zadanie.

Szli właśnie do Portosa, kiedy na rogu ulicy du Bać spotkali Mousguetona, z żałosliwą miną pędzącego przed sobą muła i konia.

D'Artagnan krzyknął głosem pełnym zdziwienia i radości.

- Ach, mój żółty konik! Aramisie, spójrz na tego konia!

- Co za okropny rudzielec! - rzekł Aramis.

- Więc wiedz, mój drogi - powiedział d'Artagnan - że jest to koń, na którym przyjechałem do Paryża.

- Jak to, pan zna tego konia? - zapytał Mousqueton.

- Jest niezwyklej maści - rzekł Aramis - nigdy jeszcze nie widziałem podobnego.

- Myślę sobie - ciągnął d'Artagnan - toteż dla tej maści zapewne sprzedałem go za trzy talary, ponieważ sam szkielet nie jest wart osiemnastu liwrów. Ale jakim sposobem koń dostał się w twoje ręce, Mousqueton?

- Ach - rzekł służący - niech mi pan o tym nie mówi, to niegodziwa sztuczka męża naszej księżny.

- Jak to, Mousqueton?

- Tak, jesteśmy w łaskach u pewnej wysoko postawionej damy, księżny de... ale przepraszam, mój pan zalecił mi dyskrecję. Zmusiła nas, byśmy przyjęli drobny upominek, wspaniałego dzianeta hiszpańskiego i muła andaluzyjskiego, na które aż miło patrzeć; mąż dowiedział się o wszystkim, zabrał dwa wspaniałe zwierzęta, kiedy prowadzono je właśnie do nas, i zamiast nich dał te potwory!

- Które prowadzisz mu z powrotem? - rzekł d'Artagnan.

- Właśnie! - mówił dalej Mousqueton - pan rozumie, że nie możemy ich przyjąć zamiast tych, które nam przyrzeczone.

- Nie, do kaduka, chociaż chciałbym widzieć Portosa na moim żółtym koniku. To dałoby mi wyobrażenie o tym, jak wyglądałem sam, kiedy przybyłem do Paryża. Ale nie zatrzymujemy cię, Mousqueton, idź wypełnić polecenie swego pana. Czy jest w domu?

- Tak, panie - odparł Mousqueton - ale w bardzo kwaśnym humorze, może pan być pewny!

I ruszył ku nabrzeżu Grands-Augustin, podczas gdy dwaj przyjaciele dzwonili do drzwi nieszczęsnego Portosa. Portos widział, jak przechodzą przez podwórze, ale nie otwierał. Dzwonili więc na próżno.

Tymczasem Mousqueton szedł swoją drogą. Wciąż pędząc przed sobą konia i muła przeszedł przez 'Pont-Neuf i znalazł się na ulicy aux Ours. Tu, zgodnie z rozkazami swego pana, przywiązał je do kołatki przy bramie prokuratora, po czym, nie troszcząc się o ich dalsze losy, wrócił do Portosa i oznajmił mu, że wypełnił polecenie.

Po pewnym czasie nieszczęsne zwierzęta, które nie jadły od rana, narobiły tak straszliwego hałasu, poruszając kołatką przy bramie, że prokurator kazał najmłodszemu ze swych pisarczyków dowiedzieć się w sąsiedztwie, do kogo należą koń i muł.

Pani Coquenard rozpoznała swe upominki i zrazu nie mogła zrozumieć, ale wkrótce wizyta Portosa wyjaśniła sytuację. Wściekłość błyszcząca w oczach muszkietera, choć usiłował się opanować, przeraziła czułą kochankę. W istocie Mousqueton nie ukrywał przed swym panem, że spotkał d'Artagnana i Aramisa i że d'Artagnan rozpoznał w żółtym koniku swego bearneńskiego wierzchowca, na którym przyjechał do Paryża i którego sprzedał za trzy talary.

Portos wyszedł, wyznaczwszy spotkanie prokuratorowej przy klasztorze Saint-Magloire. Prokurator widząc, że Portos wychodzi, zaprosił go na obiad, ale muszkieter odrzucił zaproszenie z miną pełną dostojeństwa.

Pani Coquenard udała się do klasztoru Saint-Magloire cała drżąca, czuła bowiem, że czekają ją wyrzuty; wszelako była oczarowana wielkopańskim wzięciem Portosa.

Wszystkie gromy i wymówki, jakimi rozporządza mężczyzna dotknięty głęboko w swej próżności, spadły na schyloną głowę prokuratorowej.

- Niestety! - rzekła - chciałam jak najlepiej. Jeden z naszych klientów, handlarz końmi, był nam winien pieniądze i ociągał się z zapłatą. Zgodziłam się na muła i konia w zamian za dług, przyrzekł mi dwa królewskie wierzchowce.

- A zatem, pani - odparł Portos - ów handlarz to złodziej. Jeśli był wam winien więcej niż pięć talarów.

- Przecież nie ma w tym nic złego, jeśli chce się kupić tanio, panie Portosie - rzekła prokuratorowa pragnąc się usprawiedliwić.

- Oczywiście, pani, ale ci co szukają tanich okazji, powinni pozwolić innym szukać bardziej szczodrych przyjaciół.

Tu Portos obrócił się na pięcie i postąpił krok naprzód.

- Panie Portosie! Panie Portosie! - zawołała prokuratorowa - zrobiłam źle, przyznaję, nie powinnam była skąpić, skoro szło o ekwipunek dla takiego jak pan kawalera!

Portos, nie odpowiadając słowem, oddalił się jeszcze o krok. Prokuratorowej wydało się, że widzi go w świetlanym obłoku, otoczonego księżnymi i markizami, które rzucają mu pod nogi worki ze złotem.

- Zatrzymaj się, na miłość boską, panie Portosie! Zatrzymaj się i porozmawiajmy.

- Rozmowa z panią przynosi mi nieszczęście - rzekł Portos.

- Ale powiedz, czego chcesz?

- Nic, na próżno bowiem prosiłbym panią o cokolwiek.

Prokuratorowa zawisła na ramieniu Portosa i w przystępie bólu zawołała;

- Panie Portosie, nie znam się na tym wszystkim; alboż ja wiem, co to koń? Albo wiem, co to uprzęż?

- Powinnaś była więc zdać się na mnie, skoro ją się znam. Ale chciałaś oszczędzać, a co za tym idzie, pożyczać na lichwę.

- Popełniłam błąd, panie Portosie, ale przysięgam ci, że go naprawię.

- Jakim sposobem? - zapytał muszkieter.

- Posłuchaj. Książę de Chaulnes wezwał na dziś wieczór Coquenarda. Ta narada potrwa co najmniej dwie godziny; przyjdź, będziemy sami i zrobimy rachunki.

- Wybornie! To złote słowa, droga pani Coquenard!

- Pan mi wybaczy?

- Zobaczymy - rzekł Portos z dostojeństwem.

Po czym rozstali się mówiąc: do wieczora.

„Tam do diaska - pomyślał Portos odchodząc - zdaje mi się, że zbliżam się wreszcie do skrzyni imć pana Coquenard”.

V.

W NOCY WSZYSTKIE KOTY SĄ CZARNE

Nadszedł wreszcie wieczór, na który czekali tak niecierpliwie Portos i d'Artagnan.

D'Artagnan zjawił się u Milady około dziewiątej, jak zawsze. Zastał ją w rozkoszonym humorze; nigdy nie przyjęła go jeszcze tak dobrze. Nasz Gaskończyk zrozumiał od razu, że jego liścik został doręczony i że ów liścik robi swoje.

Ketty weszła i podała sorbety. Pani uśmiechnęła się do niej czarująco, pełna sympatii dla pokojówki. Niestety, biedna dziewczyna była tak smutna, że nie zauważyła nawet przychyłności Milady.

D'Artagnan przyglądał się obu kobietom kolejno i musiał przyznać bezstronnie, że natura omyliła się co do nich: wielkiej damie dała duszę sprzedajną i nikczemną, pokojówce serce księżny.

O dziesiątej Milady zaczęła okazywać niepokój. D'Artagnan zrozumiał, co to znaczy: patrzyła na zegar, wstawała, siadała znowu, uśmiechała się do d'Artagnana z miną, która mówiła: jesteś na pewno bardzo miły, ale byłbyś czarujący, gdybyś odszedł!

D'Artagnan wstał, wziął kapelusz; Milady podała mu rękę do ucałowania; młodzieniec poczuł uścisk

jej dłoni i zrozumiał, że to nie kokieteria, ale wdzięczność za odejście.

- Diabło go kocha - mruknął. I wyszedł.

Tym razem Ketty nie czekała na niego ani w przedpokoju, ani na korytarzu, ani przy bramie. D'Artagnan musiał sam znaleźć schody i trafić do małego pokoiku.

Ketty siedziała z głową ukrytą w rękach i płakała.

Słyszała, jak d'Artagnan wchodzi, ale nie podniosła głowy. Młodzieniec podszedł do niej, ujął jej rękę; wybuchnęła szlochem.

Jak to d'Artagnan przewidział, Milady, otrzymawszy list, w szale radości powiedziała wszystko swej pokojówce, a w nagrodę za załatwienie sprawy dała jej sakiewkę.

Ketty wróciła do swego pokoju, cisnęła sakiewkę w kąt, gdzie leżała jeszcze otwarta; kilka sztuk złota wypadło na dywan.

Gdy d'Artagnan pogłaskał Ketty, biedna dziewczyna podniosła głowę. D'Artagnan był przerażony zmianą na jej twarzy; złożyła rękę błagalnym gestem, ale nie odważyła się powiedzieć słowa.

Choć d'Artagnan nie miał bardzo czułego serca, wzruszyło go to nieme cierpienie; ale zanadto zależało mu na przeprowadzeniu swych zamiarów, a tego zwłaszcza, by miał zmienić cokolwiek w

raz powziętym planie. Nie dając więc Ketty żadnej nadziei, przedstawił jej tylko swoje postępowanie jako zwykłą zemstę.

Ta zemsta stawała się zresztą tym łatwiejsza, że Milady, zapewne po to, by skryć rumieniec przed kochankiem, kazała Ketty zgasić wszystkie światła, nawet w pokoju pokojówki. Pan de Wardes miał wyjść przed świtem, a więc w ciemności.

Po chwili d'Artagnan usłyszał, że Milady idzie do sypialni. Natychmiast skoczył do swojej szafy. Zaledwie się w niej zamknął, kiedy zabrzmiał dzwonek.

Ketty weszła do pokoju pani zamykając drzwi; ale przepierzenie było tak cienkie, że można było usłyszeć niemal wszystko, co mówią obie kobiety.

Milady, pijana radością, kazała sobie powtarzać najdrobniejsze szczegóły domniemanego spotkania pokojówki z hrabią de Wardes: jak przyjął list, co powiedział, jaki był wyraz jego twarzy, czy wyglądał na bardzo zakochanego.

Na wszystkie te pytania biedna Ketty, zmuszona nadrabiać miną, odpowiadała głosem zduszonym, w

którym jej pani nie dostrzegła nawet odcienia bólu, tak bardzo samolubne jest szczęście.

Wreszcie, ponieważ zbliżała się godzina spotkania z panem de Wardes, Milady kazała zgasić wszystkie światła i wprowadzić hrabiego, gdy tylko się zjawi.

Ketty nie czekała zbyt długo. Ledwie d'Artagnan ujrzał przez dziurkę od klucza, że mieszkanie pogrążone jest w ciemności, wyskoczył ze swego ukrycia;

Ketty zamykała właśnie drzwi.

- Co to za hałas? - zapytała Milady.

- To ja - rzekł d'Artagnan półgłosem - to ja, hrabia de Wardes.

- O, mój Boże, mój Boże - wyszeptała Ketty - nie mógł nawet zaczekać do wyznaczonej przez siebie godziny!

- Dobrze - rzekła Milady drżącym głosem - dlaczego nie wchodzisz? Hrabio, hrabio - dodała - wiesz przecie, że czekam na ciebie!

Na to wezwanie d'Artagnan odsunął lekko Ketty i skoczył do pokoju Milady.

Nigdy wściekłość i ból nie dręczą bardziej duszy człowieka niż wówczas, gdy jako kochanek, osłaniając się cudzym nazwiskiem, jest przedmiotem łask przeznaczonych dla szczęśliwego rywala.

D'Artagnan był w przykrej sytuacji, której nie przewidział, zazdrość szarpała mu serce i cierpiał niemal tak samo jak biedna Ketty, płacząca w tej samej chwili w sąsiednim pokoju.

- Tak, hrabio - mówiła Milady najśłodszym głosem, ściskając czule jego rękę w swoich - tak, jestem szczęśliwa, ponieważ mnie kochasz, twe spojrzenia i słowa mówiły mi o tym za każdym razem, gdyśmy się widzieli. Ja także cię kocham. Och, jutro, jutro chcę mieć zakład miłości od ciebie, bym wiedziała, że myślisz o mnie; a że możesz mnie zapomnieć, weź to.

Zdjęła pierścień z palca i włożyła go na palec d'Artagnana.

D'Artagnan przypomniał sobie, że widział ten pierścień na ręce Milady; był to wspaniały szafir otoczony brylantami.

W pierwszym odruchu chciał go jej zwrócić, ale Milady dodała:

- Nie, nie, zachowaj ten pierścień przez miłość dla mnie. Biorąc go oddajesz mi zresztą większą przysługę, niż to sobie możesz wyobrazić - rzekła wzruszonym głosem.

- Ta kobieta jest pełna tajemnic - szepnął do siebie d'Artagnan. W tej chwili poczuł, że gotów jest wszystko jej zdradzić. Otworzył usta, by powiedzieć Milady, kim jest i dla jakiej zemsty tu przyszedł, ale ona dodała:

- Biedny aniele, ten gaskoński potwór omal nie pozbawił cię życia! Potworem był on sam, d'Artagnan.

- Och - ciągnęła Milady - czy bardzo cierpisz jeszcze od ran?

- Tak, bardzo - rzekł d'Artagnan, który nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Bądź spokojny - szepnęła Milady - będziesz okrutnie pomszczony!

„Tam do licha - rzekł do siebie d'Artagnan - chwila wyznań jeszcze nie nadeszła”.

Trzeba było pewnego czasu, by d'Artagnan ochłonął po tym krótkim dialogu, ale wszystkie myśli o zemście odbiegły go zupełnie. Ta kobieta miała nad nim niewiarygodną władzę, nienawidził i uwielbiał ją jednocześnie. Nie przypuszczał nigdy, że dwa uczucia tak różne mogą mieszkać w tym samym sercu i składać się na miłość dziwną i niejako diaboliczną.

Tymczasem wybiła pierwsza; trzeba było się rozstać; w chwili gdy d'Artagnan miał opuścić Milady, czuł tylko wielki żal, że odchodzi. Pożegnanie było namiętne; wyznaczono nowe spotkanie na przyszły tydzień. Biedna Ketty miała nadzieję, że zamieni kilka słów z d'Artagnanem, gdy młodzieniec zajdzie do jej pokoju, ale Milady odprowadziła go sama, w ciemnościach, i rozstała się z nim dopiero na schodach.

Nazajutrz rano d'Artagnan pobiegł do Atosa. Zabrnął w tak osobliwą awanturę, że chciał go poprosić o radę. Opowiedział mu wszystko; Atos raz po raz marszczył brwi.

- Twoja Milady - powiedział - wygląda mi na nikczemną istotę, źle jednak zrobiłeś oszukując ją: tak czy inaczej, masz teraz straszliwego wroga.

Mówiąc te słowa Atos przypatrywał się z uwagą szafirowi w oprawie z diamentów, który na palcu d'Artagnana zajął miejsce pierścienia królowej schowanego pieczołowicie w puzderku.

- Przyglądasz się temu pierścieniowi? - spytał Gaskończyk dumny, że może pokazać przyjacielowi tak wspaniały podarek.

- Tak, przypomina mi klejnot rodzinny.

- Piękny pierścień, prawda? - rzekł d'Artagnan.

- Wspaniały - odparł Atos - nie przypuszczałem, że mogą istnieć dwa szafiry tak czystej wody. Czy wymieniłeś na niego swój diament?

- Nie, to podarunek od mojej pięknej Angielki lub raczej od mojej pięknej Francuzki. Choć jej o to nie pytałem, jestem pewien, że urodziła się we Francji.

- Otrzymałeś ten pierścień od Milady? - zawołał Atos głosem zdradzającym wielkie poruszenie.

- Od niej samej; dała mi go tej nocy.

- Pokaż mi ten pierścień.

- Proszę - odparł d'Artagnan zdejmując go z palca.

Atos przyjrzał się klejnotowi, zbladł mocno, po czym włożył pierścień na serdeczny palec lewej ręki: pasował tak świetnie, jakby był umyślnie zrobiony. Chmura gniewu i wściekłości przeszła przez spokojne zazwyczaj czoło szlachcica.

- Niemożliwe, żeby to była ona - rzekł - ale jak ten pierścień mógł dostać się do rąk lady Ciarick? Bardzo to niezwykle, że dwa klejnoty są tak do siebie podobne.

- Czy znasz ten pierścień? - zapytał d'Artagnan.

- Zdawało mi się, że go rozpoznałem, ale byłem zapewne w błędzie.

Zwrócił pierścień d'Artagnanowi nie przestając nań patrzeć.

- Posłuchaj - rzekł po chwili - zdejm ten pierścień z palca albo odwróć kamień do środka; przywodzi mi na pamięć tak okrutne wspomnienia, że nie mógłbym rozmawiać z tobą. Przyszedłeś zapewne szukać u mnie rady i powiesz mi, że nie wiesz, co masz robić?... Ale poczekaj... daj mi szafir: ten, o którym mówiłem, powinien mieć rysę na skutek pewnego przypadku.

D'Artagnan znów zdjął pierścień z palca i podał go Atosowi, Atos zadrżał:

- Zobacz - rzekł - zobacz, czy to nie dziwne!

Pokazał d'Artagnanowi rysę, o której mówił.

- Ale skąd u ciebie ten szafir, Atosie?

- Od mojej matki, która otrzymała go od swojej matki. Jak ci powiedziałem, jest to stary klejnot rodzinny... i powinien być pozostać w rodzinie.

- Więc... sprzedałeś go? - zapytał z wahaniem d'Artagnan.

- Nie - odparł Atos ze szczególnym uśmiechem - darowałem go podczas miłosnej nocy, tak samo jak ty go otrzymałaś.

D'Artagnan zamyślił się teraz. Wydawało mu się, że widzi w duszy Milady przepastne głębie, mroczne i niezbadane.

Włożył pierścień nie na palec, ale do kieszeni.

- Posłuchaj - rzekł Atos, biorąc go za rękę - wiesz, jak cię kocham, d'Artagnanie; gdybym miał syna, nie kochałbym go bardziej. Posłuchaj, uwierz mi, wyrzeknij się tej kobiety. Nie znam jej, ale przecucie mi mówi, że to istota zgubiona, istota fatalna.

- I masz rację - powiedział d'Artagnan. - Toteż rozstanę się z nią; wyznam ci, że ta kobieta mnie przeraża.

- Czy będziesz miał dość odwagi? - rzekł Atos.

- Tak - odparł d'Artagnan - i zrobię to natychmiast.

- Słusznie czynisz, mój drogi - rzekł szlachcic ściskając rękę Gaskończyka z ojcowskim wylaniem - niechaj Bóg sprawi, żeby ta kobieta, która dopiero co weszła w twoje życie, nie pozostawiła na nim straszliwych śladów!

I Atos pożegnał d'Artagnana skinieniem głowy jak człowiek, który chce dać do zrozumienia, że chętnie zostanie sam ze swymi myślami.

Wróciwszy do domu d'Artagnan zastał Ketty, która czekała na niego. Miesiąc gorączki nie zmieniłby bardziej biednego dziecka niż ta bezsenna i pełna cierpień noc.

Pani wysłała ją do domniemanego pana de Wardes. Milady oszalała z miłości, była pijana szczęściem; chciała wiedzieć, kiedy kochanek spędzi z nią następną noc.

Biedna Ketty, blada i drżąca, czekała na odpowiedź d'Artagnana. Atos miał wielki wpływ na młodzieńca: rady przyjaciela, do których dołączył się głos jego własnego serca, położyły kres wahaniom i teraz, kiedy duma była uratowana, a zemsta zaspokojona, postanowił nie widywać więcej Milady.

W odpowiedzi wziął pióro i napisał ten oto list:

„Nie licz na mnie, Pani, jeśli idzie o następne spotkanie: odkąd wyzdrowiałem, mam tyle spotkań tego rodzaju, że muszę w nich zachować pewien porządek. Kiedy przyjdzie kolej na Panią, będę miał zaszczyt ją zawiadomić.

Całuję Pani ręce

Hrabia de Wardes”

Ani słowa o szafirze: czy Gaskończyk chciał mieć broń przeciw Milady, czy też, bądźmy szczerzy, liczył na ten szafir jako na ostatni sposób zdobycia ekwipunku?

Popełnilibyśmy zresztą błąd sądząc czyny jednej epoki z punktu widzenia innej. To, co dziś uznano by za niegodne uczciwego mężczyzny, w owych czasach było czymś prostym i naturalnym; młodszych synów najlepszych rodzin z reguły utrzymywały kochanki.

D'Artagnan podał otwarty list Ketty, która przeczytała go, wpieryw nie rozumiejąc, i omal nie szalała z radości czytając list po raz drugi.

Ketty nie mogła uwierzyć w swe szczęście: d'Artagnan musiał powtórzyć jej zapewnienia zawarte w liście i choć biedna dziewczyna znała gwałtowny charakter Milady i wiedziała, jak niebezpiecznie wręczyć jej taki bilet, pobiegła pędem na plac Royale.

Serce najlepszej kobiety jest bezlitosne dla cierpień rywalki.

Milady rozpieczętowała list z pośpiechem równie wielkim, z jakim Ketty go przyniosła; ale gdy przeczytała pierwsze słowa, twarz jej zsiniała, zmięła papier i z płomieniem w oczach zwróciła się do Ketty:

- Co ma znaczyć ten list? - powiedziała.

- Ależ to odpowiedź na list pani - odparła Ketty cała drżąca.

- Niepodobna! - zawołała Milady - niepodobna, by szlachcic mógł napisać taki list do kobiety!

Nagle zatrzęsa się;

- Mój Boże, czyżby wiedział... - i urwała.

Zęby jej szczękały, twarz przybrała barwę popiołu; chciała postąpić krok w stronę okna, by odetchnąć świeżym powietrzem, ale nie mogła wyciągnąć ręki, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i upadła na fotel.

Ketty sądziła, że zrobiło jej się słabo, i pośpieszyła, by rozpiąć swej pani stanik. Ale Milady wstała żywo:

- Czego chcesz ode mnie - rzekła - dlaczego mnie dotykasz?

- Myślałam, że pani zasłabła, i chciałam jej pomóc - odparła pokojówka przerażona straszliwym

wyrazem twarzy Milady.

- Ja miałabym zaślubnąć! Ja! ja! ja! Więc bierzesz mnie za mdłą niewiastę? Znieważona nie słabnę, ale się mszczę, rozumiesz?

I dała znak ręką, by Ketty wyszła.

VI.

SEN O ZEMŚCIE

Wieczorem Milady dała rozkaz, by wprowadzić pana d'Artagnana, gdy tylko się zjawi. Ale d'Artagnan nie przyszedł.

Nazajutrz Ketty znów pobiegła do młodzieńca i opowiedziała mu, co zdarzyło się dnia poprzedniego; d'Artagnan uśmiechnął się: zazdrość i gniew Milady to była jego zemsta.

Wieczorem Milady, bardziej jeszcze niecierpliwa niż dnia poprzedniego, znów kazała wprowadzić Gaskończyka, ale i tym razem czekała na próżno.

Następnego ranka, gdy Ketty przyszła do d'Artagnana, nie była już wesoła i żwawa jak przez dwa ostatnie dni, ale smutna śmiertelnie.

D'Artagnan zapytał biednej dziewczyny, co jej jest; zamiast odpowiedzi wyjęła list z kieszeni i podała mu.

Pismo było Milady, tyle tylko, że tym razem list był zaadresowany nie do pana de Wardes, lecz do d'Artagnana.

Otworzył list i przeczytał:

„Drogi d'Artagnanie, to nieładnie zaniedbywać przyjaciół, zwłaszcza wówczas, gdy opuszcza się ich na tak długo. Wczoraj i przedwczoraj szwagier i ja czekaliśmy na Pana na próżno. Czy tak samo

będzie i dziś?

Wielce oddana

Lady Ciarick”

- To jasne - rzekł d'Artagnan - spodziewałem się tego listu. Moje szansę rosną, w miarę jak maleją szansę pana de Wardes.

- Czy pan pójdzie? - zapytała Ketty.

- Posłuchaj, moje drogie dziecko - rzekł Gaskończyk, który chciał usprawiedliwić się przed samym sobą, jako że nie dotrzymywał słowa danego Atosowi - rozumiesz, że byłoby bardzo niepolitycznie nie skorzystać z tak wyraźnego zaproszenia. Milady widząc, że nie przychodzę, nie zrozumiałaby, dlaczego zaprzestałem wizyt. Mogłaby coś zacząć podejrzewać, a któż może wiedzieć, jak

daleko posunie się w zemście taka kobieta?

- O, mój Boże - rzekła Ketty - potrafi pan ukazać sprawę w taki sposób, że zawsze ma pan słuszość. Ale znowu będziesz się do niej zalecał, teraz spodobasz się pod swoim własnym nazwiskiem, dzięki własnej urodzie, i będzie to jeszcze gorsze niż za pierwszym razem!

Biedna dziewczyna odgadła instynktem to, co miało nastąpić. D'Artagnan pocieszył ją jak mógł, i przyrzekł, że będzie nieczuły na wdzięki Milady.

Kazał jej odpowiedzieć, że jest niezmiernie wdzięczny za łaski i będzie posłuszny rozkazom; nie ośmielił się wszakże pisać w obawie, że wyćwiczone oko Milady rozpozna charakter pisma.

Była dziewiąta, kiedy zjawił się na placu Royale. Nie ulegało wątpliwości, że służba czekająca w przedpokoju jest uprzedzona, ponieważ ledwie d'Artagnan się zjawił i zanim jeszcze zdążył zapytać, czy Milady przyjmuje, jeden ze służby pobiegł oznajmić jego przybycie.

- Prosić - powiedziała Milady krótko, ale tak przenikliwym głosem, że d'Artagnan usłyszał w przedpokoju.

Wszedł.

- Nie ma mnie dla nikogo - rzekła Milady - dla nikogo, rozumiesz?

Lokaj wyszedł.

D'Artagnan rzucił ciekawe spojrzenie na Milady: była blada i miała oczy zmęczone płaczem czy też bezsennością. Światło było bardziej przyćmione niż zazwyczaj, a jednak młoda kobieta nie mogła ukryć śladów gorączki, która trawiła ją od dwóch dni.

D'Artagnan zbliżył się do niej ze zwykłą dwomością; choć uczyniła wielki wysiłek, by go powitać, nigdy twarzy równie wzburzonej nie okrywał uśmiech równie uprzejmy.

Gdy d'Artagnan zapytał, jak się czuje, powiedziała:

- Złe, bardzo źle.

- Ale w takim razie - rzekł d'Artagnan - jestem tu intruzem, pani trzeba spoczynku, pójdę.

- Nie, przeciwnie - powiedziała Milady - niech pan zostanie, pańskie miłe towarzystwo mnie rozerwie.

„Ho, ho - pomyślał d'Artagnan - nigdy jeszcze nie była tak czarująca, miejmy się na baczności”.

Milady przybrała serdeczną minę i z wielkim wdziękiem poprowadziła rozmowę. Gorączka, która opuściła ją na chwilę, wróciła znowu, przydając blasku jej oczom, barwy policzkom, karminu ustom. D'Artagnan odnalazł Circe, która już przedtem omotała go swymi czarami. Sądził, że miłość ta zgasła, ale ona tylko przycichła i teraz obudziła się znów w jego sercu. Milady uśmiechała się i d'Artagnan czuł, że za ten uśmiech oddałby duszę diabłu.

Przez chwilę czuł coś niby wyrzut sumienia.

Powoli Milady stawała się coraz bardziej rozmowna. Zapytała d'Artagnana, czy ma kochankę.

- Niestety - odparł d'Artagnan z najbardziej sentymentalnym wyrazem twarzy - jakże jesteś pani okrutna, że zadajesz mi takie pytanie! Przecież od chwili, gdy cię ujrzałem, żyję tylko przez ciebie i dla ciebie.

Milady uśmiechnęła się szczególnym uśmiechem.

- Więc pan mnie kocha? - powiedziała.

- Czy muszę to pani mówić, czy nie zauważyłaś sama?

- Tak; ale pan wie, że im bardziej dumne jest serce, tym trudniej je osiąść.

- Och, nie boję się trudności, tylko rzeczy nieosiągalnych - rzekł d'Artagnan.

- Dla prawdziwej miłości nie ma rzeczy nieosiągalnych - rzekła Milady.

- Nie ma, pani?

- Nie - odparła Milady.

„U diabła - powiedział sobie d'Artagnan - śpiewamy teraz na inną nutę. Czy ta kapryśna istota zakocha się we mnie i zechce ofiarować, tym razem mnie samemu, szafir podobny do tego, jaki dała rzekomemu panu de Wardes?”

I przysunął żywo swoje krzesło do fotela Milady.

- Proszę - rzekła - co uczyniłby pan, by dać dowód tej miłości?

- Wszystko, czego ode mnie zażadasz. Czekam na rozkazy.

- Wszystko?

- Wszystko! - zawołał d'Artagnan, który wiedział, że nie ryzykuje wiele mówiąc w ten sposób.

- Dobrze, porozmawiajmy - rzekła Milady przysuwając z kolei swój fotel do krzesła d'Artagnana.

- Słucham cię, pani.

Milady przez chwilę była zakłopotana, niepewna. Wreszcie, jak gdyby powziąwszy decyzję, rzekła:

- Mam wroga.

- Ty, pani! - zawołał d'Artagnan udając zdumienie - czy to możliwe, mój Boże? Pani, taka piękna i dobra!

- Wroga śmiertelnego.

- Doprawdy?

- Wroga, który mnie obraził tak okrutnie, że między nami jest wojna na śmierć i życie. Czy mogę liczyć na twą pomoc?

D'Artagnan zrozumiał w lot, dokąd zmierza mściwa istota.

- Tak, pani - rzekł z emfazą - moja prawica i życie należą do ciebie tak samo jak moja miłość.

- A zatem - rzekła Milady - skoro jesteś równie wielkoduszny, jak zakochany...

Urwała.

- A zatem? - zapytał d'Artagnan.

- A zatem - podjęła Milady po chwili milczenia - niech pan przestanie mówić o rzeczach niemożliwych.

- Nie mogę uwierzyć w tak wielkie szczęście! - zawołał d'Artagnan padając na kolana i okrywając pocałunkami dłonie, których mu Milady nie broniła.

„Pomścij mnie na tym nikczemnym de Wardes - szeptała do siebie Milady - a pozbędę się z kolei ciebie, koronny głupcze, narzędzie w moich rękach”.

„Padnij dobrowolnie w moje ramiona, obłudna i niebezpieczna kobieto, co zakpiłaś sobie ze mnie tak bezczelnie - powiedział do siebie d'Artagnan - a zabawię się twoim kosztem wraz z tym, kogo chcesz zabić moją ręką”.

D'Artagnan podniósł głowę.

- Jestem gotów - powiedział.

- Zrozumiałeś mnie tedy, drogi d'Artagnanie! - powiedziała Milady.

- Odgadłem to z twego spojrzenia.

- Więc użyjesz dla mnie swej szpady, tak już sławnej?

- Kiedy zechcesz.

- Ale jakże ci zapłacę za taką przysługę? Znam zakochanych, nie czynią nic za darmo.

- Znasz odpowiedź, której pragnę, jedyną odpowiedź godną ciebie i mnie!

I przyciągnął ją lekko ku sobie. Ledwo stawiała opór.

- Wyrachowany człowieku! - rzekła z uśmiechem.

- Ach - zawołał d'Artagnan, naprawdę uniesiony namiętnością, jaką ta kobieta umiała zapalać w jego sercu - ach, moje szczęście wydaje mi się niewiarygodne! Wciąż się obawiam, że ucieknie ode mnie jak sen, i chciałbym zmienić sen w rzeczywistość.

- Dobrze, zasłuż więc sobie na to rzekome szczęście.

- Jestem na pani rozkazy - powiedział d'Artagnan.

- Na pewno? - rzekła Milady z resztką powątpiewania w głosie.

- Wymień nazwisko nikczemnika, przez którego płakały te piękne oczy.

- Któż panu powiedział, że płakałam? - rzekła.

- Zdawało mi się...

- Kobiety takie jak ja nie płaczą - powiedziała Milady.

- Tym lepiej! Zechciej mi więc powiedzieć, jak się nazywa.

- Pomyśl, że to nazwisko to cała moja tajemnica.

- Muszę ją wszakże znać.

- Tak, musisz: widzisz, jakie mam zaufanie do ciebie?

- Radość moja nie ma granic. Jakże się nazywa?

- Pan go zna.

- Doprawdy?

- Tak.

- To któryś z moich przyjaciół? - ciągnął d'Artagnan udając wahanie, by Milady uwierzyła, że nie wie o niczym.

- A gdyby to był twój przyjaciel, czy wahałbyś się? - zawołała Milady, a oczy jej błysnęły groźnie.

- Nie, nawet gdyby to był mój brat! - zawołał d'Artagnan, niby to porwany zapałem.

Nasz Gaskończyk szedł śmiało, wiedział bowiem doskonale, dokąd zmierza.

- Podoba mi się pańska gotowość - rzekła Milady.

- Niestety, czy tylko to podoba się pani we mnie? - zapytał d'Artagnan.

- Kocham pana przecież - rzekła ujmując jego rękę. Płomienny uścisk przyprawił d'Artagnana o drżenie, jak gdyby gorączka, która paliła Milady, od dotknięcia jej ręki ogarnęła i jego.

- Pani mnie kocha! - zawołał. - Ach, gdyby to była prawda, oszalałbym.

Otoczył ją ramionami. Nie próbowała się bronić, ale pozwalając całować swe usta nie oddawała mu pocałunków.

Jej usta były zimne; d'Artagnanowi zdało się, że całuje posąg.

Mimo to był pijany szczęściem, rozplomieniony miłością; wierzył niemal w czułość Milady; wierzył niemal w zbrodnię pana de Wardes. Gdyby de Wardes znajdował się w tej chwili pod ręką, zabiłby go.

Milady skorzystała z okazji.

- Nazywa się... - powiedziała.

- De Wardes, wiem - zawołał d'Artagnan.

- Skądże wiesz o tym? - zapytała Milady chwytając go za rękę i zatapiając spojrzenie w jego oczach, jak gdyby chciała przejrzeć duszę młodzieńca.

D'Artagnan zrozumiał, że posunął się za daleko i popełnił błąd.

- Powiedz, powiedzże wreszcie! - powtarzała Milady. - Skąd wiesz o tym?

- Skąd wiem? - rzekł d'Artagnan.

- Tak.

- Wiem, ponieważ wczoraj byłem w pewnym salonie, gdzie de Wardes pokazywał jakiś pierścień mówiąc, że otrzymał go od ciebie.

- Nędznik! - zawołała Milady.

Ten epitet, jak łatwo pojąć, zabrzmiał głośnie echem w sercu d'Artagnana.

- A więc? - powiedziała.

- A więc pomszczę cię, zabiję tego nędznika - podjął d'Artagnan z miną Jafeta z Armenii.

- Dzięki, mój dzielny przyjacielu! - zawołała Milady - a kiedy będę pomszczona?

- Jutro, natychmiast, kiedy zechcesz.

Milady miała już zawołać: „natychmiast”, ale zrozumiała, że taki pośpiech nie byłby zbyt miły dla d'Artagnana.

Zresztą musiała jeszcze pomyśleć o środkach ostrożności, dać swemu obrońcy niejedną radę, by wiedział, jak uniknąć wyjaśnień z hrabią w obecności świadków. Wszystko to d'Artagnan uprzedził jednym słowem.

- Jutro będziesz pomszczona albo padnę trupem.

- Nie - rzekła - pomścisz mnie, ale nie umrzesz. To tchórz.

- Może wobec kobiet, ale z mężczyznami... Wiem coś o tym.

- Ale zdaje mi się, że walcząc z nim nie mogłeś się uskarżać na brak szczęścia.

- Szczęście jest jak kochanka; dziś przychylna, jutro może odwrócić się do mnie plecami.

- Widzę, że się wahasz?

- Nie, nie waham się, Boże uchwaj; ale czy to się godzi posyłać mnie na śmierć pewną, być może, dając mi tylko odrobinę nadziei?

Milady odpowiedziała spojrzeniem, które mówiło: Więc o to tylko chodzi?

- To prawda - dodała po chwili czule, a słowa jej tłumaczyły to, co powiedziała spojrzeniem.

- Och, jesteś aniołem! - zawołał młody człowiek.

- A zatem wszystko postanowione? - rzekła.

- Prócz tego, o co cię proszę, moja duszko.

- Ale skoro ci powiadam, że możesz zaufać mej miłości?

- Nie mam przed sobą jutra, nie mogę czekać.

- Dostyc; spodziewam się brata: nie powinien cię tu zastać.

Zadzwoniła; weszła Ketty.

- Niech pan wyjdzie tymi drzwiami - rzekła otwierając zamaskowane drzwiczki - i wróci o jedenastej. Dokończymy rozmowy. Ketty wprowadzi pana do mnie.

Biedna dziewczyna słysząc te słowaomal nie wyciągnęła się jak długa.

- Cóż ty sobie myślisz stojąc tu jak wryta, moja panno! Nuże, odprowadź pana kawalera. Dziś wieczór o jedenastej, panie!

„Zdaje się, że jedenasta to godzina jej schadzek - pomyślał d'Artagnan - niezmienny zwyczaj”.

Milady wyciągnęła do niego rękę, którą d'Artagnan ucałował czule.

- No, no - rzekł wychodząc i odpowiadając niedbale na wyrzuty Ketty – nie bądźmy głupi; ta kobieta jest wielką zbrodniarką, to rzecz oczywista; miejmy się na baczności.

D Artagnan, mimo nalegań młodej dziewczyny, wyszedł z pałacu, zamiast pójść do Ketty, a to z dwóch przyczyn: po pierwsze dlatego, że w ten sposób unikał wyrzutów, wymówek, błagań; po drugie dlatego, że chciał się nieco zastanowić nad sobą i jeśli to możliwe, przemknąć myśli tej

kobiety.

Oczywiście w tym wszystkim było to tylko, że kocha Milady jak szaleniec, a ona nie kocha go ani trochę. Była chwila, gdy d'Artagnan zrozumiał, że zrobiłby najlepiej wracając do domu i pisząc do Milady długi list, w którym wyznałby jej, że i on i de Wardes są jedną i tą samą osobą; nie może tedy zabić hrabiego, chyba że popełniłby samobójstwo. Ale i jego ożywiało okrutne pragnienie zemsty.

Pragnął posiąść tę kobietę jako d'Artagnan, a nie jako de Wardes, ta zemsta była za słodka i nie chciał się jej wyrzec.

Okrążył pięć czy sześć razy plac Royale, co dziesięć kroków spoglądając ku oknom, by ujrzeć światło sączące się przez okiennice z pokojów Milady. Było rzeczą oczywistą, że tym razem młoda kobieta nie śpieszyła się nazbyt do swej sypialni.

Wreszcie światło zgasło.

Wraz z nim zgasły ostatnie wahania w sercu d'Artagnana. Przypomniawszy sobie pierwszą noc i z bijącym sercem, z głową w ogniu, wszedł do pałacu i skierował się do pokoju Ketty.

Młoda dziewczyna, blada jak śmierć i cała drżąca, chciała zatrzymać kochanka, ale Milady czuwała: usłyszała hałas i otworzyła drzwi.

- Niech pan wejdzie - rzekła.

Wszystko to było tak bezwstydne, tak niewiarygodnie bezczelne, że d'Artagnan z trudem mógł uwierzyć w to, co widział i słyszał. Zdawało mu się, że został wciągnięty w fantastyczną przygodę, jaką przeżywa się tylko we śnie.

Poszedł jednak za Milady, ulegając sile przyciągania, działającej nań jak magnes na żelazo.

Drzwi zamknęły się za nim.

Ketty rzuciła się ku drzwiom.

Zazdrość, wściekłość, obrażona duma, wszystkie namiętności, które walczą ze sobą w sercu zakochanej kobiety, popychały ją do zdrady; ale byłaby zgubiona, gdyby wyznała, że maczała palce w tej sprawie, co więcej, utraciłaby d'Artagnana. Ta ostatnia myśl, dyktowana miłością, skłoniła ją raz jeszcze do poświęcenia.

Tymczasem d'Artagnan osiągnął, czego pragnął; tym razem nie kochano w nim rywala; Milady kochała lub udawała, że kocha jego samego. Tajemny głos, płynący z głębi serca, mówił mu wprawdzie, że jest tylko narzędziem zemsty, że zaznaje pieszczot, ponieważ ma zadać śmierć, ale duma, miłość własna, szaleństwo zagłuszały ten głos, dusiły ten szept. Poza tym nasz Gaskończyk, którego dobre mniemanie o sobie znamy, porównywał się w myśli do pana de Wardes i zapytywał

się w duchu, dlaczegóż to on sam nie miałby być kochany.

Oddał się więc całkowicie rozkoszom chwili. Milady nie była już teraz dla niego ową fatalną kobietą, budzącą grozę. Była to kochanka płomienna i namiętna, oddająca się bez reszty miłości, którą zdawała się podzielać. Tak upłynęły dwie godziny.

Tymczasem zapał dwojga kochanków ostygł powoli. Milady, która w przeciwieństwie do d'Artagnana nie miała powodów, by zapomnieć o wszystkim, pierwsza wróciła do rzeczywistości i zapytała młodzieńca, czy pomyślał już, jak doprowadzi nazajutrz do spotkania z panem de Wardes.

Ale d'Artagnan, który myślał zupełnie o czym innym, zapomniał się jak głupiec i odpowiedział grzecznie, że pora jest zbyt późna, by zajmować się pojedynkiem na szpady.

Ta obojętność dla jedynej sprawy, która zajmowała Milady naprawdę, przeraziła ją. Zaczęła coraz bardziej nalegać.

D'Artagnan, który nigdy nie myślał na serio o tym niemożliwym pojedynku, chciał odwrócić rozmowę, ale nie było to już w jego mocy.

Piekielna inteligencja i żelazna wola Milady wytyczyły zawczasu granice, jakich nie pozwalała młodzieńcowi przekroczyć.

D'Artagnan mniemał, że poczyni sobie nader dowcipnie radząc Milady, by wyrzekła się swoich szaleńczych projektów i przebaczyła hrabiemu.

Ale przy pierwszych słowach młoda kobieta zadrżała i odsunęła się od niego.

- Czyżbyś się bał, drogi d'Artagnanie? - rzekła głosem ostrym i kpiącym, który dziwnie zadźwięczał w ciemnościach.

- Skądże znowu, moja duszko! - odparł d'Artagnan - ale czy ten biedny hrabia de Wardes jest naprawdę tak bardzo winien, jak przypuszczasz?

- W każdym razie - rzekła poważnie Milady - zdradził mnie, a skoro mnie zdradził, zasłużył sobie na śmierć.

- Umrze więc, jeśli wydałaś na niego wyrok! - rzekł d'Artagnan tonem tak stanowczym, że Milady uznała to za wyraz całkowitego oddania.

Natychmiast przysunęła się do niego.

Nie potrafimy powiedzieć, jak długo trwała ta noc dla Milady, ale d'Artagnanowi wydało się, że jest

z kochanką dwie godziny za ledwie, gdy świt zaczął przenikać przez szpary w okiennicach, zalewając pokój szarawym światłem.

Milady widząc, że d'Artagnan wkrótce ją opuści, przypomniała mu o danej obietnicy i zemście na panu de Wardes.

- Jestem gotów - rzekł d'Artagnan - ale przedtem jednego chciałbym być pewien.

- Czegóż to? - zapytała Milady.

- Że mnie kochasz.

- Zdaje mi się, że dałam tego dowody.

- Tak, i jestem ci oddany ciałem i duszą.

- Dzięki, mój dzielny kochanku! Ale jak ja złożyłam ci dowody mej miłości, ty dasz mi dowody swojej, prawda?

- Oczywiście, lecz jeśli kochasz mnie, jak powiadasz - podjął d'Artagnan - czy nie boisz się trochę o mnie?

- Czegóż mogłabym się obawiać?

- Że zostanę ciężko ranny, że zginę nawet.

- To niemożliwe, jesteś tak dzielny, tak świetnie władasz szpadą.

- Nie wolisz więc - mówił d'Artagnan - posłużyć się sposobem, który cię pomści czyniąc walkę zgoła niepotrzebną?

Milady patrzyła na kochanka w milczeniu: w szarawym świetle brzasku jej oczy miały dziwnie ponury wyraz.

- Doprawdy - rzekła - wydaje mi się, że się teraz wahasz.

- Nie, nie waham się; ale żal mi tego biednego hrabiego, od kiedy go nie kochasz, i myślę sobie, że utrata twej miłości jest dość okrutną karą dla mężczyzny, nie trzeba mu innej.

- Kto ci powiedział, że go kochałam? - zapytała Milady.

- Mogę w każdym razie powiedzieć bez zbytej próżności, że teraz kochasz innego - rzekł młody

człowiek pieszczotliwym tonem - i powtarzam ci, że los hrabiego bardzo mnie obchodzi.

- Ciebie? - zapytała Milady.

- Tak, mnie.

- A dlaczego ciebie właśnie?

- Ponieważ ja jeden wiem...

- Co?

- Ze bynajmniej nie jest, a raczej nie był tak winien wobec ciebie, jak przypuszczasz.

- Doprawdy! - rzekła Milady z niepokojem - wyjaśnij to, proszę, nie wiem, co masz na myśli.

D'Artagnan, który trzymał ją w ramionach, widział jak jej oczy rozpalają się z wolna.

- Tak, jestem uczciwym człowiekiem - powiedział d'Artagnan, zdecydowany wreszcie z tym skończyć - a odkąd mnie kochasz, odkąd jestem pewien twojej miłości, bo tak jest, prawda?

- Tak, mów dalej.

- Jestem szczęśliwy, ale ciąży mi pewne wyznanie.

- Wyznanie!

- Gdybym wątpił o twej miłości, nie uczyniłbym go, ale kochasz mnie, moja piękna kochanko? Kochasz mnie, prawda?

- Oczywiście.

- A zatem, jeśli nazbyt cię kochając zawiniłem wobec ciebie, wybaczysz mi?

- Być może!

D'Artagnan z najczulszym uśmiechem spróbował zbliżyć usta do ust Milady, ale ona odsunęła się.

- To wyznanie - powiedziała blednąc - jakież to wyznanie?

- Wyznaczyłaś spotkanie panu de Wardes we czwartek, w tym samym pokoju, prawda?

- Ja? Nie! To nieprawda - rzekła Milady głosem tak pewnym i z twarzą tak niewzruszoną, że gdyby d'Artagnan nie miał całkowitej pewności, zwątpiłby.

- Nie kłam, mój aniele - powiedział d'Artagnan z uśmiechem - to nie zda się na nic.

- Jak to? Mówże! Zabijasz mnie!

- Och, bądź spokojna, nie jesteś wobec mnie winna, przebaczyłem ci.

- Dalej, dalej!

- De Wardes nie może się niczym chełpić.

- Dlaczego? Sam mi mówiłeś, że ten pierścień...

- Ja mam ten pierścień, moja najśliczniejsza. Hrabia de Wardes z czwartku i d'Artagnan dzisiejszy to jedna i ta sama osoba.

Nieostrożny młodzieniec spodziewał się zdumienia pomieszanego z zawstydzeniem, krótkiej burzy, która rozplynie się w łzach; ale mylił się osobliwie i nie trwał w swym błędzie długo.

Milady wstała, blada i straszna, odtrąciła d'Artagnana uderzając go mocno w pierś i wyskoczyła z łóżka.

Był już prawie dzień.

D'Artagnan starał się ją zatrzymać i chwycił za cienki indyjski muślin, w jaki była przyodziana, chcąc błagać o przebaczenie; ale ona mocnym i stanowczym ruchem próbowała się wymknąć. Wówczas

muślin się rozerwał odsłaniając ramiona i na jednym z tych białych i krągłych ramion d'Artagnan z nieopisanym zdumieniem rozpoznał kwiat lilii, to niezatarte piętno, jakie pozostawia hańbiąca ręka kata.

- Wielki Boże! - zawołał puszczając muślin.

Pozostał niemy, nieruchomy i zlodowaciały na łóżku.

Milady widząc przerażenie d'Artagnana pojęła, że jej tajemnica została odkryta. Na pewno wszystko widział; młodzieniec posiadał teraz jej sekret, sekret straszliwy, którego nikt nie znał prócz niego.

Odwróciła się; nie była to już jednak rozwścieczona kobieta, lecz ranna pantera.

- Ach, nędzniku - rzekła - zdradziłeś mnie nikczemnie, a co więcej, znasz moją tajemnicę! Umrzesz!

Pobiegła do ozdobnej szkatułki, stojącej na gotowalni, otworzyła ją drżącą ręką, wyciągnęła mały

sztylet o złotej rękojeści i ostrzu cienkim a ostrym, i jednym skokiem wróciła do półnagiego d'Artagnana.

Choć nasz młodzieniec był dzielny, jak wiemy, przeraziła go ta zmieniona twarz, rozszerzone straszliwie źrenice, blade policzki i krwawe usta. Cofnął się aż do ściany jak na widok zbliżającego się węża; ręką mokrą od potu natrafił na szpadę i wyciągnął ją z pochwy.

Milady nie dbając o szpadę próbowała wejść na łóżko, żeby zadać mu cios, i nie ustawała aż do chwili, gdy poczuła ostrze na szyi.

Teraz próbowała uchwycić szpadę rękami; ale d'Artagnan wciąż nią manewrował, to przykładając klingę do jej piersi, to podsuwając pod oczy, i zsunął się z łóżka mając zamiar cofnąć się ku drzwiom prowadzącym do pokoju Ketty.

Milady rzucała się na niego ogarnięta szałem, wyjąc okropnie.

Ponieważ wszystko to stawało się podobne do pojedynku, d'Artagnan przytomniał powoli.

- Dobrze, piękna pani, dobrze - mówił - ale uspokój się, na Boga, bo nakreślę ci drugi kwiat lilii na tych ślicznych policzkach.

- Nędzniku, nędzniku! - wyła Milady.

D'Artagnan bronił się, wciąż cofając się ku drzwiom.

Oboje narobili tyle hałasu, ona przewracając meble, by się do niego dostać, on zastawiając się przed nią meblami, że Ketty otworzyła drzwi. D'Artagnan cały czas zmierzał ku tym drzwiom i był teraz od nich w odległości trzech kroków.

Jednym susem skoczył z pokoju Milady do pokoiku Ketty i szybki jak błyskawica zamknął drzwi opierając się o nie całym swym ciężarem, podczas gdy Ketty zasuwiała rygle.

Milady z siłą przechodzącą siły niewieście próbowała obalić łuk przyporowy, który zatrzymywał ją w pokoju. Kiedy zaś poczuła, że to niemożliwe, podziurawiła drzwi sztyletem; w kilku miejscach sztychy jej przecięły drzewo na wylot.

Każdemu ciosowi towarzyszyły straszliwe przekleństwa.

- Szybko, szybko, Ketty - rzekł d'Artagnan półgłosem, kiedy rygle były zasunięte - muszę wyjść z pałacu. Jeżeli zostawimy jej czas, każe lokajom mnie zabić.

Atos rozpoznał przyjaciela i choć był z natury flegmatyczny, wybuchnął zrozumiałym śmiechem

zważywszy, jak dziwną maskarę miał przed oczami: przekreślony czepek, spódnica spadająca na pantofle, podwinięte rękawy i wąsy zjeżone z przerażenia.

- Nie śmieć się, przyjacielu - zawołał d'Artagnan - nie śmieć się, na Boga, przysięgam ci, że nie ma z czego się śmiać.

JAK ATOS, NIE WYCHODZĄC Z DOMU ZDOBYŁ EKWIPIUNEK

Młodzieniec uciekał, podczas gdy Milady wygrażała mu bezsilnym gestem.

W chwili kiedy straciła go z oczu, padła w swym pokoju zemdlona.

D'Artagnan był tak wstrząśnięty, że nie troszcząc się o to, co się stanie z Ketty, przebiegł pół Paryża i zatrzymał się dopiero przed drzwiami Atosa. Oszłomie nie, strach, krzyki kilku patroli, które rzuciły się za nim w pogoń, szyderczy śmiech przechodniów, mimo wczesnej godziny śpieszących do swych spraw, popędzały go jeszcze bardziej.

Przemknął przez podwórze, wbiegł na drugie piętro i z całej mocy zastukał do drzwi.

Otworzył mu Grimaud, na wpół śpiący jeszcze. D'Artagnan wtargnął do pokoju jak huragan, omal nie depcząc nieboraka.

Choć służący Atosa zwykł był milczeć, tym razem przemówił:

- Hola, hola - zawołał - czego chcesz, dziewczko? Czego ci tu trzeba, ładaczniczo?

D'Artagnan zdjął czepek i wysunął ręce spod płaszczyka; na widok jego wąsów i nagiej szpady biedak zrozumiał, że ma do czynienia z mężczyzną. Nie wątpił ani przez chwilę, że ma przed sobą zbója.

- Na pomoc! Na pomoc! Ratunku! - zawołał.

- Milcz, głupcze! - rzekł młodzieniec - jestem d'Artagnan, czy mnie nie poznajesz? Gdzie twój pan?

- Pan jest d'Artagnan?! - zawołał Grimaud - to niemożliwe.

- Grimaud - rzekł Atos wychodząc ze swego pokoju w szlafroku - zdaje się, że pozwalasz sobie mówić.

- Ach, panie, bo to...

- Cicho...

Grimaud wskazał tylko d'Artagnana palcem.

- Ale przecież pan nie może tak wyjść - powiedziała Ketty - pan jest nagi.

- To prawda - rzekł d'Artagnan, który dopiero teraz zauważył, w jakim jest stroju - to prawda, ubierz mnie, jak możesz, ale śpieszmy się. Zrozum, chodzi o życie!

Ketty rozumiała doskonale; w mgnieniu oka ubrała d'Artagnana w suknię w kwiaty, w szeroki czepek i płaszczyk, dała mu pantofle, w które wsunął bose stopy, potem sprowadziła go ze schodów. Był wielki czas, Milady już zadzwoniła i postawiła cały dom na nogi. Odźwierny pociągnął za sznur w tej samej chwili, kiedy na wpół naga Milady krzyczała przez okno:

- Nie otwierać nikomu!

VIII.

Słowa te powiedział z miną tak uroczystą i strachem tak niekłamanym, że Atos chwycił go za rękę, wołając:

- Czy jesteś ranny, druhu? Takiś blady!

- Nie, ale zdarzyła mi się rzecz straszna. Czy jesteś sam, Atosie?

- Do licha! A któż mógłby być u mnie o tej porze?

- Dobrze, dobrze.

I d'Artagnan pośpieszył do pokoju Atosa.

- No, mów - rzekł Atos zamykając drzwi na zasuwę, by im nie przeszkadzano. - Król nie żyje? Zabiłeś pana kardynała? Jesteś taki nieswój! Nuże, mów, bo naprawdę umieram z niepokoju.

- Atosie - rzekł d'Artagnan uwalniając się od sukien kobiecych i stojąc w koszuli - przygotuj się do wysłuchania niewiarygodnej, niesłychanej historii.

- Włóż najpierw ten szlafrok - powiedział muszkieter do przyjaciela.

D'Artagnan wziął szlafrok, ale tak był wciąż jeszcze wstrząśnięty, że włożył rękę do niewłaściwego rękawa.

- A zatem? - spytał Atos.

- A zatem - odparł d'Artagnan nachylając się do ucha Atosa i zniżając głos - Milady jest napiętnowana na ramieniu kwiatem lilii.

- Ha! - krzyknął muszkietier, jak gdyby ugodzony kulą w samo serce.

- Powiedz - rzekł d'Artagnan - czy jesteś pewien, że t a m t a nie żyje?

- Tamta?- powiedział Atos tak głuchym głosem, że d'Artagnan zaledwie go usłyszał.

- Tak, kobieta, o której opowiadałeś mi pewnego razu w Amiens.

Atos jęknął i opuścił głowę na rękę.

- Milady ma dwadzieścia sześć, najwyżej dwadzieścia osiem lat - mówił d'Artagnan.

- Blondynka - rzekł Atos - prawda?

- Tak.

- Oczy jasnoniebieskie, dziwnie przejrzyste, brwi i rzęsy czarne?

- Tak.

- Wysoka, dobrze zbudowana? Brak jej jednego zęba z lewej strony.

- Tak.

- Kwiat lilii jest mały, rudej barwy i nieco zatarty na skutek stałego używania maści.

- Tak.

- Powiadasz jednak, że to Angielka!

- Mówią do niej Milady, ale może być Francuzką. Lord Winter jest tylko jej szwagrem.

- Chcę ją zobaczyć, d'Artagnanie.

- Uważaj, uważaj, Atosie. Chciałeś ją zabić, a jest to kobieta, która potrafi zapłacić pięknym za nadobne.

- Nie odważy się pisnąć słowa, przecież nie zechce się zdradzić.

- Jest zdolna do wszystkiego! Czy widziałeś ją kiedy w gniewie?

- Nie - rzekł Atos.

- Tygrysica, pantera! Ach, mój drogi Atosie, obawiam się, że ściągnąłem na nas obu straszliwą zemstę!

Wówczas d'Artagnan opowiedział o wszystkim, o szalonej z wściekłości Milady i jej straszliwych groźbach.

- Słusznie mówisz i, na mą duszę, gra niewarta świeczki - powiedział Atos. - Na szczęście wyruszamy pojutrze z Paryża, prawdopodobnie do La Rochelle, a skoro nas już nie będzie...

- Będzie cię ściagała na kraj świata, Atosie, jeśli cię rozpozna. Niechaj więc jej nienawiść ograniczy się do mojej osoby.

- Mój drogi, a jeśli nawet mnie zabije? - rzekł Atos - czyżbyś mniemał przypadkiem, że zależy mi na życiu?

- Jest jakaś straszliwa tajemnica w tym wszystkim, Atosie! Ta kobieta jest szpiegiem kardynała, jestem tego pewien.

- W takim razie miej się na baczności. Kardynał albo podziwiał cię za wyprawę londyńską, albo potężnie nienawidzi. Zresztą nie może ci nic zarzucić, trzeba poczekać, aż nienawiść minie, a ponieważ jest to pan kardynał, miej się na baczności! Jeśli wychodzisz, nie wychodź sam; jeśli zasiadasz do stołu, bądź ostrożny. Strzeż się wszystkiego, nawet własnego cienia.

- Na szczęście - rzekł d'Artagnan - chodzi tylko o to, by dotrzeć do pojutrze wieczór. Mam nadzieję, że w armii będziemy mieli do czynienia tylko z mężczyznami.

- Tymczasem jednak opuszczam swe więzienie i pójdę z tobą wszędzie: musisz wrócić na ulicę des Fossoyeurs, będę ci towarzyszył.

- Choć jest to bardzo blisko - powiedział d'Artagnan - nie mogę wrócić w tym stroju.

- To prawda - przyznał Atos i zadzwonił.

Wszedł Grimaud.

Atos dał służącemu znak, by poszedł do d'Artagnana i przyniósł mu ubranie.

Grimaud odpowiedział innym znakiem, że rozumie, po czym wyszedł.

- Tak, ale wszystko to nie posuwa naprzód sprawy ekwipunku, drogi przyjacielu - rzekł Atos. - Jeśli się nie mylę, zostawiłeś swój strój u Milady, która zapewne nie ma zamiaru ci go zwrócić. Na szczęście masz szafir.

- Szafir jest twój, mój drogi Atosie! Przecież powiedziałaś mi, że to klejnot rodzinny.

- Tak, mój ojciec kupił go za dwa tysiące talarów, powiedział mi to kiedyś; należał do ślubnych podarków, jakie ofiarował mojej matce; jest wspaniały. Matka dała mi go, a ja, szalony, zamiast strzec pierścienia jak świętej relikwii, ofiarowałem go tej nędzniczcy.

- A zatem weź pierścień, mój drogi, rozumiem, że ci na nim zależy.

- Ja miałbym wziąć pierścień, który był w rękach zbrodniarki! Nigdy, ten pierścień jest splamiony, d'Artagnanie.

- Więc go sprzedaj.

- Sprzedać klejnot pochodzący od mojej matki! Muszę ci wyznać, że uważałbym to za świętokradztwo.

- Więc zastaw go, dostaniesz ponad tysiąc talarów. Ta suma wystarczy ci aż nadto na wszystko, czego ci trzeba; kiedy wykupisz go za pierwsze wolne pieniądze, nie będzie już na nim żadnych plam, skoro przejdzie przez ręce lichwiarzy.

Atos uśmiechnął się.

- Jesteś czarującym towarzyszem, mój drogi d'Artagnanie - powiedział - twoja niewyczerpana wesołość przynosi pociechę strapionym duszom; niechaj tak będzie, zgoda, zastawimy ten pierścień, ale pod jednym warunkiem!

- Jakiż to warunek?

- Pięćset talarów bierzesz ty i pięćset ja.

- Co mówisz, Atosie! Nie trzeba mi ani czwartej części tej sumy, jestem przecież tylko w gwardii. Sprzedając siodło zdobędę ekwipunek bez trudu. Czegóż mi trzeba? Konia dla Plancheta, ot i wszystko. Zapominasz zresztą, że ja również mam pierścień.

- Na którym zależy ci jeszcze bardziej niż mnie na moim, tak mi się przynajmniej zdawało.

- Tak, jeśli bowiem znajdziemy się w ciężkiej sytuacji, może nas wybawić nie tylko z wielkiego kłopotu, ale i z wielkiego niebezpieczeństwa; to nie tylko cenny diament, ale i zaczarowany talizman.

- Nie rozumiem cię, ale wierzę w to, co mówisz. Wróćmy więc do mojego lub raczej do twojego pierścienia; albo weźmiesz połowę sumy, którą nam za niego dadzą, albo wrzucę go do Sekwany, a wątpię, czy zdarzy nam się to, co Polikratesowi*: nie sądzę, że trafi się ryba tak bardzo nam przychylna.

- Zgoda, niech tak będzie! - rzekł d'Artagnan.

W tej chwili wszedł Grimaud w towarzystwie Plancheta; ten ostatni, niespokojny o swego pana i ciekaw dowiedzieć się, co mu się przydarzyło, skorzystał z okazji i sam przyniósł ubranie.

D'Artagnan ubrał się, Atos uczynił to samo. Kiedy obaj byli gotowi do wyjścia, Atos dał znak Grimaudowi: złożył się d, o strzału. Służący zdjął natychmiast z haka muszkiet i ruszył za swym panem.

Na ulicę des Fossoyeurs przyszedli bez przeszkód. Bonacieux stał przy bramie i patrzył na d'Artagnana z wdzięcznym uśmiechem.

- Ach, mój drogi panie lokatorze - powiedział - pośpiesz no się, czeka na ciebie piękna i młoda dziewczyna, a wiesz przecie, że kobiety nie lubią czekać!

- To Ketty! - zawołał d'Artagnan.

I pobiegł.

Na podeście prowadzącym do pokoju zastał biedną dziewczynę; stała wsparta o drzwi, cała drżąca. Na widok d'Artagnana zawołała:

- Przyrzekł mi pan swoją opiekę, przyrzekł pan uratować mnie od jej gniewu; przypomnij sobie, żeś mnie zgubił!

- Tak, oczywiście - powiedział d'Artagnan - bądź spokojna, Ketty, ale co się stało po moim odejściu?

- Och, mój Boże! - rzekła Ketty. - Na jej krzyk przybiegli lokaje, oszalała z wściekłości; nie ma przekleństwa, którego by nie rzuciła na pańską głowę. Pomyślałam sobie wtedy, iż przypomni sobie, że wszedł pan do niej przez mój pokój, i przyjdzie jej na myśl, że jestem pana współniczką; wzięłam te trochę pieniędzy, jakie miałam, co lepsze rzeczy i uciekłam.

- Biedne dziecko! Ale co z tobą pocznę? Wyjeżdżam pojutrze.

- Wszystko, co pan zechce, panie kawalerze, pomóż mi opuścić Paryż, pomóż mi opuścić Francję.

- Nie mogę cię przecież wziąć ze sobą na oblężenie La Rochelle – rzekł d'Artagnan.

- Nie, ale może mnie pan umieścić na prowincji u jakiej znajomej damy, w Gaskonii na przykład.

- Ach, moja miła! W Gaskonii damy nie mają pokojówek. Ale zaczekaj, znalazłem coś dla ciebie. Planchet, biegnij mi po Aramisa; niechaj tu zaraz przyjdzie, mamy mu coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Rozumiem - powiedział Atos - ale dlaczego nie do Portosa? Wydaje mi się, że jego markiza...

* Legenda mówi, że Polikrates wrzucił do morza, na ofiarę bogom, pierścień, który wkrótce potem znaleziono w brzuch, i ryby podanej na jego stół.

- Markizę Portosa ubierają pisarczyki jej męża - odparł d'Artagnan ze śmiechem. - Zresztą Ketty nie chciałyby mieszkać przy ulicy aux Ours, prawda, Ketty?

- Będę mieszkać wszędzie, gdzie mi wypadnie - rzekła Ketty -bylebym był a dobrze ukryta i byleby nie wiedziano, gdzie jestem.

- Teraz, Ketty, kiedy mamy się rozstać i kiedy nie jesteś już zazdrosna o mnie...

- Panie kawalerze, z daleka czy z bliska, będę pana kochać zawsze – rzekła Ketty.

- I gdzie, u diabła, mieszka stałość? - mruknął Atos.

- Ja również - rzekł d'Artagnan - ja również będę cię kochał zawsze, możesz mi wierzyć. Ale proszę, odpowiedz mi, przywiązuję wielką wagę do pytania, które ci teraz zadam: czy nie słyszałaś nigdy o młodej kobiecie, którą porwano w nocy?

- Zaraz... Ale, mój Boże! Panie kawalerze, czy wciąż kochasz tę kobietę?

- Nie, kocha ją mój przyjaciel. O, ten właśnie, Atos.

- Ja! - zawołał Atos tonem człowieka, który czuje, że za chwilę rozdepcze jaszczurkę.

- Oczywiście że ty! - powiedział d'Artagnan ściskając rękę Atosa. – Wiesz dobrze, jak bardzo interesujemy się wszyscy tą biedną panią Bonacieux. Zresztą Ketty dochowa tajemnicy; prawda Ketty? Rozumiesz,, moje dziecko – ciągnął d'Artagnan - to żona tego potwora, którego widziałas przy bramie wchodząc tutaj.

- Och, mój Boże! - zawołała Ketty - pan mnie przeraża! Oby mnie nie poznał!

- Jak to: oby cię nie poznał! Widziałas już tego człowieka?

- Był dwa razy u Milady.

- To mi dopiero! Kiedy?

- Przed dwoma albo trzema tygodniami.

- Otóż to.

- I wczoraj wieczorem był także.

- Wczoraj wieczorem?

- Tak, na chwilę przed pana przyjściem.

- Mój drogi Atosie, jesteśmy otoczeni siecią szpiegów. Myślisz, że cię poznał, Ketty?

- Nasunęłam kaptur, kiedy go ujrzałam, ale może było już za późno.

- Zejdź, Atosie, przed tobą mniej ma się na baczności, i zobacz, czy stoi jeszcze przy bramie.

Atos zszedł i wkrótce wrócił.

- Nie ma go, dom jest zamknięty.

- Poszedł złożyć raport i donieść, że wszystkie ptaszki są w klatce.

- W takim razie zbierzmy się do odlotu - rzekł Atos - i zostawmy tu tylko Plancheta, który dostarczy nam wiadomości.

- Powoli! A Aramis, po którego posłaliśmy?

- To prawda - rzekł Atos - poczekajmy na Aramisa.

W tej chwili wszedł Aramis.

Wyłożono mu sprawę, objaśniając, że niezwłocznie musi znaleźć miejsce dla Ketty u którejś ze swych wysoko postawionych przyjaciółek.

Aramis zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł z rumieńcem na twarzy:

- Czy w ten sposób oddam ci prawdziwą usługę, d'Artagnanie?

- Będę ci wdzięczny do grobowej deski.

- Dobrze, pani de Bois-Tracy prosiła mnie o zaufaną pokojówkę dla swojej przyjaciółki, mieszkającej na prowincji. Mój drogi d'Artagnanie, jeśli odpowiadasz za tę panienkę...

- Ach, proszę pana - zawołała Ketty - niech pan będzie pewien, że będę bezgranicznie oddana osobie, która pomoże mi opuścić Paryż.

- Wszystko zatem składa się jak najlepiej - rzekł Aramis.

Usiadł przy stole i-napisał liścik, który zapieczętował swym pierścieniem, po czym wręczył list Ketty.

- Posłuchaj, moje dziecko - powiedział d'Artagnan - wiesz dobrze, że powietrze nie jest tu zdrowe ani dla nas, ani dla ciebie. Pożegnamy się zatem; spotkamy się, gdy nadejdą lepsze dni.

- Gdziekolwiek i kiedykolwiek się spotkamy - rzekła Ketty - zawsze znajdzie mnie pan tak samo kochającą jak dziś.

- Przysięga gracza - rzekł Atos, kiedy d'Artagnan odprowadzał Ketty na schody.

W chwilę potem trzej młodzi ludzie rozstali się i umówili na godzinę czwartą u Atosa. Planchetowi kazano pilnować mieszkania.

Aramis udał się do domu, Atos i d'Artagnan poszli zastawić szafir.

Jak to przewidział nasz Gaskończyk, z łatwością zdobyli trzysta pistoli pod zastaw pierścienia. Co więcej, Żyd powiedział, że jeśli zechcą go sprzedać, da im pięćset pistoli: ma podobny szafir i zrobiłby z obu wspaniałe kolczyki.

Atos i d'Artagnan znali się na rzeczy i byli sprawnymi żołnierzami, zużyli więc zaledwie trzy godziny na zakup całego muszkieterskiego ekwipunku. Atos zresztą, wielki pan do szpiku kości, za każdym razem, gdy jakaś rzecz mu się podobała, płacił żądaną cenę nie myśląc się nawet spierać. D'Artagnan próbował go miarkować, ale Atos kładł z uśmiechem rękę na ramieniu młodzieńca i d'Artagnan pojmował, że targować mógł się on, mały sztachetka gaskoński, ale nie ten człowiek z miną księcia.

Muszkietier wybrał sobie wspaniałego konia andaluzyjskiego, sześciolatka czarnego jak agat, o ognistych nozdrzach i cienkich, zgrabnych nogach. Przyjrzał mu się i uznał, że jest bez wady. Zażądano tysiąc talarów.

Być może kupiłby go taniej, ale kiedy d'Artagnan targował się o cenę z handlarzem, Atos kładł już sto pistoli na stole.

Grimaudowi dostał się konik pikardyjski, krępy i silny, który kosztował trzysta liwrów.

Kiedy zakupiono już siodło i broń dla Grimauda, ze stu pięćdziesięciu pistoli Atosa nie zostało ani szeląga. D'Artagnan ofiarował przyjacielowi swoje pieniądze, proponując, żeby Atos zwrócił mu je później.

Ale w odpowiedzi Atos wzruszył tylko ramionami.

- Ile Żyd dawał za szafir? - zapytał.

- Pięćset pistoli.

- To znaczy o dwieście pistoli więcej: sto pistoli dla ciebie, sto pistoli dla mnie. Ależ to prawdziwy majątek, przyjacielu, idź do Żyda.

- Jak to, chcesz...

- Doprawdy, ten pierścień budzi we mnie zbyt smutne wspomnienia; zresztą nigdy nie będziemy mieli trzystu pistoli, żeby go wykupić, tak że stracimy dwa tysiące liwrów na tym targu. Pójdź mu powiedzieć, że pierścień należy do niego, i wracaj z dwustu pistolami.

- Zastanów się Atosie.

- Gotowe pieniądze są dziś bardzo drogie, czasem też trzeba umieć się czegoś wyrzec. Idź, idź, d'Artagnanie; Grimaud uzbrojony w muszkiet będzie ci towarzyszył.

W pół godziny potem d'Artagnan wrócił z dwoma tysiącami liwrów i nic złego nie przytrafiło mu się w drodze.

Tak oto Atos zdobył na ekwipunek zasoby, których ani się spodziewał.

IX.

ZJAWA

O czwartej godzinie czterej przyjaciele spotkali się u Atosa. Nie kłopotali się już o ekwipunek, a twarze ich wyrażały tylko ów tajemny i nie opuszczający człowieka niepokój; albowiem za szczęściem chwili obecnej zawsze kryje się lęk o przyszłość.

Nagle wszedł Planchet przynosząc dwa listy adresowane do d'Artagnana. Jeden list był mały, zgrabnie złożony wzdłuż i zapieczętowany pieczęcią z zielonego wosku, wyobrażającą gołębia z zieloną gałązką.

Drugi był wielki i kwadratowy, ze strasznymi pieczęciami Jego Eminencji księcia kardynała.

Na widok bileciku w d'Artagnanie zadrżało serce, zdawało mu się bowiem, że rozpoznaje pismo; choć widział to pismo raz tylko w życiu, wyryte było w głębi jego serca.

Wziął tedy liścik i rozpieczętował go szybko.

„W przyszłą środę, między szóstą a siódmą wieczór, wyjdź na drogę Chaillot i przypatruj się bacznie wszystkim przejeżdżającym kolaskom; wszelako, jeśli zależy Ci na własnym życiu i życiu tych, co Cię kochają, nie mów słowa, nie czyn najmniejszego gestu, z którego można by odgadnąć, że rozpoznałeś osobę wystawiającą się na wielkie niebezpieczeństwa, by widzieć Cię przez chwilę.”

Podpisu nie było.

- To zasadzka - rzekł Atos - nie idź, d'Artagnanie.

- Wydaje mi się jednak, że rozpoznaję charakter pisma - odparł d'Artagnan.

- Może być podrobione - ciągnął Atos. - W tej porze roku między szóstą a siódmą drogą Chaillot jest całkiem pusta; to tak samo, jakbyś poszedł na przechadzkę do lasu Bondy.

- Ale gdybyśmy poszli wszyscy! - rzekł d'Artagnan - do kaduka, przecież nie połkną nas wszystkich czterech; ponadto czterech służących, konie, broń.

- Będzie to zresztą okazja do zaprezentowania naszego ekwipunku – rzekł Portos.

- Ale jeśli to pisze kobieta - rzekł Aramis - i ta kobieta nie chce być widziana, skompromitujesz ją, d'Artagnanie, tak się szlachcicowi nie godzi.

- Pozostaniemy w tyle - powiedział Portos - on sam tylko wysunie się naprzód.

- Ale strzelić z kolaski jadącej galopem to fraszka.

- Cóż z tego - rzekł d'Artagnan - jeśli chybią. Potem skoczymy do kolaski i zabijemy wszystkich znajdujących się w środku. Zawsze będzie o kilku nieprzyjaciół mniej.

- Dobrze mówi - rzekł Portos - bitwa! Trzeba zresztą wypróbować naszą broń.

- Ba, pozwólmy sobie na tę przyjemność - powiedział Aramis ze swoją słodką i niedbałą miną.

- Jak chcecie - rzekł Atos.

- Panowie - rzekł d'Artagnan - jest wpół do piątej, nie mamy zbyt wiele czasu, jeśli chcemy znaleźć się o szóstej na drodze Chaillot.

- Poza tym, gdybyśmy wyjechali później - dorzucił Portos - nie zauważono by nas, a to byłaby szkoda. Pośpieszmy się, panowie.

- Zapomniałeś jednak o drugiej epistole - powiedział Atos - a zdaje mi się, że pieczęć zasługuje na to, by ją złamać. Co do mnie, oświadczam ci, mój drogi d'Artagnanie, że znacznie więcej obchodzi mnie ten właśnie list niż ów miłosny bilecik, który tak czule ukryłeś na sercu.

D'Artagnan zaczerwienił się.

- Dobrze - rzekł- zobaczmy, panowie, czego chce ode mnie Jego Eminencja.

D'Artagnan rozpieczętował list i przeczytał:

„Pan d'Artagnan, gwardia królewska, kompania pana des Essarts, jest oczekiwany dziś wieczór o godzinie ósmej w pałacu księcia kardynała.

L a Houdiniere

kapitan gwardii”

- Do kata! - zawołał Atos - oto mi spotkanie budzące zgoła inny niepokój.

- Stawię się na nie, gdy wrócę z pierwszego - powiedział d'Artagnan. – Jedno spotkanie jest wyznaczone na siódmą, drugie na ósmą; dość mam czasu na wszystko.

- Hm, ja bym nie poszedł - rzekł Aramis - dworny kawaler nie może nie stawić się na spotkanie wyznaczone przez damę, ale ostrożny szlachcic może znaleźć wytłumaczenie, dlaczego nie udał się do Jego Eminencji, zwłaszcza jeśli ma powody przypuszczać, że spotkania nie wyznaczono po to, by prawić mu słodkie słówka.

- Jestem zdania Aramisa - rzekł Portos.

- Panowie - odparł d'Artagnan - otrzymałem już przez pana de Cavois podobne zaproszenie od Jego Eminencji, nie skorzystałem z niego i nazajutrz zdarzyło mi się wielkie nieszczęście: Konstancja znikła. Niech się dzieje, co chce, pójdę.

- Jeśli powziąłeś decyzję - rzekł Atos - idź.

- Ale Bastylia? - wtrącił Aramis.

- Ba, wyciągniecie mnie - odparł d'Artagnan.

- Oczywiście - odpowiedział Aramis i Portos z podziwu godną pewnością siebie, jakby to była rzecz najłatwiejsza w świecie - oczywiście, ale na razie, jako że mamy wyruszyć pojutrze, lepiej byś uczynił nie narażając się na Bastylię.

- Zróbmy co innego - rzekł Atos - nie opuszczajmy go przez cały wieczór, czekajmy na niego przy bramach pałacu, każdy w towarzystwie trzech muszkieterów; jeśli zobaczymy jakiś pojazd z zamkniętymi drzwiczkami wyglądający podejrzanie, zaatakujemy go. Od dawna już nie mieliśmy do czynienia z gwardzistami pana kardynała i pan de Trsville sądzi pewnie, żeśmy umarli.

- Doprawdy, Atosie - powiedział Aramis - urodziłeś się na dowódcę armii. Co powiecie o tym planie, panowie?

- Wspaniały! - krzyknęli chórem młodzi ludzie.
- W takim razie - rzekł Portos - pędzę do pałacu, uprzedzę naszych kolegów, żeby byli gotowi na ósmą; miejsce spotkania - plac przed pałacem kardynalskim. Tymczasem każcie służącym osiodłać konie.
- Ale ja nie mam konia - powiedział d'Artagnan. - To nic, pożyczę ze stajni pana de Treville.
- To zbyt ciężkie - rzekł Aramis - weźmiesz jednego z moich.
- Ile ich masz? - zapytał d'Artagnan.
- Trzy - odparł Aramis z uśmiechem.
- Mój drogi - rzekł Atos - jesteś najlepiej wyekwipowanym poetą Francji i Nawarry, to pewna.
- Posłuchaj, mój zacny Aramisie, co zrobisz z trzema końmi? Nie rozumiem nawet, dlaczegoś je kupił.
- Nie kupiłem, trzeciego konia otrzymałem dziś rano. Przyprowadził go służący bez liberii, nie chciał mi nawet powiedzieć, u kogo służy; zapewnił mnie, że dostał rozkaz od swego pana...
- Lub od swej pani - przerwał d'Artagnan.
- To nie ma nic do rzeczy - powiedział Aramis rumieniąc się - zapewnił mnie, powiadam, że dostał rozkaz od swego pana, by przyprowadzić tego konia do mej stajni, nie mówiąc, od kogo pochodzi.
- Tylko poetom zdarzają się takie rzeczy - rzekł z powagą Atos.
- W takim razie zrobmy co innego - powiedział d'Artagnan. - Czy z tych dwóch koni wybierasz tego, którego kupiłeś sam, czy tego, którego ci darowano?
- Oczywiście, że tego, którego mi darowano. Rozumiesz, d'Artagnanie, że nie mogę obrazić...
- Nieznanego ofiarodawcy - podjął d'Artagnan.
- Lub tajemniczej ofiarodawczyni - rzekł Atos.
- Więc ten, którego kupiłeś, jest ci już teraz niepotrzebny?
- Chyba tak.
- Sam go wybrałeś?

- Z największą uwagą: wiesz przecież, że bezpieczeństwo jeźdźca zależy niemal zawsze od jego konia!

- Odstąp mi go więc za cenę, którą zapłaciłeś.

- Właśnie chciałem ci zaproponować tego konia, drogi d'Artagnanie, pozostawiając ci tyle czasu, ile zechcesz, na zwrócenie mi tej bagatelki.

- A ile kosztuje cię koń?

- Osiemset liwrów.

- Oto czterdzieści podwójnych pistoli, mój drogi przyjacielu - rzekł d'Artagnan wyjmując złoto z kieszeni - wiem, że w tej monecie płacą ci za poematy.

- Jesteś więc bogaty? - rzekł Aramis.

- I to jak jeszcze, mój drogi!

I d'Artagnan zadzwonił resztką pistoli w kieszeni.

- Poślij swe siodło do Pałacu Muszkietarów, przyprowadzą ci twego konia wraz z naszymi.

- Doskonale; ale wkrótce piąta, śpieszmy się.

W kwadrans później Portos zjawił się u wylotu ulicy Fśrou na pięknym dzianecie; za nim jechał Mousqueton na koniu owerniackim, małym, ale bardzo urodziwym. Portos promieniał radością i dumą.

W tej samej chwili na drugim końcu ulicy pojawił się Aramis na wspaniałym rumaku angielskim; Bazin jechał za nim na dereszu trzymając na wodzy dziarskiego meklemburczyka. Był to koń d'Artagnana.

Dwaj muszkietarowie spotkali się przy bramie. Atos i d'Artagnan patrzyli na nich przez okno.

- Do licha - rzekł Aramis - masz wspaniałego konia, mój drogi Portosie.

- Tak - odparł Portos - to ten, którego mi miano przysłać od razu; na skutek złośliwego żartu męża dostałem innego, ale mąż został ukarany, a ja otrzymałem pełną satysfakcję.

Planchet i Grimaud zjawili się trzymając konie swych panów; d'Artagnan i Atos zeszli, wskoczyli na siodło i wszyscy czterej ruszyli: Atos na koniu, którego zawdzięczał swej żonie, Aramis na koniu, którego zawdzięczał swej kochance, Portos na koniu, którego zawdzięczał swej prokuratorowej, a

d'Artagnan na koniu, którego zawdzięczał swej szczęśliwej gwiazdzie, najlepszej z kochanek.

Służący jechali za nimi.

Jak przypuszczał Portos, kawalkada wywarła odpowiednie wrażenie i gdyby pani Coquenard znalazła się na drodze Portosa i mogła widzieć, jak wspaniałą miał minę na pięknym dzianecie hiszpańskim, nie żałowałaby spustoszeń poczynionych w mężowskiej szkatule.

Niedaleko od Luwru czterej przyjaciele spotkali pana de Treville, który wracał z Saint-Germain. Zatrzymał ich, by pochwalić za ekwipunek; w jednej chwili zgromadziło się dokoła kilkuset gapiów.

D'Artagnan skorzystał z okazji, by powiedzieć panu de Treville o liście opatrzonym wielką czerwoną pieczęcią i herbem książęcym; rzecz oczywista, że o drugim nie pisał słowa.

Pan de Treville poparł jego decyzję i zapewnił, że jeśli nie zjawi się nazajutrz, potrafi go znaleźć choćby pod ziemią.

W tej chwili zegar na Samaritaine wybił szóstą. Czterej przyjaciele, tłumacząc się spotkaniem, przeprosili pana de Treville i pożegnali go.

Puścili się galopem na drogę Chaillot; ściemniało się, mijały ich wciąż pojazdy. D'Artagnan z odległości kilku kroków, strzeżony przez przyjaciół, zatapiał spojrzenie we wnętrzach karoc, ale w żadnej z nich nie dostrzegł znajomej twarzy.

Wreszcie, po kwadransie oczekiwania, kiedy zmierzch całkiem już zapadł, od strony Sevres ukazała się kolaska pędząca galopem. Przeczucie powiedziało d'Artagnanowi, że w tej kolasce znajduje się osoba, która mu wyznaczyła spotkanie; młodzieniec sam się zdumiał, że serce bije mu tak gwałtownie. Niemal natychmiast głowa kobieca wychyliła się przez okno, dama trzymała

dwa palce przy ustach, jakby zalecając milczenie lub posyłając pocałunek. D'Artagnan krzyknął lekko z radości: ta kobieta lub raczej ta zjawa (kolaska przemknęła bowiem jak widmo) była panią Bonacieux.

Bezwiednym ruchem i mimo zaleceń d'Artagnan puścił konia galopem i w kilku susach był przy kolasce, ale okno było zamknięte: zjawa znikła.

D'Artagnan przypomniał sobie wówczas słowa: „Jeśli zależy Ci na własnym życiu i życiu tych, co Cię kochają, nie czyn najmniejszego gestu, jak gdybyś nic nie widział”.

Stał więc drżąc nie z lęku o siebie, ale o tę biedną kobietę, która na pewno wystawiała się na wielkie niebezpieczeństwo wyznaczając mu spotkanie.

Kolaska co koń wyskoczy pomknęła swoją drogą, wjechała w ulice Paryża i znikła.

D'Artagnan osłupiały pozostał nieruchomo na miejscu, nie wiedząc, co myśleć. Jeśli była to pani Bonacieux i jeśli wracała do Paryża, czemu ta przelotna schadzka, czemu to spojrzenie, czemu ten daleki pocałunek? A jeśli to nie ona, co też było możliwe, mógł się bowiem omylić w zmroku, czy nie był to początek intrygi wszczętej przeciwko niemu, pani Bonacieux zaś użyto jako przynęty, wiadano bowiem, że ją kocha?

Trzej towarzysze podjechali do niego. Wszyscy trzej widzieli głowę kobiecą w oknie, ale żaden z nich prócz Atosa nie znał pani Bonacieux. Atos myślał zresztą, że to była ona, ale mniej niż d'Artagnan zajęty tą ładną twarzą ujrzał drugą głowę, głowę mężczyzny w głębi kolaski.

- Jeśli to ona, przewożą ją na pewno z jednego więzienia do drugiego. Ale co chcą uczynić z tą biedną istotą, jak mam jej szukać?

- Przyjacielu - rzekł poważnie Atos - zapamiętaj, że tylko umarłych nie możemy spotkać na ziemi. Wiesz coś o tym, tak samo jak ja, prawda? A zatem, jeśli twoja kochanka żyje, jeśli ją widzieliśmy

przed chwilą, znajdziesz ją prędzej czy później. I mój Boże - dodał z właściwą sobie mizantropią - może wcześniej nawet, niżbyś tego pragnął.

Wybiło wpół do ósmej, kolaska spóźniła się na umówione spotkanie o dwadzieścia minut. Przyjaciele przypomnieli d'Artagnanowi, że czeka go wizyta, dając mu jednocześnie do zrozumienia, że czas się jeszcze cofnąć.

Ale d'Artagnan był uparty i ciekawy. Wbił sobie do głowy, że pójdzie do Pałacu Kardynalskiego i dowie się, co chce mu powiedzieć Jego Eminencja. Nic nie mogło zmienić jego postawienia.

Przybyli na ulicę Saint-Honoré i na placu przed pałacem znaleźli dwunastu wezwanych muszkieterów, którzy przechadzali się oczekując towarzyszy. Tu dopiero wyjaśniono im, o co chodzi.

D'Artagnan był dobrze znany wśród godnych muszkieterów królewskich i wiadano, że pewnego dnia znajdzie się w ich szeregach, zawczasu więc uważano go za towarzysza. Toteż każdy z ochotą zgodził się wykonać zadanie, do którego go wezwano; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa szło zresztą o spleatanie figla panu kardynałowi i jego ludziom, a do tego owi zacni wojacy zawsze byli gotowi.

Atos podzielił ich na trzy oddziały, objął komendę nad jednym z nich, drugi powierzył Aramisowi, trzeci Portosowi, po czym każdy oddziałek stanął na czatach przy jednej z trzech bram pałacu.

D'Artagnan wszedł dzielnie bramą główną.

Chociaż wiedział, że nie jest osamotniony, niepokój nie opuszczał go, gdy wchodził po paradnych schodach. W jego postępowaniu wobec Milady można by dopatrzeć się nieuczciwości, a nie wątpił, że między tą kobietą a kardynałem istniały związki natury politycznej. Co więcej, de Wardes, z którym obszedł się tak bezlitośnie, należał do zaufanych Jego Eminencji, d'Artagnan zaś wiedział, że jeśli Jego Eminencja był straszny dla wrogów, to wiele miał serca dla przyjaciół.

„Jeśli de Wardes opowiedział wszystko kardynałowi, w co nie należy wątpić, i jeśli mnie rozpoznał, co jest prawdopodobne, muszę się uważać za człowieka zgubionego - mówił sobie d'Artagnan potrząsając głową. - Ale dlaczego kardynał czekał aż do dzisiaj? To proste. Milady zniosła skargę na mnie przybierając tę cierpiętniczą minę, z którą tak jej jest do twarzy, i ta ostatnia zbrodnia dopełniła miary. Na szczęście - dodał - moi zacni przyjaciele są tutaj i nie pozwolą mi uprowadzić bez walki. Jednakże kompania muszkietierów pana de Treville nie może sama wydać wojny kardynałowi, który rządzi Francją i wobec którego królowa jest bezsilna, a król bezwolny. D'Artagnanie, mój przyjacielu, jesteś dzielny, masz wspaniałe zalety, ale kobiety cię zgubią!”

Snując te smutne rozważania wszedł do przedpokoju. Oddał list służbowemu oficerowi, który wprowadził go do poczekalni, sam zaś ruszył w głąb pałacu.

W sali znajdowało się kilku gwardzistów kardynała, którzy rozpoznali d'Artagnana, a wiedząc, że to on zranił Jussaca, spoglądali na niego z osobliwym uśmiechem.

Ten uśmiech wydał się d'Artagnanowi złą wróżbą; ponieważ jednak nasz Gaskończyk nie dawał się łatwo onieśmielić lub raczej, pyszny jak wszyscy ludzie z jego stron, niechętnie okazywał, co działo się w jego duszy, zwłaszcza jeśli uczucia jego przypominały strach, stanął dumnie przed panami gwardzistami i wsparł się ręką o biodro przybierając postawę nie pozbawioną dostojeństwa.

Oficer wrócił i dał znak d'Artagnanowi, by siedł za nim. Młodzieńcowi wydało się, że gwardziści widząc, jak się oddala, szepczą między sobą.

Szedł korytarzem, potem przez wielki salon, wreszcie znalazł się w bibliotece, naprzeciw mężczyzny, który pisał siedząc przy biurku.

Oficer wyszedł nie mówiąc słowa. D'Artagnan stał i przyglądał się piszącemu mężczyźnie.

D'Artagnanowi wydało się zrazu, że ma przed sobą jakiegoś sędziego, który przegląda papiery, ale zauważył, że mężczyzna przy biurku pisze lub raczej poprawia linię nierównej długości, rachując zgłoski na palcach: młodzieniec zrozumiał, że ma przed sobą poetę. Po chwili poeta zamknął manuskrypt, na którego okładce było napisane: Mirame, tragedia w pięciu aktach, i podniósł głowę.

D'Artagnan rozpoznał kardynała.

STRASZNE WIDMO

Kardynał oparł łokcie na rękopisie, policzek na rękę i patrzył przez chwilę na młodzieńca. Nikt nie miał oka tak przenikliwego jak kardynał de Richelieu, i d'Artagnan czuł, że to spojrzenie mrozi mu krew w żyłach.

Jednakże nie tracił kontenansu; trzymając kapelusz w rękę czekał bez zbytej dumy, ale też bez zbytej uniżoności, aż Jego Eminencja raczy przemówić.

- Mości panie - rzekł kardynał - czy jesteś z bearneńskich d'Artagnanów?

- Tak, Wasza Dostojność - odparł młodzieniec.

- Jest wiele gałęzi rodziny d'Artagnanów w Tarbes i okolicy - rzekł kardynał. - Do której należysz?

- Jestem synem tego d'Artagnana, który walczył w wojnach religijnych u boku ojca Jego Królewskiej Mości, wielkiego króla Henryka.

- Otóż to. To ty wyruszyłeś przed siedmiu czy ośmiu miesiącami ze swojej prowincji, by szukać fortuny w stolicy?

- Tak, Wasza Dostojność.

- Przyjechałeś przez Meung, gdzie ci się coś przydarzyło, nie wiem zbyt dobrze co, ale coś tam było.

- Wasza Dostojność - rzekł d'Artagnan - oto co mi się przydarzyło...

- Nie trzeba, nie trzeba - mówił dalej kardynał z uśmiechem, który wyjaśniał, że zna historię równie dobrze, jak ten, co chce ją opowiedzieć - miałeś rekomendację do pana de Treville, prawda?

- Tak, Wasza Dostojność; ale właśnie na skutek tego nieszczęsnego wypadku w Meung...

- List zaginął - podjął kardynał - tak, wiem o tym; ale pan de Tréville zna się na ludziach, poznaje ich od pierwszego wejrzenia, umieścił cię tedy w kompanii swego szwagra, pana des Essarts, pozostawiając ci nadzieję, że pewnego dnia znajdziesz się w szeregach muszkietierów.

- Wasza Dostojność wie doskonale o wszystkim - rzekł d'Artagnan.

- Od tego czasu zdarzyło ci się niejedno; przechadzałeś się za klasztorem kartuzów, a byłoby lepiej, gdybyś przechadzał się gdzie indziej, potem udałeś się ze swymi przyjaciółmi do wód w Forges; oni pozostali w drodze, ale ty pojechałeś dalej. Nic dziwnego, miałeś sprawy w Anglii.

- Wasza Dostojność - rzekł d'Artagnan osłupiały - wybrałem się...

- Na polowanie do Windsoru czy gdzie indziej, to nikogo nie obchodzi. Ja wiem o tym, ponieważ moim zadaniem jest wiedzieć wszystko. Po powrocie zostałeś przyjęty przez wielce dostojną osobę i widzę z przyjemnością, że zachowałeś pamiętkę, którą ci ofiarowała.

D'Artagnan dotknął ręką pierścienia królowej i odwrócił szybko kamień; ale było za późno.

- Nazajutrz był u ciebie pan de Cavois - ciągnął kardynał - prosił cię, byś przyszedł do pałacu; nie oddałeś mu wizyty i popełniłeś błąd.

- Obawiam się, że naraziłem się na niełaskę Waszej Eminencji.

- A to dlaczego, mój panie? Dlatego że wykonałeś rozkazy swoich przełożonych z większą bystrością i odwagą niż ktokolwiek inny, miałbyś popaść w niełaskę, skoro zasługujesz na pochwały? Karzę ludzi, którzy nie są posłuszni, nie zaś takich, co wykonują rozkazy... aż nazbyt dobrze. Na dowód przypomnij sobie, kiedy to kazałem ci powiedzieć, żebyś przyszedł do mnie, i poszukaj w swej pamięci, co się stało tego samego wieczora.

Tego właśnie wieczora porwano panią Bonacieux. D'Artagnan zadrżał; przypomniał sobie, że przed półgodziną biedna kobieta przejeżdżała obok niego, znów we władzy tej samej potęgi, która spowodowała jej zniknięcie.

- Wreszcie - ciągnął kardynał - ponieważ nie słyszałem o tobie od pewnego czasu, chciałem się dowiedzieć, co się z tobą dzieje. Winien mi jesteś zresztą wdzięczność: zauważyłeś sam, jak bardzo byłeś oszczędzany we wszystkich okazjach.

D'Artagnan skłonił się z szacunkiem.

- Powodem było nie tylko dość naturalne poczucie sprawiedliwości, ale i plany, które powziąłem względem ciebie.

D'Artagnan był coraz bardziej zdumiony.

- Chciałem ci wyłożyć ten plan w dniu, kiedy otrzymałeś moje pierwsze zaproszenie; ale nie stawiałeś się. Na szczęście nic jeszcze straconego i dziś ów plan poznasz. Siadaj tu, naprzeciw mnie, mości d'Artagnanie; jesteś dość dobrym szlachcicem, byś nie musiał stać w mojej obecności.

I kardynał wskazał palcem krzesło młodemu człowiekowi, który był tak zdziwiony wszystkim, co się działo, że usiadł dopiero na drugie skinienie swego rozmówcy.

- Jesteś dzielny, mości d'Artagnanie - ciągnął kardynał - jesteś przezorny, co warte jest jeszcze

więcej. Lubię ludzi z głową i z sercem. Nie przerażaj się, przez ludzi z sercem rozumiem ludzi odważnych, ale choć jesteś taki młody i dopiero wszedłeś w świat, masz potężnych nieprzyjaciół: jeśli nie będziesz się miał na baczności, zgubią cię.

- Niestety, Wasza Dostojność - odparł młody człowiek - i z wielką łatwością zapewne; są bowiem potężni i mają oparcie, podczas gdy ja jestem sam!

- Tak, to prawda; ale choć jesteś sam, uczyniłeś już wiele i uczynisz jeszcze więcej, jestem tego pewien. Jednakże trzeba, by ktoś tobą kierował w pełnym przygód życiu, jakie sobie obrałeś, jeśli się bowiem nie mylę, przybyłeś do Paryża z ambitną myślą zrobienia kariery.

- Jestem w wieku szalonych nadziei, Wasza Dostojność - rzekł d'Artagnan.

- Szalone nadzieje są dla głupców, mości panie, a ty jesteś człowiekiem z głową. Nuże, co powiesz o szarży chorążego w mojej gwardii i kompanii po wojnie?

- Ach, Wasza Dostojność!

- Przyjmujesz oczywiście?

- Wasza Dostojność - zaczął d'Artagnan z zakłopotaną miną.

- Jak to, odmawiasz? - zawołał kardynał ze zdumieniem.

- Jestem w gwardii Jego Królewskiej Mości i nie mam powodów do niezadowolenia, Wasza Dostojność.

- Ale zdaje mi się - rzekł kardynał - że moi gwardziści są również gwardzistami Jego Królewskiej Mości i że służąc we francuskiej jednostce służy się królowi.

- Wasza Eminencja źle zrozumiał moje słowa.

- Chciałbyś pozoru, prawda? Rozumiem. Ale i owszem, masz pozór. Awans, początek kampanii, okazja, jaką ci daję - oto pozory dla ludzi; tobie samemu zaś trzeba niezawodnej opieki, dobrze bowiem, byś wiedział, mości d'Artagnanie, że doszły mnie nie byle jakie skargi na ciebie, nie poświęcasz swych dni i nocy wyłącznie służbie dla króla.

D'Artagnan zarumienił się.

- Zresztą - ciągnął kardynał kładąc rękę na stosie papierów - mam tu wszystkie akta dotyczące ciebie; ale przed lekturą chciałem porozmawiać z tobą. Wiem, żeś człowiek rezolutny, i gdybyś w dobrym kierunku skierował swoje usługi, mogłyby ci przynieść wiele korzyści, zamiast przynosić ci zło.

Zastanów się zatem i zdecyduj.

- Dobroć Waszej Dostojności wprawia mnie w pomieszanie - odparł d'Artagnan - wielkoduszność Waszej Eminencji czyni mnie małym jak robak; ale skoro Wasza Dostojność pozwala mi mówić szczerze...

D'Artagnan urwał.

- Tak, mów.

- Dobrze więc, powiem Waszej Eminencji, że wszyscy moi przyjaciele są w muszkietkach i w gwardii królewskiej, a moi wrogowie, na skutek niepojętej fatalności losu, w gwardii kardynalskiej; jedni i drudzy patrzyliby na mnie krzywo, gdybym przystał na propozycję Waszej Eminencji.

- Czyżbyś był już tak pyszny, by mniemać, że ofiarowuję ci mniej, niż jesteś wart, mój panie? - rzekł kardynał z pogardliwym uśmiechem.

- Wasza Dostojność jest po stokroć za dobry dla mnie i, przeciwnie, myślę, że działałem jeszcze zbyt mało, by stać się godnym jego łask. Rozpocznie się oblężenie La Rochelle; będę walczył pod okiem Waszej Eminencji i jeśli będę miał szczęście zachować się tak, że zasłużę na jego uwagę, moje czyny

usprawiedliwią dobroć, którą Wasza Eminencja raczy mnie zaszczycać. Na wszystko musi przyjść czas, Wasza Dostojność; być może później będę miał prawo ofiarować swe usługi Waszej Dostojności, podczas gdy dziś będzie to wyglądało na sprzedaż.

- To znaczy, że odmawiasz służby u mnie, mości panie - rzekł kardynał z przykrością, w głosie jego pobrzmiwał wszakże ton szacunku - pozostań więc wolny i zachowaj swoje nienawiści i sympatie.

- Wasza Dostojność...

- Dobrze, dobrze - rzekł kardynał - nie mam ci tego za złe; ale rozumiesz, dość ma się kłopotu z broniem i wynagradzaniem przyjaciół, nic zaś nie jest się winnym wrogom. Dam ci jednak radę; miej się na baczności, mości d'Artagnanie, ponieważ z chwilą gdy wypuszczę cię spod mojej opieki, nie dałbym za twoje życie złamanego grosza.

- Będę się starał, Wasza Dostojność - odparł Gaskończyk z szlachetną pewnością siebie.

- Później, jeśli ci się zdarzy jakie nieszczęście - rzekł Richelieu z naciskiem - pamiętaj, że to ja ciebie szukałem i uczyniłem wszystko, co mogłem, by do tego nieszczęścia nie doszło.

- Cokolwiek się stanie - powiedział d'Artagnan kładąc rękę na piersi i kłaniając się - będę wiecznie żywił wdzięczność dla Waszej Eminencji za to, coś uczynił dla mnie w tej chwili.

- Dobrze więc, mości d'Artagnanie, spotkamy się po kampanii, jak to sam powiedziałeś. Będę cię miał na oku, bo i ja tam będę - rzekł kardynał, wskazując d'Artagnanowi palcem wspaniałą zbroję, którą miał włożyć - a po naszym powrocie, cóż, zobaczymy!

- Ach, Wasza Dostojność - zawołał d'Artagnan - zechciej mi oszczędzić ciężaru swej niełaski; pozostań obojętny, jeśli sądzisz, że postępuję jak uczciwy człowiek.

- Młodzieńcze - rzekł Richelieu - jeśli będę mógł jeszcze raz ci powiedzieć, co powiedziałem dzisiaj, uczynię to.

Ostatnie słowa kardynała wyrażały wielkie powątpiewanie; zbiły one d'Artagnana bardziej z tropu niż groźba, było to bowiem ostrzeżenie. Kardynał chciał go więc uprzedzić, że jakieś nieszczęście mu grozi. Otworzył już usta, by odpowiedzieć, ale kardynał pożegnał go wyniosłym gestem.

D'Artagnan wyszedł, ale przy drzwiach opuściła go odwaga i niewiele brakowało, a byłby wrócił. Ujrzał jednak w wyobraźni poważną i surową twarz Atosa: gdyby zawarł pakt z kardynałem, Atos nie podałyby mu ręki, Atos wyparłby się go.

Ta obawa powstrzymała go, tak bowiem potężny jest wpływ prawdziwie wielkiego charakteru na otoczenie.

D'Artagnan zszedł tymi samymi schodami i zastał przy bramie Atosa oraz czterech muszkieterów; czekali jego powrotu i już zaczęli się niepokoić.

D'Artagnan rozproszył ich obawy jednym słowem, a Planchet pobiegł uprzedzić inne posterunki, że nie ma po co pozostawać dłużej, skoro jego pan zdrowy i cały wyszedł z pałacu kardynała.

Kiedy wrócili do Atosa, Aramis i Portos zapytali d'Artagnana o przyczynę tej szczególnej rozmowy. Ale d'Artagnan powiedział tylko, że pan de Richelieu wezwał go, by ofiarować mu stopień chorążego w swej gwardii, i że on odmówił.

- I postąpiłeś słusznie - zawołał jednocześnie Portos i Aramis.

Atos zamyślił się głęboko i nic nie powiedział. Ale kiedy już byli sami, rzekł:

- Zrobiłeś, co powinieneś być zrobić, d'Artagnanie, ale być może popełniłeś błąd.

D'Artagnan westchnął; ten głos bowiem był odpowiedzią na tajemny głos jego duszy, który mówił, że czekają go wielkie nieszczęścia.

Dzień następny minął na przygotowaniach do podróży. D'Artagnan poszedł pożegnać pana de Treville. Przypuszczano, że gwardziści i muszkieterowie rozstają się na krótko, król bowiem był tego

dnia w parlamencie i miał ruszyć nazajutrz. Pan de Treville zapytał więc d'Artagnana, czy czegoś nie potrzebuje, ale d'Artagnan odparł dumnie, że mu na niczym nie zbywa.

Wieczorem zaprzyjaźnieni wojacy z kompanii pana des Essarts i z kompanii pana de Treville zeszli się razem. Rozstawano się, by spotkać się Bóg wie kiedy i Bóg wie w jakich okolicznościach. Noc upłynęła bardzo wesoło, wiadomo bowiem, że w takich razach lekarstwem na największą troskę jest tylko zupełna bez troska.

Nazajutrz przyjaciele rozstali się przy pierwszych dźwiękach trąbki: muszkietierowie pośpieszyli do pałacu pana de Treville, gwardziści do pałacu pana des Essarts. Dowódcy poprowadzili swoje kompanie do Luwru, gdzie król odbierał defiladę.

Monarcha był smutny i wyglądał na chorego, jakoż i minę miał mniej wyniosłą niż zwykle. Poprzedniego dnia gorączka chwyciła go w parlamencie, właśnie wówczas, gdy odprawiały się królewskie sądy. Postanowił jednak wyruszyć wieczorem. Mimo uwag, które mu robiono, chciał odebrać defiladę, mając nadzieję, że w ten sposób zwalczy chorobę.

Po defiladzie gwardziści ruszyli w drogę; muszkietierowie mieli wyruszyć dopiero z królem, co pozwoliło Portosowi zaprezentować się w całym blasku na ulicy aux Ours.

Prokuratorowa ujrzała go, gdy przejeżdżał w swym nowym mundurze na pięknym koniu. Zbyt kochała Portosa, by pozwolić mu odjechać bez pożegnania; dała mu znak, by zsiadł z konia i podszedł do niej. Portos wyglądał wspaniale, ostrogi pobrzękiwały, zbroja błyszczała, szpada chwacko uderzała o nogi. Tym razem pisarczyki nie miały najmniejszej ochoty do śmiechu. Portos wyglądał bowiem na tęgiego rębajłę.

Muszkietier został wprowadzony do pana Coquenard, którego małe szare oczka zabłysły gniewem na widok krewniaka w nowiuteńkich strojach. Jednakże pocieszał się w duchu, mówiono bowiem powszechnie, iż kampania nie będzie łatwa: w głębi serca pieścił nadzieję, że Portos zostanie zabity.

Portos złożył wyrazy uszanowania panu Coquenard, za czym pożegnał go, a pan Coquenard życzył mu wszystkiego najlepszego. Pani Coquenard nie mogła powstrzymać łez; ale jej cierpienie nie budziło podejrzeń, wiedziano bowiem, że jest bardzo przywiązana do swych krewnych, o których musiała staczać okrutne boje z mężem.

Ale prawdziwe pożegnanie nastąpiło dopiero w pokoju pani Coquenard i było rozczulające.

Jak długo prokuratorowa mogła śledzić wzrokiem kochankę, kiwała chusteczką wychyloną z okna tak bardzo, że omal z niego nie wypadła. Portos przyjmował dowody afektu z miną człowieka, któremu to nie pierwszyna.

Dopiero gdy skręcał na rogu ulicy, uniósł kapelusz i skinął ręką na znak pożegnania.

Tymczasem Aramis pisał długi list. Do kogo? Nikt nie wiedział. W sąsiednim pokoju czekała Ketty, która tego samego dnia miała wyjechać do Tours. Atos popijał małymi łykami ostatnią butelkę hiszpańskiego wina.

W tym samym czasie d'Artagnan defilował ze swoją kompanią. Gdy przybyli na przedmieście Saint-Antoine, odwrócił się, by rzucić wesołe spojrzenie na Bastylię, ponieważ jednak patrzył tylko na Bastylię, nie zauważył Milady, która siedząc na bułanku pokazywała go palcem dwóm mężczyznom o wielce niemiłej powierzchowności. Ci natychmiast zbliżyli się do szeregów, by mu się przyjrzeć; na ich pytające spojrzenie Milady odpowiedziała znakiem, że to właśnie ten. Po czym spokojna, że jej rozkazy zostaną wykonane, spięła konia ostrogami i znikła.

Dwaj mężczyźni ruszyli za kompanią. Na skraju przedmieścia Saint-Antoine dosiedli koni, które czekający na nich dwaj służący bez liberii trzymali w pogotowiu.

XI.

OBLĘŻENIE LA ROCHELLE

Oblężenie La Rochelle, wielkie wydarzenie polityczne w okresie panowania Ludwika XIII, było jednym ze sławnych wojennych czynów kardynała. Jest tedy rzeczą ciekawą, a nawet konieczną, abyśmy powiedzieli o nim kilka słów; zbyt wiele zresztą szczegółów tego oblężenia łączy się w sposób zbyt istotny z historią, którą postanowiliśmy opowiedzieć, byśmy mogli pominąć je milczeniem.

Względy polityczne, jakie miał na oku kardynał, kiedy zamyślił to oblężenie, są godne uwagi. Wyłożmy je najpierw, po czym przejdziemy do względów osobistych, które być może, nie mniejszy miały wpływ na Jego Eminencję.

Ze znaczniejszych miast, nadanych przez Henryka IV we władanie hugenotom, została tylko La Rochelle. Chodziło teraz o to, by zburzyć ten ostatni bastion kalwinizmu, zagasić groźne zarzewie, od którego zawsze mógł buchnąć płomień rebelii lub wojny.

Hiszpanie, Anglicy, niespokojni Włosi, awanturnicy wszystkich narodowości, najemni żołnierze różnego autoramentu przybiegali na pierwsze wezwanie pod szlandary protestantów, stanowiąc potęgę groźną dla całej Europy.

La Rochelle, której znaczenie wzrosło po upadku innych miast kalwińskich, była tedy schronieniem waśni i ambicji. Co więcej, port La Rochelle był ostatnim portem w królestwie francuskim otwartym dla Anglii, zamykając go dla Anglii, naszej odwiecznej nieprzyjaciółki, kardynał kończył dzieło Joanny d'Arc i księcia de Guise.

Toteż Bassompierre, który był zarazem protestantem i katolikiem, protestantem z przekonania i

katolikiem jako kawaler orderu Św. Ducha, Bassompierre, Niemiec z urodzenia, a sercem Francuz, Bassompierre wreszcie, jeden z wodzów podczas oblężenia La Rochelle, mawiał idąc do ataku na czele szlachty jak i on protestanckiej:

- Zobaczycie, panowie, że będziemy dość głupi, by wziąć La Rochelle!

Bassompierre miał rację: kanonada na wyspie Re przepowiadała prześladowania religijne w Cevennes; wzięcie La Rochelle było wstępem do Edyktu Nantejskiego,

Ale jak to powiedzieliśmy, kronikarz zajmując się wojenną działalnością ministra, która należy do historii, nie może pominąć milczeniem posunięć zakochanego mężczyzny i zazdrosnego rywala.

Richelieu, jak wiadomo, był zakochany w królowej, nie wiemy, czy ta miłość miała dla niego tylko cel polityczny, czy też była to po prostu jedna z tych głębokich namiętności, jakie Anna Austriaczka budziła w otaczających ją ludziach; w każdym razie dowiedzieliśmy się już w toku naszej opowieści, że Buckingham odniósł nad nim zwycięstwo, a w paru sytuacjach, zwłaszcza w historii z diamentowymi spinkami, wywiódł go okrutnie w pole dzięki poświęceniu trzech muszkieterów i odwadze d'Artagnana.

Kardynałowi chodziło więc nie tylko o uwolnienie Francji od nieprzyjaciela, ale i o zemstę nad rywalem; ta zemsta musiała być potężna i wspaniała, godna człowieka, który dzierżył w ręku, jak szpadę, wszystkie siły królestwa.

Richelieu wiedział, że walcząc z Anglią walczy z Buckinghamem, że odnosząc zwycięstwo nad Anglią odnosi zwycięstwo nad Buckinghamem, że upokarzając Anglię w oczach Europy upokarza Buckinghamą w oczach królowej.

Buckingham ze swej strony, choć na pierwsze miejsce wysuwał honor Anglii, rządził się względami jota w jotę podobnymi do tych, które kierowały kardynałem; Buckingham również pragnął zemsty: pod żadnym pozorem nie mógł wrócić do Francji jako poseł; mógł tam wrócić jedynie jako zwycięzca.

Stąd widać, że stawką w grze, którą dwa najpotężniejsze królestwa prowadziły dla przyjemności dwóch zakochanych mężczyzn, było spojrzenie Anny Austriaczki.

Pierwszą przewagę zdobył książę Buckingham: przybył nieoczekiwanie na wyspę Re z dziewięćdziesięciu okrętami i dwudziestu tysiącami żołnierza, zaskoczył hrabiego de Toirac, który z ramienia króla rządził wyspą, i po krwawej bitwie wysadził na brzeg swych ludzi.

Powiedzmy mimochodem, że w tej bitwie zginął baron de Chantal, który osierocił osiemnastomiesięczną dziewczynkę.

Ta dziewczynka to późniejsza pani de Sevigne.

Hrabia de Toirac wycofał się wraz z garnizonem do cytadeli Świętego Marcina i pchnął setkę ludzi do małego fortu, który nazywano fortem La Pree.

To wydarzenie przyspieszyło decyzję kardynała: czekając, aż wraz z królem będzie mógł objąć dowództwo w oblężeniu La Rochelle, wysłał brata królewskiego, by kierował pierwszymi operacjami i rzucił na teatr wojenny wszystkie oddziały, jakimi mógł rozporządzać.

W jednym z tych oddziałów, idących w awangardzie, znajdował się nasz przyjaciel d'Artagnan.

Król, jak powiedzieliśmy, miał wyruszyć natychmiast po odprawieniu sądów, ale zaraz potem, 23 czerwca, chwyciła go gorączka; mimo to chciał jechać, czuł się jednak tak źle, że musiał zatrzymać się w Villeroi.

Gdzie zatrzymywał się król, tam zatrzymywali się i muszkietierowie; d'Artagnan, który służył tylko w gwardii, był więc pozbawiony, przynajmniej narazić, towarzystwa swych zacnych przyjaciół, Atosa, Portosa i Aramisa. Ta przykra rozłąka zaniepokoiłaby młodzieńca poważnie, gdyby wiedział, jak wielkie zagrażają mu niebezpieczeństwa.

Przybył wszakże do obozu rozciągającego się przed La Rochelle około 10 września 1627 roku.

Sytuacja wciąż była ta sama; księżę Buckingham i jego Anglicy, zawładnąwszy wyspą Re, nadal oblegali bez rezultatów cytadelę Świętego Marcina i fort La Pree; od paru dni rozpoczęto działania przeciw La Rochelle, albowiem księżę d'Angouleme kazał zbudować fort tuż pod miastem.

Gwardziści pod dowództwem pana des Essarts rozlokowali się w Minimes.

Wiemy jednak, że d'Artagnan, który marzył tylko o tym, by przejść do muszkietarów, nie przyjaźnił się zbyt z kolegami; był więc samotny i zdany na rozmyślania.

Te rozmyślania nie były wesołe: był w Paryżu dwa lata, wpadł w wir spraw publicznych, a co do spraw prywatnych, to nie sprzyjało mu ani szczęście w miłości, ani nie uśmiechnęła się doń fortuna.

Jedyną kobietą, którą kochał, była pani Bonacieux, pani Bonacieux znikła i nie mógł nawet dowiedzieć się, co się z nią stało. Jeśli zaś mowa o karierze, on, mizerak, zdobył sobie wroga w kardynale, to znaczy w człowieku, przed którym drżeli najpotężniejsi w królestwie, a król pierwszy.

Ten człowiek mógł go zgnieść, a jednak tego nie uczynił. D'Artagnan miał umysł przewidujący, uważał więc pobłażliwość kardynała za dobry znak i widział przyszłość w jaśniejszych kolorach.

Co więcej, zdobył sobie jeszcze jednego wroga, mniej niebezpiecznego co prawda, ale czuł instynktem, że nie był to wróg, którego można sobie lekceważyć: myślał o Milady.

W zamian za to miał opiekę i przychylność królowej, ale przychylność królowej była wówczas jeszcze jednym powodem do prześladowań, a jej opieka niezbyt chroniła, jak widać z przykładu pana Chalais i pani Bonacieux.

Jak dotychczas zdobył jedynie diament wartości pięciu - sześciu tysięcy liwrów, który nosił na palcu; ale jeśli ambitny młodzieniec zechce zachować pierścień jako dowód wdzięczności królowej, ów

diament znaczy dla niego tyle samo co kamienie, które depte nogami, skoro nie może go sprzedać. Powiadamy: kamienie, które depte nogami, ponieważ d'Artagnan snuł te rozważania przechadzając się samotnie po ślicznej dróżce wiodącej z obozu do wsi Angoutin. Zaprowadziły go one dalej, niż przypuszczał; zaczęło już zmierzchać, kiedy w ostatnim promieniu zachodzącego słońca ujrzał lufę muszkietu połyskującą zza płota.

D'Artagnan miał bystre oko i przytomny umysł, zrozumiał, że muszkiet nie zjawił się tu sam, a jego właściciel nie ukrył się za płotem w przyjaznych zamiarach. Postanowił już zmykać, kiedy z drugiej strony drogi, za skałą, ujrzał lufę drugiego muszkietu.

Była to niewątpliwie zasadzka.

D'Artagnan rzucił okiem na pierwszy muszkiet i ujrzał z pewnym niepokojem, że zniża się w jego kierunku; ale zaledwie otwór lufy znieruchomiał, rzucił się na ziemię. Natychmiast nastąpił strzał i młodzieniec usłyszał gwizd kuli przelatującej nad głową.

Nie było czasu do stracenia, d'Artagnan skoczył na równe nogi; jednocześnie kula z drugiego muszkietu wzbiła w górę kamyki w tym samym miejscu, gdzie rzucił się na ziemię.

D'Artagnan nie należał do tych chwatów, co skorzy są umrzeć głupio i bez potrzeby, byle nie powiedziano, że cofnęli się o krok; zresztą nie szło tu już o odwagę, wpadł przecie w zasadzkę.

„Jeśli nastąpi trzeci strzał - powiedział sobie - jestem zgubiony”.

Natychmiast wziął nogi za pas i pomknął w stronę obozu z szybkością, która wsławiła ludzi z jego stron, znanych z chyżości; ale choć pędził co tchu ten, który strzelał pierwszy, miał dość czasu, by ponownie nabić broń, i posłał d'Artagnanowi strzał tak celny, że kula strąciła mu z głowy kapelusz i odrzuciła na odległość dziesięciu kroków.

Ponieważ d'Artagnan nie miał innego kapelusza, podniósł swój w biegu, bardzo zadyszany i bardzo blady wpadł do kwatery, usiadł nie mówiąc nic nikomu, i zamyślił się.

To zdarzenie mogło mieć trzy przyczyny:

Pierwsza, najbardziej naturalna: mogła to być zasadzka roszelczyków, którzy chętnie uśmierciliby

gwardzistę Jego Królewskiej Mości nasamprzód dlatego, że byłoby o jednego nieprzyjaciela mniej, a po wtóre dlatego, że ten nieprzyjaciel mógł mieć dobrze nabitą sakiewkę w kieszeni.

D'Artagnan wziął kapelusz, przyjrzał się dziurze pozostawionej przez kulę i pokiwał głową. Nie była to kula z muszkietu, ale kula z rusznicy; celność strzału naprowadziła go już na myśl, że strzelano z doskonałej broni; więc to nie zasadzka wojskowa, skoro użyto kuł innego kalibru.

Mogła to być również czuła pamiątka od pana kardynała. Pamiętamy, że w chwili kiedy d'Artagnan zobaczył lufę rusznicy, szczęściem dla niego połyskującą w ostatnim promieniu słońca, zdumiewał się pobłażliwością, z jaką traktuje go Jego Eminencja.

Ale d'Artagnan potrząsnął głową. Jeśli idzie o ludzi, po których wystarczyłoby tylko sięgnąć ręką, Jego Eminencja rzadko ucieka się do podobnych środków.

Mogła to być zemsta Milady.

To wydawało się najbardziej prawdopodobne.

Na próżno usiłował sobie przypomnieć rysy lub strój opryszków; oddalił się od nich tak szybko, że nie zdołał nic zauważyć.

- Ach, moi biedni przyjaciele - szepnął d'Artagnan - gdzie jesteście? Jakże mi was brak!

D'Artagnan spędził źle noc. Kilka razy budził się i zrywał na równe nogi, wyobrażając sobie, że do jego łóżka zbliża się ktoś, by go zasztyletować. Ale noc minęła spokojnie.

D'Artagnan żywił jednak poważne obawy, że co się odwlecze, to nie uciecze.

Przez cały dzień pozostał w kwaterze, sam przed sobą tłumacząc się niepogodą.

Nazajutrz o dziewiątej rano rozległo się bicie w bęben. Księżę Orleański sprawdzał posterunki. Gwardziści pobiegli po broń i d'Artagnan zajął swe miejsce pośród towarzyszy.

Brat królewski przejechał przed frontem, za czym wszyscy wyżsi oficerowie otoczyli księcia, by złożyć mu wyrazy szacunku, pan des Essarts, kapitan gwardzistów, razem z innymi.

Po chwili d'Artagnanowi wydało się, że pan des Essarts daje mu znak, by się zbliżył; oczekiwał nowego gestu przełożonego, przypuszczając, że się myli; ale kiedy pan des Essarts skinął po raz wtóry, wystąpił z szeregu.

- Księżę Orleański szuka ochotników do wykonania misji niebezpiecznej, ale mogącej okryć chwałą tych, co ją wypełnią; dałem ci znak, byś był gotów.

- Dziękuję, kapitanie - odparł d'Artagnan, który marzył tylko o tym, by się odznaczyć na oczach naczelnego dowódcy.

W nocy roszelczycy zrobili wycieczkę i odebrali z powrotem bastion, który armia królewska zdobyła przed dwoma dniami; trzeba było wysłać ludzi na rekonesans i dowiedzieć się, czy ów bastion jest broniony.

Po kilku chwilach brat królewski podniósł głos i powiedział:

- Do tego zadania trzeba mi trzech albo czterech ochotników pod wodzą pewnego człowieka.

- Człowieka pewnego mam pod ręką, książę - rzekł pan des Essarts wskazując na d'Artagnana - co zaś do kilku ochotników, Wasza Wysokość zechce tylko wyjawić swoje plany, a ludzi nie zabraknie.

- Czterech ochotników, którzy pójdą na śmierć wraz ze mną! – zawołał d'Artagnan wznosząc szpadę.

Dwaj jego towarzysze z gwardii skoczyli natychmiast, dwaj żołnierze dołączyli się do nich, tak że liczba była wystarczająca; d'Artagnan odprawił wszystkich innych nie chcąc krzywdzić tych, którzy zgłosili się pierwsi.

Nie było wiadomo, czy po wzięciu bastionu roszelczycy opuścili go, czy pozostawili w nim swój garnizon; należało więc podejść dość blisko, by zbadać sytuację.

D'Artagnan z czterema towarzyszami ruszył okopem; dwaj gwardziści szli obok niego, żołnierze z tyłu.

Tak osłonięci zbliżyli się na odległość stu kroków od bastionu. Tu d'Artagnan odwrócił się i zauważył, że dwaj żołnierze znikli.

Przypuszczał, że zostali z tyłu, bo strach ich obleciał, i szedł dalej.

Minęli przeciwskarpę i znaleźli się w odległości sześćdziesięciu kroków od bastionu. Nie widać było nikogo, bastion wyglądał na opuszczony.

Trzech śmiałków naradzało się, czy mają iść dalej, gdy nagle pas dymu otoczył kamiennego olbrzyma i tuzin kul zagwizdało wokół d'Artagnana i jego dwóch towarzyszy.

Wiedzieli to, co chcieli wiedzieć: w bastionie była załoga. Pozostać dłużej w tym niebezpiecznym miejscu byłoby zbyt dużą nieostrożnością, d'Artagnan i dwaj gwardziści zawrócili więc i zaczęli się cofać, a raczej uciekać. Znalazłszy się na rogu okopu, który miał im służyć za osłonę, jeden z gwardzistów padł; kula przeszła mu pierś. Drugi, zdrowy i cały, szedł dalej w kierunku obozu.

D'Artagnan nie chciał porzucić ранnego towarzysza, pochylił się więc nad nim, by go podnieść i pomóc mu w odwrocie; ale w tej samej chwili rozległy się dwa wystrzały: pierwsza kula strzaskała głowę ранnego gwardzisty, druga chybiła d'Artagnana o dwa cale i wryła się w skałę.

Młodzieniec odwrócił się żywo; nie był to atak z bastionu zasłoniętego rogiem okopu. Przyszli mu na myśl dwaj żołnierze, którzy uciekli, i przypomniał sobie onegdajszych opryszków; tym razem postanowił dowiedzieć się, co to wszystko znaczy, i padł na ciało towarzysza jak martwy.

Niebawem dwie głowy wychyliły się z opuszczonego obwarowania znajdującego się w odległości trzydziestu kroków; były to głowy naszych dwóch żołnierzy. D'Artagnan nie mylił się: ci dwaj ludzie poszli za nim, by go zabić, mając nadzieję, że śmierć młodzieńca zostanie policzona na rachunek nieprzyjaciela.

Wszelako, ponieważ mógł być tylko ranny i zdradzić ich zbrodnię, podeszli bliżej, aby mu zadać cios ostatni; zbici z tropu podstępem d'Artagnana, nie pomyśleli na szczęście o naładowaniu broni.

Kiedy byli w odległości dziesięciu kroków, d'Artagnan, który padając pomyślał o tym, by nie wypuścić z ręki szpady, zerwał się nagle i jednym skokiem znalazł się przy nich.

Opryszkowie zrozumieli, że jeśli będą uciekać w stronę obozu, d'Artagnan niechybnie ich wyda; toteż pierwszą ich myślą było przejść do nieprzyjaciela. Jeden z nich chwycił swoją rusznicę za lufę, jakby to była maczuga, i zamierzył się straszliwie na d'Artagnana, ale ten uniknął ciosu uskoczywszy w bok; w ten sposób jednak pozostawił wolną drogę bandycie, który rzucił się natychmiast w stronę bastionu. Ponieważ roszelczycy nie wiedzieli, w jakich zamiarach ów człowiek do nich przychodzi, dali ognia; opryszek upadł ugodzony kulą, która strzaskała mu ramię.

Tymczasem d'Artagnan rzucił się na drugiego żołnierza, atakując go szpadą; walka nie trwała długo, nędznik miał do obrony jedynie nie nabitą rusznicę. Szpada gwardzisty prześliznęła się obok lufy bezużytecznej broni i przebiła łydkę bandyty; upadł. D'Artagnan nie czekając przyłożył mu ostrze szpady do gardła.

- Och, nie zabijaj mnie, panie - zawołał bandyta. - Łaski, łaski, mój oficerze, powiem ci wszystko!

- Czy twój sekret wart jest tego, bym ci darował życie? - zapytał młodzieniec cofając szpadę.

- Tak, jeśli pan jest zdania, że warto żyć, kiedy się ma dwadzieścia dwa lata, jak pan, i można osiągnąć wszystko, będąc pięknym i dzielnym, jak pan jesteś.

- Nędzniku! - rzekł d'Artagnan - nuże, mów szybko, kto kazał ci mnie zamordować.

- Kobieta, której nie znam; nazywają ją Milady.

- Skoro jednak nie znasz tej kobiety, skąd wiesz, jak ją nazywają?

- Mój towarzysz ją zna i tak się do niej zwracał, z nim rozmawiała, a nie ze mną; ma nawet w kieszeni list tej osoby, jak powiadał, bardzo ważny dla pana.

- Ale jakim sposobem zostałeś jego współnikiem?

- Zaproponował mi spółkę i ja się zgodziłem.

- Ile wam dała za tę piękną wyprawę?

- Sto luidorów.

- Wybornie - rzekł młodzieniec ze śmiechem - widać uważa, że jestem coś wart; sto luidorów! To fortuna dla takich dwóch nędzników jak wy; rozumiem, że się zgodziłeś, i daruję ci życie, ale pod jednym warunkiem.

- Jaki to warunek? - zapytał żołnierz z niepokojem, widząc, że jeszcze nie wszystko skończone.

- Przyniesiesz mi list, który twój kolega ma w kieszeni.

- Ależ to tylko inny rodzaj śmierci - zawołał bandyta - pan chce, żebym przyniósł ten list pod kulami z bastionu?

- Decyduj się i ruszaj, w przeciwnym razie przysięgam ci, że zginiesz z mojej ręki.

- Łaski, panie, litości! W imię owej młodej damy, którą kochasz i uważasz zapewne za umarłą, gdy ona żyje! - zawołał bandyta padając na kolana i opierając się na ręce, tracił bowiem siły, w miarę jak uciekała zeń krew.

- A skąd wiesz, że jest jakaś młoda dama, którą kocham, i że uważam ją za umarłą? - zapytał d'Artagnan.

- Z listu, który mój kolega ma w kieszeni.

- Sam widzisz, że muszę mieć ten list - rzekł d'Artagnan - zatem ani chwili zwłoki, żadnych wahań i choć ogarnia mnie wielkie obrzydzenie, kiedy pomyślę, że miałbym po raz wtóry zanurzyć szpadę we krwi takiego hultaja jak ty, przysięgam ci na honor uczciwego człowieka...

Przy tych słowach d'Artagnan uczynił gest tak groźny, że ranny wstał.

- Nie, nie - zawołał nabierając odwagi, którą natchnął go strach-ideę... ideę!... D'Artagnan wziął rusznicę żołnierza, kazał mu iść przodem i popychał go ku drugiemu bandycie, kłując w krzyż ostrzem szpady.

Okropny był widok tego nieszczęśnika: błąd na myśl o czekającej go śmierci, próbował dowlec się niepostrzeżenie do ciała współnika, który leżał w odległości dwudziestu kroków od niego; smuga krwi znaczyła jego drogę. Tak wielkie przerażenie malowało się na twarzy opryszka pokrytej zimnym potem, że d'Artagnan poczuł litość; rzekł tedy z pogardą:

- Dobrze więc, pokażę ci, jaka jest różnica między człowiekiem odważnym a tchórzem takim jak ty; zostań, sam pójdę.

D'Artagnan szybko dotarł do drugiego żołnierza bacznie rozglądając się wokół, obserwując wszystkie ruchy nieprzyjaciela i korzystając z nierówności terenu.

Cel swój mógł osiągnąć dwojako: przeszukać żołnierza na miejscu albo zabrać go ze sobą, osłaniając się jego ciałem niby tarczą, i przeszukać go w okopie.

D'Artagnan wybrał drugi sposób i zarzucił sobie ciało opryszka na ramiona; w tej samej chwili nieprzyjaciel dał ognia.

Lekki wstrząs, głuchy odgłos trzech kul przeszywających ciało, ostatni krzyk i drżenie agonii pozwoliły zrozumieć d'Artagnanowi, że ten, który chciał go zabić, uratował mu życie.

D'Artagnan wrócił do okopu i rzucił trupa obok rannego żołnierza, którego twarz była również śmiertelnie blada.

Natychmiast zabrał się do rewizji; skórzany pugilares, sakiewka, w której znajdowała się zapewne część otrzymanej sumy, kubek i kostki składały się na spuściznę po zmarłym. Pozostawił kubek i kostki, rzucił sakiewkę rannemu i niecierpliwie otworzył pugilares.

Wśród papierów nie mających znaczenia znalazł list; był to ten właśnie, którego omal nie przypłacił życiem:

„Ponieważ straciliście ślad tej kobiety i jest teraz bezpieczna w klasztorze, dokąd żadną miarą nie powinna była się dostać, postarajcie się przynajmniej nie chybić mężczyzny; w przeciwnym razie sto

luidorów, jakie otrzymaliście ode mnie, mogą was drogo kosztować. Wiecie dobrze, że was dosięgnę, gdziekolwiek będziecie.”

Podpisu nie było. Nie ulegało jednak wątpliwości, że list pochodził od Milady. Toteż d'Artagnan zatrzymał go jako dowód rzeczowy i, bezpieczny pod osłoną okopu, wziął na spytki rannego. Ten wyznał, że wraz ze swym zabitym kolegą miał porwać młodą kobietę, która opuszczała Paryż przez rogatkę La Villette, ale zabawili zbyt długo w szynku przy winie i przybyli na miejsce w dziesięć minut po przejeździe kolaski.

- Ale co mieliście zrobić z tą kobietą? - zapytał d'Artagnan z lękiem.

- Zawieźć ją do pałacu przy placu Royale - rzekł ranny.

- Tak, tak! - mruknął d'Artagnan - otóż to, do Milady.

Dreszcz przebiegł młodzieńca, zrozumiał bowiem, jak straszliwe pragnienie zemsty kazało tej kobiecie czyhać na jego zgubę i zgubę tych, którzy go kochali. Zdawał też sobie sprawę, że Milady musiała być świetnie wprowadzona w intrygi dworskie, skoro odkryła wszystko. Niewątpliwie zasięgnęła wiadomości u kardynała.

Ale z prawdziwym uczuciem radości zrozumiał i to, że królowa odnalazła wreszcie więzienie, w którym biedna pani Bonacieux pokutowała za swoje oddanie, i że wydobyła ją stamtąd. List, jaki otrzymał od młodej kobiety, i jej obecność w kolasce na drodze Chaillot znalazły teraz wytłumaczenie.

A zatem, jak to przepowiedział Atos, można będzie odnaleźć panią Bonacieux, klasztor nie jest przecie niezdobyłą twierdzą.

Ta myśl napełniła łagodnością jego serce. Zwrócił się do rannego, który z niepokojem obserwował zmiany w wyrazie jego twarzy, i rzekł wyciągając do niego rękę:

- Chodźmy, nie chcę cię tu zostawić. Oprzyj się na mnie i wracajmy do obozu.

- Tak - powiedział ranny, który nie mógł uwierzyć w tyle dobroci - ale czy mam wrócić po to, by zawisnąć na szubienicy?

- Masz moje słowo - rzekł d'Artagnan - po raz wtóry daruję ci życie.

Ranny padł na kolana i znów ucałował stopy swego wybawcy, ale d'Artagnan nie miał już żadnych powodów, by pozostawać tak blisko nieprzyjaciela, i położył kres temu wylewowi wdzięczności.

Gwardzista, który powrócił do obozu pierwszy, oznajmił, że czterej jego towarzysze ponieśli śmierć. Zdumienie i radość zapanowały więc w regimencie, gdy młodzieniec zjawił się zdrów i cały.

D'Artagnan wyjaśnił, że jego towarzysz odniósł ranę szpadą w rzekomej wycieczce. Opowiedział o śmierci drugiego żołnierza i o niebezpieczeństwach, na jakie byli wystawieni. To opowiadanie przysporzyło prawdziwego triumfu młodzieńcowi. Przez cały dzień w armii mówiono tylko o tej wyprawie, a brat królewski przekazał d'Artagnanowi wyrazy uznania.

Zresztą, jako że każdy piękny czyn przynosi nagrodę, czyn d'Artagnana przywrócił mu utracony spokój. Mniemał, że może być spokojny, skoro z dwóch nieprzyjaciół jeden nie żyje, a drugi mu służy.

Ten spokój dowodził, że d'Artagnan nie znał jeszcze Milady.

XII.

WINO Z ANJOU

Po rozpaczliwych niemal nowinach o stanie króla w obozie zaczęły się szerzyć wieści o jego powrocie do zdrowia; ponieważ zaś królowi spieszno było do La Rochelle, powiadano, że gdy tylko będzie mógł dosiąść konia, wyruszy w drogę.

Tymczasem brat królewski, wiedząc, że dowództwo przejdzie wkrótce w ręce księcia d'Angouleme, Bassompierre'a czy Schomberga, ubiegających się o ten zaszczyt, niewiele zdziałał; tracił dzień po dniu na podjazdy, nie kwapiąc się uderzyć na wyspę Rś, gdzie Anglicy wciąż oblegali cytadelę Świętego Marcina i fort La Pree, podczas gdy Francuzi, ze swej strony, oblegali La Rochelle.

Powiedzieliśmy, że d'Artagnan odzyskał spokój, jak to zawsze bywa, kiedy niebezpieczeństwo minie i wydaje się, że już w ogóle nam nie zagraża. Niepokoił się jedynie brakiem wieści od przyjaciół.

Ale pewnego ranka, na początku listopada, wszystko wyjaśnił list wysłany z Villeroi;

„Laskawy panie!

Panowie Atos, Portos i Aramis zabawiali się wesoło u mnie i narobili tyle hałasu, że namiestnik zamku, człowiek bardzo surowy, przymknął ich na kilka dni; ja wszakże wypełniam dane mi

polecenie i posyłam panu dwanaście butelek wina z Anjou, które bardzo przypadło im do smaku; toteż wyrazili życzenie, by wypił je pan za ich zdrowie. Co czyniąc, pozostaję z wielkim szacunkiem,

pański pokorny i powolny sługa

Godeau,

oberżysta panów muszkieterów”

- Znakomicie - zawołał d'Artagnan - myślą o mnie w weselu, tak jak ja o nich w smutku; rzecz prosta, wypiję za ich zdrowie ze szczerego serca, ale nie będę pił sam.

I d'Artagnan pobiegł do dwóch gwardzistów, z którymi najbardziej się przyjaźnił, by zaprosić ich na wyborne wino z Anjou. Jeden z gwardzistów miał już zaproszenie na ten właśnie wieczór; drugi na wieczór następny, umówiono się więc na pojutrze.

Przez cały dzień w armii mówiono tylko o tej wyprawie, a brat królewski przekazał d'Artagnanowi

wyraży uznania.

Zresztą, jako że każdy piękny czyn przynosi nagrodę, czyn d'Artagnana przywrócił mu utracony spokój. Mniemał, że może być spokojny, skoro z dwóch nieprzyjaciół jeden nie żyje, a drugi mu służy.

Ten spokój dowodził, że d'Artagnan nie znał jeszcze Milady.

D'Artagnan wrócił do domu i odesłał dwanaście butelek wina do gwardyjskiej kantyny, polecając, by miano je w pieczy; w dzień uczyty, jako że obiad był wyznaczony na dwunastą w południe, wyprawił o dziewiątej Plancheta, by poczynił przygotowania.

Planchet, bardzo dumny, że został podniesiony do godności ochmistrza, postanowił jak najlepiej wywiązać się z zadania. Wziął sobie do pomocy służącego jednego z gości swego pana, nazwiskiem Fourreau, i owego rzekomego żołnierza, co to chciał zabić d'Artagnana, a teraz, nie należąc do żadnej

jednostki, wstąpił na służbę do naszego Gaskończyka lub raczej do Plancheta, wdzięczny, że darowano mu życie.

Gdy nadeszła godzina uczyty, zjawili się dwaj zaproszeni biesiadnicy, zajęli miejsca i potrawy wjechały na stół. Planchet usługiwał z serwetką na ramieniu;

Fourreau otwierał butelki, Brisemont zaś (było to nazwisko rekonwalescenta) przelewał do szklanych karafek wino, zamaczone nieco na skutek wstrząsów w podróży. Na dnie pierwszej butelki pozostało jeszcze trochę tego zmaczonego wina, Brisemont wlał je do szklanki i d'Artagnan pozwolił mu wypić; nieborak był jeszcze bardzo słaby.

Biesiadnicy zjedli zupę i mieli właśnie wychylić pierwszą szklankę wina, kiedy w forcie Ludwika i w Nowym Fortcie zagrzmiały nagle działa. Gwardziści myśląc, że to nieoczekiwany atak obleżonych lub Anglików, skoczyli po swoje szpady, d'Artagnan uczynił to samo i wszyscy trzej pobiegli na stanowiska.

Ale gdy znaleźli się przed kantyną od razu zrozumieli, co się stało; okrzyki:

„Wiwat król! Wiwat pan kardynał!” i bicie w bębny rozbrzmiewały ze wszystkich stron.

Jak już powiedzieliśmy, król śpieszył się bardzo. Ze zdwojoną szybkością przebył dwa ostatnie odcinki drogi i właśnie wjeżdżał wraz ze swą świtą i posiłkami w liczbie dziesięciu tysięcy ludzi; muszkietierowie jechali przednim i za nim. D'Artagnan, stojąc w szpalerze razem ze swoją kompanią, wymownym gestem powitał przyjaciół, którzy patrzyli w jego stronę, i pana de Treville, który

rozpoznał go od razu.

Kiedy ceremonia się skończyła, czterej przyjaciele padli sobie w ramiona.

- Do kaduka! - zawołał d'Artagnan - pie można przyjechać bardziej w porę, pieczyste jeszcze nie wystygło, prawda, panowie? - dodał zwracając się do dwóch gwardzistów, których przedstawił przyjaciołom.

- Ho, ho, zdaje się, że ucztujemy - rzekł Portos.

- Mam nadzieję, że do obiadu nie zasiadają kobiety! - rzekł Aramis.

- Czy jest jakieś znośne wino w tej mieścinie? - zapytał Atos.

- Tam do kata, przecież jest wasze wino, drogi przyjacielu - odparł d'Artagnan.

- Nasze wino? - zapytał Atos zdumiony.

- Tak, to, które mi przysłaliście.

- Myśmy ci przysłali wino?

- Ależ wiesz przecie dobrze, to winko ze stoków Anjou.

- Tak, wiem, o jakim winie mówisz.

- Twoje ulubione.

- Jeśli nie mam szampana ani chambertina.

- Dobrze więc, z braku szampana i chambertina zadowolisz się tym właśnie.

- Sprowadziliśmy więc sobie wino z Anjou, proszę, jacy z nas znawcy! - rzekł Portos.

- Ależ nie, to wino przysłano mi w waszym imieniu.

- W naszym imieniu? - zawołali trzej muszkietierowie.

- Czy to ty, Aramisie - rzekł d'Artagnan.- przysłałeś to wino?

- Nie, a ty, Portosie?

- Nie, a ty, Atosie?

- Nie.

- Więc jeśli nie wy - rzekł d'Artagnan - to wasz oberżysta.

- Nasz oberżysta?

- A tak, wasz oberżysta, Godeau, oberżysta muszkieterów.

- Na honor, niech się dzieje, co chce, mało mnie to obchodzi - rzekł Portos - skosztujemy, a jeśli jest dobre, wypijmy.

- Nie - rzekł Atos - nie pijmy wina, które pochodzi z nieznanego źródła.

- Masz rację, Atosie - rzekł d'Artagnan. - Nikt z was nie polecił oberżycie Godeau, by przysłał mi wino?

- Nie; a jednak przysłał ci w naszym imieniu?

- Oto list - rzekł d'Artagnan.

I pokazał list przyjaciołom.

- To nie jest jego pismo! - rzekł Atos - znam je, przed wyjazdem płaciłem nasze rachunki.

- List jest sfalszowany - rzekł Portos - nikt nas nie aresztował.

- D'Artagnanie - rzekł Aramis z wyrzutem - jak mogłeś uwierzyć, że narobiliśmy hałasu?...

D'Artagnan zbladł, konwulsyjne drżenie przebiegło przez jego ciało.

- Przerażasz mnie, synu - rzekł Atos, który w ten sposób zwracał się do niego tylko w wyjątkowych okazjach - co się stało?

- Śpieszmy, śpieszmy, przyjaciele! - zawołał d'Artagnan - powziąłem straszliwe podejrzenie! Czyżby to znów była zemsta tej kobiety?

Teraz Atos zbladł z kolei.

D'Artagnan skoczył do kantyny, trzej muszkieterowie i dwaj gwardziści za nim.

Gdy d'Artagnan wszedł do jadalni, ujrzał Brisemonta wijącego się na podłodze w straszliwych konwulsjach.

Planchet i Fourreau, śmiertelnie bladzi, usiłowali mu pomóc, ale było jasne, że pomoc nie zda się na nic; rysy umierającego skurczyły się w agonii.

- Ach - zawołał widząc d'Artagnana - ach, to okropne, darował mi pan życie, żeby mnie teraz otruć!

- Ja - zawołał d'Artagnan - ja? Nieszczęsny, co ty mówisz?

- Mówię, że to pan dał mi wina, mówię, że pan kazał mi je wypić, mówię, że chciał się pan zemścić na mnie, mówię, że to okropne!

- Nie wierz w to, Brisemont - rzekł d'Artagnan - nie wierz, to nieprawda; przysięgam ci, zaklinam...

- Och, ale jest Bóg na niebie! Bóg cię ukarze! Mój Boże, niechaj cierpi tak, jak ja cierpię!

- Przysięgam ci na Ewangelię - zawołał d'Artagnan zbliżając się do umierającego - przysięgam ci, nie wiedziałem, że to wino jest zatrute, i miałem je pić tak samo jak i ty.

- Nie wierzę - rzekł żołnierz.

Po chwili wyzionął ducha w okropnych mękach.

- Straszne, straszne - szeptał Atos, gdy Portos tłukł butelki, a Aramis wydawał spóźnione nieco rozkazy, by sprowadzić spowiednika.

- O, moi przyjaciele - rzekł d'Artagnan - znów uratowaliście mi życie i nie tylko mnie, ale i tym panom. Panowie - ciągnął zwracając się do gwardzistów - zechciejcie zachować zajęcie w tajemnicy, być może zamieszane są w to znamienite osoby i wszystko mogłoby się na nas skrupić.

- Ach, panie - bełkotał Planchet na pół żywy - ach, panie, że też uszedłem cało.

- Jak to, nicponiu - zawołał d'Artagnan - więc chciałeś pić moje wino?

- Miałem zamiar wypić małą szklaneczkę za zdrowie króla, panie, ale Fourreau powiedział mi, że mnie wołają.

- Niestety - rzekł Fourreau, któremu zęby szczękały z przerażenia – chciałem go oddalić i pić sam!

- Panowie - rzekł d'Artagnan zwracając się do gwardzistów - sami rozumiecie, że po tym, co się zdarzyło, uczta mogłaby być tylko nader smutna. Zechciejcie przyjąć moje przeprosiny, spotkamy się kiedy indziej.

Gwardziści przyjęli dwornie przeprosiny d'Artagnana rozumiejąc, że przyjaciele chcą być sami, i wyszli.

Kiedy młody gwardzista i trzej muszkietierowie zostali bez świadków, spojrzeli po sobie z wyrazem, który dowodził, że każdy z nich rozumie powagę sytuacji.

- Przede wszystkim wyjdźmy stąd - rzekł Atos - trup nie jest dobrym kompanem, zwłaszcza zaś trup człowieka, który zmarł gwałtowną śmiercią.

- Planchet - powiedział d'Artagnan - polecam zwłoki tego biedaka twojej opiece. Niechaj zostanie pochowany w poświęconej ziemi. Popęłnił wprawdzie zbrodnię, ale okazał skruchę.

I czterej przyjaciele opuścili pokój; Planchet i Fourreau mieli oddać ostatnią posługę Brisemontowi.

Oberżysta dał im inny pokój, tu przyniósł im jajka na miękko i wodę, której Atos sam zaczerpnął ze studni. W kilku słowach wyjaśniono sytuację Portosowi i Aramisowi.

- A więc, drogi przyjacielu - rzekł d'Artagnan do Atosa - sam widzisz, że jest to wojna na śmierć i życie.

Atos pokiwał głową.

- Tak, tak - rzekł - widzę to dobrze, ale czy jesteś pewien, że to ona?

- Tak.

- Muszę ci wyznać, że wciąż jeszcze powątpiewam.

- A ów kwiat lilii na ramieniu?

- To Angielka, popełniła jakieś przestępstwo we Francji i za to ją napiętnowano.

- Atosie, to twoja żona, powiadam ci - powtórzył d'Artagnan - przecież wiesz, jak to piętno wygląda, nie może być pomyłki.

- Myślałem wszakże, że tamta nie żyje, przecież ją powiesiłem.

Z kolei d'Artagnan pokiwał głową.

- Ale co robić? - spytał młodzieniec.

- Rzecz jasna, że nie można tak żyć, z mieczem wiecznie wiszącym nad głową - rzekł Atos - trzeba znaleźć wyjście z sytuacji.

- Ale jakie?

- Posłuchaj, postaraj się z nią spotkać i rozmówić. Powiedz jej: „Wojna lub pokój! Słowo szlachcica, że nie powiem nigdy nic złego o pani, że nie uczynię nic przeciw pani; pani ze swej strony złoży uroczystą przysięgę, że pozostawi mnie w spokoju, w przeciwnym razie pójdę do kanclerza, pójdę do

króla, poruszę dwór, oświadczę, że jesteś napiętnowana, wydam cię trybunałowi, a jeśli cię uwolnią, zabiję cię przy jakimś kamieniu przydrożnym jak wściekłego psa, przysięgam!”

- Podoba mi się ten sposób - rzekł d'Artagnan - ale jak się z nią zobaczyć?

- Czas, drogi przyjacielu, sprowadza okazję, a okazja podwaja szansę mężczyzny; im więcej się postawiło, tym więcej się wygrywa umiając czekać.

- Tak, ale czekać wśród morderców i trucicieli...

- Ba - rzekł Atos - Bóg nas ustrzegł do tej chwili, Bóg ustrzeże nas i w przyszłości.

- Tak, nas; ale my jesteśmy mężczyznami i w końcu naszą rzeczą jest stawiać życie na kartę, ale ona! - dodał półgłosem.

- O kim mówisz? - zapytał Atos.

- O Konstancji.

- Prawda, pani Bonacieux! - powiedział Atos. - Biedny przyjacielu, zapomniałem, że jesteś zakochany.

- Tak - rzekł Aramis - ale czy nie dowiedziałeś się z listu, który znalazłeś przy tym nędzniku, że ona znajduje się w klasztorze? W klasztorze nie jest źle i gdy tylko skończy się oblężenie La Rochelle, przyrzekam wam, że ja...

- Dobrze, dobrze, mój drogi Aramisie - rzekł Atos. - Wiem, że chcesz się poświęcić stanowi duchownemu.

- Jestem muszkietierem tylko chwilowo - odparł skromnie Aramis.

- Zdaje się, że dawno już nie miał wiadomości od swojej kochanki - powiedział cicho Atos - ale nie zwracajcie na to uwagi, znam się na tym.

- Zdaje mi się, że znalazłem prosty sposób - rzekł Portos.

- Jaki? - zapytał d'Artagnan.

- Powiadasz, że jest w klasztorze? - ciągnął Portos.

- Tak.

- Gdy tylko skończy się oblężenie, uprowadzimy ją stamtąd.
- Trzeba jeszcze wiedzieć, jaki to klasztor.
- To prawda - przyznał Portos.
- Ale czy nie wydaje ci się, drogi d'Artagnanie - zapytał Atos - że to królowa wybrała klasztor dla niej?
- Owszem, tak przypuszczam.
- Wybornie, Portos nam pomoże.
- Ale jak, jeśli łaska?
- Przez swoją markizę, diuszese, księżnę; ta dama ma na pewno wielkie stosunki.
- Pst! - rzekł Portos kładąc palec na ustach - myślę, że jest zwolenniczką kardynała i nie powinna nic wiedzieć.
- W takim razie ja zdobędę wiadomości - rzekł Aramis.
- Ty, Aramisie - zawołali trzej przyjaciele - ale jakim sposobem?
- Przez spowiednika królowej, z którym jestem bardzo zaprzyjaźniony... - powiedział Aramis z rumieńcem na twarzy.

Na to zapewnienie czterech przyjaciół, którzy skończyli swój skromny posiłek, rozstali się obiecując sobie, że spotkają się jeszcze tego samego wieczora; d'Artagnan wrócił do Minimes, a trzej muszkietierowie udali się do kwatery królewskiej, gdzie mieli się rozlokować.

XIII.

OBERŻA POD CZERWONYM GOŁĘBNIKIEM"

Tymczasem król, któremu spieszno było znaleźć się w obliczu nieprzyjaciela i który równie nienawidził Buckingham'a jak kardynała, choć lepsze miał do tego prawo, chciał niezwłocznie poczynić przygotowania, by przegnać Anglików z wyspy Re i skrócić oblężenie La Rochelle; ale właśnie wynikłe między panami Bassompierre i Schombergiem a księciem d'Angouleme spowodowały, wbrew woli króla, dalszą zwłokę.

Panowie de Bassompierre i Schomberg byli marszałkami Francji i domagali się, by honorowano ich

prawo dowodzenia armią pod rozkazami króla, ale kardynał w obawie, że Bassompierre, hugenot w głębi serca, nie będzie dość mocno nacierał na Anglików i roszełczyków, swych braci w religii, popierał księcia d'Angouleme, którego król za jego namową mianował dowódcą. Jakoż, by uniknąć widoku panów Bassompierre'a i Schomberga opuszczających armię, musiano dać każdemu oddzielne dowództwo: Bassompierre rozłożył się obozem na północ od miasta, od La Leu aż do Dompierre; księżę d'Angouleme na wschód, od Dompierre aż do Perigny, a pan de Schomberg na południe, od Perigny do Angoutin.

Kwatera brata królewskiego znajdowała się w Dompierre.

Kwatera króla to w Etre, to w La Jarrie.

Kwatera kardynała na wydmach, przy Moście Kamiennym, w zwyczajnym domu bez żadnego oszańcowania.

W ten sposób brat królewski miał na oku Bassompierre'a, król księcia d'Angouleme, a kardynał pana Schomberga.

Gdy tylko te sprawy zostały załatwione, zajęto się Anglikami z wyspy Re.

Okoliczności były sprzyjające: Anglicy, którzy są dobrymi żołnierzami tylko wtedy, gdy mają pełne brzuchy, żywili się jedynie solonym mięsem i kiepskimi sucharami, toteż w ich obozie było wielu chorych; co więcej, morze, bardzo burzliwe o tej porze roku przy wszystkich wybrzeżach, co dzień uszkadzało jakiś statek. Każdy przyływ wyrzucał na brzeg, od cypla Aiguillon do okopu, szczątki

łodzi, szalup i barek; było więc jasne, że jeśli nawet królewscy pozostaną w swym obozie, Buckingham, który trzymał się na wyspie Re tylko z uporu, będzie ją musiał prędzej czy później opuścić.

Tymczasem pan de Toirac dał znać, że w obozie nieprzyjaciela szykują się do nowego szturmu; król uznał, że nadeszła chwila, i rozkazał nacierać.

Nie jest naszym zamiarem prowadzić dziennik oblężenia; przeciwnie, przytaczamy tylko te wypadki, które mają związek z opowiadaną przez nas historią. Poprzestaniemy więc na kilku słowach i podamy do wiadomości czytelnika, że ku wielkiemu zdumieniu króla i ku wielkiej chwale pana kardynała przedsięwzięcie zostało uwieńczone pomyślnym skutkiem. Anglicy wypierani krok za krokiem, bici we wszystkich potyczkach, rozgromieni przy przeprawie na wyspę Loix, musieli wsiąść na statki pozostawiając na polu walki dwa tysiące ludzi, wśród nich pięciu pułkowników, trzech podpułkowników, dwustu pięćdziesięciu kapitanów i dwudziestu szlachty ze świetnych rodów oraz cztery działa i sześćdziesiąt chorągwi; chorągwie zostały przywiezione do Paryża przez Claude de Saint-Simona i powieszono bardzo uroczyście u sklepień Notre-Dame.

W obozie śpiewano Te Deum i pieśń ta odbrzmiała echem w całej Francji.

Kardynał został więc zwycięzcą i mógł nadal prowadzić oblężenie, przynajmniej na razie nie obawiając się niczego ze strony Anglików.

Ale, jak powiedzieliśmy, odpoczynek był tylko chwilowy.

Wysłannik księcia Buckingham, nazwiskiem Montaigu, został pochwycony; teraz miano już dowód, że Cesarstwo, Hiszpania, Anglia i Lotaryngia zawiązały ligę przeciw Francji.

Co więcej, w kwaterze Buckingham, którą księżę musiał opuścić szybciej niż się spodziewał, znaleziono papiery, potwierdzające istnienie tej ligi; jak utrzymuje pan kardynał w swych pamiętnikach, papiery kompromitujące panią de Chevreuse, a co za tym idzie i królową.

Na kardynale spoczywała cała odpowiedzialność, nie można bowiem być wszechwładnym ministrem nie ponosząc odpowiedzialności; toteż wszystkie siły jego geniuszu były w napięciu dzień i noc i słuchał pilnie najmniejszego odgłosu, dobiegającego z wielkich królestw Europy.

Kardynał znał rzutkość, a nade wszystko nienawiść Buckingham. Jeśli liga zagrażająca Francji odniesie zwycięstwo, Richelieu straci wszystkie wpływy; polityka hiszpańska i polityka austriacka miały swoich przedstawicieli w Luwrze, ale niewielu jeszcze zwolenników; Richelieu, minister francuski, minister narodowy, byłby zgubiony. Król, posłuszny mu jak dziecko, nienawidził go tak, jak dziecko nienawidzi swego nauczyciela, i wydałby kardynała zemście księcia Orleańskiego i królowej; byłby więc zgubiony, a wraz z nim może i Francja. Temu wszystkiemu należało zapobiec.

W domu przy Kamiennym Moście, gdzie był sztab kardynała, z każdym dniem zwiększała się liczba zmieniających się nieustannie emisariuszy.

Byli to mnisi tak niezręcznie noszący swoje habity, że łatwo rozpoznałbyś ich przynależność do walczącego Kościoła; kobiety nie czujące się nazbyt swobodnie w strojach paziów (ich okrągłych kształtów nie mogły ukryć luźne szarawary); wreszcie wieśniacy o uczernionych rękach, ale rasowych nogach, które zdradzały szlachetne urodzenie.

Poza tym zdarzały się również wizyty mniej przyjemne, ponieważ kilka razy przebąkiwano o tym, że kardynała usiłowano zamordować.

Co prawda, wrogowie Jego Eminencji mówili, że to sam kardynał nasyła niezręcznych opryszków, aby w razie potrzeby zapłacić pięknym za nadobne; ale nie trzeba wierzyć ani w to, co mówią ministrowie, ani w to, co głoszą wrogowie ministrów.

Nie przeszkadzało to zresztą kardynałowi, któremu najzagorzalsi oszczercy nie mogli odmówić osobistej odwagi, wyprawiać się często nocą, czy po to, by zakomunikować księciu d'Angouleme ważne rozkazy, czy żeby naradzić się z królem, czy rozmówić się z jakimś wysłannikiem, którego

kardynał nie chciał przyjąć u siebie.

Tymczasem muszkietierowie, którzy nie mieli wiele do roboty przy oblężeniu La Rochelle, prowadzili wesołe życie, nie trzymano ich bowiem zbyt krótko. Dla naszych trzech znajomych było to tym łatwiejsze, że jako przyjaciele pana de Treville bez trudu dostawali od niego specjalne przepustki, tak że mogli się spóźnić i wrócić po zamknięciu bram obozu.

Pewnego wieczora, kiedy d'Artagnan był na posterunku w okopie i nie mógł towarzyszyć przyjaciołom, Atos, Portos i Aramis na bojowych koniach, owinięci w wojskowe płaszcze, z ręką przy kolbie pistoletu, wracali z oberży odkrytej przez Atosa przy drodze z La Jarrie i zwanej „Pod Czerwonym Gołębnikiem”.

Jechali drogą wiodącą do obozu, bacznie rozglądając się wokół w obawie przed zasadzką, kiedy w odległości ćwierć mili od wsi Boinar usłyszeli tętent zbliżających się koni. Natychmiast zatrzymali się wszyscy trzej, zwarli szereg i czekali pośrodku drogi. Po chwili - właśnie księżyc ukazał się zza chmur - ujrzeli na zakręcie dwóch jeźdźców, którzy na ich widok również osadzili konie w miejscu;

zdawało się, że zastanawiają się, czy jechać dalej, czy się cofnąć. To wahanie obudziło podejrzenia w trzech przyjaciołach i Atos, podjechawszy kilka kroków naprzód, zawołał pewnym głosem:

- Kto idzie?

- A wy kto? - odparł jeden z jeźdźców.

- To nie jest odpowiedź - rzekł Atos. - Hasło! Odpowiadajcie albo strzelamy.

- Zastanówcie się wpierw, co chcecie zrobić, panowie! - rozległ się dźwięczny głos, jak się zdawało, przywykły do rozkazywania.

- To jakiś wyższy oficer odbywa ront nocny - rzekł Atos. - Co robimy, panowie?

- Kto jesteście? - pytał ten sam głos w sposób równie rozkazujący - odpowiadajcie, bo możecie źle wyjść na swoim nieposłuszeństwie.

- Muszkietierowie królewscy - rzekł Atos coraz bardziej przekonany, że ten, kto pytał, ma do tego prawo.

- Jaka kompania?

- Kompania pana de Treville.

- Zbliźcie się w ordynku i zameldujcie, co robicie tu o tej porze.

Trzej przyjaciele ruszyli, zbici nieco z tropu, wszyscy trzej bowiem byli przekonani, że mają do czynienia z kimś lepszym od siebie; wyjaśnienia pozostawili zresztą Atosowi.

Ten z jeźdźców, który przemówił drugi, znajdował się w odległości dziesięciu kroków przed swoim towarzyszem; Atos dał znak Portosowi i Aramisowi, by pozostali z tyłu, i podjechał sam.

- Przepraszam, panie oficerze - rzekł Atos - ale nie wiemy, z kim mamy do czynienia; widzisz wszakże, że dobrze pełnimy straż.

- Pańskie nazwisko - rzekł oficer, który część twarzy miał zasłoniętą płaszczem.

- Prosiłbym jednak pana - rzekł Atos, którego zaczęło już drażnić to wypytywanie - prosiłbym o dowód, że masz prawo mnie indagować.

- Pańskie nazwisko? - powtórzył znowu jeździec i odsłonił twarz okrytą połą płaszcza.

- Pan kardynał! - zawołał muszkieter zdumiony.

- Pańskie nazwisko? - powiedział po raz trzeci Jego Eminencja.

- Atos - rzekł muszkieter.

Kardynał dał znak giermkowi, który się zbliżył.

- Ci trzej muszkieterowie będą nam towarzyszyć - rzekł cicho. - Nie chcę, by wiadano, że wyjechałem z obozu, a skoro będą z nami, nie powiedzą o tym nikomu.

- Jesteśmy szlachtą, Wasza Dostojność - rzekł Atos. - Zażądaj od nas słowa, to dosyć. Dzięki Bogu, potrafimy zachować tajemnicę.

Kardynał utkwiał przenikliwe spojrzenie w śmiałym rozmówcy.

- Masz dobre ucho, mości Atosie - rzekł - ale posłuchaj, co ci powiem: bynajmniej nie z braku zaufania, ale dla mego bezpieczeństwa proszę was, byście mi towarzyszyli; twoi dwaj towarzysze to zapewne panowie Portos i Aramis?

- Tak, Wasza Eminencjo - powiedział Atos, podczas gdy dwaj muszkieterowie zbliżali się z kapeluszami w rękach.

- Znam was, panowie - rzekł kardynał - znam was, wiem, że nie jesteście bynajmniej moimi przyjaciółmi, i przykro mi z tego powodu, ale wiem też, że jesteście dzielną i uczciwą szlachtą, i że można wam zaufać. Panie Atosie, zechciej mi uczynić zaszczyt towarzysząc mi wraz z przyjaciółmi; będę miał eskortę, której pozazdrościłby mi Jego Królewska Mość, gdyby nas spotkał.

Trzej muszkieterowie skłonili się aż do końskich sztych.

- Na honor - rzekł Atos - Wasza Eminencja ma słuszość zabierając nas ze sobą; spotkaliśmy na drodze jakieś odrażające figury i z czterema z nich doszło nawet do utarczki „Pod Czerwonym Gołębnikiem”.

- Do utarczki? A to dlaczego, panowie? - rzekł kardynał. - Nie lubię utarczek, jak wiecie.

- Właśnie dlatego mam honor uprzedzić Waszą Eminencję o tym, co się stało; dowiedziawszy się od kogo innego, pan kardynał mógłby uwierzyć, że postąpiliśmy niesłusznie.

- I jakież są skutki tej utarczki? - zapytał kardynał, marszcząc brew.

- Mój przyjaciel Aramis otrzymał lekkie zadraśnięcie szpadą w ramię, co nie przeszkodzi mu, jak Wasza Eminencja zobaczy, pójść jutro do szturmowania na rozkaz Waszej Eminencji.

- Ależ wy nie jesteście ludźmi, których można zadrasnąć bezkarnie - powiedział kardynał. - Nuże, szczerze, panowie, przecież za niejednego cios potrafiliście zapłacić z nawiązką. Wypowiadajcie się, wiecie, że mam prawo udzielić rozgrzeszenia.

- Ja, Wasza Dostojność - rzekł Atos - nie wziąłem nawet szpady do ręki, ale chwyciłem mego chwata w pół i wyrzuciłem przez okno; zdaje się, że rozbił sobie udo padając - ciągnął Atos z pewnym wahaniem.

- Ho, ho - rzekł kardynał. - A ty, mości Portosie?

- Ja, Wasza Dostojność, wiem, że pojedynki są zabronione. Chwyciłem więc za ławę i zadałem jednemu z tych zbójów cios., który strzaskał mu chyba ramię.

- Dobrze - rzekł kardynał. - A ty, mości Aramisie?

- Ja, Wasza Dostojność, jako że jestem bardzo łagodnego usposobienia i, co więcej (o czym Wasza Dostojność być może nie wie), mam wkrótce wstąpić do zakonu, chciałem rozdzielić walczących, kiedy jeden z tych nędzników zdradziecko drasnął mnie szpadą w lewe ramię. Wówczas zabrakło mi cierpliwości, wyciągnąłem szpadę i kiedy atakował mnie, zdało mi się, że się na nią nadział; ale upadł tylko i wyniesiono go wraz z dwoma innymi.

- Do licha; panowie - rzekł kardynał - oto trzech ludzi niezdolnych do walki z powodu kłótni w szynkowni. Widzę, że nie oszczędziliście razów; ale jaka była przyczyna tej utarczki?

- Ci nędznicy byli pijani - odparł Atos. - Wiedzieli, że do oberży przybyła wieczorem kobieta, i chcieli wyważyć drzwi.

- Wyważyć drzwi! - rzekł kardynał. - Ale po co?

- Zapewne po to, by zadać jej gwałt - rzekł Atos. - Miałem honor powiedzieć Waszej Eminencji, że nędznicy byli pijani.

- Ta kobieta była młoda i ładna? - zapytał kardynał z pewnym niepokojem.

- Nie widzieliśmy jej, Wasza Dostojność - odparł Atos.

- Nie widzieliście jej. Bardzo dobrze - powiedział żywo kardynał. - Postąpiliście słusznie broniąc honoru kobiety, a ponieważ udaję się właśnie do oberży „Pod Czerwonym Gołębnikiem”, dowiem się, czy powiedzieliście mi prawdę.

- Wasza Dostojność - rzekł dumnie Atos - jesteśmy szlachcicami i żeby ratować własną skórę, nie splamimy się kłamstwem.

- Toteż nie wątpię w to, coście mi powiedzieli, mości Atosie, nie wątpię ani przez chwilę. Ale - dodał, by zmienić temat rozmowy - czy ta dama była bez opieki?

- Był z nią kawaler - rzekł Atos - ale nie zjawił się mimo hałasu. Można więc przypuszczać, że to tchórz.

- Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni, mówi Pismo Święte - odparł kardynał.

Atos skłonił się.

- A teraz, panowie - rzekł Jego Eminencja - wiem, co chciałem wiedzieć. Proszę za mną.

Trzej muszkietierowie cofnęli się; kardynał znów zasłonił twarz płaszczem i ruszył stępą, trzymając się w odległości jakich dziesięciu kroków od swych czterech towarzyszy.

Wkrótce dojechali do cichej i pustej oberży; oberżysta wiedział zapewne, jak znakomity gość przybywa, i odprawił natrętów.

W odległości dziesięciu kroków od wejścia kardynał dał znak giermkowi i trzem muszkietierom, żeby się zatrzymali; koń gotów do jazdy stał przywiązany do okiennicy; kardynał zapukał trzy razy w szczególny sposób.

Natychmiast ukazał się mężczyzna owinięty w płaszcz i zamienił kilka szybkich słów z kardynałem, za czym wskoczył na konia i ruszył w kierunku na Surgeres, a więc na Paryż.

- Proszę, panowie - rzekł kardynał.

- Mówiliście mi prawdę - powiedział zwracając się do trzech muszkieterów - nie moja wina, że nasze dzisiejsze spotkanie nie było dla was przyjemne, na razie idźcie za mną.

Kardynał zsiadł z konia, trzej muszkieterowie zrobili to samo; kardynał rzucił uzdę wierzchowca giermkowi, trzej muszkieterowie przywiązali swe konie do okiennic.

Oberżysta stał na progu: dla niego kardynał był tylko oficerem, który przyszedł złożyć wizytę damie.

- Czy masz jakiś pokój na parterze, gdzie ci panowie mogliby poczekać na mnie przy dobrym ogniu? - rzekł kardynał.

Oberżysta otworzył drzwi do wielkiej sali, w której kiepski piec zastąpiono właśnie doskonałym kominkiem sporych rozmiarów.

- Mam ten pokój - powiedział.

- Wybornie - rzekł kardynał. - Wejdźcie tu, panowie, i zechciejcie na mnie poczekać; nie zatrzymam się dłużej niż pół godziny.

Trzej muszkieterowie weszli do pokoju na parterze, a kardynał nie mieszkając wszedł na schody krokiem człowieka, któremu nie trzeba wskazywać drogi.

XIV.

O POŻYTKU RURY OD PIECA

Nie ulegało wątpliwości, że nasi trzej przyjaciele, nie wiedząc zresztą o tym i powodowani jedynie rycerskim i awanturniczym duchem, oddali usługę komuś, kogo kardynał zaszczycał szczególną opieką.

Ale któż to taki? To pytanie zadali sobie od razu; widząc jednak, że żadna z odpowiedzi, na jaką mogliby się zdobyć, nie jest zadowalająca, Portos wezwał oberżystę i zażądał kości do gry.

Portos i Aramis usiedli przy stole i zabrali się do gry. Atos przechadzał się rozmyślając.

Chodząc tam i z powrotem po sali, mijał na wpół złamaną rurę od pieca, która łączyła się z pokojem położonym na piętrze; za każdym razem dobiegał go szept, który w końcu przyciągnął jego uwagę. Atos podszedł bliżej i usłyszał kilka słów, które wydały mu się tak ważne, że dał znak towarzyszom, by zamilkli, sam zaś pochylił się nad otworem i nadstawił ucha.

- Proszę posłuchać, Milady - mówił kardynał - sprawa jest ważna. Usiądźmy i porozmawiajmy.

- Milady - szepnął Atos.

- Słucham Waszą Eminencję z największą uwagą - odparł głos kobiecy, który przyprawił Atosa o drżenie.
 - Mały statek z załogą angielską, którego kapitan jest oddanym mi człowiekiem, czeka na panią u ujścia Charente, przy forcie La Pointe; jutro rano rozwinie żagle.
 - Mam się tam udać jeszcze tej nocy?
 - Jak najszybciej, natychmiast po otrzymaniu ode mnie instrukcji. Dwaj ludzie, którzy czekają przy drzwiach, będą pani eskortą. Ja wyjdę pierwszy, pani w pół godziny po mnie.
 - Tak jest, Wasza Dostojność. Teraz powróćmy do zadania, które chcesz mi zlecić, a ponieważ zależy mi na tym, by nie utracić zaufania Waszej Eminencji, proszę mi wyłożyć rzecz jasno i dokładnie, bym nie popełniła żadnego błędu.
- Zapadła chwila głębokiej ciszy. Było rzeczą jasną, że kardynał waży słowa, które ma powiedzieć, a Milady wysiła całą swą inteligencję, by zrozumieć to, co zostanie powiedziane, i wryć w pamięci.
- Atos skorzystał z tej chwili, powiedział swym towarzyszom, by zamknęli drzwi od wewnątrz, i dał im znak, by słuchali wraz z nim.
- Dwaj muszkietierowie, którzy lubili wygodę, przynieśli krzesła dla siebie, a także dla Atosa. Wszyscy trzej usiedli i nachylili głowy, pilnie nasłuchując.
- Pojedzie pani do Londynu - ciągnął kardynał. - Zaraz po przybyciu udasz się do Buckinghamu.
 - Zwracam uwagę Waszej Eminencji - rzekła Milady - że po tej historii z diamentowymi spinkami, o którą książę mnie zawsze podejrzewał, Jego Wysokość ma się przede mną na baczności.
 - Tym razem - rzekł kardynał - nie chodzi o to, by zmylić jego czujność, lecz by ułożyć się z nim szczerze i lojalnie.
 - Szczerze i lojalnie - powtórzyła Milady tonem wielce dwuznacznym.
 - Tak, szczerze i lojalnie - podjął kardynał tym samym tonem. - To otwarta gra.
 - Będę postępować ściśle wedle wskazówek Waszej Eminencji. Czekam na nie.
 - Uda się pani do Buckinghamu w moim imieniu i powie mu pani, że wiem o wszystkich jego przygotowaniach, ale niewiele o nie dbam zważywszy, że przy pierwszym jego kroku zgubię królową.

- Czy uwierzy, że Wasza Eminencja może to zrobić?
- Tak, mam bowiem dowody.
- Muszę przedstawić te dowody księciu.
- Oczywiście; powie mu pani, że ogłoszę raport Bois-Roberta i markiza de Beautru o spotkaniu księcia z królową u pani marszałkowej owego wieczora, kiedy pani marszałkowa wydawała bal maskowy, dla zupełnej pewności dodasz, że książę zjawił się w stroju Wielkiego Mogoła, który miał nosić kawaler de Guise i który Buckingham kupił od niego za trzy tysiące pistoli.
- Dobrze, Wasza Dostojność.
- Podasz wszystkie szczegóły jego wejścia i wyjścia owej nocy, gdy wkradł się do pałacu w stroju włoskiego wróżbiarza; aby nie wątpił w prawdziwość mych informacji, powiesz mu, że miał pod płaszczem wspaniałą białą suknię usianą czarnymi łzami, trupimi głowami i skrzyżowanymi kośćmi: gdyby go zaskoczono, miał przebrany w tę suknię wystąpić j ako widmo Białej Damy, które jak wiadomo, ukazuje się Luwrze za każdym razem, kiedy ma się zdarzyć coś ważnego.
- Czy to wszystko, Wasza Dostojność?
- Powie mu pani, że znam ponadto wszystkie szczegóły przygody w Amiens, że z tych szczegółów każę ułożyć mały, ale pospieszny romans uzupełniając go planem ogrodu i portretami głównych aktorów tej nocnej sceny.
- Powiem mu to.
- Powiesz mu również, że pochwyliłem Montaigu, że Montaigu jest w Bastylii, że nie znaleziono przy nim żadnego listu, ale tortury mogą go zmusić do powiedzenia wszystkiego, co wie, a nawet tego, czego nie wie.
- Wybornie.
- Wreszcie powiesz Jego Wysokości, że opuszczając w pośpiechu wyspę Re zostawił w swej kwaterze pewien list pani de Chevreuse, który osobliwie kompromituje królową, ponieważ dowodzi, że Jej Królewska Mość potrafi nie tylko kochać nieprzyjaciół króla, ale i spiskować z nieprzyjaciółmi Francji. Czy zapamiętałaś pani wszystko, co ci powiedziałem?
- Wasza Eminencja zechce sam osądzić: bal u pani marszałkowej; noc w Luwrze; wieczór w Amiens; aresztowanie Montaigu; list pani de Chevreuse.
- Tak jest - rzekł kardynał - tak jest. Ma pani doskonałą pamięć.

- Ale - rzekła kobieta, do której kardynał zwrócił te pochlebne słowa – jeśli mimo tych wszystkich racji książę nie ustąpi i nadal będzie zagrażał Francji?
- Książę jest zakochany jak szaleniec lub raczej jak głupiec - rzekł Richelieu z głęboką goryczą. - Jak dawni błędni rycerze wszczął wojnę dla jednego spojrzenia swej bogdanki. Jeśli dowie się, że za tę wojnę dama jego serca może zapłacić honorem, a może i wolnością, ręcę ci, iż dobrze się zastanowi.
- A gdyby - rzekła Milady z uporem, który wskazywał na to, że chciała poznać dokładniej i całkowicie powierzone sobie zadanie - a gdyby mimo wszystko stał przy swoim?
- Wówczas... - rzekł kardynał - to jednak nieprawdopodobne.
- Ale możliwe - rzekła Milady.
- Gdyby się upierał... - Jego Eminencja zrobił pauzę i mówił dalej: - Cóż, gdyby się upierał, pokładałbym nadzieję w jednym z tych wypadków, które zmieniają oblicza państw.
- Gdyby Wasza Eminencja zechciał mi przytoczyć takie wypadki z historii - rzekła Milady - być może patrzyłabym z równą ufnością w przyszłość.
- Proszę, oto przykład - rzekł Richelieu. - Kiedy w 1610 roku dla racji dość podobnych do tych, jakimi powoduje się książę, sławnej pamięci król Henryk IV miał wtargnąć do Flandrii i Włoch, by z dwóch stron jednocześnie zadać cios Austrii, czyż nie zdarzył się wypadek, który uratował Austrię? Dlaczego król Francji nie miałby być równie szczęśliwy jak cesarz?
- Wasza Eminencja ma na myśli cios sztyletem przy ulicy de la Ferronnerie?
- Właśnie - rzekł kardynał.
- A czy Wasza Eminencja nie sądzi, że męki Ravaillaca* przerażą tych, którzy odważyliby się pójść w jego ślady?
- W każdej epoce i w każdym kraju, zwłaszcza jeśli walczą w nim o lepsze dwie religie, są fanatycy, którzy marzą tylko o tym, by zostać męczennikami. O, proszę, właśnie przyszło mi na myśl, że purytanie oszaleli z nienawiści do księcia Buckingham, a ich kaznodzieje uważają go za antychrysta.
- A zatem? - rzekła Milady.
- A zatem - ciągnął kardynał obojętnie - chodzi w tej chwili tylko o to, by znaleźć na przykład kobietę piękną, młodą, zręczną, która ma osobiste powody, by pragnąć zemsty na księciu. Taką kobietę można znaleźć: książę jest człowiekiem mającym powodzenie u niewiast i jeśli obudził miłość w jednym sercu, zapewniając o swej stałości, posiał też zapewne dużo nienawiści swoją niewiernością.

- Bez wątpienia - rzekła zimno Milady - taka kobietę można by znaleźć.
 - Wkładając nóż Jacques'a Clementa** czy Ravaillaca do ręki fanatyka, ta kobieta uratowałaby Francję.
 - Tak, ale stałaby się współniczką zabójcy.
 - Alboż znano współników Ravaillaca czy Jacques'a Clementa?
 - Nie, może jednak byli zbyt wysoko, by ośmielono się ich tknąć, nie dla każdego spalono by Pałac Sprawiedliwości, Wasza Dostojność.
 - Czy pani sądzi, że pożar pałacu ma inną przyczynę niż przypadek? – zapytał Richelieu tonem tak niedbałym, jakby pytał o rzecz najbłahszą.
- * Mowa o zabójstwie króla Henryka IV, dokonany przez Ravaillaca.
- ** Jacques Clement, zabójca króla Henryka III.
- Ja, Wasza Dostojność, nic nie sądzę, przytaczam fakt, oto wszystko; mówię tylko, że gdybym się nazywała panna de Montpensier albo Maria Medycejska, byłabym mniej ostrożna niż nazywając się lady Ciarick.
 - To prawda - rzekł Richelieu - czegoż więc pani chce?
 - Chcę rozkazu, który usprawiedliwiłby z góry wszystko, co uczynię dla dobra Francji.
 - Ale najpierw trzeba znaleźć kobietę, która miałaby powody mścić się na księciu.
 - Już ją znalazłam - rzekła MUady.
 - Następnie owego nieszczęsnego fanatyka, który stanie się narzędziem sprawiedliwości bożej.
 - I ten się znajdzie.
 - Wówczas będzie czas żądać rozkazu, o który prosiła pani przed chwilą - rzekł kardynał.
 - Wasza Eminencja ma słuszność - rzekła Milady - popełniłam błąd dopatrując się w misji, jaką mnie Wasza Eminencja zaszczycyca, czego innego niż jest w niej w istocie. Mam więc oznajmić księciu w imieniu Waszej Eminencji, że znasz różne przebrania, pod którymi udało mu się zbliżyć do królowej podczas balu wydanego przez panią marszałkową; że masz dowody schadzki wyznaczonej w Luwrze przez królową pewnemu astrologowi włoskiemu, którym był nie kto inny jak książę Buckingham; że Wasza Dostojność zamówił mały i wielce pocieszny romans o przygodzie w Amiens wraz z planem

ogrodu, gdzie wszystko się odbyło, i portretami aktorów sceny; że Montaigu jest w Bastylii i że tortury mogą go zmusić do powiedzenia tego, co sobie przypomni, a nawet tego, co zapomniał; że Wasza Dostojność posiada pewien list pani de Chevreuse, znaleziony w kwaterze Jego Wysokości, a ów list osobliwie kompromituje nie tylko autorkę listu, ale również osobę, w imieniu której został napisany. Jeśli po tym będzie upierał się nadal, ponieważ moje zadanie ogranicza się do tego, co powiedziałam, pozostanie mi tylko prosić Boga, by cudem uratował Francję. To wszystko, Wasza Dostojność, nie mam nic więcej do zrobienia?

- Tak - rzekł oschle kardynał.

- A teraz - mówiła Milady udając, że nie zauważyła zmiany w tonie księcia kardynała - a teraz, kiedy otrzymałam instrukcje Waszej Eminencji, dotyczące jego wrogów, Wasza Dostojność pozwoli mi powiedzieć kilka słów o moich?

- Pani ma wrogów? - zapytał Richelieu.

- Tak, Wasza Dostojność. Wrogów, przeciwko którym winien mi jesteś swą pomoc, ponieważ przysporzyłam ich sobie służąc Waszej Eminencji.

- A jakich to wrogów?

- Przede wszystkim ta mała intrygantka Bonacieux.

- Jest w więzieniu w Mantes.

- To znaczy była tam, ale królowa uzyskała od króla rozkaz i na jego mocy przeniesiono ją do klasztoru.

- Do klasztoru? - rzekł książę kardynał.

- Tak, do klasztoru.

- A do jakiego?

- Nie wiem, tajemnica jest dobrze strzeżona.

- Ale ja będę wiedział!

- I Wasza Eminencja powie mi, w jakim klasztorze jest ta kobieta?

- Nie widzę przeszkód - rzekł kardynał.

- Dobrze. Poza tym mam nieprzyjaciela znacznie bardziej groźnego niż ta biedna pani Bonacieux.

- Któż to?

- Jej kochanek.
- Jak się nazywa?
- O, Wasza Eminencja zna go dobrze - zawołała Milady w gniewie - to zły geniusz nas obojga; ten sam, co w spotkaniu z gwardzistami Waszej Eminencji przechylił zwycięstwo na stronę muszkietierów królewskich; ten, co zadał trzy ciosy szpadą twemu wysłannikowi, panu de Wardes, i obrócił wniwecz nasze plany dotyczące spinek diamentowych; ten wreszcie, co wiedząc, że ja porwałam panią Bonacieux, zaprzysiął mi śmierć.
- Ach, ach, wiem, o kim pani mówi - rzekł kardynał.
- Mówię o tym nędzniku d'Artagnanie.
- To odważny człowiek - powiedział kardynał.
- Właśnie dlatego, że jest odważny, należy się go tym bardziej obawiać.
- Trzeba mieć dowód, że porozumiewał się z Buckinghamem.
- Dowód? - zawołała Milady. - Będę miała dziesięć dowodów.
- Dobrze więc, to najprostsza rzecz w świecie; jeśli będzie pani miała dowody, wyprawię go do Bastylji.
- Tak jest, Wasza Dostojność. Ale co potem?
- Kiedy jest się w Bastylji, nie ma żadnego potem - rzekł kardynał głuchym głosem. - Ach, do licha, gdyby mi było równie łatwo pozbyć się mego wroga, jak łatwo mi pozbyć się twoich, i gdyby chodziło tylko o takich ludzi jak ci, przeciw którym prosisz mnie o bezkarność!
- Wasza Dostojność - powiedziała Milady - wet za wet, życie za życie, człowiek za człowieka; daj mi tego, ja dam ci tamtego!
- Nie wiem, co pani ma na myśli - rzekł kardynał - i nie chcę wiedzieć; ale pragnę sprawić pani przyjemność i nie widzę przeszkód, by dać ci to, czego żądasz, jeśli idzie o tak nikczemnego człowieka, tym bardziej że, jak mi powiadasz, d'Artagnan to libertyn, zabijaka, zdrajca.
- Nikczemnik, Wasza Dostojność, nikczemnik!
- Zechciej tedy, pani, dać mi papier, pióra i atrament - rzekł kardynał.

- Proszę, Wasza Dostojność.

Na chwilę zapanowała cisza; kardynał zastanawiał się widać nad słowami, jakich ma użyć. Atos, który nie stracił ani słowa z rozmowy, wziął swych towarzyszy za ręce i zaprowadził ich w drugi kąt pokoju.

- Czego chcesz? - rzekł Portos. - Dlaczego nie pozwalasz nam wysłuchać do końca?

- Pst! - rzekł Atos cicho. - Wysłuchaliśmy wszystkiego, co trzeba; zresztą nie przeszkadzam wam słuchać dalej, ale ja muszę wyjść.

- Musisz wyjść! - rzekł Portos - ale co odpowiemy, jeśli kardynał będzie pytał o ciebie?

- Nie będziecie czekać, aż zapyta, powiecie mu pierwsi, iż pojechałem na zwiady, ponieważ ze słów oberżysty domyśliłem się, że droga nie jest bezpieczna. Powiem o tym również giermkowi kardynała; zresztą zdaj się na mnie i nie martw się.

- Bądź ostrożny, Atosie! - rzekł Aramis.

- Bądź spokojny - odparł Atos - wiesz przecież, że mam zimną krew.

Portos i Aramis wrócili na swe miejsce przy rurze od pieca.

Atos wyszedł, najspokojniej w świecie odwiązał swego konia, który wraz z końmi jego przyjaciół stał przy okiennicy, przekonał w kilku słowach giermka o konieczności zbadania drogi przed powrotem, sprawdził starannie pistolet, wziął szpadę w zęby i ruszył co koń wyskoczy drogą wiodącą do obozu.

XV.

SCENA MAŁŻEŃSKA

Jak przypuszczał Atos, kardynał zszedł wkrótce; otworzył drzwi do pokoju, gdzie znajdowali się muszkietierowie, i zobaczył Portosa grającego z zapalem w kości z Aramisem. Szybkim spojrzeniem ogarnął całą salę i stwierdził, że brak jednego z ludzi.

- Co się stało z panem Atosem? - zapytał.

- Wasza Dostojność - odparł Portos - pojechał na zwiady, ponieważ ze słów naszego oberżysty mógł wywnioskować, że droga nie jest bezpieczna.

- A tyś co robił, mości Portosie?

- Wygrałem pięć pistoli od Aramis.

- Wróćcie ze mną.

- Jesteśmy na rozkazy Waszej Eminencji.

- Na koń, panowie; jest już późno.

Giermek stał przy bramie trzymając za uzdę konia kardynała. Nieco dalej grupa złożona z dwóch ludzi i trzech koni rysowała się w ciemnościach; byli to ci sami ludzie, którzy mieli odprowadzić Milady do fortu La Pointe i nie odstępować od niej, aż wsiądzie na statek.

Giermek potwierdził słowa dwóch muszkieterów o odjeździe Atosa. Kardynał skinął głową i ruszył zachowując te same środki ostrożności, co poprzednio.

Pozwólmy mu jechać drogą do obozu, pod osłoną giermka i dwóch muszkieterów, i wróćmy do Atosa.

Atos ujechał jakie sto kroków nie zmieniając biegu konia, ale kiedy był już pewien, że go nie widać, skręcił w prawo, zatoczył półkole i cofnął się o dwadzieścia kroków do lasu, by śledzić przejazd małej grupy; kiedy rozpoznał kapelusze swych towarzyszy i złotą frędzlę przy płaszczu pana kardynała, zczekał, aż jeźdźcy znikną za zakrętem drogi: straciwszy ich z oczu powrócił galopem do oberży; wpuszczono go od razu.

Oberżysta rozpoznał Atosa.

- Mój dowódca - rzekł Atos - zapomniał dać damie z pierwszego piętra ważne zlecenie i przysłała mnie, bym to uczynił.

- Niech pan wejdzie - rzekł gospodarz - dama jest jeszcze w swoim pokoju. Atos skorzystał z pozwolenia i wszedł lekkim krokiem na schody; z podestu ujrzał przez uchylone drzwi Milady, która wkładała kapelusz.

Wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

Na odgłos zasuwanego rygla Milady odwróciła się.

Atos stał przy drzwiach owinięty w płaszcz, z kapeluszem nasuniętym na oczy.

Widząc tę postać milczącą i nieruchomą jak posąg, Milady poczuła strach.

- Kim pan jesteś i czego chcesz ode mnie? - zawołała.

- Tak, to ona! - szepnął Atos.

Odrzucił płaszcz, zdjął kapelusz i zbliżył się do Milady.

- Czy poznajesz mnie, pani? - rzekł.

Milady postąpiła krok naprzód, potem cofnęła się jak na widok węża.

- Hrabia de La Fere! - wyjąkała blednąc i cofając się aż do ściany.

- Tak, Milady - odparł Atos. - Hrabia de La Fere we własnej osobie przybywa umyślnie z tamtego świata, by mieć przyjemność zobaczenia pani. Siadajmy więc i porozmawiajmy, jak powiada Jego Dostojność pan kardynał.

Milady ogarnięta nieopisanym przerażeniem usiadła nie mogąc wymówić słowa.

- Jesteś pani demonem zesłanym na ziemię! - rzekł Atos. - Twoja potęga jest wielka, wiem o tym; ale wiesz również, że z pomocą bożą ludzie zwyciężali nieraz najstraszliwsze demony. Znalazłaś się już kiedyś na mojej drodze i byłem pewien, że cię zgniotłem, ale albo się mylę, albo piekło cię wskrzesiło.

Na te słowa, które przywodziły jej na pamięć straszliwe wspomnienia, Milady opuściła głowę z głuchym jękiem.

- Tak, piekło cię wskrzesiło - ciągnął Atos - piekło obdarzyło cię bogactwem, piekło dało ci inne nazwisko, piekło odmieniło ci niemal twarz; ale nie zatarło ani plam na twojej duszy, ani piętna na twoim ciele.

Milady wstała jak poruszona sprężyną, oczy jej ciskały błyskawice. Atos siedział dalej.

- Sądziła pani, że nie żyję, ja tak samo myślałem o tobie. Pod imieniem Atosa ukrył się hrabia de La Fere, jak lady Ciarick przysłoniła Annę de Bueil! Prawda, że tak się nazywałaś, gdy twój czcigodny brat dał nam ślub? Jesteśmy doprawdy w dziwacznej sytuacji - ciągnął Atos ze śmiechem. - Żyliśmy dotychczas oboje tylko dlatego, że uważaliśmy siebie za umarłych; wspomnienie mniej jest przykre niż żywa istota, choć i wspomnienia bywają czasem rozdzierające!

- Ale w końcu - rzekła Milady głuchym głosem - co pana do mnie sprowadza? I czego pan chce ode mnie?

- Chcę pani powiedzieć, że choć byłem niewidoczny, nie straciłem cię z oka!

- Pan wie, co robiłam?

- Mogę opowiedzieć wszystko dzień po dniu, od chwili gdy wstąpiła pani na służbę do kardynała, aż

po dzisiejszy wieczór.

Uśmiech niewiary przebiegł po bladych ustach Milady.

- Posłuchaj: to pani odcięła dwie spinki diamentowe z ramienia księcia Buckingham; to pani porwała panią Bonacieux; to pani, zakochana w hrabim de Wardes, myśląc, że z nim spędzisz noc, otworzyłaś drzwi panu d'Artagnanowi; to pani, przekonana, że de Wardes cię zdradził, podzegałaś do zabójstwa

jego rywala; to pani, gdy ów rywal odkrył twój haniebny sekret, chciałaś zabić jego z kolei rękami dwóch opryszków, których wysłałaś za nim; to pani, widząc, że kulg chybiły celu, posłałaś mu zatrute wino ze sfałszowanym listem, aby twa ofiara uwierzyła, że wino pochodzi od jego przyjaciół; to pani wreszcie, w tym samym pokoju, siedząc na tym samym krześle, na którym ja siedzę, zawarłaś z kardynałem Richelieu pakt, obiecując zamordować księcia Buckingham, w zamian za co będziesz mogła zabić bezkarnie d'Artagnana.

Milady była sina.

- Jesteś więc szatanem? - rzekła.

- Być może - odparł Atos - ale tak czy inaczej wysłuchaj mnie, pani, uważnie; zamorduj lub każ zamordować księcia Buckingham, mało mnie to obchodzi; nie znam go, zresztą to Anglik. Ale nie waż się strącić włosa z głowy d'Artagnana, mego wiernego przyjaciela, którego kocham i którego bronię; w przeciwnym razie, przysięgam ci na pamięć mego ojca, że będzie to twoja ostatnia zbrodnia.

- Pan d'Artagnan obraził mnie okrutnie - powiedziała Milady głuchym głosem - pan d'Artagnan umrze.

- Doprawdy, czy dobrze słyszę, można cię obrazić, pani? - rzekł ze śmiechem Atos. - Obrził panią i umrze!

- Umrze - mówiła dalej Milady. - Ona naprzód, on potem.

Atos poczuł, że ogarnia go szaleństwo. Widok tej istoty, w której nie było nic z kobiety, przywodził mu na pamięć rozzierające wspomnienia. Pomyślał sobie, że ongi, w sytuacji mniej niebezpiecznej niż teraz, chciał już ją poświęcić dla swego honoru; powróciło palące pragnienie zabójstwa jak straszliwa gorączka; wstał, sięgnął do pasa, wyciągnął pistolet i nabił go.

Milady, blada jak trup, chciała krzyknąć, ale skołowaciały język nie pozwolił jej wyrzec słowa, wydała tylko ochrypy dźwięk, który nie miał w sobie nic

ludzkiego i przypominał pomruk drapieżnego zwierzęcia; na tle ciemnego

obicia ściany, z włosami w nieładzie, była niczym straszliwy obraz przerażenia.

Atos podniósł powoli pistolet, wyciągnął rękę tak, że broń dotykała niemal czoła Milady, potem głosem tym straszniejszym, że brzmiał w nim spokój niezłomnego postanowienia, rzekł:

- Oddasz mi w tej chwili papier, który podpisał ci kardynał, albo, na mą duszę, roztrzaskam ci głowę.

Gdyby Milady miała przed sobą innego człowieka, mogłaby powątpiewać, ale знаła Atosa; jednakże nie ruszyła się z miejsca.

- Masz pani sekundę na powzięcie decyzji - powiedział.

Milady patrząc na skurczone rysy jego twarzy zrozumiała, że wystrzeli; podniosła szybko rękę do piersi, wyjęła papier i podała go Atosowi.

- Bierz - rzekła - i bądź przeklęty!

Atos wziął papier, włożył pistolet za pas, podszedł do lampy, by się upewnić, czy nie ma omyłki, otworzył pismo i przeczytał:

„Z mojego rozkazu i dla dobra Państwa właściciel tego dokumentu uczynił to, co uczynił.

3 grudnia 1627.

Richelieu”

- A teraz - rzekł Atos biorąc płaszcz i kładąc kapelusz na głowę - a teraz, kiedy wyrwałem ci zęby, zmijsz, kłaj, jeśli potrafisz.

I wyszedł z pokoju nie oglądając się nawet za siebie.

Przy bramie znalazł dwóch ludzi, trzymających konia za uzdę.

- Panowie - rzekł - jak wam wiadomo, zgodnie z rozkazem Jego Dostojności macie odprowadzić tę kobietę do fortu La Pointę i nie opuszczać jej, aż znajdzie się na pokładzie.

Ponieważ te słowa potwierdzały otrzymany rozkaz, tamci skłonili się na znak zgody.

Atos wskoczył lekko na siodło i ruszył galopem, ale zamiast jechać drogą, popędził na przełaj przez pole, bodąc konia ostrogami i od czasu do czasu zatrzymując się, by nasłuchiwać.

Podczas jednego z tych krótkich postojów usłyszał na drodze stąpanie kilku koni. Był pewien, że to kardynał i jego eskorta. Natychmiast skoczył do przodu, wytarł wrzosem i liśćmi konia, i stanął w poprzek drogi, w odległości dwustu kroków od obozu.

- Kto jedzie? - zawołał z daleka, ujrawszy jeźdźców.

- To zapewne nasz dzielny muszkieter - rzekł kardynał.

- Tak, Wasza Dostojność, on sam - odparł Atos.

- Mości Atosie - rzekł Richelieu - zechciej przyjąć moje podziękowanie za dobrą służbę. Panowie, przybyliśmy na miejsce: wjedźcie bramą na lewo, hasło; Król i Re.

Mówiąc te słowa, kardynał skinął głową trzem przyjaciółom i ruszył w prawo w towarzystwie swojego giermka; tej nocy spał w obozie.

- I cóż - rzekli jednocześnie Portos i Aramis, kiedy kardynał był już dość daleko - podpisał papier, jak żądała!

- Wiem o tym - powiedział spokojnie Atos - oto on.

Trzej przyjaciele nie powiedzieli ani słowa aż do swej kwatery, podając jedynie hasło wartom.

Posłano tylko Mousquetona do Plancheta, by jego pan natychmiast po powrocie zjawił się u muszkieterów:

Tymczasem Milady, jak to przewidział Atos, bez żadnego sprzeciwu odjechała w towarzystwie ludzi, którzy na nią czekali. Przez chwilę miała ochotę udać się do kardynała i powiedzieć mu wszystko, ale wiedziała, że jeśli zacznie mówić, przemówi też i Atos: jeśli powie, że Atos ją powiesił, Atos powie, że jest napiętnowana; pomyślała więc, że lepiej będzie zachować milczenie, wyjechać po cichu, wypełnić z właściwą sobie zręcznością trudne zadanie, a potem, gdy wszystko stanie się wedle woli kardynała, przyjść do niego i zażądać zemsty.

Po całonocnej jeździe o siódmej rano była w forcie La Pointe, a o ósmej znajdowała się na pokładzie; o dziewiątej statek zaopatrzony w listy polecające kardynała i mający rzekomo odpłynąć do Bayonne podniósł kotwicę i skierował się ku brzegom Anglii.

XVI.

BASTION ŚWIĘTEGO GERWAZEGO

D Artagnan zastał czekających nań trzech przyjaciół: Atos rozmyślał, Portos podkręcał wąsa, a Aramis odmawiał godzinki z prześlicznego modlitewnika oprawionego w niebieski aksamit.

- Do licha, panowie - rzekł - mam nadzieję, że to, co macie mi do powiedzenia, warte jest zachodu, w przeciwnym razie nie wybaczę wam, żeście mnie tu sprowadzili, zamiast pozwolić mi wypocząć po nocy spędzonej na zdobywaniu i burzeniu murów bastionu. Ach, że też nie byliście tam, panowie! Było gorąco!

- Byliśmy gdzie indziej, gdzie też nie było zimno - odparł Portos nie przestając podkręcać wąsa, by nadać mu kształt właściwy.

- Pst! - rzekł Atos.

- Ho, ho - rzekł d'Artagnan, pojmując, co oznacza lekkie zmarszczenie brwi muszkietera - zdaje się, że wydarzyło się coś nowego.

- Aramisie - powiedział Atos - jadłeś przedwczoraj obiad w oberży „Pod Heretykiem”, co?

- Tak.

- Jak tam jest?

- Nie byłem zachwycony; przedwczoraj przypadał dzień postu, a mieli tylko mięso.

- Jak to - spytał Atos - w porcie nie mają ryb?

- Powiadają - odparł Aramis zabierając się do swojej nabożnej lektury – że tama, którą kazał zbudować pan kardynał, wypłasza ryby na pełne morze.

- Ale nie o to cię przecie pytam, Aramisie - mówił dalej Atos. - Pytam, czy czułeś się tam swobodnie, czy nikt ci nie przeszkadzał?

- Zdaje mi się, że nie naprzykrzano nam się zbyt; tak, w samej rzeczy, Atosie, jeśli o to ci idzie, oberża „Pod Heretykiem” jest nie najgorsza.

- Chodźmy więc do tej oberży - rzekł Atos - ściany są tu cienkie jak papier.

D'Artagnan, który był przyzwyczajony do sposobu bycia przyjaciela i który z jednego jego słowa, gestu, znaku zrozumiał, że sytuacja jest poważna, wziął Atosa pod rękę i wyszedł z nim, nie mówiąc słowa; Portos i Aramis ruszyli w ich ślady.

Po drodze spotkali Grimauda; Atos dał mu znak, by im towarzyszył. Grimaud wedle swego zwyczaju usłuchał bez słowa; biedny chłopiec niemal oduczył się mówić.

Udali się do oberży „Pod Heretykiem”. Była siódma rano, robiło się jasno. Trzej przyjaciele

zamówili śniadania i weszli do sali, gdzie wedle zapewnień oberżysty nikt nie będzie im przeszkadzał.

Niestety, pora była źle wybrana na tajne zebranie, zagrano już na pobudkę, ludzie otrząsali sen z powiek i by rozgrzać się nieco, powietrze bowiem było pełne wilgoci, szli na szklaneczkę do oberży: dragoni, Szwajcarzy, gwardziści, muszkietierowie, lekka jazda wchodzili i wychodzili z szybkością, która bardzo sprzyjała interesom oberżysty, ale plątała szyki czterem przyjaciółom. Odpowiadali więc z niechęcią na pozdrowienia, toasty i żarty kolegów.

- Zdaje mi się - rzekł Atos - że nie obejdzie się tu bez kłótni, a tego nam teraz nie trzeba. D'Artagnanie, powiedz nam, jak spędziłeś noc, my opowiemy ci potem.

- W samej rzeczy - rzekł jakiś kawalerzysta z lekkiej jazdy; trzymał w ręce szklanę z wódką i popijał powoli, kołysząc się na strony - w samej rzeczy, byliście w okopie tej nocy, panowie gwardziści, i zdaje się, doszło do awantury z roszelczykami?

D'Artagnan spojrział na Atosa, jakby pytał, czy ma odpowiedzieć temu zuchwalcowi, który wtrąca się do rozmowy.

- D'Artagnanie - rzekł Atos - czy nie słyszysz, że pan de Busigny był łaskaw zaszczyć cię pytaniem? Odpowiedz, co się zdarzyło tej nocy, skoro panowie chcą się dowiedzieć.

- Czy to prawda, że stopyliście bastion? - zapytał Szwajcar, pijąc rum z kufła do piwa.

- Tak, panie - odparł d'Artagnan z ukłonem - przypadł nam ten zaszczyt w udziale; udało się nam nawet, jak zapewne słyszałeś, umieścić pod pewnym miejscem baryłkę prochu, który wybuchając uczynił wcale ładny wyłom; nie mówiąc już o tym, że bastion jest stary, więc i reszcie budowli nieźle się dostało.

- Jaki bastion? - zapytał dragon trzymając w ręce szablę z nadzianą nań gęsią, którą miał zamiar upiec.

- Bastion Świętego Gerwazego - odparł d'Artagnan - ten sam, z którego roszelczycy nękali naszych ciurów.

- Cóż, było gorąco?

- I owszem, straciliśmy pięciu ludzi, a roszelczycy ośmiu czy dziesięciu.

- Tam do diabła! - rzekł Szwajcar, który nie zważając na to, że język niemiecki posiada piękny zbiór przekleństw, miał zwyczaj kląć po francusku.

- Jest jednak prawdopodobne - powiedział kawalerzysta - że przyślą dziś swoich ludzi, by naprawić bastion.
- Tak, to być może - rzekł d'Artagnan.
- Panowie - rzekł Atos - idę o zakład!
- Topsze, topsze, zakład! - rzekł Szwajcar.
- A jakież to zakład? - zapytał kawalerzysta.
- Poczekajcie - powiedział dragon kładąc szablę niczym rożen na żelaznych wilkach kuchennego komina - zaraz. Utrapiiony oberzysto, daj mi tu piorunem patelnię, żebym nie uрониł ani kropli tłuszczu tego zacnego ptaka.
- Topsze gada - rzekł Szwajcar - smalec gęsi jest bardzo topny z konfiturami.
- Gotowe - rzekł dragon. - A teraz kolej na zakład. Słuchamy, panie Atosie.
- Tak, zakład! - powiedział kawalerzysta.
- A więc, mości Busigny, idę o zakład z tobą - rzekł Atos - że moi trzej towarzysze, panowie Portos, Aramis, d'Artagnan oraz ja sam zjemy śniadanie w bastionie Świętego Gerwazego i będziemy się tam trzymać przez godzinę z zegarkiem w ręce, cokolwiek nieprzyjaciół przeciw nam uczyni.

Portos i Aramis spojrzeli po sobie; zaczęli rozumieć.

- Widzę - rzekł d'Artagnan nachylając się do ucha Atosa - że zmierzasz do tego, by zabito nas bez litości.
- Zginiemy jeszcze snadniej - odparł Atos - jeśli zostaniemy tutaj.
- Na honor, panowie - rzekł Portos rozpierając się w krześle i podkrecając węża - oto mi piękny zakład.
- I przyjmuję go - rzekł pan de Busigny - tylko ustalmy, o co się zakładamy.
- Jest was czterech, panowie, i nas czterech; obiad jak się patrzy na osiem osób, zgoda?
- Wybornie - rzekł pan de Busigny.
- Znakomicie - rzekł dragon.
- To mi się potopa! - rzekł Szwajcar.

Czwarty z obecnych, który do całej tej rozmowy nie wtrącił się ani słowem, skinął głową na znak zgody.

- Śniadanie dla panów jest gotowe - rzekł oberżysta.

- Dobrze, przynieś je - powiedział Atos.

Oberżysta usłuchał. Atos wezwał Grimauda, pokazał mu wielki koszyk, który stał w kącie pokoju, i dał mu do zrozumienia gestem, że ma zawinąć w serwetki przyniesione mięsiwa.

Grimaud zrozumiał w lot, że panowie chcą śniadać na wolnym powietrzu; wziął koszyk, zapakował mięsiwa i butelki, po czym postawił sobie koszyk na ramieniu.

- Ale gdzie panowie zamierzają jeść śniadanie? - zapytał oberżysta.

- Cóż cię to obchodzi - odparł Atos - skoro płacimy? - I rzucił dostojnym gestem dwa pistole na stół.

- Czy mam wydać resztę, panie oficerze? - rzekł oberżysta.

- Nie, dodaj tylko dwie butelki szampana, reszta dla ciebie.

Oberżysta zrozumiał, że interes nie będzie tak dobry, jak mu się zrazu wydawało, ale powetował to sobie dając czterem biesiadnikom dwie butelki wina z Anjou zamiast dwóch butelek szampana.

- Panie de Busigny - powiedział Atos - czy nie zechciałbyś nastawić zegarka wedle mojego albo pozwolić mi nastawić mój wedle twego?

- Z chęcią, panie - rzekł kawalerzysta, wyciągając z kaftana piękny zegarek ozdobiony brylantami - jest wpół do ósmej.

- Siódma trzydzieści pięć - rzekł Atos - zapamiętamy, że mój zegarek śpieszy się o pięć minut.

Czterej młodzi ludzie skłonili się zdumionej kompanii i skierowali do bastionu Świętego Gerwazego w towarzystwie Grimauda, który niósł koszyk nie wiedząc, dokąd idzie, ale przyzwyczajony przez Atosa do ślepego posłuszeństwa, nie pomyślał nawet o tym, by zapytać.

Dopóki znajdowali się w obrębie obozu, przyjaciele nie zamienili ani słowa; zresztą szli za nimi ciekawscy którzy znali warunki zakładu i chcieli wiedzieć, jak też sobie poradzą. Kiedy jednak przekroczyli linię obwarowań i znaleźli się w polu, d'Artagnan, który nie miał pojęcia, o co chodzi, pomyślał, że nadszedł czas, by zażądać wyjaśnień.

- A teraz, mój drogi Atosie - rzekł - bądź łaskaw powiedzieć mi, dokąd idziemy?

- Widzicie przecie - odparł Atos - że idziemy do bastionu.
- Ale co będziemy tam robić?
- Wiesz przecie, że będziemy śniadać.
- Dlaczego jednak nie mogliśmy zjeść śniadania „Pod Heretykiem”?
- Dlatego że mamy sobie ważne rzeczy do powiedzenia, a niepodobna rozmawiać ani pięciu minut w oberży, wśród tych wszystkich natrętów, co przychodzą, wychodzą, witają, zaczepiają; tu przynajmniej - rzekł Atos wskazując bastion - nikt nam nie przeszkodzi.
- Wydaje mi się - powiedział d'Artagnan z ową przezornością, która tak wybornie szła w parze z jego wielką odwagą - wydaje mi się, że mogliśmy znaleźć jakieś ustronne miejsce na wydmach, na brzegu morza.
- Gdzie widziano by nas wszystkich czterech pochłoniętych rozmową i w kwadrans potem kardynał byłby powiadomiony przez swoich szpiegów, że odbywamy radę.
- Tak - rzekł Aramis. - Atos ma rację: Arumadvertuntur in desertis.
- Pustynia nie byłaby najgorsza - powiedział Portos - ale jak ją znaleźć?
- Nie ma takiego pustkowia, gdzie ptak nie przeleci nad głową, ryba nie wyskoczy z wody, zając nie wybiegnie z ukrycia, a sędzę, że ptak, ryba i zając zaciągnęli się na szpiegów do kardynała. Lepiej więc zrobić to, cośmy zamyślili, zresztą nie mogliśmy się teraz wycofać bez wstydu. Założyliśmy się zgoła nieoczekiwanie i zapewniam was, że nikt nie dojdzie prawdziwej przyczyny zakładu; żeby wygrać, spędzimy godzinę w bastionie. Albo zostaniemy zaatakowani, albo nie: jeśli nas nie zaatakują, będziemy mieli czas na rozmowę i nikt nas nie usłyszy, ręczę bowiem za to, że mury tego bastionu nie mają uszu; jeśli nas zaatakują, będziemy mówić i tak o naszych sprawach, a walcząc okryjemy się sławą. Widzisz więc, że same stąd płyną korzyści.
- Tak - rzekł d'Artagnan - ale kula nas na pewno nie ominie.
- Ach, mój drogi - rzekł Atos - wiesz dobrze, że kule nieprzyjaciela nie są najgroźniejsze.
- Ale wydaje mi się, że na taką wyprawę powinniśmy byli przynajmniej zabrać muszkiety.
- Jesteś głupcem, przyjacielu Portosie. Po cóż mielibyśmy się obarczać zbytecznym ciężarem?
- Nie uważam, żeby dobry muszkiet odpowiedniego kalibru, dwanaście naboń i gruszka z prochem były zbyteczne w obliczu nieprzyjaciela.
- Czy nie słyszałeś, co mówił d'Artagnan?

- A co mówił d'Artagnan? - zapytał Portos.

- D'Artagnan mówił, że podczas ataku w nocy zginęło ośmiu czy dziesięciu Francuzów i tyluż roszelczyków.

- No więc?

- Nie było czasu, by ich złupić, prawda? Ludzie mieli pilniejszą robotę.

- I co z tego?

- Znajdziemy więc ich muszkiety, ich gruszki z prochem i ich naboje i zamiast czterech muszkietów i dwunastu kul będziemy mieli piętnaście muszkietów i sto kul.

- O, Atosie! - rzekł Aramis - jesteś naprawdę wielkim człowiekiem!

Portos schylił głowę na znak zgody.

Tylko d'Artagnan, jak się zdawało, nie był przekonany.

Niewątpliwie Grimaud podzielał obawy młodzieńca; choć nie ustawano w marszu ku bastionowi, nie mógł mimo wszystko uwierzyć, że tam zmierzają, i pociągnął swego pana za połę.

- Dokąd idziemy? - zapytał gestem.

Atos wskazał mu bastion.

- Wszelako - mówił wciąż tym samym sposobem cichy Grimaud – zapłacimy za to głową.

Atos podniósł oczy i palec ku niebu.

Grimaud postawił koszyk na ziemi i usiadł zwieszając głowę.

Atos wyciągnął pistolet zza pasa, sprawdził, czy jest dobrze podsypyany, nabił i zbliżył lufę do Grimauda.

Grimaud skoczył na równe nogi.

Atos dał mu znak, by wziął koszyk i ruszył przodem.

Grimaud usłuchał.

Jedyną korzyścią, jaką wyniósł Grimaud z tej krótkiej pantomimy, była zamiana miejsca w

pochodzie: teraz szedł z przodu zamiast z tyłu.

Gdy czterej przyjaciele znaleźli się przy bastionie, spojrzeli za siebie.

Ponad trzystu żołnierzy rozmaitych broni zgromadziło się u bramy obozu; w oddzielnej grupie można było zauważyć pana de Busigny, dragona, Szwajcara i ich czwartego kolegę.

Atos zdjął kapelusz, umieścił go na ostrzu szpady i poruszył nim w powietrzu. Widzowie oddali mu pozdrowienie, któremu towarzyszyło głośnie „hurra”.

Za czym wszyscy czterej znikli w bastionie, gdzie był już Grimaud.

XVII.

NARADA MUSZKIETERÓW

Zgodnie z przewidywaniami Atosa w bastionie znaleźli tylko tuzin trupów, Francuzów i roszelczyków.

- Panowie - rzekł Atos, który objął dowództwo wyprawy - gdy Grimaud będzie nakrywał do śniadania, zbierzemy muszkiety i naboje; możemy zresztą rozmawiać w czasie tej pracy. Ci panowie nas nie słyszą - dodał wskazując na trupy.

- Możemy jednak rzucić trupy do fosy - rzekł Portos - upewniwszy się wpierw, że nie mają nic w kieszeniach.

- Tak - rzekł Atos - to robota dla Grimauda.

- Dobrze - rzekł d'Artagnan - niechaj Grimaud przejrzy kieszenie i zrzuci ich przez mury.

- Niechaj nas Bóg uchwata - powiedział Atos - mogą nam się przydać.

- Trupy mogą nam się przydać? - rzekł Portos. - Oszalałeś chyba, przyjacielu!

- Nie sądzicie zbyt pochopnie, jak powiada Ewangelia i pan kardynał - odparł Atos. - Ile mamy muszkietów, panowie?

- Dwanaście - odparł Aramis.

- Ile można oddać z nich strzałów?

- Sto.

- Właśnie tyle nam trzeba. Naładujmy broń.

Czterej muszkietierowie zabrali się do pracy. Kiedy kończyli nabijać ostatni muszkiet, Grimaud dał znak, że śniadanie czeka.

Atos odparł gestem, że są gotowi, i wskazał Grimaudowi coś w rodzaju wieżyczki, gdzie służący miał stanąć na warcie. Żeby osłodzić Grimaudowi zadanie, Atos pozwolił mu zabrać chleb, dwa kotlety i butelkę wina.

- A teraz do stołu - rzekł Atos.

Czterej przyjaciele usiedli na ziemi, z nogami skrzyżowanymi jak Turcy lub krawcy.

- A teraz - powiedział d'Artagnan - kiedy już możesz być pewien, że nikt cię nie usłyszy, spodziewam się, że zdradzisz nam swoją tajemnicę.

- Mam nadzieję, że sprawiłem wam przyjemność i dałem zarazem okazję do zdobycia sławy. Wybraliście się na uroczą przechadzkę; oto wspaniałe śniadanie, z obozu, jak możecie to zauważyć przez otwory strzelnicze, patrzy na nas pięciuset ludzi, uważając nas za szaleńców lub bohaterów, dwa rodzaje głupców dość do siebie podobnych.

- Ale ta tajemnica? - rzekł d'Artagnan.

- Tajemnica - odparł Atos. - Otóż widziałem się wczoraj wieczór z Milady.

D'Artagnan podnosił właśnie szklankę do ust, ale na słowo „Milady” ręka zadrżała mu tak mocno, że postawił szklankę na ziemi, żeby nie rozlać wina.

- Widziałeś swoją żo...

- Cicho! - przerwał Atos - zapominasz, mój drogi, że ci panowie nie znają tak dobrze jak ty moich spraw rodzinnych; widziałem się z Milady.

- Gdzie? - zapytał d'Artagnan.

- W oberży „Pod Czerwonym Gołębnikiem”, w odległości mniej więcej dwóch mil stąd.

- W takim razie jestem zgubiony - rzekł d'Artagnan.

- Niezupełnie jeszcze - ciągnął Atos. - W tej chwili bowiem opuściła już zapewne Francję.

D'Artagnan odetchnął.

- Ale niechże się dowiem wreszcie - rzekł Portos - kto to jest ta Milady?

- To czarująca kobieta - rzekł Atos, kosztując musującego wina. - Co za łotr z tego oberżysty - zawołał - daje nam wino z Anjou zamiast szampana i myśli, że się nie poznamy! Tak - ciągnął - czarująca kobieta, która wielce była łaskawa dla naszego przyjaciela d'Artagnana, on zaś zachował się wobec niej niegodziwie. Milady próbowała się zemścić, kazała go uśmiercić kulą z muszkietu; przed

ośmiu dniami próbowała go otruć, a wczoraj prosiła o jego głowę kardynała.

- Jak to, prosiła o moją głowę kardynała? - zawołał d'Artagnan błądzący z przerażenia.

- Tak - rzekł Portos - święta prawda; słyszałem na własne uszy.

- Ja także - rzekł Aramis.

- A zatem - powiedział d'Artagnan opuszczając rękę w rozpacz - nie ma po co walczyć dłużej; lepiej strzelę sobie w łeb i wszystko będzie skończone.

- Jest to najgłupsze, co można zrobić - odparł Atos. - Wiadomo bowiem, że potem już żaden sposób nie pomoże.

- Ale mając takich nieprzyjaciół nie ujdę z życiem - rzekł d'Artagnan. - Naprzód mój nieznajomy z Meung, potem de Wardes, któremu zadałem trzy ciosy szpadą; Milady, której tajemnicę odkryłem; wreszcie kardynał, któremu uniemożliwiłem zemstę.

- Dobrze - powiedział Atos - razem cztery osoby; i nas jest czterech: jeden na jednego. Do licha! Jeśli wierzyć znakom, jakie daje Grimaud, przyjdzie nam walczyć ze zgoła inną liczbą wrogów. Co tam, Grimaud? Zważywszy powagę sytuacji, pozwalam ci mówić, mój przyjacielu; ale bądź zwięzły, proszę cię. Co tam widzisz?

- Oddział.

- Ile ludzi?

- Dwudziestu.

- Jacy to ludzie?

- Szesnastu kopaczy, czterech żołnierzy.

- W jakiej odległości się znajdują?

- Pięciuset kroków.

- Dobrze, mamy jeszcze dość czasu, by zjeść ten drób i wypić po szklance wina za twoje zdrowie, d'Artagnanie!

- Twoje zdrowie! - powtórzył Portos i Aramis.

- Dobrze więc, niech będzie moje zdrowie, choć nie wierzę, żeby wasze życzenia mogły mi się przydać.

- Ba - rzekł Atos - Bóg jest wielki, jak mówią wyznawcy Mahometa, a przyszłość w jego ręku.

Za czym Atos wychylił swą szklanę, postawił ją obok siebie, wstał niedbale, wziął pierwszy z brzegu muszkiet i zbliżył się do strzelnicy.

Portos, Aramis i d'Artagnan poszli w jego ślady. Grimaud otrzymał rozkaz, by stanąć za czterema przyjaciółmi i ładować naboje.

Po chwili ukazał się oddziałek; szedł ścieżką wewnątrz okopu, który stanowił połączenie między bastionem i miastem.

- Do kata - rzekł Atos - warto było przeszkadzać sobie dla dwudziestu nicponi uzbrojonych w łopaty, motyki i oskardy! Niechby tylko Grimaud dał im znak, by się oddalili, a jestem przekonany, że zostawiliby nas w spokoju.

- Bardzo wątpię - rzekł d'Artagnan - idą bowiem wcale rezolutnie. Zresztą z kopaczami jest czterech żołnierzy i brygadier, wszyscy uzbrojeni w muszkiety.

- Ale nie widzieli nas - rzekł Atos.

- Na honor - powiedział Aramis - brzydę się strzelać do tych biednych mieszczuchów.

- Zły to ksiądz, co lituje się nad heretykami - wtrącił Portos.

- W samej rzeczy, Aramis ma rację. Uprzedzę ich - rzekł Atos.

- Co czynisz, u licha?! - rzekł d'Artagnan - przecież cię zastrzelą, mój drogi.

Ale Atos nie zwrócił żadnej uwagi na ostrzeżenie, stając na wyłomie z muszkietem w jednej ręce i kapeluszem w drugiej.

- Panowie - zawołał witając grzecznie żołnierzy i kopaczy, którzy zdumieni jego widokiem zatrzymali się w odległości pięćdziesięciu kroków od bastionu - panowie, moi przyjaciele i ja jemy właśnie śniadanie w tym bastionie. Ponieważ wiecie, że nie ma nic bardziej niemiłego jak przeszkodzić komu

w śniadaniu, prosimy was, jeśli koniecznie musicie przyjść tutaj, żebyście poczekali, aż skończymy posiłek, albo odwiedzili nas nieco później; chyba że przyszła wam zbawienna ochota porzucić partię buntowników i razem z nami wypić zdrowie króla Francji.

- Uważaj, Atosie! - zawołał d'Artagnan - nie widzisz, że biorą cię na cel?

- Dobrze, dobrze - rzekł Atos - to mieszczanie, którzy bardzo kiepsko strzelają; spudłują bez wątpienia.

Rzeczywiście, w tej samej chwili rozległy się cztery strzały i kule rozbiły się o mur tuż obok Atosa, nie trafiając go jednak.

Niemal natychmiast odpowiedziano im czterema wystrzałami, celniejszymi wszakże, trzej bowiem żołnierze padli trupem, a jeden z kopaczy został zraniony.

- Grimaud, inny muszkiet! - zawołał Atos nie opuszczając swego posterunku. Grimaud wykonał rozkaz natychmiast. Trzej przyjaciele nabili broń; druga salwa nastąpiła po pierwszej. Brygadier i dwaj kopacze padli, reszta rzuciła się do ucieczki.

- Nuże, panowie, wycieczka! - rzekł Atos.

Czterej przyjaciele skoczyli z fortu na pole bitwy, zabrali cztery muszkiety żołnierzy i pikę brygadiera; przekonani, że uciekający zatrzymają się dopiero w mieście, wrócili do bastionu, niosąc trofea zwycięstwa.

- Rozładuj broń, Grimaud - rzekł Atos - my zaś, panowie, wrócimy do naszego śniadania i rozmowy. Na czym stanęliśmy?

- Mówiłeś o wyjeździe Milady - powiedział d'Artagnan, którego bardzo zajmowała ta sprawa.

- Jedzie do Anglii - odparł Atos.

- A to w jakim celu?

- Ma zabić albo kazać zabić Buckinghamą.

D'Artagnan wydał okrzyk zdumienia i zgrozy.

- Ależ to niegodne! - zawołał.

- Jeśli o to idzie - rzekł Atos - wierzaj mi, mało mnie to obchodzi. A teraz, Grimaud, kiedyś już skończył - ciągnął Atos - weź pikę naszego brygadiera, przywiąż do niej serwetkę i zatknij na

szczęście naszego bastionu, żeby ci zbuntowani roszelczycy wiedzieli, że mają do czynienia z dzielnymi i lojalnymi żołnierzami króla.

Grimaud usłuchał nie odpowiadając. W chwilę potem biała chorągiew powiewała nad głowami czterech przyjaciół: burza oklasków powitała ten widok: połowa obozu była przy rogatkach.

- Jak to - podjął d'Artagnan - mało cię obchodzi, czy zabije lub każe zabić Buckingham? Ależ książę jest naszym przyjacielem.

- Książę jest Anglikiem, książę walczy z nami, niech zrobi z księciem, co zechce, tyle się o niego troszczę co o pustą butelkę.

Tu Atos cisnął na odległość piętnastu kroków butelkę, którą trzymał w ręce, nie zapomniawszy jednak o tym, by jej zawartość przelać co do kropli do swej szklanki.

- Przepraszam - rzekł d'Artagnan - nie mogę się na to zgodzić, książę dał nam bardzo piękne konie.

- I bardzo piękne siodła - dodał Portos, który miał płaszcz obszyty galonem, odprutym z siodła.

- A poza tym - rzekł Aramis - Bóg pragnie nawrócenia, nie zaś śmierci grzesznika.

- Amen - powiedział Atos - wrócimy do tego później, jeśli wam ochota; ale na razie (wiem, d'Artagnanie, że mnie zrozumiesz) najbardziej pragnęłam odebrać tej kobiecie glejt, który wymusiła na kardynale; mając go w ręce mogła bezkarnie pozbyć się ciebie, a może i nas wszystkich.

- Ależ ta kobieta to demon! - rzekł Portos podając swój talerz Aramisowi, który kroił drób.

- I ten glejt - spytał d'Artagnan - ten glejt został w jej rękach?

- Nie, jest w moich; skłamałbym, gdybym powiedział, że przyszło mi to łatwo.

- Mój drogi Atosie - rzekł d'Artagnan - nie będę już liczył, w ilu okazjach uratowałeś mi życie.

- A więc opuściłeś nas po to, żeby pójść do niej? - zapytał Aramis.

- Właśnie.

- I masz ten list kardynała?

- Oto on - odparł Atos.

Wyciągnął cenny papier z kieszeni kaftana.

D'Artagnan otworzył go ręką, której drżenia nie starał się nawet ukryć, i przeczytał:

„Z mojego rozkazu i dla dobra Państwa właściciel tego dokumentu uczynił to, co uczynił.

3 grudnia 1627.

Richelieu”

- W istocie, jest to rozgrzeszenie wedle wszelkich reguł - powiedział Aramis.

- Trzeba zniszczyć ten papier - rzekł d'Artagnan, któremu zdawało się, że czyta wyrok śmierci.

- Przeciwnie - powiedział Atos - trzeba go strzec jak oka w głowie; nie oddałbym go, gdyby mi nawet dano tyle złota, ile się na nim zmieści.

- I co ona teraz robi? - zapytał młodzieniec.

- Teraz - rzekł niedbale Atos - napisze prawdopodobnie do kardynała, że przeklęty muszkieter nazwiskiem Atos siłą wydarł jej glejt; w tym samym liście poradzi kardynałowi, by prócz niego pozbył się jeszcze dwóch jego przyjaciół, Portosa i Aramisa; kardynał przypomni sobie, że są to ludzie, którzy wciąż stają mu na drodze, za czym pewnego pięknego dnia Jego Eminencja każe uwięzić d'Artagnana i żeby mu się nie nudziło samemu, postara się, byśmy mu dotrzyмали towarzystwa w Bastylii.

- Proszę, proszę! - powiedział Portos - wydaje mi się, że kiepsko sobie żartujesz, mój drogi.

- Nie żartuję - rzekł Atos.

- Czy wiesz - rzekł Portos - że mniejszym grzechem byłoby ukręcić kark tej przeklętej Milady niż zabijać biednych hugenotów, których największą zbrodnią jest to, że śpiewają psalmy po francusku, podczas gdy my to robimy po łacinie?

- A jakież jest zdanie księdza dobrodzieja? - zapytał spokojnie Atos.

- Jestem zdania Portosa - odpowiedział Aramis.

- A cóż dopiero ja! - rzekł d'Artagnan.

- Na szczęście jest daleko - powiedział Portos - muszę wyznać, że bardzo by mi tu przeszkadzała.

- Przeszkadza mi tak samo w Anglii, jak we Francji - rzekł Atos.

- Przeszkadza mi wszędzie - rzekł d'Artagnan.

- Ale skoro miałeś ją już w rękach - podjął Portos - dlaczego nie utopiłeś jej, nie udusiłeś, nie

powiesiłeś? Przecież tylko umarli nie powracają.

- Tak sądzisz, Portosie? - odparł muszkieter z gorzkim uśmiechem, który tylko d'Artagnan zrozumiał.

- Mam pomysł - rzekł d'Artagnan.

- Słuchamy - zawołali muszkieterowie.

- Do broni! - krzyknął Grimaud.

Młodzi ludzie wstali żywo i chwycili za muszkiety.

Tym razem zbliżał się oddziałek złożony z dwudziestu albo dwudziestu pięciu ludzi, ale nie byli to już kopacze, lecz żołnierze z garnizonu.

- Może wrócimy do obozu? - rzekł Portos - wydaje mi się, że siły są nierówne.

- Niemożliwe z trzech powodów - odparł Atos - po pierwsze, nie skończyliśmy śniadania; po drugie, mamy jeszcze sobie ważne rzeczy do powiedzenia; po trzecie, brak dziesięciu minut do wyznaczonej godziny.

- Trzeba jednak ułożyć plan bitwy - rzekł Aramis.

- Jest bardzo prosty: gdy nieprzyjaciel znajdzie się na odległość strzału z muszkietu, damy ognia; jeśli mimo to nie przestanie się zbliżać, będziemy strzelać tak długo, jak długo broń będzie nabita; jeśli resztki oddziału pójdą do ataku, pozwolimy szturmującym zejść do fosy i strącimy im na głowy kawał muru, który i tak trzyma się tylko cudem.

- Brawo! - rzekł Portos - nie ma co mówić, Atosie, jesteś urodzonym dowódcą; kardynał, który uważa się za wielkiego wodza, jest przy tobie niczym.

- Panowie - powiedział Atos - bez pudła, proszę; dobrze się złożcie. Niechaj nikt nie chybi tego, kogo weźmie na cel.

- Mam już swojego - rzekł d'Artagnan.

- A ja swojego - rzekł Portos.

- Ja idem* - rzekł Portos.

- Zatem ognia! - rzekł Atos.

Cztery strzały rozległy się jednocześnie i czterej ludzie padli na ziemię.

Natychmiast usłyszano bicie w bęben i mała grupa ruszyła do szturmu. Wówczas rozpoczęła się seria nieregularnych, ale celnych wystrzałów. Roszczycy wszakże, jakby świadomi swej przewagi liczebnej nad naszymi czterema przyjaciółmi, biegli wciąż naprzód.

Z trzech strzałów każde dwa ścinały z nóg ludzi, ale ci, którzy nie ponieśli szwanku, nie zwalniali kroku.

Do stóp bastionu doszło dwunastu, może piętnastu nieprzyjaciół; ostatnia salwa nie wstrzymała ich również: wskoczyli do fosy, żeby wdrzeć się przez wyłom w murze.

- Nuże, moi przyjaciele - rzekł Atos - skończmy z nimi od razu; na mury! Na mury!

Czterej przyjaciele wspomagani przez Grimauda zaczęli spychać lufami muszkietów ogromny kawał muru, który pochylił się jak pod uderzeniem wiatru i odrywając się od podstawy spadł ze straszliwym hukiem do fosy; usłyszano wielki krzyk, chmura kurzu uniosła się ku niebu i wszystko się skończyło.

- Czy zgnetliśmy wszystkich co do jednego? - zapytał Atos.

- Na honor, tak się zdaje - powiedział d'Artagnan.

- Nie - rzekł Portos - oto kilku zmyka utykając.

W istocie kilku nieszczęśników, umazanych błotem i krwią, uciekało wyżłobioną drogą w stronę miasta. Były to niedobitki oddziału.

Atos spojrział na zegarek.

- Panowie - rzekł - jesteśmy tu już godzinę, zakład jest wygrany, ale grajmy z fantazją; zresztą d'Artagnan nie zdradził nam jeszcze swego pomysłu.

Tu muszkieter z właściwą sobie zimną krwią zasiadł do resztek śniadania.

*Idem (łac.) - tu: także

- Tak, mówiłeś, że masz pomysł - rzekł Atos.

- Ach, wiem już - odparł d'Artagnan - pojedę po raz wtóry do Anglii i udam się do księcia Buckingham.

- Nie zrobisz tego, d'Artagnanie - rzekł zimno Atos.

- A to dlaczego? Czy nie byłem już raz w Anglii?

- Tak, ale wówczas nie prowadziliśmy wojny; wówczas księżę Buckingham był sprzymierzeńcem, a nie wrogiem. To, co chcesz uczynić, zostałoby poczytane za zdradę.

D'Artagnana przekonało to rozumowanie i zamilkł.

- Wydaje mi się - rzekł Portos'- że ja z kolei mam pomysł.

- Spokój! Słuchamy Portosa! - rzekł Aramis.

- Poproszę pana de Treville o urlop pod jakimś pozorem, który mi podsuniecie: nie jestem mocny w wynajdywaniu pozorów. Milady mnie nie zna, zbliżę się do niej nie budząc żadnych podejrzeń, a kiedy znajdę się sam na sam z piękną damą, uduszę ją.

- Cóż, nie jestem przeciwny pomysłowi Portosa - rzekł Atos.

- Fe - powiedział Aramis -zabijać kobietę! Nie, posłuchajcie, mam doskonały pomysł.

- Proszę, rozpatrzmy pomysł Aramisa - rzekł Atos, który miał wielkie względy dla młodego muszkietera.

- Trzeba uprzedzić królową.

- Ach, na honor, rzeczywiście - zawołali razem Portos i d'Artagnan – zdaje się, że znaleźliśmy sposób.

- Uprzedzić królową! - rzekł Atos - a jakże to zrobimy? Czy mamy stosunki na dworze? Czy możemy posłać kogoś do Paryża, by nie dowiedziano się o tym w obozie? Stąd do Paryża jest sto czterdzieści mil i nasz list nie dotrze jeszcze do Angers, kiedy będziemy już siedzieć w lochu.

- Jeśli chodzi o kogoś pewnego, kto oddałby list Jej Królewskiej Mości - powiedział Aramis rumieniąc się - ja się tym zajmę; znam w Tours sprytną osobę...

Aramis urwał widząc uśmiech Atosa.

- Nie podoba ci się ten sposób, Atosie? - spytał d'Artagnan.

- Nie odrzucam go całkiem - odrzekł Atos - ale chcę zwrócić uwagę Aramisa, że nie może opuścić obozu; że nikt prócz nas samych nie jest pewny; że w dwie godziny po wyjeździe wysłańca wszyscy kapucyni, wszystkie zbiry, wszystkie czarne kaptury kardynała będą znały twój list na pamięć i zostaniesz uwięziony tak samo jak twoja sprytna osoba.

- Nie mówiąc o tym - dodał Portos - że królowa uratuje pana Buckinghama, ale bynajmniej nie nas.

- Panowie - rzekł d'Artagnan - Portos ma słusność.

- Ho, ho, co się dzieje w mieście? - rzekł Atos.

- Biją na alarm.

Czterej przyjaciele zaczęli nasłuchiwać i bicie w bęben rzeczywiście dotarło do ich uszu.

- Zobaczycie, że przyślą nam cały regiment - rzekł Atos.

- Sądziysz, że nie oprzemy się regimentowi? - zapytał Portos.

- Dlaczegoż by nie? - rzekł muszkieter - czuję się wyśmienicie i gotów byłbym stawić czoło całej armii, gdybyśmy byli na tyle przezorni, by zabrać ze sobą tuzin butelek więcej.

- Na honor, hałas się zbliża - powiedział d'Artagnan.

- Niechże się zbliża - rzekł Atos - stąd do miasta jest kwadrans drogi, a więc i z miasta tutaj tak samo. Czasu więc mamy aż nadto, by ułożyć sobie plan; jeśli opuścimy to miejsce, nie znajdziemy równie wygodnego. Posłuchajcie, tym razem przyszedł mi do głowy pomysł co się zowie.

- Mów.

- Pozwólcie, że wydam Grimaudowi kilka niezbędnych rozkazów.

Atos dał znak służącemu, by się zbliżył.

- Grimaud - rzekł Atos wskazując na trupy, które leżały w bastionie - weźmiesz tych panów i postawisz ich przy murze; każdemu włożysz kapelusz na głowę i muszkiet do ręki.

- O, wielki człowieku, rozumiem cię! - rzekł d'Artagnan.

- Rozumiesz? - zapytał Portos.

- A ty rozumiesz, Grimaud? - zapytał Aramis.

Grimaud dał znak, że rozumie.

- Oto wszystko, czego nam trzeba - rzekł Atos - wróćmy do mego pomysłu.

- A jednak chciałbym zrozumieć - rzekł Portos.

- To niepotrzebne.

- Tak, tak, wysłuchajmy Atosa - powiedzieli razem d'Artagnan i Aramis.
- Ta Milady, ta kobieta, ten stwór, ten demon ma szwagra, jak mi powiedziałaś, d'Artagnanie.
- Tak, znam go nawet i myślę, że nie czuje wielkiej sympatii dla swojej bratowej.
- Nie ma w tym nic złego - odparł Atos - a gdyby jej nienawidził, byłoby jeszcze lepiej.
- A dla nas wręcz znakomicie.
- Mimo wszystko - odezwał się Portos - chciałbym zrozumieć, co robi Grimaud.
- Cicho, Portosie - powiedział Aramis.
- Jak się nazywa ten szwagier?
- Lord Winter.
- Gdzie jest teraz?
- Wrócił do Londynu na pierwszą wieść o wojnie.
- Oto człowiek, jakiego nam trzeba - rzekł Atos - jego właśnie musimy uprzedzić; damy mu znać, że bratowa ma zamiar kogoś zabić, i poprosimy go, by nie tracił jej z oka. Mam nadzieję, że w Londynie jest jakiś zakład dla upadłych kobiet; każe tam umieścić swoją bratową i będziemy mieli spokój.
- Tak, do chwili kiedy stamtąd wyjdzie - powiedział d'Artagnan.
- Na honor - rzekł Atos - za wiele żądasz, d'Artagnanie; dałem ci wszystko, co miałem, i uprzedzam cię, że moja sakiewka jest już pusta.
- Moim zdaniem tak będzie najlepiej - rzekł Aramis - uprzedzimy jednocześnie królową i lorda Wintera.
- Tak, ale kto zawiezie list do Tours i do Londynu?
- Ręczę za Bazina - rzekł Aramis.
- A ja za Plancheta - rzekł d'Artagnan.
- Rzeczywiście - rzekł Portos - jeśli nie możemy opuścić obozu, mogą to zrobić nasi służący.
- Zapewne - powiedział Aramis - gdy tylko napiszemy listy, damy im pieniądze i wyjadą.
- Damy im pieniądze? - rzekł Atos - macie więc pieniądze?

Czterej muszkietierowie spojrzeli po sobie i rozjaśnione przed chwilą oblicza znów im sposepniały,

- Alarm! - zawołał d'Artagnan - widzę czarne i czerwone punkty, poruszające się tam w dole; mówisz, że to regiment, Atosie! To cała armia.

- Na honor, to prawda - rzekł Atos - oto oni. Patrzajcie mi na tych mruków, którzy idą bez bębnow i trąb! Hola, skończyłeś już, Grimaud?

Grimaud dał znak, że jest gotów, i wskazał na tuzin trupów, które poustawiał w pozycjach wielce malowniczych; jedni podnosili broń, inni składali się do strzału, jeszcze inni trzymali szpady w rękach.

- Brawo! - rzekł Atos - to dzieło przynosi zaszczyt twej fantazji.

- Tak czy inaczej - odezwał się Portos - chciałbym jednak zrozumieć...

- Ruszajmy stąd wpierw - rzekł d'Artagnan - zrozumiesz potem.

- Chwileczkę, panowie, chwileczkę, pozostawmy czas Grimaudowi, niech zbierze ze stołu.

- O - rzekł Aramis - czerwone i czarne punkty powiększają się coraz wyraźniej, jestem zdania d'Artagnana; myślę, że nie mamy chwili do stracenia i trzeba co szybciej wracać do obozu.

- Na honor - rzekł Atos - teraz zgadzam się na to najchętniej; założyliśmy się, że będziemy w bastionie godzinę, byliśmy półtorej; nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia; ruszajmy, panowie, ruszajmy.

Grimaud szedł już naprzód, niosąc koszyk i talerze. Czterej przyjaciele podążyli za nim i postąpili kilka kroków.

- Ejże, u licha - zawołał Atos. - Cóżśmy uczynili, panowie?

- Zapomniałeś czegoś? - zapytał Aramis.

- A chorągiew, do kroćset! Nie należy zostawiać chorągwi nieprzyjacielowi, nawet jeśli ta chorągiew jest tylko serwetką.

Atos skoczył do bastionu, wspiął się na platformę i zdjął chorągiew; ale roszelczycy, którzy byli już na odległość strzału, otworzyli straszliwy ogień do muszkietera, który jakby umyślnie wystawiał się na ich strzały.

Powiedziałbyś jednak, że Atos jest zaczarowany: kule przelatywały gwizdząc wokół niego i ani

jedna go nie dotknęła.

Atos powiał chorągwią, zwrócony plecami do gwardzistów z miasta i pozdrawiając towarzyszy z obozu. Z obu stron rozległy się okrzyki: roszelczycy krzyczeli z wściekłości, królewscy z entuzjazmu.

Druga salwa poszła za pierwszą i trzy kule przebijając serwetę uczyniły z niej prawdziwą chorągiew. Usłyszano okrzyk całego obozu:

- Zejdź, zejdź!

Atos zszedł; towarzysze, którzy czekali nań z niepokojem, ujrzeni z radością, że wraca.

- Nuże, Atosie - rzekł d'Artagnan - śpieszmy się, śpieszmy; teraz, kiedy mamy już wszystko prócz pieniędzy, byłoby głupio, gdybyśmy się dali zabić.

Ale Atos szedł nadal dostojnym krokiem mimo uwag, jakie czynili mu towarzysze; widząc, że mówią na próżno, dostosowali swój krok do jego kroku.

Grimaud wraz z koszykiem wysforował się naprzód i teraz znajdował się już poza zasięgiem kul.

Po chwili usłyszeli odgłosy wściekłej strzelaniny.

- A to co znowu? - zapytał Portos - do kogo strzelają? Słyszę gwizd kul, a nie widzę nikogo.

- Strzelają do naszych trupów - odparł Atos.

- Ale nasze trupy nie odpowiedzą.

- Właśnie; roszelczycy pomyślą, że to zasadzka, pójdą po rozum do głowy, przyślą parlamentariusza, a kiedy spostrzegą, że to kpina, będziemy już poza zasięgiem ich kul. Nie widzę więc, dlaczego mielibyśmy dostać zapalenia płuc z nadmiernego pośpiechu.

- Och, rozumiem - zawołał Portos zachwycony.

- To wielkie szczęście - rzekł Atos wzruszając ramionami.

Francuzi widząc, że czterej przyjaciele wracają równym krokiem, wiwatowali głośno.

Wreszcie rozległa się nowa salwa; tym razem kule trafiały w kamienie u stóp czterech przyjaciół i gwizdały ponuro wokół ich uszu. Roszelczycy zajęli w końcu bastion.

- Oto ludzie zaiste niezdarni - rzekł Atos - ilu z nich zabiliśmy? Dwunastu?

- Lub piętnastu.

- Ilu rozgnietliśmy?

- Ośmiu lub dziesięciu.

- I w zamian za to wszystko ani zadraśnięcia. Ale co ci w rękę, d'Artagnanie, krew?

- To nic - rzekł d'Artagnan.

- Jakaś zabłąkana kula?

- Nawet nie.

- Więc cóż to jest?

Powiedzieliśmy już, że Atos kochał d'Artagnana jak syna; ten człowiek o charakterze ponurym i niezłomnym troszczył się o młodzieńca jak ojciec.

- Skaleczenie - odparł d'Artagnan - palce utkwiły mi między dwoma kamieniami, kamieniem z muru i moim diamentem, i zdarłem sobie skórę.

- Oto co znaczy mieć diament, mój panie - rzekł pogardliwie Atos.

- Ach, tak - zawołał Portos - jest i diament; u kiego więc diabła uskarżamy się na brak pieniędzy?

- W samej rzeczy! - rzekł Aramis.

- Znakomicie, Portosie, oto mi pomysł.

- Niewątpliwie - rzekł Portos nadymając się, rad z pochwały Atosa – jeśli mamy diament, sprzedajmy - Ależ to diament królowej - rzekł d'Artagnan.

- Tym lepiej - rzekł Atos - królowa ratuje pana Buckingham, swego kochanka, rzecz najnaturalniejsza w świecie; królowa ratuje nas, uczynek godzien najwyższej pochwały; sprzedajmy diament. Co myśli o tym wielebny ksiądz? Nie pytam o zdanie Portosa, powiedział już swoje.

- Myślę - powiedział Aramis z rumieńcem na twarzy - że ten pierścień nie pochodzi od kochanki, zatem nie jest to zakład miłości i d'Artagnan może go sprzedać.

- Mój drogi, mówisz jak ucieleśniona teologia. Zatem twoim zdaniem?...

- Należy sprzedać diament - odparł Aramis.

- Dobrze - rzekł wesoło d'Artagnan - sprzedajmy diament i nie mówmy już o tym wiecej.

Strzelanina wciąż trwała, ale przyjaciele byli już poza jej zasięgiem; roszelczycy strzelali jedynie dla spokoju sumienia.

- Doprawdy, czas był najwyższy, żeby Portos wpadł na ten pomysł; jesteśmy już w obozie. A zatem, panowie, ani słowa o całej tej sprawie. Patrzą na nas, idą nam na spotkanie, wkroczymy jako zwycięzcy.

Rzeczywiście, jak już powiedzieliśmy, cały obóz był na nogach; ponad dwa tysiące osób przyglądało się widowisku, podziwiała brawurę czterech przyjaciół, nie domyślając się jej prawdziwego powodu. Zewsząd padały okrzyki:

„Niech żyją gwardziści! Niech żyją muszkietierowie!” Pan de Busigny zjawił się pierwszy, by uścisnąć rękę Atosa i przyznać, że przegrał zakład. Dalej szli dragon i Szwajcar, a wszyscy inni za nimi. Powinszowania, uściski, huraganowy śmiech z roszelczyków nie miały końca, a wrzawa była tak wielka, że kardynał w obawie, czy nie doszło do buntu, posłał pana La Houdiniere, by zasięgnął języka.

Rzecz została opowiedziana wysłannikowi bardzo kwieciście i w słowach pełnych zachwyty.

- I cóż? - zapytał kardynał La Houdiniere'a.

- Wasza Dostojność - odparł zapytany - trzech muszkietierowie i jeden gwardzista założyli się z panem de Busigny, że udadzą się na śniadanie do bastionu Świętego Gerwazego; jedząc śniadanie trzymali się tam dwie godziny i zabili mnóstwo roszelczyków.

- Znasz nazwiska tych trzech muszkietierów?

- Tak, Wasza Dostojność.

- Jak się nazywają?

- To panowie Atos, Portos i Aramis.

- Wciąż moje trzy chwaty - mruknął kardynał. - A gwardzista?

- Pan d'Artagnan.

- Wciąż mój młody ladaco! Ci ludzie koniecznie muszą przejść do mnie. Wieczorem kardynał rozmawiał z panem de Treville o wyprawie, która była na ustach wszystkich. Pan de Treville znał historię wprost od bohaterów dnia i opowiedział wszystkie szczegóły Jego Eminencji, nie zapominając o epizodzie z serwetą.

- Pięknie, panie de Treville - rzekł kardynał - proszę, zachowaj tę serwetę. Każę wyhaftować na niej złote lilie i dam ją jako proporzec twojej kompanii.

- Wasza Dostojność - rzekł pan de Treville - będzie to z krzywdą gwardzistów: pan d'Artagnan nie jest u mnie, lecz u pana des Essarts.

- Dobrze więc, weź go; czterej dzielni żołnierze, którzy się tak kochają, powinni służyć w tej samej kompanii.

Tego samego wieczora pan de Treville oznajmił dobrą nowinę trzem muszkietierom i d'Artagnanowi zapraszając wszystkich czterech na obiad nazajutrz.

D'Artagnan nie posiadał się z radości. Jak wiadomo, marzeniem jego życia było zostać muszkietierem.

Trzej przyjaciele również byli bardzo radzi.

- Na honor - rzekł d'Artagnan do Atosa - miałeś wspaniały pomysł: jak przepowiedziałeś, okryliśmy się sławą i mogliśmy odbyć niezmiernie ważną rozmowę.

- Do której możemy wrócić teraz, nie wzbudzając podejrzeń; odtąd, z pomocą Bożą, będziemy uchodzić za stronników kardynała.

Tego samego wieczora d'Artagnan złożył wyrazy uszanowania panu des Essarts i powiadomił go o swym awansie.

Pan des Essarts, który bardzo lubił d'Artagnana, ofiarował mu swą pomoc: zmiana broni pociągała za sobą koszty ekwipunku.

D'Artagnan odmówił, ale widząc, że chwila jest sposobna, poprosił pana des Essarts, by dał do oszacowania diament, który młodzieniec chciał sprzedać.

Nazajutrz o ósmej rano służący pana des Essarts przyszedł do d'Artagnana i wręczył mu worek zawierający siedem tysięcy liwrów złotem.

Była to cena diamentu królowej.

XVIII.

SPRAWA RODZINNA

Atos znalazł określenie: sprawa rodzinna. Sprawa rodzinna nie obchodzi nikogo, sprawą rodzinną można się zajmować na oczach wszystkich.

Tak więc Atos znalazł określenie: sprawa rodzinna.

Aramis znalazł sposób: służący.

Portos znalazł środki: diament.

Tylko d'Artagnan nie wpadł na żaden koncept, on, zazwyczaj najbardziej pomysłowy ze wszystkich czterech; ale trzeba wiedzieć, że paraliżowało go samo imię Milady.

Ale nie, omyliliśmy się: znalazł kupca na diament.

Obiad u pana de Treville upłynął w bardzo pogodnym nastroju. D'Artagnan miał już na sobie nowy mundur; ponieważ był mniej więcej tego samego wzrostu co Aramis, Aramis zaś, jak sobie przypominamy, otrzymał za poemat sporo pieniędzy od swego księgarza i kupił sobie wszystkiego w dwójnasób, mógł odstąpić teraz przyjacielowi całkowity ekwipunek.

D'Artagnan byłby u szczytu marzeń, gdyby nie widział na horyzoncie Milady, groźnej niby chmura gradowa.

Po obiedzie umówiono się na wieczór w mieszkaniu Atosa, gdzie miano zakończyć sprawę.

D'Artagnan przez cały dzień paradował w mundurze muszkietera po ulicach obozu.

Wieczorem czterej przyjaciele spotkali się o umówionej godzinie; pozostawały jeszcze trzy kwestie do omówienia: co napisać do szwagra Milady; co napisać do sprytniej osoby w Tours; wybór służących, którzy zawiozą listy.

Każdy ofiarowywał swego służącego: Atos wspomniał o dyskrecji Grimauda, który mówił tylko wówczas, gdy pan rozwiązywał mu język; Portos chwalił się Mousquetona, który był tak rośły, że mógł dać radę czterem chwatom zwykłego wzrostu; Aramis pewien zręczności Bazina wygłosił wspaniałą mowę na cześć swego kandydata, wreszcie d'Artagnan, który cenił dzielność Plancheta, przypomniał, jak spisał się jego służący w trudnej wyprawie bulońskiej.

Te cztery cnoty ubiegały się o palmę pierwszeństwa dając okazję do wspaniałych przemówień, których nie przytaczamy tutaj w obawie, że zarzucono by nam rozwlekłość.

- Niestety - powiedział Atos - ten, którego wyślemy, musi posiadać wszystkie te cztery cnoty razem.

- Ale gdzie znaleźć takiego służącego?

- Niepodobna - rzekł Atos - wiem o tym doskonale; weźcie więc Grimauda.

- Weźcie Mousquetona.

- Weźcie Bazina.

- Weźcie Plancheta; Planchet jest dzielny i zręczny; to już dwie zalety z czterech.

- Panowie - rzekł Aramis - nie w tym rzecz, by wiedzieć, który z naszych służących jest najdyskretniejszy, najsilniejszy, najzręczniejszy lub najbardziej dzielny, najważniejsze jest wiedzieć, który z nich najbardziej lubi pieniądze.

- Święta prawda, Aramisie - powiedział Atos - jeśli grać, to licząc nie na cnoty ludzkie, ale na słabostki; wielebny księże, jesteście wielkim moralistą!

- Zapewne - rzekł Aramis - ponieważ musimy postarać się nie tylko o to, by osiągnąć nasz cel, ale i to, żeby nie ponieść klęski: gra idzie o głowy, i to nie służących.

- Ciszej, Aramisie-rzekł Atos.

- Słusznie, i to nie służących - podjął Aramis - ale panów. Czy nasi służący są nam dość oddani, by narazić dla nas życie? Nie.

- Na honor - rzekł d'Artagnan - mogę prawie ręczyć za Plancheta.

- Mój drogi przyjacielu, umocnij jego wierność okrągłą sumką, która mu zapewni dostatek, a wówczas zamiast raz, będziesz mógł za niego ręczyć dwa razy.

- Ach, dobry Boże, i tak zostanieie oszukani - rzekł Atos, który był optymistą, jeśli szło o sprawy, ale pesymistą, gdy chodziło o ludzi. - Przyrzekną, co zechcecie, byle dostać pieniądze, w drodze strach ich obleci i uniemożliwi działanie. Jeśli ich pochwycają, zaleją im sadła za skórę, a wówczas wyśpiewają wszystko. Do diabła, nie jesteśmy dziećmi! Żeby dojechać do Anglii - tu Atos zniżył głos - trzeba przebyć całą Francję usianą szpiegami i ludźmi kardynała; trzeba pozwolenia, by wsiąść na okręt; trzeba znać angielski, by dopytać się o drogę do Londynu. Rzecz wydaje mi się bardzo trudna.

- Ależ bynajmniej - powiedział d'Artagnan, któremu bardzo zależało, by projekt został wykonany - przeciwnie, sprawa wydaje mi się łatwa. Jest rzeczą jasną, u licha, że gdybyśmy napisali do lorda Wintera o rzeczach przechodzących wszelkie pojęcie, o okropnych zamysłach kardynała...

- Ciszej - rzekł Atos.

- ...o intrygach i tajemnicach stanu - ciągnął d'Artagnan stosując się do zaleceń Atosa - zostalibyśmy skazani na łamanie kołem, ale, na Boga, nie zapominaj, Atosie, sam to przecie powiedziałeś, że piszemy do niego w sprawie rodzinnej; że piszemy do niego tylko po to, by Milady po przybyciu do Londynu nie mogła nam szkodzić. Ułożę więc do niego list mniej więcej w tych słowach:

- Słuchamy - rzekł Aramis, z góry usposobiony krytycznie.
- „Panie i drogi przyjacielu...”
- A tak! „Drogi przyjacielu” do Anglika - przerwał Atos - piękny początek! Brawo, d'Artagnanie! To jedno słowo wystarczy, byś został poćwiartowany zamiast łamany kołem.
- Dobrze więc, niech będzie krótko: „Panie”.
- Możesz nawet powiedzieć: „Milordzie” - rzekł Atos, który bardzo przestrzegał form.
- „Milordzie, czy przypominasz sobie ustronne miejsce w pobliżu Luksemburga, gdzie pały się kozy?”
- Dobryś sobie! Teraz o Luksemburgu? Pomyślą, że to aluzja do królowej matki! Tylko tego brakowało - rzekł Atos.
- Zatem napiszemy po prostu „Milordzie, czy pamiętasz ustronne miejsce, gdzie uratowano ci życie?”
- Mój drogi d'Artagnanie - powiedział Atos - nie będziesz nigdy dobrym stylistą; „Gdzie uratowano ci życie!” Co znowu, to niegodne. Nie mówi się o takich przysługach dwornym ludziom. Wypomnieć dobry uczynek to obraza.
- Ach, mój drogi - rzekł d'Artagnan - jesteś nieznośny i jeśli trzeba mi pisać pod twoją kontrolą, na honor, odmawiam.
- I dobrze czynisz. Zabawiaj się muszkietem i szpadą, znakomicie dajesz sobie z nimi radę; ale pióro oddaj wielebnemu księdzu, to jego sprawa.
- W istocie - rzekł Portos - oddaj pióro Aramisowi, który pisze rozprawy po łacinie.
- Dobrze więc, niech tak będzie - rzekł d'Artagnan - ułóż nam ten list, Aramisie; ale, na Ojca Świętego, nie bądź rozwlekły, bo tym razem ja cię ukroczę, uprzedzam.
- Doskonale - powiedział Aramis z tym naiwnym zaufaniem do samego siebie, jakim odznacza się każdy poeta - ale niechże poznam rzecz bardziej dokładnie; wiem ze słyszenia, że ta bratowa to zbrodniarka; miałem nawet tego dowody słuchając jej rozmowy z kardynałem.
- Ciszej, do licha! - rzekł Atos.
- Ale - ciągnął Aramis - nie znam szczegółów.
- Ja również - rzekł Portos.

D'Artagnan i Atos spoglądali przez chwilę w milczeniu po sobie. Wreszcie po chwili namysłu, Atos, bledszy jeszcze niż zwykle, skinął na znak zgody; d'Artagnan zrozumiał, że może mówić.

- A zatem oto, co należy powiedzieć - zaczął – „Milordzie, Twoja bratowa to zbrodniarka, która chciała Cię zabić, by dziedziczyć po Tobie. Nie miała wszakże prawa wyjść za mąż za Twego brata, była bowiem zamężna we Francji i...”

D'Artagnan urwał i jakby szukając odpowiedniego słowa patrzył na Atosa.

- Została wypędzona przez męża - rzekł Atos.

- Ponieważ była napiętnowana - ciągnął d'Artagnan.

- Co - zawołał Portos - to niemożliwe! Chciała zabić swego szwagra?

- Tak.

- Była zamężna? - zapytał Aramis.

- Tak.

- I jej mąż - spostrzegł, że miała kwiat lilii na ramieniu? - zawołał Portos.

- Tak

Słowa zostały wypowiedziane przez Atosa z coraz bardziej ponurym wyrazem twarzy.

- A kto widział ten kwiat lilii? - zapytał Aramis.

- D'Artagnan i ja, lub raczej, żeby zachować porządek chronologiczny, ja i d'Artagnan - odparł Atos.

- Czy mąż tej okropnej kobiety żyje jeszcze? - zapytał Aramis.

- Żyje.

- Wiesz o tym na pewno?

- Ja nim jestem.

Zapadła chwila grobowej ciszy; każdy na swój sposób był poruszony tą nowiną.

- Tym razem - rzekł Atos, przerywając pierwszy milczenie - d'Artagnan dał nam wyborny plan i to przede wszystkim należy napisać.

- Do diabła, masz rację, Atosie - powiedział Aramis - ale ułożenie tego listu jest najeżone trudnościami. Sam pan kanclerz byłby w kłopotcie, mając do napisania pismo tego rodzaju, chociaż pan kanclerz potrafi bardzo wdzięcznie zredagować protokół. Ale mniejsza o to! Bądźcie cicho, zabieram się do pisania.

Aramis sięgnął po pióro, namyślał się przez kilka chwil, za czym napisał jakie dziesięć wierszy prześlicznym kobiecym pismem, wreszcie słodkim głosem i powoli, jakby ważył skrupulatnie każde słowo, odczytał, co następuje:

„Milordzie!

Osoba, która pisze do Pana te słowa, miała honor skrzyżować z Panem szpady w zakątku przy ulicy d'Enfer. Ponieważ niejednokrotnie byłeś Pan łaskaw mienić się przyjacielem owej osoby, wypada jej potwierdzić tę przyjaźń ostrzeżeniem. Po dwakroć nie został Pan omal ofiarą bliskiej krewnej, którą uważasz za swoją spadkobierczynię nie wiedząc, że przed zawarciem małżeństwa w Anglii była zamężna we Francji. Ale teraz, to jest za trzecim razem, może Pan paść ofiarą. Twoja krewniaczka wyjechała z La Rochelle do Anglii w nocy. Czuwaj nad jej przyjazdem, ma bowiem wielkie a straszliwe plany. Jeśli chce Pan koniecznie wiedzieć, do czego jest zdolna, odczytaj jej przeszłość wypisaną na lewym ramieniu.”

- Wspaniale - rzekł Atos - masz pióro sekretarza stanu, mój drogi Aramisie. Jeśli list dojdzie, lord Winter będzie miał się na baczności, gdyby zaś wpadł w ręce Jego Eminencji, nie będziemy skompromitowani. Ponieważ jednak służący, który pojedzie z listem, może nam powiedzieć, że był w Londynie, gdy w istocie dojedzie tylko do Chatellerault, dajmy mu tylko połowę sumy, przyrzekając drugą połowę w zamian za odpowiedź. Czy masz diament? – zapytał Atos.

- Znacznie lepiej, mam pieniądze.

I d'Artagnan rzucił worek z pieniędzmi na stół. Na dźwięk złota Arami podniósł oczy, Portos zadrżał, tylko Atos pozostał obojętny.

- Ile jest w tym worku? - zapytał.

- Siedem tysięcy liwrów w luidorach dwunastofrankowych.

- Siedem tysięcy liwrów! - zawołał Portos - ten mały, nędzny diament wart jest siedem tysięcy liwrów?

- Tak się wydaje - powiedział Atos - skoro pieniądze są na stole; nie przypuszczam, by nasz przyjaciel d'Artagnan dołożył ze swojej kieszeni.

- Ale, panowie, nie pomyśleliśmy o królowej. Zatrószmy się o zdrowie jej drogiego Buckingham.

Tyle przynajmniej jesteśmy jej winni.

- Słusznie - rzekł Atos - to jednak sprawa Aramisa.

- Dobrze - odparł rumieniąc się - co mam zrobić?

- Ależ to bardzo proste: ułóż drugi list do owej sprytniej osoby, mieszkającej w Tours.

Aramis sięgnął znów po pióro, zamyslił się i ułożył drugi list, który poddał niezwłocznie ocenie przyjaciół:

- „Droga Kuzynko...”

- Ach - rzekł Atos - sprytna osoba jest twoją krewniaczką!

- Cioteczna siostrą - odparł Aramis.

- Zgoda, niech będzie.

Aramis czytaj dalej:

„Droga Kuzynko, Jego Eminencja pan kardynał, którego niechaj Bóg zachowa w zdrowiu dla szczęścia Francji i ku pohańbieniu nieprzyjaciół królestwa, wkrótce już zakończy wojnę ze zbuntowanymi heretykami z La Rochelle; być może, flota angielska nie przybędzie wcale z odsieczą; ośmielę się nawet powiedzieć, jestem bowiem tego pewien, iż księciu Buckingham stanie na przeszkodzie jakieś wielkie wydarzenie. Jego Eminencja jest najznamienitszym politykiem czasów minionych, obecnych i przyszłych. Zgasiłby słońce, gdyby słońce mu przeszkadzało. Powiadom o tych pomyslnych nowinach swoją siostrę, moja droga Kuzynko. Śniło mi się, że ten przekłety Anglik nie żyje. Nie mogę sobie przypomnieć, czy zginął od miecza, czy od trucizny; wiem jednak na pewno, że śnił mi się umarły, a wiesz, że moje sny nie zawodzą mnie nigdy. Bądź tedy spokojna, że powrócę wkrótce.”

- Cudownie! - zawołał Atos - jesteś królem poetów, mój drogi Aramisie, mówisz jak Apokalipsa i jesteś prawdziwy jak Ewangelia. Pozostaje ci tylko napisać adres.

- To bardzo łatwe - rzekł Aramis.

Złożył zgrabnie list i napisał:

„Do panny Michon, bieliźniarki, w Tours”.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie ze śmiechem: tego się nie spodziewali.

- Teraz rozumiecie sami, panowie - rzekł Aramis - że tylko Bazin może zawieźć ten list do Tours;

moja kuzynka zna Bazina i ma zaufanie do niego, ktoś inny popsułby sprawę. Zresztą Bazin jest ambitny i uczony; Bazin zna historię i wie, że Sykstus V, zanim został papieżem, był świniopasem; ponieważ zaś zamierza poświęcić się wraz ze mną stanowi duchownemu, nie traci nadziei, że zostanie papieżem, a co najmniej kardynałem. Sami rozumiecie, że człowiek, który ma takie cele, nie da się pochwyć, a jeśli wpadnie, raczej zgodzi się na męczeństwo, niż powie słowo.

- Dobrze, dobrze - rzekł d'Artagnan - chętnie zgadzam się na Bazina, ale wy zgodźcie się na Plancheta: Milady kazała go pewnego razu przepędzić kijami;

Planchet dobrze pamięta o tym i zaręczam, że jeśli będzie miał nadzieję zemsty, raczej da się zabić, niż się jej wyrzeknie. Jeśli sprawy w Tours są twoimi sprawami, Aramisie, sprawy w Londynie są moimi. Proszę więc, by wybrano Plancheta, który był zresztą ze mną w Londynie i potrafi powiedzieć bardzo poprawnie: London, sir, if you please i my master lord d'Artagnan. Bądźcie więc spokojni, Planchet da sobie radę, pojedzie i wróci.

- W takim razie - powiedział Atos - Planchet musi otrzymać siedemset liwrów na drogę do Londynu i siedemset liwrów na drogę powrotną; Bazin trzysta liwrów tani i trzysta z powrotem. To zmniejszy sumę do pięciu tysięcy liwrów; każdy z nas weźmie tysiąc liwrów, by użyć ich wedle woli, i pozostawimy sobie w rezerwie tysiąc liwrów pod opieką wielebnego księdza na wypadki nieprzewidziane lub wspólne potrzeby. Co wy na to?

- Mój drogi Atosie - rzekł Aramis - mówisz jak Nestor, który jak wiadomo, był najmądrszym z Greków.

- A zatem załatwione - rzekł Atos - jadą Bazin i Planchet; prawdę mówiąc jestem rad, że Grimaud zostanie: zna moje zwyczaje i zależy mi na nim; wczorajszy dzień wytrącił go z równowagi, a ta podróż całkiem by go dobiła.

Zawołano Plancheta i dano mu instrukcje; był już zresztą uprzedzony przez d'Artagnana, który wpięro oznajmił mu, że czeka go sława, potem wspomniał o pieniądzach, a na końcu o niebezpieczeństwie.

- List ukryję w wyłogach kaftana - rzekł Planchet - i połknę go, gdyby mi go chcieli odebrać.

- Ale wówczas nie będziesz mógł wykonać zadania - rzekł d'Artagnan.

- Pan da mi dziś odpis i do jutra nauczę się go na pamięć.

D'Artagnan spojrział na swych przyjaciół, jakby chciał powiedzieć: No, czynie mówiłem?

- Posłuchaj - ciągnął zwracając się do Plancheta - masz osiem dni, by dojechać do lorda Wintera, osiem dni, żeby wrócić tutaj, razem szesnaście dni; jeśli szesnastego dnia po twym wyjeździe, o ósmej wieczór, nie będziesz z powrotem, nie dostaniesz ani grosza, nawet gdybyś spóźnił się o pięć

minut.

- W takim razie, panie, zechciej mi kupić zegarek - rzekł Planchet.

- Weź mój - powiedział Atos, dając mu swój zegarek z prawdziwie wielkopańską szczodrością – i sprawuj się dzielnie. Pamiętaj, że jeśli będziesz gadał, bajał, obijał się, twemu panu, który tak bardzo wierzy w twoją wierność, że ręczy nam za ciebie, zetną głowę. Pamiętaj też, że jeśli z twojej winy zdarzy się nieszczęście, znajdę cię choćby na krańcu świata i rozpruję ci brzuch.

- Och, panie! - rzekł Planchet upokorzony tym przypuszczeniem, a nade wszystko przerażony spokojną miną muszkietera.

- A ja - dodał Portos, przewracając strasznie oczami - obedrę cię żywcem ze skóry.

- Ach, panie!

- A ja - rzekł Aramis swoim słodkim i melodyjnym głosem - będę cię przypiekał na żywym ogniu jak dzikusa.

- O, panie!

Tu Planchet rozplakał się; nie śmiemy powiedzieć, czy ze strachu, słysząc tak okropne groźby, czy ze wzruszenia na widok tak wielkiej miłości czterech przyjaciół.

D'Artagnan wyciągnął do Plancheta rękę i ucałował go.

- Widzisz, Planchet - powiedział - panowie mówią to z troski o mnie, ale w gruncie rzeczy cię lubią.

- Proszę pana - rzekł Planchet - albo zrobię, co mam do zrobienia, albo dam się posiekać na ćwierci! Jeśli mnie poćwiartują, może pan być pewien, że ani jeden kawałek nie przemówi.

Postanowiono, że Planchet wyruszy nazajutrz o ósmej rano, aby mógł, jak powiedział, nauczyć się w nocy listu na pamięć. Zyskał na tym jeszcze dwanaście godzin; miał powrócić szesnastego dnia o ósmej wieczór.

Rano, kiedy miał wsiąść na konia, d'Artagnan, który w głębi serca czuł słabość do księcia, wziął Plancheta na stronę.

- Posłuchaj - rzekł - kiedy oddasz już list lordowi Winterowi i kiedy lord go przeczyta, powiedz mu jeszcze: „Niechaj pan czuwa nad Jego Wysokością lordem Buckingham, bo chcą go zamordować”. Ale widzisz, mój Planchet, sprawa jest tak poważna i tak wielkiego znaczenia, że nie chciałem wyznać tym przyjaciołom, iż zdradzę ci ten sekret: nawet na rozkaz dowódcy nie zgodziłbym się

tego napisać.

- Niech pan będzie spokojny, proszę pana - odpowiedział Planchet – zobaczy pan, czy można na mnie liczyć.

Planchet wsiadł na wybornego konia, którego w odległości dwudziestu mil miał zostawić, by przesiąść się na pocztowego, i ruszył galopem, z sercem ściśniętym nieco, gdy przypomniał sobie obietnice muszkietierów, ale zresztą w najlepszym usposobieniu.

Bazin wyjechał nazajutrz z listem do Tours; miał osiem dni na wykonanie zadania.

Podczas nieobecności służących czterej przyjaciele mieli się na baczności bardziej niż zwykle, byli czujni, oględni, pilnie nastawiali ucha. Dni mijały im na dowiadywaniu się, co mówią inni, na śledzeniu poczynąń kardynała i tropieniu gońców. Niejednokrotnie przebiegało ich drżenie, gdy wzywano ich nieoczekiwanie na służbę. Zresztą trzeba było też czuwać nad własnym bezpieczeństwem; Milady była z tych widm, co raz ukazawszy się ludziom, nie pozwalają im spać spokojnie.

Rankiem ósmego dnia Bazin, świeży jak zawsze i jak zawsze uśmiechnięty, wszedł do oberży „Pod Heretykiem”, gdy czterej przyjaciele siedzieli przy śniadaniu, i rzekł, jak to było umówione.

- Panie Aramisie, oto odpowiedź od pańskiej kuzynki. Czterej przyjaciele wymienili radosne spojrzenia: część zadania była już wykonana, co prawda część łatwiejsza.

Aramis oblewając się mimo woli rumieńcem wziął list napisany pospolitym pismem i bez znajomości ortografii.

- Dobry Boże - zawołał ze śmiechem - doprawdy tracę już nadzieję; nigdy ta biedna Michon nie będzie pisała jak pan de Voiture.

- Kto to taki, ta biedna Mizon? - zapytał Szwajcar, który rozmawiał właśnie z czterema przyjaciółmi.

- Tyle co nic - rzekł Aramis - milusia szwaczka; kochałem się w niej na umór i poprosiłem, by napisała mi na pamiątkę kilka słów.

- Do diabła! - rzekł Szwajcar - jeśli fygląda równie fspaniale, jak pięgnie pisze, można ci pogratulować, mój brzyjacielu!

Aramis przeczytał list i podał go Atosowi.

- Zobacz, co pisze, Atosie - rzekł.

Atos rzucił okiem na list i by uspić wszelkie możliwe podejrzenia, przeczytał:

„Drogi kuzynie, moja siostra i ja wybornie zgadujemy sny i nawet okropnie się ich boimy; ale mam nadzieję, że o twoim można powiedzieć: sen mara - Bóg wiara. Do widzenia! Miej się dobrze i postaraj się, byśmy od czasu do czasu słyszały o tobie.

Anne Michon”

- O jakim to śnie mówi? - zapytał dragon, który zbliżył się podczas lektury.

- Tag, o jakim śnie? - rzekł Szwajcar.

- Ach, do kata - odparł Aramis - to całkiem proste, o moim śnie, który jej opowiedziałem.

- O tag, to bardzo proste opowiadać sfoje sny, ale ja nie śnię nikty!

- Jesteś pan bardzo szczęśliwy - rzekł Atos wstając - chciałbym to powiedzieć o sobie!

- Nikty! - mówił Szwajcar, zachwycony, że człowiek taki jak Atos może mu czegoś zazdrościć - nikty! nikty!

D'Artagnan widząc, że Atos wstaje, wstał również; wziął go pod ramię i wyszedł.

Portos i Aramis zostali, by pożartować jeszcze z dragonem i Szwajcarem.

Natomiast Bazin poszedł się przespać na wiązce słomy; ponieważ miał więcej wyobraźni niż Szwajcar, śniło mu się, że pan Aramis został papieżem i wkłada mu kardynalski kapelusz.

Ale, jak powiedzieliśmy, szczęśliwy powrót Bazina nieco tylko umniejszył niepokój dręczący czterech przyjaciół. Czas oczekiwania dłużył się nieskończenie i d'Artagnan założyłby się, że dzień ma teraz czterdzieści osiem godzin.

Zapomniał, że podróż morska musi trwać długo, wyolbrzymiał potęgę Milady.

Wyobrażał sobie, że ta kobieta, podobna do demona, ma na swych usługach potęgę piekieł; przy najłżejszym szmerze był pewien, że przychodzą go uwięzić i za chwilę wejdzie Planchet przyproawdzony dla konfrontacji z nim samym i jego przyjaciółmi. Co więcej, zaufanie, jakie pokładał dotychczas w godnym Pikardyjczyku, zmniejszało się z dnia na dzień. Niepokój d'Artagnana był tak wielki, że udzielał się także Portosowi i Aramisowi. Tylko Atos pozostał niewzruszony, jak gdyby nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo i życie toczyło się zwykłym trybem.

Szesnastego dnia zwłaszcza d'Artagnan i jego dwaj przyjaciele byli tak podnieceni, że nie mogli usiedzieć na miejscu i snuli się jak cienie po drodze, którą miał nadjechać Planchet.

- Na Boga - mówił im Atos - nie jesteście mężczyźni, lecz dzieci, jeśli kobieta może was przejmować tak wielkim strachem! I o co chodzi zresztą? Że zostaniemy uwięzieni? Dobrze, ale są tacy, co postarają się, żebyśmy wyszli z więzienia; przecież uwolniono panią Bonacieux. Że zetną nam głowy? Ale codziennie w okopach wystawiamy się ze śmiechem na gorsze rzeczy; pocisk może nam roztrzaskać nogę, a jestem przekonany, że większe cierpienie zada nam chirurg ucinając nogę, niż kat ucinając głowę. Czekaście więc spokojnie; za dwie, cztery, najdalej za sześć godzin Planchet będzie na miejscu; przyrzekł, że wróci, a ja wierzę w obietnicę Plancheta, który wygląda mi na bardzo dzielnego chłopca.

- Ale jeśli się nie zjawi? - zapytał d'Artagnan.

- Jeśli się nie zjawi, znaczy, że się spóźni., nic więcej. Mógł spaść z konia, mógł fiknąć koziołka z mostu do wody, mógł na skutek szybkiej jazdy nabawić się zapalenia płuc. Ach, panowie, bierzmy rzeczy, jakimi są. Życie jest różańcem złożonym z drobnych utrapień, które filozof przesuwają z uśmiechem. Bądźcie filozofami jak ja, panowie, siadajcie do stołu i pijmy; nigdy przyszłość nie

ukazuje się w piękniejszych kolorach niż wówczas, gdy patrzymy na nią przez szklanę chambertina.

- Zapewne - odparł d'Artagnan - ale kiedy piję, nie mogę odpędzić męczących podejrzeń, że wino pochodzi z piwnicy Milady.

- Jesteś nazbyt wymagający - rzekł Atos - taka piękna kobieta!

- Kobieta z lilią! - zawołał Portos śmiejąc się głośno.

Atos zadrżał, przeciągnął dłonią po czole ocierając pot i wstał nerwowym ruchem, którego nie mógł opanować.

Tymczasem dzień kończył się i nadchodził wieczór, powoli, ale przecie nadchodził; oberża zapełniła się gośćmi. Atos, od chwili gdy włożył do kieszeni swoją część pieniędzy za diament, nie opuszczał gospody „Pod Heretykiem”.

Znalazł w panu de Busigny, który wydał w swoim czasie wspaniały obiad, godnego siebie towarzysza. Grali więc jak zwykle, kiedy wybiła siódma; rozległy się kroki żołnierzy, którzy szli wzmocnić posterunki; o wpół do ósmej zagrano na capstrzyk.

- Jesteśmy zgubieni - szepnął d'Artagnan Atosowi do ucha.

- Chciałeś powiedzieć, że przegraliśmy - odparł spokojnie Atos wyciągając cztery pistole z kieszeni i rzucając je na stół. - Nuże, panowie, grają na capstrzyk, chodźmy spać.

Atos wyszedł z gospody w towarzystwie d'Artagnana. Za nimi szedł Arami pod ramię z Portosem.

Aramis przepowiadał sobie wiersze, a Portos od czasu do czasu wyrywał kilka włosów z wąsa na znak rozpaczy.

Nagle w ciemnościach ukazał się cień, którego kształt dobrze był znany d'Artagnanowi; znajomy głos powiedział:

- Panie, przynoszę panu płaszcz, mamy dziś chłodny wieczór.

- Planchet! - zawołał d'Artagnan pijany radością.

- Planchet! - powtórzyli Portos i Aramis.

- A więc tak, Planchet - rzekł Atos - i cóż w tym dziwnego? Przyrzekł, że będzie z powrotem o ósmej, a oto bije właśnie ósma. Brawo, Planchet, jesteś słowny i jeśli kiedyś opuścisz swego pana, masz miejsce u mnie.

- Och nie, nigdy! - zawołał Planchet - nigdy nie opuszczę pana d'Artagnana.

W tej samej chwili d'Artagnan poczuł, że Planchet wsunął mu list do ręki. D'Artagnan miał wielką ochotę uściskać Plancheta, tak jak uściskał go przy odjeździe; ale obawiał się, że dając służącemu dowody uczuć pośrodku ulicy, wzbudziłby zdumienie jakiegoś przechodnia, więc się powstrzymał.

- Mam list - zawołał do Atosa i przyjaciół.

- Wybornie - rzekł Atos - chodźmy do siebie i przeczytajmy.

List palił dłoń d'Artagnana; chciał przyspieszyć kroku; ale Atos wziął go pod rękę i młody człowiek musiał dostosować swój krok do kroku przyjaciela.

Wreszcie znaleźli się w namiocie; zapalono lampę, Planchet stanął przy wejściu, by czterej przyjaciele nie zostali znenacka zaskoczeni, i d'Artagnan drżącą ręką złamał pieczęć i otworzył upragniony list.

Zawierał kilka słów napisanych pismem prawdziwie angielskim i z umiarem iście spartańskim:

Thank you, be easy.

Co znaczy;”Dziękuję, bądź spokojny”.

Atos wziął papier z ręki d'Artagnana, zbliżył go do lampy, podpalił i zaczął, aż cały zamieni się w popiół.

Potem zawołał Plancheta.

- A teraz, mój chłopcze - powiedział - możesz żądać swoich siedmiuset liwrów, choć nie ryzykowałeś wiele z takim listem.

- Nic w tym chyba złego, że postarałem się, by był krótki - rzekł Planchet.

- Opowiedz nam o tym - rzekł d'Artagnan.

- To długa historia, panie.

- Masz rację, Planchet; zresztą już po capstrzyku i zwrócimy uwagę, jeśli będziemy palić światło dłużej niż inni.

- Zgoda - rzekł d'Artagnan - położmy się spać. Śpij dobrze, Planchet.

- Dalibóg, proszę pana, zasnę po raz pierwszy od szesnastu dni.

- I ja także - rzekł d'Artagnan.

- I ja także! - rzekł Portos.

- I ja także! - rzekł Aramis.

- Chcecie, żebym powiedział wam prawdę? I ja także! - rzekł Atos.

XIX.

ZRZĄDZENIE LOSU

Tymczasem Milady, oszalała z wściekłości, miotając się po pokładzie statku jak uwięziona lwica, gotowa była skoczyć niemal do morza, byle tylko wrócić na brzeg, nie mogła sobie bowiem wyobrazić, że znieważona przez d'Artagnana, zagrożona przez Atosa, opuszcza Francję nie pomściwszy się na nich. Wkrótce ta myśl stała się dla niej tak nieznośna, że choć wiedziała, jak bardzo to niebezpieczne, błagała kapitana, by wysadził ją na brzeg; ale kapitan, który miał niełatwe zadanie pomiędzy francuskimi i angielskimi krążownikami - sytuacja nietoperza pomiędzy szczurami i ptakami - pragnął co szybciej przybić do brzegów angielskich i odmawiał twardo. Uważał to żądanie za kaprys kobiecy i przyrzekał podróźnej, którą zresztą polecił mu osobiście kardynał, że wysadzi ją

w jakimś z portów Bretanii, w Lorient lub w Brest, jeśli morze i Francuzi pozwolą; na razie jednak wiatr był przeciwny, morze burzliwe, lawirowano i manewrowano nieustannie. W dziewięć dni po opuszczeniu Charente Milady, blada ze zmartwienia i wściekłości, ujrzała niebieskawe brzegi Finistere.

Obliczyła, że na przebycie tej części Francji i powrót do kardynała trzeba jej co najmniej trzech dni; dodajmy dzień na lądowanie, razem czyni to cztery dni; dodajmy te cztery dni do dziewięciu poprzednich, a otrzymamy trzynaście mstraconych dni, podczas których tyle ważnych wydarzeń mogło zajść w Londynie. Pomyślała, że bez wątpienia kardynał będzie rozgniewany jej powrotem

i chętniej wysłucha skarg skierowanych przeciw niej niż jej oskarżeń. Minęła Lorient i Brest nie nalegając już na kapitana, który ze swej strony też wystrzegał się, by nie dać jej po temu sposobności. Milady płynęła więc dalej i tego samego dnia, kiedy Planchet wszedł na okręt w Portsmouth, by odpłynąć do Francji, wysłanniczka Jego Eminencji przybyła triumfalnie do portu.

Całe miasto było niezwykle ożywione: cztery wielkie, świeżo ukończone okręty miały zostać spuszczone na morze; na grobli portowej stał Buckingham, cały w złocie, migocąc diamentami i drogimi kamieniami, w kapeluszu z białym piórem, które spadało mu na ramię, otoczony sztabem niemal równie wspaniałym jak on sam.

Był to jeden z tych pięknych! rzadkich dni zimowych, kiedy Anglia przypomina sobie, że istnieje słońce. Słońce blade, ale wspaniałe jeszcze, zachodziło właśnie okrywając purpurą niebo i ziemię, i rzucając na wieże i stare domy miasta ostatnie złote promienie, od których szyby płonęły jak w odbłasku pożaru. Milady oddychając powietrzem morskim, pachnącym i balsamicznym przy zbliżaniu się do lądu, patrząc na wspaniałość tych przygotowań, które miała zniszczyć, na potęgę tej armii, którą miała pokonać - ona, samotna kobieta - za pomocą kilku worków złota, porównywała się w myśli z Judytą, ową straszliwą Żydówką, w chwili kiedy bohaterka biblijna wkraczając do obozu Asyryjczyków ujrzała niezliczone wozy, konie, ludzi i broń, które jeden gest jej ręki miał rozproszyć niby chmurę dymu.

Wpłynęli do przystani; właśnie mieli zarzucić kotwicę, gdy mały i wspaniale uzbrojony kuter zbliżył się do statku handlowego, podając się za statek pilnujący wybrzeża; z kutra spuszczone na morze łódkę, która skierowała się ku drabince. W łódce znajdował się oficer, sternik i ośmiu wioślarzy; tylko oficer wszedł na statek, gdzie został przyjęty z całą powolnością, jaką budzi mundur.

Oficer rozmawiał chwilę z kapitanem, dał mu do przeczytania kilka papierów, które miał przy sobie; na rozkaz kapitana cała załoga, majtkowie i podróżni zostali wezwani na pokład.

Oficer wypytywał głośno, skąd dwumasztowiec wypłynął, sprawdzał jego marszrutę, a na wszystkie te pytania kapitan odpowiadał bez wahania i trudu.

Wówczas oficer rozpoczął przegląd zebranych osób i zatrzymując się przed Milady, spojrzał na nią z wielką uwagą, ale bez słowa.

Następnie wrócił do kapitana i znowu powiedział mu kilka słów; jakby od tej chwili do niego należała komenda na statku, zarządził manewr, który załoga wykonała natychmiast. Statek ruszył, wciąż eskortowany przez mały kuter, który płynął obok, grożąc mu lufami swoich sześciu dział; łódź

płynęła w ślad za statkiem, drobny punkcik obok olbrzymia.

Podczas gdy oficer przyglądał się Milady, Milady ze swej strony, jak można się tego domyślić, nie spuszczała z niego wzroku. Ale choć ta kobieta o płomiennych oczach umiała czytać w sercach tych, których tajemnice chciała poznać, trafiła tym razem na twarz tak niewzruszoną, że nic z niej nie mogła się dowiedzieć.

Stojący przed nią oficer, który przypatrywał się jej w milczeniu i z tak wielką uwagą, mógł liczyć dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, miał białą cerę i jasnoniebieskie, głęboko osadzone oczy; cienkie i regularnie zarysowane usta były nieruchome; wyraźnie zaznaczona broda zdradzała tę siłę woli, która w pospolitym typie brytyjskim jest tylko uporem; czoło nieco płaskie, jakie przystoi poetom, entuzjastom i żołnierzom, osłaniały krótkie i rzadkie włosy pięknej kasztanowatej barwy, a także broda okalała dół jego twarzy.

Kiedy wpłynęli do portu, była już noc. Mgła pogłębiała jeszcze ciemności i wokół latami okrętowych i świateł układała się w kręgi podobne do tych, jakie otaczają księżyc, kiedy zanoszą się na deszcz. Powietrze było nieprzyjemne, wilgotne i zimne.

Milady, ta kobieta tak silna, poczuła, że nie może opanować dreszczu.

Oficer kazał sobie pokazać kufry Milady i zanieść je do łódki; kiedy to zostało zrobione, poprosił ją, by zeszła sama, i podał jej rękę.

Milady spojrzała na niego i zawahała się.

- Kim jesteś, panie - zapytała - i dlaczego mną właśnie się zajmujesz?

- Powinnaś się tego domyślić, pani, widząc mój mundur; jestem oficerem marynarki angielskiej - odparł młodzieniec.

- Ale czy oficerowie marynarki angielskiej stawiają się zawsze na rozkazy swych rodaków wysiadających w portach Wielkiej Brytanii i posuwają swoją dwomość tak daleko, by odprowadzać je na brzeg?

- Tak, jest taki zwyczaj, nie wynika wszakże z dworności, ale z przezorności; w czasie wojny odprowadza się cudzoziemców do specjalnych obozów, aby do chwili, kiedy można będzie o nich zasięgnąć wyczerpujących wiadomości, pozostawali pod opieką rządu.

Te słowa zostały wypowiedziane z największą uprzejmością i nienagannym spokojem. Nie przekonały jednak Milady.

- Ależ nie jestem cudzoziemką, panie - rzekła najczystszy akcentem, jaki słyszano kiedykolwiek

pomiędzy Portsmouth i Manchester - nazywam się Lady Ciarick i te środki...

- Te środki dotyczą wszystkich, Milady, i na próżno próbuje się pani wyłamać. - Idę więc, panie.

Przyjęła rękę oficera i po drabince zeszła do czekającej łódki. Oficer szedł za nią. Obszerny płaszcz był rozścielony na rufie; oficer poprosił Milady, by usiadła, i sam usiadł obok niej.

- Wiosłujcie - rzekł do marynarzy.

Osiem wiosła uderzyło o wodę jednym ruchem, wydając jednolity dźwięk; zdawało się, że łódka leci po powierzchni wody.

Po pięciu minutach przybili do brzegu.

Oficer wyskoczył i podał rękę Milady.

Powóz czekał.

- Czy to na nas czeka ten powóz? - zapytała Milady.

- Tak, pani - odparł oficer.

- Gospoda jest zatem daleko?

- Na drugim końcu miasta.

- Jedźmy - rzekła Milady.

I bez wahań wsiadła do pojazdu.

Oficer zadbał o to, by kufry zostały starannie przytroczone z tyłu powozu, po czym usiadł obok Milady i zamknął drzwiczki.

Wóznica, nie czekając na rozkaz i nie pytając dokąd, ruszył galopem i wjechał w ulice miasta.

Przyjęcie tak szczególne musiało zastanowić Milady; ale widząc, że młody oficer nie jest bynajmniej usposobiony do rozmowy, oparła się w kącie powozu na łokciu, próbując dojść, co to wszystko mogło znaczyć.

Jednak po kwadransie, zdumiona długością drogi, pochyliła się ku oknu, by zobaczyć, dokąd ją wiozą.

Nie widziała już domów; drzewa pojawiały się w ciemnościach jak wielkie czarne widma, biegnące jedno za drugim.

Milady zadrżała.

- Ależ nie jesteśmy już w mieście, panie oficerze - rzekła.

Oficer milczał.

- Nie pojedę dalej, jeśli mi pan nie powiesz, dokąd mnie wieziesz, uprzedzam cię, mój panie!

Ta groźba również pozostała bez odpowiedzi.

- Ach, tego już nadto! - zawołała Milady. - Na pomoc! Na pomoc!

Żaden głos nie odpowiedział na jej wołanie, pojazd mknął szybko dalej, oficer siedział nieruchomo.

Milady spojrzała na oficera z tym strasznym wyrazem, jaki umiała przybierać, a rzadko nie wywierał on wrażenia; w cieniu oczy jej zaiskrzyły się gniewem.

Młody człowiek pozostał niewzruszony.

Milady chciała otworzyć drzwiczki i wyskoczyć.

- Zechciej uważać, pani - rzekł zimno młodzieniec - zabijesz się wyskakując. Milady siadła z powrotem, pieniąc się z wściekłości; oficer nachylił się i spojrzał na nią zdumiony, widząc tę twarz, tak piękną przed chwilą, zmienioną przez gniew i niemal odrażającą. Przebiegła istota zrozumiała, że się gubi ukazując swą duszę; nadała twarzy łagodniejszy wyraz i rzekła błagalnym tonem:

- W imię Boga, panie oficerze! Powiedz, komumam przypisać gwałt, który mi zadają: tobie, twemu rządowi czy jakiemuś wrogowi?

- Nie ma tu żadnego gwałtu, pani, to tylko konieczne środki, jakie musimy stosować wobec wszystkich lądujących w Anglii.

- Więc pan mnie nie zna?

- Po raz pierwszy mam zaszczyt panią widzieć.

- I na honor, nie ma pan żadnych powodów, żeby mnie nienawidzić?

- Żadnych, przysięgam.

Tyle pogody, tyle spokoju, tyle słodyczy nawet było w głosie młodzieńca, że Milady pocieszyła się nieco.

Wreszcie, mniej więcej po godzinie jazdy, powóz zatrzymał się przed żelazną kratą, u końca wyłożonej drogi wiodącej do potężnego i samotnego zamku surowych kształtów. Teraz, kiedy koła toczyły się po miłym piasku, Milady usłyszała głuchy pomruk, odgłos morza, uderzającego o skalisty brzeg.

Pojazd przejechał pod dwoma sklepieniami i zatrzymał się wreszcie na mrocznym, kwadratowym dziedzińcu; prawie natychmiast drzwiczki otworzyły się, młody człowiek wyskoczył lekko na ziemię i podał dłoń Milady, która wsparła się na niej i wysiadła dość spokojnie.

- A jednak - rzekła Milady rozglądając się wokół i przenosząc spojrzenie na młodego oficera z najbardziej czarującym uśmiechem - jestem uwięziona; ale nie potrwa to długo, to pewna - dodała - moje sumienie i pana grzeczność są mi poręką.

Choć komplement był bardzo pochlebny, oficer nic nie odpowiedział; wyciągnął tylko zza pasa mały srebrny gwizdek, jakim posługują się dowódcy na okrętach wojennych, i zagwizdał trzy razy, za

każdym razem w inny sposób; natychmiast pojawili się ludzie, wyprzęgli spienione konie i zaprowadzili powóz do wozowni.

Oficer, wciąż z tą samą spokojną uprzejmością, poprosił uwięzioną, by weszła do domu. Milady z uśmiechem przyjęła jego ramię i weszła przez niskie i łukowate drzwi do sklepionej sieni, oświetlonej jedynie w głębi, a stamtąd na kamienne schody kręcące się wokół kamiennego słupa; zatrzymali się przed masywnymi drzwiami. Młody człowiek otworzył je kluczem, który miał przy sobie, drzwi obróciły się ciężko na zawiasach i Milady weszła do przeznaczonego dla niej pokoju.

Jednym spojrzeniem ogarnęła wnętrze aż do najdrobniejszych szczegółów.

Ów pokój urządzony był tak, że równie dobrze mógł być celą więzienną, jak mieszkaniem wolnego człowieka; jednak żelazne kraty w oknach i zasuwki zewnętrzne przy drzwiach mówiły o tym, że jest przeznaczony na więzienie.

Przez chwilę ta istota, która nie należała wszakże do istot słabych, poczuła się bezsilna; upadła na fotel, skrzyżowała ramiona i opuściła głowę przekonana, że lada chwila wejdzie sędzia, żeby ją przesłuchać.

Ale nikt nie wszedł prócz kilku żołnierzy marynarki; wnieśli kufry i skrzynie, postawili je w kącie i wyszli nic nie mówiąc.

Oficer pilnował wszystkiego z owym spokojem, który zauważyła już Milady, nie odzywając się słowem i wydając rozkazy gestem ręki lub gwizdkiem.

Powiedziałbyś, że temu człowiekowi i jego podwładnym nie trzeba było słów.

Wreszcie Milady, która nie mogła już wytrzymać, przerwała milczenie:

- Na Boga, panie oficerze! - zawołała - co to wszystko znaczy? Wyprowadź mnie pan z niepewności; nie brak mi odwagi w niebezpieczeństwie, jeśli znam je zawczasu, ani w nieszczęściu, jeśli je rozumiem. Gdzie jestem i kim tu jestem? Jeśli jestem wolna, dlaczego te kraty i drzwi? Jeśli jestem uwięziona, jaką zbrodnię popełniłam?

- Jesteś pani w przeznaczonym ci pokoju. Otrzymałem rozkaz, by udać się po panią na statek i przywieźć do tego zamku; rozkaz ten, jak mi się zdaje, wypełniłem z dokładnością żołnierza i z grzecznością szlachcica. Na tym, przynajmniej na razie, kończy się moje zadanie, reszta dotyczy kogo innego.

- A któż to taki? - zapytała Milady - czy nie może pan wymienić nazwiska?...

W tej samej chwili na schodach rozległ się brzęk ostróg; kilka głosów oddaliło się, ucichło i słychać było coraz wyraźniej kroki jednego człowieka.

- Oto ta osoba, pani - rzekł oficer usuwając się z przejścia i stając w postawie wyrażającej szacunek i posłuszeństwo.

Drzwi otworzyły się i na progu ukazał się mężczyzna.

Był bez kapelusza, miał szpadę u boku i ręką podkręcał wąsa.

Milady zdawało się, że rozpoznaje ten cień w cieniu; oparła rękę na fotelu i wysunęła naprzód głowę, by uzyskać pewność.

Nieznajomy zbliżał się powoli; w miarę jak wchodził w krąg światła lampy,

Milady cofała się bezwiednie.

Potem, kiedy już nie miała żadnych wątpliwości, zawołała, bezgranicznie zdumiona:

- Ach, czyżby to był mój brat?

- Tak, piękna pani - odparł lord Winter składając ukłon na poły dworny, na poły ironiczny - we własnej osobie.

- Ale ten zamek?

- Należy do mnie.

- Ten pokój?

- Przeznaczony jest dla pani.

- Jestem więc twoim więźniem?

- Mniej więcej.

- Ależ to okropny gwałt!

- Tylko bez wielkich słów; siadajmy i porozmawiajmy spokojnie, jak to wypada między bratem i siostrą.

Potem odwracając się ku drzwiom i widząc, że młody oficer czeka na dalsze rozkazy, powiedział:

- Doskonale, dziękuję; teraz pozostaw nas samych, panie Felton.

XX.

ROZMOWA BRATA Z SIOSTRĄ

Podczas gdy lord Winter zamykał drzwi, otwierał okiennicę i przysuwał krzesło do fotela bratowej, zamyślona Milady rozważała wszelkie możliwości, pojmując, że to spisek, którego przedtem nie mogła się nawet domyślać, nie wiedziała bowiem, w czyje ręce wpadła. Znała swego szwagra jako prawego szlachcica, zawołanego myśliwego, tęgiego gracza, mężczyznę śmiałego z kobietami, ale

nie mającego żadnych talentów do intryg. Jakim sposobem mógł dowiedzieć się o jej przybyciu? Pochwycić ją? Dlaczego ją zatrzymywał?

Atos powiedział Milady kilka słów, które dowodziły, że jej rozmowa z kardynałem doszła do obcych uszu, ale nie mogła przypuszczać, że zaatakują ją tak szybko i zuchwale.

Obawiała się raczej, że jej dawniejsze poczynania w Anglii zostały odkryte. Buckingham mógł domyślić się, że to ona odcięła dwie spinki, i zemścić się za tę zdradę, ale Buckingham był niezdolny do użycia przemocy wobec kobiety, zwłaszcza jeśli mniemał, że ta kobieta działa powodowana uczuciem zazdrości.

To przypuszczenie wydało jej się najbardziej prawdopodobne; pomyślała, że zechciano zemścić się za przeszłość, a nie zabezpieczyć się na przyszłość.

W każdym razie wieszowała sobie, że wpadła w ręce szwagra, z którym, jak sądziła, pójdzie jej łatwiej niż ze zdecydowanym i inteligentnym nieprzyjacielem.

- Tak, porozmawiajmy, mój bracie - powiedziała wesoło, postanawiając zdobyć w tej rozmowie

wiadomości, potrzebne do ustalenia sposobu działania, nawet gdyby lord Winter starał się wszystko przed nią ukryć.

- Postanowiłaś tedy wrócić do Anglii - rzekł lord Winter - mimo że nie raz jeden mówiłaś mi w Paryżu, że nigdy twoja stopa nie stanie na ziemi brytyjskiej?

Milafly odpowiedziała na to pytanie innym pytaniem.

- Przede wszystkim - powiedziała - zechciej mi powiedzieć, jakim sposobem śledziłeś mnie tak bacznie, że wiedziałeś nie tylko o moim przybyciu, ale o dniu mego przybycia i godzinie; wiedziałeś nawet, do którego portu wpłynę.

Lord Winter przyjął tę samą taktykę co Milady, myśląc, że na pewno jest dobra, jeśli bratowa się nią posługuje.

- Ale powiedz mi, proszę, moja droga siostró - ciągnął - co masz zamiar robić w Anglii?

- Przecie przyjechałam się z tobą zobaczyć - rzekła Milady, nie wiedząc, jak bardzo tą odpowiedzią utwierdza podejrzenia, jakie obudził w szwagrze list d'Artagnana, i chcąc jedynie pozyskać przychylność rozmówcy tym kłamstwem.

- Ach, mnie zobaczyć? - powiedział chytrze lord Winter.

- Oczywiście, cóż w tym dziwnego?

- I przybywając do Anglii nie miałaś innego celu?

- Nie.

- Zatem dla mnie jedynie zadałaś sobie trud przebycia La Manche?

- Dla ciebie.

- Tam do kata! Co za czułość, moja siostró!

- Czy nie jestem twoją najbliższą krewną? - zapytała Milady tonem pełnym wzruszającej naiwności.

- A nawet moją jedyną spadkobierczynią, prawda? - rzekł z kolei lord Winter wpatrując się w Milady.

Choć Milady bardzo panowała nad sobą, nie mogła powstrzymać drżenia, a że mówiąc te słowa lord Winter położył rękę na ramieniu siostry, to drżenie nie uszło jego uwagi.

Rzeczywiście uderzenie było celne i mocne. Naprzód Milady przyszło na myśl, że zdradziła ją Ketty, że Ketty opowiedziała baronowi o wyrachowanej niechęci, jaką nierozważnie wyjawiała pokojówce; przypomniała sobie również swój szalony i nieostrożny atak na d'Artagnana, kiedy ten uratował życie jej szwagra.

- Nie rozumiem, milordzie - rzekła, by zyskać na czasie i skłonić do mówienia przeciwnika. - Co chcesz powiedzieć? Czy jest jakiś ukryty sens w twoich słowach?

- Ależ, mój Boże, nie - odparł lord Winter z udaną dobroduszością - zapragnęłaś mnie zobaczyć i przyjechałaś do Anglii. Dowiaduję się o tym pragnieniu lub raczej przypuszczam, że ono cię tu sprowadza, i chcąc ci oszczędzić wszelkich kłopotów związanych z nocnym przyjazdem do portu,

wszelkiego zmęczenia, wysłałem po ciebie mego oficera; oddaję mu do dyspozycji powóz, on przywozi cię do zamku, którego jestem panem, gdzie zjawiam się co dzień i gdzie, dla obopólnego zadowolenia, przygotowałem ci pokój. Czy to wszystko, co powiedziałem, jest bardziej dziwne niż to, co usłyszałem od ciebie?

- Nie, zdumiewa mnie tylko, że byłeś uprzedzony o moim przybyciu.

- A jednak to rzecz najzwyklejsza pod słońcem, moja droga siostró; czy nie widziałaś, że kapitan statku wpływając do portu wysłał naprzód łódkę, by dostać pozwolenie wjazdu, i przekazał jednocześnie księgę okrętową i rejestr podróżnych? Jestem dowódcą portu, przyniesiono mi tę księgę, odnalazłem twoje nazwisko. Serce powiedziało mi, a usta twoje potwierdziły, w jakim celu

wystawiłaś się na niebezpieczeństwo tak burzliwego morza i podróży, bardzo męczącej o tej porze roku, posłałem więc po ciebie mój kuter. Resztę znasz sama.

Milady zrozumiała, że lord Winter kłamie, i to przeraziło ją jeszcze bardziej.

- Mój bracie - rzekła - czy to milorda Buckingham'a widziałam dziś wieczór w porcie?

- Tak, jego samego. Ach, rozumiem, że jego widok zwrócił twoją uwagę - mówił lord Winter - przybywasz z kraju, gdzie żywo się nim interesują, a wiem, że jego zbrojenia przeciw Francji bardzo zaprzatają twego przyjaciela kardynała.

- Mego przyjaciela kardynała! - zawołała Milady widząc, że i w tym względzie lord Winter jest znakomicie poinformowany.

- Nie jest więc twym przyjacielem? - odparł niedbale baron - ach, przepraszam, tak mi się zdawało; ale później wrócimy do księcia, na razie postarajmy się nie urywać sentymentalnego wątku naszej rozmowy. Powiadasz więc, że przyjechałaś, by mnie zobaczyć?

- Tak.
- Znakomicie, odpowiedziałem ci, że życzenie twoje zostanie spełnione, będziemy się widywać co dzień.
- Mam więc tu mieszkać wiecznie? - zapytała Milady z niejakim przerażeniem.
- Czy uważasz, że mieszkanie jest niewygodne, moja siostrzo? Powiedz, czego ci brak, a pośpieszę zaspokoić twe potrzeby.
- Nie mam tu ani swoich pokojówek, ani lokajów...
- Otrzymasz wszystko; objaśnij mi tylko, na jakiej stopie był postawiony dom twojego pierwszego męża, a choć jestem tylko twym szwagrem, uczynię wszystko, żebyś nie czuła się tu gorzej.
- Mojego pierwszego męża! - zawołała Milady patrząc na lorda Wintera przerażonymi oczami.
- Tak, twego męża Francuza; nie mówię o moim bracie. Zresztą, jeśliś go zapomniała, choć żyje jeszcze, mogę do niego napisać, by udzielił mi wyjaśnień w tej materii.

Zimny pot wystąpił na czoło Milady.

- Żartujesz - rzekła głuchym głosem.
- Czy wyglądam na to? - zapytał baron wstając i cofając się krok do tyłu. - Lub raczej obrażasz mnie - ciągnęła przyciskając zaciśnięte ręce do fotela i unosząc się nieco.
- Ja miałbym cię obrażać! - rzekł lord Winter z pogardą - czy sądzisz, że to możliwe?
- Doprawdy - rzekła Milady - jesteś pijany lub niespełna rozumu; wyjdź stąd i przyslij mi jakąś kobietę.
- Kobiety są bardzo niedyskretne, moja siostrzo! Czy nie mógłbym ci sam służyć za pokojówkę? W ten sposób wszystkie nasze tajemnice pozostaną w rodzinie.
- Zuchwalcze! - zawołała Milady i skoczyła jak oparzona ku baronowi, który stał ze skrzyżowanymi ramionami, ale z ręką na gardzie szpady.
- Ho, ho - powiedział - wiem, że masz zwyczaj mordować ludzi, ale uprzedzam, będę się bronił nawet przed tobą.
- Och, masz rację - rzekła Milady - wyglądasz mi na dość wielkiego nędznika, by podnieść rękę na kobietę.

- Być może; zresztą mam usprawiedliwienie: nie będę pierwszym mężczyzną, którego ręka cię dotknęła.

I baron powolnym i oskarżycielskim ruchem wyciągnął rękę ku lewemu ramieniu Milady, dotykając go prawie palcem.

Milady zawyła głucho i cofnęła się w kąt pokoju jak pantera, która zbiera się do skoku.

- O, możesz wycić, ile zapragniesz - zawołał lord Winter - ale nie próbuj gryźć, będzie to tylko ze szkodą dla ciebie. Nie ma tu prawników, którzy z góry przyznają ci sukcesję, nie ma błędnego rycerza, który wyzwie mnie na pojedynek za to, że uwięziłem damę jego serca; mam natomiast sędziów gotowych zająć się kobietą dość bezwstydną, która, choć zamężna, wśliznęła się do łóżka

lorda Wintera, mego starszego brata; ci sędziowie, bądź tego pewna, oddadzą cię w ręce kata, a ten się postara, by twoje ramiona nie różniły się już niczym.

Oczy Milady ciskały tak straszne błyskawice, że choć był mężczyzną, i to przy broni, a ona bezbronną kobietą, poczuł, jak zimny strach wślizguje się do jego serca; jednakże ciągnął dalej ze wzrastającą wściekłością;

- Tak, rozumiem, masz już spadek po moim bracie i byłoby ci przyjemnie dziedziczyć również po mnie; ale wiedz o tym zawczasu (możesz mnie zabić lub kazać zabić), że poczyniłem już odpowiednie kroki: ani jeden penny z tego, co posiadam, nie przejdzie do twych rąk. Czy nie jesteś już dość bogata posiadając prawie milion, czy nie możesz się powstrzymać na zgubnej drodze, jeśli czynisz zło tylko dla najwyższej i nieskończonej rozkoszy czynienia zła? Och, powiadam ci, gdyby pamięć mego brata nie była mi święta, zgniłabyś w lochu więziennym lub wysłałbym cię do Tybun na uciechę marynarzy. Będę wszakże milczał, ty jednak cierpliwie znoś swój los; za piętnaście dni wyruszam do La Rochelle z armią, ale w przeddzień mego wyjazdu przyplynie tu statek, który zawiezie cię do naszych południowych kolonii. Bądź pewna, że dam ci towarzysza, który roztrzaska ci głowę przy pierwszej próbie powrotu do Anglii lub na kontynent.

Milady słuchała z uwagą, która rozszerzała jej płonące oczy.

- Tak, na razie pozostaniesz w tym zamku - ciągnął lord Winter - mury są tu grube, drzwi mocne, kraty potężne, zresztą twoje okno wychodzi na nadmorską skałę; ludzie z załogi, oddani mi na śmierć i życie, stoją na straży tego pokoju i pilnują wszystkich przejść prowadzących na dziedziniec; jeśli nawet znajdziesz się na dziedzińcu, pozostają ci do przebycia trzy kraty. Rozkaz jest wyraźny: jeden krok, jeden gest, jedno słowo zdradzające, że zamierzasz uciec, a otworzą ogień do ciebie; jeśli zostaniesz zabita, sąd angielski będzie mi wdzięczny, mam nadzieję, że oszczędziłem mu trudu. Ach, twoje rysy nabierają spokoju, na twoją twarz wraca pewność siebie: „Piętnaście dni, dwadzieścia dni

- powiadasz. - Cóż, jestem dość pomysłowa, znajdę wyjście, diabeł mnie wspomaga, znajdę jakąś ofiarę. Za piętnaście dni będę daleko stąd”. Spróbuj!

Milady widząc, że jej myśli zostały odgadnięte, wbiła paznokcie w ciało, by zapanować nad każdym odruchem, który mógłby nadać jej twarzy inny wyraz niż wyraz lęku.

Lord Winter ciągnął dalej:

- Widziałaś już oficera, który obejmie tu komendę pod moją nieobecność, i mogłaś go ocenić: potrafi wykonać rozkaz. Znam cię bowiem, nie przyjechałaś tu z Portsmouth nie próbując nakłonić go do mówienia. Co o nim powiesz? Czy posąg z marmuru byłby bardziej niewzruszony, bardziej niemy? Wypróbowałaś już swoje uwodzicielskie talenty na wielu mężczyznach i niestety, zawsze z powodzeniem; ale spróbuj z tym, u kata! Jeśli osiągniesz cel, powiem, że jesteś wcielonym diabłem.

Ruszył kli drzwiom i otworzył je gwałtownie.

- Zawołać mi tu pana Feltona - powiedział. - Poczekaj jeszcze chwilę, zaraz cię jemu polecę.

Zapadła szczególna cisza i słychać było tylko odgłos zbliżających się wolnych i miarowych kroków; po chwili w cieniu korytarza zarysował się kształt postaci ludzkiej i młody porucznik, z którym zawarliśmy już znajomość, zatrzymał się na progu, oczekując rozkazów barona.

- Wejdz, mój drogi Johnie - rzekł lord Winter - wejdz i zamknij drzwi.

Młody oficer wszedł.

- A teraz - powiedział baron - spójrz na tę kobietę; młoda, piękna, nie brak jej żadnego powabu, a jest to potwór. Mając dwadzieścia pięć lat popełniła tyle zbrodni, ile po roku lektury dopiero znalazłbyś w archiwum naszych trybunałów; ma głos, który usposabia do niej przychylnie, ma urodę, którą nęci ofiary, a trzeba przyznać, że jej ciało spełnia obietnice, jakie zdaje się przyrzekać, spróbuje cię uwieść, zabić nawet. "Wydobyłem cię z nędzy, Feltonie, dzięki mnie zostałeś porucznikiem, uratowałem ci życie, wiesz, w jakiej okazji; jestem dla ciebie nie tylko opiekunem, lecz przyjacielem, nie tylko dobroczyńcą, lecz ojcem. Ta kobieta przybyła do Anglii, by godzić na moje życie; mam tę żmiję w rękach; wezwałem cię i powiadam: przyjacielu Feltonie, Johnie, moje dziecko, strzeż mnie, a nade wszystko strzeż siebie samego przed tą kobietą. Przysięgnij na swe zbawienie, że będziesz jej pilnował, by doczekała kary, na jaką zasługuje; Johnie Felton, zawierzam twemu słowu; Johnie Felton, wierzę w twoją lojalność.

- Milordzie - rzekł młody oficer, a w jego czystym spojrzeniu zawarła się całą nienawiść, jaką mógł znaleźć w sercu - milordzie, przysięgam ci, że będzie tak, jak sobie życzysz.

Milady przyjęła to spojrzenie z miną zrezygnowanej ofiary; niepodobna wyobrazić sobie wyrazu

bardziej uległego i łagodnego niż ten, który malował się teraz na jej twarzy. Nawet lord Winter nie mógł rozpoznać tygryscy, z którą walczył przed chwilą.

- Nie wyjdzie z tego pokoju, Johnie - ciągnął baron - nie będzie porozumiewała się z nikim, będzie mówiła tylko z tobą, jeśli zaszczybisz ją słowem.

- Dość, milordzie, przysięgam.

- A teraz, pani, zechciej pojednać się z Bogiem, ponieważ ludzie uczynili już sąd nad tobą.

Milady opuściła głowę, jak gdyby przytłoczona tym wyrokiem. Lord Winter wyszedł dając znak Feltonowi, który wyszedł również zamykając drzwi za sobą.

Po chwili na korytarzu rozległ się krok żołnierza marynarki pełniącego wartę z toporem u pasa i muszkietem w dłoni.

Milady pozostawała jeszcze przez kilka chwil w tej samej pozycji, sądziła bowiem, że obserwują ją przez dziurkę od klucza; potem powoli podniosła twarz, na której malowała się teraz groźba i wyzwanie, pobiegła do drzwi, spojrzała przez okno, powróciła na swój szeroki fotel i zamyśliła się.

XXI.

OFICER

Tymczasem kardynał oczekiwał wiadomości z Anglii, ale nadchodziły tylko złe i groźne nowiny.

Choć La Rochelle była osaczona, choć dzięki przedsięwziętym środkom, a zwłaszcza tamie, która nie pozwalała żadnej barce przedostać się do oblężonego miasta, zwycięstwo wydawało się pewne, blokada mogła trwać jeszcze długo, a byłoby to wielkim afrontem dla wojsk królewskich i wielkim kłopotem dla pana kardynała; Jego Eminencja nie starał się już co prawda poróżnić Ludwika XIII z Anną Austriaczką, to było zrobione, ale musiał pogodzić pana Bassompierre'a poróżnionego z księciem d'Angouleme.

Księżę Orleański natomiast, który oblężenie rozpoczął, mniemał, że należy pozostawić kardynałowi troskę o jego zakończenie.

W La Rochelle, mimo nieprawdopodobnej wytrwałości mera, myślano o buncie, chciano się poddać; mer kazał powiesić śmiałków. Wyrok uspokoił największych zapaleńców i roszeleńcy postanowili umrzeć śmiercią głodową. Ta śmierć wydawała się mimo wszystko i mniej rychła, i mniej pewna niż śmierć przez powieszenie.

Oblegający od czasu do czasu chwyтали umyślnych, których roszeleńcy wysyłali do Buckingham,

lub szpiegów, których Buckingham przysyłał do La Rochelle. W jednym i drugim wypadku sprawę załatwiano szybko. Pan kardynał mówił tylko jedno słowo: Wiesz! Zapraszano króla na widowisko. Król przychodził ospale, zajmował dobre miejsce, by widzieć wszystko dokładnie; zawsze dawało mu to niejaką rozrywkę i pozwalało cierpliwie znosić oblężenie. Mimo to nudził się potężnie i mówił wciąż o powrocie do Paryża. Gdyby więc zabrakło umyślnych i szpiegów, Jego Eminencja, choć nie zbywało mu na wyobraźni, znalazłby się w wielkim kłopotcie.

Jednak czas mijał, a roszelczycy nie poddawali się. Ostatni pochwycony szpieg miał przy sobie list. W tym liście donoszono Buckinghamowi, że miasto znajduje się u kresu sił; ale zamiast słów: „Jeśli posiłki nie nadejdą za piętnaście dni, poddamy się”, list kończył się słowami: „Jeśli posiłki nie nadejdą za piętnaście dni, umrzemy z głodu przed waszym przybyciem”.

Roszelczycy pokładali więc nadzieję tylko w Buckinghamie. Buckingham był ich Mesjaszem. Rzecz oczywista, że jeśli dowiedzą się z całą pewnością, iż nie mogą liczyć na Buckinghama, ich odwaga zniknie razem z nadzieją.

Kardynał czekał więc bardzo niecierpliwie wiadomości z Anglii, że Buckingham nie przybędzie.

Na radzie królewskiej niejednokrotnie mówiono o zdobyciu miasta siłą zbrojną, ale zawsze ten plan odrzucano; przede wszystkim wyglądało na to, że La Rochelle jest niezdobytą twierdzą; po wtóre kardynał mimo wszystko zdawał sobie doskonale sprawę, że rozlew krwi w tej batalii, w której Francuzi walczyliby z Francuzami, byłby przekreśleniem sześćdziesięciu lat polityki, a kardynał był człowiekiem postępu, jak to się dziś powiada. W samej rzeczy złupienie La Rochelle i mord kilku tysięcy hugenotów w 1628 roku nazbyt przypominałyby rzeź z 1572 roku, w noc świętego Bartłomieja; był to środek ostateczny i choć król, dobry katolik, nie lękał się go wcale, odrzucali go zawsze oblegający generałowie powiadając, że La Rochelle nie można wziąć inaczej jak głodem.

Kardynał nie mógł się wyzbyć obaw, które budziła w nim straszliwa wysłanniczka, ponieważ on także zrozumiał, jak szczególnie była to kobieta, raz biorąca na się postać węża, innym razem lwa. Czy zdradziła go? Może nie żyje? Znał ją dość dobrze, by wiedzieć, że czy działała dla niego, czy przeciwko niemu, czy jest przyjacielem, czy wrogiem, nie pozostanie bezczynna, jeśli ważne przeszkody nie staną jej na drodze. Ale jakież to przeszkody? Tego właśnie nie wiedział.

Zresztą nie bez słuszności liczył na Milady: domyślał się straszliwej przeszłości tej kobiety, którą jedynie jego czerwony płaszcz mógł zasłonić; czuł też, że z tych czy innych powodów Milady jest mu oddana, nie mogąc znaleźć w kim innym potężniejszego oparcia przeciw zagrażającemu jej niebezpieczeństwu.

Postanowił tedy prowadzić wojnę sam i liczyć na powodzenie z zewnątrz tylko w tym stopniu, w jakim liczy się na szczęśliwy przypadek. Nie zaprzestał budowania sławnej tamy, dzięki której miał zagłodzić La Rochelle. Patrząc na to nieszczęsne miasto, które kryło w sobie tyle głębokich nieszczęść i tyle bohaterskich cnót, przypominał sobie maksymę Ludwika XI, swego poprzednika

w polityce, jak on sam był poprzednikiem Robespierre'a, maksymę tego ojca chrzestnego Tristana*:

„Dzielić, by panować”.

* Chodzi o Tristana L'Hermile, zaufanego królów Karola VII i Ludwika XI.

Henryk IV oblegając Paryż kazał przetrzucać przez mury chleb i żywność; kardynał kazał zrzucić pisemka ulotne. Dowodził w nich roszelczykom, jak bardzo niesprawiedliwa, samolubna i barbarzyńska jest postawa ich wodzów; ci wodzowie mają zboża pod dostatkiem, ale się nim nie dzielą; mało ich obchodzi, że giną kobiety, dzieci i starcy, byleby mężczyźni broniący murów byli mocni i zdrowi: oto zasada, jaką przyjęli, albowiem oni również mają swoje zasady.

Owa zasada, czy to dzięki ofiarności, czy niemożności przeciwstawienia się jej, choć nie była powszechnie uznawana, przecież z teorii stała się praktyką, ale pisemka kardynała zadały jej cios. Przypominały one mężczyznom, że dzieci, kobiety i starcy, których przeznaczono na śmierć, to ich synowie, żony i ojcowie; że byłoby sprawiedliwiej, gdyby wszyscy cierpieli tak samo, wówczas bowiem jednaka sytuacja skłaniałaby do jednakiej decyzji.

Te pisemka oddziaływały tak, jak mógł się spodziewać autor, i wielu mieszkańców La Rochelle zaczęło na własną rękę układać się z armią królewską.

Ale w chwili kiedy kardynał widział już rezultaty swego pomysłu i mógł go sobie powinszować, pewien mieszkaniec La Rochelle przedarł się przez linie królewskie - Bóg wie, w jaki sposób, pilnowali ich bowiem dzielnie Bassompierre, Schomberg i księżę d'Angouleme, sami z kolei pilnowani przez kardynała - pewien mieszkaniec La Rochelle, jak się rzekło, przedarł się do miasta; przybywał z Portsmouth i powiadał, że widział wspaniałą flotę, gotową za tydzień rozwinąć żagle. Ponadto Buckingham oznajmiał merowi, że wielka liga przeciw Francji wreszcie zostanie zawiązana i armie angielskie, cesarskie i hiszpańskie uderzą na królestwo. Ten list został odczytany wszem i wobec na placach, odpisy umieszczono na rogach ulic i nawet ci, co rozpoczęli układy, wycofali się, postanowiwszy czekać na pomoc tak uroczyście oznajmioną.

Ta nieprzewidziana okoliczność sprawiła, że kardynała ogarnęły dawne niepokoje i znów zwrócił oczy na przeciwległy brzeg morza.

W owym czasie armia królewska, wolna od trosk swego jedyne go i rzeczywistego wodza, wiodła przyjemny żywot; w obozie nie brak było jedzenia ani pieniędzy; regimenty prześcigały się w odwadze i wesołości. Brać szpiegów i wieszać ich, robić niebezpieczne wyprawy na tamę lub na morze, obmyślać szaleńcze projekty i wykonywać je z zimną krwią, oto rozrywki skracające dni,

długie nie tylko dla roszelczyków, dręczonych przez głód i obawy, ale i dla kardynała, który blokował ich tak potężnie.

Kardynał, nigdy nie zsiadając z konia niczym najpośledniejszy ze zbrojnych, patrzył uważnie na

fortyfikacje tak wolno postępujące w stosunku do jego pragnień, a wnoszone pod jego rozkazami przez inżynierów, których sprowadził ze wszystkich zakątków królestwa; jeśli spotkał muszkietera z kompanii pana de Treville, podjeżdżał do niego, spoglądał nań w osobliwy sposób i widząc, że nie jest to żaden z naszych czterech przyjaciół, odwracał przenikliwe spojrzenie.

Pewnego razu kardynał dręczony śmiertelną troską, nie mając nadziei na układy z miastem, nie mając wiadomości z Anglii, wyjechał ze swej kwatery na przejażdżkę w towarzystwie Cahusaca i La Houdiniere'a i ruszył wzdłuż brzegu, łącząc ogrom swych marzeń z potęgą oceanu; jadąc truchtem, znalazł się na wzniesieniu i stąd ujrzał siedmiu ludzi: leżeli na piasku za płotem, oświetleni promieniami słońca, tak rzadkimi o tej porze roku; wokół nich widać było puste butelki. Czterej z tej grupy, muszkieterowie królewscy, zajęci byli listem, który jeden z nich właśnie otrzymał, listem tak ważnym, że opuścili na bęben karty i kości.

Trzej inni otwierali olbrzymi gąsior wina z Collioure; byli to służący tych panów.

Jak powiedzieliśmy, kardynał był w złym humorze, a w tym stanie ducha nic nie rozdrażniało go bardziej niż wesołość innych. Zresztą miał dziwne uprzedzenie: był przekonany, że inni cieszą się z jego smutków. Dał znak La Houdiniere'owi i Cahusacowi, aby się zatrzymali, zsiadł z konia i zbliżył się do tej podejrzanie wesołej kompanii w nadziei, że piasek zagłuszy jego kroki, płot go zasłoni i usłyszy kilka słów z rozmowy, która wydawała mu się tak interesująca; z odległości dziesięciu kroków od płotu rozpoznał gwarę gaskońską, a ponieważ wiedział, że ma przed sobą muszkieterów, nie wątpił, że trzej pozostali to ci, których nazywano nierozłącznymi, a więc Atos, Portos i Aramis.

Można sobie wyobrazić, że jeszcze bardziej zapragnął usłyszeć rozmowę; jego oczy przybrały szczególny wyraz, krokiem tygrysa zbliżył się do płotu; ale zaledwie mógł uchwycić kilka sylab, kiedy krótki i dźwięczny okrzyk przyprowadził go o drżenie i zwrócił uwagę muszkieterów.

- Oficer! - zawołał Grimaud.

- Zdaje się, że mówisz, nicponiu - rzekł Atos unosząc się na łokciu i przeszywając Grimauda płomiennym spojrzeniem.

Ale Grimaud nie powiedział już ani słowa, gestem tylko wskazał płot, kardynała i jego eskortę.

Czterej muszkieterowie zerwali się na równe nogi i z szacunkiem powitali kardynała.

Kardynał był bardzo rozgniewany.

- Zdaje się, że panowie muszkieterowie rozstawiają straż! - rzekł - Czyżby to Anglik mógł przybyć łądem, a może też muszkieterowie uważają się za wyższych oficerów?

- Wasza Dostojność - odparł Atos, który jedyny wśród ogólnego przerażenia zachował ów

wielkopański spokój i zimną krew nie opuszczające go nigdy - Wasza Dostojność, gdy muszkietierowie nie pełnią służby albo służbę skończyli, piją, grają w kości i są wyższymi oficerami dla swoich służących.

- Dla służących! - zrzędził kardynał - dla służących, którzy otrzymali rozkaz uprzedzać swych panów, gdy ktoś przechodzi; to nie są służący, to straż.

- Wasza Eminencja widzi wszakże, że gdybyśmy nie zarządzili tych środków ostrożności, nie moglibyśmy złożyć Waszej Eminencji wyrazów szacunku ani podziękować za łaskę, jaką nam czyni przybywając do nas. D'Artagnanie, przed chwilą pragnąłeś podziękować Jego Dostojności, skorzystaj teraz z okazji.

Słowa te zostały wypowiedziane z niezmaconym spokojem, jakim odznaczał się Atos w chwilach niebezpiecznych, i z ową nadzwyczajną uprzejmością, dzięki której stawał się w pewnych chwilach bardziej dostojny niż urodzony król.

D'Artagnan zbliżył się i wybełkotał kilka słów podziękowania, płacząc się pod ponurym spojrzeniem kardynała.

- Wszystko jedno, panowie - ciągnął kardynał i widać było, że uwagi Atosa w najmniejszej mierze go nie przekonały - wszystko jedno, panowie, nie lubię, kiedy prości żołnierze tylko dlatego, że służą w uprzywilejowanej broni, robią z siebie wielkich panów; dyscyplina jest jednaka dla wszystkich.

Atos wysłuchał uważnie kardynała i składając ukłon na znak zgody, powiedział:

- Wasza Dostojność, nie zapomnieliśmy bynajmniej o dyscyplinie. Nie jesteśmy na służbie i sądziliśmy, że wobec tego możemy rozporządzać swym czasem, jak nam się podoba. Jeśli Wasza Eminencja ma jakiś specjalny rozkaz dla nas, będziemy zaszczytzeni mogąc go wykonać. Wasza

Dostojność widzi – ciągnął Atos marszcząc brew, ponieważ badanie zaczynało go niecierpliwić - że przyszlismy tu z bronią, żeby w razie potrzeby być w pogotowiu.

I wskazał palcem na cztery muszkiety leżące obok bębna, na którym znajdowały się karty i kości.

- Niech Wasza Dostojność zechce uwierzyć - dodał d'Artagnan - że wyszlibyśmy mu naprzeciw, gdybyśmy wiedzieli, że to Wasza Dostojność przybywa do nas z tak niewielką świtą.

Kardynał gryzł wąsa i zacinał wargi.

- Czy wiecie, jak wyglądacie, zawsze razem, uzbrojeni i strzeżeni przez służących? - rzekł kardynał. - Wyglądacie na czterech spiskowców.

- Och, jeśli o to idzie, Wasza Dostojność, to prawda - odparł Atos - jak Wasza Eminencja mógł to niedawno zauważyć, spiskujemy, ale jedynie przeciw roszelczykom.

- Ech, panowie politycy - rzekł kardynał marszcząc z kolei brew - w waszych mózgownicach znalazłoby się niejedną tajemnicę, gdyby można było w nich czytać, jak wy w tym liście, który ukryliście na mój widok.

Krew uderzyła Atosowi do twarzy, postąpił krok ku Jego Eminencji.

- Można by powiedzieć, że Wasza Dostojność podejrzewasz nas naprawdę i że jesteśmy na prawdziwym przesłuchaniu; jeśli tak jest, niech Wasza Eminencja raczy nam rzecz wyjaśnić; będziemy przynajmniej wiedzieli, czego się trzymać.

- A gdyby to nawet było przesłuchanie, mości Atosie? - odparł kardynał. - Nie tacy jak wy bywali przesłuchiwni i odpowiadali na pytania.

- Niech więc tylko Wasza Dostojność raczy zadawać pytania, j esteśmy gotowi na nie odpowiedzieć.

- Jakież to był list, który czytałeś, mości Aramisie, i który na mój widok ukryłeś?

- List od kobiety, Wasza Dostojność.

- Ach, rozumiem - rzekł kardynał - trzeba zachować dyskrecję, jeśli idzie o list tego rodzaju; jednakże można go pokazać spowiednikowi, a wiesz przecie, że otrzymałem święcenia.

- Wasza Dostojność - rzekł Atos ze spokojem tym straszniejszym, że mówiąc te słowa stawiał życie na kartę - ten list jest od kobiety, ale nie podpisała go ani Marion de Lomie, ani pani d'Aiguillon.

Kardynał zbladł śmiertelnie, dziki błysk ukazał się w jego oczach; odwrócił się, jakby miał dać rozkaz Cahusacowi i La Houdiniere'owi. Atos widział ten ruch i postąpił krok w stronę muszkietów, na które trzej przyjaciele patrzyli wzrokiem ludzi niezbyt skorych, by dać się uwięzić. Kardynał był samotrzeć;

muszkietierów wraz ze służącymi było siedmiu. Osądził, że walka byłaby tym bardziej nierówna, że Atos i jego towarzysze spiskowali naprawdę; a ponieważ zawsze umiał odmienić sytuację wedle swojej woli, cały jego gniew rozplynął się w uśmiechu.

- Nuże, nuże - rzekł - dzielni z was ludzie w każdej potrzebie i nic w tym złego, że czuwacie nad sobą tak samo jak nad innymi; mości panowie, bynajmniej nie zapomniałem tej nocy, kiedy byliście mi eskortą w drodze do oberży „Pod Czerwonym Gołębnikiem”; gdybym dziś obawiał się jakiegoś niebezpieczeństwa, prosiłbym was, byście mi towarzyszyli, ale jako że niebezpieczeństwa nie ma, zostańcie, opróżnijcie butelki, skończcie partię i list. Żegnam, panowie.

Za czym wsiadł na konia, którego podprowadził mu Cahusac, pożegnał ich skinieniem dłoni i

odjechał.

Czterej młodzi ludzie stali nieruchomo i patrzyli za nim bez słowa, aż znikł z pola widzenia.

Po czym spojrzeli po sobie.

Miny mieli niepewne, ponieważ mimo przyjaznego pożegnania rozumieli, że kardynał odjechał z wściekłością w sercu.

Tylko Atos uśmiechał się uśmiechem pełnym siły i pogardy. Kiedy kardynał był już tak daleko, że nie mógł nic usłyszeć ani dojrzeć, Portos, który chciał wylać na kogoś swój zły humor, zawołał:

- Grimaud ostrzegł nas za późno!

Grimaud chciał się już tłumaczyć, ale Atos podniósł palec i Grimaud nie otworzył ust.

- Czy dałbyś mu list, Aramisie? - rzekł d'Artagnan.

- Powziąłem decyzję - odparł Aramis swoim najbardziej pięściwym głosem. - Gdyby zażądał ode mnie listu, dałbym mu list jedną ręką, a drugą przebiłbym go szpadą.

- Spodziewałem się tego - powiedział Atos - dlatego stanąłem między nim a tobą. Doprawdy, bardzo nieostrożnie rozmawia z mężczyznami; zdawałoby się, że miał do czynienia tylko z kobietami i dziećmi.

- Mój drogi Atosie - rzekł d'Artagnan - podziwiam cię, jednak mimo wszystko nie postąpiliśmy słusznie.

- Jak to, nie postąpiliśmy słusznie! - rzekł Atos. - Czyje więc jest to powietrze, którym oddychamy? Czyj ten ocean, na który patrzymy? Czyj piasek, na którym leżymy? Czyją własnością jest ten list od twojej kochanki? Kardynała? Na honor, ten człowiek wyobraża sobie, że świat do niego należy; staliście tu jękając się, osłupiali, uniecznieni; zdawało się, że przed oczami macie Bastylię, że jakaś potworna Meduza zamieniła was w kamień. Czy kochać się w kobiecie znaczy spiskować? Jesteś zakochany w kobiecie, którą kardynał kazał uwięzić, chcesz ją wydrzeć z rąk kardynała; to partia, którą rozgrywasz z Jego Eminencją, list jest atutem; dlaczego miałbyś pokazać swój atut przeciwnikowi? Tak się nie robi. Jeśli odgadnie, proszę bardzo! My już wiemy, jakim atutem on rozporządza!

- Rzeczywiście - rzekł d'Artagnan - mądrze mówisz, Atosie.

- W takim razie nie mówmy więcej o tym, co się stało, i niech Aramis czyta list swojej kuzynki od tego miejsca, gdzie mu przerwał pan kardynał.

Aramis wyciągnął list z kieszeni, trzej przyjaciele zbliżyli się do niego, a trzej służący wrócili do gąsiora.

- Przeczytałeś dopiero parę linijek - rzekł d'Artagnan - zacznij więc od początku.

- Chętnie - rzekł Aramis.

„Mój drogi kuzynie, przypuszczam, że wyjadę do Stenay, gdzie w klasztorze karmelitanek siostra umieściła naszą służącą; biedne dziecko nie stawiało oporu, wie dobrze, że nie może pozostawać gdzie indziej nie narażając zbawienia swej duszy. Jednakże, jeśli nasze sprawy rodzinne ułożą się tak, jak tego pragniemy, mniemam, że nawet narażając się na potępienie powróci do tych, za którymi tęskni, wie bowiem, iż wciąż myślą o niej. Nie jest jej źle, pragnie tylko gorąco listu od swego wybranego. Wiem, co prawda, że nie jest to rzecz, która łatwo przechodzi przez kraty, ale dałam ci już dowody, drogi kuzynie, że jestem dość obrotna, toteż zajmę się przekazaniem tego listu. Moja siostra dziękuje ci za czułą i stałą pamięć. Przeżyła chwile wielkiego niepokoju; ale teraz, kiedy już wysłała zaufanego człowieka, aby nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego, podniosła się nieco na duchu.

Do widzenia, drogi kuzynie, chciałabym dostawać możliwie często wiadomości od ciebie, to znaczy za każdym razem, kiedy możesz je przekazać przez pewne ręce. Ściskam cię.

Maria Michon”

- Och, ileż ci jestem winien, Aramisie! - zawołał d'Artagnan. – Droga Konstancja! Mam wreszcie o niej wiadomości; żyje, jest bezpieczna w klasztorze, jest w Stenay. Gdzie znajduje się Stenay, Atosie?

- Kilka mil od granicy alzackiej, w Lotaryngii; kiedy oblężenie się skończy, możemy pojechać w tamte strony.

- A mam nadzieję, że oblężenie nie potrwa długo - rzekł Portos - dziś rano powieszono szpiega, który wyznał, że roszelczycy jedzą już wierzchy swych butów. Skoro zabiorą się z kolei do podeszew, nie widzę, co zostałyby im jeszcze na potem, chyba że zaczną się zjadać nawzajem.

- Biedni głupcy! - rzekł Atos wychylając szklankę doskonałego bordeaux, które choć nie miało podówczas równie dobrej sławy jak dziś, przecież na nią zasługiwało - biedni głupcy! Jak gdyby religia katolicka nie była najdogodniejszą i najprzyjemniejszą ze wszystkich religii! Tak czy inaczej - ciągnął uderzając językiem o podniebienie - to dzielni ludzie. Ale co czynisz, Aramisie, u diabła? Ściskasz ten list w kieszeni?

- Tak - powiedział d'Artagnan - Atos ma słuszość, trzeba list spalić; ale jeśli nawet zostanie spalony, kto wie, czy kardynał nie ma sposobu, by przemówiły popioły?

- Na pewno ma taki sposób - rzekł Atos.

- Co chcecie zrobić z tym listem? - zapytał Portos.

- Chodź tu, Grimaud - rzekł Atos.

Grimaud usłuchał.

- Aby cię ukarać za to, żeś mówił bez pozwolenia, mój przyjacielu, zjedz ten kawałek papieru; za czym, by wynagrodzić cię za usługę, jaką nam oddałeś, wypijesz tę szklankę wina. Najpierw list, żuj, a żwawo!

Grimaud uśmiechnął się z oczyma utkwionymi w szklance wina, którą Atos wypełnił po brzegi, podarł papier na kawałki i połknął go.

- Brawo, mości Grimaud! - rzekł Atos - a teraz zabierz się do wina; dobrze, nie musisz już dziękować.

Grimaud wychylił w milczeniu szklankę bordeaux, a kiedy już wypełnił to nader przyjemne polecenie swego pana, jego oczy wzniesione do nieba przemawiały bardzo wyraziście, choć nie używał słów.

- A teraz - rzekł Atos - jeśli kardynał nie wpadnie na genialny pomysł rozprucia brzucha Grimaudowi, sądzę, że możemy być prawie spokojni.

Tymczasem Jego Eminencja jechał w melancholijnym nastroju, mrużąc pod wąsem:

- Ci czterej ludzie muszą być moi, to pewna.

XXII.

PIERWSZY DZIEŃ NIEWOLI

Powróćmy do Milady, którą straciliśmy z oczu na chwilę, spoglądając w stronę Francji.

Odnajdziemy ją w równie rozpaczliwym położeniu, w jakim ją pozostawiliśmy; patrzy w przepastne otchłanie, dokąd zawiodły ją ponure rozmyślenia, w piekło, uktórego bram niemal straciła nadzieję; po raz pierwszy bowiem czuje zwątpienie, po raz pierwszy dowiaduje się, co to strach.

W dwóch okazjach szczęście jej nie dopisało, w dwóch okazjach zdemaskowano ją i zdradzono, dwa

razy została pokonana przez złego geniusza, którego przeciw niej zesłał Bóg; zwyciężył d'Artagnan, ją, niepokonaną i piekielną potęgę.

Nadużył jej miłości, upokorzył jej dumę, zwiódł jej ambicje, a teraz łamie jej karierę, pozbawia wolności, nastaje nawet na życie. Co więcej, uchylił maski, która osłaniała ją i czyniła tak silną.

D'Artagnan odwrócił burzę od Buckinghamama - Milady go nienawidzi jak wszystkich, których kiedyś kochała - choć Richelieu zagrażał mu zemstą na osobie królowej. D'Artagnan wkradł się do Milady jako de Wardes, do którego miała skłonność nieokiełznaną, jak zazwyczaj kobiety tego rodzaju.

D'Artagnan znał jej straszliwy sekret, a poprzysięgła, że kto go pozna, umrze. Wreszcie, w chwili gdy uzyskała glejt, który miał pomóc w zemście na wrogu, glejt został jej wydarty i teraz d'Artagnan znów trzyma ją w rękach i ześle na jakieś podłe Botany-Bay, do jakiegoś bezecnego Tyburn na Oceanie Indyjskim.

Wszystko to było bez wątpienia dziełem d'Artagnana; jakim sposobem tyle hańby spadłoby na jej głowę, jeśli nie za jego sprawą? Tylko on mógł donieść lordowi Winterowi o okropnych tajemnicach, które dzięki fatalnemu zbiegowi okoliczności odkrył jedną po drugiej. Znał jej szwagra, napisał do niego.

Ileż nienawiści bije od niej! Siedzi tu nieruchoma, płonące oczy utkwiła w pustym pokoju, od czasu do czasu wraz z oddechem głuchy jęk wydiera się z jej piersi, akompaniament do odwiecznej i bezsilnej rozpaczyny wzburzonej fali, która biegnie, huczy, ryczy i rozbija się o skały, gdzie wznosi się mroczny i pyszny zamek! Wśród błyskawic gniewu rozświetlających jej duszę układa projekty zemsty sięgające daleko w przyszłość, zemsty na pani Bonacieux, na Buckinghamie, przede wszystkim zaś na d'Artagnanie!

Tak, ale żeby się zemścić, trzeba być wolnym, żeby być wolnym, gdy jest się więźniem, trzeba przebić mury, przepiłować kraty, przedziurawić podłogę; może tego dokonać cierpliwy i silny mężczyzna, ale nie rozgorączkowana i wzburzona kobieta. Zresztą, żeby to zrobić, trzeba mieć czas, miesiące, lata, a ona... ona ma dziesięć lub dwanaście dni, jak powiada lord Winter, jej brat i straszliwy strażnik.

A przecież gdyby była mężczyzną, spróbowałaby, może by się jej nawet powiodło; dlaczego więc nieba omyliły się tak bardzo tchnąwszy męskiego ducha w ciało kruche i delikatne!

Toteż pierwsze chwile niewoli były straszne: kilka razy przebiegł ją dreszcz wściekłości, którego nie mogła opanować, płacąc naturze za słabość kobiecą. Ale z wolna opanowała wybuchy szalonego gniewu, znikło nerwowe drzenie, wstrząsające jej ciałem; teraz zwinęła się niby zmęczony wąż, który odpoczywa.

- No, no, byłam szalona tak się unosząc - rzekła patrząc w lustro, które odbijało płomienne spojrzenie jej oczu, jakby samej sobie zadawała pytanie. - Żadnego gwałtu, to dowód słabości. Zresztą nigdy nie zwyciężałam tym sposobem; być może, gdybym używała siły przeciw kobietom, mogłabym trafić na

słabsze ode mnie i pokonać je, ale walczę z mężczyznami i dla nich jestem tylko kobietą. Będę więc walczyła jak kobieta, moja siła jest w mej słabości.

I chcąc zdać sobie sprawę, jak bardzo może zmieniać się jej wyrazista i ruchliwa twarz, przybierała najrozmaitsze wyrazy, od gniewu wykrzywającego rysy, do najczulszego, pełnego słodyczy i kuszącego uśmiechu. Potem umiejętną ręką ułożyła włosy w sposób dodający wdzięku twarzy. Wreszcie szepnęła zadowolona z siebie:

- A więc nic jeszcze straconego. Wciąż jestem piękna.

Była wówczas mniej więcej ósma wieczór. Milady rzuciła okiem na łóżko; pomyślała, że kilkugodzinny odpoczynek nie tylko odświeży jej myśli, ale i cerę. Zanim się jednak położyła, lepszy pomysł przyszedł jej do głowy. Słyszała, jak mówiono o kolacji. Była już godzinę w tym pokoju, zaraz zapewne przyniosą jej posiłek. Uwięziona nie chciała tracić czasu i postanowiła tego wieczora jeszcze zbadać teren, poznać charakterystyki ludzi, którym powierzono straż nad nią.

Za drzwiami ukazało się światło: widocznie strażnicy wrócili. Milady, która już leżała, wstała z łóżka i rzuciła się na fotel z głową przechyloną do tyłu; jej piękne, gęste włosy były rozsypane, szyja na pół obnażona pod zmiętymi koronkami; jedną rękę położyła na sercu, drugą opuściła bezwładnie.

Odsunięto rygle, drzwi zaskrzypiały na zawiasach; w pokoju rozległy się zbliżające się kroki.

- Postawcie tu stół - odezwał się ktoś: poznała głos Feltona.

Rozkaz został wykonany.

- Przynieście świece i zmieńcie strażę - ciągnął Felton.

Te dwa rozkazy skierowane przez młodego porucznika do tych samych ludzi udowodniły Milady, że usługują jej strażnicy, to znaczy żołnierze.

Rozkazy Feltona wypełniano szybko i w milczeniu, co dawało dobre pojęcie o dyscyplinie, jaką potrafił utrzymać.

Wreszcie Felton, który nie spojrzał jeszcze na Milady, odwrócił się ku niej.

- Ach, ona śpi - rzekł - doskonale, gdy obudzi się, zje wieczerzę.

I postąpił kilka kroków, by wyjść.

- Ależ panie poruczniku - odezwał się żołnierz usposobiony mniej po stoicku niż jego przełożony, podchodząc do Milady - ta kobieta nie śpi.

- Jak to nie śpi! - powiedział Felton - więc co w takim razie robi?

- Zemdlała; twarz ma bardzo bladą, nie słyszę oddechu.

- W istocie - rzekł Felton spojrzawszy na Milady ze swego miejsca (nie postąpił bowiem kroku w jej stronę) - idź powiedzieć lordowi Winter, że uwięziona zemdląca; nie wiem, co robić, wypadek jest zgoła nieprzewidziany.

Żołnierz wyszedł, by wykonać rozkazy oficera; Felton usiadł na fotelu, który przypadkiem znajdował się obok drzwi, i czekał nie mówiąc słowa, nie czyniąc najmniejszego gestu. Milady władała ową wielką sztuką, tak studiowaną przez kobiety; umiała patrzeć poprzez długie rzęsy, choć nie widać było, żeby podnosiła powieki; zauważyła, że Felton odwrócił się do niej plecami; patrzyła na niego przez jakieś dziesięć minut i przez ten czas niewzruszony strażnik nie obejrzał się ani razu.

Pomyślała tedy, że wejście lorda Wintera i jego obecność doda nowych sił strażnikowi; pierwszą próbę przegrała, przyjęła to jak kobieta, która liczy na swe siły; podniosła więc głowę, otworzyła oczy i lekko westchnęła.

Na to westchnienie Felton odwrócił się wreszcie.

- Ach, obudziłaś się, pani! - rzekł - więc jestem już tu niepotrzebny. Jeśli będzie pani chciała czegokolwiek, proszę zadzwonić.

- Och, mój Boże, mój Boże, jakże cierpiałam! - szepnęła Milady melodyjnym głosem; podobnie jak głosy starożytnych czarodziejek urzekał on wszystkich, których chciała zgubić.

Wyprostowała się na fotelu i przyjęła pozę bardziej jeszcze wdzięczną i swobodną niż przed chwilą.

Felton wstał.

- Będzie pani otrzymywała posiłki trzy razy dziennie - rzekł - o dziewiątej rano, o pierwszej po południu i o ósmej wieczór. Jeśli to pani nie odpowiada, zechciej podać godziny, które byś wolała, twoim życzeniom stanie się zadość.

- Mam więc zawsze być sama w tym wielkim i smutnym pokoju? - zapytała Milady.

- Niewiasta z okolicy została uprzedzona i przyjdzie jutro do zamku; będzie przychodziła, ile razy pani zażąda.

- Dziękuję, panie - odparła pokornie uwięziona.

Felton skłonił się lekko i skierował ku drzwiom. Kiedy miał właśnie przekroczyć próg, na korytarzu

zjawił się lord Winter w towarzystwie żołnierza, który doniósł mu o zemdleńiu Milady. Trzymał w ręce flakon z solami.

- No, cóż tam? Co się tu dzieje? - rzekł kpiącym głosem, widząc Milady na nogach i Feltona wychodzącego. - Więc umarła już zmartwychwstała? Do kata, Feltonie, mój chłopcze, nie rozumiałeś tedy, że wzięto cię za nowicjusza i odegrano przed tobą pierwszy akt komedii, którą będziemy mieli przyjemność śledzić w jej dalszym rozwoju?

- Tak też pomyślałem, milordzie - odparł Felton - ale że jest to kobieta, chciałem okazać jej względy, jakie każdy dobrze urodzony mężczyzna winien jest tej płci, choćby z szacunku dla samego siebie.

Milady zadrżała od stóp do głów. Słowa Feltona mroziły jej krew w żyłach.

- Więc te piękne włosy umiejętnie ułożone, ta biała cera i omdlewające spojrzenie nie uwiodły cię jeszcze, o, serce z kamienia!

- Nie, milordzie - odparł niewzruszony młodzieniec - i może mi pan wierzyć, że trzeba czegoś więcej niż sztuczek i kokieterii kobiecej, by poruszyć moje serce.

- W takim razie, mój dzielny poruczniku, zostawiamy Milady, niechaj wymyśli co innego, i chodźmy na kolację; zapewniam cię, ma dosyć wyobraźni i po pierwszym akcie komedii nastąpi drugi.

Mówiąc te słowa lord Winter wziął pod ramię Feltona i śmiejąc się wyszedł.

- Och, znajdę to, czego ci trzeba - wycodziła Milady przez zęby – bądź spokojny, niedoszły mnichu, biedny nawrócony żołnierzu, coś uszył sobie mundur z habitu.

- Jednakże - rzekł lord Winter zatrzymując się w drzwiach - to niepowodzenie nie powinno ci odjąć apetytu, Milady. Skosztuj tego kurczęcia i ryb, których nie kazałem zatruć, słowo honoru. Jestem w dobrych stosunkach z moim kucharzem, a ponieważ nie będzie po mnie dziedziczyć, mam do niego całkowite zaufanie. Idź w moje ślady. Żegnaj, droga siostrze, do następnego omdlenia.

Było to więcej, niż mogła znieść Milady; palce wbiła w fotel, zgrzytnęła głucho zębami, oczy utkwiała w drzwiach, które zamykały się za lordem Winterem i Feltonem, a kiedy zobaczyła, że jest sama, na nowo ogarnęła ją rozpacz; spojrzawszy na stół, zauważyła błyszczący nóż, skoczyła i porwała go, ale rozczarowała się okrutnie: ostrze było grube i z giętkiego srebra.

Za nie domkniętymi drzwiami rozległ się wybuch śmiechu i drzwi otworzyły się na nowo.

- Ha, ha - wołał lord Winter - ha, ha, ha, widzisz, mój dzielny Feltonie, proszę, powiedziałem ci, ten nóż był przeznaczony dla ciebie; moje dziecko, ona by cię zabiła; widzisz, to jeden ze sposobów Milady pozbywania się tych, którzy jej zawadzają. Gdybym cię usłuchał, miałaby nóż ostry i ze stali,

ale nie byłoby już Feltona, zabiłaby cię, a po tobie wszystkich innych. Spójrz, Johnie, jak świetnie umie trzymać nóż.

Rzeczywiście Milady trzymała nóż w zaciśniętej dłoni, ale przy tych słowach, przy tej największej zniewadze, opuściły ją siły i wola. Nóż upadł na ziemię.

- Masz rację, milordzie - rzekł Felton z akcentem głębokiego niesmaku, który odezwał się echem w sercu Milady - masz rację, byłem w błędzie.

I obaj wyszli z pokoju.

Tym razem wszakże Milady nasłuchiwała uważniej niż przedtem, aż kroki w korytarzu ucichły.

- Jestem zgubiona - szepnęła - jestem we władzy ludzi, na których nie mam większego wpływu niż na posągi z brązu czy granitu; znają mnie doskonale i są opancerzeni przeciwko każdej mej broni. Wszelako niepodobna, by skończyło się tak, jak postanowili.

Jak widać z ostatniego zdania, Milady instynktownie zwracała się ku nadziei; lęk i słabość nigdy nie mieszkały długo w tej duszy. Usiadła przy stole, skosztowała rozmaitych dań, wypła odrobinę hiszpańskiego wina i poczuła, jak znów wraca jej odwaga.

Przed położeniem się do łóżka rozpatrzyła, zbadała, przyjrzała się od wszystkich stron, przestudiowała na wszelkie sposoby słowa, chód, gesty, znaki, a nawet milczenie obu mężczyzn - głęboko, zręcznie, umiejętnie, po czym doszła do wniosku, że z jej dwóch prześladowców łatwiej będzie zranić Feltona.

Jedno zwłaszcza zdanie wracało na myśl uwięzionej:

- Gdybym cię był usłuchał - powiedział do niego lord Winter.

Zatem Felton wstawiał się za nią, skoro, lord Winter nie chciał go usłuchać.

- Jakikolwiek jest ten człowiek, mocny czy słaby - powtarzała Milady - ma wszakże iskierkę litości w sercu; z tej iskierki wzniecę pożar, który go strawi. Jeśli idzie o tamtego, zna mnie, boi się i wie, czego się po mnie spodziewać, jeśli wymknę mu się z rąk; moje usiłowania byłyby więc próżne. Co innego Felton, to młodzieniec naiwny, zdaje się cnotliwy, na niego znajdzie się sposób.

Milady położyła się i zasnęła z uśmiechem na ustach; ktoś, kto zobaczyłby ją śpiącą, powiedziałby, że to młoda dziewczyna śni o wianku z kwiatów, którym ozdobi czoło w najbliższe święto.

XXIII.

DRUGI DZIEŃ NIEWOLI

Milady śniła, że wreszcie ma w rękach d'Artagnana, że jest obecna przy jego kaźni; na widok tej nienawistnej krwi płynącej pod toporem kata czarujący uśmiech zarysował się na jej ustach.

Spała, jak śpi więzień ukołyszany pierwszą nadzieją.

Nazajutrz, kiedy otworzono drzwi do jej pokoju, była jeszcze w łóżku. Feston stał na korytarzu: przyprował kobietę, o której mówił wczoraj; kobieta weszła i zbliżyła się do łóżka Milady ofiarowując jej swoje usługi.

Milady była z natury blada, toteż jej cera mogła zmylić osobę, która widziała ją po raz pierwszy.

- Mam gorączkę - powiedziała - nie zmrużyłam oka przez całą noc, cierpię okropnie. Czy będziesz bardziej ludzka niż ci, co tu byli wczoraj? Proszę zresztą tylko o to, by pozwolono mi leżeć.

- Czy każe pani wezwać lekarza? - zapytała kobieta.

Felton słuchał tej rozmowy nie mówiąc słowa.

Milady pomyślała, że im więcej ludzi będzie ją otaczało, tym większą ich liczbę będzie musiała zjednać dla siebie i tym bardziej zaostrzy się czujność lorda Wintera. Zresztą lekarz mógłby powiedzieć, że udaje chorobę; Milady przegrała w pierwszym starciu i nie chciała przegrać w drugim.

- Lekarza? A po co? - rzekła. - Ci panowie oświadczyli wczoraj, że moja choroba jest zmyślona, to samo powiedzą i dzisiaj; od wczoraj wieczór mieli dość czasu, by wezwać doktora.

- W takim razie - rzekł Felton zniecierpliwiony - powiedz pani sama, czego sobie życzysz.

- Ach, mój Boże, czy mogę wiedzieć? Wiem tylko, że cierpię; róbcie, co wam się podoba.

- Poprosić lorda Wintera - rzekł Felton zmęczony tymi nieustannymi skargami.

- O, nie, nie - zawołała Milady - nie, panie, nie wołaj go, przysięgam, czuję się dobrze, nic mi nie trzeba, nie wołaj go.

Zdanie powiedziała tak gwałtownie i z tak wielkim uniesieniem, że Feston mimo woli postąpił kilka kroków naprzód.

„Wszedł” - pomyślała Milady.

- Pani - rzekł Felton - jeśli cierpisz naprawdę, pošlemy po medyka; jeśli nas oszukujesz, tym gorzej dla ciebie, ale my przynajmniej nie będziemy mieli sobie nic do zarzucenia.

Milady nie odpowiedziała, odrzuciła tylko piękną głowę na poduszkę, załapała się łzami i wybuchnęła szlochem...

Felton patrzył na nią przez chwilę ze zwykłym spokojem; za czym widząc, że atak może potrwać, wyszedł, a kobieta za nim. Lord Winter się nie zjawił.

- Zdaje mi się, że zaczynam widzieć rzeczy we właściwym świetle – szepnęła Milady z dziką radością, zakrywając się prześcieradłami, by ukryć ten wybuch wewnętrznego zadowolenia przed wszystkimi, którzy mogliby ją śledzić.

Minęły dwie godziny.

- Czas już teraz, żebym ozdrowiała - rzekła - wstańmy i zabierzmy się od razu do dzieła; mam tylko dziesięć dni, dziś mija drugi.

Rano przyniesiono Milady śniadanie do pokoju; pomyślała więc, że wkrótce przyjdą po stół i wówczas ujrzy Feltona.

Milady nie pomyliła się: ukazał się Felton i nie zwracając uwagi na to, czy Milady jadła, czy nie jadła śniadania, dał znak, by zabrano z pokoju stół, który przynoszono zwykle z zastawą.

Felton z książką w ręku został w pokoju.

Milady na pół leżąc na fotelu obok kominka, blada, piękna i zrezygnowana, wyglądała na świętą dziewicę oczekującą męczeństwa.

Felton zbliżył się do niej i rzekł;

- Lord Winter, który jest katolikiem jak pani, mniema, że byłoby pani przykro, gdyby cię pozbawić praktyk i obrzędów religijnych; zgadza się zatem, byś odczytywała co dzień waszą mszę; oto książka zawierająca modlitwy.

Milady podniosła głowę: sposób w jaki Felton położył książkę na małym stoliku obok Milady, ton, jakim powiedział te dwa słowa wasza msza, pogardliwy uśmiech, który im towarzyszył, kazały jej spojrzeć uważniej na oficera.

Proste uczesanie, przesadna skromność stroju, czoło gładkie jak marmur, ale równie twarde i nieprzeniknione, naprowadziły ją na myśl, że ma przed sobą jednego z tych ponurych purytanów, jakich spotykała często na dworze króla Jakuba, a nawet na dworze króla francuskiego, gdzie mimo wspomnień o nocy św. Bartłomieja szukali niekiedy schronienia.

Doznała nagłego natchnienia, jakie jest udziałem ludzi genialnych w chwilach wielkich i

rozstrzygających o ich losie lub życiu.

Te dwa słowa: wasza msza i rzut ona na Feltona pozwoliły Milady zrozumieć, jak wielkie znaczenie będzie miała odpowiedź.

Jej umysł pracował ze zwykłą szybkością i odpowiedź sama przysłała na usta:

- Ja! - rzekła z akcentem pogardy, który harmonizował znakomicie z tonem młodego oficera - ja, panie, moja msza! Lord Winter, zepsuty katolik, wie dobrze, że nie wyznaję tej religii co on, to tylko pułapka, którą chce na mnie zastawić.

- A jaką religię wyznajesz zatem, pani? - zapytał Felton ze zdziwieniem, którego nie potrafił całkowicie ukryć, choć tak umiał panować nad sobą.

- Powiem to wówczas - rzekła Milady z udaną egzaltacją - kiedy wycierpię dość dla mej wiary.

Spojrzenie Feltona dowiodło Milady, jak wiele zyskała dzięki tym słowom.

Jednakże oficer stał w milczeniu, nieruchomy; tylko jego spojrzenie mówiło.

- Jestem w rękach mych wrogów - ciągnęła z entuzjazmem, tak częstym u purytanów - niech zatem mój Bóg mnie wybawi albo niechaj zginę dla mego Boga! Oto moja odpowiedź, którą zechciej pan powtórzyć lordowi Winter. Jeśli zaś idzie o tę książkę - dodała wskazując modlitewnik końcem palca, nie dotykając go wszakże, jakby nie chciała się skalać tym dotknięciem - możesz go pan zabrać i sam się nim posługiwać, niewątpliwie bowiem jesteście współnikami lorda Wintera, współnikami w prześladowaniu i współnikami w herezji.

Felton nic nie odpowiedział, wziął książkę z tym samym obrzydzeniem z jakim ją przyniósł i wyszedł zamyślony.

Lord Winter zjawił się około piątej po południu; Milady miała dość czasu przez cały dzień, by ułożyć sobie plan działania: przyjęła go jak kobieta, która znów odzyskała swe wszystkie przewagi.

- Zdaje się - rzekł baron siadając na fotelu naprzeciw Milady i niedbale wyciągając nogi przed kominkiem - zdaje się, że popełniliśmy małą apostazję?

- Co chcesz pan powiedzieć?

- Powiadam, że od naszego ostatniego spotkania zmieniliśmy religię; czyżbyś przypadkiem wyszła po raz trzeci za mąż za protestanta?

- Zechciej mówić jaśniej, milordzie - rzekła uwięziona z godnością. - Oświadczam ci bowiem, że

słyszę twe słowa, ale ich nie rozumiem.

- W takim razie nie masz żadnej religii, ale to lepiej - ciągnął kpiąco lord Winter.

- Oczywiście, to odpowiadałoby twym zasadom - odparła chłodno Milady.

- Wyznam, że jest mi to doskonale obojętne.

- O, wierzę, że religia nic cię nie obchodzi, milordzie, dowodem twoja rozpusta i grzechy.

- Co, ty mówisz o rozpuszcie, ty, Mesalina, ty, lady Makbet! Albo źle usłyszałem, albo jesteś nader bezczelna.

- Mówisz tak dlatego, panie, ponieważ wiesz, że nas słuchają – powiedziała zimno Milady - i chcesz, by twoi strażnicy i kaci byli przeciwko mnie.

- Moi strażnicy! Moi kaci! No, no, zaczynasz z poetycznego tonu, wczorajsza komedia zamienia się dziś w tragedię. Zresztą za osiem dni będziesz tam, gdzie powinnaś być, i moje zadanie będzie skończone.

- Zadanie bezecne; zadanie bezbożne! - rzekła Milady z egzaltacją ofiary, która wyzywa sędziego.

- Na honor - rzekł lord Winter wstając - zdaje się, że ta łajdaczka oszalała. Nuże, uspokój się, pani purytanko, albo wtrącę cię do lochu. Moje wino hiszpańskie uderza ci do głowy, he? Ale bądź spokojna, to zamroczenie nie jest niebezpieczne i nie będzie miało następstw.

I lord Winter wyszedł klnąc, co w tych czasach było u szlachty w zwyczaju.

Felton istotnie stał pod drzwiami i nie uronił słowa z tej rozmowy.

Milady poszła właściwą drogą.

- Tak, tak! - rzekła za odchodzącym bratem - następstwa się zbliżają, ale ty, głupcze, zobaczysz je dopiero wówczas, kiedy będzie już za późno, by im zapobiec.

Zapadła cisza, dwie godziny minęły; przyniesiono wieczerzę, gdy Milady była pogrążona w głośnej modlitwie (modlitwy tej nauczyła się od starego sługi swego drugiego męża, surowego purytanina). Zdawało się, że jest w ekstazie i nie zwraca uwagi, co się dzieje dokoła niej. Felton dał znak, by jej nie przeszkadzać, i kiedy wszystko było zrobione, wyszedł bez hałasu wraz z żołnierzem.

Milady wiedziała, że mogą ją śledzić, zmówiła więc modlitwę do końca; zdawało jej się, że żołnierz stojący na warcie przy drzwiach nie chodzi już, lecz słucha.

Na razie nie mogła pragnąć więcej; wstała, siadła do stołu, ale jadła mało i piła tylko wodę.

W godzinę potem zabrano stół, ale Milady zauważyła, że tym razem Felton nie towarzyszył żołnierzom.

Obawiał się więc widywać ją zbyt często.

Odwróciła się do ściany, by skryć uśmiech, w uśmiechu tym bowiem było tyle triumfu, że to jedno mogłoby ją zdradzić.

Poczekala jeszcze pół godziny, a kiedy w starym zamku zapanowała zupełna cisza i slychać bylo tylko wieczny szum fal, ten potężny oddech oceanu, głosem czystym, melodyjnym i wibrującym zaczęła pierwszą strofę ulubionego psalmu purytanów:

Od Pana mego jestem opuszczona,

Iżbym swe wątłe siły okazała,

Aleć w nagrodę niebieska korona

I z Jego ręki wieczna czeka chwala.

Nie były to najświetniejsze wiersze r przeciwnie, wiele im do tego brakowało, ale jak wiadomo, purytanie nie mieli wielkich ambicji poetyckich.

Milady nasłuchiwała śpiewając: żołnierz stojący na warcie przy jej drzwiach zatrzymał się, jakby wrósł w ziemię. Milady mogła ocenić wrażenie, jakie wywarła.

Śpiewała więc dalej z żarem i wielkim uczuciem; wydawało jej się, że dźwięki biegną daleko pod sklepieniami i niby czar działają na serca strażników.

Jednakże żołnierz stojący na warcie, zapewne gorliwy katolik, otrząsnął się i powiedział przez drzwi:

- Niech pani umilknie wreszcie, pani śpiew jest smutny jak De profundis; tego już nadto, by pełnić służbę tutaj słuchać podobnych pieśni.

- Spokój! - rzekł poważny głos i Milady poznała głos Feltona - nie wtrącaj się do nie swoich spraw, nicponiu! Czy zakazano tej kobiecie śpiewać? Kazano ci jej pilnować, strzelać, gdyby próbowała ucieczki. Pilnuj jej zatem; zabij, jeśli będzie uciekać, zabij, ale nie zmieniaj rozkazów.

Wyraz niewypowiedzianej radości pojawił się na twarzy Milady, ale ten wyraz znikł szybko niby odbłask błyskawicy; zaczęła śpiewać znowu, jak gdyby nie słyszała dialogu, z którego nie straciła przecie ani słowa, nadając swemu głosowi cały urok, głębię i uwodzicielski czar, jakim obdarzył ją

szatan:

Rozpacze, smutki krok mój wiodły,

W okowach srogich jam cierpiąca,

Zostały jeno młodość, modły,

I Pan, co zna mój ból do końca.

Ten głos, szeroko płynący, namiętny i pełen patosu, dodawał surowej i prostej poezji tych psalmów czarę i wyrazu, które najbardziej egzaltowani purytanie rzadko odnajdywali w strofach swych braci, toteż musieli uciekać się do pomocy własnej wyobraźni. Feltonowi zdawało się, że słyszy anioła pocieszającego trzech Hebrajczyków w piekle.

Milady śpiewała:

Dzień wyzwolenia blisko, złe skończą się koleje,

O, Boże wielki, mocny, o, Panie wszech stworzenia,

A jeżeli ułudne zawodzą nas nadzieje,

Z radością pójdziem na śmierć, męczeństwo i cierpienia.

Ta zwrotka, w którą straszliwa czarodziejka włożyła całą duszę, dokończyła dzieła zniszczenia w sercu młodego oficera; otworzył gwałtownie drzwi i Milady ujrzała go bladego jak zwykle, ale z płonącymi i nieprzytomnymi niemal oczami.

- Dlaczego pani tak śpiewa i takim głosem? - rzekł.

- Przepraszam - powiedziała Milady ze słodyczą - zapomniałam, że mój śpiew jest niestosowny w tym domu. Być może, zraniłam pańskie uczucia religijne; ale nie chciałam tego, przysięgam, zechciej mi więc przebaczyć winę, wielką może, lecz nie zamierzoną.

Milady była tak piękna w tej chwili, ekstaza religijna, w której zdawała się być pogrążona, nadawała taki wyraz jej twarzy, że olśniony Felton uwierzył, iż widzi przed sobą anioła, którego przed chwilą jedynie słyszał.

- Tak, tak - odpowiedział - tak; siejesz pani niepokój i zamęt wśród ludzi mieszkających w tym zamku.

Biedny szalencie nie zdawał sobie nawet sprawy z bezsensowności swych słów. Milady zatopiła bystre spojrzenie w głębi jego serca.

- Nie będę już śpiewać - rzekła najśłodszy tonem, opuszczając oczy z wyrazem całkowitej rezygnacji.

- Nie, nie, pani - odpowiedział Felton - śpiewaj, tylko nie tak głośno, zwłaszcza nocą.

Po tych słowach, czując, że nie potrafi zachować długo surowości wobec uwięzionej, wyszedł z pokoju.

- Dobrze pan zrobił, panie poruczniku - rzekł żołnierz stojący na warcie - jej śpiewy zakłócają spokój duszy, a przecież człowiek się przyzwyczaja: ma taki piękny głos!

XXIV.

TRZECI DZIEŃ NIEWOLI

Felton przyszedł, ale trzeba teraz zrobić jeszcze jeden krok: trzeba go zatrzymać lub sprawić, by sam został; Milady nie wiedziała jeszcze na razie, jak ma to zrobić.

Co więcej, trzeba go skłonić do mówienia, mówić do niego; Milady wiedziała bowiem dobrze, że jej największym czarem był głos o tak świetnej skali, że obejmował ogromną gamę tonów, od mowy ludzkiej do dźwięków anielskich.

A jednak, mimo tych wszystkich ponęt, Milady mogła ponieść porażkę. Felton był bowiem uprzedzony, i to przeciw wszystkim możliwym przypadkom. Toteż zaczęła zwracać baczną uwagę na wszystko, co czyni, na każde jego słowo, na każde spojrzenie, nawet na oddech, który można było wziąć za westchnienie. Przystudiowała wszystko jak świetny aktor, któremu dano nową rolę w obcym

dla niego rodzaju.

Sprawa z lordem Winterem była łatwiejsza; postanowiła zachowywać się tak, jak dnia poprzedniego, być w jego obecności milcząca i godna, od czasu do czasu drażnić go przesadną pogardą, obraźliwym słowem, popychać do gróźb i gwałtów kontrastujących z jej własną rezygnacją. Felton to zobaczy, może nic nie powie; ale zobaczy.

Z rana Felton przyszedł jak zwykle; przy przygotowaniach do posiłku Milady nie powiedziała jednak ani słowa. Ale w chwili gdy miał odejść, poczuła iskrę nadziei; zdawało jej się, że przemówi, wargi jego poruszyły się, ale żaden dźwięk nie wyszedł z ust; czyniąc wysiłek nad sobą, zamknął w sercu słowa, które miały być wypowiedziane, i wyszedł.

Około południa zjawił się lord Winter.

Był piękny dzień zimowy, promień bladego angielskiego słońca, które świeci, ale nie grzeje, przenikał przez kraty więzienia.

Milady spoglądała przez okno i udała, że nie słyszy otwierania drzwi.

- Ho, ho - rzekł lord Winter - po komedii i tragedii próbujemy melancholii.

Uwięziona nie odpowiadała.

- Tak, tak - ciągnął lord Winter - rozumiem; chciałabyś teraz być wolna na tym wybrzeżu; chciałabyś wsiąść na statek prujący fale zielonego jak szmaragd morza; chciałabyś, na łądzie czy na morzu, zastawić na mnie chytrą pułapkę, jedną z tych, które obmyślasz tak udatnie. Cierpliwości! Cierpliwości! Za cztery dni zejdziesz na wybrzeże i znajdziesz się na otwartym morzu, bardziej otwartym nawet, niżbyś pragnęła, albowiem za cztery dni Anglia będzie od ciebie wolna.

Milady złożyła ręce i podnosząc piękne oczy ku niebu rzekła z anielską łagodnością w geście i tonie:

- Boże, Boże, wybacz temu człowiekowi, jako i ja mu wybaczam.

- Tak, módl się, przekłeta-zawołał baron-twoja modlitwa jest tym bardziej wielkoduszna, że znalazła się we władzy człowieka, który ci nie wybaczy, przysięgam.

I wyszedł.

W chwili gdy wychodził, przez półuchylone drzwi dostrzegła przenikliwe spojrzenie Feltona, który usunął się, by nie być widzianym.

Wówczas rzuciła się na kolana i zaczęła się modlić.

- Mój Boże, mój Boże! - rzekła - wiesz, dla jak świętej sprawy cierpię, daj mi siły, bym zniosła moje cierpienie.

Drzwi otworzyły się lekko. Piękna pobożnisia udała, że tego nie słyszy, i głosem pełnym łez mówiła dalej:!

- Boże zemsty! Miłosierny Boże! Czy pozwolisz, by wypełniły się straszliwe zamysły tego człowieka!

Wówczas dopiero udała, że słyszy odgłos kroków Feltona, zerwała się szybko niby myśl i twarz jej okrył rumieniec, jakby zawstydziała się, że zastano ją na kolanach.

- Nie lubię przeszkadzać w modlitwie, pani - rzekł poważnie Felton - zechciej więc nie zwracać na

mnie uwagi, proszę.

- Skąd pan wie, że się modliłam? - rzekła Milady głosem zduszonym od łkań - mylisz się, nie modliłam się.

- Czy myślisz, pani - odparł Felton z tą samą powagą, choć bardziej łagodnie

- że mniemam, jakobym miał prawo przeszkadzać człowiekowi paść na twarz przed swym Stwórcą? Niechże Bóg uchwata! Zresztą winowajcy przystoi skrucza; jakkolwiek popełnił zbrodnię, jest dla mnie święty u stóp Boga.

- Ja winna? - rzekła Milady z uśmiechem, który rozbroiłby anioła na Sądzie Ostatecznym.-Winna! Mój Boże, ty wiesz, czy jestem winna! Powiedz, że jestem skazana, panie, i owszem; ale wiesz przecie, Bóg kocha męczenników i pozwala skazywać czasem niewinnych.

- Czy jesteś skazana, czy męczennica - odparł Felton - jeszcze jeden powód, by się modlić, i ja sam będę się modlił za panią.

- Och, pan jest sprawiedliwy - zawołała Milady padając mu do nóg - nie mogę już dłużej, obawiam się, że stracę siły w chwili, kiedy trzeba mi będzie podjąć walkę i wyznać swą wiarę; wysłuchaj tedy błagania zrozczonej kobiety. Oszukują cię, panie, ale nie o to chodzi, proszę cię o jedną tylko łaskę i jeśli mi jej udzielisz, będę cię błogosławić na tym i na tamtym świecie.

- Zwróć się, pani, do milorda-rzekł Felton-na szczęście nie moją rzeczą jest wybaczać i karać, tę odpowiedzialność Bóg złożył w ręce kogoś, kto jest nade mną.

- Nie, do ciebie, tylko do ciebie. Wysłuchaj mnie zamiast wziąć udział w mej zgubie, zamiast przyczynić się do mej hańby.

- Jeśli zasłużyłaś na ten wstyd, na hańbę, pani, trzeba się poddać i ofiarować ją Bogu.

- Co powiadasz? Och, pan mnie nie rozumie! Myślisz, że mówiąc o hańbie, mówię o karze, o więzieniu lub śmierci? Boże wielki, cóż znaczy dla mnie więzienie lub śmierć!

- Teraz cię nie rozumiem, pani.

- Lub udajesz, że mnie nie rozumiesz, panie - odparła uwięziona z uśmiechem powątpiewania.

- Nie, na honor żołnierza, na mą chrześcijańską wiarę!

- Jak to, pan nie zna zamiarów lorda Wintera wobec mnie?

- Nie znam.

- Niemożliwe, pan, jego zaufany człowiek!

- Nie kłamię nigdy, pani.

- O, jednak zbytnio ich nie ukrywa, można się domyślić.

- Nie próbuję się domyślać, pani; czekam, aż mi powiedzą; prócz tego, co mówił w twojej obecności, nie wiem nic więcej.

- Jak to - zawołała Milady z akcentem największej szczerości - nie jest więc pan jego współnikiem, nie wie pan, że skazuje mnie na hańbę, której okropność przewyższa wszystkie kary ziemskie?

- Mylisz się, pani - rzekł Felton oblewając się rumieńcem - lord Winter nie jest zdolny do takiej zbrodni.

„Dobrze - powiedziała do siebie Milady - nie wie jeszcze, o co chodzi, a już nazywa to zbrodnią”.

Potem głośniej:

- Przyjaciel nędznika jest zdolny do wszystkiego.

- Kogo nazywa pani nędznikiem? - zapytał Felton.

- Czyżby było w Anglii dwóch ludzi, którym można by nadać to miano?

- Mówisz pani o Jerzym Villiers? - rzekł Felton, a oczy zapłonęły mu ogniem.

- Którego poganie i niewierni nazywają księciem Buckingham – mówiła Milady. - Nie uwierzyłabym, że w Anglii jest choć jeden Anglik, któremu trzeba tylu wyjaśnień, by wiedział, o kim mówię!

- Ręka Pana jest nad nim - rzekł Felton - i nie wymknie się przed karą, na jaką zasługuje.

Felton dawał wyraz odrazie, jaką żywili do księcia wszyscy Anglicy; nawet katolicy nazywali go zdziercą, złodziejem grosza publicznego, rozpustnikiem, zaś purytanie po prostu szatanem.

- O, mój Boże, mój Boże! - zawołała Milady - kiedy błagam cię, byś zesłał na tego człowieka karę, na jaką zasługuje, wiesz, że nie dla osobistej zemsty, ale dla uwolnienia całego ludu wznoszę błaganie.

- Pani go zna? - zapytał Felton.

„Wreszcie mnie pyta” - pomyślała Milady, uszczęśliwiona, że tak szybko doszła do tak wspaniałych

wyników.

- Och, czy go znam! O tak! Na moje nieszczęście, na moje wieczne nieszczęście !

I Milady wpiła palce w rękę, jak gdyby w przystępie bólu. Felton czuł zapewne, że siły go opuszczają, i uczynił kilka kroków ku drzwiom; uwięziona, która nie spuszczała zeń oczu, skoczyła ku niemu i zatrzymała go.

- Panie! - zawołała - bądź dobry, bądź łagodny, wysłuchaj mego błagania: ten nóż, którego pozbawiła mnie zgubna przezorność barona, ponieważ wie, jaki użytek chciałam zeń uczynić; och, wysłuchaj mnie do końca! Daj mi ten nóż na chwilę tylko, uczyn łaskę, przez litość! Obejmuję twe kolana; zamkniesz drzwi, nie nastaję na twe życie! Boże, miałabym żywić złe zamiary wobec ciebie, jedynej istoty sprawiedliwej, dobrej i wyrozumiałej, jaką spotkałam! Wobec ciebie, mojego wybawcy, być może! O, daj mi na chwilę ten nóż, na jedną minutę, panie Felton, a uratujesz mój honor.

- Jak to, chcesz się pani zabić! - zawołał Felton z przerażeniem, zapominając cofnąć ręce z rąk uwięzionej - chcesz się zabić?

- Zdradziłam ci, panie - rzekła Milady zniżając głos i upadając bez sił na podłogę - zdradziłam ci swą tajemnicę! Wiesz wszystko! Mój Boże, jestem zgubiona!

Felton stał nieruchomy, niepewny.

„Wątpi jeszcze - pomyślała Milady - nie wydałam mu się dość przekonywająca”.

Na korytarzu rozległy się kroki; Milady poznała, że to lord Winter, Felton również. Cofnął się ku drzwiom.

Milady skoczyła do niego.

- Och, ani słowa - rzekła zduszonym głosem - ani słowa o tym wszystkim, co panu powiedziałam, nie mów nic temu człowiekowi, bo jestem zgubiona, i to ty, ty...

Kroki się zbliżały, więc zamilkła w obawie, by nie usłyszano jej głosu, gestem pełnym niewypowiedzianego przerażenia kładąc piękną rękę na ustach Feltona. Felton odepchnął lekko Milady, która upadła na fotel.

Lord Winter minął drzwi nie zatrzymując się; usłyszeli odgłos oddalających się kroków.

Felton śmiertelnie blady stał jeszcze przez kilka chwil nasłuchując, potem, kiedy nic już nie było słychać, odetchnął jak człowiek, który budzi się ze snu, i wyszedł z pokoju.

- Ach - rzekła Milady nasłuchując z kolei kroków Feltona oddalających się w odwrotnym kierunku - wreszcie jesteś mój!

Potem jej czoło zachmurzyło się:

„Jeśli opowie wszystko baronowi, jestem zgubiona; baron wie dobrze, że się nie zabiję, da mi nóż do ręki w jego obecności i wówczas Felton zobaczy, że cała ta wielka rozpacz była tylko grą”.

Usiadła przed lustrem i spojrzała na siebie; nigdy nie była tak piękna.

- Tak - rzekła z uśmiechem - ale on nic nie powie.

Wieczorem, gdy podawano kolację, wszedł lord Winter.

- Panie - powiedziała Milady - czy twoja obecność jest koniecznym warunkiem mojej niewoli, czy nie możesz mi oszczędzić mąk, jakimi są dla mnie twe wizyty?

- Jak to, droga siostrze! - rzekł lord Winter - czy nie powiedziały mi te piękne usta, tak dziś dla mnie okrutne, że przyjechałaś do Anglii po to tylko, by widywać się ze mną do woli, że brakowało ci mej obecności i żeby zaznać radości spotkania, naraziłaś się na chorobę morską, burzę, uwięzienie? Jestem z tobą, bądź zadowolona, zresztą tym razem moja wizyta ma swoje powody.

Milady zadrżała z obawy, że Felton mówił z baronem; tej kobiecie, która zaznała tylu potężnych i sprzecznych uczuć, nigdy może serce nie biło tak gwałtownie.

Usiadła; lord Winter wziął fotel, przysunął się i usiadł obok niej, potem wyciągnął z kieszeni papier, rozwinął go powoli i rzekł:

- Chciałem ci pokazać paszport, który sam ułożyłem! Odtąd będzie ci służył w życiu, które ci daruję.

Po czym odwrócił oczy od Milady i zaczął czytać:

- „Rozkaz odwiezienia do...” Nazwy miejscowości nie wymieniam - wtrącił lord Winter - jeśli masz jakieś życzenie, zechciej powiedzieć; choćby ta miejscowość była w odległości tysiąca mil od Londynu, twoje życzenie zostanie uszanowane. Czytam więc dalej: „Rozkaz odwiezienia do... Karoliny Backson, napiętnowanej przez sąd królestwa Francji, ale uwolnionej po karze; pozostanie ona w tej miejscowości, mogąc poruszać się jedynie w promieniu trzech mil. Przy pierwszej próbie ucieczki zostanie ukarana śmiercią. Otrzyma pięć szylingów dziennie na mieszkanie i wyżywienie”.

- Ten rozkaz mnie nie dotyczy - odparła zimno Milady - skoro wymienione jest nie moje nazwisko.

- Nazwisko! Czy masz jakieś nazwisko?

- Nazwisko pańskiego brata.

- Mylisz się, mój brat był twoim drugim mężem, pierwszy twój mąż żyje jeszcze. Powiedz mi jego nazwisko, a umieszczę je zamiast nazwiska Karoliny Backson. Nie?... Nie chcesz?... Milczysz? Dobrze! Zostaniesz zesłana jako Karolina Backson.

Milady milczała; tym razem jednak nie z rozmysłu, ale z niekłamanego przerażenia; sądziła, że rozkaz jest prawomocny, że lord Winter przyśpieszył jej wyjazd i musi wyjechać tego jeszcze wieczora. Zrozumiała, że wszystko stracone, gdy zauważyła nagle, iż rozkaz nie był podpisany.

Doznała teraz radości tak wielkiej, że nie potrafiła jej ukryć.

- Tak, tak - rzekł lord Winter, który spostrzegł, co się z nią dzieje - tak, szukasz podpisu, nie znajdujesz go i powiadasz sobie: nie wszystko jeszcze stracone, skoro ten akt nie jest podpisany; pokazano mi go, żeby mnie zastraszyć. Mylisz się: jutro pošlę ten rozkaz do lorda Buckingham; pojutrze powróci do mnie z jego podpisem i pieczęcią, a możesz być pewna, że w dwadzieścia cztery

godziny później zostanie wprowadzony w życie. Do widzenia, pani, oto wszystko, co miałem ci do powiedzenia.

- A ja odpowiadam ci, że to nadużycie władzy, że takie zesłanie pod fałszywym nazwiskiem jest nikczemnością.

- Wolisz zatem zostać powieszona pod twoim prawdziwym nazwiskiem, Milady? Wiesz przecie, że prawo angielskie jest nieubłagane, jeśli idzie o powagę małżeństwa; pamiętaj, że choć moje nazwisko lub raczej mego brata będzie wymienione, gotów jestem nawet na proces publiczny, jeśli będę pewien, że się ciebie pozbędę.

Milady nie odpowiedziała, ale trupio zbladła.

- Och, widzę, że wolisz zesłanie. Doskonale, pani, stare przysłowie powiada, że podróże kształcą. Na honor, masz rację, życie jest piękne. Dlatego bardzo o to stoję, żebyś mi go nie odebrała. Pozostaje jeszcze sprawa pięciu szylingów; nie jestem nazbyt hojny, prawda? To dlatego, że wolę, byś nie przekupiła swych strażników. Zresztą pozostają ci twe wdzięki, możesz ich uwieść. Proszę bardzo,

jeśli twoje niepowodzenie z Feltonem nie zniechęciło cię do prób tego rodzaju.

„Felton nic nie powiedział - rzekła do siebie Milady - więc nic jeszcze straconego”.

- A teraz do widzenia, pani. Jutro przyjdę ci oznajmić o wyjeździe mego wysłannika.

Lord Winter wstał, kpiąco skłonił się Milady i wyszedł.

Milady odetchnęła; miała jeszcze cztery dni przed sobą; cztery dni to dosyć, by uwieść Feltona.

Ale straszliwa myśl przyszła jej do głowy: lord Winter wyśle Feltona z rozkazem do Buckinghama, w ten sposób Felton jej się wymknie, a jeśli ma odnieść zwycięstwo, musi nieustannie oddziaływać na młodzieńca.

Mimo to jedno ją pocieszyło: Felton milczał.

Nie chciała, by pomyślano, że przeraziły ją groźby lorda Wintera; siadła do stołu i zabrała się do jedzenia.

Potem uklękła jak dnia poprzedniego i głośno odmówiła modlitwy. Żołnierz znów przystanął, żeby słuchać.

Wkrótce usłyszała lżejsze kroki w głębi korytarza; ktoś zatrzymał się przed drzwiami.

- To on - rzekła.

I zaczęła śpiewać tę samą pieśń religijną, która poprzedniego wieczora tak gwałtownie podziała na Feltona.

Ale choć jej słodki, pełny i dźwięczny głos rozbrzmiewał harmonijnie i przejmująco, drzwi pozostały zamknięte. Milady ukradkiem zerknęła w stronę okienka w drzwiach i wydało jej się, że widzi za kratą płonące oczy młodzieńca; ale czy była to rzeczywistość, czy złudzenie - tym razem na tyle panował nad sobą, by nie wejść.

Dopiero kiedy skończyła psalm, usłyszała głębokie westchnienie; potem te same kroki oddaliły się powoli i jak gdyby z żalem.

XXV.

CZWARTY DZIEŃ NIEWOLI

Nazajutrz, kiedy Felton wszedł do Milady, zastał ją stojącą na fotelu i trzymającą w rękach sznur spleciony z kilku batystowych chustek podartych na paski i powiązanych końcami ze sobą: na dźwięk otwieranych drzwi Milady zeskoczyła lekko na ziemię, usiłując ukryć sznur za plecami.

Młodzieniec był jeszcze bledszy niż zazwyczaj, oczy zaczerwienione z niewyspania mówiły, że źle spędził noc, czoło miał chmurne.

Skierował się powoli ku siedzącej już Milady i ujmując za koniec zabójczy sznur, który przez nieuwagę czy naumyślnie wypuściła z ręki, zapytał zimno:

- Co to znaczy, pani?

- To nic - rzekła Milady uśmiechając się z bolesnym wyrazem, który potrafiła przybierać - nuda jest śmiertelnym wrogiem więźniów, nudziłam się i zabawiałam skręcaniem tego sznura.

Felton podniósł oczy i spojrzał na występ muru, przy którym zastał Milady stojącą na fotelu; nad jej głową zauważył wbity w mur złocony hak, który służył do wieszania odzieży lub broni.

Zadrżał, uwięziona dostrzegła to drzenie; choć miała oczy spuszczone, nic nie uchodziło jej uwagi.

- A co robiłaś, pani, w tym fotelu? - zapytał.

- Cóż to pana obchodzi? - odparła Milady.

- Chcę wiedzieć.

- Nie pytaj mnie - rzekła uwięziona - wiesz dobrze, że nam, prawdziwym chrześcijanom, nie wolno kłamać.

- Dobrze więc - odpowiedział Felton - powiem pani, co robiłaś lub raczej chciałaś zrobić; chciałaś urzeczywistnić zgubny zamiar, jaki nosisz w duszy; ale pamiętaj, że jeśli nasz Bóg zabrania kłamać, surowiej jeszcze zabrania samobójstwa.

- Kiedy Bóg widzi, że istota ludzka jest prześladowana niesprawiedliwie i ma do wyboru samobójstwo lub hańbę, wierzaj mi, panie, Bóg wybacza jej samobójstwo, jako że samobójstwo jest wtedy męczeństwem - odparła tonem głębokiego przekonania.

- Mówisz za wiele lub za mało; na Boga, pani, wypowiedz się jaśniej.

- Mam ci opowiedzieć swoje nieszczęście, żebyś je uznał za bajkę, mam ci zwierzyć swe plany, byś je zdradził memu prześladowcy? Nie, panie; zresztą, co cię obchodzi życie lub śmierć nieszczęsnej skazanej kobiety? Jesteś odpowiedzialny za moje ciało, prawda? I nawet gdybyś oddał im mego trupa, nie będą od ciebie żądać nic więcej, być może nawet otrzymasz podwójną nagrodę.

- Ja, pani, ja! - zawołał Felton. - Więc przypuszczasz, że zgodziłbym się przyjąć nagrodę za twe życie? O, nie myślisz tego, co mówisz.

- Pozwól mi działać, panie, pozwól mi działać - rzekła Milady z uniesieniem. - Żołnierz powinien być ambitny; jesteś porucznikiem, za moją trumną będziesz szedł w stopniu kapitana.

- Cóżem pani uczynił - powiedział Felton wstrząśnięty - byś mnie obciążała tak wielką odpowiedzialnością przed Bogiem i ludźmi? Za kilka dni nie będzie pani tutaj, przestanę czuwać nad twoim życiem, a wówczas - dodał z westchnieniem - uczynisz z nim, co zechcesz.
- Toteż - zawołała Milady, jakby nie mogła się oprzeć świętemu oburzeniu - pan, człowiek pobożny, pan, którego nazywają sprawiedliwym, pragniesz tylko jednego: nie być oskarżonym o moją śmierć, nie zaznać z jej powodu niepokojów.
- Mam czuwać nad twoim życiem, pani, i będę nad nim czuwał.
- Ale czy rozumiesz pan, jakie zadanie ci powierzono? Dość okrutne, gdybym była winna, ale jakże je nazwiesz, jak nazwie je Stwórca, jeśli jestem niewinna?
- Jestem żołnierzem, pani, i wypełniam otrzymane rozkazy.
- Czy sądzisz pan, że w dniu Sądu Ostatecznego Bóg oddzieli ślepych katów od niesprawiedliwych sędziów? Nie chcesz, bym zabiła swe ciało, a jesteś narzędziem w rękach tego, co chce zabić mą duszę!
- Ale powtarzam pani - rzekł Felton niepewnie - że żadne niebezpieczeństwo pani nie grozi, ręczę za Lorda Wintera jak za siebie samego.
- Szaleńcze! - zawołała Milady. - Biedny szaleńcze, ważysz się ręczyć za innego człowieka, kiedy najlepsi, naj sprawiedliwsi przed Panem, nie mają śmiałości odpowiadać za samych siebie, i stajesz po stronie silniejszego i szczęśliwszego, by pognać istotę słabą i nieszczęsną!
- To być nie może, to być nie może - szepnął Felton, w głębi serca zdając sobie sprawę ze słuszności tego argumentu. - Uwięziona, nie uzyskasz dzięki mnie wolności, żywa, nie postradasz przeze mnie życia.
- Tak! - zawołała Milady. - Ale stracę to, co jest dla mnie droższe nad życie, stracę honor, Feltonie; i ciebie, ciebie uczynię odpowiedzialnym przed Bogiem i ludźmi za mój wstyd i hańbę.

Tym razem Felton, choć był niewzruszony lub takiego udawał, nie mógł oprzeć się tajemniczemu działaniu; widzieć tę kobietę tak piękną, białą jak zjawą, widzieć ją to błagającą, to ciskającą groźby, pozostawać pod wrażeniem jej cierpienia i urody, to było zbyt wiele dla wizjonera, zbyt wiele dla umysłu żyjącego płomiennymi snami ekstatycznej wiary, zbyt wiele dla serca, które przepelniała paląca miłość do nieba, a trawiła nienawiść do ludzi.

Milady dostrzegła to pomieszanie uczuć, instynktem odgadła, że ogień sprzecznych namiętności rozpala krew młodego fanatyka: i niczym wyborny wódz, który widząc, że nieprzyjaciół gotów jest się cofnąć, naciera na niego z okrzykiem zwycięstwa, wstała, piękna jak kapłanka starożytna,

natchniona jak dziewica chrześcijańska, z ręką wyciągniętą przed siebie; włosy miała rozsypane, kołnierz rozchylony, dłonią przytrzymała wstydliwie suknię na piersi, spojrzenie jej gorzało ogniem, który zamącił już zmysły młodego purytanina, i szła ku niemu śpiewając porywającą melodię słodkim głosem, któremu nadała teraz akcenty straszliwe:

Daj Baalowi ofiary,

Rzuć męczennika na stos.

Bożej nie umkniesz kary,

Z otchłani doń wznoszę mój głos.

Felton słuchał tej dziwnej pieśni osłupiały.

- Kim jesteś, kim jesteś, o pani? - zawołał składając ręce. - Czy jesteś wysłanniczką Boga czy piekiel, aniołem czy demonem, nazywasz się Eloa czy Astarte?

- Czyżbyś mnie nie poznał, Feltonie? Nie jestem ani aniołem, ani demonem, jestem córką ziemi, jestem twą siostrą w wierze, nic więcej.

- Tak, tak! - rzekł Felton. - Wątpiłem jeszcze, ale teraz wierzę.

- Wierzysz, a jednak jesteś współnikiem tego syna Beliala, który nazywa się lord Winter! Wierzysz, a jednak pozostawiasz mnie w rękach mych nieprzyjaciół, nieprzyjaciół Anglii, nieprzyjaciół Boga! Wierzysz, a jednak wydajesz mnie temu, który gorszy i kala świat swymi herezjami i rozpustą, niecnemu Sardanapalowi, którego ślepi zwą księciem Buckinghamem, a wierzący antychrystem.

- Ja miałbym cię wydać Buckinghamowi?! Ja? Co powiadasz?

- Mają oczy, a nie zobaczą; mają uszy, a nie usłyszą - zawołała Milady.

- Tak, tak - rzekł Felton, przeciągając ręką po czole zroszonym potem, jakby chciał odegnać ostatnie wątpliwości. - Tak, poznaję głos, który mówi do mnie we snach; tak, poznaję rysy anioła, zjawiającego mi się co noc, wołającego do mej duszy, która nie może usnąć: „Zabij, uratuj Anglię, uratuj siebie, albowiem umrzesz nie przebłagawszy Boga!” Mów, mów! - zawołał Felton - teraz cię rozumiem!

Błyskawica straszliwej radości zaślniła w oczach Milady.

Choć ten zabójczy płomień zapłonął tylko na chwilę, Felton dojrzał go i zadrżał, jakby jego światło odsłoniło mu przepaście duszy tej kobiety.

Felton przypomniał sobie nagle wszystkie ostrzeżenia lorda Wintera, uwodzicielskie sztuczki Milady, jej pierwsze próby po przybyciu; cofnął się o krok i opuścił głowę, ale wciąż patrzył na nią, jak gdyby zaczarowany przez tę szczególną istotę nie mógł oderwać od niej wzroku.

Milady nie była kobietą, która by nie zrozumiała jego wahania; choć na pozór ani na chwilę nie traciła zimnej krwi, doznawała gwałtownych uczuć. Nie wracając do tak trudnego tonu egzaltacji i zanim jeszcze Felton zdążył jej odpowiedzieć, opuściła ręce, jak gdyby słabość kobieca brała górę nad natchnionym zapałem, i rzekła:

- Ale nie, nie ja będę Judytą, która uwolni Betulię od tego Holofernesa. Miecz Przedwiecznego jest zbyt ciężki na moje ramię. Pozwól mi tedy w śmierci szukać ucieczki przed hańbą, pozwól mi ratować się męczeństwem. Nie proszę cię ani o wolność, jak uczyniłaby winowajczyni, ani o zemstę, jak uczyniłaby poganka. Pozwól mi umrzeć, oto wszystko. Błagam cię, zaklinam na kolanach: pozwól mi umrzeć, a ostatnim westchnieniem będę błogosławić mego wybawcę.

Słyszając ten głos słodki i błagalny, widząc to spojrzenie nieśmiałe i zgnębione, Felton się zbliżył. Czarodziejka przywdziała znów swój urzekający strój, który mogła wkładać i zdejmować wedle woli, to znaczy urodę, słodycz, łzy, nade wszystko zaś nieodparty urok mistyczny, budzący największe pożądanie.

- Niestety - rzekł Felton - mogę cię tylko żałować, jeśli dowiedziesz mi, że jesteś ofiarą; a jednak lord Winter wytacza przeciw tobie straszliwe oskarżenia. Jesteś chrześcijanką, jesteś moją siostrą w Bogu, coś mnie pociąga ku tobie, mnie, który nie kochałem nigdy nikogo prócz mego dobroczyńcy, mnie, com znał w życiu jedynie zdrajców i bezbożników. Ale ty, pani, tak piękna, tak czysta z pozoru, musiałaś popełnić zbrodnię, jeśli lord Winter tak bardzo cię prześladowuje!

- Mają oczy - powtórzyła Milady z akcentem nieopisanej słodyczy - a nie zobaczą; mają uszy, a nie usłyszą.

- Więc mów wreszcie! - zawołał oficer.

- Miałabym ci zwierzyć swą hańbę! - zawołała Milady z rumieńcem wstydu na twarzy, często bowiem zbrodnia jednego człowieka jest wstydem dla innego. - Miałabym ci zwierzyć swą hańbę, tobie, mężczyźnie, ja, kobieta! Och! - mówiła zasłaniając wstydliwie ręką piękne oczy - och, nigdy, nigdy się na to nie zdobędę!

- Mnie, bratu! - zawołał Felton.

Milady popatrzyła na niego długo z wyrazem, który młody oficer wziął za wahanie, gdy była to tylko obserwacja, a nade wszystko chęć oczarowania.

Teraz Felton z kolei złożył błagalnie ręce.

- Dobrze więc - rzekła Milady - zaufam bratu, odważę się!

W tej chwili rozległy się kroki lorda Wintera, ale tym razem straszliwy szwagier Milady nie minął drzwi; stanął, zamienił kilka słów z wartownikiem, otworzył i wszedł.

Gdy lord Winter rozmawiał na korytarzu, Felton cofnął się gwałtownie do tyłu i kiedy baron wszedł, był już w odległości kilku kroków od uwięzionej.

Baron wkroczył powoli i przenosząc badawcze spojrzenie z uwięzionej na młodego oficera, rzekł:

- Długo tu jesteś, Johnie; czy ta kobieta wyznała ci swoje zbrodnie? Nie dziwiłbym się wówczas, że rozmowa trwa tak długo.

Felton zadrżał i Milady poczuła, że jest stracona, jeśli nie przyjdzie z pomocą zakłopotanemu purytaninowi.

- Ach, obawiasz się, by twoja ofiara ci się nie wymknęła! - rzekła. - Dobrze więc, zapytaj tego godnego strażnika, o jaką łaskę prosiłam go przed chwilą.

- Prosiłaś o łaskę? - zapytał baron podejrzliwie.

- Tak, milordzie - powiedział ze zmieszaniem młody człowiek.

- O jakąż to łaskę? - zapytał lord Winter.

- Prosiła o nóż, który zwróci mi w minutę potem przez okienko.

- Jest więc tu ktoś ukryty, kogo ta urocza osoba chciałaby zabić? - zapytał lord Winter kpiącym i pogardliwym głosem.

- Ja jestem - odparła Milady.

- Dałem ci do wyboru Amerykę i Tyburn - rzekł lord Winter. - Wybierz Tyburn, Milady: wierzą mi, sznur jest jeszcze pewniejszy niż nóż.

Felton zbladł i postąpił krok naprzód przypominając sobie, że w chwili gdy wszedł, Milady trzymała w ręce sznur.

- Masz słusność - rzekła. - Myślałam już o tym. - Potem dodała głuchym głosem - I pomyślę jeszcze.

Felton poczuł, jak dreszcz przenika go aż do szpiku kości; lord Winter zauważył zapewne to drzenie.

- Miej się na baczności, Johnie - rzekł. - Johnie, mój przyjacielu, zaufałem ci, uważaj! Uprzedziłem cię! Odwagi, moje dziecko, za trzy dni uwolnimy się od tej istoty, a tam gdzie ją wyślę, nie będzie szkodziła nikomu.

- Ty go słyszysz! - zawołała Milady z uniesieniem, tak że baron sądził, że wzywa Boga, ale Felton zrozumiał, że zwraca się do niego.

Felton opuścił głowę i zamyślił się.

Baron wziął oficera pod ramię i odwrócił głowę, by nie tracić Milady z oczu.

- Cóż - rzekła uwięziona, kiedy drzwi się zamknęły - nie zaszłam jeszcze tak daleko, jak przypuszczałam. Winter zamiast zwykłej głupoty okazuje nadzwyczajną przezorność; ile znaczy pragnienie zemsty i jak to pragnienie kształtuje człowieka! Felton jeszcze się waha! Ach, nie jest to męczyzna taki jak ten przeklęty d'Artagnan. Purytanin uwielbia dziewice i składa przed nimi ręce w modlitwie; muszkieter kocha kobiety i bierze je w ramiona.

Wszelako Milady czekała z niecierpliwością, obawiała się bowiem, że dzień minie bez wizyty Feltona. Wreszcie, w godzinę po scenie, którą opowiedzieliśmy, usłyszała rozmowę przy drzwiach, a wkrótce potem drzwi się otworzyły i ujrzała Feltona.

Młodzieniec wszedł szybko, pozostawiając za sobą drzwi otwarte i dając Milady znak, by milczała; twarz miał bardzo zmienioną.

- Czego pan chce ode mnie? - rzekła.

- Posłuchaj, pani - rzekł Felton cicho. - Odesłałem strażnika, nie chcę bowiem, by wiadano, że jestem tutaj, i słyszano rozmowę. Baron opowiedział mi straszliwą historię.

Milady uśmiechnęła się uśmiechem zrezygnowanej ofiary i skinęła głową.

- Albo pani jesteś demonem - ciągnął Felton - albo baron, mój dobroczyńca, mój ojciec, jest potworem. Znam panią od czterech dni, jego kocham od dwóch lat; mogę więc wahać się między wami dwojgiem; nie przerażaj się tym, co mówię, muszę zostać przekonany. Dziś, po północy, przyjdę do pani i pani mnie przekona.

- Nie, Feltonie, nie, mój bracie - rzekła - poświęcenie jest zbyt wielkie i czuję, ile cię kosztuje. Moja śmierć będzie bardziej wymowna niż moje życie, a spokój trupa snadniej cię przekona niż słowa uwięzionej.

- Zamilknij, pani! - zawołał Felton - i nie mów do mnie w ten sposób; przyszedłem, żebyś mi

przysięgła na honor, żebyś się zakłęła na to, co masz najświętszego, że nie będziesz nastawała na swe życie.

- Nie chcę przyrzekać - rzekła Milady. - Nikt bardziej niż ja nie szanuje przysięg i jeśli przyrzeknę, będę musiała dotrzymać.

- Dobrze więc, przyrzeknij mi tylko, że nie uczynisz nic do mego przybycia. Jeśli po rozmowie ze mną będziesz nadal trwała przy swoim postanowieniu, zwolnię cię od przysięgi i sam dam ci broń, której żądasz.

- Dobrze - rzekła Milady. - Dla pana to uczynię.

- Przysięgnij.

- Przysięgam na naszego Boga. Czy jest pan zadowolony?

- Dobrze - rzekł Felton. - Do zobaczenia tej nocy.

Wyszedł z pokoju, zamknął drzwi i stanął z piką w ręce, pełniąc straż zamiast żołnierza.

Gdy żołnierz się zjawił, Felton oddał mu broń.

Milady podeszła do okienka i ujrzała, jak młody człowiek żegna się w uniesieniu znakiem krzyża i odchodzi pełen radości.

Milady wróciła na swoje miejsce z uśmiechem dzikiej pogardy na ustach i bluźniąc straszliwie powtarzała imię Boga, na którego się zakłęła, choć nigdy nie próbowała go poznać.

- Moim Bogiem, oszalały fanatyku, moim Bogiem jestem ja sama i ten, kto pomoże mi dokonać zemsty! - zawołała.

XXVI.

PIĄTY DZIEŃ NIEWOLI

Milady mogła przynajmniej w połowie uważać się za zwyciężcę i to powodzenie podwajało jej siły.

Nie było rzeczą trudną zwyciężać mężczyzn chętnie dających się uwieść, których dworskie obyczaje łatwo wciągały w zasadzkę, jak to zdarzało się dotychczas; Milady była dość piękna, by podziałać na zmysły, i dość zręczna, by pokonać wszystkie przeszkody, stawiane przez rozum.

Ale tym razem walczyła z naturą dziką, skupioną, uodpornioną dzięki surowości obyczajów; religia i pokuta uczyniły z Feltona człowieka nieczułego na zwykłe uwodzicielskie sztuczki. Ta egzaltowana głowa pełna była planów tak wielkich, projektów tak pomieszanych, że nie zostało już miejsca na

miłość, zrodzoną z próżniactwa, a spotęgowaną zepsuciem, której źródłem jest kaprys lub pożądanie zmysłowe. Dzięki swej udanej cnotcie Milady uczyniła wyłom w mniemaniach człowieka straszliwie do niej uprzedzonego, a dzięki swej urodzie w sercu mężczyzny cnotliwego i czystego. Wreszcie zdała sobie sprawę ze swych możliwości nie znanych jej samej dotychczas, dokonawszy doświadczenia na istocie najbardziej buntowniczej, jaką natura i religia mogły jej podsunąć.

Ale nie raz jeden tego wieczora traciła wiarę w swój los i w siebie samą; wzywała Boga, jak wiemy, ale wierzyła w geniusz zła, tę niezmierną potęgę, która bierze udział we wszystkich przypadkach

życia ludzkiego i której, jak w bajce arabskiej, wystarczy ziarnko granatu, by odbudować stracony świat.

Milady, gotowa na przyjęcie Feltona, mogła myśleć o dniu następnym. Wiedziała, że ma przed sobą dwa dni, że jeśli Buckingham podpisze rozkaz (a podpisze go tym łatwiej, że na rozkazie znajdzie fałszywe nazwisko i nie będzie mógł wiedzieć, o kogo chodzi), baron wsadzi ją natychmiast na okręt; wiedziała również, że kobiety skazane na zesłanie posługują się w sztuce uwodzenia bronią o wiele mniej potężną niż domniemane kobiety cnotliwe, których urodę podnosi blask wielkiego świata, które opiewa głos mody, które ozłaca czarodziejskim światłem arystokratyczne pochodzenie. Kobieta skazana na karę niegodną i hańbiącą może zachować urodę, ale nie powróci już do potęgi. Jak wszyscy ludzie nieprzeciętni Milady znała środowisko odpowiadające jej naturze i możliwościom. Ubóstwem się brzydziła, wyrzeczenie zmniejszyło o dwie trzecie jej wielkość: Milady była królową tylko pomiędzy królowymi, jedynie radość zaspokojonej dumy pozwalała jej panować. Rządzić istotami niższymi to dla niej było upokorzenie raczej niż przyjemność.

Na pewno powróciłyby ze swego wygnania, nie wątpiła w to ani przez chwilę; ale ile czasu mogłoby to trwać? Dla natury tak czynnej i ambitnej dnie, których nie zużywa się na wspinanie wzwyż, są dniami straconymi; jakież więc znaleźć słowo na określenie dni, kiedy schodzi się w dół! Stracić rok, dwa, trzy lata to wieczność: wrócić, kiedy szczęśliwy i triumfujący d'Artagnan wraz ze swymi

przyjaciółmi otrzyma już dobrze zasłużoną nagrodę z rąk królowej - te myśli były rozdzierające i kobieta taka jak Milady nie mogła ich znieść. Zresztą burza, która w niej szalała, podwajała jej siły i obaliłaby mury swego więzienia, gdyby jej ciało mogło na chwilę osiągnąć moc ducha.

Poza tym pobudzało ją jeszcze wspomnienie kardynała. Co mógł myśleć, co mówił o tym jej milczeniu kardynał, nieufny, niespokojny, podejrzliwy; kardynał, który był nie tylko jej jedynym oparciem, jedyną pomocą, jedynym protektorem w tej chwili, ale w jego rękach było jej powodzenie, dzięki niemu mogła dokonać zemsty w przyszłości. Znała go, wiedziała, że po powrocie, po tej

bezużytecznej podróży, na próżno będzie mówić o swym uwięzieniu i cierpieniach. Kardynał odpowie z kpiącym spokojem sceptyka, potężnego dzięki swej sile i geniuszowi: „Nie trzeba było dać się pochwyć”.

Milady zebrała więc całą energię, powtarzając w duchu imię Feltona, jedyne światło, przenikające do piekła, w jakim się znalazła; i niby zmija, która zwija i rozwija swe pierścienie, by zdać sobie sprawę ze swej siły, osaczała Feltona tysiącami pomysłów, zrodzonych z jej bogatej wyobraźni.

Czas mijał. Godzina za godziną potraçały dzwon i każde uderzenie odpowiadało echem w sercu uwięzionej. O dziewiątej przyszedł jak zwykle lord Winter, spojrział na okna i kraty, zbadał podłogę i ściany, popatrzył uważnie na kominek i drzwi, nie zamieniwszy podczas tych długich i dokładnych oględzin ani słowa z Milady.

Bez wątpienia oboje rozumieli, że sytuacja jest zbyt poważna, by tracić czas na prózne słowa i bezowocny gniew.

- Tak - rzekł baron wychodząc - nie uciekniesz mi jeszcze tej nocy!

O dziesiątej Felton przyszedł zmienić wartę; Milady rozpoznała jego krok.

Odgadywała teraz jego obecność jak kochanka, a przecieź nienawidziła go i gardziła tym słabym fanatykiem.

Nie była to jeszcze godzina umówiona i Felton nie wszedł.

W dwie godziny potem, kiedy biła północ, nastąpiła zmiana warty.

Więc to już wkrótce; od tej chwili Milady czekała z niecierpliwością.

Nowy wartownik zaczął przechadzać się po korytarzu.

Po dziesięciu minutach przyszedł Felton.

Milady nastawiła ucha.

- Posłuchaj - rzekł młodzieniec do wartownika - pod żadnym pozorem nie odchodź od tych drzwi, wiesz bowiem, że poprzedniej nocy milord ukarał żołnierza, który opuścił swój posterunek na chwilę, chociaź przez czas jego krótkiej nieobecności ja byłem na jego miejscu.

- Tak, wiem o tym - rzekł żołnierz. :

- Nakazuję ci zatem, byś skrupulatnie pełnił służbę. Ja wejdę i jeszcze raz zbadam pokój tej kobiety, obawiam się bowiem, że ma zgubne zamiary, a otrzymałem rozkaz, by nad nią czuwać.

- Nieźle - szepnęła Milady - surowy purytanin kłamie.

Żołnierz zadowolili się uśmiechem.

- Tam do licha, panie poruczniku, niewielkie to nieszczęście mieć takie zadanie, zwłaszcza jeśli milord upoważnił pana, byś zajrzał także do jej łóżka.

Felton zaczerwienił się. W innych okolicznościach skarciłby żołnierza, który pozwoliłby sobie na podobny żart; ale sumienie odezwało się w nim zbyt głośno, by odważyć się coś powiedzieć.

- Jeśli zawołam, wejdź. Jeśli kto przyjdzie, wezwij mnie.

- Tak jest, panie poruczniku - odparł żołnierz.

Felton wszedł do pokoju Milady. Milady wstała.

- Przyszedł pan? - rzekła.

- Przyrzekłem pani, że przyjdę; oto jestem.

- Przyrzekł mi pan coś jeszcze.

- Co, mój Boże? - rzekł młody człowiek, który choć panował nad sobą, czuł, że kolana się pod nim uginają i pot występuje mu na czoło.

- Przyrzekłeś pan przynieść nóż i zostawić mi go po naszej rozmowie.

- Proszę o tym nie mówić - rzekł Felton - nie ma takiej sytuacji, nawet najbardziej straszliwej, która pozwalałaby istocie stworzonej przez Boga zadać sobie śmierć. Zastanowiłem się i nigdy nie będę winien tak wielkiego grzechu.

- Ach, pan się zastanowił! - rzekła z pogardliwym uśmiechem uwięziona siadając na fotelu. - I ja także się zastanowiłam.

- A mianowicie?

- Nie mam nic do powiedzenia człowiekowi, który nie dotrzymuje słowa.

- O mój Boże! - szepnął Felton.

- Możesz pan wyjść - rzekła Milady - nie będę mówić.

- Oto nóż! - odpowiedział Felton wyciągając z kieszeni broń, którą zgodnie z przyrzeczeniem przyniósł, ale nie chciał dać uwięzionej.

- Zobaczymy, jaki jest - rzekła Milady.

- Po co? - Na honor, oddam go panu zaraz; połóżysz nóż na tym stole, pozostanie między tobą i mną.

Felton podał nóż Milady, która przyjrzała mu się dokładnie i spróbowała ostrze na końcu palca.

- Dobrze - rzekła zwracając nóż oficerowi. - To dobry nóż i z zacnej stali; jesteś wiernym przyjacielem, Feltonie.

Felton wziął nóż i położył go na stole, jak było umówione.

Milady wodziła za nim oczami, potem skinęła z zadowoleniem.

- A teraz - powiedziała - wysłuchaj mnie pan.

Uwaga była zbyt cenna: młody oficer stał przed nią, czekając z upragnieniem na jej słowa.

- Feltonie - rzekła Milady z dostojeństwem pełnym melancholii - Feltonie, gdyby pańska siostra, córka pańskiego ojca, powiedziała do pana; „Młoda jeszcze, na nieszczęście dość piękna, wpadłam w zasadzkę, ale stawiałam opór; podwojono fortele, gwałty, opierałam się; bluźniono religii, której służę, Bogu, którego wielbię, ponieważ wzywałam na pomoc tego Boga i tę religię, opierałam się jednak; nie szczędzono mi zniewag, a jako że niepodobna było zgubić mej duszy, trzeba było na zawsze skalać me ciało; wreszcie...”

Milady urwała, gorzki uśmiech przebiegł po jej ustach.

- Wreszcie - rzekł Felton - wreszcie?

- „Wreszcie postanowiono sparaliżować ten opór, którego nie umiano pokonać: pewnego wieczora dodano mi do wody silnego narkotyku; zaledwie skończyłam posiłek, poczułam, że wpadam powoli w nieznane mi odrętwienie. Chociaż nic nie podejrzewałam, chwycił mnie strach, próbowałam walczyć ze snem; wstałam, chciałam biec do okna, wołać pomocy, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa; zdawało mi się, że sufit spada mi na głowę i przytłacza swoim ciężarem; wyciągnęłam rękę, próbowałam mówić, ale wydawałam tylko nieartykułowane dźwięki; jakaś straszliwa ociężałość owładnęła mną, trzymałam się fotela czując, że upadnę, ale wkrótce to oparcie stało się niewystarczające dla mych bezwładnych rąk, upadłam na kolano, potem na drugie; chciałam się

modlić, język mi skołowaciał; Bóg mnie nie widział i nie słyszał zapewne; stoczyłam się na podłogę zapadając w sen, który przypominał śmierć.

Nie pamiętam, co działo się w czasie tego snu, przypominam sobie jedynie, że obudziłam się w okrągłym pokoju umeblowanym z przepychem; światło wpadało przez otwór w suficie. Nie widać było żadnych drzwi: rzekłbyś, wspaniałe więzienie.

Długo nie mogłam sobie zdać sprawy, gdzie jestem, a wszystkie szczegóły, które przytaczam, z wielkim trudem wydobyłam z niepamięci, walcząc z przytłaczającymi ciemnościami snu; pozostało mi niejasne wspomnienie przebytej przestrzeni, turkotu kół pojazdu, strasliwego snu, który wyczerpał moje siły; ale wszystko to było tak mroczne i niewyraźne, jakby przeżycia należały do innej osoby, a jednak były moimi przez jakąś fantastyczną dwoistość.

Przez pewien czas stan, w jakim się znajdowałam, wydawał mi się tak dziwny, że myślałam, iż śnię. Wstałam, chwiejąc się na nogach; moje suknie leżały obok mnie na krześle; nie pamiętałam, żebym się rozbierała i kładła. Powoli rzeczywistość zaczęła stawać mi przed oczami, czułam wstyd i przerażenie: nie byłam w domu, gdzie mieszkałam; o ile mogłam sądzić ze słonecznego światła, dzień miał się ku końcowi. Zasnęłam poprzedniego dnia wieczorem, sen trwał więc niemal dwadzieścia cztery godziny. Co się zdarzyło podczas tak długiego snu?

Ubrałam się możliwie szybko. Moje ruchy, powolne i ociężałe, wskazywały na to, że narkotyk działa jeszcze. Pokój był umeblowany na przyjęcie kobiety; największa wykwintnisia nie mogłaby wyrazić żadnego życzenia, ponieważ patrząc wokół musiałaby uznać, że wszystkie jej życzenia zostały już spełnione.

Na pewno nie byłam pierwszą branką w tym wspnianym pokoju; ale rozumiesz mnie, Feltonie, przepych tego więzienia napawał mnie tym większym przerażeniem.

Tak, to było więzienie; na próżno bowiem próbowałam wyjść. Stukałam we wszystkie ściany, by odkryć drzwi, ale mur odpowiadał pełnym i głuchym dźwiękiem.

Obeszłam ze dwadzieścia razy ten pokój szukając wyjścia, nie było go; zmęczona i przerażona upadłam na fotel.

Tymczasem szybko zapadła noc, a z nocą moje przerażenie rosło; nie wiedziałam, czy mam zostać na miejscu, gdzie usiadłam; wydawało mi się, że jestem otoczona nieznanymi niebezpieczeństwami, które czyhają na mnie przy każdym kroku. Choć nic nie jadłam od dnia poprzedniego, obawy zagłuszały we mnie głód.

Żaden odgłos z zewnątrz, który pozwoliłby mi obliczyć czas, me dochodził do mnie; przypuszczałam jedynie, że może być siódma lub ósma wieczór; był to październik, zapadły już zupełne ciemności.

Nagle rozległ się odgłos drzwi poruszających się na zawiasach; zadrżałam, kula ognista pojawiła się pod szklanym otworem w suficie, rzucając żywe światło na pokój, i spostrzegłam z przerażeniem, że w odległości kilku kroków ode mnie znajduje się człowiek.

Stół nakryty na dwie osoby, z przygotowaną kolacją, czarodziejskim sposobem wyrósł pośrodku pokoju.

Ów mężczyzna był to ten sam, który mnie prześladował od roku, który poprzysiągł mi hańbę; od razu dał mi do zrozumienia, że dokonał tego ostatniej nocy”.

- Nędznik! - szepnął Felton.

- O tak, nędznik! - zawołała Milady widząc, jak wielkie zainteresowanie dla tego dziwnego opowiadania okazuje młody oficer: zdawało się, że zawisł oczami na jej ustach.- O, nędznik! Sądził, że wystarczy zatriumfować nade mną we śnie; przyszedł w nadziei, że przystanę na hańbę, skoro już się dokonała; przyszedł ofiarować mi fortunę w zamian za miłość.

„Powiedziałam mu wszystko, co może powiedzieć kobieta, której serce pełne jest wzniosłej pogardy i oburzenia; przyzwyczajony zapewne do takich wyrzutów, wysłuchał mnie w spokoju, uśmiechnięty, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach; potem sądząc, że skończyłam, zbliżył się do mnie; skoczyłam do stołu, chwyciłam nóż i oparłam go o pierś.

- Jeśli postąpisz pan jeszcze krok naprzód - powiedziałam - prócz mej hańby spadnie jeszcze na ciebie moja śmierć.

Zapewne w moim spojrzeniu, w głosie, w całej postaci była owa szczerokość gestu, pozy i akcentu, która budzi wiarę w najbardziej zepsutych duszach, zatrzymał się bowiem.

- Pani śmierć! - powiedział - o, nie, jesteś zbyt czarującą kochanką, bym się na nią zgodził, skoro miałem szczęście posiadać cię tylko raz jeden. Do widzenia, moja śliczna! Poczekam z następną wizytą, aż będziesz lepiej usposobiona.

Przy tych słowach gwizdnął: płonąca kula, która rozjaśniła pokój, wzniosła się do góry i znikła; zostałam w ciemności; za chwilę rozległ się ten sam odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, płonąca kula znów się pojawiła i zostałam sama.

Była to okropna chwila; jeśli mogłam jeszcze wątpić w moje nieszczęście, te zwątpienia znikły wobec rozpaczliwej rzeczywistości: byłam we władzy człowieka, którego nie tylko nienawidziłam, ale którym pogardzałam; ten człowiek był zdolny do wszystkiego, dał mi już przecie straszny dowód tego, co potrafi”.

- Ale kto to był? - zapytał Felton.

- „Spędziłam noc na krześle, drząc przy najmniejszym szmerze; mniej więcej o północy lampa zgasła i znalazłam się w ciemności. Ale noc minęła bez nowych ataków mego prześladowcy; nadszedł dzień; stół zniknął; tylko nóż wciąż jeszcze miałam w ręce.

W tym nożu była cała moja nadzieja.

Byłam straszliwie zmęczona; bezsenność paliła mi oczy; nie odważyłam się zasnąć ani na chwilę; dzień dodał mi otuchy, rzuciłam się na łóżko nie zapominając o zbawiennym nożu; ukryłam go pod

poduszką.

Kiedy się obudziłam, ujrzałam znów nakryty stół.

Tym razem mimo przerażenia, mimo obaw, poczułam straszliwy głód; czterdzieści osiem godzin nie miałam nic w ustach; zjadłam nieco chleba i kilka owoców; potem przypomniałam sobie o narkotyku domieszanym do wody i nie ruszając tej, która stała na stole, napełniłam szklankę z marmurowej fontanny, znajdującej się w ścianie, nad gotownią.

Jednakże mimo tych ostrożności przez jakiś czas jeszcze byłam w okropnym strachu; ale tym razem lęk nie był uzasadniony, spędziłam dzień nie czując nic, co mogłoby wzbudzić obawę.

Byłam na tyle przezorna, że wypróżniłam do połowy karafkę, aby nie zauważono, że mam się na baczności.

Nadszedł wieczór, a z nim ciemności; choć ciemności te były głębokie, moje oczy zaczęły się do nich przyzwyczajać; widziałam, jak stół zapada się pod podłogę; w kwadrans potem pojawił się znowu z wieczerzą, jeszcze w chwilę potem lampa oświetliła pokój.

Postanowiłam jeść to tylko, do czego nie można domieszać środka nasennego; mój posiłek składał się z dwóch jaj i kilku owoców; potem poszłam do mojej opiekuńczej fontanny nabrać wody do szklanki i wypiałam ją.

Już przy pierwszych łykach zauważyłam, że ma inny smak niż rano; przestałam pić, to wydało mi się podejrzane; przełknęłam już jednak pół szklanki.

Wylałam resztę ze wstrętem i czekałam; z przerażenia czoło moje pokryło się potem.

Na pewno jakiś niewidzialny świadek zauważył, jak biorę wodę z tej fontanny i skorzystał z mej ufności, by tym pewniejsza stała się ma zguba, tak bezlitośnie postanowiona, tak okrutnie dokonana.

Nie minęło pół godziny, a poczułam te same objawy; ale ponieważ tym razem wypiałam tylko pół szklanki, walczyłam dłużej i zamiast zasnąć zupełnie, zapadłam w półsen, tak że pojmowałam, co się dzieje dookoła, nie mając wszakże sił do obrony lub ucieczki.

Zawlokłam się do łóżka, by sięgnąć po jedyną obronę, jaką miałam, mój zbawienny nóż; ale nie mogłam dojść do wezglowia; upadłam na kolana, uczepiwszy się rękami kolumnienki w nogach łoża; wówczas zrozumiałam, że jestem zgubiona”.

Felton zbladł straszliwie, konwulsyjny dreszcz przebiegł jego ciało.

- „Najokrutniejsze było to - mówiła dalej Milady ściśniętym głosem, jak gdyby czuła jeszcze ów

strach - że tym razem miałam świadomość zagrażającego mi niebezpieczeństwa; można by powiedzieć, że moja dusza czuwała nad uspijonym ciałem; widziałam, słyszałam, co prawda jak we śnie, ale to było bardziej jeszcze przerażające.

Widziałam, jak lampa się unosi powoli, pozostawiając mnie w ciemnościach; potem usłyszałam zgrzyt drzwi dobrze mi znany, choć słyszałam go tylko dwa razy.

Poczułam instynktownie, że ktoś zbliża się do mnie; nieszczęśnik zgubiony w stepach Ameryki czuje tak zbliżanie się węża.

Chciałam się zerwać, próbowałam krzyczeć; niewiarygodnym wysiłkiem woli podniosłam się nawet, by upaść natychmiast... upaść w ramiona mego prześladowcy”.

- Powiedz mi, pani, kto to był? - zawołał młody oficer.

Milady spojrzała na Feltona i w mgnieniu oka zrozumiała, jak bardzo cierpi ważąc każdy szczegół jej opowiadania, ale nie chciała mu oszczędzić żadnej męki. Im bardziej złamie mu serce, tym będzie pewniejsza jego zemsty. Ciągnęła więc dalej, jakby nie słyszała jego okrzyku i mniemała, że nie nadeszła jeszcze chwila, by odpowiedzieć.

- „Tylko że tym razem ów nędznik nie trzymał bezwładnego trupa w ramionach. Powiedziałam już panu: nie władając zupełnie zmysłami, miałam jednak poczucie niebezpieczeństwa; walczyłam więc ze wszystkich sił i zapewne długo stawiałam opór, choć byłam tak słaba, usłyszałam bowiem Jak zawołał:

- Ach, te przeklęte purytanki! Wiedziałem, że potrafią zmęczyć swych oprawców, ale nie sądziłem, że opierają się tak swym kochankom.

Niestety, ten rozpaczliwy opór nie mógł trwać długo; czułam, że moje siły się wyczerpały; tym razem nędznik nie skorzystał z mego snu, lecz z mego omdlenia”.

Felton słuchał, wydając jedynie głuche jęki; jego marmurowe czoło okryło się potem, a ręka ukryta pod kaftanem szarpała pierś.

- „Kiedy przyszedłam do siebie, pierwszym odruchem zaczęłam szukać pod poduszką noża, którego nie mogłam przedtem odnaleźć; jeśli nie mógł mi posłużyć do obrony, mógł mi przecie pomóc w zmazaniu moich win.

Ale gdy brałam ten nóż, Feltonie, straszliwa myśl przyszła mi do głowy. Przysięgam, że powiem ci wszystko, i zrobię to; przyrzekłam ci prawdę i powiem prawdę, nawet gdyby miało mnie to zgubić”.

- Przyszło pani na myśl, by zemścić się na tym człowieku? - zawołał Felton.

- Tak - odparła Milady. - Wiem, że nie była to myśl chrześcijańska; bez wątpienia podszeptał mi ją ów wieczny wróg naszej duszy, ów lew ryczący wokół nas bezustannie. Cóż powiem ci jeszcze? Ach, Feltonie - mówiła Milady tonem kobiety, która oskarża się o zbrodnię - ta myśl nie opuszcza mnie odtąd. Za tę morderczą myśl ponoszę dziś karę.

- Mów, mów - rzekł Felton - chcę cię widzieć przy zemście.

- „Postanowiłam, że dokonam jej możliwie najszybciej, nie wątpiłam bowiem, że przyjdzie następnej nocy. W ciągu dnia nie miałam powodu do obaw. Gdy przyszła pora śniadania, nie wahałam się, jadłam i piłam; postanowiłam udać, że jem kolację, ale nie wziąć nic do ust: ranny posiłek miał mnie uchronić od głodu wieczorem.

Ukryłam tylko szklankę wody ze śniadania, byłam bowiem przez czterdzieści osiem godzin bez jedzenia i picia, a pragnienie dokuczało mi bardziej niż głód.

Dzień upłynął, a ja coraz bardziej umacniałam się w swoim postanowieniu; pragnęłam tylko, by twarz nie zdradzała myśli mego serca, nie wątpiłam bowiem, że jestem obserwowana; kilka razy uśmiechnęłam się nawet. Feltonie, nie śmiem nawet powiedzieć, jaka myśl kazała mi się uśmiechać, wydam ci się odrażająca...”

- Mów dalej, mów dalej, pani - rzekł Felton. - Widzisz przecież, że słucham. Chcę dowiedzieć się wreszcie.

- „Nadszedł wieczór, wszystko poszło zwykłym trybem: kolacja znalazła się przede mną w ciemnościach, potem zapalono lampę i siadłam do stołu.

Zjadłam tylko kilka owoców, udałam, że nalewam sobie wody z karafki, ale piłam tylko tę, którą miałam w szklance; zrobiłam to zresztą dość zręcznie, by szpieczy, jeśli mnie obserwowali, nie mogli się niczego domyślić.

Po kolacji za chowywałam się tak samo jak dnia poprzedniego; ale tym razem, jak gdybym upadała ze zmęczenia lub przyzwyczała się do niebezpieczeństwa, dowlokłam się do łóżka, zdjęłam suknię i położyłam się.

Znalazłam nóż pod poduszką i udając, że śpię, ścisnęłam konwulsyjnie jego rękojeść.

Tak upłynęły dwie godziny; tym razem, o mój Boże, któż mógłby mi to powiedzieć poprzedniego wieczora, zaczęłam się obawiać, że nie przyjdzie.

Wreszcie ujrzałam, jak lampa się unosi i znika w głębiach sufitu; pokój napełniły ciemności, ale uczyniłam wysiłek, by je przeniknąć.

Minęło dziesięć minut. Słyszałam tylko bicie mego serca.

Błagałam niebo, by przyszedł.

Wreszcie usłyszałam odgłos otwieranych i zamykanych drzwi; mimo grubości dywanu usłyszałam kroki; mimo ciemności ujrzałam cień zbliżający się do mego łóżka”.

- Pośpiesz się, pośpiesz! - rzekł Felton. - Czy nie widzisz, że każde twoje słowo pali mnie jak roztopiony ołów?!

„Wówczas - mówiła Milady - zebrałam wszystkie siły, przypomniałam sobie, że wybiła godzina zemsty lub raczej sprawiedliwości; uważałam siebie za drugą Judytę; skupiłam się, nóż miałam w ręce; i kiedy ujrzałam go obok siebie, kiedy wyciągnął rękę po swą ofiarę, wydałam okrzyk bólu i rozpaczę i zadałam mu cios w sam środek piersi.

Nędznik wszystko przewidział: na piersiach miał drucianą koszulkę, nóż się ześliznął.

- Ach, ach - zawołał, chwytając mnie za rękę i wydzierając nóż, który tak źle mi posłużył. - Chcesz mi odebrać życie, moja piękna purytanko! Ale to więcej niż nienawiść, to niewdzięczność! No, no, uspokój się, śliczne dziecko; myślałem, żeś nieco złagodniała. Nie należę do tych tyranów, co trzymają przy sobie kobiety siłą. Nie kochasz mnie, łudziłem się, próżny jak zwykle; teraz jestem tego pewien. Jutro będziesz wolna.

Miałam jedno tylko pragnienie - żeby mnie zabił.

- Niech pan uważa! - powiedziałam - moja wolność to pańska niesława.

- Wypowiedz się jaśniej, moja piękna Sybillo.

- Tak, ponieważ zaledwie stąd wyjdę, rozgłoszę wszystko, powiem o gwałcie, jaki mi zadałeś, powiem o moim uwięzieniu. Zdradzę istnienie tego domu rozpusty; wysoko stoisz, milordzie, ale drzyj. Nad tobą jest król, a nad królem Bóg.

Choć mój prześladowca bardzo panował nad sobą, nie mógł ukryć gniewu.

Nie widziałam wyrazu jego twarzy, ale poczułam drżenie ramienia, na którym spoczywała moja dłoń.

- W takim razie nie wyjdiesz stąd! - rzekł.

- Dobrze, dobrze - zawołałam - miejsce mojej męki stanie się moim grobem. Dobrze, umrę tutaj i zobaczysz, czy oskarżenia widma nie są straszliwsze od gróźb żyjącej istoty.

- Nie dostaniesz żadnej broni do ręki.

- Jest taka broń, którą w rozpaczy może posłużyć się każdy człowiek, mający dość odwagi. Umrę z głodu.

- Nuże - rzekł nędznik - czy pokój nie byłby lepszy od takiej wojny?

Zwracam ci wolność natychmiast, ogłoszę cię wszędzie wzorem cnoty, nazwę cię Lukrecją Anglii.

- Ja zaś powiem, że jesteś Sekstusem, oskarżę cię przed ludźmi, jak cię już oskarżyłam przed Bogiem! I jeśli będzie trzeba, jak Lukrecja podpiszę to oskarżenie własną krwią.

- Ho, ho - rzekł mój wróg kpiącym tonem - to zmienia postać rzeczy. Na honor, w końcu jest ci tu dobrze, niczego ci nie brak i jeśli umrzesz z głodu, to tylko z własnej winy.

Po tych słowach wyszedł; usłyszałam dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi i zostałam, przybita, mniej wszakże bólem, wyznam, niż wstydem, że się nie zemściłam.

Dotrzymał słowa. Nie widziałam go ani za dnia, ani w noc następną. Ale ja również dotrzymałam słowa, nie jadłam i nie piłam; jak mu powiedziałam, postanowiłam umrzeć z głodu.

Dzień i noc spędziłam na modlitwie, miałam bowiem nadzieję, że Bóg mi wybaczy samobójstwo.

Następnej nocy drzwi otworzyły się; leżałam na podłodze, siły zaczynały mnie opuszczać.

Słyszając odgłos kroków, uniosłam się na ręce.

- No i cóż - rzekł głos, który brzmiał dla mego ucha zbyt straszliwie, bym go mogła nie rozpoznać - no i cóż, czyśmy złagodnieli nieco, czy zapłacimy za naszą wolność milczeniem? Posłuchaj, jestem dobrym panem - dodał - i choć nie lubię purytanów, oddaję im sprawiedliwość, tak samo jak purytankom, jeśli są ładne. Nuże, przysięgnij mi na krzyż, nie żądam nic więcej.

- Na krzyż! - zawołałam wstając, albowiem na dźwięk głosu sprzeniewiercy odnalazłam siły-na krzyż! Przysięgam, że żadna obietnica, żadna groźba, żadna tortura nie zamknie mi ust; przysięgam na krzyż, że rozgłoszę wszędzie, żeś morderca, gwałciciel, nędznik; przysięgam na krzyż, że jeśli kiedyś stąd wyjdę, domagać się będę zemsty na tobie od całej ludzkości.

- Strzeż się - rzekł z akcentem groźby, którego dotychczas nie słyszałam - mam niezawodny sposób, by zamknąć ci usta lub przynajmniej zapobiec, by uwierzono w twe słowa.

Zebrałam wszystkie siły, by odpowiedzieć mu śmiechem.

Zrozumiał wtedy, że między nami jest wojna, wojna na śmierć i życie.

- Posłuchaj, daję ci jeszcze do namysłu tę noc i jutrzejszy ranek, zastanów się, jeśli przyrzekniesz milczenie, otoczą cię bogactwa, szacunek, honory nawet; jeśli będziesz mi grozić zniesławieniem, skażę cię na hańbę.

- Ty - zawołałam - ty!

- Na hańbę wieczną, nie dającą się zmazać!

- Ty - powtórzyłam. - O, powiem ci, Feltonie, myślałam, że oszalał.

- Tak, ja - rzekł.

- Ach, zostaw mnie - powiedziałam - i wyjdź, jeśli nie chcesz, bym na twych oczach rozbiła sobie głowę o mur!

- Dobrze - odparł - chcesz tego, do jutra wieczór!

- Do jutra wieczór! - odpowiedziałam padając na podłogę i gryząc dywan z wściekłości...”

Felton oparł się na krześle i Milady z diabelską radością zobaczyła, że zbraknie mu może sił jeszcze przed końcem opowiadania.

XXVII.

CHWYT Z TRAGEDII KLASYCZNEJ

Po chwili milczenia, podczas której Milady obserwowała słuchającego jej młodzieńca, podjęła opowiadanie:

- „Minęło niemal trzy dni, odkąd nie jadłam i nie piłam; cierpiałam okrutnie; niekiedy jakieś chmury zasłaniały mi oczy; popadłam w malignę. Nadszedł wieczór; byłam tak słaba, że co chwila mdlałam, a za każdym razem, gdy mdlałam, dziękowałam Bogu, myśląc, że umieram.

Kiedy leżałam właśnie omdlewająca, usłyszałam zgrzyt otwieranych drzwi; przerażenie wróciło mi przytomność.

Wszedł do pokoju w towarzystwie człowieka w masce, sam również miał maskę na twarzy, ale poznałam jego krok, poznałam jego głos, poznałam dumną postawę, którą dało mu piekło na nieszczęście ludzkości.

- No i cóż - powiedział - czy złożysz przysięgę, której od ciebie żądałem?

- Sam powiedziałeś, że purytanie mają jedno tylko słowo; moje słyszałeś: pociągnę cię przed ludzki trybunał na ziemi, przed trybunał boży w niebie.

- A zatem upierasz się?

- Przysięgam Bogu, który mnie słyszy: będę wzywać cały świat na świadka twojej zbrodni, dopóki nie znajdę mściciela.

- Jesteś nierządnicą - rzekł grzmiącym głosem - i spotka cię kara dla nierządnic! Napiętnowana wobec świata, który przyzywasz, spróbuj udowodnić, że nie jesteś winna lub szalona!

Potem rzekł do człowieka, który mu towarzyszył:

- Kacie, czyń swoją powinność!"

- Jego imię, och, jego imię! - zawołał Felton. - Powiedz mi, jak się nazywa?!

- „Wówczas mimo moich krzyków i oporu (zrozumiałam bowiem, że chodzi o coś gorszego niż śmierć) kat pochwycił mnie, obalił na podłogę, skrępował i wśród łkań, bez przytomności niemal, wzywając Boga, który mnie nie słuchał, wydałam nagle straszny okrzyk bólu i wstydu: palący ogień, czerwone żelazo, żelazo kata odcisnęło się na moim ramieniu".

Felton zawył.

- Spójrz - rzekła Milady wstając z dostojeństwem królowej - spójrz Feltonie, zobacz, jakie nowe męczeństwo wymyślono dla młodej i czystej dziewczyny, ofiary brutalności zbrodniarza. Naucz się poznawać serca ludzi i odtąd mniej łatwo stawaj się narzędziem ich niesprawiedliwej zemsty.

Milady szybkim ruchem rozpięła suknię, rozerwała batyst, który okrywał jej pierś, i purpurowa z udanego gniewu i wstydu pokazała młodzieńcowi niezatarte piętno, które bezcześciło to piękne ramię.

- Ależ to kwiat lili! - zawołał Felton.

- Na tym właśnie polega zbrodnia - odparła Milady. - Piętno angielskie!... Trzeba dowieść, że trybunał kazał mi je wypalić, a zwróciłabym się do wszystkich trybunałów królestwa; ale piętno francuskie... och, tym piętnem zostałam zaiste naznaczona.

Tego było dla Feltona za wiele.

Blady, nieruchomy, zmiażdżony tym straszliwym objawieniem, olśniony nadludzką pięknnością tej kobiety, odsłaniającej przed nim swe ciało z bezwstydem, który wydał mu się wzniosły, upadł przed nią na kolana jak pierwsi chrześcijanie przed owymi czystymi i świętymi męczenniczkami, co prześladowane przez cesarzy, wydawane były w cyrku na pastwę lubieżnego i krwiożerczego motłochu. Znikło hańbiące piętno, została tylko piękność.

- Wybacz, wybacz! - zawołał Feston - o, wybacz!

Milady czytała w jego oczach: kocham, kocham!

- Co mam wybaczyć? – zapytała.

- Wybacz, że przyłączyłem się do twych prześladowców.

Milady wyciągnęła do niego rękę.

- Taka piękna, taka młoda - zawołał Felton okrywając tę rękę pocałunkami. Milady rzuciła mu spojrzenie, które niewolnika czyni królem.

Felton był purytaninem; puścił rękę tej kobiety, by ucałować jej stopy. Nie kochał, uwielbiał ją.

Kiedy wybuch minął, kiedy mogło się wydać, że Milady odzyskuje panowanie nad sobą, którego nigdy nie traciła, Felton ujrzał, jak welon wstydlivości zakrywa te skarby miłosne, odsłoniłone mu tylko po to, by ich goręcej pragnął.

- A teraz - rzekł - chcę cię o jedno tylko zapytać, chcę poznać imię twego prawdziwego kata, bo jeden człowiek jest twym katem; tamten to narzędzie, nic więcej.

- Ach, bracie! - zawołała Milady. - Więc mam ci go jeszcze nazwać, nie odgadłeś?

- Jak to! - rzekł Felton. - On? Znowu on?... Zawsze on?... Jak to, prawdziwy winowajca...

- Prawdziwy winowajca to ciemiezca Anglii, prześladowca wiernych, nikczemny gwałciciel kobiet, ten, co dla kaprysu swego przewrotnego serca przelewa tyle krwi angielskiej, który osłania protestantów dziś, a zdradzi ich jutro!

- Buckingham! Więc to Buckingham! - zawołał Felton z wściekłością.

Milady ukryła twarz w dłoniach, jak gdyby nie mogła znieść wstydu, który przypominało jej to nazwisko.

- Buckingham jest katem tej anielskiej istoty! - zawołał Felton. - I tyś go nie spiorunował, mój Boże! Pozwoliłeś mu korzystać z zaszczytów, poważania, potęgi dla zguby nas wszystkich!

- Bóg opuszcza tych, którzy opuszczają się sami - rzekła Milady.

- Ale chce, by na ich głowy spadła kara przeznaczona dla przeklętych! - ciągnął Felton ze wzrastającym uniesieniem. - Chce, by zemsta ludzka poprzedziła sprawiedliwość niebieską!

- Ludzie boją się i oszczędzają go.

- Ale ja - rzekł Felton - ani się go nie boję, ani go będę oszczędzał.

Milady poczuła, jak duszę jej ogarnia piekielna radość.

- Ale jakim to sposobem lord Winter, mój protektor, mój ojciec, może być zamieszany w to wszystko?

- Posłuchaj, Feltonie - rzekła Milady - obok ludzi nikczemnych i godnych pogardy są jeszcze natury wielkie i szlachetne. Miałam narzeczonego, człowieka, którego kochałam i który mnie kochał; serce jak twoje, Feltonie, człowiek do ciebie podobny. Poszłam do niego i opowiedziałam mu wszystko; znał mnie, nie wątpił ani przez chwilę. Był to wielki pan, człowiek pod każdym względem równy Buckinghamowi. Nie powiedział nic, przypasał tylko szpadę do boku, włożył płaszcz i udał się 'do pałacu Buckinghamama.

- Tak, tak - rzekł Felton - rozumiem. Choć na takich ludzi nie szpady trzeba, lecz sztyletu.

- Buckingham wyjechał poprzedniego dnia jako ambasador do Hiszpanii, gdzie miał prosić o rękę infantki dla króla Karola I, wówczas jeszcze księcia Walii. Mój naręczony wrócił.

- „Słuchaj - powiedział do mnie - ten człowiek wyjechał i na razie uniknął mej zemsty; ale połączmy się, jak to było postanowione, możesz zaufać lordowi Winterowi, obroni honor własny i swej żony”.

- Lord Winter! - zawołał Felton.

- Tak - rzekła Milady - lord Winter. Teraz powinieneś wszystko rozumieć, prawda? Buckinghamama nie było przez rok. Na tydzień przed jego powrotem lord Winter umarł nagle, czyniąc mnie swą spadkobierczynią. Jaka przyczyna tej śmierci? Bóg, który wie wszystko, wie to także, ja nie oskarżam nikogo...

- Och, co za otchłań, co za otchłań! - zawołał Felton.

- Lord Winter umarł nie powiedziawszy nic swemu bratu. Straszliwa tajemnica miała zostać ukryta przed wszystkimi do chwili, kiedy niczym grom spadnie na głowę winowajcy. Twemu protektorowi me w smak było małżeństwo młodszego brata z ubogą dziewczyną. Czułam, że od człowieka zawiedzionego w swych nadziejach na spadek nie mogę oczekiwać pomocy. Wyjechałam do

Francji postanawiając zostać tam przez resztę życia. Ale wszystko, co posiadam, było w Anglii; gdy granica została zamknięta na skutek wojny, zostałam bez środków; musiałam wrócić; przed sześciu dniami wylądowałam w Portsmouth.

- I co dalej? - rzekł Felton.

- Buckingham dowiedział się zapewne o moim powrocie, rozmawiał o mnie z lordem Winterem, który i tak już był do mnie uprzedzony, i powiedział mu, że jego bratowa jest nierządnicą, kobietą napiętnowaną. Nie było już mego męża, którego szlachetny i czysty głos mógłby mnie obronić. Lord Winter uwierzył we wszystko, co mu powiedziano, i to tym łatwiej, że chciał uwierzyć. Kazał mnie uwięzić, sprowadzić tutaj, oddał pod twoją straż. Resztę wiesz sam: pojutrze zostanę zesłana, wygnana; pojutrze znajdę się między zbrodniarzami. Och, wszystko zostało świetnie obmyślane, spisek jest zręczny, nic nie uratuje mego honoru. Widzisz sam, że muszę umrzeć, Feltonie; Feltonie, daj mi ten nóż!

Przy tych słowach, jak gdyby opuściły ją siły, omdlewająca i słaba osunęła się w ramiona młodego oficera, który pijany z miłości, z gniewu i nieznanego żądza, objął ją z uniesieniem, przycisnął do serca, drżąc cały pod oddechem tych pięknych ust, nieprzytomny od bliskości tej falującej piersi.

- Nie, nie - powiedział. - Będziesz żyła otoczona szacunkiem i czysta, będziesz żyła, by zatriumfować nad swymi wrogami.

Milady odpychała go powoli, ręką i przyciągała spojrzeniem; ale Felton nie puszczał jej, błagając jak bóstwo.

- Och, śmierć, śmierć raczej niż hańba! - rzekła stłumionym głosem, zakrywając oczy. - Feltonie, mój bracie, mój przyjacielu, zaklinam cię!

- Nie! - zawołał Felton. - Nie! Będziesz żyła, będziesz żyła pomszczona.

- Feltonie, przynoszę nieszczęście wszystkim, co się do mnie zbliża! Feltonie, zostaw mnie, pozwól mi umrzeć!

- Dobrze więc, umrzemy razem! - zawołał przyciskając usta do ust uwięzionej.

W tej chwili zapukano kilkakrotnie do drzwi; teraz Milady odepchnęła go naprawdę.

- Słyszano nas! - rzekła. - Idą. Stało się, jesteśmy zgubieni!

- Nie, to wartownik uprzedza mnie, że idzie ront.

- Biegnij więc do drzwi i otwórz je.

Felton usłuchał; ta kobieta wypełniała mu całą duszę i serce.

Znalazł się naprzeciw sierżanta dowodzącego patrolem.

- Co się stało? - zapytał młody porucznik.

- Kazał mi pan otworzyć drzwi, jeśli usłyszę wołanie na pomoc – rzekł żołnierz - ale zapomniał mi pan zostawić klucza; usłyszałem, że pan krzyczy, poruczniku, choć nie zrozumiałem co, chciałem otworzyć drzwi, były zamknięte od wewnątrz; wezwałem więc sierżanta.

- Jestem na rozkazy - powiedział sierżant. Felton nieprzytomny, oszalały prawie, stał milcząc.

Milady rozumiała, że musi ratować sytuację, podbiegła do stołu, chwyciła nóż pozostawiony przez Feltona i zawołała:

- Jakim prawem zabrania mi pan umrzeć?

- Wielki Boże! - zawołał Felton widząc błysk noża w jej ręku.

W tej chwili na korytarzu rozległ się ironiczny wybuch śmiechu.

Na progu, w szlafroku, ze szpadą pod pachą, stał baron, którego przywiódł tu hałas.

- Ho, ho - rzekł - oto ostatni akt tragedii; widzisz, Feltonie, dramat rozwijał się tak, jak powiedziałem, ale bądź spokojny, krew nie popłynie.

Milady rozumiała, że jest zgubiona, jeśli nie da Feltonowi natychmiast straszliwego dowodu odwagi.

- Mylisz się, milordzie, krew popłynie i niech ta krew spadnie na tych, którzy doprowadzili do jej rozlewu.

Felton krzyknął i skoczył ku niej; ale było już za późno. Milady zadała sobie cios.

Ale nóż szczęśliwym przypadkiem lub raczej dzięki zręczności Milady natrafił na stalową brykę, która w owych czasach osłaniała pierś kobiet niczym pancerz, ześliznął się rozdzierając suknię i ugodził ciało z boku między żebrami.

Suknia Milady pokryła się krwią w jednej chwili.

Milady upadła na wznak; zdawało się, że jest zemdlona. Felton wyrwał nóż.

- Widzisz, milordzie - rzekł ponuro - kobieta powierzona mojej pieczy zabiła się!

- Bądź spokojny, Feltonie - rzekł lord Winter - ona żyje, demony nie umierają tak łatwo; bądź spokojny i zaczekaj na mnie w moim pokoju.

- Ale milordzie...

- Idź, rozkazuję ci.

Felton usłuchał rozkazu przełożonego; ale wychodząc ukrył nóż na piersi.

Lord Winter kazał zawezwać kobietę, która usługiwała Milady, powierzył jej opiece zemdloną i wyszedł.

Jednakże, ponieważ mimo jego podejrzeń rana mogła być poważna, posłał natychmiast umyślnego konno po medyka.

XXVIII. UCIECZKA

Jak sądził lord Winter, rana Milady nie była niebezpieczna; zaledwie znalazła się sama z kobietą, wezwaną przez barona, która zaczęła ją szybko rozbierać, otworzyła oczy.

Należało jednak udawać słabość i ból; nie było to trudne dla takiej komediantki jak Milady, toteż biedna kobieta dała się wywieść w pole i mimo sprzeciwów uwięzionej postanowiła czuwać nad nią całą noc.

Obecność tej kobiety nie przeszkodziła wszakże Milady w rozmyślaniach.

Nie ulegało wątpliwości, Felton został przekonany, Felton należał do niej; gdyby anioł zjawił się przed młodzieńcem, by oskarżyć Milady, w tym stanie ducha uznałby go za wysłannika piekieł.

Milady uśmiechnęła się do tej myśli, ponieważ Felton był teraz jedyną jej nadzieją, jedyną drogą ratunku.

Wszelako lord Winter mógł go teraz podejrzewać, musiał więc przed nim z kolei mieć się na baczności.

Około czwartej nad ranem zjawił się medyk, ale rana już się zasklepiła i medyk nie mógł jej zbadać; stwierdził tylko badając puls chorej, że wypadek nie jest poważny.

Rano Milady pod pozorem, że nie spała w nocy i potrzebuje odpoczynku, odprawiła kobietę czuwającą przy niej.

Miała nadzieję, że Felton zjawi się w porze śniadania; ale Felton się nie zjawił.

Czyżby jej obawy się sprawdziły? Czyżby Felton podejrzewany przez barona musiał ją opuścić w decydującej chwili? Pozostawał jej tylko jeden dzień; lord Winter oznajmił Milady, że wsiądzie na statek dwudziestego trzeciego, a był ranek dwudziestego drugiego.

Czekała jednak cierpliwie do obiadu.

Choć nie jadła śniadania, przyniesiono jej obiad o zwykłej porze; Milady zauważyła teraz z przerażeniem, że pilnujący jej żołnierze noszą inne mundury.

Ośmieliła się zapytać o Feltona. Odpowiedziano jej, że przed godziną Feston dosiadł konia i wyjechał.

Zapytała, czy baron jest w zamku; żołnierz odpowiedział twierdząco, dodając, że otrzymał rozkaz, by go zawiadomić, jeśli uwięziona zechce z nim mówić.

Milady oświadczyła, że na razie jest zbyt słaba i że pragnie tylko pozostać sama.

Żołnierz wyszedł.

Felton został usunięty, zmieniono żołnierzy marynarki na innych, nie ufano więc Feltonowi.

Był to ostatni cios zadany uwięzionej.

Gdy nikogo nie było już w pokoju, wstała; łóżko, w którym leżała przez przezorność, by myślano, że jest ciężko ranna, paliło ją żywym ogniem. Spojrzała na drzwi: baron kazał zabić deską okienko, obawiając się zapewne, by jakimś diabelskim sposobem nie uwiodła przez ten otwór strażników.

Milady uśmiechnęła się z radością; mogła więc oddać się myślom nie będąc obserwowana. Biegła po pokoju jak szalona, jak tygrysica zamknięta w żelaznej klatce. Gdyby pozostawiono jej nóż, nie myślałaby na pewno o samobójstwie, ale o zabiciu barona.

O szóstej przyszedł lord Winter; był uzbrojony po zęby. Ten mężczyzna; którego Milady nie posądzała dotychczas o wielką bystrość, okazał się wspaniałym strażnikiem: zdawało się, że wszystko potrafi przewidzieć, odgadnąć, uprzedzić.

Jedno spojrzenie rzucone na Milady dało mu poznać, co się dzieje w jej duszy.

- Tak - powiedział - nie zabijesz mnie dzisiaj, nie masz broni, a zresztą mam się na baczności. Zabrałaś się już do mojego biednego Feltona; był pod twoim piekielnym wpływem, ale chcę go uratować, nie zobaczy cię więcej, wszystko skończone. Przygotuj swoje rzeczy, jutro wyjeżdżasz. Naznaczyłem wyjazd na dwudziestego czwartego, ale doszedłem do wniosku, że im prędzej, tym lepiej. Jutro w południe otrzymam rozkaz zesłania podpisany przez Buckinghamą. Jeśli, zanim znajdziesz się na statku, powiesz do kogokolwiek choćby słowo, mój sierżant zastrzeli cię, otrzymał już rozkaz; jeśli na statku odezwiesz się słowem bez zezwolenia kapitana, kapitan każe cię strącić do morza, rzecz już umówiona. Do widzenia, tyle miałem ci dziś do powiedzenia. Jutro odwiedzę cię, żeby się z tobą pożegnać!

Co powiedziawszy, baron wyszedł.

Milady wysłuchiwała całej tej groźnej tyrady z uśmiechem pogardy na ustach, ale z wściekłością w sercu.

Podano kolację. Milady czuła, że trzeba jej sił, nie wiedziała, co może się stać podczas nadchodzącej groźnej nocy: wielkie chmury toczyły się po niebie, a dalekie błyskawice zapowiadały burzę.

Około dziesiątej wieczorem zaczęła się burza. Milady poczuła ulgę widząc, że natura podziela niepokój jej duszy; pioruny huczały w powietrzu jak gniew w jej sercu; wydawało jej się, że burza przechodząc targa włosy nad jej czołem tak samo, jak zgina gałęzie drzew i unosi ich liście; wyła jak huragan i jej głos ginął w wielkim głosie przyrody, która również zdawała się jęczeć z rozpacz.

Nagle usłyszała pukanie do okna i w świetle błyskawicy ujrzała twarz mężczyzny za kratą.

Podbiegła do okna i otworzyła je.

- Feltonie! - zawołała. - Jestem uratowana!

- Tak - rzekł Feston - ale cicho, cicho! Trzeba mi czasu na przepiłowanie krat. Patrz tylko, żeby nie zauważyli przez okienko.

- Oto dowód, że Bóg jest z nami, Feltonie - odpowiedziała Milady. – Zabili okienko deską.

- To dobrze, Bóg zmaścił im rozum! - rzekł Felton.

- Ale co mam zrobić? - zapytała Milady.

- Nic, nic; zamknij tylko okno. Idź spać albo przynajmniej połóż się do łóżka w ubraniu; kiedy skończę, zapukam w szybę. Ale czy zdołasz pójść ze mną?

- O, tak!

- Twoja rana?

- Boli, ale nie przeszkadza mi chodzić.

- Bądź więc gotowa na pierwszy znak.

Milady zamknęła okno, zgasiła lampę i położyła się na łóżku, jak jej zalecił Felton. Wśród jęków burzy słyszała zgrzyt piły o kratę, w świetle błyskawic widziała cień Feltona za oknem.

Spędziła godzinę nie oddychając, drżąca, czoło miała zroszone potem, serce ściśnięte straszliwą obawą przy każdym odgłosie z korytarza.

Są takie godziny, co trwają lata.

Po godzinie Felton znowu zapukał.

Milady wyskoczyła z łóżka i pośpieszyła otworzyć.

W kracie było o dwa pręty mniej, tak że powstał otwór, którym mógł przedostać się człowiek.

- Czy jesteś gotowa? - zapytał Felton.

- Tak. Czy mam coś zabrać?

- Złoto, jeśli je masz.

- Tak, na szczęście mi go nie zabrano.

- Tym lepiej, ja wydałem wszystko, co miałem, na barkę.

- Bierz - rzekła Milady podając Feltonowi worek pełen luidorów.

Felton wziął worek i rzucił go na dół.

- A teraz czy zechcesz zejść?

- Jestem gotowa.

Milady weszła na fotel i wychyliła się przez okno; ujrzała, że młody oficer wisi na sznurowej drabince nad przepaścią.

Po raz pierwszy odruch strachu przypomniał jej, że jest kobietą.

Ta przepaść przerażała ją.

- Obawiałem się tego - rzekł Felton.

- To nic, to nic - powiedziała Milady. - Zejdę z zamkniętymi oczami.

- Czy masz do mnie zaufanie? - rzekł Felton.

- Jak możesz pytać!

- Daj mi obie ręce; skrzyżuj je. Dobrze.

Felton związał jej przeguby chustką, a na chustce zawiązał sznur.

- Co czynisz? - zapytała Milady ze zdumieniem.

- Obejmij mnie ramieniem za szyję i nie bój się niczego.

- Ależ stracisz przeze mnie równowagę i zabijemy się oboje.

- Bądź spokojna, jestem marynarzem.

Nie było sekundy do stracenia; Milady objęła Feltona za szyję ramionami i wysliznęła się przez otwór.

Felton zaczął zstępować po drabince powoli, stopień za stopniem. Mimo ciężaru dwóch ciał podmuch huraganu kołysał ją w powietrzu.

Nagle Felton zatrzymał się.

- Cicho! - rzekł. - Słyszę kroki.

- Jesteśmy zgubieni!

Zapadła cisza na kilka chwil.

- Nie - rzekł Felton - to nic.

- Ale co to za odgłosy?

- To patrol robi obchód.

- Którędy prowadzi ich droga?

- Tuż pod nami.

- Zobaczą nas.

- Nie, jeśli nie będzie błyskawic.

- Potrącą dół drabinki.

- Na szczęście jest za krótka o sześć stóp.

- Oto oni, mój Boże!

- Cicho!

Oboje zawiśli bez ruchu, zatajając oddech, dwadzieścia stóp nad ziemią; tymczasem żołnierze przechodzili dołem śmiejąc się i rozmawiając.

Była to straszliwa chwila dla zbiegów.

Patrol przeszedł; usłyszeli oddalające się kroki i zamierające głosy.

- Teraz jesteśmy uratowani - rzekł Felton.

Milady westchnęła i zemdląła.

Felton schodził dalej. U dołu drabinki, kiedy nie czuł już oparcia pod stopami, czepiał się muru rękoma; wreszcie na ostatnim stopniu zawisnął na rękach i znalazł się na ziemi. Schylił się, podniósł worek ze złotem i chwycił go zębami.

Potem wziął Milady w ramiona i ruszył szybko w przeciwnym kierunku niż patrol. Niebawem zboczył z drogi patrolu, zszedł po skałach i znalazłszy się na brzegu morza zagwizdał.

Odpowiedziano mu takim samym sygnałem; w pięć minut później ukazała się barka z czterema ludźmi.

Barka zbliżyła się do brzegu na taką odległość, na jaką pozwalała wysokość wody; Felton wszedł do wody aż po pas, nie chcąc powierzyć nikomu swego cennego ciężaru.

Na szczęście burza cichła z wolna, jednak morze wciąż jeszcze nie było spokojne; mała barka skakała po falach jak łupina orzecha.

- Do statku - rzekł Felton. - Wiosłujcie żywo!

Czterej mężczyźni pochyłili się nad wiosłami, ale morze było zbyt niespokojne, by mogli pokierować barką.

Ale oddalali się od zamku, a to było najważniejsze. Noc była ciemna choć oko wykol i niepodobna było dostrzec brzegu z barki, a tym bardziej barkę z brzegu.

Czarny punkt kołysał się na morzu.

Był to statek.

Podczas gdy barka posuwała się naprzód pod silnymi uderzeniami wiosel, Felton rozwiązał sznur, a

potem chustkę, które krępowały ręce Milady.

Kiedy ręce miał już wolne,- zaczerpnął wody morskiej i prysnął jej w twarz.

Milady westchnęła i otworzyła oczy.

- Gdzie jestem? - zapytała.

- Jesteś ocalona - odparł młody oficer.

- Och, ocalona, ocalona! - zawołała. - Tak, oto niebo, oto morze! To powietrze, którym oddycham, jest powietrzem wolności. Ach, dzięki, Feltonie, dzięki!

Młodzieniec przycisnął ją do serca.

- Ale co z moimi rękami? - zapytała Milady. - Bolą mnie tak, jakby zgniecione w kleszczach.

Milady podniosła dłonie: miała zgniecione przeguby.

- Niestety - rzekł Felton spoglądając na te piękne dłonie i łagodnie kiwając głową.

- Och, to nic, to nic! - zawołała Milady. - Teraz przypominam sobie.

Milady rozglądała się dokoła.

- Jest tutaj - rzekł Felton, trącając nogą worek ze złotem.

Zbliżali się do statku. Marynarz krzyknął, z barki odpowiedziano mu.

- Co to za statek? - zapytała Milady.

- Wynająłem go dla ciebie.

- Dokąd mnie zawiezie?

- Dokąd zechcesz, bylebym mógł wysiąść w Portsmouth.

- A co chcesz robić w Portsmouth? - zapytała Milady.

- Wypełnić rozkazy lorda Wintera - rzekł Felton z ponurym uśmiechem.

- Jakie rozkazy? - zapytała Milady.

- Nie rozumiesz? - zapytał Felton.

- Nie. Wyjaśnij mi, proszę.
- Ponieważ nie był mnie pewien, chciał cię sam pilnować i wysłał mnie do Buckingham, by książę podpisał rozkaz o twym zesłaniu.
- Ale skoro nie był ciebie pewien, jakże mógł ci powierzyć ten rozkaz?
- Czy mógł przypuszczać, że wiem, co mam w rękach?
- To prawda. I udajesz się do Portsmouth?
- Nie mam czasu do stracenia: jutro, dwudziestego trzeciego, Buckingham wyrusza z flotą.
- Wyrusza jutro, dokąd?
- Do La Rochelle.
- Nie może wyjechać - zawołała Milady tracąc panowanie nad sobą.
- Bądź spokojna, nie wyjedzie - odparł Felton.

Milady zadrżała z radości; czytała w sercu młodzieńca, śmierć Buckingham była tam wypisana wielkimi literami.

- Feltonie... - powiedziała - jesteś wielki jak Juda Machabeusz! Jeśli zginiesz, zginę razem z tobą; oto wszystko, co mogę ci powiedzieć.
- Cicho - rzekł Felton. - Przy płynęliśmy.

Byli już przy statku.

Felton wszedł pierwszy na drabinę i podał rękę Milady; marynarze podtrzymali ją, morze było bowiem wciąż wzburzone.

W chwilę potem byli na pokładzie.

- Kapitanie - rzekł Felton - oto osoba, o której ci mówiłem; masz ją odwieźć bez szwanku do Francji.
- Za opłatą tysiąca pistoli.
- Dałem ci pięćset.
- Nie przeczę - rzekł kapitan.

- A oto drugie pięćset - wtrąciła Milady, kładąc rękę do worka ze złotem.

- Nie - rzekł kapitan - co powiedziałem, to powiedziałem, dałem słowo temu młodzieńcowi; pięćset pistoli otrzymam w Boulogne.

- Więc dojedziemy tam?

- Zdrowi i cali - rzekł kapitan - jakem Jack Buttier.

- Dobrze - rzekła Milady. - Jeśli dotrzymasz pan słowa, zamiast pięciuset pistoli dostaniesz tysiąc.

- Wiwat, piękna pani! - zawołał kapitan. - Oby Bóg często zsyłał mi takich podróżnych!

- Na razie - rzekł Felton - zawieź nas, kapitanie, do zatoki... umówiliśmy się, że nas tam zawieziesz.

Kapitan wydał odpowiednie rozkazy i o siódmej rano mały statek zarzucił kotwicę w owej zatoce.

Podczas drogi Felton opowiedział wszystko Milady: jak zamiast udać się do Londynu, wynajął stateczek, jak wrócił, jak wspiał się na mur umieszczając w występach haki dla oparcia stóp i jak wreszcie dotarł do krat, do których przyczepił drabinę; Milady wiedziała resztę.

Ze swej strony Milady próbowała umocnić Feltona w postanowieniu, ale z pierwszych słów młodego porucznika zrozumiała, że raczej należy go miarkować, niż zachęcać.

Umówiono się, że Milady będzie czekać na Feltona do dziesiątej; jeśli do tego czasu młodzieniec nie wróci, odjedzie.

Jeśli będzie wolny, spotkają się we Francji, w klasztorze karmelitanek w Bethune.

XXIX.

CO ZDARZYŁO SIĘ W PORTSMOUTH 23 SIERPNIA 1628

Felton pożegnał się z Milady, jak brat żegna siostrę udając się na przechadzkę, i ucałował jej rękę.

Wydawało się, że jest spokojny jak zawsze; jedynie oczy błyszczące niezwykle, jak w gorączce, czoło bledsze jeszcze niż zazwyczaj, zaciśnięte zęby, krótka i urywana mowa wskazywały, że dzieje się z nim coś szczególnego.

Dopóki znajdował się na barce wiozącej go ku lądowi, patrzył w stronę Milady, która stojąc na pokładzie nie spuszczała z niego oczu. Oboje nie obawiali się pościgu; do pokoju Milady nie wchodziło nigdy przed dziewiątą, a z zamku do Londynu trzeba było jechać trzy godziny.

Felton wyskoczył na ziemię, wspiął się na stromy brzeg, złożył ostatni ukłon Milady i skierował się do miasta.

Ponieważ teren opadał w dół, z odległości stu kroków mógł widzieć jedynie maszt statku.

Pośpieszył w stronę Portsmouth, które widział przed sobą w odległości mniej więcej pół mili; wieże i domy rysowały się we mgle porannej.

Za Portsmouth rozciągało się morze pełne statków; ich maszty, podobne do lasu topól ogołoconych z liści przez zimę, kołysały się na wietrze.

Felton idąc szparkim krokiem przypomniał sobie wszystkie prawdziwe i fałszywe zarzuty stawiane faworytowi Jakuba VI i Karola I, jakich dostarczyły mu dwa lata rozmyślań w duchu moralistów starożytnych i długi pobyt wśród purytanów.

Kiedy porównał zbrodnie publiczne tego ministra, zbrodnie głośne, europejskie, jeśli można tak powiedzieć, ze zbrodniami prywatnymi i tajnymi, znanymi mu z opowieści Milady, doszedł do przekonania, że bardziej zbrodniczy z dwóch ludzi, jacy żyli obok siebie w Buckinghamie, był ten, którego życia nie znano powszechnie. Albowiem miłość Feltona, tak dziwna, tak nowa, tak płomienna, kazała mu patrzeć na nikczemne i zmyślane oskarżenia lady Winter, jak patrzy się przez powiększające szkło, kiedy cząsteczki, niedostrzegalne gołym okiem i znikome w porównaniu z mrówką, nabierają przerażających rozmiarów.

Szybkość marszu rozpaliała mu jeszcze bardziej krew; myśl, że kobieta, którą kochał lub uwielbiał raczej jak świętą, jest narażona na straszliwą zemstę, minione wzruszenia, obecne zmęczenie, wszystko to pobudzało niezwykle tę duszę.

Do Portsmouth przyszedł około ósmej. Cała ludność była na nogach, dźwięki bębnów rozlegały się na ulicach i w porcie, oddziały mające odpłynąć schodziły ku morzu.

Felton przybył do Pałacu Admiralicji okryty kurzem i zlany potem; jego twarz, blada zazwyczaj, była purpurowa z gorąca i gniewu. Straż chciała go odepchnąć, ale Felton wezwał dowódcę straży i wyciągając z kieszeni list, który miał przy sobie, powiedział:

- Pilne zlecenie od lorda Wintera.

Na nazwisko lorda Wintera, jednego z najbliższych przyjaciół Jego Wysokości, dowódca straży kazał przepuścić Feltona, który zresztą miał na sobie mundur oficera marynarki.

Felton wpadł do pałacu.

Gdy był w przedsionku, wbiegł jakiś człowiek, okryty kurzem, bez tchu, zostawiając przy bramie pocztowego konia, który padł na kolana.

Felton i on jednocześnie zwrócili się do Patricka, zaufanego pokojowca Buckinghama. Felton wymienił nazwisko barona Wintera, nieznajomy nie chciał podać żadnego nazwiska oświadczając, że może je powiedzieć tylko księciu. Każdy z przybyłych chciał wejść pierwszy.

Patrick wiedział, że lorda Wintera łączyły z księciem sprawy służbowe, a ponadto był z nim w przyjaźni, wpuścił więc najpierw tego, który wymienił jego nazwisko. Drugi wysłaniec musiał czekać i łatwo można zrozumieć, jak bardzo przeklinał to opóźnienie.

Przez wielką salę, gdzie czekali deputowani z La Rochelle z księciem de Soubise na czele, pokojowiec zaprowadził Feltona do gabinetu Buckinghama, który po kąpieli kończył się ubierać, swoim zwyczajem poświęcając toalecie wiele uwagi.

- Porucznik Felton - rzekł Patrick - od lorda Wintera.

- Od lorda Wintera - powtórzył Buckingham - prosić.

Felton wszedł. W tej właśnie chwili Buckingham rzucił na kanapę wspaniały szlafrok przetykany złotem, by włożyć kaftan z niebieskiego aksamitu wyszyty perłami.

- Dlaczego baron nie przyszedł? - zapytał Buckingham. - Spodziewałem się go dzisiaj.

- Poleciał mu powiedzieć Waszej Wysokości - odparł Felton - że bardzo żałuje, iż sam nie mógł się stawić, ale musi pełnić straż w zamku.

- Tak, tak - rzekł Buckingham - wiem, ma tam branżę.

- Właśnie o niej chciałem mówić z Waszą Wysokością - ciągnął Felton.

- Proszę, mów.

- To, co mam do powiedzenia, tylko Wasza Wysokość może usłyszeć.

- Zostaw nas, Patrick - rzekł Buckingham - ale bądź w pogotowiu, żeby usłyszeć dzwonek; wezwę cię wkrótce.

Patrick wyszedł.

- Jesteśmy sami, poruczniku - rzekł Buckingham. - Mów!

- Milordzie - rzekł Felton - baron Winter pisał już do ciebie, prosząc o podpis na rozkazie dotyczącym zesłania młodej kobiety nazwiskiem Karolina Backson.

- Tak, i odpowiedziałem, żeby mi przyniósł lub przysłał ten rozkaz, a ja go podpiszę.

- Oto on, milordzie.

- Pokaż - rzekł książę.

Wziął papier z rąk Feltona i rzucił nań okiem. Kiedy przekonał się, że to ten właśnie, o który chodzi, położył go na stole i wziął pióro, by podpisać.

- Przepraszam, milordzie - rzekł Felton zatrzymując księcia. - Czy Wasza Wysokość wie, że Karolina Backson nie jest prawdziwym nazwiskiem tej młodej kobiety?

- Tak, wiem o tym - rzekł książę, maczając pióro w kałamarzu.

- Zatem Wasza Wysokość zna jej prawdziwe nazwisko? - zapytał Felton krótko.

- Znam.

Książę zbliżył pióro do papieru. Felton zbladł.

- I znając jej prawdziwe nazwisko Wasza Wysokość również podpisze rozkaz?

- Oczywiście - rzekł Buckingham. - Tym bardziej.

- Nie mogę uwierzyć - ciągnął Felton głosem coraz bardziej urywanym - że Wasza Wysokość wie, iż chodzi o lady Winter...

- Wiem o tym doskonale, choć jestem zdumiony, że i pan wie o tym!

- I Wasza Wysokość podpisze ten rozkaz bez wyrzutów sumienia?

Buckingham spojrzał wyniośle na młodzieńca.

- Hm, mój panie, zadajesz mi dziwne pytania. Zapewne sądzisz, że jestem dość naiwny, by na nie odpowiadać?

- Odpowiedz, książę - rzekł Felton. - Sytuacja jest poważniejsza, niż przypuszczasz,

Buckingham pomyślał, że młody człowiek przybywający z polecenia lorda Wintera mówi zapewne w jego imieniu, i złagodniał.

- Bez najmniejszych wyrzutów - powiedział. - I baron wie równie dobrze jak ja, że lady Winter jest wielką zbrodniarką; ograniczenie kary do zesłania należy poczytywać niemal za łaskę.

Książę dotknął piórem papieru.

- Nie podpiszesz tego rozkazu, milordzie! - rzekł Felton postępując krok w stronę księcia.

- Nie podpiszę tego rozkazu? - rzekł Buckingham - a to dlaczego?

- Zajrzysz bowiem w głąb swej duszy i wymierzysz sprawiedliwość Milady.

- Wymierzyłbym jej sprawiedliwość wysyłając ją do Tybum – rzekł Buckingham. - Milady jest zbrodniarką.

- Wasza Wysokość, Milady jest aniołem, wiem o tym dobrze, i żądam, byś jej zwrócił wolność.

- Ach tak! - rzekł Buckingham. - Czy jesteś szalony, że przemawiasz do mnie w ten sposób?

- Wybacz mi, milordzie; mówię, jak mogę, staram się panować nad sobą. Pomyśl wszakże, milordzie, co chcesz zrobić, i miej się na baczności, byś nie przebrał miary!

- Co?... Niechaj mu Bóg wybaczy, ale zdaje się, że on mi grozi! – zawołał Buckingham.

- Nie, milordzie, proszę jeszcze i powiadam ci: wystarczy kropla, by przepełnić kielich, drobne przekroczenie, by ściągnąć karę na głowę oszczędzaną mimo tylu zbrodni.

- Mości Feltonie - rzekł Buckingham - wyjdiesz stąd i natychmiast oddasz się w ręce straży.

- Wysłuchasz mnie do końca, milordzie. Uwiodłeś tę młodą dziewczynę, zgwałciłeś ją, skaląłeś; napraw swe zbrodnie wobec niej, pozwól jej odejść wolno, a nie będę od ciebie żądał nic więcej.

- Nie będziesz żądał więcej! - zawołał Buckingham patrząc na Feltona ze zdumieniem i akcentując każdą sylabę.

- Milordzie - ciągnął Felton popadając w coraz większe podniecenie, w miarę jak mówił - milordzie, miej się na baczności. Anglia jest już zmęczona twymi występkami; milordzie, nadużyłeś władzy królewskiej, uzurpowałeś ją sobie niemal; milordzie, jesteś wstrętny ludziom i Bogu; Bóg ukarze cię później, ale ja ukarzę cię dzisiaj.

- Ach, tego już nadto! - krzyknął Buckingham idąc ku drzwiom.

Felton zastąpił mu drogę.

- Proszę cię pokornie, książę - rzekł - podpisz rozkaz o uwolnienie lady Winter; pamiętaj, że to kobieta, którą zbeszcześciłeś.

- Z drogi, mości panie - powiedział Buckingham - bo inaczej wezwę ludzi i każę cię zakuć w

kajdany.

- Nie wezwiesz, książę - rzekł Felton, rzucając się pomiędzy Buckingham a dzwonek stojący na stoliku inkrustowanym srebrem. - Uważaj, milordzie, jesteś w rękach Boga.

- W rękach diabła, chciałeś powiedzieć! - zawołał Buckingham podnosząc umyślnie głos, by ściągnąć ludzi, ale nie wzywając nikogo po imieniu.

- Podpisz, milordzie, podpisz rozkaz uwolnienia lady Winter! - rzekł Felton podsuwając jakiś papier księciu.

- Siłą! Kpisz sobie chyba! Hola, Patrick!

- Podpisz, milordzie!

- Nigdy!

- Nigdy?

- Do mnie! - krzyknął książę i skoczył po szpadę.

Ale Felton nie pozostawił mu czasu na wyciągnięcie jej z pochwy: miał w pogotowiu obnażony nóż, którym zraniła się Milady; jednym susem był przy Buckinghamie.

W tej samej chwili wpadł do sali Patrick krzycząc:

- Milordzie, list z Francji!

- Z Francji! - zawołał Buckingham zapominając o wszystkim na myśl o tym, od kogo ten list pochodzi.

Felton skorzystał z chwili i wbił nóż w bok po samą rękojeść...

- Ach, zdrajco! - krzyknął Buckingham - zabiłeś mnie...

- Chwytać mordercę! - zawołał Patrick.

Felton rozejrzał się dokoła i widząc wolne drzwi rzucił się do sąsiedniego pokoju, gdzie, jak powiedzieliśmy, czekali deputowani z La Rochelle; przebiegł ten pokój i wpadł na schody; ale na pierwszym stopniu spotkał lorda Wintera, który widząc, że młodzieniec jest blady, nieprzytomny, z plamami krwi na rękach i na twarzy, rzucił się na niego wołając:

- Wiedziałem, odgadłem o minutę za późno! O, ja nieszczęsny, nieszczęsny!

Felton nie stawiał oporu; lord Winter oddał go w ręce straży, która zaprowadziła młodzieńca na taras z widokiem na morze; miał tam czekać, aż nadejdą nowe rozkazy. Lord Winter wszedł do gabinetu Buckinghamama.

Na krzyk księcia i wołanie Patricka człowiek, którego Felton spotkał w przedpokoju, pośpieszył do gabinetu.

Zastał księcia leżącego na kanapie; ścisnął ranę skurczoną dłonią.

- La Porte - rzekł książę gasnącym głosem - La Porte, czy przychodzisz w jej

imieniu?

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział wiemy sługa Anny Austriaczki - choć może za późno.

- Ciszej, La Porte! Mogą cię usłyszeć. Patrick, nie wpuszczaj tu nikogo; och, nie będę wiedział, co kazała mi powiedzieć! Mój Boże; umieram!

I książę zemdlął.

Tymczasem lord Winter, deputowani, dowódcy, przyboczni oficerowie Buckinghamama wpadli do jego pokoju; zewsząd rozbrzmiewały rozpaczliwe okrzyki. Nowina napłeniła pałac jękami i bólem, i wkrótce rozeszła się po całym mieście.

Wystrzał armatni oznajmił, że zdarzyło się coś nowego i nieoczekiwanego.

Lord Winter wrywał sobie włosy z głowy.

- Za późno o minutę! - wołał. - Za późno o minutę! O, mój Boże, mój Boże, jakie nieszczęście!

O siódmej rano doniesiono mu, że sznurowa drabinka zwisa z okna zamku; pobiegł natychmiast do pokoju Milady; pokój był pusty, okno otwarte i kraty przepiłowane. Przypomniał sobie ostrzeżenie,

jakie mu przesłał d'Artagnan przez swego służącego, i zadrżał o życie księcia. Wpadł do stajni i nie czekając, aż osiodłają jego konia, wskoczył na pierwszego z brzegu i pomknął galopem, zgięty na karku końskim; zostawił konia na dziedzińcu, szybko wbiegł na schody i na pierwszym stopniu, jak powiedzieliśmy, spotkał Feltona.

Jednakże książę żył; wrócił do przytomności, otworzył oczy i nadzieja wstąpiła we wszystkie serca.

- Panowie - rzekł - zostawcie mnie samego z Patrickiem i La Porte'em. - Ach, to ty, Winter! Przystąpiłeś mi dziś rano szczególnego szaleńca, zobacz, co ze mną zrobił.

- O, milordzie! - zawołał baron. - Nie pocieszę się nigdy.

- Nie masz racji, mój drogi Winter - odparł Buckingham wyciągając do niego rękę. - Nie znam człowieka, który zasługuje na to, by drugi człowiek opłakiwał go przez całe życie; ale zostaw nas, proszę.

Baron wyszedł szlochając.

W gabinecie został tylko ranny książę, La Porte i Patrick.

Szukano medyka, którego nie można było znaleźć.

- Będziesz żył, milordzie, będziesz żył - powtarzał wiemy sługa Anny Austriaczki klęcząc przy kanapie.

- Cóż ona mi pisze? - rzekł słabym głosem Buckingham, cały brocząc krwią i okrutnym cierpieniem płacąc za każde słowo wypowiedziane o tej, którą kochał. - Co mi pisze? Przeczytaj mi jej list.

- O milordzie! - jęknął La Porte.

- Usłuchaj, La Porte; czy nie widzisz, że nie mam czasu do stracenia?

La Porte złamał pieczęć i podsunął pergamin pod oczy księcia; ale Buckingham na próżno usiłował rozpoznać litery.

- Czytaj, czytaj - powiedział - nie widzę już nic; czytaj wreszcie, może wkrótce nie będę słyszał i umrę nie wiedząc, co mi napisała.

La Porte nie sprzeciwiał się już i przeczytał:

„Milordzie!

Jeśli dbasz o mój spokój, zaklinam Cię na wszystko, co wycierpiałam od chwili, gdy Cię znam, dla Ciebie i przez Ciebie, abyś przerwał wszelkie zbrojenia przeciw Francji i zaniechał wojny, o której mówi się głośno, że jej przyczyną jest religia, a cicho, że Twoja miłość do mnie. Ta wojna może nie tylko sprowadzić na Francję i Anglię wielkie klęski, ale i Tobie, Milordzie, przynieść nieszczęście, po którym nie znajdę pocieszenia.

Strzeż swego życia, które jest zagrożone i które będzie mi droższe od chwili, kiedy nie będę musiała widzieć w Tobie wroga.

Oddana ci

Anna”

Buckingham zebrał resztę sił, by wysłuchać tego listu; potem, kiedy lektura była skończona, zapytał jakby list przyniósł mu gorzkie rozczarowanie.

- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia, La Porte?

- Tak, Wasza Wysokość: królowa kazała ci powiedzieć, byś miał się na baczności, ponieważ ostrzegano ją, że chcą księcia zamordować.

- I to wszystko, to wszystko? - zapytał Buckingham niecierpliwie.

- Kazała mi jeszcze powiedzieć, że będzie cię kochać zawsze.

- Ach - rzekł Buckingham - dzięki Bogu! Więc moja śmierć nie będzie dla niej śmiercią obcego człowieka!...

La Porte zalał się łzami.

- Patrick - rzekł książę. - Przynieś mi szkatułkę, w której były diamentowe spinki.

Patrick przyniósł szkatułkę i La Porte poznał ten przedmiot należący do królowej.

- A teraz torebkę z białego atlasu, na której są jej inicjały wyhaftowane perłami.

Patrick usłuchał.

- Weź, La Porte - rzekł Buckingham. - Oto jedyne podarki, jakie otrzymałem od niej: ta srebrna szkatułka i te dwa listy. Oddasz je Jej Królewskiej Mości, a jako ostatnią pamiątkę... - szukał wokół siebie oczami jakiegoś cennego przedmiotu - dodasz...

Książę szukał wciąż jeszcze; ale jego spojrzenie zamącone przez śmierć nie mogło odnaleźć nic prócz noża, który wypadł z rąk Feltona i dymił jeszcze purpurową krwią.

- Dodasz ten nóż - rzekł ściskając rękę La Porte'a.

Zdołał jeszcze włożyć torebkę do srebrnej szkatułki i wrzucił do niej nóż, dając znak La Porte'owi, że nie może już mówić; potem w ostatnich drgawkach, których tym razem nie miał już siły pokonać, spadł z kanapy na podłogę.

Patrick krzyknął przeraźliwie.

Buckingham chciał się uśmiechnąć po raz ostatni, ale śmierć przecięła pasmo jego myśli; ostatnia pozostała wyryta na czole niczym pocałunek miłosny.

W tej chwili medyk księcia przybiegł zadyszany; był na pokładzie admiralskiego okrętu i musiano go aż stamtąd sprowadzić.

Zbliżył się do księcia, ujął jego rękę i trzymał przez chwilę w swojej, po czym wypuścił.

- Nic tu już nie pomoże; nie żyje.

- Nie żyje, nie żyje! - zawołał Patrick,

Na ten okrzyk tłum wpadł do sali: zapanowało powszechne przerażenie i zamęt.

Gdy tylko książę wyzionął ducha, lord Winter pobiegł do Feltona, który znajdował się pod strażą żołnierzy na tarasie pałacu.

- Nędzniku! - zawołał do młodzieńca, który po śmierci Buckinghama odzyskał znów spokój i zimną krew, nie mające go odtąd opuszczać. - Nędzniku, co uczyniłeś?

- Pomściłem się - rzekł.

- Ty! - zawołał baron. - Powiedz, że byłeś narzędziem w rękach tej przeklętej kobiety; ale przysięgam ci, ta zbrodnia będzie jej zbrodnią ostatnią.

- Nie wiem, co pan chce powiedzieć - rzekł spokojnie Felton - i nie wiem, o kim mówisz; zabiłem księcia Buckinghama, ponieważ dwukrotnie odmówił ci mianowania mnie kapitanem; ukarałem go za niesprawiedliwość, oto wszystko.

Winter osłupiały patrzył na ludzi, którzy nakładali więzy Feltonowi, nie wiedząc, co myśleć o podobnej zatwardziałości.

Jedna myśl tylko chmurzyła czyste czoło Feltona. Przy każdym odgłosie naiwny purytanin łudził się, że słyszy głos i krok Milady, która przybywa, by rzucić się w jego ramiona, wziąć na siebie winę i zginąć z nim razem.

Nagle zadrżał, oko jego spoczęło na jakimś punkcie na morzu, morze bowiem widoczne było z tarasu; w przedmiocie, który ktoś inny wziąłby za mewę kołyszącą się na falach, orlim spojrzeniem marynarza rozpoznał żagiel statku, zmierzającego ku brzegom Francji.

Zbladł, podniósł ręce do serca, które pękało, i zrozumiał całą zdradę.

- Ostatnia łaska, milordzie - rzekł do barona.

- Czego chcesz? - zapytał baron.

- Która jest godzina?

Baron wyciągnął zegarek.

- Za dziesięć dziewiąta - rzekł.

Milady przyspieszyła swój wyjazd o półtorej godziny; zaledwie usłyszała wystrzał armatni, który zwiastował straszliwą nowinę, kazała podnieść kotwicę.

Barka płynęła pod niebieskim niebem w wielkiej odległości od brzegu.

- Bóg tak chciał - rzekł z rezygnacją fanatyka, nie mogąc wszakże oderwać oczu od statku; zdawało się, że dostrzega na pokładzie białe widmo tej, dla której poświęcił życie.

Winter widział jego spojrzenie, domyślił się, jak cierpi, i zrozumiał wszystko.

- Bądź naprzód ukarany sam, nędzniku - rzekł do Feltona, który wciąż wodził oczyma po morzu. - Ale przysięgam ci na pamięć mego brata, którego tak kochałem, że twoja współniczka nie jest ocalona.

Felton opuścił głowę nie mówiąc ani słowa.

Lord Winter zszedł szybko ze schodów i udał się do portu.

XXX.

WE FRANCJI

Na wiadomość o tej śmierci król Anglii, Karol I, przeląkł się, że straszliwa nowina odbierze ducha rozszelczykom i, jak pisze Richelieu w swoich „Pamiętnikach”, próbował ją ukryć przed nimi możliwie najdłużej; wydał rozkaz zamknięcia portów w całym królestwie, baczył pilnie, by żaden statek nie odpłynął z Anglii, zanim nie odpłynie armia Buckingham, a ponieważ nie stało Buckingham, sam czuwał nad jej odjazdem.

Surowość tego rozkazu posunął tak daleko, że zatrzymał w Anglii posłów Danii, którzy już pożegnali Jego Królewską Mość, i ambasadora zwyczajnego Holandii, który miał towarzyszyć do portu Flessingen statkom z Indii: Karol I zwracał je Zjednoczonym Prowincjom.

Ponieważ jednak ów rozkaz wydał w pięć godzin po wypadku, to znaczy o drugiej po południu, dwa statki wypłynęły z portów; jeden zabrał, jak wiemy, Milady, której podejrzenia na widok czarnej chorągwi na maszcie okrętu admirałskiego zamieniły się w pewność.

Jeśli idzie o drugi statek, powiemy później, kogo wiozł i jak odpłynął.

Tymczasem w obozie pod La Rochelle nie zaszło nic nowego, tylko król, który nudził się potężnie jak zawsze, a w obozie bardziej może niż gdzie indziej, postanowił udać się incognito na święto św. Ludwika do Saint-Germain i zażądał od kardynała eskorty złożonej z dwudziestu muszkietarów. Kardynał, któremu udzielała się niekiedy nuda Jego Królewskiej Mości, z wielką przyjemnością udzielił urlopu swemu dostojnemu adiutantowi, który przyrzekł powrócić około 15 września.

Pan de Treville, uprzedzony przez Jego Eminencję, przygotował się do drogi, a ponieważ wiedział, jak bardzo jego przyjaciele pragną, a nawet muszą powrócić do Paryża, choć nie znał powodów, przydzielił ich, rzecz prosta, do eskorty.

Czterej młodzieńcy dowiedzieli się o tym w kwadrans po panu de Treville, im bowiem pierwszym rzecz oznajmił. Dopiero wówczas d'Artagnan ocenił w pełni fawor kardynała, który przydzielił go do muszkietarów; gdyby nie to, musiałby zostać w obozie sam, a jego przyjaciele odjechaliby.

Nie trzeba mówić, że niecierpliwe pragnienie powrotu do Paryża tłumaczyło niebezpieczeństwo, zagrażające pani Bonacieux, gdyby w klasztorze w Bethune spotkała się z Milady, swoją śmiertelną nieprzyjaciółką. Toteż, jak powiedzieliśmy, Aramis napisał natychmiast do Marii Michon, owej bieliźniarki z Tours, która miała tak piękne znajomości; miała uzyskać u królowej pozwolenie, umożliwiające pani Bonacieux wyjazd z Béthune do Lotaryngii lub Belgii.

Odpowiedź nie dała na siebie długo czekać i w jakie dziesięć dni potem Aramis otrzymał następujący list:

„Drogi kuzynie!

Przesyłam ci zezwolenie siostry na wyjazd naszej pokojówki z klasztoru w Bethune, gdzie, jak sądzisz, powietrze jest dla niej niezdrowe. Siostra czyni to z wielką przyjemnością, jako że ta dziewczyna jest jej bardzo miła; w przyszłości nie wypuści jej spod swej opieki.

Ściskam cię

Maria Michon”

Do tego listu było dołączone zezwolenie takiej treści:

„Przeorysza klasztoru w Bethune zezwoli wyjechać z oddawcą niniejszego nowicjusze, która wstąpiła do klasztoru z mojego polecenia i pozostaje pod moją opieką.

Luwr, 10 sierpnia 1628”

Jest rzeczą zrozumiałą, że związki krwi między Aramisem a bieliźniarką, która nazywała królową swą siostrą, bardzo ubawiły młodzieńców; ale Aramis zaczerwienił się kilka razy po uszy na grube żarty Portosa, poprosił przyjaciół, by nie powracali więcej do tego tematu, i oświadczył, że jeśli powiedzą jeszcze słowo, nie będzie korzystał z usług swej kuzynki jako pośredniczki.

Toteż czterej muszkietierowie nie mówili już więcej o Marii Michon. Uzyskali już zresztą to, co chcieli: rozkaz zabrania pani Bonacieux z klasztoru w Bethune, Co prawda, ten rozkaz nie na wiele im się przydał, skoro byli w obozie pod La Rochelle, to znaczy na drugim końcu Francji; d'Artagnan wybierał się właśnie do pana de Tróville, by prosić go o urlop, nie ukrywając przed nim ważności tego

wyjazdu, kiedy dowiedział się, tak samo jak trzej jego towarzysze, że król udaje się do Paryża z eskortą złożoną z dwudziestu muszkietierów i że oni należą do tej eskorty.

Radość była wielka. Wysłali naprzód służących z bagażami, sami zaś wyruszyli nazajutrz.

Kardynał odprowadzał Jego Królewską Mość z Surgeres do Mauze; tu król i jego minister pożegnali się ze wszelkimi oznakami wielkiej przyjaźni.

Król spragniony rozrywek jechał, jak mógł najszybciej, chciał bowiem być w Paryżu dwudziestego trzeciego, jednak zatrzymywał się od czasu do czasu, by zapolować na srokę; tej zabawy nauczył go de Luyes i ogromnie ją lubił.

Spośród dwudziestu muszkietierów szesnastu miało z tego wielką uciechę; ale czterem było to nie w smak. Zwłaszcza d'Artagnanowi, który skarżył się na nieustanne dzwonienie w uszach, co Portos tak wyjaśniał:

- Wiem od pewnej wielkiej damy, że takie dzwonienie znaczy, iż mówią gdzieś o tobie.

Wreszcie eskorta wjechała do Paryża dwudziestego trzeciego nocą. Król podziękował panu de Treville i pozwolił mu zwolnić kilku muszkietierów na cztery dni; zagroził jednak, że za ukazanie się w miejscu publicznym czeka każdego z nich Bastylia.

Jak można się domyślić, pierwsze cztery zwolnienia zostały przyznane naszym czterem przyjaciołom. Co więcej, Atos uzyskał od pana de Treville sześć dni zamiast czterech i dodał jeszcze do tego dwie noce, wyjeżdżali bowiem dwudziestego czwartego o piątej po południu i przez uprzejmość pan de Treville postawił datę dwudziestego piątego.

- Ach, mój Boże - mówił d'Artagnan, który, jak wiemy, nie popadał nigdy w zwątpienie. - Zdaje mi się, że robimy wiele zamieszania, gdy rzecz jest bardzo prosta: w dwa dni, zajeżdżając na śmierć dwa lub trzy konie (mało mnie to obchodzi; mam pieniądze), jestem w Bsthune, oddaję przeorowsy list królowej, zabieram mój drogi skarb nie do Lotaryngii ani do Belgii, lecz do Paryża, który wydaje mi się najlepszym miejscem, zwłaszcza teraz, kiedy pan kardynał jest pod La Rochelle. Potem, kiedy powrócę z kampanii, królowa uczyni dla nas wszystko, czego zechcemy, czy dzięki wstawiennictwu swej kuzynki, czy ze względu na nasze osobiste zasługi. Zostańcie więc tutaj, nie męczcie się niepotrzebnie; zupełnie wystarczy, jeśli wyruszymy we dwóch z Planchetem. Zadanie jest proste.

Na to Atos odparł spokojnie:

- My także mamy pieniądze; nie przepiłem jeszcze dotychczas wszystkiego, co miałem z diamentu, a Portos i Aramis jeszcze tego nie przejedli. Możemy więc równie dobrze zajeździć cztery konie jak jednego. Ale pomyśl, d'Artagnanie - dodał głosem tak ponurym, że młodzieniec zadrżał - pomyśl, że w Bethune kardynał wyznaczył spotkanie kobiecie, która, gdziekolwiek się znajdzie, sprowadza nieszczęście. Gdybyś miał do czynienia z czterema mężczyznami, pozwoliłbym ci jechać samemu; ale masz do czynienia z tą kobietą, jedźmy więc wszyscy czterej i daj Bóg, żeby wraz ze służącymi było nas dość.

- Przerażasz mnie, Atosie!- zawołał d'Artagnan.- Mój Boże! Czegóż się więc obawiasz?

- Wszystkiego! - odparł Atos.

D'Artagnan przyjrzał się twarzom towarzyszy, na których, podobnie jak na twarzy Atosa, malował się głęboki niepokój, i jechali dalej galopem, ale w zupełnym milczeniu.

Dwudziestego piątego wieczorem wjeżdżali właśnie do Arras i d'Artagnan zsiadł z konia przed oberżą „Pod Złotą Kratą”, by napić się wina, gdy jakiś jeździec wyjechał cwałem z dziedzińca pocztowego, gdzie zmieniał konia, kierując się na świeżym wierzchowcu w stronę Paryża. W chwili gdy wyjeżdżał

z bramy na ulicę, wiatr rozchylił płaszcz, który miał na sobie, choć był sierpień, i poderwał mu z głowy kapelusz; podróżny przytrzymał go ręką i nasunął szybko na oczy.

D'Artagnan, który patrzył uważnie na jeźdźca, zbladł mocno i wypuścił szklanekę z ręki.

- Co panu? - zapytał Planchet. - O, panowie, panowie, mój pan zasłabł!

Trzej przyjaciele pośpieszyli na wezwanie, ale d'Artagnan, bynajmniej nie chory, biegł do swego konia. Zatrzymali go na progu.

- Hola, gdzie tak pędzisz, u licha? - krzyknął do niego Atos.

- To on! - zawołał d'Artagnan blady ze złości, z czołem mokrym od potu. – To on, puście mnie!

- Ale kto, kto^ - zapytał Atos.

- On, ten człowiek!

- Jaki człowiek?

- Przeklęty człowiek, mój zły duch, którego zawsze spotykam, gdy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo; ten sam, co towarzyszył tej strasznej kobiecie, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, ten sam, którego ścigałem, kiedy potrafiłem naszego przyjaciela Atosa, ten którego widziałem owego ranka, gdy pani Bonacieux została porwana! Widziałem go, to on! Gdy wiatr rozchylił mu płaszcz, rozpoznałem go!

- Do kroćset! - rzekł Atos w zamyśleniu.

- Na koń, panowie, na koń! Jedźmy za nim, dopadniemy go jeszcze.

- Mój drogi - rzekł Aramis - pamiętaj, że jedzie w kierunku przeciwnym niż my; że ma wypoczętego konia, gdy nasze są zmęczone; że konie nam padną, a mimo to nie dościgniemy go. Zostawmy mężczyznę, d'Artagnanie, ratujmy kobiety.

- Hola, panie! - zawołał chłopak stajenny w ślad za nieznanym. - Hola, panie! Oto papier, który wypadł panu z kapelusza! Panie, panie!

- Mój przyjacielu - rzekł d'Artagnan - pól pistola za ten papier.

- Ależ z przyjemnością, panie. Proszę.

Stajenny, bardzo zadowolony z interesu, wrócił na podwórze oberży, d'Artagnan rozwinął papier.

- I co? - zapytali trzej przyjaciele otaczając go.

- Tylko jedno słowo! - powiedział d'Artagnan.

- Tak - rzekł Aramis - ale to nazwa wsi lub miasta.

- Armentieres - przeczytał Portos. - Armentieres - nie znam takiej miejscowości.

- Ta nazwa miasta czy wsi jest napisana jej ręką! - zawołał Atos.

- Schowajmy starannie ten papier - rzekł d'Artagnan. - Może nie dałem za darmo ostatniego pistola. Na koń, przyjaciele, na koń!

I czterej przyjaciele puścili się galopem drogą wiodącą do Bethune.

XXXI.

KLASZTOR KARMELITANEK W BETHUNE

Wielkim zbrodniarzom sprzyja los pozwalając pokonać im wszystkie przeszkody, wymknąć się wszelkim niebezpieczeństwom aż do chwili, kiedy znużona Opatrzność kładzie kres ich bezbożnemu szczęściu.

Tak było z Milady: wyminęła krążowniki dwóch narodów i wylądowała w Boulogne bez żadnego wypadku.

Na statek w Portsmouth Milady wsiadła jako Angielka, którą prześladowania we Francji wygnały z La Rochelle; gdy po dwóch dniach podróży wylądowała w Boulogne, podawała się za Francuzkę, która uciekła z Portsmouth od Anglików, nienawidzących Francji.

Milady miała zresztą najlepszy paszport: urodę, wielkopańskie wzięcie i szczodłą rękę. Zwolniona ze zwykłych formalności dzięki uprzejmemu uśmiechowi i dwornym manierom starego gubernatora, który ucałował jej dłoń, pozostała w Boulogne po to tylko, by oddać na pocztę list, który brzmiał, jak następuje:

„Do Jego Eminencji, kardynała de Richelieu, obóz pod La Rochelle.

Wasza Dostojność może być spokojny: Jego Wysokość książę Buckingham nie wyruszy do Francji.

Boulogne, 25 wieczorem.

Milady

PS. Zgodnie z życzeniami Waszej Eminencji udaję się do klasztoru karmelitanek w Bethune, gdzie czekam na rozkazy”.

Tego samego wieczora Milady wyruszyła w drogę. Noc zaskoczyła ją w podróży; zatrzymała się i przenocowała w oberży, a nazajutrz o piątej rano ruszyła dalej. W trzy godziny później była w Bethune.

Kazała sobie wskazać klasztor karmelitanek i udała się tam natychmiast.

Wyszła do niej przeorysza. Milady pokazała jej rozkaz kardynała; przeorysza wyznaczyła jej pokój i poleciła podać śniadanie.

Cała przeszłość zatarła się już w oczach Milady; patrzyła w przyszłość i widziała przed sobą tylko

wspaniały los, jaki przeznaczył jej kardynał, któremu tak wybornie się przysłużyła, choć imię Jego Dostojności nie było wmieszane do tej krwawej sprawy. Pochłaniające ją wciąż nowe namiętności dawały jej życiu podobieństwo do chmur, które przebiegają po niebie odbijając to lazur, to płomień, to znów gęstą czerń i pozostawiając po sobie na ziemi jako jedyne ślady zniszczenie i śmierć.

Po śniadaniu odwiedziła ją przeorysza; w klasztorze jest niewiele rozrywek i pocziwa matka pośpieszyła zawrzeć znajomość z nową mieszkanką.

Milady chciała się spodobać przeoryszy. Było to rzeczą łatwą dla tej zaiste niezwykłej kobiety; chciała być uprzejma: była czarująca, i zjednała sobie zacną przeoryszą ciekawą rozmową i wdziękiem osobistym.

Przeorysza, wywodząca się ze szlachty, lubiła nade wszystko dworskie ploteczki tak rzadko dochodzące na krańce królestwa i z tak wielkim trudem przedostające się przez mury klasztorne; przed progiem klasztoru ucicha bowiem zgiełk świata.

Milady znała wszystkie arystokratyczne intrygi, wśród nich przecież od sześciu lat stale żyła; opowiedziała więc zacnej przeoryszy o światowych uciechach dworu francuskiego, nie zapominając o przesadnych praktykach religijnych króla, wyliczyła wszystkie historie miłosne kawalerów i dam dworu, których nazwiska przeorysza doskonale znała, wspomniała o romansie królowej i Buckinghamu, mówiąc wiele, by nie dopuścić przeoryszy do słowa.

Przeorysza zadowolona się słuchaniem i uśmiechami, a ponieważ Milady widziała, że opowiadanie bardzo ją bawi, ciągnęła dalej; tak rozmowa zesłała na kardynała.

Milady była w kłopotcie: nie wiedziała, czy przeorysza jest rojalistką, czy stronniczką kardynała, mówiła więc z umiarkowaniem, ale przeorysza ze swej strony zachowała jeszcze większą ostrożność, skłaniając głowę za każdym razem, kiedy podróżna wymawiała nazwisko Jego Eminencji.

Milady przypuszczała, że będzie się bardzo nudzić w klasztorze; postanowiła więc zaryzykować, by wiedzieć później, czego się trzymać. Chcąc wybadać, jak daleko posuwa się oględność pocziwej przeoryszy, zaczęła mówić źle o kardynale i najpierw w sposób zawoalowany, potem bardziej szczegółowo opowiedziała o jego romansach z panią d'Aiguillon, Marion de Lomie i kilku innymi damami z wielkiego świata.

Przeorysza słuchała z większą jeszcze uwagą, ożywiła się powoli i uśmiechała.

„Dobrze - rzekła sobie Milady - podoba jej się moja mowa; jeśli jest stronniczką kardynała, to w każdym razie nie można jej posądzić o fanatyzm w tym względzie”.

Zacząła tedy mówić, jak kardynał prześladowa swych wrogów. Przeorysza uczyniła tylko znak krzyża ani potakując, ani przecząc.

To utwierdziło Milady w przekonaniu, że zakonnica jest raczej rojalistką.

Milady ciągnęła dalej, wciąż wzbogacając materię.

- Niewiele wiem o tych wszystkich sprawach - rzekła wreszcie przeorysza. - Ale choć jesteśmy oddalone od życia dworskiego i obce są nam sprawy świeckie, mamy smutne przykłady tego, o czym pani opowiada; jedna z mieszkanek naszego klasztoru bardzo wycierpiała od zemsty i prześladowań Jego Eminencji.

- Jedna z mieszkanek tego klasztoru! - powiedziała Milady. - O, mój Boże, biedna kobieta, żal mi jej!

- I ma pani rację, bo też trzeba jej żałować; więzienie, groźby, złe obejście - niczego jej nie oszczędzono. Ale pan kardynał miał może słuszne powody, by postępować w ten sposób, i choć ona wygląda na anioła, nie trzeba sądzić ludzi z pozoru.

„Dobrze - pomyślała sobie Milady. - Kto wie, może czegoś się tu dowiem, szczęście mi dziś sprzyja”.

I postarała się nadać swej twarzy wyraz doskonałej niewinności.

- Niestety - rzekła - wiem o tym; powiada się, że nie należy sądzić z pozoru, ale czemu zaufać, jeśli nie najpiękniejszemu dziełu Stwórcy! Co do mnie, będę się mylić, może przez całe życie, ale zaufam osobie, której twarz wzbudzi we mnie sympatię.

- Mniema więc pani - spytała przeorysza - że ta młoda kobieta jest niewinna?

- Pan kardynał karze nie tylko zbrodnie - odpowiedziała. - Niektóre cnoty prześladowuje jeszcze surowiej.

- Pozwól pani, że wyrażę ci swe zdumienie - rzekła przeorysza.

- Z jakiego powodu? - zapytała Milady z naiwnością.

- Ależ z powodu tego, co pani mówi.

- Cóż matka przełożona widzi w tym zdumiewającego? - zapytała Milady z uśmiechem.

- Jesteś pani przyjaciółką kardynała, skoro przysyła cię tutaj, a jednak...

- A jednak mówię o nim źle - rzekła Milady kończąc myśl przeoryszy.
- W każdym razie nie mówisz o nim dobrze.
- Ponieważ nie jestem jego przyjaciółką - rzekła z westchnieniem - lecz jego ofiarą.
- Ale ten list, w którym kardynał panią mi poleca?...
- To rozkaz dla mnie, mam tu pozostać niby w więzieniu, aż każe mnie stąd zabrać swoim ludzior.
- Ale dlaczego pani nie uciekła?
- Dokąd pójde? Czy matka sądzi, że jest takie miejsce na ziemi, gdzie nie dosięgnie mnie kardynał, jeśli zechce zadać sobie trud i wyciągnąć rękę! Gdybym była mężczyzną, byłoby to jeszcze możliwe; ale kobieta, co ma uczynić kobieta? Czy ta młoda dama próbowała uciekać?
- Nie, w samej rzeczy; ale z nią rzecz ma się inaczej. Przypuszczam, że we Francji zatrzymuje ją miłość.
- Jeśli kocha, nie jest zupełnie nieszczęśliwa - powiedziała Milady z westchnieniem.
- A zatem - rzekła przeorysza patrząc na Milady z rosnącym zainteresowaniem - znowu widzę prześladowaną istotę?
- Niestety, tak! - powiedziała Milady.

Przeorysza spoglądała przez chwilę na Milady z niepokojem, jakby nowa myśl przyszła jej do głowy.

- Ale pani nie jest nieprzyjaciółką naszej świętej wiary? - wyjąkała.
- Ja! - zawołała Milady - ja miałabym być protestantką! O, nie, biorę na świadka Boga, który nas słyszy, że jestem gorliwą katoliczką.
- W takim razie - rzekła przeorysza z uśmiechem - bądź dobrej myśli, pani; dom, w którym jesteś, nie będzie zbyt ciężkim więzieniem i uczynimy wszystko, co trzeba, by uprzyjemnić ci pobyt. Co więcej, znajdziesz tu pani młodą kobietę, prześladowaną zapewne na skutek jakiejś intrygi dworskiej. Jest miła i pełna wdzięku.
- Jak się nazywa?
- Została mi polecona przez wysoko postawioną osobę jako Ketty. Nie próbowałam dowiedzieć się, czy nosi jakieś inne imię.
- Ketty! - zawołała Milady. - Jak to! Czy matka jest pewna?...

- Ze każe się tak nazywać? Tak, pani; czy pani ją zna?

Milady uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, że młoda kobieta jest może jej dawną pokojówką. Ze wspomnieniem tej dziewczyny łączyło się uczucie gniewu; pragnienie zemsty zmieniło twarz Milady, ale w chwilę potem ta kobieta o stu twarzach przybrała znów wyraz życzliwości i spokoju.

- A kiedyż będę mogła ujrzeć tę młodą kobietę, dla której czuję już wielką sympatię? - zapytała Milady.

- Dziś wieczór - odparła przeorysza - albo za dnia nawet. Powiedziałaś mi, pani, że podróżujesz od czterech dni; dziś rano wstałaś o piątej, trzeba ci więc odpoczynku. Niech się pani położy i wyśpi, zbudzimy panią w porze kolacji.

Choć Milady mogła doskonale obejść się bez snu, podtrzymywało ją bowiem podniecenie wywołane nową przygodą (serce miała wiecznie głodne intryg), poszła jednak za radą przeoryszy; od kilkunastu dni zaznała tak wiele, że jeśli jej żelazne ciało mogło jeszcze znieść zmęczenie, dusza potrzebowała odpoczynku.

Pożegnała przeoryszę i położyła się do łóżka, słodko kołysana myślą o zemście, którą obudziło w niej imię Ketty. Przypomniała sobie obietnicę kardynała, tak wiele pozwalającą się spodziewać, jeśli uda się przedsięwzięcie. Udało się, d'Artagnan należał do niej!

Przerażało ją tylko jedno wspomnienie, wspomnienie męża; hrabia de La Fere, o którym sądziła, że nie żyje lub przynajmniej nie mieszka we Francji, to Atos, najlepszy przyjaciel d'Artagnana.

Jeśli był przyjacielem d'Artagnana, pomagał mu bez wątpienia we wszystkich poczynaniach, dzięki którym królowa przekreśliła projekty Jego Eminencji; jeśli był przyjacielem d'Artagnana, był wrogiem kardynała. Ale na pewno potrafi Atosa tak uwikłać, że mszcząc się na młodym muszkietrze i na nim się zemści za jednym zamachem.

Wszystkie te nadzieje były Milady słodkie; jakoż, ukołysana nimi, zasnęła wkrótce.

Zbudził ją łagodny głos dochodzący od stóp łóżka. Otworzyła oczy i ujrzała przeoryszę w towarzystwie młodej kobiety o jasnych włosach i delikatnej cerze, która patrzyła na nią spojrzeniem pełnym życzliwej ciekawości.

Twarz tej kobiety była jej zupełnie nie znana; wymieniając grzeczności obie przyjrzały się sobie z wielką uwagą; obie były piękne, ale każda w innym rodzaju. Jednakże Milady uśmiechnęła się widząc, że ma znaczną przewagę nad młodą kobietą, jeśli idzie o wzięcie i styl arystokratyczny. Co prawda habit nowicjuszki, jaki nosiła tamta, czynił walkę bardzo nierówną.

Przeorysza przedstawiła je sobie; potem, kiedy formalnościom stało się zadość, opuściła obie

kobiety, ponieważ obowiązki wzywały ją do kościoła.

Nowicjuszka widząc, że Milady leży, chciała wyjść wraz z przeoryszą, ale

Milady zatrzymała ją.

- Jakże to? - powiedziała - dopiero panią ujrzałam, a już chcesz mnie pani opuścić? Wyznam szczerze, liczyłam, że podczas mego pobytu będzie pani dotrzymywać mi towarzystwa.

- Chętnie - odparła nowicjuszka. - Obawiam się jednak, że przyszłam nie w porę; pani spała, pani jest zmęczona.

- Cóż miłszego nad przyjemne obudzenie? - rzekła Milady. - Pani je zawdzięczam, pozwól, że się nim nacieszę.

Wzięła ją za rękę i pociągnęła na fotel, który stał obok łóżka.

Nowicjuszka usiadła.

- Mój Boże - rzekła - jakże jestem nieszczęśliwa! Spędziłam tu sześć miesięcy, nie zaznawszy najmniejszej rozrywki; pani przyjeżdża, byłabyś dla mnie czarującą towarzyszką, i oto wedle wszelkiego prawdopodobieństwa lada chwila opuszczę klasztor!

- Jak to? - spytała Milady. - Pani wyjeżdża wkrótce?

- Przynajmniej mam nadzieję, że tak się stanie - rzekła nowicjuszka z akcentem radości, którego nie starała się bynajmniej ukryć.

- Dowiedziałam się, że wycierpiała pani wiele przez kardynała – ciągnęła Milady. - Byłby to jeszcze jeden powód do sympatii między nami.

- Więc nasza dobra matka powiedziała pani prawdę, pani jest również ofiarą tego niegodziwego kapłana?

- Pst! - rzekła Milady - nawet tu nie mówmy o nim w ten sposób; wszystkie moje nieszczęścia płyną z tego, że podobne słowa powiedziałam do kobiety, którą uważałam za swoją przyjaciółkę i która mnie zdradziła. Pani jest także ofiarą zdrady?

- Nie - powiedziała nowicjuszka - ale mego przywiązania do kobiety, którą kochałam, za którą oddałabym życie wówczas i dziś jeszcze.

- I ta kobieta opuściła cię, tak?

- Byłam dość niesprawiedliwa, żeby tak sądzić, ale od kilku dni mam dowody, że jest inaczej, i dziękuję Bogu; nie chciałabym uwierzyć, że o mnie zapomniała. Ale pani - ciągnęła nowicjuszka - pani jest wolna i gdybyś chciała uciec, zależałoby to tylko od ciebie.

- A dokąd mam się udać, bez przyjaciół, bez pieniędzy, zagubiona w tej części Francji, której nie znam, gdzie nigdy nie byłam?...

- O! - zawołała nowicjuszka - jeśli idzie o przyjaciół, znajdziesz ich pani wszędzie, gdzie się tylko pojawisz, wydajesz się tak dobra i jesteś tak piękna!

- Co nie przeszkadza bynajmniej - rzekła Milady z łagodnym uśmiechem, który przydawał jej twarzy anielskiego wyrazu - że jestem samotna i prześladowana.

- Posłuchaj - powiedziała nowicjuszka - nie trzeba tracić wiary w Opatrzność. Zawsze przychodzi taka chwila, kiedy dobro, które uczyniłaś, przemawia za tobą przed Bogiem; być może szczęście to dla pani, że spotkałaś mnie, choć jestem nikim i żadnej nie mam władzy; jeśli stąd wyjdę, stanie się to dzięki pomocy kilku potężnych przyjaciół, którzy ratując mnie, mogą również uratować ciebie.

- Och, skoro powiadam, że jestem sama - rzekła Milady mając nadzieję, że skłoni nowicjuskę do mówienia, jeśli będzie mówiła o sobie - to nie dlatego, że nie znam wysoko postawionych osób; ale ci ludzie sami drżą przed kardynałem; nawet królowa nie waży się występować przeciw straszemu ministrowi; mam dowody, że Jej Królewska Mość, choć ma tak dobre serce, niejedną raz musiała ustępować wydając Jego Eminencji osoby, których usług zaznała.

- Może się wydawać, że królowa je opuściła, ale nie trzeba wierzyć pozorom: im bardziej są one prześladowane, tym więcej myśli o nich królowa i często w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewają, widzą dowody jej serdecznej pamięci.

- Ach - rzekła Milady - wierzę w to! Królowa jest tak dobra.

- Och, więc znasz tę piękną i szlachetną panią, jeśli mówisz o niej w ten sposób! - zawołała nowicjuszka z zapałem.

- To znaczy - rzekła Milady, która posunęła się nieco zbyt daleko - nie mam szczęścia znać jej osobiście; ale znam jej najbliższych przyjaciół: znam pana de Putange, w Anglii poznałam pana Dujart, znam pana de Treville.

- Pana de Treville! - zawołała nowicjuszka - pani zna pana de Treville?

- Tak, oczywiście, znam go bardzo dobrze.

- Kapitana muszkieterów królewskich?

- Kapitana muszkieterów królewskich.

- O, zobaczy pani, wkrótce będziemy się znać świetnie, zostaniemy przyjaciółkami niemal; skoro pani zna pana de Treville, bywała pani u niego?

- Często! - rzekła Milady, która widząc, że kłamstwo wywarło pożądany skutek, postanowiła iść po tej drodze.

- Musiałaś zatem poznać niektórych jego muszkieterów?

- Wszystkich tych, których stale przyjmuje - odparła Milady, dla której rozmowa zaczęła stawać się coraz bardziej zajmująca.

- Wymień pani kilka nazwisk i zobaczymy, czy są to moi przyjaciele.

- Znam pana de Souyigny, pana de Courtivron, pana de Ferussac - powiedziała Milady z pewnym zakłopotaniem.

Nowicjuszka słuchała; potem, kiedy Milady umilkła, zadała jej pytanie:

- A czy nie zna pani szlachcica nazwiskiem Atos?

Milady zbladła jak prześcieradło, na którym leżała, i choć bardzo panowała nad sobą, nie mogła powstrzymać okrzyku; chwyciła za rękę młodą kobietę i pożerała ją spojrzeniem.

- Ach, co pani? O, mój Boże! - zapytała biedna kobieta. - Czy powiedziałam coś takiego, co panią zraniło?

- Nie, ale to nazwisko zaskoczyło mnie, ponieważ znam również tego szlachcica i wydało mi się szczególne znaleźć kogoś, kto zna go dobrze.

- O, tak, doskonale! I nie tylko jego, ale i jego przyjaciół, panów Portosa i Aramis.

- Doprawdy? Ja znam ich również! - zawołała Milady, która poczuła, jak chłód wstępuje w jej serce.

- Jeśli ich pani zna, powinna pani wiedzieć, że są zacni i uczciwi; dlaczego nie zwrócisz się do nich, jeśli ci trzeba pomocy?

- To znaczy - wyjąkała Milady - nie jestem blisko z żadnym z nich; znam ich, ponieważ dużo o nich słyszałam od ich przyjaciela, pana d'Artagnana.

- Znasz pana d'Artagnana! - zawołała nowicjuszka chwytając Milady za rękę i nie spuszczać z niej oka.

Potem, widząc dziwny wyraz oczu Milady, zapytała:

- Przepraszam panią, znasz go, co panią z nim łączy?

- Ależ - odparła Milady z zakłopotaniem - jestem jego przyjaciółką.

- Zwodzisz mnie, pani - rzekła nowicjuszka. - Byłaś jego kochanką.

- To pani nią była! - zawołała z kolei Milady.

- Ja! - rzekła nowicjuszka.

- Tak, pani; poznaję cię teraz; jesteś panią Bonacieux.

Młoda kobieta cofnęła się pełna zdumienia i lęku.

- Och, nie zaprzeczaj, odpowiedz - mówiła Milady.

- A więc tak, pani - rzekła - czy jesteśmy rywalkami?

Twarz Milady oświetlił tak dziki płomień, że w innej sytuacji pani Bonacieux uciekłaby przerażona; ale cała była pochłonięta zazdrością.

- Proszę, niech pani powie - rzekła pani Bonacieux z energią, o jaką nie można by jej podejrzewać. - Byłaś czy jesteś jego kochanką?

- O, nie! - zawołała Milady z zakłopotaniem, które nie dopuszczało wątpliwości. - Nigdy! Nigdy!

- Wierzę ci - powiedziała pani Bonacieux. - Ale czemu ten okrzyk?

- Jak to, więc pani nie rozumie? - rzekła Milady, która odzyskała już równowagę i spokój umysłu.

- Jakże mam rozumieć? Nic nie wiem.

- Nie rozumie pani, że pan d'Artagnan jest moim przyjacielem, że mi się zwierzał?

- Doprawdy?

- Nie rozumie pani, że wiem wszystko, wiem o twoim porwaniu z domku w Saint-Cloud, o jego rozpacz, rozpacz jego przyjaciół, ich bezcelowych poszukiwaniach od owej chwili! Jakże nie mam być zdumiona, kiedy nieoczekiwanie znalazłam ciebie, ciebie, o której mówiliśmy tak często, ciebie, którą kocha ze wszystkich sił duszy, ciebie, którą dzięki niemu pokochałam, zanim jeszcze cię

poznałam. O, droga Konstancjo, więc odnajduję cię wreszcie, widzę cię!

I Milady wyciągnęła ramiona do pani Bonacieux, a ona wierząc jej słowom widziała teraz w tej kobiecie, która przed chwilą wydała jej się rywalką, jedynie szczerą i oddaną przyjaciółkę.

- Och, wybacz mi, pani, wybacz! - zawołała padając jej w ramiona. - Tak go kocham!

Obie kobiety trwały przez chwilę w uścisku. Gdyby siły Milady były tak potężne, jak jej nienawiść, pani Bonacieux nie wyszłaby z tego uścisku żywa.

Ale nie mogąc jej zadusić, Milady uśmiechnęła się.

- O, moja śliczna, moja miła! - powiedziała Milady. - Jestem tak szczęśliwa, że cię widzę. Pozwól, że spojrzę na ciebie.

Mówiąc te słowa rzeczywiście pochłaniała ją wzrokiem.

- Tak, to ty. Ach, poznaję cię z jego opisu, poznaję doskonale.

Biedna kobieta nie mogła przypuszczać, jak okrutne myśli kryje to czyste czoło, te błyszczące oczy, z których można było wyczytać tylko zainteresowanie i współczucie.

- Więc wie pani, co wycierpiałam - rzekła pani Bonacieux - skoro ci powiedział, co sam wycierpiał; ale cierpieć dla niego to szczęście.

Milady powtórzyła machinalnie:

- Tak, to szczęście.

Myślała o czym innym.

- A zresztą moje męki się kończą; jutro, dziś może, zobaczę go i wówczas przeszłość nie będzie już istnieć.

- Dziś wieczór? Jutro? - zawołała Milady, która ocknęła się słysząc te słowa. - Co masz na myśli? Spodziewasz się jakich nowin od niego?

- Spodziewam się jego samego.

- Jego samego! D'Artagnan tutaj!

- On sam.

- Ale to niemożliwe; jest z kardynałem pod La Rochelle, wróci dopiero po wzięciu miasta.

- Tak pani sądzi, ale czy jest coś niemożliwego dla mojego d'Artagnana, szlachetnego i prawego szlachcica?

- O, nie mogę uwierzyć!

- Więc niech pani przeczyta - rzekła w przystępie dumy i radości nieszczęsna kobieta pokazując list Milady.

- Pismo pani de Chevreuse! - rzekła do siebie Milady. - Ach, byłam pewna, że są w porozumieniu!

Przeczytała pośpiesznie te kilka linijek:

„Moje drogie dziecko, bądź gotowa; nasz przyjaciel przybędzie wkrótce, by zabrać Cię z więzienia, gdzie musiałaś pozostawać dla własnego bezpieczeństwa; przygotuj się więc do wyjazdu i zdaj się

na nas we wszystkim.

Nasz przemiły Gaskończyk okazał się równie dzielny i wiemy jak zawsze, powiedz mu, że pewna osoba jest mu bardzo wdzięczna za ostrzeżenie.”

- Tak, tak - rzekła Milady - to jasne. Czy wie pani, o jakie ostrzeżenie chodzi?

- Nie, przypuszczam jednak, że uprzedził królową o jakimś nowym zamiśle kardynała.

- Tak, na pewno - rzekła Milady, oddając list pani Bonacieux i opuszczając w zamyśleniu głowę na piersi.

W tej chwili rozległ się tętent galopującego konia.

- Och - zawołała pani Bonacieux rzucając się do okna. - Czyżby to był już on?

Milady pozostała w łóżku, osłupiała ze zdumienia, tyle nieoczekiwanych rzeczy zdarzyło się jej nagle, że po raz pierwszy traciła głowę.

- On, on! - szepnęła. - Byłby to on?

Nie ruszyła się z łóżka.

- Niestety, nie! - rzekła pani Bonacieux. - To jakiś nie znany mi mężczyzna; zdaje się, że zmierza do klasztoru; tak, zwalnia biegu, zatrzymuje się przy bramie, dzwoni.

Milady wyskoczyła z łóżka.

- Czy jesteś pani pewna, że to nie on? - rzekła.
- O tak, jestem zupełnie pewna.
- Możesz pani źle widziała?
- O, rozpoznam go po kapeluszu, po skraju płaszcza!

Milady ubierała się.

- Mniejsza z tym; ów człowiek tu zmierza, powiadasz?
- Tak, już wjechał.
- To albo do pani, albo do mnie.
- O, mój Boże! Jakże pani podniecona!
- Tak, muszę wyznać, że nie jestem tak ufna jak pani. Lękam się wszystkiego ze strony kardynała.
- Cicho! - rzekła pani Bonacieux. - Ktoś idzie!

Drzwi się otworzyły i weszła przeorysza.

- Czy to pani przybywa z Boulogne? - zapytała zwracając się do Milady.
- Tak, to ja - odparła Milady starając się odzyskać zimną krew. - Kto o mnie pyta?
- Jakiś mężczyzna; nie chce podać swego nazwiska, przybywa od kardynała.
- Chce się ze mną widzieć? - zapytała Milady.
- Chce się widzieć z damą, która przybyła z Boulogne.
- Niech więc wejdzie, matko, proszę.
- O mój Boże, mój Boże! - rzekła pani Bonacieux - obawiam się jakiejś złej nowiny!
- Ja także.
- Zostawię panią teraz, ale gdy tylko ten nieznajomy wyjdzie, pozwól, żebym wróciła.
- Oczywiście, bardzo proszę.

Przełożona i pani Bonacieux wyszły.

Milady została sama z oczyma utkwionymi we drzwiach; po chwili rozległ się brzęk ostróg na schodach, kroki zbliżyły się, drzwi otworzyły i ukazał się w nich mężczyzna.

Milady wydała okrzyk radości; był to hrabia Rochefort, zły duch Jego Eminencji.

XXXII.

DEMON W DWÓCH POSTACIACH

- Ach! - zawołali jednocześnie Rochefort i Milady. - Ach! Kogo widzę!

- Tak, to ja!

- Pan przybywa?...-zapytała Milady.

- Z La Rdchelle, a pani?

- Z Anglii.

- Buckingham?

- Nie żyje lub jest ciężko ranny; kiedy wyjeżdżałam, nic nie uzyskawszy, jakiś fanatyk go zamordował.

- O - rzekł Rochefort z uśmiechem - bardzo szczęśliwy przypadek! Jego Eminencja będzie zadowolony! Czyś go uprzedziła?

- Napisałam do niego z Boulogne. Ale pan skąd się tu wziął?

- Jego Eminencja był niespokojny i posłał mnie do pani.

- Przyjechałam dopiero wczoraj.

- I co pani robiła od wczoraj?

- Nie traciłam czasu.

- Och, jestem tego pewien!

- Czy wie pan, kogo tu spotkałam?

- Nie.

- Zgadnij.

- Jakże mogę wiedzieć?

- Tę młodą kobietę, którą królowa wyciągnęła z więzienia.

- Kochankę d'Artagnana?

- Tak, panią Bonacieux, której schronienia nie znał kardynał.

- Znakomicie - rzekł Rochefort. - Oto znów przypadek idący w parze z tamtym; pan kardynał jest doprawdy wybrańcem losu!

- Czy pojmujesz moje zdumienie, kiedy znalazłam się twarzą w twarz z tą kobietą?

- Czy ona panią zna?

- Nie.

- Więc uważa cię za osobę obcą?

Milady uśmiechnęła się.

- Jestem jej najlepszą przyjaciółką!

- Na honor - rzekł Rochefort - tylko ty, droga hrabino, potrafisz dokazywać takich cudów!

- Udało mi się wybornie, kawalerze - powiedziała Milady. - Czy wiesz co się tu dzieje?

- Nie.

- Jutro lub pojutrze przyjadą tu po nią z rozkazem królowej.

- Doprawdy! A kto taki?

- D'Artagnan i jego przyjaciele.

- W samej rzeczy, tyle już robią hałasu, że będziemy musieli odesłać ich do Bastylii.

- Dlaczego to się jeszcze nie stało?

- No cóż, pan kardynał ma do nich słabość, której nie mogę zrozumieć.

- Naprawdę?

- Tak.

- Dobrze więc, powiedz mu, co następuje, Rochefort: powiedz mu, że ci czterej ludzie słyszeli naszą rozmowę w obozisku „Pod Czerwonym Gołębnikiem”, powiedz mu, że po jego odjeździe jeden z nich przyszedł do mnie i odebrał mi siłą glejt podpisany przez Jego Eminencję; że uprzedzili lorda Wintera o moim przyjeździe do Anglii: że omal znowu nie przeszkodzili mi w wykonaniu zadania, jak

zeszłym razem, kiedy szło o spinki; powiedz mu, że spośród tych czterech ludzi dwaj są naprawdę niebezpieczni, a mianowicie d'Artagnan i Atos; powiedz mu, że trzeci z nich, Aramis, jest kochankiem pani de Chevreuse; tego trzeba pozostawić przy życiu, znamy jego tajemnicę, może się przydać. Jeśli idzie o czwartego, Portosa, to głupiec, pyszałek i osioł, nie warto się nim nawet zajmować.

- Ale ci czterej powinni być teraz pod La Rochelle.

- Ja również tak sądziłam; ale list, który pani Bonacieux otrzymała od pani marszałkowej i lekkomyślnie mi pokazała, każe mi wierzyć, że jadą tutaj.

- U licha! I co robić?

- Co powiedział pan kardynał, jeśli idzie o mnie?

- Mam otrzymać od pani wiadomości pisemne lub ustne i wrócić pocztą; kiedy Jego Eminencja będzie wiedzieć, coś zrobiła, da ci znać, co masz robić dalej.

- Powinnam więc tu zostać?

- Tu albo w okolicy.

- Nie może mnie pan zabrać ze sobą?

- Nie, rozkaz jest wyraźny; w okolicach obozu mogą panią poznać i, jak sama rozumiesz, twoja obecność skompromitowałaby Jego Eminencję.

- A zatem mam czekać tu lub w okolicy.

- Powiedz mi pani tylko od razu, gdzie będziesz czekała na rozkazy Jego Eminencji, bym wiedział, gdzie cię szukać.

- Może nie będę mogła tu zostać.
- Dlaczego?
- Zapominasz pan, że moi wrogowie mogą przybyć w każdej chwili.
- To prawda; ale w takim razie ta kobieta wymknie się Jego Eminencji.
- Ba! - rzekła Milady ze swym szczególnym uśmiechem. - Zapominasz pan, że jestem jej najlepszą przyjaciółką.
- Rzeczywiście! Mogę więc powiedzieć kardynałowi, że jeśli idzie o tę kobietę...
- Może być spokojny.
- To wszystko?
- Będzie wiedział, co to znaczy.
- Odgadnie. A teraz co mam robić?
- Wyjechać natychmiast; wydaje mi się, że z takimi nowinami warto się pośpieszyć.
- Mój powóz został uszkodzony, kiedy wyjeżdżałem do Lilliers.
- Znakomicie!
- Jak to znakomicie?
- A tak, potrzebny mi pański powóz.
- Jakże więc pojedę?
- Konno.
- Łatwo pani powiedzieć, sto osiemdziesiąt mil.
- I cóż to takiego?
- Dobrze. Co dalej?
- Przejeżdżając przez Lilliers, odeślesz mi powóz, polecając swemu służącemu, by był na moje rozkazy.
- Dobrze.

- Masz pan zapewne przy sobie jakiś rozkaz kardynała?
- Moje pełnomocnictwo.
- Pokażesz je przeoryszy i powiesz jej, że przyjadą tu po mnie dziś lub jutro i że mam wyjechać z osobą przyslaną przez pana.
- Wybornie.
- Nie zapomnij mówić o mnie surowo przeoryszy.
- Dlaczego?
- Jestem ofiarą kardynała. Muszę przecie wzbudzić zaufanie tej biednej pani Bonacieux.
- Słusznie. A teraz, czy chciałaby pani złożyć mi raport z tego, co zaszło?
- Przecie powiedziałam panu wszystko, masz dobrą pamięć. Powtórz to, co usłyszałeś, papier można zgubić.
- Masz rację; muszę tylko wiedzieć, gdzie pani szukać, żebym nie tracił czasu na przetrząsanie okolicy.
- Dobrze, zaczekaj.
- Czy dać pani mapę?
- O, znam tę okolicę doskonale.
- Pani? Kiedyś tu była?
- Wyrosłam tutaj.
- Doprawdy?
- Jak widzisz, taka rzecz może się przydać,
- Będzie więc pani na mnie czekać?...
- Pozwól mi się zastanowić przez chwilę; dobrze, w Armentieres.
- Co to za Armentieres?

- Miasteczko nad Lys; wystarczy, bym przejechała rzekę, a znajdę się za granicą.
- Doskonale! Ale rzecz jasna, że przeprowi się pani przez rzekę tylko w razie niebezpieczeństwa.
- Oczywiście!
- A jakże będę wiedział, gdzie pani jest?
- Nie jest panu potrzebny służący?
- Nie.
- To pewny człowiek?
- Wypróbowany.
- Daj mi go pan; nikt go nie zna, zostawię go w miejscowości, którą opuszczę; wskaże ci do mnie drogę.
- Więc pani powiada, że będzie na mnie czekać w Armentieres?
- Tak.
- Napisz mi tę nazwę na skrawku papieru, żebym nie zapomniał; nazwa miasteczka to chyba nic kompromitującego?
- Któż to może wiedzieć? Ale mniejsza z tym - rzekła Milady pisząc nazwę na kartce papieru. - Więc będę skompromitowana.
- Dobrze - powiedział Rochefort biorąc z rąk Milady papier, który złożył i schował w kapeluszu. - Zresztą niech pani będzie spokojna, zrobię, jak robią dzieci: jeśli zgubię papier, będę powtarzał nazwę przez całą drogę. A więc to już wszystko?
- Tak mi się zdaje.
- Powtórzmy: Buckingham nie żyje lub ciężko ranny; twoja rozmowa z kardynałem podsłuchana przez muszkietarów; lord Winter uprzedzony o twoim przybyciu do Portsmouth; d'Artagnan i Atos do Bastylji; Aramis kochanek pani de Chevreuse; Portos pyszałek; pani Bonacieux odnaleziona; przysłać pani jak najszybciej powóz; oddać mego służącego do twej dyspozycji; zrobić z ciebie ofiarę kardynała, żeby przeorysza wyzbyła się wszelkich podejrzeń; Armentieres na brzegu Lys. Czy tak?
- Doprawdy, mój drogi kawalerze, masz wyborną pamięć. Ale dodaj jeszcze jedno.
- Co?

- Widziałam śliczny las, który graniczy z ogrodem klasztornym. Powiedz przeorowsy, że wolno mi przechadzać się w tym lesie; kto wie, może trzeba mi będzie wyjść furtką.

- Pamięta pani o wszystkim.

- Ale pan zapomina o pewnej rzeczy...

- O czym?

- Zapytać, czy nie trzeba mi pieniędzy.

- Rzeczywiście, ile pani trzeba?

- Tyle złota, ile pan ma przy sobie.

- Mam około pięciuset pistoli.

- Ja tyle samo; mając tysiąc pistoli można zrobić wszystko; opróżnij kieszenia.

- Proszę.

- Dobrze. Kiedy pan wyrusza?

- Za godzinę; muszę coś zjeść i posłać po konia pocztowego.

- Znakomicie. Do widzenia, kawalerze!

- Do widzenia, hrabino!

- Poleć mnie kardynałowi.

- Poleć mnie diabłu.

Milady i Rochefort wymienili uśmiechy i rozstali się.

W godzinę potem Rochefort ruszył galopem; w pięć godzin potem przejeżdżał przez Arras.

Nasi czytelnicy wiedzą już, że d'Artagnan go poznał, co wzbudziło obawy w czterech muszkietierach i przyspieszyło ich podróż.

XXXIII.

KROPLA WODY

Ledwie Rochefort wyszedł, gdy weszła pani Bonacieux. Zastała Milady uśmiechniętą.

- A więc - rzekła młoda kobieta - to, czego się pani obawiała, już się stało; dziś wieczór lub jutro rano kardynał przyśle po ciebie.

- Kto ci to powiedział, moje, dziecko? - zapytała Milady.

- Słyszałam z ust samej przeoryszy.

- Siądź tu przy mnie - rzekła Milady.

- Jestem.

- Poczekaj, aż się upewnię, że nikt nas nie słyszy.

- Po cóż te środki ostrożności?

- Zaraz się dowiesz.

Milady wstała, podeszła do drzwi, otworzyła je, zajrzała na korytarz i wróciła, by usiąść przy pani Bonacieux.

- A więc - rzekła - dobrze grał swą rolę?

- Kto?

- Ten człowiek, co mówił przeoryszy, że jest wysłannikiem kardynała.

- Więc grał rolę?

- Tak, moje dziecko.

- Ten człowiek nie jest więc...

- Ten człowiek - powiedziała Milady zniżając głos - jest moim bratem.

- Twoim bratem! - zawołała pani Bonacieux.

- Tak, i tylko ty znasz moją tajemnicę; jeśli powiesz o tym komukolwiek, jestem zgubiona i ty, być może, również.

- O, mój Boże!

- Posłuchaj. Mój brat, który przybył mi na pomoc, mając zamiar uprowadzić mnie nawet siłą, jeśli będzie trzeba, napotkał w drodze wysłannika kardynała, który jechał po mnie; ruszył za nim.

Znalazłszy się w oddalonym i pustym miejscu wyjął szpadę żądając od wysłannika, by mu oddał swe papiery; wysłannik chciał się bronić, mój brat go zabił.

- Och! - rzekła pani Bonacieux z drżeniem.

- Był to jedyny sposób, pamiętaj o tym. Mój brat postanowił użyć fortelu zamiast siły; wziął papiery, oświadczył, że on właśnie jest wysłannikiem kardynała, i za godzinę czy dwie zjawi się pojazd, który zabierze mnie z polecenia Jego Eminencji.

- Rozumiem; ten powóz przyśle twój brat.

- Właśnie, ale to nie wszystko; list, który otrzymałaś i który uważasz za list pani de Chevreuse...

- Tak?...

- Jest sfalszowany.

- Jak to?

- Jest sfalszowany: to pułapka, żebyś nie stawiała oporu, kiedy przyjadą po ciebie.

- Ale d'Artagnan przyjedzie.

- Mylisz się, d'Artagnan i jego przyjaciele są pod La Rochelle.

- Skąd wiesz o tym?

- Mój brat spotkał wysłanników kardynała przebranych za muszkietierów. Zawołają cię do bramy, będziesz myślała, że to przyjaciele, zabiorą cię i uwiozą do Paryża.

- O, mój Boże! Tracę głowę wśród tych wszystkich bezceństw. Czuję, że oszaleję, jeśli to potrwa dłużej - mówiła pani Bonacieux podnosząc ręce do głowy.

- Poczekaj...

- Co?

- Słyszę tętent konia, to mój brat odjeżdża; chcę pożegnać go raz jeszcze, chodźmy.

Milady otworzyła okno i dała znak pani Bonacieux, żeby się zbliżyła. Młoda kobieta usłuchała.

Rochefort jechał galopem.

Kawaler podniósł głowę, ujrzał obie kobiety i w biegu skinął Milady przyjaźnie ręką.

- Ten zacny Jerzy! - rzekła Milady z miną czułą i melancholijną, zamykając okno.

Powróciła na swoje miejsce i usiadła, niby to pogrążona w rozmyślaniach.

- Droga pani! - powiedziała pani Bonacieux - przepraszam, że ci przeszkadzam, ale co radzisz mi czynić? Dobry Boże! Masz więcej doświadczenia niż ja, ja cię usłucham.

- Przede wszystkim - rzekła Milady - mogę się mylić, może d'Artagnan wraz z przyjaciółmi rzeczywiście przybędzie ci na pomoc.

- Och, to byłoby zbyt piękne! - zawołała pani Bonacieux. - To zbyt wielkie szczęście dla mnie.

- Rozumiesz więc, byłaby to tylko kwestia czasu, wyścig, kto przybędzie pierwszy. Jeśli pierwsi zjawią się twoi przyjaciele, jesteś uratowana; jeśli ludzie kardynała, jesteś zgubiona.

- O, tak, zgubiona bez litości! Co więc robić? Co robić?

- Pozostałby jeszcze sposób prosty, naturalny...

- Jaki, powiedz!

- Poczekać w okolicy, w ukryciu, i upewnić się, kim są ludzie, którzy przyjadą po ciebie.

- Ale gdzie czekać?

- O, to drobnostka; ja zatrzymam się i ukryję w odległości kilku mil stąd, tam zaczekam, aż zjawi się mój brat; cóż, wezmę cię ze sobą, ukryjemy się i będziemy czekać razem.

- Nie pozwolą mi odjechać, jestem tu jak uwięziona.

- Ponieważ sądzą, że wyjeżdżam z rozkazu kardynała, nie uwierzą, że masz ochotę udać się ze mną.

- A więc?

- Powóz jest przy bramie, mówisz mi do widzenia, wchodzisz na stopień, by mnie uściskać po raz ostatni; służący mego brata, który przyjedzie po mnie, jest uprzedzony, da znak pocztylionowi i ruszamy galopem.

- Ale d'Artagnan, a jeśli przyjedzie d'Artagnan?

- Alboż nie będziemy wiedzieć?

- Jakim sposobem?
- Nic łatwiejszego. Wysyłamy do Bsthune służącego mego brata, a jak powiedziałam, możemy mu zaufać; przebiera się, wynajmuje mieszkanie naprzeciw klasztoru; jeśli przyjadą wysłannicy kardynała, nie rusza się z miejsca; jeśli d'Artagnan i jego przyjaciele, zaprowadzi ich do nas.
- Zna ich więc?
- Oczywiście, czyż nie widywał pana d'Artagnana u mnie?
- O, tak, tak, masz rację; wszystko będzie dobrze, doskonale, ale nie oddalajmy się stąd.
- Najwyżej o siedem czy osiem mil; będziemy tuż przy granicy i na pierwszy alarm przekroczymy granicę Francji.
- A na razie co robić?
- Czekać.
- A jeśli przyjadą?
- Powóz mego brata przybędzie wcześniej.
- Gdybym jednak była daleko, kiedy przyjadą po panią, przy obiedzie czy przy śniadaniu na przykład?
- Jest jeden sposób.
- Jaki?
- Powiedz poczciwej przeoryszy, że nie chcesz się ze mną rozstawać i prosisz, by pozwoliła nam jadać razem.
- Pozwoli?
- Czyżby w tym było coś niestosownego?
- Doskonale, w ten sposób nie rozstaniemy się ani na chwilę!
- Zejdź więc do niej i powiedz o tym; czuję, że mi się w głowie mąci, przejdę się po ogrodzie.
- Dobrze, ale gdzie panią znajdę?
- Tu, za godzinę.
- Tu, za godzinę; o, jaka pani dobra, dziękuję pani!

- Jakżebym mogła nie zajmować się panią? Nawet gdybyś nie była piękna i urocza, pamiętałabym, że jesteś przyjaciółką jednego z najbliższych moich przyjaciół.

- Drogi d'Artagnan, jakże będzie ci wdzięczny!

- Spodziewam się. Wszystko zatem umówione, schodzimy.

- Pani idzie do ogrodu.

- Tak.

- Proszę pójść tym korytarzem, a potem schodkami.

- Doskonale, dziękuję.

Kobiety rozstały się wymieniając czarujące uśmiechy.

Milady powiedziała prawdę; w głowie jej się męciło od chaotycznych projektów. Potrzebowała samotności, by uporządkować myśli. Nie widziała jasno przyszłości, ale trzeba jej było tylko nieco ciszy i spokoju dla nadania mglistym pomysłom dokładnej formy, ścisłego planu.

Najpilniejszą sprawą było porwanie pani Bonacieux, umieszczenie jej w bezpiecznym miejscu; w najgorszym razie będzie w niej miała zakładniczkę. Milady zaczęła się obawiać zakończenia tego strasznego pojedynku, w który jej przeciwnicy wkładali tyle wytrwałości co ona zaciekłości.

Czuła zresztą, tak jak czuje się nadejście burzy, że nastąpi wkrótce i będzie straszliwe.

Przede wszystkim więc, jak powiedzieliśmy, należało nie wypuszczać z rąk pani Bonacieux. Pani Bonacieux to życie d'Artagnana; więcej nawet niż własne życie, to życie ukochanej kobiety; jeśli szczęście Milady nie dopisze, będzie mogła prowadzić o nią układy i bez wątpienia uzyska dobre warunki.

Ta sprawa była więc załatwiona: pani Bonacieux wyjedzie z nianie podejrzewając niczego; kiedy ukryją się już w Armentieres, łatwo potrafi jej wmówić, że d'Artagnan nie przybył do Bsthune. Najdalej za dwa tygodnie powróci Rochefort; przez dwa tygodnie obmyśli plan zemsty nad czterema przyjaciółmi. Nie będzie się nudzić, dzięki Bogu, czeka ją najśłodsza rozrywka, jakiej zaznać może kobieta z jej charakterem: doprowadzi swój plan zemsty do doskonałości.

Tak rozmyślając rozglądała się dokoła, by zapamiętać topografię ogrodu. Milady była niby dobry generał, który przewiduje wszystko, zwycięstwo lub klęskę, i zależnie od przebiegu bitwy gotów iść naprzód lub nakazać odwrót.

Po godzinie usłyszała łagodny głos, który ją wzywał; była to pani Bonacieux. Zaczyna przeorysza zgodziła się oczywiście na wszystko i miały właśnie jeść razem kolację.

Wchodząc na dziedziniec usłyszała odgłos pojazdu zatrzymującego się przed bramą.

Milady nasłuchiwała.

- Czy słyszysz? - rzekła.

- Tak, to pojazd.

- Mojego brata.

- O, mój Boże!

- Odwagi!

Zadzwoniono do bramy klasztornej; Milady się nie omyliła.

- Pójdź do swego pokoju - rzekła do pani Bonacieux. - Masz zapewne jakieś klejnoty, które chciałabyś zabrać.

- Mam jego listy.

- Weź je zatem i przyjdź do mnie, zjemy szybko kolację; może będziemy jechać przez część nocy, trzeba się pokrzepić.

- Wielki Boże! - rzekła pani Bonacieux, kładąc rękę na piersi. - Duszę się, nie mogę postąpić kroku.

- Odwagi, odwagi! Pomyśl, że za kwadrans będziesz uratowana, i pamiętaj, że robisz to dla niego.

- O tak; wszystko dla niego. Przywróciłaś mi odwagę jednym słowem; idź, zaraz się zjawię.

Milady poszła szybko do swego pokoju, gdzie zastała służącego Rocheforta i udzieliła mu wskazówek.

Miał czekać przy bramie; jeśli przypadkiem pojawią się muszkietierowie, powóz ruszy galopem, okrąży klasztor i zatrzyma się we wsi położonej z drugiej strony lasu. Milady pójdzie przez ogród i przedostanie się do wsi pieszo; powiedzieliśmy już, że Milady znała doskonale tę część Francji.

Jeśli muszkietierowie się nie zjawią, rzeczy pójdą tak, jak to było omówione: pani Bonacieux wejdzie na stopień, żeby się z nią pożegnać, i Milady zabierze ją ze sobą.

Weszła pani Bonacieux; żeby rozproszyć wszelkie podejrzenia, Milady po- wtórzyła w jej obecności niektóre rozkazy lokajowi.

Milady zapytała o pojazd; był to powóz zaprzęzony w trzy konie i prowadzony przez poczytlioną; służący Rocheforta miał jechać na przedzie wierzchem.

Milady niepotrzebnie obawiała się podejrzeń pani Bonacieux, biedna kobieta była zbyt czysta, by podejrzewać ją o tak wielką przewrotność; nazwisko hrabiny Winter, które usłyszała od przeoryszy, było jej zupełnie nie znane, i nie wiedziała nawet, że hrabina tak bardzo i tak fatalnie zaciążyła na jej życiu.

- Widzisz więc - rzekła Milady, kiedy służący wyszedł - wszystko jest gotowe. Przeorysza nic nie podejrzewa i sądzi, że przyjechano po mnie z polecenia kardynała. Ten człowiek wyda ostatnie rozkazy; niech pani zje cokolwiek, wypije odrobinę wina i ruszajmy.

- Tak - rzekła machinalnie pani Bonacieux - ruszajmy.

Milady dała jej znak, by usiadła, nalała jej do małej szklanki wina hiszpańskiego i położyła na talerzu kawałek kurczęcia.

- Spójrz - rzekła - jak wszystko nam sprzyja; zapada noc; o wschodzie słońca będziemy już, w naszym schronieniu, nikt nie domyśli się, gdzie jesteśmy. Odwagi, zjedzże cokolwiek.

Pani Bonacieux przełknęła machinalnie kilka kęsów i umoczyła usta w winie.

- Nuże, nuże a- mówiła Milady podnosząc szklankę do ust - uczyn jak ja.

Miała właśnie wychylić szklankę, ale ręka jej zawisła w powietrzu: usłyszała zbliżający się galop; niemal w tej samej chwili dobiegło ją rzenie koni.

Te odgłosy zmąciły jej radość, jak odgłos burzy budzi nas pośrodku pięknego snu; zbladła, podbiegła do okna, podczas gdy pani Bonacieux wstała drżąc nacałym ciele i oparła się o krzesło, żeby nie upaść.

Nie widać było nic jeszcze, tylko tętent przybliżał się wciąż bardziej.

- O, mój Boże! - rzekła pani Bonacieux. - Co to za hałas?

- To nasi przyjaciele lub wrogowie - rzekła Milady ze swym straszliwym spokojem. - Zostań na swoim miejscu, powiem ci.

Pani Bonacieux stała niema, nieruchoma i blada jak posąg.

Hałas wzrastał się, konie znajdowały się zapewne w odległości stu pięćdziesięciu kroków; jeśli nie widać ich było jeszcze, to dlatego, że droga zakręcała w tym miejscu. Jednakże hałas stawał się

coraz wyraźniejszy i można było policzyć konie po nierównych uderzeniach kopyt.

Milady wypatrywała oczy; było dość jasno, by mogła rozpoznać jadących.

Nagle na zakręcie drogi ujrzała obszyte galonami kapelusze i powiewające pióra; naliczyła dwóch, potem pięciu, wreszcie ośmiu jeźdźców; jeden z nich wyprzedzał innych o dwie długości konia.

Milady jęknęła zduszonym głosem. W tym, który jechał na przedzie, poznała d'Artagnana.

- O, mój Boże, mój Boże! - zawołała pani Bonacieux. - Co się stało?

- To mundur gwardzistów pana kardynała; nie mamy chwili do stracenia! - zawołała Milady. - Uciekajmy, uciekajmy!

- Tak, tak, uciekajmy! - powtórzyła pani Bonacieux nie mogąc postąpić kroku; strach przykuł ją do miejsca.

Tętent koni rozległ się pod oknem.

- Chodźmy, chodźmy wreszcie! - zawołała Milady próbując pociągnąć młodą kobietę za sobą. - Mam klucz, możemy jeszcze uciec przez ogród, ale pośpieszmy się, za pięć minut będzie za późno.

Pani Bonacieux spróbowała iść, zrobiła dwa kroki i upadła na kolana. Milady pochyliła się, żeby ją podnieść, ale nie mogła sobie poradzić.

W tej chwili rozległ się turkot powozu ruszającego galopem na widok muszkieterów, potem huknęły wystrzały.

- Pytam po raz ostatni, idziesz? - zawołała Milady.

- O, mój Boże, mój Boże! Widzi pani przecie, że nie mam sił, że nie mogę iść, uciekaj sama!

- Ja miałabym uciekać sama? Zostawić cię tutaj? Nie, nie, nigdy! - zawołała Milady.

Nagle przystanąła, płomień błysnął jej w oku; pobiegła do stolika, otworzyła z niezwykłą szybkością kamień w swym pierścieniu i wrzuciła zawartość do szklanki pani Bonacieux.

Było to czerwone ziarenko, które rozpuściło się natychmiast.

Potem wzięła szklankę pewną dłonią i powiedziała:

- Wypij, to wino doda ci sił, wypij.

Zbliżyła szklanę do ust młodej kobiety, która wypła machinalnie.

- Ach, nie tak chciałam się zemścić - rzekła Milady stawiając szklanę z piekielnym uśmiechem. - Ale na honor, człowiek robi, co może.

I wybiegła z pokoju.

Pani Bonacieux widziała, jak wychodzi, nie mając sił iść za nią; czuła się jak człowiek, któremu się śni, że ktoś biegnie za nim, i na próżno próbuje uciekać.

Minęło kilka minut, rozległo się straszliwe uderzenie do bramy. Pani Bonacieux spodziewała się, że Milady wróci, ale Milady nie wracała.

Zimny pot przerażenia oblewał płonące czoło pani Bonacieux.

Wreszcie usłyszała zgrzyt otwieranych krat, tupot butów i brzęk ostróg na schodach; głosy zbliżały się coraz bardziej i wydawało się jej, że słyszy swe imię.

Nagle krzyknęła z radości wielkim głosem i rzuciła się ku drzwiom: rozpoznała głos d'Artagnana.

- D'Artagnanie, d'Artagnanie! - zawołała. - To ty? Tutaj, tutaj!

- Konstancjo, Konstancjo! - odparł młodzieniec. - Gdzie jesteś? Mój Boże!

W tej samej chwili drzwi celi pchnięto raczej, niż otworzono, kilku mężczyzn wbiegło do pokoju; pani Bonacieux osunęła się na fotel, nie mogąc zrobić najmniejszego ruchu.

D'Artagnan rzucił dymiący pistolet, który trzymał w ręce, i padł na kolana przed kochanką; Atos zatknął swój pistolet za pas; Portos i Aramis włożyli nagie szpady do pochew.

- Och, d'Artagnanie, mój ukochany d'Artagnanie! Przybywasz więc wreszcie, nie zawiodłeś mnie, to ty!

- Tak, tak, Konstancjo, jesteśmy razem.

- Och, ona na próżno mówiła, że nie przyjedziesz, miałam wciąż nadzieję; nie chciałam uciekać; och, jak dobrze zrobiłam, jakże jestem szczęśliwa!

Atos, który siedział spokojnie, na słowo ona podniósł się nagle.

- Ona? Jaka ona? - zapytał d'Artagnan.

- Ależ moja towarzyszka, kobieta, która z przyjaźni do mnie chciała mnie osłonić przed prześladowcami; uciekła biorąc was za gwardzistów kardynała.

- Twoja towarzyszka! - zawołał d'Artagnan bledszy od białego welonu swej kochanki. - O kim mówisz?

- O kobiecie, której powóz stał przy drzwiach, która mówiła, że jest twoją przyjaciółką, d'Artagnanie; o kobiecie, której się zwierzałeś.

- Jak się nazywa? Jak się nazywa?! - zawołał d'Artagnan. - Mój Boże, nie znasz więc jej imienia?

- Tak, mówiła mi; poczekaj... ale to dziwne... o, mój Boże, mąci mi się w głowie, nic nie widzę.

- Do mnie, przyjaciele, do mnie! Ma lodowate ręce! - zawołał d'Artagnan. - Zasłabła, wielki Boże, traci przytomność!

Podczas gdy Portos wzywał pomocy co tchu w płucach, Aramis podbiegł do stołu, by wziąć szklankę wody; ale zatrzymał się widząc straszliwie zmienioną twarz Atosa, który stojąc przy stole ze zjeżonym włosiem, z oczami w słup, patrzył na jedną ze szklanek, wstrząśnięty potwornym podejrzeniem.

- O! - mówił Atos. - O! nie, to niemożliwe! Bóg nie dopuściłby do takiej zbrodni.

- Wody, wody! - krzyknął d'Artagnan. - Wody!

- Biedna kobieta, biedna kobieta - szepnął Atos załamującym się głosem.

Pani Bonacieux otworzyła oczy pod pocałunkami d'Artagnana.

- Wraca do siebie - zawołał młodzieniec. - O, mój Boże! Dziękuję ci!

- Pani - rzekł Atos. - W imię nieba, czyja jest ta pusta szklanka?

- Moja, panie... - odparła młoda kobieta gasnącym głosem.

- Kto nalał ci wina do tej szklanki?

- Ona.

- Ale jaka ona?

- Ach, przypominam sobie - rzekła pani Bonacieux - hrabina Winter...

Czterej muszkietierowie wydali jednocześnie okrzyk, ale głos Atosa górował nad innymi.

W tej samej chwili twarz pani Bonacieux zsiniała i przeszył ją ból tak straszny, że upadła dysząc w ramiona Portosa i Aramis.

D'Artagnan chwycił rękę Atosa z przerażeniem trudnym do opisan.

- Jak to - rzekł - myślisz...

Głos jego rozpląnął się w łkaniu.

- Wierzę we wszystko - rzekł Atos gryząc sobie wargi do krwi, by nie jęknąć.

- D'Artagnanie, d'Artagnanie - zawołała pani Bonacieux - gdzie jesteś? Nie opuszczaj mnie, widzisz, że umieram.

D'Artagnan puścił ręce Atosa, które trzymał wciąż w zaciśniętych dłoniach, i podbiegł do niej.

Jej piękna twarz była zupełnie zmieniona, szklane oczy nie patrzyły już, konwulsyjne drżenie wstrząsnęło ciałem, pot spływał z czoła.

- Na Boga, biegnijcie, wezwijcie kogoś; Portosie, Aramisie, wzywajcie pomocy!

- Na próżno - rzekł Atos. - Na próżno, na jej truciznę nie ma lekarstwa.

- Tak, tak - szepnęła pani Bonacieux - pomocy, pomocy!

Potem zebrawszy wszystkie siły ujęła głowę młodzieńca w ręce, patrzyła nań przez chwilę, jakby cała jej dusza skupiła się w tym spojrzeniu, i z głośnym szlochem pocałowała go w usta.

- Konstancjo, Konstancjo! - zawołał d'Artagnan.

Westchnienie wydarło się z ust pani Bonacieux owiewając d'Artagnana; w tym westchnieniu jej kochająca i czysta dusza ulatywała ku niebu.

D'Artagnan trzymał w ramionach trupa.

Młodzieniec wydał okrzyk i upadł obok kochanki, tak samo blady i zimny jak ona.

Portos płakał, Aramis wyciągnął pięść ku niebu, Atos się przeżegnał.

W tej chwili w drzwiach ukazał się mężczyzna niemal tak samo blady jak ci, co byli w pokoju, i rozejrzawszy się wokół ujrzał panią Bonacieux martwą i zemdlonego d'Artagnana.

Zjawił się w owej chwili osłupienia, które następuje po wielkich nieszczęściach.

- Nie omyliłem się - rzekł. - Oto pan d'Artagnan, a wy jesteście jego trzej przyjaciele, panowie Atos, Portos i Aramis.

Ci, których nazwiska wymieniono, spojrzeli na nieznanego ze zdumieniem; zdawało im się, że go poznają.

- Panowie - ciągnął dalej przybyły. - Jak i ja szukacie pewnej kobiety, która przeszła tędy - dodał ze straszliwym uśmiechem - widzę bowiem trupa!

Trzej przyjaciele milczeli; zdawało im się, że poznają głos i twarz tego człowieka, że go już kiedyś widzieli, ale nie mogli sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

- Panowie - mówił nieznanomy - ponieważ nie poznajecie człowieka, który po dwakroć zawdzięcza wam życie, muszę wymienić swe nazwisko: jestem lord Winter, szwagier tej kobiety.

Trzej przyjaciele wydali okrzyk zdumienia.

Atos wstał i podał mu rękę.

- Witaj, milordzie - rzekł. - Należysz do nas.

- Wyjechałem w pięć godzin po niej z Portsmouth - rzekł lord Winter. - Przybyłem w trzy godziny po niej do Boulogne, spóźniłem się o dwadzieścia minut do Saint-Omer; wreszcie w Lilliers straciłem jej ślad. Jechałem zdając się na przypadek, wpytując wszystkich po drodze, kiedy ujrzałem was, pędzących galopem; rozpoznałem pana d'Artagnana. Wołałem, ale nie odpowiadaliście, chciałem jechać za wami, ale koń mój był zbyt zmęczony, by mógł waszym dotrzymać kroku. Zdaje się jednak, że mimo pośpiechu znów przybyliście za późno.

- Sam widzisz, milordzie - rzekł Atos, wskazując lordowi Winter martwą panią Bonacieux i d'Artagnana, którego Portos i Aramis usiłowali przywrócić do życia.

- Czy oboje nie żyją? - zapytał chłodno lord Winter.

- Nie - odparł Atos. - Na szczęście d'Artagnan zemdlął tylko.

- Ach, tym lepiej! - rzekł lord Winter.

W tej chwili d'Artagnan otworzył oczy.

Wyrwał się z ramion Portosa i Aramisa i jak oszalały rzucił się na ciało kochanki.

Atos wstał, podszedł do przyjaciela krokiem powolnym i uroczystym, ucałował go tklawie, a widząc, że szlocha bez pamięci, rzekł do niego swym szlachetnym i budzącym ufność głosem:

- Przyjacielu, bądź mężczyzną: kobiety oplakują zmarłych, mężczyźni się mszczą!

- O, tak - powiedział d'Artagnan. - Tak! Żeby ją pomścić, jestem gotów pójść za tobą!

Atos skorzystał z tej chwili, gdy nadzieja zemsty przywracała siły jego nieszczęsnemu przyjacielowi, i dał znak Portosowi i Aramisowi, by poszli po przeoryszkę.

Przyjaciele spotkali ją na korytarzu, wstrząśniętą i niemal nieprzytomną od tyłu wydarzeń; wezwała kilka zakonnice, które wbrew obyczajom klasztornym znalazły się w obecności pięciu mężczyzn.

- Matko - rzekł Atos biorąc d'Artagnana pod ramię - pozostawiamy twojej pieczy ciało tej nieszczęsnej kobiety. Była aniołem na ziemi, zanim została aniołem w niebie. Uważaj ją za jedną ze swych sióstr; powrócimy tu kiedyś, by pomodlić się na jej grobie.

D'Artagnan ukrył twarz na piersi Atosa i wybuchnął płaczem.

- Płacz - rzekł Atos - płacz, serce pełne miłości, młodości i życia! Niestety! Pragnąłbym tak płakać jak ty!

I pociągnął za sobą przyjaciela czuły jak ojciec, niosąc ukojenie jak kapłan, wielki jak człowiek, który wycierpiał wiele.

Wszyscy pięciu w towarzystwie służących, trzymających konie za uzdy, skierowali się ku Bethune, którego przedmieście było widać, i zatrzymali się przed pierwszą napotkaną oberżą.

- Czy nie będziemy ścigać tej kobiety? - zapytał d'Artagnan.

- Później - rzekł Atos. - Mam jeszcze pewne sprawy do załatwienia.

- Ucieknie nam - powiedział młodzieniec. - Ucieknie nam, Atosie, i będzie to twoja wina.

- Odpowiadam za nią - rzekł Atos.

D'Artagnan tak wierzył słowu przyjaciela, że spuścił głowę i wszedł do oberży nic nie mówiąc.

Portos i Aramis spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc, skąd Atos czerpie tę pewność.

Lord Winter pomyślał, że mówi tak dlatego, by ulżyć cierpieniu d'Artagnana.

- A teraz, panowie - rzekł Atos, kiedy się dowiedział, że w oberży jest pięć wolnych pokoi - pójdziemy każdy do siebie. D'Artagnan musi być sam, by płakać i spać. Ja zajmę się wszystkim, bądźcie spokojni.

- Wydaje mi się wszakże - powiedział lord Winter - że jeśli trzeba przedsięwziąć jakieś kroki przeciw hrabinie, mnie to dotyczy: to moja bratowa.

- I mnie - rzekł Atos. - To moja żona.

D'Artagnan uśmiechnął się, zrozumiał bowiem, że Atos jest pewien zemsty, jeśli zdradza tak wielką tajemnicę; Portos i Aramis wymienili spojrzenia błędąc. Lord Winter pomyślał, że Atos oszalał.

- Pójdźcie więc do swych pokoi - rzekł Atos - i pozwólcie mi działać. To moja sprawa, jestem jej mężem. D'Artagnanie, jeśliś nie zgubił papieru, który wypadł z kapelusza tego człowieka, daj mi go; jest tam napisana nazwa miasteczka...

- Ach - rzekł d'Artagnan. - Rozumiem, nazwa napisana jej ręką...

- Widzisz - rzekł Atos - widzisz, że jest Bóg na niebie!

XXXIV.

CZŁOWIEK W CZERWONYM PŁASZCZU

Rozpacz Atosa ustąpiła miejsca skupionemu cierpieniu, dzięki czemu świetny umysł tego człowieka pracował z jeszcze większą jasnością.

Pochłonięty całkowicie myślą, by wypełnić przyrzeczenie, jakie złożył, i odpowiedzialnością, jaką wziął na siebie, ostatni udał się do swego pokoju, poprosił oberżystę, by przyniósł mu mapę prowincji, pochylił się nad nią, zbadał nakreślone linie, stwierdził, że z Bethune do Armentieres prowadzą cztery różne drogi, i zawiązał służących.

Planchet, Grimaud, Mousqueton i Bazin stawili się i otrzymali jasne, dokładne i ważne rozkazy Atosa.

Mieli wyruszyć nazajutrz o wschodzie słońca i udać się do Armentieres, każdy inną drogą. Planchet, najinteligentniejszy z czwórki, miał iść tą drogą, którą umknął powóz; jak pamiętamy, strzelali za nim czterej przyjaciele, a towarzyszył mu służący Rocheforta.

Atos wysłał służących dlatego, że od chwili gdy byli w służbie u niego i jego przyjaciół, mógł stwierdzić, że posiadają rozmaite a cenne zalety.

Poza tym pytania służących budzą w przechodniach mniej nieufności, a więcej sympatii niż pytania panów.

Wreszcie Milady znała panów, a nie znała ich sług; natomiast służący znali doskonale Milady.

Wszyscy czterej mieli się spotkać nazajutrz o jedenastej; jeśli znajdą kryjówkę Milady, trzej zostaną, by jej pilnować, czwarty powróci do Bsthune uprzedzić Atosa i zaprowadzić czterech przyjaciół.

Otrzymawszy te rozkazy służący wyszli.

Wówczas Atos wstał z krzesła, przypiął szpadę, otulił się w płaszcz i wyszedł z oberży; było około dziesiątej. Jak wiadomo, o dziesiątej wieczór na prowincji mało kto chodzi po ulicach. Ale Atos

najwidoczniej szukał kogoś, do kogo mógłby zwrócić się z pytaniem. Wreszcie znalazł spóźnionego przechodnia, podszedł do niego, powiedział mu kilka słów: ów człowiek cofnął się z przerażeniem, odpowiedział wszakże muszkieterowi podając żadaną wiadomość. Atos ofiarował mu pół pistola za towarzystwo, ale tamten odmówił.

Atos szedł ulicą, którą wskazał mu przechodzień, ale znalazłszy się na skrzyżowaniu, stanął znów niepewny. Ponieważ jednak miał nadzieję, że spotka tu kogoś, czekał. Rzeczywiście po chwili zjawił się stróż nocny. Atos powtórzył mu to samo pytanie co przedtem, stróż okazał równe przerażenie, nie chciał Atosowi towarzyszyć i wskazał mu drogę.

Atos ruszył we wskazanym kierunku i doszedł do przedmieścia położonego na krańcu miasta, przeciwnym do tego, przez które wjechali. Tu znowu się zawahał i przystanął po raz trzeci.

Na szczęście przechodził żebrak, który zbliżył się do Atosa, by go poprosić o jałmużnę. Atos ofiarował mu talara za towarzystwo. Żebrak wahał się przez chwilę, ale na widok sztuki srebra, która połyskiwała w ciemności, przystał i ruszył przodem.

Gdy znaleźli się na rogu ulicy, żebrak wskazał w dali samotny i smutny dom. Atos poszedł w stronę tego domu; żebrak, Otrzymawszy zapłatę, uciekał co sił w nogach.

Atos okrążył czerwono pomalowany dom, zanim zauważył drzwi; żadnego światła nie było widać, żaden dźwięk nie wskazywał na to, że dom jest zamieszkały; był ponury i milczący jak grób.

Atos zapukał trzykrotnie, ale nikt mu nie odpowiadał. Dopiero za trzecim razem rozległy się wewnątrz kroki. Wreszcie drzwi się uchyliły i ukazał się wysoki mężczyzna o bladej twarzy okolonej czarnymi włosami i brodą.

Atos i wysoki mężczyzna wymienili po cichu kilka słów, po czym gospodarz dał znak muszkieterowi, żeby wszedł. Atos skorzystał z pozwolenia i drzwi się zamknęły.

Człowiek, do którego Atos przyszedł z tak daleka i którego odnalazł z takim trudem, zaprowadził go do swego laboratorium, gdzie właśnie był zajęty wiązaniem kości szkieletu przy pomocy stalowych

drutów. Korpus był już złożony, tylko czaszka leżała na stole.

Całe urządzenie pokoju wskazywało na to, że mieszkaniec tego domu zajmuje się naukami przyrodniczymi: były tam słoje pełne węzów podzielonych wedle gatunków, wysuszone jaszczurki połyskiwały jak szmaragdy w wielkich ramach z czarnego drzewa, wreszcie wiązki dzikich ziół, pachnących i obdarzonych zapewne cennymi właściwościami, nie znanymi zwyczajnym ludziom, były przyczepione do sufitu i wisały w rogach pokoju.

Nie było tu zresztą ani rodziny, ani służby; wysoki mężczyzna sam mieszkał w tym domu.

Atos spojrzał zimnym i obojętnym okiem na opisane przez nas przedmioty i na zaproszenie gospodarza usiadł.

Wyjaśnił mu powód swej wizyty i powiedział, o jaką usługę go prosi, ale zaledwie wyłożył swą prośbę, gdy nieznajomy, który stał właśnie przed muszkietерem, cofnął się z przerażeniem i odmówił. Wówczas Atos wyciągnął z kieszeni niewielki papier, na którym były dwie linijki pisma, pieczęć i podpis, pokazał go temu, co przedwcześnie okazał niechęć. Wysoki mężczyzna, zaledwie spojrzał na papier, podpis i pieczęć, skłonił się na znak, że żadnych nie widzi już przeszkód i gotów jest usłuchać.

Atos nie żądał nic więcej; wstał, pożegnał gospodarza, wyszedł, ruszył tą samą drogą, wrócił do oberży i zamknął się w swoim pokoju.

O świcie d'Artagnan wszedł do pokoju Atosa i zapytał, co należy robić.

- Czekać - odparł Atos.

W kilka chwil potem przełożona klasztoru zawiadomiła muszkietерów, że pogrzeb odbędzie się w południe. O trucicielce nie miano wiadomości: wiedzano tylko, że uciekła przez ogród po piasku, na którym rozpoznano ślady jej stóp; furtka od ogrodu była zamknięta, klucz zniknął.

O oznaczonej godzinie lord Winter i czterej przyjaciele udali się do klasztoru; dzwony biły, kaplica była otwarta, krata od chóru zamknięta. Pośrodku chóru było ustawione ciało ofiary obleczone w habit nowicjuszki. Po obu stronach, na chórze i za kratami prowadzącymi do klasztoru, zgromadziły się wszystkie mniszki; słuchały mszy i śpiewały wraz z kapłanem, nie widząc ludzi świeckich i nie będąc przez nich widziane.

Po wejściu do kaplicy d'Artagnan poczuł, jak znów opuszcza go odwaga; odwrócił się, by spojrzeć na Atosa, ale Atosa nie było.

Pamiętając o spoczywającym na nim zadaniu, Atos udał się do ogrodu: tu, na piasku, idąc za lekkim odbiciem stóp tej kobiety, która wszędzie, gdziekolwiek przeszła, zostawiała za sobą krwawe ślady,

doszedł do furtki prowadzącej do lasu, kazał ją otworzyć i wszedł w las.

Sprawdziły się wszystkie jego podejrzenia: droga, którą jechał powóz, obiegała las. Atos szedł chwilę z oczyma wbitymi w ziemię; lekkie plamy krwi, którą broczył człowiek towarzyszący powozowi konno lub ranny koń, znaczyły drogę.

W odległości trzech czwartych mili od Festubert ujrzał wielką plamę krwi; ziemia była tu poryta kopytami koni. Pomiędzy lasem a tym miejscem zdradzieckim, nieco wstecz od porytej ziemi, można było zobaczyć te same ślady małych stóp co w ogrodzie; tu stanął powóz.

W tym miejscu Milady wyszła z lasu i wsiadła do powozu.

Zadowolony z tego odkrycia potwierdzającego jego przypuszczenia, Atos powrócił do oberży, gdzie zastał Plancheta czekającego nań niecierpliwie.

Wszystko stało się tak, jak przewidział Atos.

Planchet szedł drogą, podobnie jak Atos zauważył ślady krwi i jak Atos rozpoznał miejsce, gdzie zatrzymały się konie; ale poszedł dalej niż Atos i we wsi Festubert, gdy pił w oberży, dowiedział się przypadkiem, że poprzedniego dnia o wpół do dziewiątej wieczór ranny mężczyzna, który towarzyszył damie w powozie pocztowym, musiał się zatrzymać nie mogąc jechać dalej. Wypadek

uznano za sprawę złodziei, którzy zatrzymali jakoby powóz w lesie. Mężczyzna został we wsi, kobieta pojechała dalej.

Planchet zaczął szukać pocztyliona, który prowadził powóz, i znalazł go. Odwiózł on damę do Fromelles, skąd udała się do Armentieres. Planchet ruszył na przełaj i o siódmej rano był w Armentieres.

Była tam tylko jedna oberża, a mianowicie oberża pocztowa. Planchet podał się za służącego, który szuka pracy. Rozmawiał zaledwie dziesięć minut z ludźmi w oberży, kiedy już wiedział, że o jedenastej wieczór przybyła tu samotna kobieta, zajęła pokój, wezwała oberżystę i powiedziała mu, że chciałaby spędzić jakiś czas w okolicy.

Planchet wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Pośpieszył do kolegów, znalazł ich na umówionym miejscu, postawił na straży przy wszystkich wyjściach z oberży i zjawił się u Atosa; właśnie kończyli rozmowę, gdy weszli przyjaciele.

Wszystkie twarze były ponure, nawet łagodna twarz Aramisa.

- Co mamy robić? - zapytał d'Artagnan.

- Czekać - odparł Atos.

Każdy udał się do swego pokoju.

O ósmej wieczór Atos kazał osiodłać konie i uprzedzić lorda Wintera oraz przyjaciół, by przygotowali się do drogi.

W mgnieniu oka wszyscy pięciu byli gotowi, opatrzyli i nabili broń. Atos przyszedł ostatni; d'Artagnan siedział już na koniu, nagłąc do odjazdu.

- Cierpliwości - rzekł Atos. - Brak nam jeszcze kogoś.

Czterej jeźdźcy rozejrzeli się wokoło ze zdumieniem, zastanawiając się, kogo też może brakować.

W tej chwili Planchet przyprowadził konia Atosa; muszkieter wskoczył lekko na siodło.

- Zaczekajcie na mnie - rzekł - zaraz wracam.

I ruszył galopem.

W piętnaście minut potem wrócił w towarzystwie mężczyzny w wielkim czerwonym płaszczu i w masce na twarzy.

Lord Winter i trzech muszkieterowie wymienili pytające spojrzenia. Żaden z nich nie mógł wyjaśnić drugich, nikt bowiem nie znał tego człowieka. Pomyśleli jednak, że tak być musi, skoro to Atos zarządził.

O dziewiątej mała kawalkada prowadzona przez Plancheta ruszyła w drogę śladami powozu.

Smutny był widok owych sześciu mężczyzn jadących w milczeniu, pogrążonych w myślach ponurych jak rozpacz, mrocznych jak kara.

XXXV.

SĄD

Była to burzliwa i ciemna noc. Wielkie chmury przebiegały po niebie zasłaniając światło gwiazd; księżyc miał wzejść dopiero o północy.

Niekiedy w świetle błyskawicy przecinającej horyzont widać było pustą i białą drogę; potem światło gasło i wszystko znów pogrążało się w ciemności.

Co chwila Atos wołał d'Artagnana, wciąż jadącego na przedzie, i nakazywał mu wrócić do szeregu, ale zaraz potem d'Artagnan znów wysuwał się na czoło; myślał tylko o tym, by pędzić przed siebie.

W ciszy przejechali przez Festubert, gdzie pozostał ranny służący, potem przecięli las Richebourg; gdy znaleźli się w Herlier, Planchet prowadzący grupę skręcił na lewo.

Lord Winter, Portos i Aramis próbowali kilkakrotnie nawiązać rozmowę z mężczyzną w czerwonym płaszczu; ale na każde pytanie kłaniał się tylko, nie dając odpowiedzi. Podróżni zrozumieli więc, że jest jakaś przyczyna, dla której nieznajomy milczy, i przestali zwracać się do niego.

Burza wciąż się wzmagala, błyskawice przecinały niebo jedna po drugiej, rozlegały się grzmoty, a wiatr, zwiastun huraganu, rozwiewał pióra i włosy jeźdźców.

Kawalkada jechała teraz cwałem.

Niedaleko za Fromelles zaczęła się ulewa, jeźdźcy owinęli się w płaszcze.

Pozostały jeszcze trzy mile do przebycia, które przejechano pod potokami deszczu.

D'Artagnan zdjął kapelusz i nie włożył płaszcza: przyjemnie mu było, że woda spływa z płonącego czoła i chłodzi ciało wstrząsane gorączkowym dreszczem.

W chwili kiedy mała grupa minęła Goskal i skierowała się ku stacji pocztowej, człowiek ukryty pod drzewem i niewidoczny w ciemnościach wyszedł na środek drogi, kładąc palec na ustach.

Atos poznał Grimauda.

- Co się stało? - zawołał d'Artagnan. - Czyżby opuściła Armentieres?

Grimaud skinął potakująco głową. D'Artagnan zazgrzytał zębami.

- Spokojnie, d'Artagnanie! - rzekł Atos. - Ja zająłem się wszystkim i moją jest rzeczą pytać Grimauda.

- Gdzie ona jest? - zapytał Atos.

Grimaud wyciągnął rękę w stronę Lys.

- Daleko stąd? - zapytał Atos.

Grimaud pokazał swemu panu zgięty palec wskazujący.

- Sama? - zapytał Atos.

Grimaud skinął głową, że tak.

- Panowie - rzekł Atos - jest sama, w odległości pół mili stąd w stronę rzeki.

- Dobrze - rzekł d'Artagnan. - Zaprowadź nas, Grimaud.

Grimaud ruszył naprzód, a za nim kawalkada. Po przebyciu jakich pięciuset kroków znaleźli się nad strumykiem i przejechali go w bród.

W świetle błyskawicy ujrzeli wieś Enguinghem.

- To tu, Grimaud? - zapytał Atos.

Grimaud przecząco poruszył głową.

- Spokojnie!-rzekł Atos.

Jechali dalej.

Znowu zaślniła błyskawica; Grimaud wyciągnął rękę i w świetle niebieskawego ognistego węża ujrzeli mały samotny dom na brzegu rzeki, w odległości stu kroków od promu.

W oknie paliło się światło.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Atos.

W tej samej chwili człowiek leżący w rowie powstał. Był to Mousqueton; wskazał palcem oświetlone okno.

- Jest tutaj - rzekł.

- A Bazin? - zapytał Atos.

- Pilnowałem okna, on pilnował drzwi.

- Dobrze - rzekł Atos. - Jesteście wierni słudzy.

Atos zeskoczył z konia, rzucił uzdę Grimaudowi i podszedł do okna, dając znak towarzyszom, by zatrzymali się przy drzwiach.

Mały dom był otoczony żywopłotem, wysokim na dwie lub trzy stopy; Atos przeskoczył żywopłot, podszedł do okna: okiennic nie było, ale krótkie firanki zasłaniały szyby.

Wspiął się na występ kamienny, by zajrzeć do wnętrza ponad firankami.

W świetle lampy ujrzał kobietę w ciemnym płaszczu siedzącą na stołku obok gasnącego ognia: łokcie wsparła na nędznym stole, głowę opuściła na ręce, białe jak z kości słoniowej.

Nie można było dostrzec jej twarzy, ale gorzki uśmiech pojawił się na wargach Atosa: nie mylił się, była to ta, której szukał.

W tej chwili zarżał koń; Milady podniosła głowę, ujrzała tuż przy szybie bladą twarz Atosa i krzyknęła.

Atos zrozumiał, że został poznany, pchnął okno kolanem i ręką, okno ustąpiło, szyby wypadły...

Atos niczym widmo zemsty wskoczył do pokoju.

Milady podbiegła do drzwi i otworzyła je; na progu stał d'Artagnan, jeszcze bledszy i bardziej groźny od Atosa.

Milady cofnęła się wydając okrzyk. D'Artagnan sądząc, że może mu się wymknąć, i w obawie, by do tego nie doszło, wyciągnął pistolet zza pasa; ale Atos podniósł rękę.

- Schowaj broń, d'Artagnanie - rzekł. - Ta kobieta ma być sądzona, a nie zamordowana. Poczekaj jeszcze chwilę, a twoim pragnieniom stanie się zadość. Wejdźcie, panowie.

D'Artagnan usłuchał, Atos przemawiał bardzo uroczystym głosem i ruch jego ręki był tak władczy, jakby był sędzią zesłanym przez samego Boga. Za d'Artagnanem weszli Portos, Aramis, lord Winter i mężczyzna w czerwonym płaszczu.

Czterej służący pilnowali drzwi i okna.

Milady opadła na krzesło, ręce wyciągnęła przed siebie, jak gdyby chciała odepchnąć to straszliwe widmo; widząc swego szwagra krzyknęła okropnie.

- Czego chcecie? - zawołała Milady.

- Chcemy Karoliny Backson, która zwała się wpierw hrabiną de La Fere, potem lady Winter, baronową Sheffield.

- To ja, to ja - wyszeptała straszliwie przerażona. - Czego chcecie ode mnie?

- Chcemy cię sądzić wedle twych zbrodni - rzekł Atos. - Wolno ci się bronić, tłumacz się, jeśli potrafisz. D'Artagnanie, ty oskarżasz pierwszy.

D'Artagnan wystąpił naprzód.

- Przed Bogiem i ludźmi oskarżani tę kobietę, że otruła Konstancję Bonacieux, zmarłą wczoraj wieczór.

Zwrócił się do Portosa i Aramisa.

- Poświadczamy - powiedzieli jednocześnie dwaj muszkietierowie.

D'Artagnan ciągnął dalej.

- Przed Bogiem i przed ludźmi oskarżam tę kobietę, że chciała otruć mnie winem, które przysłano mi z Anjou wraz ze sfałszowanym listem, donoszącym, jakoby to wino było darem mych przyjaciół; Bóg mnie uratował, ale inny człowiek umarł zamiast mnie: nazywał się Brisemont.

- Poświadczamy - rzekli jednakim głosem Portos i Aramis.

- Przed Bogiem i przed ludźmi oskarżam tę kobietę, że popychała mnie do zabójstwa barona de Wardes; a że nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić to oskarżenie, czynię to sam. Powiedziałem.

I d'Artagnan przeszedł na drugą stronę pokoju wraz z Portosem i Aramisem.

- Kolej na pana, milordzie! - rzekł Atos.

Baron wystąpił naprzód.

- Przed Bogiem i przed ludźmi oskarżam tę kobietę o zamordowanie księcia Buckingham.

- Księżę Buckingham zamordowany?! - zawołali jednocześnie wszyscy obecni.

- Tak - rzekł baron - zamordowany! Otrzymawszy od was list z ostrzeżeniem kazałem zatrzymać tę kobietę i oddałem ją pod straż wiernego sługi; uwiodła go, włożyła mu sztylet do ręki, kazała mu zabić księcia i być może w tej właśnie chwili Felton płaci głową za zbrodnię tej furii.

Dreszcz wstrząsnął sędziami na wiadomość o tych nie znanych jeszcze zbrodniach.

- To nie wszystko - mówił dalej lord Winter. - Mój brat, który cię uczynił spadkobierczynią, zmarł w ciągu trzech godzin na dziwną chorobę, która pozostawia sine plamy na całym ciele. Siostró, jak zmarł twój mąż?

- Potwór! - zawołali Portos i Aramis.

- Morderczyni Buckingham, morderczyni Feltona, morderczyni mego brata, żądam, by wymierzono ci sprawiedliwość i oświadczam, że jeśli nie stanie się zadość moim żądaniom, sam ją wymierzę.

Za czym lord Winter przeszedł na stronę d'Artagnana, pozostawiając wolne miejsce następnemu

oskarżycielowi.

Nieznajomy poczekał, aż zapadnie cisza.

- Powiedziałem wam przecie, że mnie poznała - rzekł. - Tak, jestem katem miasta Lilie, a oto moja historia:

Wszystkie spojrzenia skierowały się na tego człowieka, którego słów oczekiwano z zaciekawieniem i obawą.

I mężczyzna w czerwonym płaszczu wystąpił naprzód.

- Co to za człowiek, co to za człowiek?! - zawołała Milady wstrząsana strachem; rozpuszczone włosy podniosły się jak żywe nad jej zsiniałą twarzą.

Wszyscy patrzyli na niego, ponieważ prócz Atosa nikt go tu nie znał.

Zresztą i Atos spoglądał na mężczyznę w czerwonym płaszczu z równym zdumieniem jak inni, nie rozumiał bowiem, jakim sposobem może on być wmieszany w straszliwy dramat, który w tej chwili dobiegał końca.

Nieznajomy zbliżył się do Milady krokiem wolnym i uroczystym, tak że tylko stół ich dzielił i zdjął maskę.

Milady patrzyła przez jakiś czas ze wzrastającym przerażeniem na tę bladą twarz, obramowaną czarnymi włosami i faworytami, zimną i niewzruszoną; potem zawołała nagle, wstając i cofając się aż do ściany:

- O, nie, nie! Nie, nie! To piekielna zjawa! To nie on! Do mnie! Do mnie - krzyknęła ochryłym głosem, odwracając się do ściany, jak gdyby chciała ją otworzyć rękami.

- Ale któż to jest? - zawołali świadkowie tej sceny.

- Zapytajcie tej kobiety - rzekł mężczyzna w czerwonym płaszczu. - Widzicie przecież, że mnie poznała.

- Kat z Lilie, kat z Lilie! - krzyknęła Milady oszalała ze strachu, wpijając się rękami w ścianę, by nie upaść.

Wszyscy się odsunęli i. tylko mężczyzna w czerwonym płaszczu został sam pośrodku pokoju.

- O, łaski, łaski, przebaczenia! - wołała nędznica padając na kolana.

Milady opuściła czoło na ręce i próbowała zebrać pomieszane myśli; uczuła śmiertelny zawrót głowy.

- Teraz kolej na mnie! - zawołał Atos drżąc, jak lew drży na widok węża. - Poślubiłem tę kobietę, kiedy była młodą dziewczyną, poślubiłem ją wbrew woli mej rodziny; ofiarowałem jej bogactwa, dałem jej swe nazwisko; pewnego dnia spostrzegłem, że ta kobieta jest napiętnowana: na ramieniu miała wypalony kwiat lilii.

- O - rzekła Milady wstając - znajdźcie mi trybunał, który wydał na mnie ten niegodny wyrok! Znajdźcie tego, który wyrok wykonał.

- Spokojnie - rzekł jakiś głos. - Ja na to odpowiem!

- „Ta młoda kobieta była ongi młodą dziewczyną, równie piękną jak dzisiaj, zakonnica w klasztorze benedyktynek w Templemar. Młody ksiądz o sercu czystym i wierzącym był kapłanem w tym klasztorze: postanowiła go uwieść i dokonała tego; uwiodłaby świętego.

Oboje złożyli śluby święte i nieodwracalne: ich związek nie mógł trwać długo i musiał doprowadzić ich do zguby. Wymogła na nim, że opuszczą tę prowincję, ale na to, by opuścić prowincję, by uciec razem, by przedostać się do innej części Francji, gdzie nieznanymi mogliby żyć w spokoju, trzeba było pieniędzy; ni jedno, ni drugie ich nie miało. Ksiądz ukradł poświęcane naczynia i sprzedał je, ale kiedy już mieli wyruszyć, pochwycono ich.

W osiem dni potem uwiodła syna strażnika i uciekła. Młody ksiądz został skazany na dziesięć lat kajdan i napiętnowanie. Byłem katem miasta Lilie, jak powiada ta kobieta. Musiałem napiętnować winowajcę, a winowajcą, panowie, był mój brat.

Przysięgłem wówczas, że ta kobieta, która go zgubiła, która była więcej niż jego współniczką, skoro go popchnęła do zbrodni, poniesie przynajmniej karę wraz z nim. Domyśliłem się, gdzie się ukrywa, udałem się za nią, pochwytyłem i wypaliłem jej to samo piętno co memu bratu.

Nazajutrz po moim powrocie do Lilie mój brat uciekł; oskarżono mnie o współudział i skazano zamiast niego na więzienie, dopóki on sam się nie zjawi.

Mój biedny brat nie wiedział o tym wyroku. Odnalazł tę kobietę, uciekli razem do Berry; tam otrzymał małe probostwo. Ona uchodziła za jego siostrę.

Pan władający ziemiami, na których znajdowało się probostwo, ujrzał rzekomą siostrę i tak się w niej zakochał, że zechciał ją poślubić. Wówczas porzuciła tego, kogo zgubiła, dla tego, kogo miała zgubić, i została hrabiną de La Fere...”

Wszystkie oczy zwróciły się na Atosa, było to bowiem jego prawdziwe nazwisko, i Atos dał znak

głową, że słowa kata są prawdą.

- „Wówczas - ciągnął dalej kat - mój biedny brat, oszalały, zrozpaczony, postanowił zakończyć życie, które ona ze wszystkiego odarła, pozbawiając go i honoru, i szczęścia, i wrócił do Lilie; dowiedziawszy się, że zostałem skazany zamiast niego, stawił się w więzieniu i powiesił się tego samego dnia na okiennicy w swym lochu.

Zresztą muszę oddać sprawiedliwość tym, co mnie uwięzili: dotrzymani słowa. Ledwo stwierdzono tożsamość zwłok, zwrócono mi wolność.

Oto zbrodnia, o jaką ją oskarżam; oto przyczyna, dla której została napiętnowana”.

- Mości d'Artagnanie - rzekł Atos - jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

- Kary śmierci - odparł d'Artagnan.

- Milordzie Winter - ciągnął Atos - jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

- Kary śmierci - odparł lord Winter.

- Portosie i Aramisie, którzy jesteście jej sędziami, jakiej kary żądacie dla tej kobiety?

- Kary śmierci - odpowiedzieli głuchym głosem dwaj muszkieterowie.

Milady jęknęła straszliwie i na kolanach przyczołgała się do sędziów.

Atos wyciągnął ku niej rękę.

- Karolino Backson, hrabino de La Pere, milady Winter - powiedział – twoje zbrodnie uprzykrzyły się ludziom na ziemi i Bogu w niebie. Jeśli znasz jakieś modlitwy, zmów je, jesteś bowiem skazana i umrzesz.

Na te słowa, które nie pozostawiały jej żadnej nadziei, Milady wstała i wyprostowała się chcąc mówić, ale zabrakło jej sił; czuła, że jakaś potężna i niewidoczna ręka chwyta ją za włosy i wlecze nieubłaganie jak przeznaczenie; nie próbowała więc nawet stawiać oporu i wyszła z domu.

Lord Winter, d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis wyszli w ślad za nią. Służący ruszyli za panami zostawiając pusty pokój z rozbitym oknem, otwartymi drzwiami i kopcącą lampą, która płonęła smutno na stole.

XXXVI.

EGZEKUCJA

Była blisko północ; sierp księżycy, krwawy od ostatnich śladów burzy, wschodził za Armentieres, a w jego bladym świetle widać było ciemne sylwety domów i ażurowy rysunek wysokiej dzwonnicy. Na wprost Lys toczyła swe wody niby strumień roztopionej cyny; na drugim brzegu czarna masa drzew rysowała się na tle burzliwego nieba przestłoniętego wielkimi miedzianymi chmurami; zdawało się, że jest zmierzch pośrodku nocy. Na lewo wznosił się stary opuszczony młyn o nieruchomych skrzydłach; w jego ruinach rozbrzmiewał ostry, monotony i wciąż powtarzający się krzyk sowy. Tam i sam na równinie, na lewo i prawo od drogi, którą postępował posepny orszak, rosły niskie i przysadziste drzewa podobne do niekształtnych karłów, które przykucnęły, by pilnować ludzi o tej

smutnej godzinie.

Od czasu do czasu szeroka błyskawica oświetlała cały horyzont, wiła się nad czarną masą drzew i niczym straszliwy bułat przecinała niebo i wodę na dwie połowy. Powietrze było ciężkie i nieruchome. Śmiertelna cisza przytłaczała naturę, ziemia była wilgotna i śliska po niedawnym deszczu, trawy pachniały mocno.

Dwaj służący prowadzili Milady pod ramiona; z tyłu szedł kat, a za katem postępowali lord Winter, d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis.

Planchet i Bazin zamykali orszak.

Dwaj służący prowadzili Milady w stronę rzeki. Milady milczała, ale jej oczy z nieopisaną wymową błagały kolejno każdego, na kogo spojrzała.

Kiedy znajdowała się o kilka kroków przed innymi, rzekła do służących.

- Tysiąc pistoli dla każdego, jeśli pomożecie mi w ucieczce; ale jeśli wydadcie mnie swym panom, wiedzcie, że blisko są ludzie, którzy mnie pomszczą i każą wam drogo zapłacić za mą śmierć.

Grimaud wahał się. Mousoueton drżał cały.

Atos, który usłyszał głos Milady, zbliżył się szybko, lord Winter zrobił to samo.

- Trzeba odprawić tych służących - powiedział. - Mówiła do nich, nie są już pewni.

Zawołano Plancheta i Bazina, którzy zajęli miejsce Grimauda i Mousquetona.

Gdy znaleźli się nad brzegiem rzeki, kat podszedł do Milady i związał jej ręce i nogi.

Wówczas przerwała ciszę i zawołała:

- Jesteście nikczemni, jesteście nędzni mordercy, w dziesięciu zabijacie jedną kobietę: miejcie się na baczności, jeśli nawet nikt nie przyjdzie mi na pomoc, zostanę i tak pomszczona.

- Nie jesteś kobietą - rzekł zimno Atos. - Nie należysz do rodzaju ludzkiego, jesteś demonem, który uciekł z piekieł i którego odeślemy do piekieł z powrotem.

- Ach, cnotliwi panowie! - rzekła Milady. - Zważcie, że ten, kto dotknie włosa na mej głowie, sam staje się mordercą.

- Kat może zabijać nie stając się mordercą, pani - rzekł mężczyzna w czerwonym płaszczu, uderzając ręką po szerokim mieczu. - To ostatni sędzia, Nachrichten, jak mówią nasi sąsiedzi Niemcy.

Mówiąc te słowa wiązał Milady, a ona krzyknęła kilka razy dziko; głos jej zabrzmiał ponuro i dziwnie pośród nocy i zginął w głębi lasu.

- Ale jeśli jestem winna, jeśli popełniłam zbrodnię, o które mnie oskarżacie - wyła Milady - zaprowadźcie mnie przed trybunał; nie jesteście sędziami, żeby mnie skazywać!

- Proponowałem ci Tybum - rzekł lord Winter. - Dlaczego się nie zgodziłaś?

- Bo nie chcę umrzeć! - zawołała Milady szarpiąc więzy. - Bo jestem zbyt młoda, by umrzeć!

- Kobieta, którą otrułaś w Bethune, była jeszcze młodsza od ciebie, pani, a jednak nie żyje - rzekł d'Artagnan.

- Wstąpię do klasztoru, zostanę zakonnica - rzekła Milady.

- Byłaś w klasztorze - rzekł kat - i wyszłaś stamtąd, by zgubić mego brata.

Milady wydała okrzyk przerażenia i upadła na kolana.

Kat chwycił ją za ramiona i chciał zanieść do łódki.

- O, mój Boże, mój Boże! - zawołała. - Więc chcecie mnie utopić!

Te krzyki były tak rozdzierające, że d'Artagnan, który z początku ścigał ją najzawzięciej, opadł na pień drzewa, zwiesił głowę i zatkał sobie uszy dłońmi; mimo to słyszał wciąż jej groźby i krzyki.

D'Artagnan był najmłodszy ze wszystkich; zabrakło mu sił.

- Och, nie mogę patrzeć na to straszliwe widowisko! Nie mogę się zgodzić, żeby ta kobieta umarła w ten sposób.

Milady usłyszała te słowa i poczuła drgnienie nadziei.

- D'Artagnanie, d'Artagnanie! - zawołała. - Przypomnij sobie, że cię kochałam!

Młodzieniec wstał i postąpił krok ku niej.

Ale Atos wyciągnął szpadę i zagroził mu drogę.

- Jeśli postąpisz jeszcze krok, d'Artagnanie, skrzyżujemy szpady.

D'Artagnan padł na kolana i zaczął się modlić.

- Kacie - rzekł Atos - czyn swą powinność.

- Chętnie, wielmożny panie - powiedział kat - bo wierzę święcie, jakem dobry katolik, że sprawiedliwie wypełniam wyrok na tej kobiecie.

- Dobrze.

Atos postąpił krok w stronę Milady.

- Przebaczam ci zło, któreś mi wyrządziła - powiedział - przebaczam ci, żeś mi złamała życie, pozbawiła honoru, skalała mą miłość, żeś mnie wtrąciła w rozpacz i że nie ma dla mnie zbawienia na wieki. Umieraj w pokoju.

Lord Winter zbliżył się z kolei.

- Przebaczam ci - rzekł - otrucie mego brata, zabójstwo Jego Wysokości Lorda Buckingham; przebaczam ci śmierć biednego Feltona; przebaczam ci zamachy na moje życie. Umieraj w pokoju. - A ja - rzekł d'Artagnan - proszę cię o wybaczenie, pani, że podstępem niegodnym szlachcica wywołałem twój gniew; w zamian za to przebaczam ci zabójstwo mojej biednej przyjaciółki i twoją okrutną zemstę; przebaczam ci i płaczę nad tobą. Umieraj w pokoju.

- I am lost! - szepnęła po angielsku Milady. - I must die*.

Wstała o własnych siłach i rzuciła wokół spojrzenie, które zdawało się z płomienia.

Nie zobaczyła nic.

Nasłuchiwała, ale nie usłyszała nic.

Dokoła miała tylko nieprzyjaciół.

- Gdzie mam umrzeć? - spytała.

- Na drugim brzegu - odparł kat.

Za czym zaprowadził ją do łodzi. Kiedy sam do niej wchodził, Atos podał mu sakiewkę ze złotem.

- Weź - rzekł. - Oto zapłata za wykonanie wyroku. Niechaj będzie wiadome, że działamy jako sędziowie.

- Dobrze - rzekł kat. - A teraz niechaj ta kobieta wie, że nie wykonuję swego rzemiosła, lecz obowiązek.

I wrzucił pieniądze do rzeki.

Łódź płynęła ku lewemu brzegowi Lys, unosząc winowajczynię i wykonawcę wyroku: wszyscy inni pozostali na prawym brzegu i padli na kolana.

Łódź ślizgała się powoli wzdłuż liny promu, w blasku bladej chmury, która zawisała nad wodą.

Widziano, jak przybili do brzegu; sylwetki odcinały się czarno na czerwonym horyzoncie.

Milady podczas przejazdu udało się rozwiązać sznur krępujący nogi, gdy przybili do brzegu, wyskoczyła lekko na ziemię i rzuciła się do ucieczki.

Ale ziemia była wilgotna; na szczycie wzgórza Milady pośliznęła się i upadła na kolana.

Przesądna, pomyślała zapewne, że niebo odmawia jej pomocy, i pozostała w tej pozycji, z głową pochyloną i złożonymi dłońmi.

Wówczas z drugiego brzegu ujrzano, jak kat wznosił obie ręce; promień księżyca zaśnił na ostrzu jego szerokiego miecza, ręce opadły, usłyszano świst miecza, krzyk ofiary i tułów bez głowy osunął się na ziemię.

Kat odpiął czerwony płaszcz, złożył w nim ciało i głowę, związał cztery rogi, zarzucił sobie ciężar na ramię i wszedł do łódki.

Kiedy znalazł się pośrodku Lys, zatrzymał łódź i wznosząc swój ciężar nad wodą, zawołał wielkim głosem:

- Niechaj stanie się zadość sprawiedliwości bożej!

* I am tost! I must die (ang.) - Jestem zgubiona! Muszę umrzeć.

Za czym opuścił trupa w głąb wody, która zamknęła się nad nim.

W trzy dni potem czterej muszkietierowie wrócili do Paryża; byli jeszcze wolni od służby i wieczorem mogli się udać z wizytą do pana de Treville.

- I cóż, panowie - zapytał ich dzielny kapitan - bawiliście się dobrze na wycieczce?

- Wybornie! - odparł Atos we własnym imieniu i w imieniu towarzyszy.

ZAKOŃCZENIE

Dnia szóstego następnego miesiąca król, dotrzymując obietnicy, jaką złożył kardynałowi, że opuści Paryż i wróci do La Rochelle, wyjechał, oszołomiony jeszcze wieścią o zabójstwie księcia Buckingham.

Chociaż królowa była uprzedzona, że człowiek, którego tak kochała, wystawiony jest na niebezpieczeństwo, nie chciała uwierzyć w tę śmierć i zapominając o ostrożności krzyknęła:

- To kłamstwo! Przecież pisał do mnie.

Ale nazajutrz musiała uwierzyć w tę okropną nowinę; La Porte, jak wszyscy zatrzymany w Anglii na skutek rozkazu króla Karola I, powrócił wioząc ostatni żałobny podarek od Buckingham dla królowej.

Radość króla była wielka; nie zadał sobie trudu, by ją ukryć, okazał ją nawet królowej. Ludwik XIII, jak wszyscy ludzie słabego ducha, nie odznaczał się wspaniałomyślnością.

Ale niebawem król posmutniał: jego czoło nie rozjaśniało się nigdy na długo: czuł, że wracając do obozu udaje się w niewolę, ale mimo to powrócił.

Kardynał czarował go jak wąż ptaka, który choć skacze z gałęzi na gałąź, nie może umknąć.

Powrót do La Rochelle był bardzo smutny. Nasi czterej przyjaciele budzili zdumienie swych towarzyszy: jechali obok siebie z mrocznym spojrzeniem i spuszczonej głowami. Tylko Atos podnosił od czasu do czasu szerokie czoło; błysk światła płonął w jego oczach, gorzki uśmiech przebiegał po ustach, potem, podobnie jak towarzysze, pogrążał się w rozmyślaniach.

Gdy tylko eskorta przyjeżdżała do jakiegoś miasta i muszkietierowie odprowadzili króla na spoczynek, przyjaciele szli do swej kwatery lub jakiejś odosobnionej oberży, gdzie nie grali i nie pili; rozmawiali tylko cicho, rozglądając się uważnie, czy nikt ich nie słyszy.

Pewnego dnia, kiedy król zarządził postój, by zapolować na srokę, a czterej przyjaciele wedle swego zwyczaju, zamiast polować, udali się do oberży przy głównym trakcie, jakiś mężczyzna, jadący do La Rochelle konno, zatrzymał się przy drzwiach, by wypić szklankę wina, i zajrzał w głąb izby, gdzie

czterej muszkietierowie siedzieli przy stole.

- Hola! Mości d'Artagnanie! - rzekł. - Ciebie to widzę?

D'Artagnan podniósł głowę i krzyknął z radości. Ów nieznajomy, którego nazywał swym widmem, był człowiekiem z Meung, z ulicy des Fossoyeurs i z Arras.

Młodzieniec wyciągnął szpadę i skoczył ku drzwiom.

Ale tym razem nieznajomy, zamiast uciekać, zeskoczył z konia i ruszył d'Artagnanowi naprzeciw.

- Ach, panie - rzekł młodzieniec - spotykam cię wreszcie! Tym razem mi nie umkniesz.

- Nie jest to moim zamiarem, panie, tym razem bowiem sam cię szukałem; aresztuję cię w imieniu króla. Oddaj mi szpadę, i to nie stawiając oporu, powiadam; uprzedzam cię, że to sprawa gardłowa.

- Kim pan jest?-zapytał d'Artagnan opuszczając szpadę, ale nie oddając jej.

- Jestem kawaler de Rochefort - odparł nieznajomy - giermek kardynała de Richelieu i mam rozkaz odprowadzić cię do Jego Eminencji.

- Udajemy się do Jego Eminencji, panie kawalerze - rzekł Atos występując naprzód - i zechcesz zaufać słowu pana d'Artagnana, który wprost stąd pojedzie do La Rochelle.

- Mam oddać pana d'Artagnana w ręce straży, która zaprowadzi go do obozu.

- My będziemy jego strażą, panie, parol szlachcica; ale i parol - rzekł Atos marszcząc brew - że pan d'Artagnan nas nie opuści.

Kawaler de Rochefort obejrzał się za siebie i ujrzał Portosa i Aramisa stojących między nim a drzwiami; zrozumiał, że jest całkowicie zdany na łaskę tych czterech ludzi.

- Panowie - powiedział - jeśli pan d'Artagnan zechce mi dać swoją szpadę i dołączyć swe słowo do słów panów, zadowolę się waszą obietnicą, że zaprowadzicie go do kwatery Jego Dostojsności.

- Masz moje słowo - rzekł d'Artagnan - a oto moja szpada.

- Jest mi to tym dogodniejsze - dodał Rochefort - że muszę jechać dalej.

- Jeśli jedziesz pan po to, by zobaczyć się z Milady - rzekł zimno Atos - jedziesz na próżno; nie znajdziesz jej.

- Cóż się z nią stało? - zapytał żywo Rochefort.

- Wróć do obozu, a dowiesz się.

Rochefort namyślał się przez chwilę, ponieważ jednak znajdowali się tylko o dzień drogi od Surgeres, dokąd kardynał miał wyjechać na spotkanie króla, postanowił pójść za radą Atosa i wrócić wraz z nimi.

Zresztą wracając sam mógł pilnować więźnia.

Ruszono w drogę.

Nazajutrz o trzeciej po południu przybyli do Surgeres. Kardynał czekał tu na Ludwika XIII. Minister i król wymienili uprzejmości i powinszowali sobie szczęśliwego przypadku, który wybawił Francję od zawziętego wroga podburzającego przeciw niej całą Europę. Potem kardynał, uprzedzony przez Rocheforta o aresztowaniu d'Artagnana, którego spieszno mu było zobaczyć, pożegnał króla prosząc, by przybył nazajutrz obejrzeć gotową już tamę.

Wracając wieczorem do swojej kwatery przy Kamiennym Moście kardynał ujrzał przed drzwiami domu d'Artagnana bez szpady i trzech jego przyjaciół przy broni.

Tym razem, ponieważ był góram, spojrzął na nich surowo, spojrzeniem i ruchem ręki dając znak d'Artagnanowi, by szedł za nim.

D'Artagnan usłuchał.

- Czekamy na ciebie, d'Artagnanie - rzekł Atos dość głośno, by kardynał mógł go usłyszeć.

Jego Eminencja zmarszczył brew, przystanął na chwilę, za czym szedł dalej, nie mówiąc słowa.

D'Artagnan wszedł za kardynałem. Przy drzwiach stała straż.

Jego Eminencja udał się do pokoju, który służył mu za gabinet, i dał znak Rochefortowi, by wprowadził młodego muszkietera.

Rochefort wykonał rozkaz i wyszedł.

D'Artagnan pozostał sam z kardynałem; było to jego drugie spotkanie z Jego Eminencją, a nie wątpił, że będzie ostatnie.

Richelieu stał wsparty o kominek; od d'Artagnana dzielił go stół.

- Mości panie - rzekł kardynał - zostałeś aresztowany na mój rozkaz.
- Powiedziano mi o tym, Wasza Dostojność.
- A czy wiesz, dlaczego?
- Nie, Wasza Dostojność; mógłbym zostać aresztowany dla jednej tylko przyczyny, a ta jest jeszcze Waszej Eminencji nie znana. Richelieu patrzył uważnie na młodzieńca.
- Ejże - rzekł - co to ma znaczyć?
- Jeśli Wasza Dostojność zechce mi powiedzieć, jakie zbrodnie mi przypisują, powiem, co zrobiłem.
- Przypisuje ci się zbrodnie, za które spadły głowy nie takie jak twoja, mości panie! - rzekł kardynał.
- A jakież to zbrodnie, Wasza Dostojność? - zapytał d'Artagnan ze spokojem, który zdumiał kardynała.
- Zarzucają ci, żeś pisywał do nieprzyjaciół królestwa, że przejąłeś tajemnice państwowe, że próbowałeś udaremnić plany swego wodza.
- A któż mi to zarzuca, Wasza Dostojność? - rzekł d'Artagnan, który nie wątpił, że oskarżyła go Milady. - Kobieta napiętnowana przez sąd w naszym kraju, kobieta, która poślubiła jednego mężczyznę we Francji, a innego w Anglii, kobieta, która otruła swego drugiego męża i chciała otruć mnie samego?
- Co tu opowiadasz, mój panie! - zawołał zdumiony kardynał. - O jakiej kobiecie mówisz?
- O lady Winter - odparł d'Artagnan. - Tak, o lady Winter, której wszystkich zbrodni Wasza Eminencja bez wątpienia nie znał, skoro zaszczycił ją swym zaufaniem.
- Mości panie - rzekł kardynał - jeśli lady Winter, jak mówisz, popełniła te wszystkie zbrodnie, będzie ukarana.
- Jest już ukarana, Wasza Dostojność.
- A któż ją ukarał?
- My.
- Jest w więzieniu?
- Nie żyje.
- Nie żyje! - powtórzył kardynał, który nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Nie żyje! powiedziałaś,

że nie żyje?

- Trzy razy próbowała mnie zabić, wybaczyłem jej; ale zabiła kobietę, którą kochałem. Wówczas moi przyjaciele i ja pochwyciliśmy ją, osadzili i skazali.

D'Artagnan opowiedział o otruciu pani Bonacieux w klasztorze karmelitanek w Bethune, o sądzie w samotnym domu i o wykonaniu wyroku na brzegu Lys.

Dreszcz przebiegł przez ciało kardynała, choć nie drżał on z lada powodu.

Ale nagle, jakby pod działaniem ukrytej myśli, ponura dotąd twarz kardynała rozjaśniła się i przybrała najbardziej pogodny wyraz.

- A zatem - rzekł kardynał głosem, którego słodycz kontrastowała z surowością słów - ogłosiliście się sędziami, nie myśląc o tym, że ci, którzy karzą nie mając po temu prawa, są mordercami.

- Wasza Dostojność, przysięgam, że ani przez chwilę nie myślałem o tym, żeby ujść cało. Przyjmę karę, jaką Wasza Eminencja zechce mi wyznaczyć. Nie dbam tak bardzo o życie, bym obawiał się śmierci.

- Tak, wiem o tym, jesteś odważny, mój panie - rzekł kardynał czułym niemal głosem. - Mogę ci więc powiedzieć z góry, że będziesz sądzony, a nawet skazany.

- Kto inny odpowiedziałby Waszej Eminencji, że ma ułaskawienie w kieszeni, ja wszakże powiem: rozkazuj Wasza Dostojność, jestem gotów.

- Ułaskawienie? - zapytał Richelieu zaskoczony.

- Tak, Wasza Dostojność - rzekł d'Artagnan.

- Przez kogo podpisane? Przez króla?

Kardynał wypowiedział te słowa pogardliwym tonem.

- Nie, przez Waszą Eminencję.

- Przeze mnie? Oszalałeś chyba, mój panie!

- Wasza Dostojność pozna niewątpliwie swoje pismo.

Tu d'Artagnan pokazał kardynałowi cenny papier, który Atos odebrał Milady i dał d'Artagnanowi, by mu służył za glejt.

Jego Eminencja wziął papier i przeczytał wolno, akcentując każdą sylabę.

„Z mojego rozkazu właściciel tego dokumentu uczynił to, co uczynił.

Obóz pod La Rochelle, 5 sierpnia 1628.

Richelieu”

Kardynał przeczytawszy te dwie linijki popadł w głęboką zadumę, nie oddał wszakże papieru d'Artagnanowi.

„Zastanawia się, jaki rodzaj męczarni wybrać dla mnie -powiedział do siebie cicho d'Artagnan. - Ale na honor! Zobaczy, jak szlachcic umiera”.

Młody muszkieter był gotów umrzeć bohatersko.

Richelieu wciąż się zastanawiał, obracając papier w rękach. Wreszcie podniósł głowę, utkwiał orli wzrok w tej fizjonomii uczciwej, otwartej, bystrej, wyczytał z twarzy pobrużdżonej łzami wszystkie cierpienia, jakich zaznał młodzieniec przez ostatni miesiąc, i pomyślał po raz trzeci czy czwarty, jak

wielką ma przed sobą przyszłość ten dwudziestojednoletni chłopiec, jak bardzo mógłby się przydać obdarzony takimi zdolnościami, odwagą i inteligencją, gdyby się znalazł w dobrych rękach.

Z drugiej strony zbrodnie, potęga, piekielny geniusz Milady przerażały kardynała już nieraz. Czuł skrytą radość, że uwolnił się na zawsze od niebezpiecznej współpracownicy.

Podarł powoli papier, który d'Artagnan oddał mu tak wielkodusznie.

„Jestem zgubiony” - pomyślał d'Artagnan.

Skłonił się głęboko przed kardynałem, jak człowiek, który powiada: „Panie, niech się stanie wola Twoja”.

Kardynał podszedł do stołu i nie siadając skreślił kilka linii na pergaminie zapisanym już w dwóch trzecich, za czym przyłożył swą pieczęć.

„To wyrok na mnie - rzekł sobie d'Artagnan. - Chce mi oszczędzić nudy Bastylli i długiego sądu. To bardzo uprzejmie z jego strony”.

- Proszę, mości panie - rzekł kardynał do młodzieńca. - Zabrałem ci twój glejt i wręczam ci w zamian inny. Na tym patencie brak nazwiska, dopiszesz je sam.

D'Artagnan wziął pismo z wahaniem i rzucił na nie okiem.

Była to nominacja na porucznika muszkieterów.

D'Artagnan padł do nóg kardynałowi.

- Wasza Dostojność! - zawołał. - Moje życie należy do ciebie, możesz nim rozporządzać od tej chwili; ale nie zasługuję na taką łaskę: mam trzech przyjaciół, którzy są bardziej jej godni...

- Jesteś dzielnym chłopcem, d'Artagnanie - przerwał kardynał klepiąc go poufale po ramieniu, rad, że podbił tę rogatą duszę. - Zrób z tym patentem, co ci się spodoba. Pamiętaj jednak, że choć nazwisko nie jest wpisane, tobie go dałem.

- Nie zapomnę o tym nigdy - odparł d'Artagnan - Wasza Eminencja może być pewien.

Kardynał odwrócił się i zawołał głośno:

- Rochefort!

Kawaler, który zapewne znajdował się za drzwiami, wszedł natychmiast.

- Rochefort - rzekł kardynał - widzisz tu pana d'Artagnana, którego zaliczam od dziś do mych przyjaciół; uściskajcie się zatem i bądźcie rozsądni, jeśli wam życie miłe.

Rochefort i d'Artagnan musnęli się ustami, ale kardynał był przy nich i patrzył czujnym okiem.

Wyszli z pokoju jednocześnie.

- Znajdziemy się jeszcze, panie, nieprawdaż?

- Kiedy pan zechce - odparł d'Artagnan.

- Sposobność się nadarzy - rzekł Rochefort.

- Hę? - powiedział Richelieu otwierając drzwi.

Wymienili więc uśmiechy, uścisnęli sobie ręce i skłonili się Jego Eminencji.

- Zaczynaliśmy się już niecierpliwić - rzekł Atos.

- Oto jestem, przyjaciele - odparł d'Artagnan. - Nie tylko wolny, ale w łaskach.

- Opowiesz nam o tym?

- Wieczorem.

Wieczorem d'Artagnan udał się do mieszkania Atosa, który opróżniał właśnie butelkę wina hiszpańskiego; czynił to bez uchybienia co wieczór.

Opowiedział mu, co zaszło między nim i kardynałem, wyjął patent z kieszeni i rzekł:

- Weź to, drogi Atosie, patent jest twój, to rzecz najoczywistsza w świecie. Atos uśmiechnął się swoim łagodnym i czarującym uśmiechem.

- Przyjacielu - rzekł - dla Atosa to za wiele; dla hrabiego de La Fere za mało. Zachowaj ten patent, jest twój; mój Boże, zapłaciłeś za niego dość drogo.

D'Artagnan wyszedł z pokoju Atosa i udał się do Portosa.

Portos we wspaniałym stroju, pokrytym przepysznyimi haftami, przyglądał się sobie w lustrze.

- Ach, to ty, drogi przyjacielu! Jak ci się podobam w tym stroju?

- Wyglądasz wspaniale - rzekł d'Artagnan - ale chcę ci ofiarować strój, w którym będzie ci jeszcze bardziej do twarzy.

- Jakiż to strój? - zapytał Portos.

- Porucznika muszkieterów.

D'Artagnan opowiedział Portosowi o swoim spotkaniu z kardynałem i dodał wyciągając patent z kieszeni:

- Weź, mój drogi, wpisz swe nazwisko i bądź dla mnie dobrym przełożonym. Portos spojrział na patent i ku wielkiemu zdumieniu młodzieńca zwrócił go d' Artagnanowi.

- Tak - powiedział - to pochlebia mi bardzo, ale niedługo bym się cieszył tą łaską. Podczas naszej wyprawy do Bethune zmarł mąż mojej księżny; szkatuła nieboszczyka, mój kochany, wyciąga do mnie rękę, poślubię wdowę. Właśnie przymierzam ślubny strój; zachowaj patent, przyjacielu, zachowaj go.

I zwrócił patent d'Artagnanowi.

Młodzieniec udał się do Aramisa.

Zastał go klęczącego na klęczniku, z czołem wspartym o otwarty modlitewnik.

D'Artagnan opowiedział mu o rozmowie z kardynałem i wyciągając po raz trzeci patent z kieszeni rzekł:

- Światły nasz przyjacielu, tajemny opiekunie, przyjm ten patent; dzięki swojej mądrości i radom, zawsze tak skutecznym, zasłużyłeś sobie nań bardziej niż ktokolwiek.

- Niestety, drogi przyjacielu! - powiedział Aramis. - Nasze ostatnie przygody zniechęciły mnie ostatecznie do życia świeckiego i szpady. Tym razem moje postanowienie jest nieodwołalne: po zakończeniu oblężenia zostaję misjonarzem. Zachowaj ten patent, d'Artagnanie, rzemiosło żołnierskie odpowiada twej naturze, będziesz dzielnym i śmiałym dowódcą.

D'Artagnan z okiem zwilżonym łzą wdzięczności i płonącym z zadowolenia wrócił do Atosa; zastał go siedzącego niezmiennie przy stole, gdy przyglądał się pod światło ostatniej szklance malagi.

- A więc - powiedział - oni mi także odmówili.

- Nikt bowiem nie jest tak godzien tego zaszczytu jak ty, drogi przyjacielu.

Wziął pióro, wpisał na patencie nazwisko d'Artagnana i oddał go młodzieńcowi.

- Nie będę już miał przyjaciół - rzekł młodzieniec. - Niestety, nie pozostaje mi nic prócz gorzkich wspomnień...

Opuścił głowę na ręce, a łzy spływały mu po policzkach.

- Jesteś młody - odparł Atos - i twoje gorzkie wspomnienia zamienią się z czasem we wspomnienia pełne słodyczy!

EPILOG

La Rochelle, pozbawiona pomocy floty angielskiej i odsieczy przyrzeczonej przez Buckingham, poddała się po oblężeniu trwającym rok. 28 października 1628 roku podpisano kapitulację.

Król wrócił do Paryża 23 grudnia tego samego roku. Był to wjazd triumfalny, jak gdyby odniesiono zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, a nie nad Francuzami.

Król wjechał od strony przedmieścia Saint-Jacques przez bramę z zieleni.

D'Artagnan został porucznikiem. Portos porzucił służbę i w następnym roku poślubił panią Coguenard; tak bardzo upragniona kasa zawierała osiemset tysięcy liwrów.

Mousgueton otrzymał wspaniałą liberię i zaznał przyjemności, o której marzył przez całe życie; mógł teraz siadywać na tylnym siodełku poślacanej karety.

Aramis po podróży do Lotaryngii znikł nagle i przestał pisać do swych przyjaciół. Dowiedziano się

później od pani de Chevreuse, która opowiadała o tym swym kochankom, że wstąpił do klasztoru w Nancy.

Bazin został świeckim braciszkiem.

Atos pozostał w muszkietierach pod rozkazami d'Artagnana aż do 1631 roku, kiedy po podróży do Turenii również porzucił służbę, jakoby dlatego, że otrzymał w spadku niewielki majątek w Roussillon.

Grimaud udał się z Atosem.

D'Artagnan bił się trzy razy z Rochefortem i trzykrotnie go zranił.

- Zabiję cię prawdopodobnie za czwartym razem - rzekł wyciągając doń rękę, by go podnieść.

- Lepiej więc będzie dla ciebie i dla mnie, żebyśmy poprzestali na tym. Tam do kata! Jestem bardziej twym przyjacielem, niż przypuszczasz; gdybym po pierwszym naszym spotkaniu szepnął kardynałowi słówko, dawno już byłoby po tobie.

Uścisnęli się, ale tym razem ze szczerego serca i bez żadnej złej myśli.

Planchet dzięki Rochefortowi uzyskał stopień sierżanta gwardii.

Pan Bonacieux żył sobie spokojnie, nie wiedząc, co się stało z jego żoną, i bynajmniej się o to nie troszcząc. Pewnego dnia miał nieostrożność przypomnieć o sobie kardynałowi; kardynał kazał mu powiedzieć, że postara się, by mu odtąd na niczym nie zbywało.

Jakoż następnego dnia pan Bonacieux wyszedł o siódmej wieczór do Luwru i nie pojawił się więcej na ulicy des Fossoyeurs; zdaniem ludzi dobrze poinformowanych otrzymał mieszkanie i wikt w jakiejś twierdzy królewskiej na koszt wielkodusznego kardynała.

KONIEC